

BRIAN STAVELEY



CZASZKOWIERCY

BRIAN STAVELEY

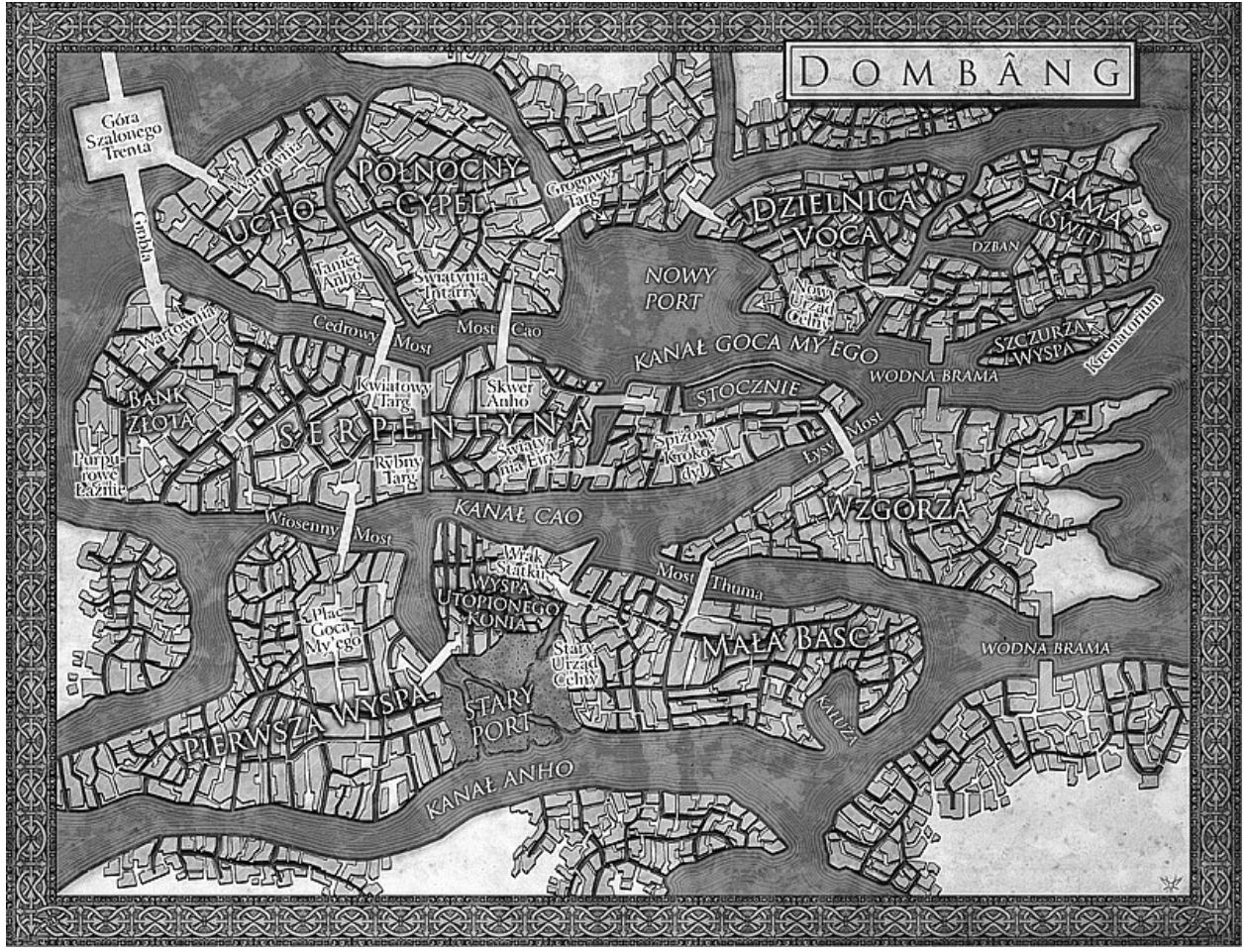
CZASZKOWIERCY

Przełożył
Jerzy Moderski



DOM WYDAWNICZY REBIS

Dla Jo, która porządkuje moje notatki



Podziękowania

Jak zwykle, bardzo wdzięczny jestem wszystkim, którzy w szerszym lub węższym zakresie przyczynili się do powstania tej książki. Powiadają, że trzeba całej wioski, żeby opowieść wyszła ciekawie. Obawiam się jednak, że gdybym zaczął wymieniać wszystkich jej mieszkańców, to nigdy bym nie skończył. Jest jednak pięcioro takich, którzy przeczytali cały manuskrypt, do tego wielokrotnie. Suzanne i Gavin Bakerowie tworzą wspaniały zespół matka–syn, niezmordowanie czytając kolejne wersje, hojnie szafując pochwałami, lecz nie szczędząc też wnikliwej i uczciwej krytyki. Zawsze byłem zdania, że lepiej być pisarzem mającym więcej szczęścia niż talentu, a ja, jak się okazało, jestem największym szczęśliwcem, bo moją agentką jest Hannah Bowman, a redaktorem Marco Palmieri. A wreszcie książka ta, jak wszystkie pozostałe, nie powstałaby bez Johanny Staveley, która wierzyła w nią i we mnie bardziej niż ja sam.

Prolog

Nigdy nie zamierzałam opowiadać tej historii. Myślałam, że przed laty, odchodząc w końcu od ciebie, zabrałam ją ze sobą. Myślałam, że skoro przydarzyła się ona mnie, że skoro na pozór byłam w centrum wszystkich zdarzeń, to jest ona *moją* opowieścią, ale z opowieściami jest inaczej. Opowieść tylko częściowo należy do opowiadającego i nawet najbardziej szalone wymysły wymagają udziału słuchacza, a ta opowieść nie została wymyślona. Jest prawdziwa – przynajmniej na tyle bliska prawdy, na ile zdołałam zbliżyć się do niej po tak wielu latach – i są w niej także inne postacie. Historia ta należy również do nich, lecz skoro już nie żyją, a pozostałam tylko ja, to moim zadaniem jest jej odtworzenie. Jesteś jedyną osobą, która tam była i przeżyła to wszystko aż do końca, nie wiedząc jednak, o co naprawdę chodzi. Nie było to wówczas możliwe. Powinnam była powiedzieć ci o tym już dawno, ale dopiero znacznie później zrozumiałam, że ta historia jest także w tej samej mierze twoją historią.

Przybyłam do Dombângu z powodu miłości.

I owszem, również po to, żeby zabić siedem osób w czternaście dni, ale nie martwiło mnie to. Dorastałam w miejscu, gdzie kobiety noszą kaftany z wszytymi pod spodem sztyletami, gdzie każdy kapłan ma przy sobie tuzin noży i stalowe igły, tak cienkie, że można wbić je do mózgu tuż przy gałce ocznej i wyciągnąć, nie zostawiając śladu. Widziałam, jak moi towarzysze, inni kapłani,

umierali od stali i ognia, czasem bardzo prędko, skacząc ze szczytu skalnych, piaskowcowych urwisk, a czasem wolno, na skutek postępującego odwodnienia. Gdy miałam piętnaście lat, znałam już tysiące niezawodnych sposobów posyłania mężczyzn i kobiet do mego boga. Moim problemem nie były kwestie pobożności i umiejętność składania ofiar.

Była nim miłość. Miłość to sprawa niełatwa. Gdy skończyłam dwadzieścia pięć lat, miałam już kochanków, zaznałam wiele radości, spędziłam wiele długich nocy na odludnych szczytach, ucząc się swego ciała, sama lub w czyichś gorących objęciach. Miłość mi jednak umykała.

Komuś niewtajemniczonemu nie wyda się to dziwne. *Jakżeby miłość, mógłbyś zapytać, miałyby się zrodzić w kamiennym sercu czaszkowiercy? Czy noże Ananshaela mogą znać miłość?*

Nie czuję się urażona. Dla większości ludzi mój bóg – podobnie jak śmierć, którą sprowadza – jest tajemnicą i potwornością. Nie byłeś w Rassamburze, nie słyszałeś naszych chórów w czasie nowiu księżyca, nie kosztowałeś słodkich owoców naszych drzew rosnących przy murach z piaskowca. Skąd miałbyś wiedzieć cokolwiek o kobietach i mężczyznach zwanych czaszkowiercami? Skąd miałbyś wiedzieć, jeśli nie ode mnie?

Zacznijmy może od samego słowa. To nie tak.

Nie przysięgam na czaszki, nie *na* nie, nie *im*, nie *w ich obecności*. Prawdę mówiąc, od lat nie widziałam czaszki. Być może kawałek zakrwawionej kości w otwartej ranie na głowie, ale prawdziwej czaszki, z wielkimi oczodołami i bez zuchwy? Co, na miłość boga, miałabym począć z czaszką?

„Picie krwi niewinnych dzieci” wydaje się najbardziej

rozpowszechnionym przekonaniem, wyjaśnię więc również i to nieporozumienie: nie pijam krwi dzieci, ani tych winnych, ani niewinnych. Nie pijam krwi ludzi ani zwierząt. Kiedyś, w Sia, jadłam kielbasę zrobioną z krwi, grubą czarną kiszkę ułożoną na górcie ryżu, ale zjadłam ją ze zwykłego talerza, a nie z czaszki, i wszyscy wokół mnie jedli wtedy to samo.

Powinnam również wyjaśnić, że nie zażywam kąpeli w kotłach napełnionych krwią. Wystarczająco umażę się krwią na świecie, pracując dla mego boga. Kąpiel ma na celu przede wszystkim zmycie z siebie tej krwi. Kapłani boga śmierci kąpią się w gorącej wodzie, podobnie jak wszyscy zdrowi na umyśle ludzie po obu stronach Ancazu. Tam, w Rassamburze, wlewam do wody wrzący napar z jaśminu i szaławii. Lubię być czysta.

I jeszcze parę wyjaśnień, w dowolnym porządku:

Nie noszę ubrań zrobionych z ludzkiej skóry. Wolę jedwab, choć krew łatwiej sprać z wełny.

Nigdy nie pieprzyłam zmarłego. Nie wiem, kto się włóczy w poszukiwaniu erekcji u wisielców, ale zapewniam cię, że nie ja. Większość mężczyzn jest wystarczająco onieśmielona w łóżku bez dodatkowego hamulca w postaci śmierci. Lubię moich kochanków, tak jak lubię moje kąpiele – ciepłych, czystych i, jeśli to możliwe, ładnie pachnących, choć przyznam, że w ostatnich dwóch sprawach gotowa jestem na pewien kompromis.

Rozumiem oczywiście, jak ludzie popełniają tego rodzaju błędy. Kiedy widzisz czaszkę albo beczkę pełną krwi, to z dużym prawdopodobieństwem możesz założyć, że przeszedł tędy mój bóg, uśmiercił jakąś istotę, po czym zniknął. Podobnie jak silny wiatr, który wzbija pył i gnie gałęzie, Ananshael pozostawia na swojej

drodze krew i czaszki, ale krew i czaszki nie są śmiercią – nie bardziej niż zgięta gałąź jest wiatrem.

Śmierć opiera się wszelkim porównaniom. Tego właśnie się nauczyłam podczas pierwszego roku spędzonego w Rassamburze. Mówienie, że śmierć jest jak kraj leżący za morzem albo jak niekończący się krzyk, to nieporozumienie. Śmierć nie przypomina niczego. Nie ma żadnego rzemiosła dającego się porównać ze sztuką Ananshaela. Najprawdziwszą odpowiedzią na jej tajemnicę i majestat jest milczenie.

Z drugiej jednak strony zachowywanie milczenia pobudza fantazję ludzi niewtajemniczonych – czaszki wypełnione krwią, cmentarne orgie, niemowlęta zwisające w świetle świec z piwnicznych sklepień – a więc być może jakaś niedoskonała analogia jest jednak lepsza od zupełnego milczenia.

Weźmy winogrono.

Fioletowa skórka jest lekko matowa, jakby była zaparowana lub zamglona. Przetrzyj ją, lub nie, a potem włóż do ust. Miąższ jest jędrny pod chłodną, gładką powierzchnią. Jeśli poczujesz coś w rodzaju ekscytacji, przestań. Zaczynij wyobrażać to sobie od nowa. Winogrono to winogrono. Wyobrazisz to sobie właściwie albo nic z tego nie będzie.

I dalej. Jak winogrono smakuje?

Winogrono smakuje jak winogrono? Oczywiście, że nie. Zanim je rozgryziesz, nie ma żadnego smaku. Równie dobrze mogłoby być wyłowionym jesienią z zimnej rzeki i włożonym do ust kamykiem: gładką, chłodną kulką, stawiającą opór, pozbawioną zapachu. W nieskończoność mógłbyś trzymać ją między podniebieniem a językiem, czując tylko lekki posmak soku w maleńkim punkcie,

gdzie została oderwana od łodyżki.

Jesteś jak to winogrono – pulchny bogatą, śliską słodyczą, przepelniony czerwonym, wilgotnym życiem. Prawda o życiu jest prawdą tego winogrona: ujawni się, gdy szczęki się zacisną, gdy skórka pęknie, a chłodny miąższ tryśnie na język. Bez tej chwilowej destrukcji winogrono pozostaje gładkim, barwnym kamykiem. Bez wcześniejszej wiedzy kobiety, która trzyma je w dłoni, bez jej przecucia, zanim jeszcze trafi ono między jej wargi, co kryje się pod przeżutą skórką i słodyczą zawartego w niej życia, winogrono nie miałoby smaku.

Jeśli wierzyć kronikom, Csestriimowie i Nevariimowie byli takimi właśnie nieśmiertelnymi kamieniami, niezdolnymi do radości – ani do jej odczuwania, ani do jej dawania. Oczywiście mój bóg był jeszcze młody, gdy oni chodzili po ziemi, a jego moc mniejsza w czasach, gdy zostali stworzeni, bo przez tysiące lat unikali jego dotyku. Mogliby tak trwać w nieskończoność – nieśmiertelni z wyjątkiem tych rzadkich przypadków, gdy ich ciało ulegało zniszczeniu na skutek przemocy i mój bóg mógł pochwycić ich w palce – ale Csestriimowie przeliczyli się z siłami. W swym suchym, pustym pragnieniu katalogowania świata i poznawania go w celu podporządkowania swojej władzy zepchnęli Nevariimów za daleko i Nevariimowie na nich uderzyli.

Przegrali. Csestriimowie starli ich z powierzchni ziemi. Lecz mój bóg nauczył się wiele podczas tego konfliktu i po długich tysiącach, które nastąpiły potem, wzmacnił się znacznie. Stał się wystarczająco silny, by w czasie, gdy pojawiliśmy się my – ludzie wędrujący po surowej, niewdzięcznej ziemi – umiał już unicestwić nas jednym pstryknięciem palców. Nigdy nie nauczył

się tej sztuczki w odniesieniu do Csestriimów, ale nie miało to już znaczenia. To my przychodziliśmy mu z pomocą, rozcinając nieśmiertelne ciała naszym spizem i wpuszczając go do środka. Csestriimowie byli kamieniami, ale niszczyliśmy ich i usuwaliśmy, tak samo jak oni usunęli kiedyś Nevariimów.

My nie jesteśmy kamieniami. Nasza ludzka skóra jest cienka, a pod nią pulsuje życie. A śmierć? Bóg, któremu służę? On jest zaciśniętymi na nas szczękami, obietnicą słodkiego, świeżego unicestwienia, bez którego nie byliśmy niczym więcej niż gładkimi kamykami.

Moi bracia i siostry w wierze rozumieją to lepiej niż większość ludzi. Poświęcamy życie tej prawdzie. A w murach Rassamburu nie brakuje radości, przyjemności, muzyki oraz, a jakże, miłości. Widywałam starsze pary, jak zstępowały, trzymając się za ręce, z wysokich, krwistoczerwonych urwisk, złączone nawet w chwili swego unicestwienia. Widywałam, jak żony nalewały mężom zatrutej herbaty i same przystawiały im czarę do drżących ust, ofiarowując ostateczne uwolnienie od cierpień tej czy innej choroby, gdy ból stawał się nie do zniesienia. Byłam świadkiem, jak z radosnym wyrazem twarzy wymykały się w ustronne miejsce młodsze pary, i sama nieraz czułam echo tego uczucia w sobie, jakieś ekstatyczne drzenie szczęścia, gdy moje usta stykały się z innymi ustami.

Nie była to jednak miłość.

Nie martwiło mnie to szczególnie. Byłam młoda, silna, wzmocniona własnym poświęceniem i braterstwem moich braci i sióstr. Miłość była przyjemną myślą, czymś odkładanym na później, czego doświadczyć powoli, gdy przestanę być młoda.

A potem przyszła Próba, a wraz z Próbą pieśń.

Mój bóg jest wielkim miłośnikiem muzyki. Nie utrwalonych, statycznych, skończonych form malarstwa czy rzeźby, ale muzyki. Muzyka jest nierozzerwalnie związana z własnym unicestwieniem. Każda nuta jest oparta na śmierci tych, które ją poprzedzają. Spróbuj zachować je wszystkie, a otrzymasz chaos, kakofonię, hałas. Pieśń, tak jak życie, polega na ulatywaniu, zanikaniu, na wiedzy, już w chwili rozpoczęcia, że nastąpi koniec. A ze wszystkich urozmaiconych form muzyki – skrzypiec, bębnów, harf i rogów, posępnych lub radosnych – Ananshael najbardziej kocha ludzki głos, brzmienie instrumentu, który śpiewem wyraża świadomość własnej skończoności.

Nic dziwnego, że Próba obejmująca cały mój dotychczasowy trening zaczynała się od pieśni, ale ze wszystkich pieśni słyszanych w Rassamburze tę jedną trzymano w tajemnicy przede mną i przed wszystkimi uczniami aż do samej Próby. Posłuchaj, a sam zrozumiesz gwałtowność mojej nagłej potrzeby miłości:

*Ten, kto ma rację, i ten, kto nie,
Śpiewak schwyty w pieśni sieć,
Oddajże ich, oddaj na koniec
W jego milionopalce dłonie.*

*Oddaj mu tego, co śmierć zadaje,
Odciętego od życia, gdy tchu mu nie staje.
I matkę nowym życiem brzemienną.
Znajdź dla niej dobroć w najostrzejszym nożu.
Oddaj mu też tego, co jest imion dawcą;*

W jego włościach słów szukać daremno.

A gdy już w jego rękach znajdują się bezpiecznie,

Zostanie jeden jeszcze,

Zostanie jeden jeszcze –

Oddaj bogu człowieka, który sprawił, że

Twój umysł i ciało miłością się rozśpiewały,

A który nigdy już nie wróci.

Nie wiem, kto skomponował muzykę, ale ta pieśń jest doskonała, polifoniczna, gdzie jeden ton jest nagim ostrzem, a drugi ciepłą skórą na chwilę przedtem, zanim się rozstąpi. Ela i Kossal zaśpiewali ją dla mnie – wypadło na nich, że stali się moimi Świadcami w Sali Wszystkich Końców, wysoko sklepionym sześciokąt z piaskowca o szerokości zaledwie dwunastu kroków. Tak naprawdę w mniejszym stopniu była to sala, a bardziej pokój. Dwie potężne świece oświetlały pomieszczenie, jak białe kolumny grubości mojego uda, umieszczone w osadzonych w ścianie kinkietach. Nie było żadnych ołtarzy. Ich giętkie ciała były ołtarzami, muzyka ich ofiarą, wypełniającą skromnie oświetlone pomieszczenie, aż zdawała się płynna. Śpiewana gardłowym, pełnym głosem, bez ozdobników, była jak stare żelazo. Rozpłakałam się, słuchając ich. Przede wszystkim z powodu piękna tego śpiewu, a jeszcze bardziej, gdy zrozumiałam, co znaczy: musiałam ponieść porażkę. Już ją poniosłam, gdy zabrakło mi oddania w tym wielkim ćwiczeniu, które ledwie się zaczęło.

Pieśń była w istocie listą tych, których każdy uczeń musi oddać bogu, zanim zostanie pełnoprawnym kapłanem Ananshaela. Od

pierwszej do ostatniej ofiary przysła kapłanka miała zaledwie czternaście dni. Czternaście dni na siedem ofiar. To nie takie znów trudne dla kogoś, kto został wychowany i wyćwiczony w Rassamburze, ale niemożliwe dla kogoś, kto – tak jak ja – nigdy nie był zakochany.

Słowa brzmiały mi w uszach jeszcze długo po zakończeniu pieśni: *Oddaj bogu człowieka, który sprawił, że twój umysł i ciało miłością się rozśpiewały.*

Ela pierwsza zauważyła moje zmieszanie, ale źle je zrozumiała.

– Wiem – powiedziała, kładąc łagodnie mocną dłoń na moim ramieniu. Jej palce były ciepłe w chłodnym powietrzu nocy. Nawet bez nut jej głos wciąż brzmiał jak pieśń. – Wiem.

Kossal odwrócił się ku świecom. Ich bliźniacze płomienie były w pomieszczeniu jedynym źródłem światła, a on już niemal je zgasił, sięgając bezlitosnymi palcami do pierwszego knota.

– Daj jej jeszcze chwilę, stary koźle – powiedziała Ela.

Kapłan zatrzymał się i odwrócił. Pomimo swego wieku nie był przygarbiony. Ze swoją wysoką, żylastą sylwetką wyglądał na człowieka o czterdzieści lat młodszego, choć jego twarz – oliwkowa karnacja pod siwiejącym zarostem – sprawiała wrażenie wykutej w kamieniu, gdzie każda zmarszczka i linia wcinała się głęboko w ciało. W każdym oku migotał, ostry jak igła, płomień świecy.

– Może mieć tyle chwil, ile zechce. Ale w ciemności.

– A co, jeśli zechce trochę światła?

Kossal oderwał wzrok od Eli i przyjrzał mi się uważnie, pogwizdując bezgłośnie przez szparę w zębach.

– Skoro chce zostać kapłanką, powinna przywyknąć do odrobiny ciemności. Poza tym marnujemy воск.

– Marnujemy coś więcej niż воск – odparła Ela. – Zdmuchnę świece, gdy będziemy wychodzić.

Starszy mężczyzna przyglądał mi się przez jedno uderzenie serca dłużej, po czym spojrzał znowu na świece, jakby tam mógł znaleźć odpowiedź, wreszcie pokręcił głową.

– To, że ty i ja pracujemy razem, Elo Timarno, jest dla mnie nieodgadnioną tajemnicą.

Śmiech Eli zabrzmiał jak srebrny dzwoneczek. Widziałam już, jak rozbijała pięścią gruby blok suszonej w słońcu gliny, jak chwytała za rogi umierającego kozła i skręcała mu kark, ale używała swojej siły z umiarem. Węzły mięśni i ścięgien rysujące się pod jej brązową skórą sprawiały wrażenie stworzonych raczej do swobodnego ruchu i skoków, a nie do walki. Wszystko w niej wyglądało lekko: jej włosy – wir zbitych, czarnych pukli – zdawały się sprężynować z każdym poruszeniem; jej ręce podrywały się nieustannie w górę, gdy gestykulowała, debatując nad taką czy inną kwestią; nawet jej usta zdawały się balansować bez przerwy na krawędzi uśmiechu.

– Nadal pracujemy razem – odpowiedziała kapłanowi, mrugając do mnie porozumiewawczo – dlatego, że masz słabość do młodych kobiet.

Kossal chrząknął.

– Śmieszna rzecz, ale z ludźmi już tak jest: daj im dość lat, a przestaną być młodzi.

– A ileż to lat – odezwała się Ela, rozkładając ręce, jakby oferowała starszemu kapłanowi uścisk albo zapraszała go do zadania ciosu – na to trzeba, twoim zdaniem? – Przechyliła głowę i odsłoniła w uśmiechu zęby, które zalśniły bielą w świetle świec. –

Czy już przestałam być młoda? – zapytała i obróciła się wolno w miejscu, wdzięcznie jak tancerka, zatrzymując się na chwilę, gdy zwrócona była doń plecami, a potem kończąc obrót.

Kossal nie spuszczał z niej oczu. Jego spojrzenie było szczere, otwarte, oceniające, ale zupełnie wyzute z pożądania. Pomyślałam, że bardzo bym chciała, aby ktoś patrzył na mnie w taki sposób: nie tylko patrzył na mnie, ale też *widział*. Jednakże oczy kapłana zajęte były tylko starszą kobietą.

– Jeszcze nie – ustąpił w końcu.

Ela uśmiechnęła się. Oboje stali spokojnie, ale przeciąg szarpał płomieniami świec, sprawiając, że nasze cienie drżały.

– Cieszę się. Nie potrafię opisać, jak bardzo by to było deprymujące, gdybyś w wieku siedemdziesięciu lat był młodszy niż ja w wieku lat trzydziestu pięciu.

Kossal pokręcił głową.

– Już dawno temu przestałem być młody. Nigdy to do mnie nie pasowało.

– Pozwól, że to ja będę oceniała, co do ciebie pasuje.

Starszy kapłan chrząknął ponownie, po czym zwrócił się do mnie:

– Dam ci pewną radę, moje dziecko. Może ci się kiedyś przydać, oczywiście jeśli nie będę zmuszony zabić cię na koniec twojej Próby.

Ela wciąż obejmowała moje ramię. Konspiracyjnie mnie uścisnęła, a potem pochyliła się do mego ucha i kpiącym tonem szepnęła:

– Udawaj, że słuchasz. Jego rada jest okropna, ale jest szczęśliwy, mogąc jej udzielić.

Kossal nie zwrócił uwagi na tę kpinę.

– Kiedy oddasz bogu *człowieka, który sprawił, że twój umysł*

i ciało miłością się rozśpiewały, upewnij się, że robisz to jak należy. W przeciwnym razie – ciągnął dalej, wskazując ruchem głowy na Elę – ona się zjawi i będzie cię dręczyć do końca życia.

– Jak powiedziałam – mruknęła Ela na tyle głośno, by Kossal ją usłyszał – jego rada jest okropna. Przechodził swoją Próbę dziesięć lat przed moimi narodzinami.

– Powinienem był poczekać – powiedział na poły do siebie, pokręcił głową i ruszył w stronę drzwi.

Ruchem tak szybkim, że uświadomiłam go sobie dopiero po chwili, Ela odstąpiła ode mnie i obróciła się błyskawicznie ku kapłanowi, wymierzając mu dla zabawy niskie uderzenie między zebra. Była szybka, tak jak wszystkie kapłanki w Rassamburze, ale to nie jej szybkość mnie zadziwiła, lecz doskonała łatwość, z jaką Kossal zablokował cios, chwytając ją za przegub i zatrzymując jej wyprężone palce kilka cali od swego boku. Ela spojrzała w dół na swoją rękę, potrząsnęła z żalem głową, uśmiechnęła się, a potem wychyliła, by delikatnie ucałować go w czoło.

– Naprawdę udusiłbyś mnie w łóżeczku? – zapytała.

Słowa były ciepłe, intymne, jakby zapomniała o mojej obecności.

– Byłoby łatwiej – odparł Kossal, puszczając jej nadgarstek.

– Łatwiej niż co?

Starszy kapłan tylko pokręcił głową.

– Zgaś potem świece. Trochę światła to miła rzecz, ale gdy воск się skończy, to i światła nie będzie.

Kossal odszedł w noc, a cedrowe drzwi cicho zamknęły się za nim. Ela patrzyła na nie przez chwilę, ściągając wargi, jakby zamierzała zagwizdać kilka nut jakiejś starej melodii. Wyglądała na zupełnie zrelaksowaną, ale widziałam, jak pulsowanie żyły na

szyi pokazuje uderzenia jej serca; nie były bardzo szybkie, ale szybsze niż przedtem. Również jej oddech był szybszy, a pierś wznosiła się i opadała pod szatą, być może na skutek krótkiej walki z Kossalem, a może z innego powodu – nie wiedziałam.

– On cię kocha? – zapytałam głupio.

Odwróciła się do mnie z uśmiechem.

– Ten stary wariat nie wie najprostszej rzeczy o miłości.

– Ale kiedyś musiał.

– Kiedyś? – Kapłanka przechyliła na bok głowę, a potem potaknęła. – Ach, chodzi o jego Próbę.

– Zdał. A to oznacza, że kogoś pokochał. Musiał kochać.

Ela skinęła głową.

– Zapewne. – Po czym znowu objęła mnie ramieniem. – Dość gadania o nim. Jest już do połowy w rękach Ananshaela. A ty właśnie tym się martwisz, prawda? Złożeniem bogu ostatniego daru?

Zawahałam się. Prawda sprawiła, że poczułam się mała.

Kapłanka obróciła mnie, aż stanęłam z nią twarzą w twarz. Wciąż trzymała rękę na moim ramieniu, a drugą uniosła mój podbródek, aż spojrzałam prosto w jej ciemne oczy. Mgła jej włosów przechwytywała światło świec i zdawało się, że jej włosy się żarzą, podczas gdy twarz pozostawała w cieniu. Była ode mnie tylko parę cali wyższa, ale w tym momencie równie dobrze mogłam być małą dziewczynką, która zapuściła się w labirynt nieznanych emocji.

– One zawsze są trudne – powiedziała. – Ostatnie wersy pieśni. Nawet kapłani Ananshaela zapominają czasem, że należymy do niego. Miłość zaś jest zwodniczą i urzekającą boginią. Sprawia, że zaczynasz wierzyć.

– Miłość... – zaczęłam, lecz zaraz przerwałam, niezdolna wydusić z siebie więcej niż te dwie sylaby.

Ela skinęła głową.

– Ktokolwiek to jest, wydaje ci się, że możesz go zachować. Albo ją. – Musnęła kciukiem mój podbródek, obrysowując jego kształt. – Nie możesz.

Nagle było tego za wiele. Mogłam tylko kręcić głową, a gorące łzy popłynęły mi z oczu, gdy otworzyłam cedrowe drzwi i wyszłam w chłód nocy, porzucając ciepłe światło bliźniaczych świec dla tego innego, starszego i zimniejszego światła niezliczonych gwiazd rozproszonych nad głową. Wszędzie wokół mnie lśniły w świetle księżyca blade piaskowcowe mury sal i domów Rassamburu. Kobiety i mężczyźni przechadzali się między nimi, parami lub w małych grupkach, rozmawiając, śmiejąc się lub milcząc. Z dala dobiegały mnie okrucy jakiejś pieśni. Nie zwracałam na to wszystko uwagi i szłam przed siebie tak długo, aż nie mogłam już zrobić kroku, do samej krawędzi płaskowyżu, gdzie jedynym wyborem było stanąć lub spaść.

Ze skraju urwiska patrzyłam w dół na wielką przepaść otaczającą cały Rassambur. Bywałam już oczywiście po drugiej stronie. Urodziłam się po tamtej stronie, wychowywano mnie tam, aż skończyłam dziesięć lat, a przez piętnaście lat, które nastąpiły potem, dziesiątki razy przechodziłam przez cienkie piaskowcowe przesło łączące Rassambur z górami i resztą świata. Pomimo całej samotności naszej fortecy nasza żarliwa wiara jest bardziej ekumeniczna niż monastyczna. Gdzie są ludzie, tam jest też nasz bóg, kroczący cicho zarówno przez marmurowe korytarze władzy, jak i cuchnące zaułki, zaglądnący do samotnej chaty na leśnej

polanie, do rojnego portu i do wojskowego obozu pełnego żołnierzy. Jego sprawiedliwość jest absolutna, a my, jako urzędnicy tej sprawiedliwości, musimy bywać w świecie. Na każdy rok spędzony w Rassamburze spędziłam jeden rok poza nim, czasem na zachód od Ancazu, czasem na wschód, lecz zawsze żyłam między ludźmi, poznając ich zwyczaje, nadzieje, lęki i potrzeby. Nieobce mi są Sia i Wolny Port, poznałam kręty labirynt Uvashi-Ramy oraz małe miasteczko na wschodnim brzegu Zielonej Katarakty. Miałam przyjaciół, znajomych oraz kochanków na dwóch kontynentach, a jednak...

Nie słyszałam, kiedy nadeszła Ela, bo poruszała się zbyt cicho, ale wyczułam jej zapach – woń jaśminu i dymu – w chłodzie górskiego pustkowia. Stała pół kroku za mną. Gdy przemówiła, jej głos zdawał się zawisać w otaczającym mnie powietrzu.

– Można by pomyśleć, że powinnam już do tego przywyknąć – mruknęła.

W jej głosie pobrzmiwały ciepło i humor, którego nie pojęłam.

– Przywyknąć do czego?

– Do mojej własnej tępoty.

Pokręciłam głową, ale nie odwróciłam się.

– Nie rozumiem.

– Nie – odrzekła Ela. – Rozumiesz doskonale, przynajmniej w tym, co dotyczy twojego własnego... kłopotliwego położenia. Nie dostrzegłam tego. – Zaśmiała się cicho. – Życie nas oślepia, a ja zawsze zakochiwałam się tak łatwo.

Odetchnęłam długim, nierównym westchnieniem i zapatrzyłam się w głąb przepaści. Patrzenie w otchłań przywracało w jakiejś mierze równowagę ducha. Nasuwało cudowną myśl o milionopalcej

dłoni mego boga, cierpliwej i wyczekującej.

– Jak to możliwe – zapytałam, na poły kierując pytanie do Eli, która stanęła cicho obok mnie, na poły do siebie – że po wszystkich tych latach, że nie... że nikogo...?

– Nikogo nie pokochałaś?

Skinęłam głową, zmieszana.

– Może jesteś bardziej wybredna. Zdolność rozeznania nie jest niczym złym, Pyrre, uwierz mi. Zakochałam się kiedyś w farmerze z okolic Chubolo. Śmierdział brukwią. Miał krótkie, szorstkie palce, jak chrupiące kielbaski. Nigdy nie słyszałam, żeby powiedział więcej niż pięć słów naraz.

Wybałuszyłam na nią oczy, próbując wyobrazić sobie tę stojącą obok mnie smukłą, gibką, zabójczo niebezpieczną dziewczynę z hodowcą brukwi. Było to jak widok pięknej lwicy ocierającej swój złocisty bok o chropawą skórę starej świni.

– Dlaczego? – zapytałam.

Ela zaśmiała się ponownie.

– Dobre pytanie, co? Eira jest boginią, a tym samym tyranką, niezależnie od tego, co ktoś zechce ci wmówić. Władczyni miłości nie wyjawia mi swoich sekretów.

– Ale musiało przecież być coś...

– Tak sędzę. Być może zdecydował o tym sposób, w jaki ruszył ten kamień.

Pokręciłam głową, zdezorientowana.

– Przechodziłam drogą – podjęła, a jej głos falował w rytmie wspomnień – a on oczyszczał pole. Leżał tam głąz. Musiał ważyć dziesięć razy tyle co on, może dwadzieścia, nie wiem, bo nigdy nie interesowałam się oczyszczaniem pól. Rzecz w tym, że ten głąz był

wielki i nie można go było ruszyć. Tak przynajmniej myślałam. Pracował przy nim cały dzień, podkopując go tymi grubaśnymi palcami, podkładając belki jako dźwignie i za każdym razem przesuając go odrobinę. Nigdy nie widziałam czegoś tak powolnego, tak cierpliwego, więc pomyślałam sobie: „Wygląda niepozornie, ale człowiek, który potrafi ruszyć głaz, zasługuje na to, żeby go poznać”. Chciałam się przekonać, co potrafi zdziałać tą powolną, nieustępliwą, wytrwałą cierpliwością. Chciałam być tym kamieniem.

Zapatrzyłyśmy się w ciemność. Niebo nad głową było czyste, gwiazdy jasno i ostro świeciły, lecz daleko na północy, w odległości setek mil, wiosenny wiatr przygnał ku wysokim szczytom burzę z piorunami. Co kilka uderzeń serca niebiesko-biała błyskawica rozświetlała zimną czaszę nocnego nieba, choć byłyśmy zbyt daleko, by usłyszeć grzmoty.

– I co zrobiłaś? – zapytałam, zerkając na Elę dokładnie w momencie, gdy uderzył kolejny piorun, i obserwując, jak barwa jej twarzy przeszła od czerni do jasności i z powrotem do czerni.

– Spędziłam z nim sześć miesięcy. Na jego farmie.

– Sześć miesięcy? – Próbowałam to sobie wyobrazić: zauważenie dziwnego człowieka pracującego na swoim polu, a potem, tego samego dnia, bez żadnej dodatkowej wiedzy na jego temat z wyjątkiem tego, że potrafi przesuwać kamienie, nagła decyzja, by spędzić z nim pół roku w jego domu. Wszystko to wydało mi się po prostu opowiastką, czymś, co można przeczytać w książce lub usłyszeć wieczorem przy ognisku, na poły kłamstwem, na poły anegdotką opowiedzianą dla śmiechu. Tylko że Ela się nie śmiała, a ja nie widziałam powodu, dla którego miałyby kłamać. Poczułam

nagły zawrót głowy, jakby cały płaskowyż, stanowiący szczyt turni, zaczął się niezauważalnie przechylać, próbując zrzucić mnie w przepaść. Ela położyła uspokajająco dłoń na moim ramieniu i odciągnęła mnie w tył.

– Jak? – zapytałam, gdy już odzyskałam równowagę.

Wzruszyła ramionami.

– To nie było trudne. Wystarczyło nie patrzeć na jego paluchy i oddychać tylko przez usta.

– Odwracanie wzroku i oddychanie ustami nie wydają się mocnym fundamentem miłości.

Ela zaśmiała się cicho.

– A tobie się wydaje, że *czym* jest miłość, Pyrre?

Pokręciłam głupio głową.

– Jak już powiedziałam – podjęła Ela po chwili milczenia – ona przychodzi do niektórych z nas łatwiej niż do innych. Bogini stworzyła nas na nieskończenie wiele sposobów. Podejmowane przez nas działania różnią się, podobnie jak nasze twarze.

Gdy odpowiedziałam, nie udało mi się ukryć goryczy, która zabrzmiała w moim głosie.

– A jednak Ananshael ustanowił taką samą Próbę dla nas wszystkich.

– Każde ustępstwo byłoby niesprawiedliwością.

Zagryzłam wargę tak mocno, że poczułam smak krwi.

– Dlaczego nikt mi nie *powiedział*? Przez wszystkie te lata... Potrafię zabić kobietę na trzynaście sposobów za pomocą drewnianej czarki. Nauczyłam się trucizn, jakich nikt nie widział od czasów wojen z Csestriimami, trucizn tak starych jak Nevariimowie, jeśli Nevariimowie w ogóle istnieli. Mogę wisieć,

trzymając się krokwi, przez długie godziny, albo wypchnąć szybę z okna, nie czyniąc najmniejszego hałasu. Przez cały czas myślałam, że jestem gotowa, a teraz... to wszystko się nie liczy.

Ela ścisnęła mnie za ramię.

– Och, liczy się. Masz poza tym sześcioro innych ludzi, których musisz oddać bogu, gdzie miłosne kwestie są zupełnie bez znaczenia.

– Ale kwestie miłości nie są bez znaczenia. Nawet jeśli ofiaruję tamtych już pierwszego dnia, i tak poniosę porażkę.

– Niekoniecznie. Sama możesz się znaleźć na miejscu tej ostatniej ofiary. Kossal i ja tego dopilnujemy.

Słowa były spokojne, nawet pokrzepiające, ale nie mogłam znaleźć w nich żadnego pocieszenia. Nie chodzi o to, że bałam się umrzeć. Wszyscy wychowankowie Rassamburu byli pogodzeni z perspektywą własnej śmierci. Miłosierdzie i sprawiedliwość Ananshaela rozciągają się również na nas. Zwłaszcza na nas. Kapłanka, która nie chce złożyć ofiary z siebie, nie jest kapłanką, lecz zwykłą morderczynią. Rozumiałam to nawet wtedy. Nie przerażała mnie wizja własnej śmierci, tylko wizja porażki. Wszystko, co dotyczyło sztuki Ananshaela, przychodziło mi dotąd z ogromną łatwością. Wydawało się niesprawiedliwe, że nagle i nieoczekiwanie natknęłam się na taką niemożność.

– Kto jest sędzią? – zapytałam cicho.

– Sędzią?

– Tak, sędzią. Odnośnie do miłości. Kto decyduje?

– Ach... – Ela odwróciła się od ogromu nocy i spojrzała mi w twarz. – Kossal i ja zdecydujemy wspólnie.

– A jeśli skłamię?

Kapłanka syknęła z dezaprobatą.

– Zasadniczo oczekujemy więcej oddania od tych, którzy przystępują do Próby.

– Stos trupów będzie wyrazem oddania – odparłam ponuro. – To coś, co zawsze podziwialiśmy w naszym bogu: on nie kłamie. Kiedy życie z kobiety ucieknie, to ucieknie, miłość jednakże... – Westchnęłam głęboko, z rozczarowaniem. – Każdy może to udawać. Oszustwo jest niemal wbudowane w tę emocję.

– Mówisz jak dziewczynka, która nigdy nie była zakochana.

– Skąd będziesz wiedziała? – nalegałam. – Jeżeli znajdę kogoś i powiem, że jestem zakochana, jeśli się przy tym uprę, to skąd będziesz wiedzieć?

– Miłość ma pewien kształt, pewien sposób oddziaływania w nas, przez nas, między nami.

– A kim ty jesteś? Kapłanką śmierci czy jakąś pokręconą poetką?

Pożałowałam tych słów w tej samej chwili, gdy je wypowiadałam. Ela była ode mnie zaledwie dziesięć lat starsza, tylko dziesięć lat po własnej Próbie, ale w Rassamburze była już legendą. W wieku dwudziestu ośmiu lat, zgodnie z nieodwołalnym rozkazem naszego boga, udała się w podróż do Badrikâs-Ramy, znalazła drogę do wnętrza starożytnych, potężnych murów Pałacu Wieczornych Fali, przemknęła się obok Strażników Zmierzchu i udusiła najstarszego księcia Manjarytów. To był akt poświęcenia, jaki wydawał się prawie niemożliwy. Potem zaś, następnej nocy, powróciła i zabiła jego brata. Była kobietą, której pobożność zakwestionowałam; niemal spodziewałam się, że zepchnie mnie za to z urwiska. Zamiast tego roześmiała się.

– Lubię myśleć, że kobieta może być jednym i drugim. A nawet

czymś więcej. Noce, które spędziłam w czyichś ramionach, nie umniejszają mojego poświęcenia bogu. Możesz przyłożyć kobiecie nóż do gardła... – zaczęła, po czym ruchem tak szybkim, że ledwie go zauważyłam, wyciągnęła z pochwy nóż i przycisnęła mi go do skóry. W jej oczach odbijało się światło gwiazd. – A jeśli masz taką ochotę, możesz w tej samej chwili ją pocałować.

Przez pół uderzenia serca myślałam, że rzeczywiście zamierza to zrobić. Przez pół uderzenia serca czułam, jakbyśmy nie stały na krawędzi urwiska, lecz trwały zawieszony gdzieś poza nim, podtrzymywane w próżni, lub niepodtrzymywane wcale, i spadały, a nocne powietrze było wokół nas łagodne i zupełnie niezauważalne. To jedna z prawd Ananshaela: wszyscy przez cały czas umieramy. Rodząc się, przekraczamy krawędź urwiska. Jedyną kwestią jest to, co zrobimy w trakcie spadania.

Oczy Eli zdawały się udzielać odpowiedzi, ale nie potrafiłam jej zrozumieć. Potem zaś, równie szybko jak się pojawił, nóż wrócił do pochwy przy pasie. Ela się nie cofnęła, ale wydała się nagle bardziej oddalona, jakby między nami uległa zerwaniu jakaś więź. Mogłam na tym poprzestać, skinąć głową i odejść.

Nigdy jednak nie byłam dobra w odchodzeniu.

– Nie jestem tobą – odpowiedziałam cicho.

Ela skinęła głową.

– I nie powinnaś być.

– To, co ty nazywasz miłością, wcale nie musi być miłością dla mnie.

– Twoje ręce – odparła Ela, ujmując mnie za przegub i unosząc moją dłoń ku światłu księżyca – nie są moimi rękami, ale jednak są to ręce. Twoja miłość nie będzie moją miłością. Ale to nie oznacza,

że nie potrafię jej dostrzec i rozpoznać.

– A co, jeśli się pomylisz? Jeśli się zakocham, a ty nawet tego nie zauważysz?

Ujęła mnie za drugą rękę. Stałyśmy nad krawędzią urwiska jak kochankowie, twarzami do siebie. Miałam uczucie, że specjalnie dla mnie przybrała wyraz powagi, jaką dorośli udają, napominając rozzłoszczone dziecko.

– Wtedy przyjdę cię zabić, Pyrre, a ty będziesz musiała walczyć.

1

Istoty z delty rzeki Shirvian są biegłe w języku mego pana. Nawet te najmniejsze nie mają w sobie żadnej miękkości. Krocionóg zwinięty w trzcinnie jednym ukąszeniem potrafi zabić kobietę. Podobnie oczny pająk, który jest wielkości mojego paznokcia. Ławice stalowoszczękich *qirna* pływają w kanałach, a każda ryba ma pysk większy od ogona; widywałam ludzi, którzy wrzucali do rzeki kozy na prastarą ofiarę dla jakichś zapomnianych bogów; wyglądało to tak, jakby zwierzę rozpuszczało się w pianie krwi. Żyją w delcie krokodyle stare jak pół annuryjskiej okupacji, potwory długości dwudziestu pięciu stóp, czające się w sitowiu od stu lat albo i dłużej, a te najbardziej zabójcze mają swoje imiona: Słodki Kim, Tancerz, Pupilek. Jedynym zwierzęciem w delcie, które potrafi zabić krokodyla, jest jaguar, i ten fakt mógłby stanowić pociechę, gdyby nie to, że on również żywi się ludzkim mięsem. Są pewne sposoby pozwalające unikać krokodyli i *qirna*. Z jaguarami jednak sprawa jest beznadziejna. To jakby próbować ukryć się przed własnym cieniem.

Pierwszymi sługami Ananshaela były zwierzęta. Krótco przedtem, zanim zjawiliśmy się my, spragnieni krwi mięsożercy przemierzali ziemię, a wszystkie te żylaste bestie, wyposażone w zęby i pazury, były żywymi narzędziami stworzonymi do jednego tylko celu. Zanim powstała pierwsza nuta ludzkiej pieśni, była już muzyka: wycie dobywające się ze zgłodniałej gardzieli, szybki rytm

łap biegnących po zbitej ziemi przez zarośla i ostatni przeraźliwy kwik, a potem cisza, bez której żaden dźwięk nie ma sensu. U zwierząt oddanie się swemu powołaniu jest okrutne, ale czyste i nieskażone.

Przypomniałam sobie o tym, gdy przerzucona nad deltą grobla, po której szłam przez większą część tych dwudziestu mil, grobla zbudowana na drewnianych palach piętnaście stóp nad sitowiem, zaskrzypiała pod silnym porywem wichury. Do tej chwili dzień wydawał się spokojny jak malowidło, most był jak skała pod tysiącami stóp. Gdy się poruszył, ludzie wokół nas – podróżni, poganiacze mułów, włóczędzy i woźnice na wozach – spojrzeli z przestachem w dół na spienioną wodę. Niespokojny pomruk poniósł się zewsząd, a niektórzy się nawet zatrzymali. Inni ruszyli prędzej, spiesząc bezwiednie w wyczekujące ramiona Ananshaela.

– Zawsze tak się dzieje? – zapytała Ela, zwracając się do mnie.

Nie wyglądała na przejętą. Podczas długiej, tysięczmilowej wędrówki z Rassamburu ani razu nie wyglądała na wystraszoną. Choć maszerowaliśmy po grobli od samego rana, wyglądała jak dama, która wyszła na letnią przechadzkę w lekkich sandałach i w jedwabnym *ki-panie*, trzymając na ramieniu parasol z czerwonego woskowanego papieru dla ochrony przed słońcem. Przez pierwsze dni naszej wędrówki jej bagaż wydawał mi się niepraktyczny. Jednak już wkrótce zaczęłam zazdrościć jej zdolności wyboru ubrania: w gorące dni jej krótkie sukienki wyglądały na przewiewne; w burzę parasol utrzymywał jej głowę i korpus w suchości, podczas gdy deszcz spływał niegroźnie po jej długich nogach i sandałach.

– Nie pamiętam – przyznałam się. – Minęło piętnaście lat, odkąd

tu byłam ostatni raz.

Wiatr niósł ze sobą deszcz, szarpał sitowiem i sprawiał, że wielkie, smołowane pale grobli skrzypiały groźnie. Drżały też deski pod moimi stopami.

Kossal nie zwracał na to uwagi, stąpając boso, ubrany w swoją szarą szatę, tak samo jak od początku drogi z Rassamburu, obojętny na deszcz i grad, rozmyte odcinki drogi, a także na widok ogromnej shirviańskiej delty rozciągającej się pod naszymi stopami i wokół nas daleko jak okiem sięgnąć.

– Ci ludzie – powiedziała Ela – wyglądają na zdenerwowanych.

Miała rację. Przed nami tragarz z koszem, zgięty niemal w pół pod jego ciężarem, przyspieszył nagle kroku, mamrocząc coś, co brzmiało jak modlitwa. Dalej za nim jakaś kobieta ponagliła męża, aby szedł szybciej, i wskazała palcem coś na wschodzie, gdzie na niebie zbierały się gorące białe chmury. Poczułam, że tętno mi przyspieszyło, co było dziwne.

Podczas długich lat spędzonych w Rassamburze pogodziłam się z własną nietrwałością. Miłosierdzie i sprawiedliwość mego boga nie przyprawiały mnie już o lęk. Nauczyłam się patrzeć na perspektywę własnego unicestwienia ze spokojem, a nawet z radością. A przynajmniej miałam nadzieję, że się nauczyłam. Stojąc na tej rozchwianej grobli, odkryłam, że powrót do miejsca, w którym się urodziłam, ponownie coś we mnie rozbudził, jakiś dziecięcy instynkt silniejszy od całego objawienia. Mój umysł był obojętny wobec narastającej wokół paniki, lecz moje ciało wiedziało, że powróciliśmy, moje kości i krew rozpoznawały gęsty odór mułu i gorące, słone powietrze.

– Przyznaję – ciągnęła Ela – że będę czuła się nieco urażona, gdy

ten cud annuryjskiej inżynierii okaże się nagle trochę mniej cudowny.

Kossal wzruszył ramionami.

– Żyjemy, dopóki nie umrzemy.

– A przecież – kontynuowała z namysłem Ela – na końcu tej drogi czekają najlepsze łóżka i najlepsze śliwkowe wina w Dombângu. Grzechem byłoby z nich nie skorzystać.

– Nie rozumiesz – powiedział stary kapłan, zerkając na nią – że moneta Rassamburu nie jest po to, żeby trwonić ją na głupstwa i próżne luksusy.

– *Życie* jest próżnym luksusem, Kossal. Zanim pójdę do boga, zamierzam cieszyć się winem i miękkim łóżkiem przy każdej nadarzającej się okazji, najchętniej w towarzystwie kogoś pięknego i nagiego.

Wtedy, zanim Kossal zdołał coś odpowiedzieć, wiatr, jakby potępiając oczekiwania Eli, zerwał się znowu i cały świat się zakołysał. Kobiety i mężczyźni wrzasnęli, a dziesięć tuzinów jaskrawych proporców zatrzepotało nad nami szaleńczo, gdy długie na ćwierć mili przęsło pomostu grobli wykrzywiło się, zaskrzypiało, a potem zawaliło z trzaskiem starego drewna.

Było to miękkie lądowanie – wszędzie woda i muł – które gdzieś indziej mogłoby nawet być wygodne. Ale nie tutaj. Kiedy rybacy z Dombângu pływający po kanałach delty chcieli powiedzieć, że ktoś umarł – w jakikolwiek sposób, w łóżku, w tawernie, zadźgany w zaułku – zawsze używali tego samego wyrażenia: wywrócił łódź. Dla pozbawionych łodzi, zgodnie z ludową mądrością, znalezienie się w wodach delty oznaczało śmierć.

Oczywiście taka ludowa mądrość nie zawsze ma rację. To

śmieszne, jak często tak bywa. Daleko poza granicami Dombângu żyje gdzieś w delcie lud Vuo Ton. Od czasu do czasu przeżywa też ktoś z samego miasta. Pamiętam, jak wróciła z delty Chua Dwie-Sięci, zakrwawiona, ale żywa. Nie zdarza się to jednak często.

Wszystko to może sugerować, że delta rzeki Shirvian to zbyt straszne miejsce, by budować tu miasto, ale w gruncie rzeczy o to właśnie chodziło. Zgodnie z przekazami pierwsi osadnicy w Dombângu – ludzie, którzy przedarli się tutaj przez trzciny wysokie jak domy – nie przybyli dla połowów ani dla zachodów słońca. Przybyli, by się schronić. Nękani przez Csestriimów pod koniec starożytnych wojen, uciekli między sitowie. Csestriimowie, z których niektórzy przeżyli nawet pięć tysięcy lat i więcej, ginęli, zapuszczając się za nimi. Czasem być może zabijały ich krokodyle, czasem *qirna* lub węże, a czasem ostre jak brzytwa trzciny, ale ci najpierwsi osadnicy opowiadali inną historię, tę o bogach wyglądających jak ludzie, ale szybszych i silniejszych, niezwykle pięknych. To oni, jak głosi legenda, zabijali Csestriimów, i to im ci pierwsi osadnicy, którzy przeżyli głęboko w zakolach delty, zaczęli składać ofiary. Przez tysiące lat coś najwyraźniej chroniło ludność Dombângu, osłaniało, w miarę jak osada rozrosła się w miasteczko, a miasteczko w miasto, coś, co obiecywało śmierć i przetrwanie zarazem.

A potem przyszli Annuryjczycy.

Gdy nastąpił cesarski najazd, imperium dokonało go z typowym dla siebie połączeniem olśniewającej wizji i nieustępliwej determinacji. Zamiast wynajdywać ukryte dojścia przez tysiące krętych kanałów delty, annuryjskie legie przybyły na północny brzeg, rozbiły obóz i zaczęły budować.

Milion drzew ścięto, by zbudować groblę, a niektóre zwożono z odległości setek mil. Dziesięć tysięcy żołnierzy przypłaciło to życiem – niektórych zabrały choroby, innych zabiły krokodyle i węże, inni zostali pożarci przez ławice *qirna*, a jeszcze inni po prostu... zniknęli, zabłądziwszy w labiryncie trzciny i sitowia. Nie na próżno mieszkańcy Dombângu wierzyli, że bogowie delty ochronią ich raz jeszcze. A jednak, ku ich zgrozie, Annuryjczycy pogodzili się ze stratami i po prostu kontynuowali budowę. Kiedy annuryjski dowódca dowiedział się, że grobla będzie największą budowlą na świecie, wrzucił ramionami i stwierdził: „To jeszcze jeden powód, dla którego świat nie robi na mnie szczególnego wrażenia”.

W końcu jednak bogowie przegrali.

Kiedy wszystkie ciała zostały już spalone lub spłynęły z wodą, kiedy stare wierzenia Dombângu zostały w końcu obalone, a prastare zwyczaje niemal całkowicie wykorzenione przez najeźdźców, grobla, czterdziestomilowej długości konstrukcja prowadząca do serca miasta, pozostała. Wozacy i poganiacze mułów zastąpili żołnierzy na tym ogromnym drewnianym moście. Narzędzie wojny stało się jeszcze jednym elementem infrastruktury. Most, wzniesiony piętnaście stóp nad wodą i rosnącym w niej sitowiem, oferował konnym i pieszym podróżnym jedyne bezpieczne przejście przez śmiertelne grzęzawisko.

Bezpieczne, dopóki się nie zawaliło.

Inaczej niż większość ludzi uwięzionych na upadającym prześle, odczekałam, aż pochyliło się do połowy, po czym długim susem odskoczyłam jak najdalej od poręczy, padających w dół ludzi i rozpaczliwie wierzgających zwierząt. Gdyby grunt był solidny,

wylądowałabym dobrze i pewnie. Stało się jednak tak, że obiema nogami ugrzęzłam w mule powyżej kolan. Spróbowałam się uwolnić. Na próżno. Wzdłuż kręgosłupa przemknęło uczucie paniki, jak u wszystkich uwięzionych stworzeń. Powietrze wypełniały krzyki połamanych ludzi i ryki zapadających się w muł pociągowych zwierząt. Ci, którym nic się nie stało, próbowali pomóc lub oddalić się stamtąd, torując sobie drogę przez lepkie bagnisko ku tym, których kochali, lub ku bezpieczeństwu.

Zmusiłam się, by spojrzeć, jak jeden z mężczyzn, zatopiony po biodra w mule, rzucał się i miotał, aż w końcu uległ i zapadł się, jakby był zrobiony z papieru.

Nie bądź taka jak on, powiedziałam sobie w duchu. Jeśli to już dzisiaj masz spotkać swego boga, zrób to z gracją.

Ta myśl mnie otrzeźwiła. Choć zrazu poczułam ukłucie dzieciennego strachu, to przecież nie byłam już dzieckiem. Śmierć nie kłuje.

Skupiłam się ponownie na swoim położeniu. Tym razem sprawdziłam powoli i z uwagą każdą nogę. Wbiły się mocno, ale stwierdziłam, że mogę lekko poruszać nimi wewnątrz moich skórzanych spodni. Poluzowałam pas i zdołałam wykręcić się z nich o kolejne parę cali, aż rękojeści noży przywiązane do ud zaczepiły o materiał.

Za mną, w chórze wrzasków, zabrzmiał nowy ton. Spojrzałam przez ramię i zauważyłam dobre pół tuzina krokodyli płynących cicho kanałem. Nad powierzchnię wody wystawały tylko ich grzbiety i oczy. Ujrzałam, jak jeden z nich się zanurzył, a chwilę potem kobieta, która wcześniej w panice wzburzyła wokół siebie wodę, wydała ostatni zduszony krzyk i zniknęła mi z oczu.

Powoli, powiedziałam do siebie, wsuwając dłoń do wnętrza spodni. Wyciągnęłam kolejno wszystkie noże i ułożyłam je przed sobą w błocie. *Powoli*.

Wyjąwszy noże, mogłam znowu się poruszyć. Pochyliłam się do przodu, zanurzyłam palce w lepki muł i wydobyłam się powoli ze spodni, uwalniając się jak wąż zrzucający zeszłoroczną skórę.

Uwolnienie nie oznaczało rzecz jasna, że byłam już bezpieczna.

Załamany fragment grobli zrzucił do wody około setki ludzi, kiedy się zapadł. Przynajmniej połowa z nich uwięzła i miotała się, krwawiąc, wrzeszcząc i prawdę powiedziawszy, robiąc wszystko, aby przyciągnąć do siebie najgroźniejsze drapieżniki delty. Gdybym była sama, mogłabym powoli czołgać się w mule ku bezpieczeństwu. Ale z krążącymi wokół krokodylami i węzami, które badały powietrze, wystawiając rozdwojone języki, nie było czasu na czołganie. Oddalona o kilkanaście stóp brudna woda kanału była już rudobrunatna od krwi.

Droga ucieczki była oczywista. Most przewrócił się na bok, pale sterczały jak połamane nogi, zachodnia balustrada zatona w błocie i zbitym sitowiu, a wschodnia nagle ułożyła się poziomo, tworząc jakby rodzaj rusztowania pomostu pozbawionego desek. Wylądowałam dobre piętnaście stóp od szczątków konstrukcji, ale gdybym zdołała wrócić i wdrapać się na tę balustradę, to mogłabym dojść po niej aż do miejsca, w którym przeszło oderwało się od reszty grobli. Drewno pękło tam i połamało się w kilkunastu miejscach, a resztki chlapały w błocie lub próbowały spłynąć krętym kanałem.

Gdy przebiegłam spojrzeniem po leżącej balustradzie, szukając najlepszego miejsca, aby się na nią wspiąć, zobaczyłam, że moi Świadkowie już tam są. Kossal stał na balustradzie z założonymi

na piersiach ramionami, a Ela siedziała okrakiem na belce z otwartym parasolem na ramieniu, chroniąc twarz przed słońcem, i machając w powietrzu obutymi w sandały stopami. Starszy kapłan wskazał mnie palcem, Ela zmrużyła oczy, po czym uśmiechnęła się i pomachała mi ręką. Sprawiali wrażenie, jakby byli na pikniku lub jakimś plenerowym koncercie, a przeraźliwe krzyki wokół były tylko kakofonią strojonych przez muzyków instrumentów.

Ela machała do mnie radośnie. Ledwo słyszałam jej głos dobiegający do mnie przez hałas:

– Co tam *robisz*, Pyrre? Chodźże tu wreszcie!

Zebrałam swoje noże i powkładałam je z powrotem do pochew na nagich udach. Moja bielizna pozostała jakimś cudem na miejscu, kiedy zsunęłam spodnie, ale nie oferowała żadnej ochrony przed węzami czy krokodylami. Najlepiej było wydostać się z mułu jak najprędzej, co oznaczało konieczność przepchnięcia się przez kłębowisko mężczyzn i kobiet unieruchomionych pomiędzy mną a groblą.

Dwa krokodyle zaatakowały ich od południa. Jedna z kobiet – szczupła jak trzcina, ale silna – wymachiwała długą na cztery stopy ułamaną żerdzią, oganiając się przed bestiami, podczas gdy dwaj mężczyźni usiłowali wyciągnąć z błota czwartą towarzyszkę. Przez chwilę walczącej kobiecie udawało się utrzymywać krokodyle na dystans. Oczywiście było jednak, że nie potrwa to długo. Już mniejszy z krokodyli zaczął zachodzić ją z boku. Co gorsza, kobieta stała po kolana w mętnej, zakrwawionej wodzie, zapominając o innych niebezpieczeństwach delty.

Okrążyłam ją, kierując się w stronę leżącego poziomo fragmentu

grobli, omijając szerokim łukiem całą grupę. Nie chciałam dać się wciągnąć w ich szamotaninę. Kiedy jednak zbliżyłam się do zwalonego przęsła, nagle zdałam sobie sprawę, jak wysoko nad mułem wisi zwalona balustrada. Drewniana grobla miała taką szerokość, że mogły się na niej minąć dwa wozy, co oznaczało, że przewrócona na bok, nawet częściowo pogrążona w mule, była dwa razy wyższa ode mnie.

Krzyki z zachodniej strony przybrały na sile. Spojrzałam tam. Dwaj mężczyźni brnęli przez wodę, próbując, tak jak ja, dotrzeć do zwalonej konstrukcji. Tuż za nimi trzeci mężczyzna opadł na kolana. Z jego ust wydobywało się przeraźliwe wycie. Wokół niego coś się kłębiło, zmieniając wodę w czerwonorudą pianę.

– *Qirna* – krzyknął ktoś, jakby to obwieszczenie mogło w czymś pomóc.

Pierwsza ofiara wyciągała bezradnie ręce w stronę towarzyszy, którzy uciekali, nie tracąc czasu na oglądanie się, po czym zapadła się w gotujące się piekło, a jej wrzaski zginęły w ogólnym chóralnym krzyku. Chwilę później potknął się następny mężczyzna, potem kolejny, zostali pożarci, zanim zdolali dotrzeć do granicy mułu.

Szczęśliwie dla siebie nie musiałam przekraczać kanału, żeby dotrzeć do grobli. Oczywiście wciąż miałam do pokonania drewnianą ścianę. Kilka kroków poniżej widać było kilka wystających z rumowiska ostrych, złamanych desek oferujących niezbyt pewne uchwyty dla rąk i oparcie dla nóg. Pechowo złożyło się jednak tak, że były one bezpośrednio za walczącą z krokodylami kobietą.

– Pyrre! – dobiegł z góry okrzyk Eli, uśmiechającej się do mnie

spod cienistego kręgu parasola. – Idziesz na górę czy nie?

– Mogłabyś rzucić mi linę.

Wybuchła śmiechem, jakbym powiedziała przedni dowcip.

– Nie mam liny. A poza tym jaka by była z tego radość?

– Zdajesz sobie sprawę – wtrącił cierpko Kossal – że mamy dziś do przejścia jeszcze piętnaście mil. Moglibyśmy oszczędzić sobie tego zamieszania, gdybyś pozostała na grobli.

Rzucił to szyderstwo, jakby pozostanie na grobli było oczywistym wyborem.

– Możecie ruszać beze mnie – odparłam. – Dogonię was.

Ela pokręciła głową.

– Nie słuchaj go. Z przyjemnością zaczekamy. Mamy piękny poranek.

Biedni głupcy krok ode mnie raczej nie podzielali tej opinii. Próbując wyciągnąć z mułu swoją towarzyszkę, sami zapadli się głębiej. Jeden z mężczyzn – długowłosa, o wąskich biodrach i mocnej szczęce – pochwycił moje spojrzenie, ciągnąc dziewczynę za nadgarstek.

– Proszę – wysapał. – Pomóż nam.

Podniósł się na kolana i zaraz zapadł się głębiej. Za jego plecami kobieta z żerdzią zaczęła przegrywać walkę. Pomimo gwałtowności jej ataków krokodyle odcinały jej drogę do towarzyszy, kłapiąc zębami na żerdź, gdy tylko była bliżej. Kobieta zaczynała słabnąć. Dotrwała do tej chwili tylko dzięki desperacji.

– Pyrre – zawołała z góry Ela. – To już dzieło boga.

Oślupiała patrzyłam przez moment na czworo ludzi walczących o życie.

– Nie – odpowiedziałam po chwili, potrząsając głową. – Jeszcze

nie.

To, co zrobiłam potem, mogło wydawać się bardzo dziwną decyzją jak na służkę Ananshaela. Tak po prawdzie to nie zwracałam uwagi na nasilenie jego obecności w otoczeniu. Ananshael jest wszędzie i zawsze. Nie mam też nic przeciwko krokodylom, które jawiły mi się jako wspaniałe zwierzęta, nad wyraz sprawnie niosące przekaz mego boga. Niepokoił mnie tylko czas, jaki upływał; nie sama walka, ale jej bezsens. Kiedy któraś z naszych kapłanek odbiera życie, czyni to prędko i czysto. Jeśli ci ludzie mieli umrzeć, to chciałam, żeby po prostu umarli. Jeśli mieli walczyć, to chciałam, żeby walczyli. Zamiast tego tkwili w paskudnym miejscu, na beznadziejnym terenie, który nie należał do Ananshaela, ale do strachu i bólu. Aż za dobrze pamiętałam ból i strach z własnego dzieciństwa. Zwróciłam się ku memu bogu przede wszystkim po to, aby od nich uciec.

– Połóż się – powiedziałam, wskazując gestem błoto przed uwięzioną w mule kobietą.

Mężczyzna spojrzał na mnie ze zdumieniem.

– Kładź się – powtórzyłam. – Zapadasz się, bo masz małe stopy. Twoje ciało jest duże. Połóż się i pozwól jej wyjść po tobie.

Chwilę trwało, nim zrozumiał, wreszcie kiwnął głową, wyciągnął nogi z mułu z głośnym młaśnięciem, po czym rzucił się przed nią w błoto. Drugi mężczyzna też się uwolnił, usiadł na plecach swego towarzysza i korzystając z tej prowizorycznej platformy zaczął zmuszać, cal po calu, wyciągać z mułu unieruchomioną kobietę.

Za nimi kobieta z żerdzią zamachnęła się i silnym ciosem rąbnęła jednego z krokodyli w nos, zmuszając go do rejterady. Drugi krokodyl, poczuwszy, że walka przybiera inny obrót, cofnął się

kilka stóp i zanurzył w wodzie.

– Wyciągnąłeś ją? – krzyknęła, nie odwracając się. – Wyciągnąłeś ją, do cholery?

– Prawie – wysapał mężczyzna leżący w mule. – Wszystko dobrze, Bin?

Kobieta z żerdzią, najwyraźniej nosząca imię Bin, zgięta wpół, oparłszy ręce na kolanach, dyszała ciężko. Przez chwilę nie mogła odpowiedzieć.

– *Bin!* – ryknął mężczyzna, a w jego głosie zabrzmiała nagła panika. – Wszystko w porządku?

Z pozycji, w której leżał, z twarzą w błocie, nie mógł jej zobaczyć.

– Ma się dobrze – powiedziałam. – Odgoniła je.

– Nareszcie! – wrzasnął drugi mężczyzna i klapnął siedzeniem w muł, gdy nagle udało mu się wyciągnąć kobietę. – Jest wolna, Bin. Jest *wolna*. Chodźmy.

– Tędy. – Wskazałam gestem groblę.

Patrzyli w osłupieniu, każde z osobna zagubione w labiryncie własnej paniki. Nie było czasu na tłumaczenia.

– Idźcie za mną – poleciłam i odwróciłam się w stronę zwałonej grobli, po czym zaczęłam się wspinać.

Moje stopy i ręce były śliskie od mułu. Nawet najpewniejszy uchwyt mógł okazać się zdradziecki. Były takie miejsca, o które zaczepiałam jedynie czubkami palców. Dwa razy deska, którą chwyciłam, złamała się z okropnym trzaskiem, lecz za każdym razem udało mi się jakoś utrzymać. Kiedy spojrzałam w dół, zobaczyłam, że kobieta, która uwięzła w mule, podąża za mną z oczyma jak spodki i z napiętymi ścięgnami szyi i pleców. Nie wydawało mi się, by kiedykolwiek wspinała się po czymś innym niż

drabina, ale strach dodawał jej sił, a każda deska, którą odłamałam, dawała pewniejszy uchwyt tym, którzy wspinali się za mną.

– Już blisko – zawołałam w dół.

Spojrzała mi w oczy, kiwnęła głową i wspinała się dalej.

Niemal nam się udało. Choć może nie jest to właściwy zaimek.

Mnie się udało, podobnie jak kobiecie, która szła za mną, i mężczyźnie podążającym za nią. Podczas gdy oni się wspinali, pozostałych dwoje – mężczyzna, który rzucił się w błoto i Bin – powstrzymywało krokodyle, oganiając się od nich żerdziami, gdy podchodziły bliżej. Nie zdołaliby bronić się w nieskończoność, ale przecież nie było to konieczne. Potrzebowali tylko tyle czasu, by weszli na górę ich towarzysze. Po nich zaczęła się wspinać kobieta, a ostatni mężczyzna pozostał z dwiema żerdziami w rękach. Bestie cofnęły się o kilka stóp. Mężczyzna rzucił im żerdzie w pyski i sam zaczął wspinaczkę.

Patrzyłam na to z góry, dysząc jeszcze ciężko po wysiłku.

– No dobrze – powiedziała Ela, obejmując mnie ramieniem. – Jak na służkę Ananshaela podjęłaś dzisiaj kilka dziwnych decyzji.

Potrząsnęłam tylko głową, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

Pod nami krokodyle szczyrzyły zęby i burzyły wodę ogonami.

– Dalej, Vo – ryknął mężczyzna stojący obok mnie, wyciągając rękę między palikami balustrady do swoich towarzyszy. – Bin, już prawie weszłaś, wspinaj się dalej!

Była blisko, tak blisko, że wystarczyło jej wyciągnąć rękę, by złapać dłoń mężczyzny. W tejże chwili deska, którą trzymała drugą ręką, ułamała się. Przez chwilę kobieta sprawiała takie wrażenie, jakby trzymała się jakiejś niewidzialnej liny, potem runęła w tył,

a jej krzyk podążył w ślad za nią. Wylądowała źle. Jedną nogą, w dodatku nienaturalnie wykrzywioną, uwięzła w mule. Krokodyle odwróciły się zgodnym ruchem, jakby zaprojektowanym choreograficznie.

– Zrób miejsce – mruknęła Ela – dla milionopalcego boga.

Drugi wspinający się, Vo, obrócił głowę. Dostrzegłam, jak przez jego twarz przemknął wyraz przerażenia.

– Wstań, Bin! – zaczął błagać. – Wstań!

A potem, gdy stało się jasne, że Bin nie wstanie, skoczył.

– Niezbyt trafnie jej radził. – Ela westchnęła.

Kossal chrząknął.

– Nie dotrzemy szybciej do Dombângu, oglądając ten nonsens.

– Odkąd to dzieło naszego boga jest nonsensowne? – zapytała Ela.

– Dzieło naszego pana dokonuje się wszędzie – odrzekł Kossal. – I przez cały czas. Zamierzasz zatrzymywać się za każdym razem, gdy jakiś owad postanowi zdechnąć w locie? Gdy zobaczysz kilka ryb złapanych w sieć?

– To jest bardziej interesujące od ryb – odparła Ela, ruchem głowy wskazując scenę w dole.

Kossal też spojrział i pokręcił głową.

– Nieszczególnie.

Ela szturchnęła go łokciem w zebra.

– Nie bądź nudny. To przynajmniej jest pouczające.

– Nie potrzebuję instrukcji, jak umrzeć w szczękach przerośniętej jaszczurki.

– Nie chodzi o ciebie, stary koźle, tylko o Pyrre. – Skinęła w stronę mężczyzny o długich włosach, który właśnie wylądował

w głębokim zdradzieckim mule. – To właśnie – dodała z pełnym zadowolenia uśmiechem – jest miłość.

– Głupota – burknął Kossal.

Ela wzruszyła ramionami.

– Często jedno od drugiego dzieli bardzo cienka granica.

Jeśli nawet granica była cienka, to przez długie wieki malarzom i rzeźbiarzom udawało się jakoś pozostawać po jednej jej stronie. Artystyczne wyobrażenia miłości skupiały się raczej na delikatnych motywach: pożądliwych ustach, zmiętej pościeli, wdzięcznej linii bioder. Na pewno mniej było w tym wszystkim krokodyli. I dużo mniej wrzasku.

– Czy walczyłybyś z krokodylem – nalegała Ela, ponownie szturchając łokciem Kossala – żeby mnie uratować?

– Jesteś kapłanką Ananshaela – zauważył cierpko Kossal. – Kiedy pojawia się bestia, spodziewam się, że stawisz jej czoło.

– Na niego to najwyraźniej nie działa – zauważyła Ela.

Vo również kiepsko wylądował. Choć wyglądało na to, że nie zrobił sobie większej krzywdy, to dwie żerdzie, służące do odpędzania krokodyli, zniknęły gdzieś w mule. Najbliższy krokodyl ruszył na ranną kobietę. Nie mając broni, mężczyzna z krzykiem rzucił się na zwierzę. Wylądował na jego grzbiecie, jakimś cudem uniknąwszy potężnych, kłapiących szczęk. Krokodyl zaczął się miotać, mącąc błotnistą wodę ogonem, podczas gdy Vo trzymał się jego grzbietu, owinąwszy szyję zwierza ramionami i przycisnąwszy twarz do jego mokrej, błyszczącej skóry.

– Oni tak właśnie postępują w walce – powiedziałam. – Łapią od tyłu i przywierają do pleców. Jedną ręką owijają szyję, a drugą operują nożem.

– On nie ma noża – zauważyła Ela.

Bin wydobyła się jakoś z mułu i zdołała odpełznąć kilka stóp wzdłuż brzegu kanału, oddalając się nieco od rozszalałej furii miotającego się krokodyla, a także od samej grobli. Słyszałam obok siebie wrzask jej towarzyszy.

– Dam mu jeden – powiedziałam, wyciągając nóż z pochwy na udzie.

– To marnowanie dobrego noża – stwierdził Kossal.

– Mam jeszcze inne.

Nóż wylądował z wilgotnym mlaśnięciem w mule, ostrzem w dół, w zasięgu ręki zdesperowanego mężczyzny. Przejęty walką z krokodylem nie zauważył go. Popołudniowe słońce odbijało się od stali, ale powieki mężczyzny były zaciśnięte. Bin, zaślepiona strachem, poruszała się w wodzie po omacku. W istocie nikt nie zauważył, co zrobiłam. Oczy wszystkich skupione były na toczącej się w dole walce.

– Cofam to, co mówiłem – stwierdził Kossal.

Na twarzy Eli pojawił się szeroki uśmiech.

– To coś nowego! – Po chwili jednak zmrużyła oczy. – Ale co, tak po prawdzie, zamierzasz cofnąć?

Kossal zamachał do mężczyzny, gdy krokodyl rzucił się w wodzie i okręcił.

– To doskonała instrukcja z dziedziny miłości.

– Miłość była w rzuceniu się z grobli na ratunek kobiecie – wyjaśniła Ela cierpliwie.

– Miłość – sprostował Kossal – polega na rzuceniu się na zabójczą bestię, a potem uświadomieniu sobie, że chwyciwszy ją raz w objęcia, nie możesz już jej puścić. Albo umrzesz ty, albo ona.

Mówiąc to, nie patrzył na Elę, lecz ona ujęła go pod ramię i powiedziała:

– Z pewnością jestem nieco bardziej atrakcyjna i uprzejma od krokodyla.

– W minimalnym stopniu.

Stworzenie w dole zamarło na kilka uderzeń serca. Potem zanurzyło się pod powierzchnię, a w miejscu, gdzie zniknęło, woda wzburzyła się gwałtownie, jakby ktoś rozpałił pod spodem wielki ogień. Kilka stóp dalej Bin opadła na kolana, a jej krzyk zabrzmiał w zupełnie innej tonacji. Chwilę później w brunatnej, błotnistej wodzie rozlała się wokół niej czerwona plama.

Krokodyl uniósł się w górę, obrócił i strącił mężczyznę ze swego grzbietu na brzeg kanału. Biedak był wyczerpany, miał zakrwawioną głowę i ranę na ramieniu, podartą koszulę, lecz się nie poddawał.

– Już do ciebie idę! – krzyknął, machając ręką w stronę kobiety.
– Dojdź tylko do grobli, a wszystko będzie dobrze.

– Nie – odkrzyknęła ona. – Już mnie dopadły. *Dopadły mnie.*
Pokręciłam głową.

– Zakończę to.

Kossal przyjrzał mi się uważnie.

– Bestie z lądu i morza były sługami boga na długo przedtem, nim powstał nasz zakon.

– A poza tym to jest Próba – napomniała mnie Ela. – Trzeba przestrzegać pewnych reguł.

Zanim skończyła mówić, dwa moje noże były już w powietrzu. Jeden trafił kobietę prosto w pierś. Drugi zaś, nim wylądował w wodzie, przeciął gardło mężczyźnie.

Stary Kossal patrzył na mnie z surowym wyrazem twarzy.

– Ofiary składane podczas Próby opisane są w pieśni.

Wykraczanie poza pieśń oznacza porażkę.

Pokręciłam głową i zauważyłam:

– Ona powiedziała, że ją dopadły, więc była tym, kto ma rację.

On natomiast powiedział, że już do niej idzie, więc był tym, kto jej nie ma.

Kossal uniósł brew. Ela zaniósła się śmiechem.

– Spodziewam się, że to będzie rozkoszna podróż.

Patrząc w dół na krew i błoto, słysząc krzyki rozdzierające powietrze, słuchając tętniącego mi w uszach pulsu, przypominając sobie wszystkie dawne uczucia, o których, jak sądziłam, dawno już zapomniałam, wcale nie byłam tego taka pewna.

2

– Uważam, że cała ta heca miała swoją dobrą stronę – stwierdziła Ela, gdy przepychaliśmy się na południe przez panujący na grobli chaos.

Kossal skinął głową.

– Dziwne bywają ścieżki boga.

– Nie mówię o bogu, ty stary koźle – odparła Ela, po czym spojrzała na mnie porozumiewawczo. – Mówię o wyczuciu stylu u Pyrre.

– W takim razie mnie w to nie wciągaj – odpowiedział kapłan, nie zmieniając kroku pomimo tłoczących się wokół nas ludzi.

Niektórzy z szaleńczym uporem przedzierali się na miejsce katastrofy, co rusz wykrzykując imiona swoich ukochanych. Inni zaś pospiesznie się oddalali, aby jak najprędzej całkiem zejść z grobli. Kossal przenikał przez tłum, jakby był tam zupełnie sam. Prześlizgiwał się przez luki albo torował sobie drogę dobrze wymierzonymi uderzeniami w kolana lub zebra. Natknąwszy się na szczególnie irytujący ścisk, przerzucił jakiegoś typa przez balustradę, zignorował krzyk, jaki się podniósł, po czym prześliznął się przez uwolnione w ten sposób miejsce. Zniknęliśmy w tłumie, zanim ktokolwiek zrozumiał, co się stało.

– Nie bądź taki niepojętny – powiedziała Ela, mrużąc oczy. – Tak samo jak ja nie możesz się doczekać, aż Pyrre znajdzie tę swoją miłość.

– Tym, czego nie mogę się doczekać – odparł Kossal, przewracając jakąś wrzeszczącą kobietę szybkim ciosem drewnianego fletu i przechodząc nad jej ciałem – jest spokojny pokój i mocny trunek. Panika przyprawia mnie o ból głowy.

Ela pokręciła głową i odwróciła się ku mnie.

– Jest beznadziejny – stwierdziła. – Nie rozpoznałby romansu, nawet gdyby wetknął mu gorący palec w tyłek. Ale ty możesz mi wierzyć, kiedy mówię ci, że *to* – tu pociągłym gestem wskazała całą długość mego ciała, jakby chciała zaprezentować mnie tłumowi – jest znacznie lepsze od tych workowatych portek, które miałaś na sobie przedtem.

– A teraz nie mam spodni i jestem pokryta mułem.

Najwyraźniej nikt jednak nie zwracał na to uwagi. Pół mili za nami setki ludzi umierały w delcie. Umierały lub już umarły. Jakiegoś innego dnia widok wysmarowanej błotem kobiety kroczącej groblą w samych majtkach, z nożami przypasanymi do ud i ramion, kazałby ludziom się zatrzymać i gapić. Dzisiaj w najlepszym razie byłam widokiem drugoplanowym, jedną z mniej interesujących ofiar katastrofy.

– Przedkładam ubłocone i bez portek nad przemoczone i w portkach – oznajmiła Ela. – Przedtem nikt dwa razy na ciebie nie spojrział.

– Myślałam, że nie powinniśmy rzucać się w oczy.

Ela cmoknęła głośno.

– Za dużo słuchałaś Kossala. To, że jest stary, nie oznacza, że wszystko wie.

Trzej mężczyźni w kolczugach i zielonych kaftanach, klnąc donośnie na tłum, przepychali się obok nas na północ, do miejsca,

gdzie zawałała się grobla. Wszyscy mieli miecze, ale póki co trzymali je w pochwach u pasa. Drogę w tłumie torowali sobie ciężkimi pałkami.

– Zielone Koszule – mruknęłam. – Przychodzą za późno, jak zwykle.

Ela zmrużyła oczy.

– Straż miejska?

Potaknęłam.

– Od razu pomyślałam, że te uniformy wyglądają mi znajomo – powiedziała. – Ostatnim razem, kiedy tu byłam, oddałam dwóch takich bogu.

Za przednią strażą ciągnął kolejny tuzin żołnierzy, pocąc się i klnąc w południowym upale. Oddziały Zielonych Koszul obsadzały strażnice rozstawione co dziesięć mil wzdłuż grobli, a każdy oddział patrolował swój odcinek. Nie była to imponująca formacja; została mocno zredukowana po annuryjskiej inwazji sprzed dwustu lat, ale mimo wszystko sam ich widok przyprawiał mnie o skurcz żołądka. Mówimy dzieciom, że pewnego dnia ze wszystkiego wyrosną i staną się dorosłe, ale nie jest to do końca prawdą. Dziecko nigdy nie wyrasta ze wszystkiego. Dziewczynka o umorusanej twarzą, jaką byłam, która łowiła ryby w stojącej wodzie kanałów Dombângu, kuliła się na widok tych mężczyzn. Mężczyzn, których teraz potrafiłabym zabić na sto rozmaitych sposobów. Przyłapałam się na tym, że gdy przechodzili, przyspieszyłam kroku, odwróciłam oczy i poczułam się bardzo skrępowana w moim niekompletnym stroju, niemal naga.

– Może powinnam z nimi trochę pogadać – rozmarzyła się Ela. – Nie chcę być nadto krytyczna, ale ktoś jednak powinien od czasu do

czasu patrolować tę groblę. Upewniać się, że nie zawali się znowu.

– Oni patrolują – powiedziałam. – Jest cały oddział Zielonych Koszul mający sprawdzać pale.

Kossal zerknął z zainteresowaniem.

– Nie są w tym zbyt dobrzy.

– Nie mają dość ludzi, żeby patrolować całą długość grobli.

– Ilu ludzi potrzeba, żeby stwierdzić, że drewno butwieje?

Pokręciłam głową.

– Tu nie chodzi o butwienie. To sabotaż.

Ela uniosła brwi ze zdziwieniem.

– Sabotaż? Wspaniale! Jakoś nie umiałam się podniecić butwieniem.

– A jak ci się podoba nawoływanie do buntu?

Wzruszyła ramionami.

– To już bardziej interesujące.

– Wciąż o tym myślą? – zapytał Kossal, marszcząc brwi. – Kiedy Annur podbił miasto? Ze dwieście lat temu?

– Trochę więcej.

– Wydaje się, że lokalni fanatycy mieli dość czasu, aby pojąć, że przegrali.

Spojrzałam uważnie na starego kapłana.

– A ile lat ty byś potrzebował?

– Na co?

– Żeby zapomnieć o swoim bogu?

Spojrzał mi w oczy.

– Zapomnę Ananshaela, kiedy ludzie przestaną umierać.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, z tłumu za nami dobiegł przez hałas okrzyk. Udało nam się w końcu wyrwać z największego tłoku,

a gdy spojrzałam przez ramię, zobaczyłam, że sześć Zielonych Koszul zawróciło, a ich spocone twarze były groźne i ponure. Z uwagą przypatrywali się tłumowi. Schowali pałki, a wyciągnęli miecze, co nie zapowiadało spokojnego rozwoju wydarzeń. Krok przed nimi, wskazując palcami prosto na mnie, szli mężczyzna z kobietą, ci sami, którym pomogłam wyleźć z bagna na zawaaloną groblę, przyjaciele Bin i Vo.

– To ona! – wrzasnęli unisono. Jakimś dziwnym trafem ich głosy różniły się idealnie o jedną oktawę. Mężczyzna ruszył biegiem. – To ona jest tą morderczynią!

– *Morderczyni*. – Ela pokręciła głową. – Co za okropne słowo.

Kossal prychnął z irytacją.

– Trzeba było rzucić ich krokodylom razem z tamtymi.

– Nie sądziłam, że coś zauważą – odparłam, czując nagły skurcz żołądka.

Zabrzmiało to trochę śmiesznie, gdy ubrałam swoją myśl w słowa, ale rzeczywiście żadne z nich nie patrzyło w moją stronę, gdy rzucałam nożami. Byli spanikowani, krzyczeli. Scena w dole była wirem krwi, błota i przemocy. Otwarta paszcza krokodyla znacznie bardziej rzuca się w oczy niż stercząca dyskretnie z piersi rękojeść noża, a żadne z dwojga uratowanych nie miało powodu, by patrzeć na mnie w chwili, gdy umierali ich przyjaciele. Wydawali się bez reszty ogarnięci przerażeniem, nie mogąc uwierzyć w to, co się działo.

Kossal, Ela i ja pozostawiliśmy ich w tym stanie. Udało nam się przejść balustradą przez całą długość zwałonego przęsła, przeskakując przez dziury i wolne przestrzenie, balansując ostrożnie tam, gdzie pozostała tylko jedna belka poręczy,

i pamiętając, że jeden nieostrożny krok może oznaczać upadek z powrotem w muł i sitowie, gdzie ludzie wciąż walczyli o życie. Walczyli i w większości przegrywali. Kiedy dotarliśmy do miejsca, w którym nasze przęsło oderwało się od reszty, ujrzelśmy setki ludzi zgromadzonych ponad nami na ostrym, połamanym końcu grobli. Większość tylko krzyczała i gestykulowała bezsensownie, a tylko kilkoro pomyślało o tym, by spuścić nam linę. Kossal pierwszy wylazł na górę, potem ja, a na końcu Ela ze złożonym parasolem dyndającym wesoło na pasku przy plecaku. Nie było ani śladu mężczyzny i kobiety, których zostawiliśmy przy zwałonym przęśle grobli.

Teraz najwyraźniej nas dogonili.

Twarz mężczyzny wykrzywiona była wściekłością, ale coś w naszym wyglądzie kazało mu zamilknąć i cofnąć się między Zielone Koszule, które pojawiły się za nim. Nie sądziłam, że podziałyśmy aż tak onieśmielająco. Miałam na sobie mnóstwo noży, to fakt, ale w sumie wyglądałam tak, jakbym uciekła z jakiegoś burdelu, wybierając drogę przez wygodkę. Ela kręciła złożonym parasolem na jednym palcu, a Kossal krzywił się, uderzając fletem o wnętrze dłoni.

– Bóg jest dzisiaj złakniony – mruknął.

Pokręciłam głową i otarłam spocone dłonie o wybrudzoną koszulę.

– Nie możemy ich zabić.

– Sześciu strażników i dwójka zszokowanych idiotów? – zapytał kapłan, unosząc krzaczaste brwi. – Sama Ela by sobie z nimi poradziła.

– A co byś powiedział na sześciu strażników, dwójkę

zszokowanych idiotów i jednego starego, zużytego kapłana? – rzuciła Ela i szturchnęła go w bok końcem parasola.

Sparował cios jak zwykle, nie spuszczać oczu ze strażników, którzy znajdowali się teraz w odległości dwudziestu kroków od nas i zbliżali się znacznie ostrożniej. Ich dowódca, niski, krępy mężczyzna, przyglądał się nam nieufnie. Jego dłoń spoczywała na rękojeści miecza.

– Właśnie zaczęłam moją Próbę – przypomniałam. – Nie mogę zabić nikogo, kto nie został opisany w pieśni.

– Miałaś pracowity poranek – odparł Kossal. – My się tym zajmujemy.

– Na tym moście są setki ludzi – syknęłam – którzy właśnie nas obserwują. Jeżeli oddasz ich bogu, Zielone Koszule będą nas ścigać przez cały czas, jaki spędzimy w Dombângu. Będziemy musieli nieustannie kryć się po strychach.

Kossal wzruszył ramionami.

– Na strychach jest spokojnie.

– Nie – odrzekłam, energicznie potrząsając głową. – Ja *potrzebuję* Zielonych Koszul.

Odkąd wyruszyliśmy z Rassamburu, spędziłam już z Elą i Kossalem dobrze ponad miesiąc. Rozmawialiśmy o wszystkim, od jeżynowego dzemu po garoty, ale unikałam omawiania mego planu na Dombâng i na Próbę. Częściowo dlatego, że wciąż obmyślałam szczegóły. Co jednak ważniejsze, bałam się wypowiadać to głośno w obawie, że przełożenie na język mówiony wszystko zniszczy, a moje nadzieje, unoszące się jak meduza w głębinach mego umysłu, zwiędną i oklapną w zetknięciu z powietrzem, gdy wyciągnę je na wierzch. Oznaczało to także, że nigdy nie

wspomniałam im o tym, że Zielone Koszule były istotną częścią mego planu.

Kossal uniósł brew pytająco, ale nie było już czasu na wyjaśnienia. Na szczęście Ela przyszła mi z pomocą.

– Żadnych strychów – powiedziała, kręcąc głową. – Jestem tu po to, żeby cieszyć się winem i tańcem.

– Masz okazję rozpocząć taniec – odparł Kossal, gestem wskazując nadchodzących mężczyzn.

– Po prostu pozwólcie mi to załatwić – poprosiłam, okazując więcej wiary w siebie, niż w istocie czułam.

Było to bardzo dziwne, wręcz niepokojące uczucie, kiedy nie mogłam polegać na moich nożach. Odkąd, będąc jeszcze dzieckiem, opuściłam Dombâng, szłam przez świat, wierząc, że mój bóg zawsze jest przy mnie, milczący i niewidzialny, lecz nieskończenie cierpliwy, zawsze unoszący się gdzieś nad moim ramieniem, gotów unicestwić każdego, kogo wskażę czubkami moich noży. Dokonana dziś na grobli rzeź wykazała, że nie zniknął i wciąż jest z nami, wykonując swoją nieodgadnioną pracę, lecz nagle, z powodu ograniczeń wynikających z Próby, nie może przyjąć mi z pomocą. Pomimo otaczających nas tłumów, pomimo obecności Kossala i Eli poczułam się osamotniona.

Gdy ruszyłam groblą ku Zielonym Koszulom, starałam się emanować wdziękiem i nonszalancją Eli. Nie przychodziło mi to łatwo. Odkąd tylko sięgałam pamięcią, pokładałam ufność w walce, w dotyku rękojeści noży i w poczuciu własnego mistrzostwa. Bez noży czułam się kulawo i niepewnie. Nie pomagało, że zamiast jedwabnego *ki-panu* miałam na sobie parę zabłoconych gatek i podartą koszulę.

Jesteś ofiarą, powiedziałam sobie, jak wszyscy pozostali. Jesteś przerażona i zagubiona.

Wydawało mi się, że tę rolę też pozostawiłam za sobą, opuszczając Dombâng. Nie uśmiechało mi się powracać do niej raz jeszcze.

– Stój – polecił dowódca Zielonych Koszul, grożąc mi uniesionym mieczem, gdy byłam dwa kroki od niego. – Ani kroku dalej.

Udając, że nie zwracam na niego uwagi, zwróciłam się ku moim oskarżycielom i otwierając szeroko ramiona, postąpiłam ku nim.

– *Przeżyliście!*

Ubłocony mężczyzna gotów był walczyć albo rzucić się za mną w pogoń, nie miał pojęcia, co począć z moim nieoczekiwanym uściskiem.

– Dzięki, Intarro! – wykrzyknęłam, tuląc twarz do jego ramienia. Czułam na sobie jego ręce, gdy próbował mnie odepchnąć, podczas gdy ja go do siebie przyciągałam. – Przeżyliście – mruknęłam ponownie, ku swemu zaskoczeniu czując łzy napływające mi do oczu.

– *Zostaw* mnie – powiedział z naciskiem, gdy wreszcie zdołał mnie od siebie odsunąć.

Zielone Koszule otoczyły nas ciasnym kordonem. Trzymali miecze w taki sposób, jakby nie byli pewni, czy zacząć nimi machać, czy wsunąć je z powrotem do pochew.

– Co tu, kurde, jest grane? – zapytał dowódca, podchodząc bliżej i opuszczając w końcu broń.

– To było straszne – powiedziałam, zwracając się do niego nieco wyższym głosem, aby zabrzmiał trochę jak pełen udręki, a trochę błagalnie. – *Straszne*. Próbowaliśmy walczyć, ale krokodyle były

wszędzie.

– Ona ich zabiła – oznajmił mężczyzna, przeszywając mnie spojrzeniem.

– Próbowałam – jęknęłam, odwracając się od niego. – Złapałam jedną bestię za szczęki. Wbiłam mu w grzbiet dwa noże, ale wszystko na nic...

– Nie jemu wbiłaś – rzucił gwałtownie. – Tylko Bin i Vo! Zabiłaś ich, do cholery.

Przybrałam zaszokowany wyraz twarzy.

– Co? Dlaczego...

– O co chodzi z tymi nożami? – zapytał dowódca, nieufnie przypatrując się przypasanym do mego ciała ostrzom.

– Jesteśmy wędrownymi kuglarzami – wtrąciła przytomnie Ela, kładąc łagodnie dłoń na przegubie strażnika.

Zauważyłam, że miała na rękach irchowe rękawiczki, choć w pierwszej chwili nie zrozumiałam, po co je włożyła.

Żołnierz szarpnął się w tył i Ela odstąpiła od niego, okazując smutek i rozczarowanie, po czym zwróciła się do następnego mężczyzny:

– Szliśmy kilka kroków za tą dwójką, kiedy grobla się zawaliła. – Zadrżała na całym ciele, co wyglądało całkiem prawdziwie, zaczęła mdleć i osunęła się w ramiona drugiego żołnierza, który złapał ją niezgrabnie, upuszczając przy okazji miecz. Inny żołnierz pospieszył mu na pomoc.

Spojrzałam wzdłuż grobli i zobaczyłam kilkanaście kroków dalej siedzącego na balustradzie Kossala, który wyglądał na trochę znudzonego, a trochę zirytowanego.

Zwróciłam się ponownie do dowódcy Zielonych Koszul.

– Oni nas uratowali – powiedziałam. – To znaczy tych dwoje, którzy zginęli. Ta kobieta, która chyba miała na imię Bin, odganiała krokodyle jakąś tyką. Uratowali nas...

– To dlaczego ich zabiłaś? – załkała towarzyszka mężczyzny. Wyglądała jeszcze gorzej ode mnie, a jej lice ubranie było przemoczone i podarte. Po połowie jej twarzy spływała krew, znacząc ślady na brudnej skórze pokrytej schnącym błotem.

Pokręciłam głową i rozłożyłam ręce.

– Nie wiem, dlaczego ciągle to powtarzasz.

Ela gestem pocieszenia otoczyła kobietę ramieniem.

– Czasem nie ma winnego – mruknęła, gładząc ją po włosach. – Czasem ludzie po prostu umierają. Sanni – wskazała na mnie – zrobiła wszystko, co się dało. Wszyscy zrobiliśmy.

Oślupiała kobieta patrzyła wzrokiem pustym jak niebo.

Mężczyzna postąpił ku mnie, ściągając usta.

– Wiem, co widziałem.

Zielona Koszula wodził spojrzeniem od niego do mnie.

– Co widziałeś?

– Rzuciła nożami! Zamordowała Bin i Vo.

Odwróciłam się i spojrzałam na żołnierza.

– Rzucałam nożami, ale nie w jego przyjaciół. Tkwiłam w mule, walczyłam o życie. Dlaczego miałabym zabijać kobietę, która pomagała odganiać krokodyle?

Zielona Koszula skrzywił się, najwyraźniej szukając wyjścia z tej sytuacji.

– Może nie trafiłaś? Może trafiłaś tamtych przez pomyłkę?

Potrząsnęłam głową.

– Niemożliwe. Nauczyłam się rzucać nożami, gdy miałam pięć

lat. Krokodyl był wielki jak statek i trzy kroki ode mnie. Nie spudłowałam.

Umazany błotem mężczyzna znowu oskarżycielsko wskazał na mnie palcem.

– Jesteś morderczynią.

Cały czas to powtarzał, jakby wszystkie inne myśli go opuściły.

Ela wkroczyła między nas i uspokajająco położyła dłoń na jego piersi. Odtrącił ją gwałtownie, ale ja zdążyłam już zrozumieć.

Zwróciłam się do Zielonej Koszuli:

– Popatrz. Tam jest piekło. Jeszcze nie wszyscy ludzie wydostali się z delty i potrzebują pomocy.

– Ona próbuje uciec – upierała się kobieta.

Potrząsnęłam głową.

– Zaczekamy tutaj. Zostawcie kogoś, żeby nas pilnował, ale na miłość Intarry, niech reszta rusza na północ. Ta tragedia jeszcze się nie zakończyła.

Żołnierz przyglądał mi się przez chwilę z zaciśniętymi szczękami, potem krótko skinął głową.

– Von, Thun, Quon. Zostańcie tu z nimi. Niech się nigdzie nie ruszają, dopóki nie wrócę. Jeżeli się ruszą, zabijcie ich. Kiedy wrócę, zabierzemy ich do Wraku Statku i tam wszystko wybadamy.

– A co takiego *my* zrobiliśmy? – krzyknął ubłocony mężczyzna. – To są cholerni zabójcy!

– Jeżeli tak – szczerknął Zielona Koszula – to gdy to się skończy, staną przed annuryjską sprawiedliwością.

Ela uniosła rękę w ugodowym geście.

– Ja z przyjemnością zaczekam. – Przysiadła na poręczy balustrady, nie zwracając uwagi na otchłań za plecami. – Kossalu –

przywołała go władczy gestem – podejdź tu, proszę. – Gdy stary kapłan stąpił ku nam groblą, zsunęła z dłoni rękawiczki i położyła je ostrożnie na poręczy. – Tyle śmierci – powiedziała, kręcąc z żalem głową. – Tyle bezsensownej śmierci.

†

Słońce jeszcze nie przesunęło się na niebie, gdy Thun zwałił się na ziemię. Żołnierz, który obserwował nas uważnie, nagle opuścił miecz, przyłożył dłoń do piersi, zadygotał i upadł. Von klęknął obok niego, potrząsnął nim zdziwiony, a gdy tamten się nie poruszył, odłożył miecz i próbował go cucić, podejmując coraz rozpaczliwsze zabiegi, po czym sam osunął się na deski, a jego rysy stężały w wyrazie zdziwienia. Pozostali umarli w ciągu stu uderzeń serca.

– W porządku – oznajmiła żywo Ela i zeszła z poręczy. – Myślę, że to załatwia sprawę.

– Itiriol? – zapytałam, przyglądając się zwłokom.

Uśmiechnęła się.

– A w Rassamburze wszyscy powtarzali, że znasz się tylko na nożach.

Przyjrzałam się rękawiczkom z cielej skóry.

– Ten proszek nie przesącza się przez irchę?

– W końcu tak. – Wzruszyła ramionami. – Dlatego lepiej się nie guzdrać.

Kossal wyprostował się, zirytowany.

– Były szybsze sposoby, żeby to zrobić.

– Ale nazbyt oczywiste – odparowała Ela. – Sposoby, które by zwracały uwagę. – Wskazała gestem na przechodzący groblą tłum.

Tylko nieliczni zerkali w naszą stronę, ale w tym miejscu na drewnianym moście było mnóstwo rannych i zakrwawionych, a także wyczerpanych i zrozpaczonych. Kilku ludzi leżących przy balustradzie nie przyciągało większej uwagi. – Tym sposobem jednak możemy zatrzymać się w miłej gospodzie – dodała – zamiast dusić się z nietoperzami na jakimś strychu. – Spojrzała na mnie z uznaniem, pogrzebała w plecaku, po czym rzuciła mi ciasno zwinięte *ki-pan*. – Chociaż doceniam ten styl, to jednak lepiej będzie, jeśli włożysz coś mniej rzucającego się w oczy, gdy wejdziemy do miasta.

†

Do Góry Szalonego Trenta dotarliśmy już po zmroku. Podobnie jak grobla, ta masywna drewniana platforma była spadkiem po annuryjskiej inwazji. Ćwierć mili od północno-zachodniego skraju Dombângu drewniana droga, która dotąd przez tyle mil biegła płasko i prosto jak strzeł, zaczynała piąć się stopniowo wzwyż, pale, na których się opierała, były coraz dłuższe, a ich konstrukcja coraz bardziej złożona. Nazwa tej gigantycznej budowli jest myląca: drewniane rusztowanie (w ciągu niezliczonych dziesięcioleci wiele razy naprawiane i sztukowane) nie jest wcale górą, a generał Trent nie był ani trochę szalony. Dwieście lat wcześniej annuryjskie trebusze bombardowały z tego sztucznego wzniesienia północną część miasta, obracając ją w płonące zgliszcza.

Dombâng wciąż płonął, lecz te płomienie już dawno zostały oswojone i ograniczone do dziesiątków tysięcy pieców, pochodni, latarni, a ogień kolejny raz zmienił się w posłusznego sługę. Ze

szczytu góry cały ten rozległy i kręty labirynt rozciągał się przed naszymi oczyma jak błotniste odbicie niezliczonych gwiazd. Patrząc w dół na to wszystko, poczułam zawrót głowy, jakiego nigdy nie czułam, stojąc na wyniosłych urwiskach Rassamburu. Miałam wrażenie, jakbym patrzyła nie tylko w dół, ale i wstecz, przez przepaść minionych lat, na moją własną przeszłość.

Ukryte Miasto, Cud Goca My'ego, Labirynt Latarni – miasto nosiło dziesiątki nazw, a każda z nich pod pewnym względem była prawdą, a pod innym kłamstwem. Ta plątanina kanałów, barek i pływających rynków przez długie stulecia, a nawet tysiąclecia, pozostawała w ukryciu, ale już nie była ukryta, bo więzy grobli i kanałów połączyły ją ze światem. Goc My istotnie dokonał cudu setki lat temu, przekształcając maleńką rybacką osadę w największe miasto południa. Ale Goc My od dawna już nie żył, a jego miasto dwieście lat temu popadło w zależność od innej, mniej cudownej władzy. Mianem najprawdziwszym było więc to ostatnie: Dombâng wciąż był labiryntem – miastem kanałów i grobli, mostów i barek, mostków linowych przerzuconych między szczytami domów, niezliczonych drabin, dziesięciu tysięcy zaułków i zakątków, w których kobieta mogła zginąć, a przynajmniej się zagubić.

– Ach – mruknęła Ela, zatrzymując się, aby nacieszyć się widokiem. – Tutaj mogłabym się zakochać. – Objęła mnie ramieniem. – To naprawdę romantyczne miasto.

Kossal chrząknął.

– Oczywiście, jeśli myślisz, że miasto zbudowane na otwartym ścieku i zaludnione przez rozwścieczonych politycznych schizmatyków może być romantyczne.

– Popatrz na te latarnie – ciągnęła Ela. – Kiedy byłam tu ostatnio, nie było ich aż tyle.

Czerwone i żółte latarnie zwisały z dziobów statków, świece migotały w otwartych oknach, otwarty ogień żarzył się u stóp drewnianych, ciosanych posągów bogów – *annuryjskich* bogów, wśród których prym wiodła Intarra. Nawet z tej odległości dobiegały do mnie oderwane dźwięki muzyki, zarówno tej biesiadnej, jak i tej delikatniejszej, niosącej się w gorącym nocnym powietrzu muzyki fletów.

– A co to ma wspólnego z latarniami? – zapytał Kossal.

Ela zignorowała go i obróciła się do mnie, unosząc wesoło brwi.

– Dobry wybór, Pyrre. Jakże mogłabyś się *nie zakochać* przy tylu latarniach?

– Są zrobione z ryb. – Pokręciłam głową. – Wszystkie te latarnie zrobione są z rybiej skóry. Głównie ze skóry czerwonych okoni. Patroszy się je, rozpina skóry na ramkach, a potem naciera w środku woskiem i tłuszczem waleni.

– Z tonu twojego głosu wnoszę – powiedziała Ela, przechylając głowę i przypatrując mi się – że jest w rybach coś, co przytłumia w tobie romantyczność.

– Przede wszystkim smród – burknął Kossal.

Pokręciłam wolno głową.

– One nie cuchną. A przynajmniej nie wtedy, gdy są właściwie przygotowane.

Nagle z osadów pamięci napłynęły wspomnienia z dzieciństwa. Tkwiłam przykucnięta na jakimś wąskim pomoście między stertami okoni. Ryby były nieruchome, martwe i zimne w ciepłym słońcu poranka, a ich głupie oczy patrzyły w niebo. Do mnie

należało ich wypatroszenie i oczyszczenie, potem posolenie i rozwieszenie filetów, a wreszcie oskrobanie skór, żeby stały się cienkie jak papier, gotowe do sprzedania staremu wytwórcy latarni z końca ulicy. Ryby były świeże, więc nie cuchnęły. Dopiero później, wieczorem, gdy ludzie zapalali te czerwone latarnie, czułam niemiły zapach tak wrosły w moją skórę, że nigdy nie mogłam się go pozbyć, choćbym nie wiem jak mocno ją szorowała.

– Twój problem, Kossalu – Ela zwróciła się do starszego kapłana – polega na tym, że zupełnie nie rozumiesz istoty romantyczności.

– Rozcinam stworzenie – odparł – i wyjmuję wszystko ze środka. Potem rozwieszam truchło, aby wyschło. Wszystko zależy od mojej staranności. Nie widzę tu miejsca na żadną romantyczność.

Ela pokręciła głową, a potem odwróciła się do mnie i przewróciła oczami.

– Beznadziejny – zniżyła głos, jakby zamierzała powierzyć mi wielką tajemnicę. – On jest beznadziejny. I zawsze taki był. – Po czym wyciągnęła rękę i wykonała nią szeroki gest, jakby całe miasto składało się z klejnotów i należało tylko do niej, i powiedziała: – Zapomnij o romantyczności. Czy mógłbyś chociaż przyznać, że to piękny widok?

– W ciemnościach. I z dużej odległości. Prawdę mówiąc, to z odległości pół mili i sterta parującego gówna będzie wyglądać pięknie w świetle księżyca.

– Kossalu, czy jest na tej ziemi coś, co naprawdę *lubisz*? – zapytała Ela.

– Rassambur. – Uniósł palec, jakby zamierzał wymieniać dalej, przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby się zastanawiał, po czym opuścił rękę. – Po prostu Rassambur. Cichy. I nie tak paskudnie

wilgotny.

– Skoro tak bardzo kochasz Rassambur, to po co tu przybyłeś? – zapytałam go.

Nawet nie zadał sobie trudu, żeby na mnie spojrzeć. Zamiast tego popatrzył chmurnie na cudowny spektakl światła i wody, jakim był Dombâng.

– Bo jeszcze bardziej Kocham mego boga.

Pokręciłam głową.

– Bóg jest wszędzie. A w roli mojego Świadka mógł cię zastąpić ktoś inny.

– Ale może się okazać, że konieczne będzie coś jeszcze poza świadkowaniem.

Ela uniosła brwi, po raz pierwszy zaskoczona.

– Może jednak dopuścisz damy do sekretu.

Przez chwilę nie odpowiadał, patrząc w milczeniu na miasto. W końcu przeniósł spojrzenie na nas.

– Coś, co będzie wymagało zabicia.

– I po to wlokłeś się aż tutaj? – Ela go szturchnęła. – Cokolwiek to jest, to zapewniam cię, że i tak umarłoby samo z siebie.

– Może tak – odparł Kossal. – A może nie.

†

Zanim dotarliśmy do właściwego miasta, mijaliśmy skupiska płaskodennych barek przycumowanych po obu stronach ostatniej części grobli, rzędy powiązanych ze sobą burtami wysmukłych, długich łodzi przeznaczonych do żeglugi po delcie. Na każdej był rozbity pośrodku pokładu mały namiot, a raczej zwykły kawał

plótna chroniący przed komarami. Wyglądało na to, że nikt jeszcze nie spał. Na rufie każdej z łodzi wisiała czerwona latarnia, rozpraszająca ciemność nocy i barwiąca czerni wody krwawą poświatą. Na jednym z pokładów tworzących takie prowizoryczne, luźno powiązane linami wysepki, gromadzili się zwykle właściciele wszystkich wchodzących w jej skład łodzi i w ciepły wieczór spędzali wesoło czas, popijając w towarzystwie sąsiadów. W powietrzu wisiał ciężki zapach dymu i smażonej ryby. Dzieci, pomimo późnej pory, nie spały i przeskakiwały pomiędzy kadłubami, śmiejąc się i wrzeszcząc. Co rusz któreś z nich wpadało z pluskiem do wody. Reszta wśród kpin i krzyków wyciągała nieszczęśnika i zabawa zaczynała się od nowa.

Łatwość, z jaką dzieci wychodziły z wody, przywiodła mi na myśl kobietę, która wcześniej tego dnia nie zdołała się z niej wydostać, a także jej krzyk, gdy próbowała wyswobodzić się z mułu, a *qirna* szarpały jej nogi. Większość najniebezpieczniejszych zwierząt delty nie odważyłaby się podpłynąć tak blisko miasta; woda była tu zbyt brudna, a powietrze zbyt pełne hałasu. Dzieci były tu więc dość bezpieczne, a przynajmniej równie bezpieczne jak wszędzie indziej. Sama spędziłam niezliczone dni w wodach Dombângu, lecz mimo to nie mogłam spokojnie patrzeć na tę gładką, czarną wodę, by nie wyobrażać sobie jakiejś niewidzialnej groźby czającej się pod powierzchnią, cierpliwej, o ostrych jak brzytwa zębach.

Muzyka odciągała myśli od nieubłaganej ciszy tej wody. W Dombângu zawsze rozbrzmiewała muzyka. To również zapamiętałam z dzieciństwa – w większości piszczałki i bębny, te pierwsze zrobione z grubych łodyg rosnącej w delcie trzciny. Piszczałki robiono z myślą o powolnych, tęsknych melodiach, ale

w Dombângu grano wszystko, tylko nie to – przeważały hałaśliwe rytmy do wioseł i tańca, a szybkie, ciężkie bębny zawsze popędzały graną piosenkę, dudniąc coraz szybciej i coraz głośniej.

– Zamierzam tańczyć – powiedziała Ela, milknąc na chwilę, by wsłuchać się w którąś szczególnie skoczną melodię, i uderzając o piętę złożonym parasolem – aż stopy będą mi krwawić.

Przez krótką chwilę było tak, jakbym usłyszała muzykę w jej uszach, czystą i niezmaconą. Przez tę krótką chwilę, a potem jeszcze raz i jeszcze, nie mogłam nie słyszeć tej muzyki w taki sposób, w jaki słyszałam ją tyle lat temu: nie jako motyw przewodni beztroskiej nocy, a jako maskę, oszustwo pokrywające cichsze i bardziej intymne nuty przemocy. Inne gesty i kroki, mroczniejsze od tańca, od zawsze czekały na tę muzykę.

Pomimo wszystkich tych śmiechów i świateł latarni Kossal miał rację. Gdy dotarliśmy do miasta, przypomniałam sobie tę prawdę: Dombâng z bliska był znacznie brzydszy. Latarnie i lampy zwisały ze spiczastych, rzeźbionych tekowych dachów, wyzywająco wystrojone kobiety wychylały się z balkonów, obok nich mężczyźni w krzykliwych, wieczorowych strojach – kamizelkach na nagich torsach i z długimi szarfami wokół pasa – wykrzykiwali pozdrowienia, lecz poniżej, w mroku, dokąd nigdy nie dociera światło, piętrzyły się cuchnące sterty zgnilizny. Resztki wypatroszonych ryb, ości i głowy, zalegały w zakątkach kanałów. Gdzie prąd wody był mocniejszy, tam nurt był czysty, wartki i ciemny, ale w tysiącach zawirowań, gdzie szerokie tamy wstrzymywały przepływ wody, pojawiały się powoli dziwne, okropne kształty, jak mroczny sen, leniwie przewalały się chwilę w świetle, a potem znikaly. Rassambur nauczył mnie wiele

o śmierci, ale to nie była śmierć. To było umieranie. Czułam to już nawet jako dziecko. Zwłaszcza jako dziecko.

Tak bardzo pograżyłam się we wspomnieniach rytmów tego miasta, że niemal wpadłam na Elę, gdy się zatrzymała.

– Panie i panowie, przedstawiam wam Taniec Anho – obwieściła uroczyście.

Teatralnym gestem wskazała stojący po lewej stronie wysoki budynek o dużych oknach. Wąski kanał oddzielał go od grobli, a niewielki, lecz gustownie rzeźbiony mostek łączył groblę z obszernym tarasem budowli, zatłoczonym stolikami i gośćmi.

Kossal skrzywił się z niesmakiem.

– Dlaczego mnie to nie dziwi?

– Nie dziwi cię, bo gdy opuszczaliśmy Rassambur, obiecałam, że zaprowadzę nas do najbardziej uczęszczanej gospody w mieście, z najlepszą muzyką, najlepszym winem i najbardziej urodziwą klientelą. Co właśnie uczyniłam – oznajmiła Ela.

Nie czułam się upoważniona do oceniania najlepszych przybytków Dombângu. Większość dzieciństwa spędziłam wśród walących się, koślawych bud na wschodnich obrzeżach miasta, gdzie woda najbardziej cuchnęła, lecz potem spędziłam dostatecznie wiele czasu w innych miastach, żeby uznać słowa Eli za co najmniej wiarygodne. Sześćoosobowy zespół muzyczny złożony z dwóch bębniarzy, dwóch flecistów i pary śpiewaków – mężczyzny w rozpiętej kamizelce i kobiety w rozciętym po bokach *ki-panie* – zajmował środek tarasu. Ich muzyka brzmiała lepiej niż wszystko, co dotąd słyszeliśmy podczas tej długiej wędrówki: była głośna i ekscytująca, przepełniona życiem, a przy tym misterna i spójna. Na otwartej przestrzeni przed muzykantami grupka

strojnie ubranych tancerzy poruszała się w szybkim rytmie jednego z klasycznych tańców Dombângu, podczas gdy klienci po obu stronach klaskali im do taktu.

Służący o nagich torsach – wynajęci najwyraźniej z powodu swego wdzięku i urody – torowali sobie drogę w tłoku z tacami uniesionymi nad głową. Kobiety w powiewnych, skąpych strojach obsługiwały bar, podrzucając w górę kieliszki, łapiąc je za plecami i strumieniami lejąc do nich z wysokich butelek mieniący się w świetle pochodni trunki.

– Czy kiedy opuszczaliśmy Rassambur, nie słyszałaś, jak mówiłem, że wolę coś mniejszego, cichszego i ciemniejszego? – zagadnął Kossal.

Ela zacisnęła usta, spojrzała z namysłem w górę, w rozświetloną gwiazdami noc, po czym pokręciła głową.

– Nie. Nie słyszałam, żebyś mówił coś takiego.

– Zdajesz sobie chyba sprawę – warknął Kossal – że w każdej chwili mógłbym oddać cię bogu. Byłabyś dla niego wspaniałą ofiarą.

– Nie zrobisz tego.

– Ten rodzaj pewności siebie sprawia, że ludzie tracą życie.

– Jako trup nie będę taka ładna.

– Wręcz przeciwnie. Będziesz zachwycającym trupkiem.

– Jeżeli zamierzasz się na mnie rzucić – rzekła Ela – to lepiej zrób to prędko. Starzejąc się, nie stajesz się szybszy.

– Zdaje mi się, że zanim opuściliśmy Rassambur, powiedziałaś, że wciąż jestem młody.

Ela objęła go ramieniem w pasie i przyciągnęła na moment do siebie. Nie protestował, gdy nachyliła mu się do ucha i szepnęła:

– To było, zanim opuściliśmy Rassambur.

Kossal spojrział na nią twardo, po czym wyswobodził się z objęć.

– Wynajmuję pokój i idę spać. – Po czym zwrócił się do mnie: – Tobie radzę to samo.

– Jeszcze nie wybiła północ! – wykrzyknęła Ela.

– Ty możesz tu sobie zostać, jeżeli masz taką zachciankę – powiedział ponuro do kapłanki – ale dziewczyna ma jutro pracę do wykonania. Jej Próba właśnie się zaczęła. Zaczęła się w chwili, gdy podcięła gardło tej nieszczęsnej kobiecie. A to oznacza, że do jej zakończenia zostało czternaście dni. Teraz już nawet trochę mniej. A to nie pozostawia wielu wieczorów na picie i tańce.

– No nie wiem – odparła Ela, pozwalając mu odejść i obejmując szczupłym ramieniem moją talię. – Zawsze uważałam, że taniec i picie są sposobem na rozjaśnienie umysłu.

A potem, nie pytając mnie o zdanie, odciągnęła mnie od drzwi gospody i poprowadziła do stolika najbliżej muzykantów.

†

– No dobrze – powiedziała Ela, odchylając się na krześle, wyginając plecy i prostując ręce nad głową. – Zamierzasz mi wreszcie powiedzieć?

Na stole między nami stała karafka śliwkowego wina, już trzecia tej nocy, wciąż jeszcze pełna. Kapłanka sięgnęła po nią i napełniła mój kieliszek, po czym zlizwała z palców pozostałą na nich perlistą wilgoć. Przypominała mi kota, przemyślnego i obojętnego zarazem.

– Powiedzieć co?

Powoli zakreśliła ręką krąg w powietrzu, jakby chciała wskazać całe miasto.

– Dlaczego jesteśmy tutaj.

Wzięłam głęboki oddech, już chciałam zacząć mówić, ale zamiast tego, po krótkim zastanowieniu, pociągnęłam łyk wina z kieliszka.

– Jak rozumiem – podjęła Ela po chwili milczenia – wychowałeś się tutaj.

Potaknęłam ostrożnie. Wino musowało we mnie, żywe i gorące. Świat wydawał się wielki i ciasny zarazem.

– I to właśnie tutaj – ciągnęła – złożyłaś bogu swoje pierwsze ofiary.

Pociągnęłam kolejny łyk wina, poczułam smak różowego płynu na języku i w gardle, po czym ponownie skinęłam głową.

– Jeśli można je nazwać ofiarami – odparłam.

– Każda śmierć jest ofiarą.

Za ramieniem Eli, pośrodku pustoszejącego kręgu podłogi, oplatali się wokół siebie w tańcu mężczyzna i kobieta. Jej ręce były wszędzie, jak coś wykwitającego z jego ciała.

– Wydawało mi się, że będę miała większą szansę – odezwałam się w końcu – gdy wrócę do miejsca, które znam.

– Masz na myśli: do *kogoś*, kogo znasz – sprostowała, pochylając się ku mnie nad stołem.

Światło pochodni pełgało po jej brązowej skórze, aż zdawała się żarzyć.

– Wszyscy, których znałam w Dombângu, już nie żyją – powiedziałam. – Zabiłam ich, zanim stąd odeszłam.

Ela roześmiała się.

– Jaka sumienna dziewczyna. Będiesz musiała kiedyś mi o tym wszystkim opowiedzieć.

Pokręciłam głową, a kiedy się odezwałam, poczułam się

zaskoczona żelaznym brzmieniem swojego głosu.

– Nie, nie opowiem.

Nasze spojrzenia spotkały się na krótką chwilę. Potem odwróciłam wzrok.

– Może powinniśmy już pójść spać.

– Ach, niewątpliwie! – odpowiedziała Ela. – Powinniśmy były to zrobić już przed paroma godzinami, jak Kossal. – Uniosła palec, jakby chcąc uprzeczyć moją odpowiedź. – Ale nie zrobiłyśmy, a teraz mamy zobowiązanie.

Zamrugałam, nie rozumiejąc.

– Wobec?

– Wobec wina, Pyrre! Wobec wina! – Ze śmiechem wskazała na karafkę i różowy płyn wewnątrz niej, tak barwny w odbitym świetle pochodni, że sam mógłby odgrywać rolę lampy. Wyobraziłam sobie, że wino świeci również w moim wnętrzu, jak maleńki księżyc.

– Wciąż dolewasz mi wina, bo myślisz, że w końcu zdradzę ci mój sekret.

Słowa te zabrzmiały rozwlekłe i głupio. Ela uśmiechnęła się.

– Jasne, że tak. I wyznam ci, że kocham sekrety równie mocno jak suknie.

– A gdybym ci powiedziała, że wybrałam Dombâng bez szczególnego powodu? Albo że zapragnęłam zobaczyć go jeszcze raz, zanim wbijesz mi nóż?

Ela wpatrywała się we mnie, napełniając swój kieliszek.

– Wtedy wiedziałabym, że kłamiesz.

– Skąd?

Jej ciemne oczy pojaśniały od wina.

- Dama nie zdradza swoich sekretów.
- A jednak chciałaś, żebym to zrobiła.
- Jesteś jeszcze zbyt młoda, żeby być damą.

Zmrużyłam oczy.

- A co z tobą? Możesz być damą, będąc kapłanką?
- Nie uwierzysz, jak często sama zadaję sobie to pytanie.
- I co sobie na nie odpowiadasz?

- Och, nie wydaje mi się, żeby to do mnie należała decyzja.

Zdaniem Kossala jestem po prostu cierniem w jego boku.

Zapatrzyłam się w głąb kieliszka, próbując nadać swoim myślom jakiś kształt, który mogłabym rozpoznać. Śpiewacy umilkli, podobnie jak fleciści, i tylko bębniarze wybijali w nocnej ciszy dziki, brutalny rytm.

– Naprawdę wydaje ci się, że on mógłby cię zabić? – zapytałam w końcu.

Ela zagryzła wargi w zamyśleniu.

- Mógłby. Inaczej nie znaczyłby wiele jako kapłan.

- Ale on cię kocha.

Wzruszyła ramionami.

– Może i tak. Co nie zmienia faktu, że czcimy Ananshaela, a nie Eirę.

Gdzieś wyżej, prosto nad nami, trzasnęły otwierane okiennice. Z góry dobiegł nas wśród nocy głośny śmiech. Dostrzegłam przez moment parę dłoni i nagie ramiona zatraskujących na powrót okiennice, a potem śmiech umilkł.

- Ale ty go nie kochasz – powiedziałam.

Ela przypatrywała mi się przez chwilę, a potem pokręciła głową.

- To nie jest coś, co możesz wywnioskować, obserwując innych,

Pyrre. Nie możesz być mną, nie możesz być Kossalem, tak samo jak my nie możemy być tobą. Mogłabym opowiedzieć ci wszystko o moim życiu, o każdym pocałunku, o każdym kobiecych biodrach, każdym śmiechu, każdym płaczu, każdym sztywnym fiucie, a i tak nic by ci to nie dało. Mowa jest użytecznym narzędziem, ale tylko narzędziem. Prawda jest dla niej zbyt wielka. Jeżeli to wszystko przeżyjesz, będziesz musiała znaleźć własną drogę.

Odetchnęłam głęboko, po czym ponownie podniosłam kieliszek do ust. Jego szkło było cieniście chłodne w zetknięciu z wargami. Przechyliłam go, zamknęłam oczy i wypięłam. Przez dłuższą chwilę trzymałam oczy zamknięte, wsłuchana w natarczywe dudnienie bębnow i w dziesiątki głosów wznoszących się i cichnących wokoło, w cichy szum shirviańskich wód, przepływających pod drewnianym tarasem, opływających pale i mknących ślepo ku słońcu morzu. Kiedy znów otworzyłam oczy, Ela wciąż siedziała naprzeciwko i wpatrywała się we mnie swymi ciemnymi oczyma.

– On się nazywa Ruc Lan Lac – powiedziałam wreszcie.

Ela powtórzyła jego imię:

– Ruc Lan Lac. – Po czym przeciągnęła językiem po wargach, jakby imię to pozostawiło na nich słony osad. – Opowiedz mi, kim jest Ruc Lan Lac.

Zawahałam się. Miałam uczucie, jakby moja historia była kroplą na krawędzi urwiska; jeśli tylko oderwę się od teraźniejszości, nie będzie już sposobu, aby zatrzymać spadanie.

– Jest tutaj – odezwałam się w końcu niepewnie. – A przynajmniej powinien być. Był jeszcze rok temu.

Ela uniosła brwi.

– A jak się tego dowiedziałaś?

Na moje policzki wystąpił rumieniec.

– Tremiel była w Dombângu w zeszłym roku, na kontrakcie. Zapytałam ją o Ruca, gdy wróciła do Rassamburu.

– Śledziłaś go – wykrzyknęła Ela i klasnęła z zachwytem. – A popatrz tylko, przez całą nudną drogę do tego miasta lamentowałaś, uzalając się nad stanem swego zimnego, słabo bijącego serca! – Zmrużyła oczy. – Ale przecież w Dombângu jest czterysta tysięcy ludzi. Skąd Tremiel wiedziała coś o Rucu?

Skrzywiłam się.

– Nie jest taki jak inni.

– Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi, Pyrre. To jedna z najstarszych lekcji Ananshaela.

– No dobrze. Mam na myśli to, że jest tu bardzo znany.

Ela cmoknęła.

– Nie lubię znanych ludzi. Kochałam kiedyś jednego z Uprzywilejowanych w Wolnym Porcie. Nie wyszło.

– Nie jestem w nim zakochana.

– Ale planujesz być.

Westchnęłam głęboko, zniechęcona.

– *Planowanie* to chyba trochę przesadne określenie.

Ela zakręciła winem w kieliszku i zerknęła na mnie z ciekawością znad jego brzegu.

– Byłabym bardzo zdziwiona, gdybyś podczas długiego miesiąca naszej podróży ani razu nie pomyślała, choćby odrobinę, jak się do niego zbliżyć. Ludzie używają zwrotu *zakochać się* w taki sposób, jakby miłość była kałużą, w którą można wdepnąć i się zabrudzić, jeśli nie będzie się uważać. Ja natomiast twierdzę coś przeciwnego. Miłość jest przemyślanym aktem przyciągnięcia uwagi.

– Wiem, jak przyciągnąć jego uwagę.

Ela piła wino małymi łyżkami i czekała. Spojrzałam za siebie, mierząc wzrokiem odległość do najbliższego stolika, a potem pochyliłam się, objęłam dłonią zroszoną, chłodną karafkę, po czym przyłożyłam dłoń do stołu. Kiedy ją cofnęłam, na blacie został mokry ślad. Pozostawiłam go tam przez jedno uderzenie serca, po czym starłam.

– Wiesz, co to jest?

– Przysadziste, pięcionogie, bezgłowe bydlę?

Znów zerknęłam za siebie, ściszyłam głos:

– To symbol. – Zawahałam się, nie bardzo wiedząc, co jeszcze powiedzieć.

Ela patrzyła na mnie przez chwilę, a potem przewróciła oczyma, zanurzyła palec w winie i narysowała dwa półkola połączone w centrum.

– To jest symbol – mruknęła konspiracyjnym szeptem. – Nigdy nie mogłam się zdecydować, czy wygląda bardziej jak dupa, czy może jak para fajnych cycków. – Tu jeszcze bardziej zniżyła głos. – Mogłabyś posłać to Rucowi z zapytaniem, co woli.

– Wiem, co woli.

Ela ułożyła usta w wielkie O.

– To znacznie ułatwia uwiedzenie.

– Nie planuję go uwieść.

Ekscytacja kapłanki przeszła w udawane zmarszczenie brwi.

– Jaka szkoda. Jednym z moich zadań jako Świadka jest w końcu świadkowanie... – Pokręciła głową. – Bez uwodzenia. Bez dupy albo cycków. Czyli co?

Pochyliłam się nad stołem.

– Insurekcja.

Ela mrugnęła do mnie.

– To jakaś pozycja seksualna?

– To urwisko, na którego krawędzi chwieje się od dziesięcioleci Dombâng.

– Chwianie się. Jakie to nużące.

– Będzie znacznie mniej nużące, gdy go popchniemy.

– My? – Ela przechyliła głowę. – Ja tu przybyłam z powodu sukien i tańca, pamiętasz?

– Możesz włożyć sukienkę pasującą do rewolucji.

– Każdy pretekst jest dobry, żeby się zabawić. – Zmarszczyła się.

– Ale co to ma wspólnego z tym... – Tu puściła do mnie całą serię teatralnych mrugnięć i ruchem głowy wskazała resztkę wilgoci na stole.

– To była krwawa ręka – powiedziałam cicho.

– Widywałam już krew – mruknęła Ela. – Jest trochę czerwiejsza.

– Będzie, kiedy zrobię to naprawdę.

– Powiesz mi wreszcie, co *to* jest, czy mam zgadywać?

Jeszcze raz zerknęłam przez ramię. Najbliżsi ludzie siedzieli w odległości kilkunastu kroków od nas, a muzyka była dostatecznie głośna, żeby nie groziło nam, że ktoś nas podsłucha. Mimo to zniżyłam głos:

– Słyszałaś nazwisko Chong Mi, kiedy byłaś tu ostatnio?

– Czy to ona prowadzi ten burdel na zachodnim krańcu miasta? Spędziłam tam tylko jedną noc, ale na słodki dotyk Ananshaela, te piękności... – Przymknęła oczy, napawając się wspomnieniem.

– Chong Mi była prorokinią, nie prostytutką.

Ela zmarszczyła brwi i otworzyła oczy.

– To znacznie mniej interesujące.

– Dostatecznie ciekawe, żeby oddano cię katu, gdyby ktoś posłyszał, jak recytujesz w Dombângu jej prorocтва.

– To rzeczywiście coś ciekawego – ustąpiła Ela, pochylając się ku mnie znowu z błyszczącymi od wina i blasku świec oczyma. – Wyrecytuj jakieś.

– Nie słyszałaś tej części, w której mówiłam o kacie?

Machnięciem dłoni zlekceważyła tę uwagę.

– Planujesz oddać bogu siedmioro obywateli tego miasta. No, zostało ci pięcioro, bo zaczęłaś wcześniej, a boisz się wyrecytować kilka linijek poezji jakiejś stukniętej poetki? – Ściszyła głos. – Możesz szeptać, jeśli wolisz.

Znowu zerknęłam przez ramię, a potem nachyliłam się do Eli. Wyglądałyśmy jak dwie kobiety plotkujące o małżeńskim pożyciu albo wymieniające ukradkowe uwagi na temat kilku atrakcyjnych tancerzy, którzy pozostali pośrodku tarasu. Jednym słowem, jak normalne osoby, rozmawiające o miłości, a nie jak ci inni, co gadają o religijnej rewolucji.

Chociaż, prawdę powiedziawszy, miałam nadzieję dotrzeć do któregoś z tych drugich.

– Biada ci, Dombângu – zaczęłam cichym szeptem – bo ujrzałam dzień naszego wybawienia.

Przybył do mnie wąż o ludzkiej twarzy,

Wąż czerwony jak krew, z ognistymi oczyma,

I wąż ten ozwał się do mnie, mówiąc: „Biada niewiernym.

Biada przewrotnym. Biada tym, co porzucają swoich bogów”.

*Trzy razy wąż się odzywał, mówiąc: „Biada, biada, biada”,
A potem zatopił jadowe zęby w mojej ręce. I ujrzałam:*

*Ujrzałam krwawe dłonie, dziesięć tysięcy krwawych dłoni
Sięgających z wody, aby zburzyć to miasto.*

*Ujrzałam tych, co czcili ogień, jak zginęli we własnych
płomieniach,
Ich kłamliwe języki zmieniły się, choć błagali, w płomienie.*

*Ujrzałam żmije w gnieździe żmij, czarne węże przepędzające węże
zielone,
Trzy tysiące zwiniętych w kłęb i zaciskających się coraz ciasniej.*

*Widziałam, jak powstają z wód głodne węże,
Widziałam, jak pożerają serca obcych żołnierzy.*

*Widziałam tysiące czaszek, tysiące bezokich czaszek,
Gdy mięso z ich wnętrza stało się nawozem dla kwiatów delty.*

*Widziałam kobiety i mężczyzn, jak jedli obce monety i dławili się
nimi,
Słyszałam, jak płakali w zgrozie, a złoto kapało im z ust.*

*W miejsce kapłanów widziałam bestie wodne,
A ich szczęki rozwarte wyły: „Biada, biada, biada”.*

Biada ci, Dombângu, bo ujrzałam dzień naszego wybawienia,

*Ujrzałam dzień i godzinę powrotu naszych bogów.
Biada, biada, biada ci, Dombângu, bo ujrzałam to,
A to jest krew, ogień i burza. I nadejdzie wkrótce.*

– Sporo tego biadania – zauważyła Ela, gdy skończyłam. – Proroctwa są doprawdy przesadnie ponure. Choć raz, zanim odejdę do boga, chciałabym usłyszeć jakieś szczęśliwe proroctwo. – Tu zniżyła głos i pompatycznym tonem szepnęła: – A ty lizać będziesz miód ze słodkich ust. Taak, i będzie bardzo, bardzo pyszny.

– Szczęśliwi ludzie nie głoszą proroctw.

– Ludzie w ogóle nie powinni głosić proroctw. Bo zastępują w tym bogów. O to chodzi w proroctwach.

Skinęłam głową.

– Bogowie Dombângu odeszli już bardzo dawno temu.

– Ale wrócą – odparowała Ela radośnie. – Już wkrótce! Według Chong Mi.

– Chong Mi zmarła sto pięćdziesiąt lat temu – stwierdziłam rzeczowo.

Ela rozłożyła ręce.

– Któż wie, co czas znaczy dla bogów? Dziesięć tysięcy lat może być dla nich jak mgnienie oka. A *wkrótce* może oznaczać całe wieki.

– Nie mam całych wieków – powiedziałam ponuro. – Ani dziesięciu tysięcy lat. Mam czternaście dni.

Ela zmrużyła oczy.

– Wychodzi na to, że będziesz musiała się zakochać bez pomocy nieobecnych bogów Dombângu.

Wydałam z siebie długie, znużone westchnienie.

– Tak naprawdę to nie sędzę, żeby mi się to udało.

– Wróćmy więc do tej chwiejącej się insurekcji.

Skinęłam głową.

– Dombâng nigdy nie pogodził się z annuryjskimi rządami. Pięć lat temu o mało nie doszło do otwartego buntu.

– I co się wtedy zdarzyło?

– Zdarzył się Ruc Lan Lac.

Ela ściągnęła usta.

– Twój chłopak na własną rękę stłumił powstanie?

– On i cztery annuryjskie legie pod jego tymczasowym dowództwem.

– Żołnierz – mruknęła Ela. – Lubię żołnierzy.

– Były żołnierz. Kiedy zaczęło się robić gorąco, Annur oddelegował go na dowódcę Zielonych Koszul.

– Strażnik miejski – skrzywiła się Ela. – Tych lubię znacznie mniej.

– Większość ludzi w Dombângu zgodzi się z tobą, zwłaszcza po tym, gdy Ruc podciął gardło miejscowemu buntowi.

– Powinien był podciąć porządniej. Jak na stworzenie z poderżniętym gardłem bunt odwalił kawał porządnej roboty, przewracając groblę.

Potaknęłam skinieniem głowy.

– Annur próbował wykorzenić stary kult od dwunastu lat, czyli od chwili zdobycia miasta. Udało mu się osiągnąć tyle, że zepchnął go do podziemia.

Ela obracała kieliszkiem, trzymając go za nóżkę.

– A co to wszystko ma wspólnego z podgrzaniem twego kamiennego serca? – zapytała.

Zawahałam się. Nagle cały mój plan wydał mi się szaleństwem.

– Pomyślałam... że jeśli pomogę mu zwalczyć bunt, to mogłaby zaistnieć szansa... – Potrząsnęłam głową, niepewna, jak to ująć.

– Żeby się mocniej przytulić – powiedziała Ela z uśmiechem. – Rozumiem. To kiedy pójdziesz go szukać?

– Jeszcze nie teraz. Przede wszystkim muszę sprawić, aby bunt stał się otwarty.

– Przewracanie grobli nie jest dostatecznie otwarte?

Pokręciłam głową.

– Chcę pomóc Rucowi walczyć w tej wojnie. A to oznacza, że musimy mieć wojnę.

Po chwili milczenia kapłanka wybuchła zadowolonym, głośnym śmiechem.

– A gdzie zamierzasz znaleźć któregoś z *nich*?

Ponownie objęłam dłonią karafkę i zrobiłam kolejny ślad na stole.

– „Ujrzałam krwawe dłonie” – wyrecytowałam. – „Dziesięć tysięcy krwawych dłoni sięgających z wody, aby zburzyć to miasto”.

– Wiesz co – mruknęła Ela – spełnianie proroctw wydaje się raczej zadaniem bogów.

Potrząsnęłam głową.

– Powiedziałam ci już. Muszę znaleźć sposób, żeby zbliżyć się do Ruca, a bogowie Dombângu zniknęli już dawno temu.

3

Zawsze się dziwiłam, że większość świata pozostaje niezniszczona. Weźmy taką glinianą czarkę. Ile czasu i pracy potrzeba, żeby ją zrobić – ile ugniatania gliny, kręcenia kołem garncarskim, glazurowania, wypalania, malowania – a wystarczy krótka chwila, żeby ją zniszczyć. Nie trzeba żadnego złośliwego zamiaru, żadnego planowania, wystarczy tylko chwila nieuwagi, jeden nieostrożny ruch łokciem, mokre i śliskie od wina palce, a już naczynie się przewraca, nieszczęśliwie upada i roztrzaskuje o ziemię. Większość rzeczy tak właśnie się dzieje. Każdego dnia, stopniowo i niezauważalnie, kadłub statku wypacza się od słońca, wody, gorąca, traci szczelność, zaczyna przeciekać. Ryż potrzebuje miesięcy, by wyrosnąć z ziarna. Jeśli zostawimy go w wilgoci, zepsuje się przez noc.

Nasze ludzkie ciało jest lepsze niż większość rzeczy, jeśli chodzi o radzenie sobie ze starzeniem, ale wystarczy tak niewiele – przecięcie nożem tchawicy, spadająca dachówka, kałuża głęboka na trzy cale – by człowieka unicestwić. Aż dziw, biorąc pod uwagę tę ogólną kruchość, że nie żyjemy w kompletnie zniszczonym świecie, gdzie wszelki porządek i struktura zostały rozbite, a cała ziemia pokryta jest kośćmi, spalonym drewnem i beztrząskanym szkłem. Dziwi mnie czasem, że wciąż jeszcze cokolwiek tu stoi.

Trzeba pracy, by utrzymać świat w całości. Nawet czarka wymaga codziennego mycia, ostrożnego odstawiania na półkę,

dbałości. Miasto na swój własny sposób jest równie delikatne. Ludzie wędrują po pomostach, wiosłują w łodziach po kanałach, poruszają się między rynkiem a domem, kupują i wymieniają, oszukują i sprzedają, a przez cały czas, zupełnie bezwiednie, utrzymują to miasto w całości. Każde uprzejme słowo jest ścięciem, który je spaja. Każde prawo przestrzegane, chętnie lub niechętnie, pomaga trzymać je razem. Każda tradycja, każdy społeczny obyczaj, każdy akt sąsiedzkiej pomocy i dobrej woli jest ostoją broniącą przed chaosem. Tak wiele dusz, tak wiele wysiłku, taki trud tworzenia i taka łatwość niszczenia.

Pozostawiłam pierwszy krwawy ślad tuż przed północą na pierwszym filarze Mostu Cao. To szerokie drewniane przęsło jest jednym z największych w całym mieście, spina, z północy na południe, brzegi głównego kanału Dombângu. Niełatwo zrobić tam coś skrycie; po obu stronach tego mostu ciągną się długie rzędy kramów, w których pod barwnymi płóciennymi płachtami ludzie sprzedają wszystko, od pieczonych skorpionów po kruszony lód z miodem. Na moście nigdy nie panuje zupełny spokój. Stragany są otwarte przez niemal całą noc, sprzedając jedzenie parom kochanków lub cierpiącym na bezsenność samotnikom, aż niebo na wschodzie się zaróżowi i ostatnie hulaszczki ustąpią miejsca bardziej prozaicznie ubranym ludziom, spieszącym do domu lub powoli przytomniejącym w drodze do pracy, z kubkiem wciąż parującej *ta* w ręku.

Most Cao nigdy nie jest pusty, lecz jedną z rzeczy, jakiej uczymy się w Rassamburze, jest to, że kobieta, chcąc przejść niezauważona, nie powinna iść sama. Tłum dostarcza podobnej osłony jak bezksiężycowa noc. Łatwiej ukryć się w grupie stuosobowej niż

kilkuosobowej. Poczekałam na szczycie mostu, aż przewali się grupa pijanych mężczyzn, i kryjąc się za nimi, przeszłam do następnej latarni z rybiej skóry, po czym strąciłam ją do rzeki. Syknęła gniewnie i odpłynęła. Tylko chwilę zajęło mi, by w płytkiej kałuży cienia zanurzyć dłoń w kubku – proroctwo mówiło o krwi, ale użyłam zwykłej farby – po czym odcisnąć znak dłoni na filarze i odejść.

Nikt nie krzyknął. Nikt nawet nie pogroził mi palcem. Nikt nie podniósł alarmu. Ludzie przechodzili mostem tak samo, jak robili to przez całą noc, nieświadomi tego, co robiłam. Destrukcja bywa właśnie taka. Może trwać całe dni, zanim nadpęknięta czarka się rozpadnie. Można dźgnąć człowieka nożem tak szybko, że uświadomi to sobie dopiero dużo później, gdy zacznie wyciekać krew. Miasto, rzecz jasna, jest większe od czarki i bardziej złożone od człowieka. Chcąc zniszczyć Dombâng, zniszczyć na tyle, by posłużyło to moim celom, musiałam włożyć w to znacznie więcej pracy.

Z Mostu Cao ruszyłam na południe, a potem na zachód przez oprószone kwiatowym pyłkiem mosty Kwiatowego Targu. Dziesiątki tysięcy opadłych płatków unosiły się w spokojnej, ciemnej wodzie między filarami. Zostawiłam czerwony odcisk dłoni na murze głównej wartowni Zielonych Koszul, podczas gdy strażnicy zajęci byli dręczeniem jakiegoś biednego handlarza, by okazał im swoje papiery. Zostawiłam też odciski na obu końcach Wiosennego Mostu, gdy przechodziłam na Pierwszą Wyspę, a potem jeszcze jeden na postumencie ogromnego posągu Goca My'ego na centralnym placu wyspy. Popatrzył na mnie swymi pustymi kamiennymi oczyma. Umknęłam stamtąd, gdy farba

jeszcze ściekała, przez odsłonięty brukowany plac, w ciemność jakiejś bocznej uliczki, po czym zatrzymałam się i odwróciłam, by ponownie spojrzeć na posąg, ciekawa, co mógłby pomyśleć o mojej nocnej działalności.

Goc My spędził całe życie w służbie Dombângu, stojąc na czele Zielonych Koszul, gdy były one jeszcze silną, niezależną organizacją. To właśnie Goc My kazał oczyścić z mułu i pogłębić najszersze kanały delty, otwierając dostęp do Dombângu handlowym statkom oceanicznym o dużym zanurzeniu. To Goc My był zarazem tym, który wybudował przemyślny system fortyfikacji i pułapek – jak choćby podwodne łańcuchy i fałszywe rafy bądź wartownie ukryte w trzinach, gotowe miotać zapalającą ciecz na ewentualnych najeźdźców – mających chronić miasto, podczas gdy on sam pracował nad tym, by otworzyć je na świat. Goc My poświęcił życie dla bezpieczeństwa Dombângu, ale nie żył już od tysiąca lat, a Dombâng nie był już tym samym miastem, które znał. Czy przekląłby mnie za naruszanie niepewnego pokoju w jego mieście? A może byłby wdzięczny, że ktoś wznieca ponownie nienawiść do cesarstwa, które przemocą nałożyło jarzmo na barki tego miasta?

Kiedy tak przyglądałam się nieruchomej kamiennej postaci, na plac wpłynęła grupka – było ich może około tuzina – rozbawionych pijanych młodzieńców, chwiejących się na boki jak statki podczas sztormu. Myślałam, że zamierzają przejść przez plac, nie zatrzymując się, ale wtedy najwyższy z nich, muskularny, nieatrakcyjny mężczyzna w obwisłej, rozpiętej kamizeli, zatoczył się i rąbnął bokiem w cokół Goca My'ego. Towarzysze zaczęli dopingować go zgodnym chórem, ale on uciszył ich teatralnym

gestem uniesionej dłoni.

– Nikomu – wrzasnął, wskazując palcem posąg – nie daruję takiego traktowania!

Pogmerał ręką przy pasku, spodnie opadły mu do kostek, po czym zaczął obsikiwać podstawę pomnika.

Gdyby noc była nieco ciemniejsza, a sikający nieco bardziej pijany, sprawy mogły przybrać inny obrót. Mógł skończyć, podciągnąć zmięte portki i odejść stamtąd za przyjaciółmi, w noc, ku reszcie swego życia. Plac jednakże obwieszony był latarniami, a gość był na tyle przytomny, że oderwawszy w końcu oczy od swego fiuta, odkrył przed sobą krwawy odcisk dłoni, wciąż jeszcze wilgotny i błyszczący.

Gdyby był trzeźwy, mógłby się uratować, odwrócić się i cicho odejść. Nawet w czasach mego dzieciństwa pojawiały się na kamieniach Dombângu czerwone dłonie, to tu, to tam, jako próżny gest prowokacji, bezużyteczna próba wywołania w mieście powstania. Nawet małe dzieciaki wiedziały, że lepiej nie rzucać się w oczy Zielonym Koszulom w pobliżu takiego krwawego znaku. Annur nie stał się najpotężniejszym państwem świata z powodu pobłażliwego traktowania podburzania do buntu. Można było przypłacić życiem oskarżenie o próby wzniecania rebelii, zwłaszcza gdy było się urwisem ze wschodniej części miasta. Na widok takiej czerwonej dłoni trzeba było zyskać pewność, że nikt cię nie posądzi o jej odcisnięcie.

Najwyraźniej ten idiota nie przyswoił sobie owej elementarnej lekcji. Wciąż dzierżąc fiuta w jednej ręce, z właściwą wszystkim pijakom niewytłumaczalną determinacją wyciągnął przed siebie drugą rękę i przyłożył do śladu. Ruch był powolny, zamierzony,

niemal nabożny. Był także świetnie wyliczony w czasie. W chwili, gdy oderwał rękę, wpatrując się z konsternacją w poplamioną czerwoną farbą dłoń, na plac wkroczył patrol Zielonych Koszul.

Ciekawa byłam, czy Goc My rozpoznałby zakon, który sam kiedyś założył. Przez długie lata niepodległości Dombângu, gdy kapłani sprawowali najwyższe urzędy, Zielone Koszule niepodzielnie rządziły miastem. Zielone Koszule nadzorowały pogłębianie kanałów oraz budowę mostów i grobli; Zielone Koszule przewodniczyły trybunałom i zbierały podatki; to one decydowały, które kraje nagradzać przywilejami handlowymi, a które karać embargiem; to one ochraniały kapłanów, a kapłani o tym pamiętali i kiedy przemawiali, mówili głosem Zielonych Koszul; a Zielone Koszule mogły to wszystko robić, bo to one chroniły miasto za pomocą mieczów i statków.

A potem przyszedł Annur i wszystkich pozabijał.

Oczywiście zastąpiono ich innymi.

Cesarstwo ma dość oleju w głowie, aby rozumieć, że łatwiej jest zachować urząd i zastąpić osobę na nim, niż zmieniać całą polityczną strukturę władzy. Nazwy mają swoją moc. Może minąć wiele czasu, zanim ludzie zrozumieją, że przestały znaczyć to co wcześniej. W przypadku Zielonych Koszul zdarzyło się tak, że niezwycześni obrońcy miasta stali się drugorzędnymi urzędnikami, mającymi uciszać burdy w porcie i doprowadzać najbardziej zagorzałych dysydentów przed sąd cesarski. Dawni panowie Dombângu stali się lokajami, ale nawet lokaje mogą być niebezpieczni, gdy noszą włócznie i kusze, a za nimi stoi władza cesarska.

Ludzie, którzy wkroczyli na plac, stanowili standardowy patrol –

czterech żołnierzy w zwykłych zielonych bluzach narzuconych na kolczugi. Żołnierze oczywiście wkładali trochę wysiłku w polerowanie swoich kolczug, ale panujące w Dombângu gorąco w połączeniu ze słonym powietrzem robiły swoje i żelazne kółka pokrywały się rdzą, a cienka warstwa mokrej rdzy przenikała przez wyblakłą zieloną tkaninę uniformów, przez co żołnierze wyglądali, jakby krwawili od tygodni z dziesiątków małych ran. Mimo wszystko jednak obecni strażnicy byli lepiej zorganizowani i bardziej profesjonalni niż ci, których pamiętałam z dzieciństwa – było to, jak przypuszczałam, zasługą Ruca – ale tak czy siak, nie mogli nie zauważyć mężczyzny z opuszczonymi spodniami sikającego na pomnik jednego z założycieli miasta.

– Obywatelu! – krzyknął dowódca patrolu. Był duży, w średnim wieku, a połcie mięśni na jego ciele powoli obrastały tłuszczem.

Pijany niczego nie zauważył. Wciąż wpatrywał się w swoją czerwoną dłoń.

– *Obywatelu!* – krzyknął ponownie Zielona Koszula. Przyspieszył kroku, a jego ludzie ruszyli za nim.

Pozostali pijaczkowie zauważyli nadciągającą katastrofę i próbowali odciągnąć towarzysza od pomnika, lecz ten, pochwycony w pułapkę opuszczonych spodni i oszołomiony trunkiem, zdołał wymyślić tylko jedno: uniósł i pokazał im upačkaną na czerwono dłoń.

– Czerwona dłoń – wymamrotał. Potem zaś na własną zgubę zacytował Chong Mi: – „Krwawe dłonie. Dziesięć tysięcy krwawych dłoni sięgających z wody, aby zburzyć to miasto”.

Dowódca Zielonych Koszul zeszywniał. Słowa te były niczym strzała wbita w jego pierś. Po trwającym jedno uderzenie serca

wahaniu opuścił włócznie i warknął rozkaz. Dwaj strażnicy z kuszami opadli na jedno kolano i wymierzili w nieszczęsnego głupka.

Obserwowałam całą scenę z cienia, dziwiąc się, że moje nocne malunki tak szybko zmieniają się w przemoc. Czerwone dłonie miały być tylko pierwszym krokiem w moim planie. Spodziewałam się nawet, że mogą pozostać niezauważone. Cóż bowiem mogło znaczyć kilka rozartych plam farby wobec feerii kolorów, jaką był Dombâng? Gdybym miała napisać scenariusz tych wieczornych wydarzeń, nie mogłabym wymarzyć sobie lepszego zbiegu okoliczności. Było tak, jakby starzy bogowie delty stali w ciemnościach za mną i obserwowali to wszystko z posępnymi minami, sprowadzając chaos na miasto, które ich zdradziło.

Jeden z towarzyszy pijaka, chyba nieco trzeźwiejszy od pozostałych, pomimo braku kamizelki, którą musiał zgubić gdzieś po nocy, wystąpił naprzód z uniesionymi rękami.

– Nie – zaczął. – To nie... My nie jesteśmy...

– Na ziemię – warknął kapitan, wykonując wymowny ruch włócznie. – *Wszyscy. Kłaść się na ziemię.*

Półnagi mężczyzna postąpił kolejny krok naprzód, najwyraźniej pchany przekonaniem, że jeśli podejdzie odpowiednio blisko i wydusi z siebie te słowa, to całe nieporozumienie zostanie zażegnane. Szedł jak we śnie, powoli, lecz uparcie, z rękami w górze, podczas gdy stojący tuż za nim sikający, który wreszcie zrozumiał niebezpieczeństwo, nerwowo usiłował podciągnąć spodnie. Reszta grupy stała nieruchomo jak sam Goc My, z otwartymi szeroko oczyma, czerwonymi w odbitym świetle otaczających plac latarni.

– Posłuchajcie – powiedział ten z gołym torsem. – Po prostu posłuchajcie...

Kiedy już niemal doszedł do kapitana, wyciągnął niepewnie rękę w stronę jego włóczni, jakby chciał się obronić. Jak się okazało, był to błąd. Kiedy żołnierz szarpnął broń w tył, jeden z żołnierzy za nim drgnął. Był to drobny ruch: lekkie poderwanie głowy, usztywnienie barków, nagły skurcz dłoni, które nagle zacisnęły się w pięści i znalazły spust kuszy. Bełt trafił mężczyznę w trzewia. Był to bardzo zły strzał, biorąc pod uwagę tak małą odległość. Mężczyzna rozdziawił w przerażeniu usta, wpatrzył się w swój przedziurawiony brzuch, dotknął końca topornie sterczącego zeń bełtu. Ananshael trzymał go już w swoich objęciach – widziałam, gdzie i pod jakim kątem zadana została rana, i poznawałam to po martwym błysku w oczach – ale ciało bywa uparte. Może potrzebować wiele czasu, by umrzeć. W przestrzeni, która mu jeszcze pozostała, umierający mężczyzna pochylił się w przód, znowu wyciągnął rękę, a wtedy zstąpił mój bóg, niewidzialny i nieomylny, by jeszcze raz zdjąć struny ze swoich wibrujących, śmiertelnych instrumentów.

Widziałam już w życiu sporo bójek. Większość nie wykracza poza kilka ciosów pięści i parę rozbitych nosów. Większość ludzi nie chce umierać i wygląda na to, że instynktownie wiedzą, że najlepszym sposobem ustrzeżenia się przed śmiercią jest pohamowanie się w walce. Większość bójek kieruje się niepisanym, uniwersalnym zestawem reguł: zostaw tych, co upadli, tam gdzie leżą, uważaj na oczy, walcz raczej za pomocą krzesel i butelek niż cegieł i kamieni. W sytuacjach, gdy ktoś wyciąga nóż, niemal zawsze następuje przerwa, taka choreograficznie zaplanowana chwila, gdy każdy

przeprowadza bilans.

Reguły te przestają się liczyć z chwilą, gdy ktoś dostaje bełtem z kuszy w brzuch.

To wszystko zdarzyło się tak prędko, jakby przemoc była tam już od dawna, zamknięta za ogrodzeniem, i tylko czekała, żeby ktoś ją uwolnił. Umierający złapał za włócznię ostatnim zrywem straszliwej siły. Drugi żołnierz wystrzelił z kuszy. Niektórzy pijacy odskoczyli, inni zaszarżowali do przodu, wrzeszcząc z wściekłości. Włócznie napotkały miękkie ciało. Palce zacisnęły się na gardłach. Wargi się ściągnęły. Zęby wyszczerzyły. Dużo krwi i jeszcze więcej wrzasku. Ciała zwarły się ze sobą ciasno, jak kochankowie. Stał przewierciła wnętrzności. Krew trysnęła na bruk. Mnóstwo kopania i dźgania, a potem, jak po jakimś wielkim muzycznym crescendo, było już po wszystkim.

– Niech bóg ma litość nad wami – mruknęłam cicho.

Bóg odszedł, rzecz jasna. Ananshael nigdy nie ociąga się z odejściem, gdy już odbierze to, co mu się należy. Tylko ciała pozostały: jedenastu umrzyków, rozrzuconych na bruku pod krytycznym spojrzeniem Goca My'ego – siedmiu spośród tych, którzy spędzili wieczór na picciu i śpiewaniu, oraz wszystkie cztery Zielone Koszule. Zawsze uważałam, że jest coś pięknego w tym ostatecznym wyciszeniu, w tym, jak umarli spoczywają w najokropniejszych nawet pozach.

Pozostali pijacy – a zostało ich czterech, o dziwo łącznie z tym, który sikał na pomnik – nie podzielali tego spokoju. Gapili się na tę scenę, dysząc ciężko, z rozdziawionymi ustami, jakby w ostatniej chwili świat stał się nieczytelnym tekstem, a wszystkie języki rozpuściły się we krwi i w zniszczonych ciałach.

W końcu jeden z nich chwycił drugiego za ramię. W milczeniu powlekli się, człapiąc sandałami na kamieniach, a odgłos ich kroków rozległ się echem pośród nocy. Wiedziałam, że świat jest kruchy, ale nie sądziłam, że aż *tak*. Kiedy wreszcie odwróciłam się i odeszłam, Goc My pozostał, patrząc na plac pustym, kamiennym spojrzeniem.

†

Dopiero przed świtem uświadomiłam sobie, że jestem śledzona.

Spędziłam długie godziny na chodzeniu po mieście i odciskaniu śladu dłoni wszędzie, gdzie widziałam puste miejsce. Z Pierwszej Wyspy przeszłam obok Starego Portu, gdzie stare kotwicowisko, dawno już zamulone, zapchane było stłoczoną masą butwiejących kadłubów; potem minęłam Małą Basc, gdzie większość mieszkańców miała czarną jak węgiel skórę i mówiła językiem będącym kombinacją annuryjskiego i starego języka ich dawnej wyspy; następnie doszłam do Wzgórz, których wysokie na osiem stóp nabrzeże było wysokie tylko w zestawieniu z resztą płaskich wysp Dombângu. Zamarudziłam kilka chwil na rynkach leżących naprzeciw Nowego Portu, przypatrując się wielkim statkom kołyszącym się na kotwicy. Zastanawiałam się, czy nie powinnam rzucić się wpław, żeby odcisnąć znak ręki na ich kadłubach, ale po namyśle uznałam, że tego nie zrobię. Choć w dzieciństwie pływałam w kanałach Dombângu jak ryba, to utraciłam część moich umiejętności w pustynnych górach Rassamburu i nie byłam już taka pewna, że udałoby mi się dopłynąć i uchronić przy tym farbę przed wodą.

Nim znajdujące się jeszcze pod linią horyzontu słońce zabarwiło na różowo wschodni widnokrąg, dwanaście razy napełniałam farbą mój gliniany garnuszek i zostawiłam w Dombângu setki krwawych odcisków dłoni. Proroctwo wspominało o dziesięciu tysiącach, ale uznałam, że nikt nie zada sobie trudu ich liczenia. Przed powrotem do gospody postanowiłam wrócić na Pierwszą Wyspę, żeby przyjrzeć się konsekwencjom tamtejszej przemocy. Przechodząc przez jeden z niskich wiszących mostów, zerknęłam za siebie i zauważyłam niewyraźną postać wkraczającą za mną na most. Uświadomiłam sobie, że widziałam tę postać kilkanaście razy w ciągu dzisiejszego dnia, zawsze w sporej ode mnie odległości – za kanałem albo na targu, kilka alejek dalej, z twarzą ukrytą w cieniu, pod rondem szerokiego kapelusza.

Serce zabiło mi mocniej, ale szłam dalej, utrzymując zwykłe, niespieszne tempo, w jakim poruszałam się przez cały wieczór.

Kossal, pomyślałam. Postać była wysoka i smukła, jak sylwetka kapłana, i oczywiście wiedziałam, że zadaniem Kossala było iść za mną wszędzie, dokąd pójdę. Dziwne, że nie zauważyłam go wcześniej.

Jednakże kiedy doszłam do następnego rogu, uzmysłowiłam sobie, że to wcale nie Kossal. Ani Kossal, ani Ela, ani nikt, kogo kiedykolwiek wcześniej widziałam. Osoba idąca za mną była mi obca, a jednak kiedy przeszła pod światłem wiszącej latarni, zrozumiałam z lodowatym drżeniem, że rozpoznaję ten strój – ciasne spodnie z wężowej skóry, której czarne łuski połyskiwały krwawo w świetle lamp, kamizelka, także z wężowej skóry, sznurowana na piersiach, oraz karwasze ze skóry krokodyla, opinające ręce od nadgarstków po łokcie – i tatuaż biegnący przez

twarz. Tym, co w ciemnościach nocy wzięłam za cień, była farba tatuazu, długie czarne linie, jak sitowie, biegnące przez brązową skórę od szyi aż do linii włosów. Znałam te tatuaże. Każdy, kto dorastał w Dombângu, je znał. Były znakiem Vuo Ton.

Dla większości ludzi Dombâng był jedynym bezpiecznym schronieniem na obszarze całej delty. Wyjście pieszo poza granice miasta albo zejście z grobli łączącej miasto z resztą świata oznaczało śmierć. Nawet miejscy rybacy odmawiali wypływania kanałami dalej niż kilka mil poza bezpieczny obszar zagospodarowanych pustkowi Dombângu. Nikt nie zdołałby tam przetrwać. Każdy to wiedział. Poza ludem Vuo Ton.

Zgodnie ze starymi przekazami sami byli kiedyś obywatelami Dombângu, potomkami tej samej kilkusetosobowej grupy przerażonych ludzi, którzy jako pierwsi schronili się w delcie. Jednak w miarę jak Dombâng się rozrastał ze skupiska bud w miasteczko, a z miasteczka w miasto, pojawili się tacy, którzy utrzymywali, że sukces zmiękczył mieszkańców. Delta została odepchnięta zbyt daleko, twierdzili; uznali, że zbyt wiele bezpieczeństwa osłabiło ludzi. Przez krótki czas próbowali namówić miasto do powrotu na drogę dawnych obyczajów, a kiedy to się nie udało, odeszli. Kilkuset wymknęło się z miasta w głąb delty, aby tam się osiedlić, aby znaleźć miejsce, gdzie mogliby przywrócić dawne obyczaje, które delta wpoila swoim pierwszym mieszkańcom, oraz lepiej pamiętać o swoich bogach.

Ludzie z Dombângu przez długie lata próbowali odnaleźć tę osadę. Nie udało im się. Ponieśli porażkę i mało brakowało, a uznano by, że wszyscy Vuo Ton zginęli, gdyby nie to, że od czasu do czasu pojawiali się w mieście, pojedynczo albo we dwóch, ubrani

w skórę boa lub anakondy, z twarzami wytatuowanymi w pionowe linie, aby lepiej kryć się wśród sitowia. Zwykle przychodzili w celach handlowych, oferując stal, żelazo lub szkło za te parę rzeczy, których nie mogli zrobić sami. Rzadko zostawali dłużej niż dzień lub dwa, po czym znikali w sitowiu, nie dając się wyśledzić. Wiedziałam tylko o jednej osobie, która zdecydowała się tu pozostać.

Kiedy dorastałam, żyła w sąsiedztwie kobieta – Chua Dwie-Sieci. Była legendą. Została wychowana w delcie przez ludzi Vuo Ton, a potem porzuciła ich i przybyła do Dombângu z powodu miłości. Miłość nie zmiękczyła jej w żaden sposób. Jej ramiona i barki były mocne jak stal, bo przez połowę życia wiosłowała i wyciągała sieci. Trzy razy z rzędu wygrała zawody małych łodzi, mimo – choć sama podkreślała, że nie *mimo*, tylko *dzięki* – wypicia przed każdymi całej butelki *quey*. Udusiła kiedyś gołymi rękoma wielkiego węża morskiego długości dziesięciu stóp i przyszyła do swojej kamizelki jego czarną skórę, która migotała potem na niej jak woda w świetle księżyca. Pływała szybciej od wszystkich mężczyzn i kobiet, jakich znałam. Była też jedyną znaną mi osobą, która wypadła w delcie z łodzi i przeżyła.

Myśleliśmy, że zginęła, kiedy jej stare kanoe znaleziono w płataninie korzeni na zachód od miasta. Po nocy pełnej załęcznionych szeptów i wzajemnych oskarżeń jej towarzysze postanowili wyruszyć na poszukiwania. Jak jednak odszukać miejsce, do którego nie prowadzą żadne tropy, każdy ślad zostaje natychmiast pochłonięty przez muł, a szalony wiatr każdego popołudnia unosi ze sobą wszelkie zapachy? Przyjaciele kobiety szukali jednak dalej, nie dlatego, że mieli nadzieję ją znaleźć, ale

dlatego, że sama myśl o porzuceniu kogoś w delcie była zbyt okropna, by w ogóle ją rozważać, a ponadto wszyscy myśleli sobie, że któregoś dnia *ich* łódź może się wywrócić w delcie, i wyobrażali sobie, jak wędrują sami przez ten mulisty labirynt, licząc jednak na to, że jeśli coś takiego się zdarzy, ktoś będzie ich szukał.

Nie znaleźli jej, ale dwanaście dni później wróciła i potykając się, przeszła przez rozchwierutany most, który oddzielał naszą dzielnicę, pełną gnijących stert śmieci i rozpadających się nabrzeży, od sąsiedniej wyspy. Dwie-Sieci zawsze była najsilniejszą kobietą, jaką znałam, ale ta, która powróciła do miasta, była prawie nie do poznania. Jedną rękę miała czarną i spuchniętą do łokcia od jadu jakiegoś pająka, jedną łydkę rozszarpaną przez *qirna*, a reszta jej ciała pocięta była przez ostre sitowie. Chua była zbyt twarda, żeby umrzeć, ale nigdy już nie wróciła na wody delty. A co jeszcze straszniejsze, nigdy nie powiedziała ani słowa o tym, co tam widziała. Po prostu przesiadywała w swojej byle jak skleconej chałupie, położonej tak daleko od wody, jak tylko się dało. Siedziała tam i piła. Kiedy dzieciaki gromadziły się i gapiły na nią, przepędzała je trzcina od wędki, a potem wracała do picia, wpatrzona swymi ciemnymi, nieodgadzionymi oczami w mroczny nurt przeszłości.

Osobą, która szła za mną, nie była Chua.

Ten człowiek był od niej wyższy i choć miał w ruchach coś z jej wdzięcznej giętkości, był znacznie bardziej umięśniony.

Nasze oczy spotkały się na chwilę. Uśmiechnął się, pokazując spiłowane ostro zęby, a potem skręcił w cień jednej z uliczek.

Postąpiłam za nim dwa kroki, ale potem się zatrzymałam. Mogłabym go zabić – zapewne – tylko że Próba narzucała mi

ograniczenia. Nie wyglądał na kogoś, kto zacznie zaraz śpiewać. Co mi zatem pozostawało? Miałam wciągnąć go w zaułek i zarzucić serią brutalnych pytań? Nie miałam pojęcia, dlaczego któryś z ludzi Vuo Ton mnie śledzi, ale nie podejmował żadnych kroków, żeby utrudnić mi pracę. W sumie, jeśli mogłam traktować serio jego uśmiech, istniało duże prawdopodobieństwo, że ją akceptuje. Vuo Ton przybywali tutaj na handel, ale nie kochali miasta – to dlatego wynieśli się stąd dawno temu. Wielce prawdopodobne, że idący za mną człowiek *chce*, by panosząca się w łonie delty cywilizacja została podkopana za pomocą krwawych odcisków dłoni.

Idąc z powrotem na Pierwszą Wyspę, w stronę pomnika Goca My'ego, cały czas o tym myślałam. Dla mojej Próby Dombâng wydawał się miejscem oczywistym. Tak naprawdę *jedynym* miejscem. Urodziłam się w Dombângu. Tutaj złożyłam bogu pierwsze ofiary, choć w owym czasie nie wiedziałam jeszcze, że są ofiarami. Moje życie w Dombângu wiodło mnie prosto do życia w Rassamburze. Myślałam już dawniej, że *muszę tu wrócić*. A kiedy już się znalazłam w tym mieście, poczułam, że całe wydaje mi się pułapką, jakby przeszłość nie była wcale przeszłością, lecz jakimś rodzajem zapadni, gdzie cały ciężar minionych lat spoczywa na jakimś cienkim patyku z przynętą, gotów opaść i mnie zmiażdżyć, gdy tylko czegoś dotknę.

Zanim dotarłam do placu pośrodku Pierwszej Wyspy, usłyszałam dźwięk, jakby gdzieś brzęczał milion owadów, a gdy podeszłam bliżej, dźwięk nasilił się i stał się szumem głosów ogromnej ludzkiej cizby. Czegoś się oczywiście spodziewałam – niemal tuzin porąbanych i wybebeszonych ciał ma pewien walor przyciągania uwagi – ale nie sądziłam, że cały plac będzie zatłoczony tak gęsto,

że gdy chciałam posunąć się dalej, musiałam przeciskać się bokiem. Miałam wrażenie, jakby cała populacja wyspy zjawiała się tutaj w komplecie – handlarki rybami w swoich szerokich, natłuszczonych fartuchach; cieśle okrętowi w fartuchach *noc* z narzędziami zawieszonymi u pasa; kupcy, którzy wybiegli ze swoich sklepów, zwabieni zgiełkiem; woźnice, którzy porzucili na krótko swoją pracę, częściowo dlatego, że w ścisoku trudno było wozom posuwać się naprzód, a częściowo dlatego, że podobnie jak wszyscy, gnani ciekawością, chcieli znaleźć się jak najbliżej pomnika Goca My’ego, by zobaczyć, co się tam stało. Ludzie zbierali się w ciasnych grupkach, szepcząc, mrużąc, perorując i wybałuszając oczy nad ramionami towarzyszy, sprawdzając, czy ktoś ze stojących bliżej coś słyszał i coś wie. Rozmowy się różniły, ale wciąż słyszałam te same kilka słów: Chong Mi, krwawe dłonie, rewolucja.

Kiedy wreszcie zbliżyłam się do środka placu, tłum nagle zrzedniał. Nie było trudno stwierdzić dlaczego. Kilkanaście Zielonych Koszul uzbrojonych w kusze i krótkie włócznie tworzyło nierówny kordon wokół posągu i leżących u jego stóp ciał. Choć byli uzbrojeni, to jednak większość rozglądała się nerwowo, niemal lękliwie.

– Cofnąć się – warknął najbliższy z nich, brzydki młody mężczyzna, któremu urody nie przydawała bynajmniej wielka brodawka z boku nosa. Mierzył w tłum włócznią, przestępując z nogi na nogę. – *Cofnąć się*, bo ciachnę.

Pierwszy szereg, czyli ci, którzy stali w obliczu obnażonej stali, cofnęli się o pół kroku. Ci zaś, których osłaniały ciała stojących przed nimi towarzyszy, byli znacznie odważniejsi.

– Wracajcie do Annuru, pieprzone Zielone Koszule! – wrzasnął ktoś. Głos był kobiecy.

Obróciłam się, ale nie było sposobu, by odnaleźć ją w tłumie.

– Albo podejdźcie tutaj! – dodał ktoś inny. – Wsadzimy wam te włócznie w dupę.

Pot spływał po twarzy Brodawkowego. Zerknął przez ramię, najwyraźniej życząc sobie, by jego koledzy uporali się ze swoim zadaniem, zanim sprawy przybiorą naprawdę zły obrót.

Z początku trudno było stwierdzić, na czym to zadanie polegało. Poprzez luki w tłumie widziałam fragmenty całej sceny. Ciała leżały tam, gdzie upadły, zastygłe w swych ostatnich pozach. Dwie Zielone Koszule klęczały w kałużach krwi, obszukując zwłoki, ale nie miałam pojęcia, co zamierzali znaleźć w kieszeniach zabitych. Przesunęłam się lekko, żeby spojrzeć na cokół pomnika. Mój znak wciąż tam widniał, a czerwona farba była aż nazbyt oczywista w świetle dnia. Nie symbol mnie jednak interesował, lecz człowiek, który stał przed nim.

Wpatrywał się w odcisk krwawej dłoni, zwrócony plecami do mnie i do tłumu, ale rozpoznałam kształt jego pleców i małą haczykową bliznę – po ranie, którą sama mu zadałam – połyskującą na gładko ogolonej głowie tuż nad uchem. Inaczej niż pozostałe Zielone Koszule nie miał na sobie zbroi. Mogłam niemal usłyszeć jego głos, ciepły i kpiący: *Po co stał komuś, kto jest szybki?* Nie miał na sobie również standardowego uniformu swojej formacji. Zamiast luźnej zielonej bluzy, był ubrany w lekki, dopasowany płaszcz z szarej wełny, narzucony na bawełnianą koszulę rozpiętą pod szyją. Żadnych insygniów. Żadnych odznak swojej rangi. Chyba się uśmiechnęłam. Ruc Lan Lac nigdy nie był

służbistą.

Jeden z jego ludzi zbliżył się do niego ostrożnie.

– Panie – mruknął strażnik. Ledwo dosłyszałam wypowiedziane przezeń słowo.

Ruc się nie poruszył. Był niemal tak samo spokojny jak stojący obok posąg i wciąż przyglądał się farbie, jakby mógł odnaleźć pod nią coś jeszcze, jakiś głęboko ukryty w kamieniu sekret.

– Panie – powtórzył strażnik głośniejszym głosem. – Tłum robi się niespokojny.

Tym razem się odwrócił. Wiedziałam, że zobaczę jego zielone oczy – zielone jak wzburzone przed sztormem morze, jak gęsty las w popołudniowej ulewie – ale mimo to poczułam lekki skurcz żołądka.

Ela wzięłaby to za dobry znak, pomyślałam, przyglądając się jego twarzy spod dłoni, którą uniosłam, aby osłonić oczy.

Wyglądało na to, że jego nos został złamany raz jeszcze, a z boku podbródka pojawiła się nowa szrama. Nie miało to wielkiego znaczenia. Blizna i lekko spłaszczony nos nie przesłaniały wysokich kości policzkowych, gładkiej, spizowo-brunatnej skóry ani pełnego powagi czoła. Można raczej powiedzieć, że bez tych widocznych na twarzy pozostałości przemocy byłby zbyt piękny. Podczas gdy reszta Zielonych Koszul wydawała się bliska paniki, on patrzył na cizbę, jakby widział coś takiego po raz pierwszy.

– Niespokojny tłum – powtórzył, kręcąc głową. – Nienawidzę tego określenia.

– Panie? – zapytał Zielona Koszula, patrząc nerwowo nad jego ramieniem.

– Brzmi to tak, jakby do tłumu najlepiej pasował spokój – ciągnął

Ruc, patrząc na zgromadzonych. Przerwał i zmarszczył brwi. – A spokój do tłumu nie pasuje.

– Panie... – odezwał się znowu żołnierz. Gdy odrzucił słowo *niespokojny*, jego słownictwo nagle zubożało.

Ruc skinął głową, wyminął strażnika i podniósł głos – ciepły, głęboki baryton – aby słyhać go było przez panującą wrzawę.

– Kto lubi rum?

Większość ludzi nie spodziewa się rumu podczas rozruchów, więc pytanie to najwyraźniej skonfundowało sporą część zebranych, która je usłyszała. Ze zmrużonymi oczyma i zaciśniętymi ustami ludzie szeptali do swoich towarzyszy, pochylali się do przodu, zastanawiając się, czy dobrze usłyszeli. Ruc zawsze wiedział, jak radzić sobie z tłumem.

– Wiem, że to bardzo ekscytujące – ciągnął, wskazując kciukiem za siebie. – Zabici ludzie. Odcisk dłoni. – Zapewniam was jednak, że to całkiem nudne. Ja na przykład odczuwam zupełne przeciwieństwo podniecenia. Spędzimy ranek, taszcząc te zwłoki do krematorium, potem zmarnujemy sporo czasu na zmywanie krwi z bruku, na umycie pomnika, a potem wrócę do Wraku Statku, aby całe popołudnie pisać piekielnie nudny raport. Wszyscy możecie sobie dalej patrzeć albo dostać darmowy rum.

Uniósł brwi i czekał.

– Nie możesz nas, kurde, kupić pieprzonym rumem – ryknął ktoś z tłumu.

– Jakie to szlachetne – powiedział Ruc. – Cieszę się, że ktoś z niezłomnymi zasadami będzie tu, żeby dopilnować sprzątanania. A reszta niech zmierza do Nowego Portu, gdzie czeka statek *Wściekłość Roshina*, który tego ranka przyplłynął z Sellas. Jest

wyładowany beczkami czerwonego rumu i oliwek. Przynieście koszyki i duże garnki, a moja załoga je wam napełni.

Ruc odwrócił się z powrotem do pomnika, nie mówiąc już ani słowa. Pozostałe Zielone Koszule toczyły nieufnymi spojrzeniami po tłumie, gotowe odeprzeć atak, ale widziałam, że ludzie powtarzali usłyszane słowa: „Rum. Darmowy rum”. Ci, którzy stali po bokach, zaczęli się wymykać. Z punktu widzenia w miarę zamożnego kupca koszt oliwek i garnek czerwonego rumu nie były ekstrawaganckim podarkiem, ale większość ludzi zebranych na placu nie była zamożnymi kupcami. Nikt nie hodował oliwek w odległości mniejszej niż trzysta mil od Dombângu, a czerwony rum pijano dość rzadko, głównie z okazji wesel i pogrzebów.

Ciała wciąż tam były, rzecz jasna, podobnie jak odcisk mojej dłoni, choć farba zdążyła już wyschnąć w ciepłe poranka. Gniew wciąż był wśród tłumu obecny, ale prędko ustępował. Ruc nie dał temu gniewowi żadnego punktu zaczepienia, żadnego kierunku. Teraz widziałam, dlaczego biurokraci z Annuru tak bardzo go prosili, żeby wrócił do miasta i objął dowództwo Zielonych Koszul; po prostu uniknął zamieszek za cenę kilku beczek rumu.

Lubię walki, zwykł mawiać, które mogę wygrywać, nie wymieniając zbyt wielu ciosów.

Jak na pozbawionego skrupułów boksera było to dość dziwne stwierdzenie i nigdy mu, tak naprawdę nie uwierzyłam. Ruc był zawsze gotów do przemocy, był jej, jak mi się zdawało, wręcz spragniony. Szczęśliwie się dla niego złożyło, bo, choć jeszcze o tym nie wiedział, ta walka dopiero się zaczynała, a jeśli potoczy się po mojej myśli, wykroczy znacznie poza zwykłe bokserskie uderzenia.

4

Gdy wróciłam do gospody, słońce świeciło już wysoko nad spiczastymi dachami na wschodzie. Kilka tuzinów klientów rozlokowało się pojedynczo lub dwójkami przy tekowych stolikach, sącząc z czarek parującą *ta*, wyjadając z miseczek soczyste owoce i nie wykonując żadnych gwałtownych ruchów, ze względu na ból głowy pozostały po poprzednim wieczorze.

Młody służący z nagim torsem pozdrowił mnie, gdy tylko zesłam z mostu na taras.

– Witamy ponownie w Tańcu – mruknął, a jego wargi rozchyliły się w lekkim uśmiechu.

Uświadomiłam sobie nagle, jak muszę wyglądać: młoda kobieta, najwyraźniej ubrana we wczorajsze, zmięte ubranie, z włosami w nieładzie, powracająca do gospody o niezbyt dyskretnej porze, już po wschodzie słońca.

– Mam nadzieję, że wieczór był przyjemny – ciągnął dalej obojętnie.

Wzruszyłam ramionami i spojrzałam mu w oczy.

– Średnio.

– Przykro mi to słyszeć. – Jego uśmiech nie wyrażał specjalnej przykrości. – Nie dopuszczę, by kobieta taka jak ty wyrobiła sobie złą opinię o naszym mieście. Może dziś wieczorem pozwolisz, żebym został twoim przewodnikiem? Jeśli lubisz śliwkowe wino, to znam pewien przybytek...

Przerwałam mu:

– Wolę *quey*.

Uniósł brwi.

– To mocny trunek dla mocnej kobiety. Znam takie miłe miejsce...

– Jestem pewna, że jest urocze, ale jedynym miejscem, o jakim teraz marzę, jest cichy stolik w towarzystwie wielkiego kubka *ta*.

Nie okazał, by moja szorstkość go dotknęła. Po prostu mrugnął do mnie, zgiął się lekko w wyćwiczonym ukłonie i gestem wskazał mi stół na dalekim końcu tarasu, blisko poręczy. Uświadomiłam sobie, że muskam palcem rękojeść noża przypasanego na udzie. Odeszłam spod pomnika Goca My'ego w dobrym nastroju, ale coś w zachowaniu młodego człowieka zwarzyło mi humor. Nie chodziło wyłącznie o to, że się do mnie zalecał; tysiąc razy słyszałam już dużo gorsze zaczepki w rozmaitych miastach. W gruncie rzeczy to banalność tej sceny mnie zabolęła. Łatwość zaproszenia ze strony mężczyzny i jego oczywista obojętność wobec mojej odmowy. Cały ten maleńki epizod przypominał mi po prostu, jak obojętnie większość ludzi żegluje po wodach romansu, a miłość i wszystkie jej bardziej ordynarne pochodne przychodzą z łatwością wszystkim oprócz mnie.

– To zły zwyczaj.

Podniosłam wzrok i ujrzałam Kossala wychylającego się z krzesła naprzeciwko. Dla kapłana jedynym ustępstwem wobec panującego w Dombângu upału była zmiana ciężkiej szaty na lżejszą, z cieńszej wełny.

– Rozmawianie z ludźmi?

– To również. Ale miałem na myśli nóż.

Zdałam sobie sprawę, że wciąż stukam o niego palcem. Skrzywiwszy się, oderwałam rękę od uda i zatrudniłam ją do trzymania kubka za ucho.

– Gdzie Ela? – zapytałam.

Wzruszył ramionami i położył drewniany flet na stole przed sobą.

– Zaplątana między jednym nagim ciałem a drugim, jak się domyślam.

Obserwowałam jego pobrużdżoną twarz, gdy machnął ręką, by zamówić kubek *ta* dla siebie. *Stary* nie było dla niego dobrym określeniem; zbyt mocno wiązało się z takimi określeniami jak *słaby* lub *niepewny*. Lata odcisnęły swoje piętno na Kossalu. Pieprzyki i plamy wątrobowe pokrywały jego czaszkę; połamane dawno temu knykcie sterczały krzywo z jego długich, eleganckich palców, lecz on sam, jak dobra stal lub porządnie wyprawiona skóra, zdawał się starzec w jakimś sensie właściwie, jakby przez długie dziesięciolecia jego ciało czekało właśnie na tę starość. Myśl o jego związku z Elą wydawała się dziwna, lecz nie groteskowa.

– Nie przeszkadza ci to? – spytałam.

– Przyzwyczailem się. Przez kilka lat oddawałem wszystkich jej kochanków i kochanki bogu.

– Ile tego było?

– Czterdzieścioro siedmioro.

Zamrugałam.

– W tym ktoś, kogo znałeś?

– Czterech kapłanów Ananshaela, dwie kapłanki. Jedna była moją dawną przyjaciółką.

– I dlatego przestałeś?

Pociągnął łyk *ta*, po czym pokręcił głową.

– Przestałem, bo nie nadażalem. Ta kobieta pieprzy szybciej, niż ja zabijam.

Zanim zdołałam wymyślić jakąś odpowiedź, od stołu w połowie tarasu dobiegł do nas zszokowany okrzyk. Obróciłam się i ujrzałam wysokiego mężczyznę w niebieskiej kamizelce, który pochylał się nad stołem i gorączkowo coś szeptał, podczas gdy jego audytorium nachylało się ku niemu, słuchając z uwagą. Większość tego, co mówił, umykała mi, ale zdołałam wyłowić „Goc My” oraz „krwawe dłonie”.

– A zatem – Kossal przyglądał mi się przez obłoczek pary unoszący się znad kubka – wygląda na to, że dogoniła cię w końcu wieść o twojej nocnej działalności.

Nie krzyczał, ale też nie zniżał zanadto głosu.

– Szedłeś za mną?

Skinął głową.

– Niestety.

– Myślałam, że będziesz wdzięczny za wycieczkę po mieście połączoną z oglądaniem pomników.

– Szczyty Ancazu są pomnikami. To, co macie tutaj, to kupa zbutwiałego drewna i nadmiar stojącej wody.

– Nie widziałam cię.

– Pochłonięta niewątpliwie swoimi artystycznymi przeżyciami.

Zawahałam się.

– Nie widziałeś nikogo innego, kto mnie śledził? Wysokiego. Z tatuażem na twarzy?

Kapłan potaknął skinieniem głowy.

– Dziwny wygląd, jak na kogoś parającego się skradaniem.

– Dziwny tylko w mieście. W delcie te tatuaże udają sitowie.

– Rybak?

Potrząsnęłam głową.

– Rybacy z miasta pozostają w łodziach. To był ktoś z ludu Vuo Ton.

– Domyślam się, że to coś znaczy.

– Pierwsza Krew.

– Wiele mówiąca nazwa.

– Lud Vuo Ton opuścił Dombâng niedługo po założeniu miasta. Założyli własną osadę w delcie.

– Żeby być bliżej krokodyli?

– Żeby być bliżej swoich bogów.

Kossal possał ząb, pociągnął łyk *ta* i przepłukał nią usta, cały czas przypatrując mi się uważnie.

– Opowiedz mi o tych bogach – powiedział w końcu.

Już otworzyłam usta, gdy na pół uderzenia serca świat jakby odpłynął na bok. Gorący, jasny ogień przesłonił mi widzenie, przesłonił Kossala, taras, kanał i całe miasto za nim. Było tylko światło, bezkresne jak niebo, a w nim, wynurzające się z jasności, dwie zwężone pionowo źrenice. Były czarne jak noc, bez wyrazu, ale kiedy przyjrzałam im się chwilę, zaczęły sprawiać takie wrażenie, jakby przyglądały mi się z drapieżnym upodobaniem.

Nie, spróbowałam powiedzieć. Zawsze próbowałam tak mówić, gdy oczy te majaczyły w moich snach lub widzeniach na jawie: *Nie*. I tak samo jak zawsze słowo to nie padło. Złapałam za brzeg blatu, ścisnęłam go, próbowałam się opanować, a po chwili wizja się rozplynęła, powrócił widok Kossala, a z nim i reszta otoczenia. Wciąż siedział przede mną, oczy miał zmrużone, patrzył badawczo, ale źrenice były na szczęście okrągłe.

– Wyjaśnisz mi, co się stało? – zapytał.

Potrząsnęłam głową, usiłując pozbyć się resztek wizji.

– To po prostu zmęczenie.

Kossal spojrzał na moją dłoń zaciśniętą kurczowo na brzegu stołu.

– Nie męcz się zatem jeszcze bardziej.

Rozwarcie palców zajęło mi dłuższą chwilę. Poruszyłam nimi ostrożnie.

– Zanim zjawili się Annuryjczycy, Dombâng czcił rozmaitych bogów. To były lokalne bóstwa. Bóstwa delty.

– Widziałaś kiedyś któreś z nich?

Popatrzyłam na niego i spróbowałam opanować strach, który zmroził mi krew w żyłach.

– Widziałeś kiedyś czerwonego kruka?

– Coś takiego nie istnieje.

– Tak samo nie istnieją dawni bogowie Dombângu.

Oślepiający zawrót głowy zagroził mi znowu, ale utkwiałam oczy w Kossalu i wciągnęłam powietrze głęboko do płuc. Kiedy je wytchnęłam, zawrót głowy minął.

– Wygląda na to – odezwał się Kossal – że kupa ludzi w tym mieście cholernie ciężko pracuje w służbie czegoś, co nie istnieje.

Zerknęłam przez ramię. Nastrój na tarasie przed Tańcem Anho przeszedł od zrelaksowania do podejrzliwości. Mężczyźni i kobiety pochylali się nad stolikami. Syki i szepty zastąpiły zwykły pomruk obojętnych pogawędek. Z miejsca, w którym siedziałam, każdy wyglądał jak konspirator.

– W dowolnym mieście w Eridroa – powiedziałam, ponownie zwracając się ku Kossalowi – znajdziesz mnóstwo ludzi

opowiadających historie o dawnych bogach.

– Tutejsi wykraczają odrobinę poza zwykłe opowiadanie – zauważył Kossal. – Jedną rzeczą jest snucie opowieści przy kominku, a inną podpiłowywanie pali na grobli, żeby nakarmić ludźmi krokodyle.

– Lokalna mitologia zapuściła tu głębsze korzenie, bo mieszkańcy Dombângu nigdy nie byli świadkami prawdy.

– Krąży tu mnóstwo rozmaitych prawd. O której z nich mówisz?

– O prawdzie o bogach. Pierwsi osadnicy w Dombângu uciekli tutaj przed tysiącami lat, podczas wojen z Csestriimami. Przybyli do delty, bo było to jedyne miejsce, w którym mogli się ukryć, gdzie Csestriimowie nie mogli ich ścigać.

Kossal prychnął.

– Skoro Annur zdołał podbić Dombâng, to możesz dać w zastaw własną dupę, że Csestriimowie zrobiliby to z łatwością.

– I może by tak się stało. Ale zabrakło im czasu. Zjawili się młodzi bogowie, przybrali ludzką postać i pomogli odwrócić losy wojny. – Pokręciłam głową. – Ale mieszkańcy Dombângu o tym wszystkim nie wiedzieli.

– Byli zbyt zajęci ukrywaniem się.

Skinęłam głową.

– Wieść o młodych bogach obiegła Vash i Eridroę, ale nie dotarła tutaj. Stało się to dopiero znacznie później, gdy od zakończenia wojny minęły już tysiące lat, a miasto otworzyło się w końcu na handel. W tym czasie lokalne opowieści zdążyły się już umocnić, a te, które mogły je zastąpić, mówiły o zbyt dawnych rzeczach, aby zrobić większe wrażenie.

Kossal stukał w zamyśleniu palcami o brzeg kubka, po czym

spojrzał na mnie.

– A jednak nie udało ci się uwolnić od tutejszej skłonności do przesądów.

Odetchnęłam głęboko, żeby się uspokoić. Gorące powietrze poranka pachniało trawą cytrynową, słodką trzcina, wędzoną rybą. Pachniało domem, miejscem, do którego nigdy nie zamierzałam powrócić.

– Większy bóg mnie uwolnił.

– Jeszcze nie – odparł Kossal.

– Ale to robi. Ananshael każdego dnia zostawia swój ślad w świecie. Inaczej niż ci tak zwani bogowie delty.

– Którzy twoim zdaniem są tylko opowieściami?

– Jeżeli mam wybierać między opowieściami a prawdziwymi bogami snującymi się w sitowiu po delcie, to stawiam na opowieści.

Kapłan badał językiem wnętrze policzka, cały czas uważnie mi się przyglądając.

– Nie każdy nieśmiertelny jest bogiem.

Chwilę trwało, nim dotarły do mnie jego słowa.

– Mówisz o Csestriimach – wykrztusiłam wreszcie. – Albo o Nevariimach.

Machnął lekceważąco dłonią.

– Nevariimowie *naprawdę* są mitem.

– Podobnie jak Csestriimowie – odparłam. – Przynajmniej teraz.

Wytepełiliśmy ich w wojnach.

Kossal zmarszczył brwi, wziął do ręki flet i zamarkował na nim palcami kilka nut, nie podnosząc instrumentu do ust.

– Nie wszystkich.

Spojrzałam na niego w zdumieniu.

- Sądziysz, że jacyś przetrwali? Uciekli?
- Ja to wiem. – Jego palce wykonały na flecie szybkie arpeggio.
- Skąd?
- Całe życie na nich polowałem.
- Polować nie znaczy znaleźć.
- Znalazłem dwóch. Obu oddałem bogu.

Te ostatnie słowa padły tak obojętnie, tak od niechcienia, że równie dobrze mógł opowiadać o zarzynaniu owiec lub patroszeniu ryb, a nie o znajdowaniu i zabijaniu ostatnich przedstawicieli nieśmiertelnej rasy. Podniósł flet do ust, zagrał kilka skocznych nut tanecznej melodii, której słuchaliśmy, wchodząc do miasta, potem zmienił tonację na molową, spowolnił i nagle była to już pieśń żałobna.

– Dlaczego Csestriimowie mieliby ukrywać się w delcie? – zapytałam, nie całkiem wierząc w słowa, które wyszły z moich ust.

Kossal zagrał jeszcze parę taktów, po czym opuścił flet.

- Gdzieś muszą się ukrywać. To właśnie zwykle robią.
- Przyczaili się w mule?

To nie pasowało do opowieści o nich. Csestriimowie z kronik byli bezdusznymi, ale bystrymi wynalazcami i budowniczymi, strażnikami zapomnianej wiedzy, jakiej ludzie nie byli w stanie sobie wyobrazić.

– Zostali bogami – rzekł kapłan. – Obrócili ludzką łatwowierność na własną korzyść. Dombâng może być ich dziełem, ich eksperymentem.

– Pierwsi ludzie przybyli tutaj, żeby *uciec* przed Csestriimami – upierałam się.

Kossal uniósł brwi.

– A co, jeśli im się nie udało?

To niemal przekraczało moją wyobraźnię: Dombâng, tysiące lat jego historii, całe to wielomilionowe miasto, jako igraszka kilku nieśmiertelnych.

– Myślisz, że tutaj są?

Kapłan wzruszył ramionami.

– Może. A może nie. Przestałem bawić się w zgadywanki.

– A jeżeli są?

– To znaczy, że są już mocno spóźnieni na spotkanie z naszym bogiem.

Uderzył fletem o wnętrze dłoni, jakby oceniał ciężar instrumentu albo próbował opróżnić go z resztek pozostałych w jego wnętrzu dźwięków, a potem znów podniósł go do ust.

5

Obudziłam się, gdy wczesny wieczór już pociemnił niebo. Choć od czasu przygody na grobli nie używałam noży, wyjęłam je z pochew, przeciągnęłam ostrza naoliwioną szmatką, po czym przypięłam z powrotem do ud. Po dwudziestu latach czułam się bardziej naga bez nich niż bez ubrania, które włożyłam później: wciągnęłam lekkie, luźne spodnie i kamizelkę. Gdy wyszłam na główny taras, znalazłam tam Elę siedzącą przy małym stole blisko baru. Przed nią stała karafka schłodzonego śliwkowego wina.

– Pyrre! – wykrzyknęła, przywołując mnie machnięciem ręki, a potem dała znak pólnagiemu służącemu, by przyniósł drugi kieliszek.

Gdy nalewał mi wino, zerknęła na jego muskularny tors i ramiona z wyraźnym podziwem, a potem wcisnęła mu srebrną monetę. Uniósł brew na tę ekstrawagancję, lecz zaraz skłonił się w podzięcie. Ela przechyliła głowę i uśmiechnęła się.

– Za te pieniądze mogłabyś kupić drugą butelkę – zauważyłam, gdy mężczyzna odszedł od stołu.

Ela zaśmiała się radośnie.

– Nie o butelkę mi chodzi. – Ściągnęła usta, pociągnęła łyk wina i wzruszyła ramionami. – A przynajmniej nie *tylko* o butelkę. Jak spędziłaś noc? Słuchałam rozmów tu, na tarasie – mruknęła i przysunęła się bliżej. – Napsociłaś, co?

Zerknęłam przez ramię, sprawdzając, czy ktoś nie słucha.

Ela uśmiechnęła się szerzej.

– Jakież to potajemne. Opowiedz mi wszystko.

Zniżyłam głos.

– Pomalowałam trochę...

Kapłanka machnęła niecierpliwie ręką.

– Oszczędź mi tych nudnych wstępów o wzniesieniu rewolucji.

Spojrzałam na nią ze zdziwieniem.

– Nie interesuje cię jedenastu nieboszczyków pośrodku miejskiego placu?

– Ludzie umierają codziennie, Pyrre. Naoglądałam się tyle trupów, że wystarczy mi do końca życia. Przejdź do ciekawszych rzeczy.

– Ciekawszych rzeczy?

– Do tego wspaniałego mężczyzny – odparła, a jej brązowe oczy zabłysły – którego zainteresowanie chciałaś wzbudzić... dekorując całe miasto.

Nerwowo wciągnęłam powietrze przez zaciśnięte zęby i znowu obejrzałam się przez ramię. Najwyraźniej wszyscy na tarasie zajęci byli szeptaną konwersacją. Każdy zerkał nieufnie na sąsiednie stoliki. *Niczym się od nich nie różnimy*, powiedziałam sobie w duchu, choć nie miałam do końca racji. Spośród wszystkich ludzi zgromadzonych na tarasie tylko Ela wydawała się zupełnie zrelaksowana. Oparłszy łokcie na stole, obracała w dłoni kieliszek, trzymając go za nóżkę, i przyglądała mi się uważnie. Rzecz jasna ze wszystkich ludzi na tarasie tylko ja jedna spędziłam ubiegłą noc na wypełnianiu proroctwa, biegając po całym tym cholernym mieście.

– Widziałaś go, prawda? – zapytała Ela, mrużąc oczy.

– Tak – przyznałam, po czym zamilkłam, niepewna, co

powiedzieć dalej.

– Pyrre – odezwała się wreszcie Ela – oddawałam kobiety bogu z powodu mniejszych rozczarowań niż to, które każesz mi teraz przeżywać. – Wlała resztę wina z karafki do mego kieliszka, wskazała nań niecierpliwym gestem i czekała, aż wypiję. – Rozmawiałaś z nim?

Pokręciłam głową.

– A on cię dostrzegł?

– Nie.

Ela zmarszczyła brwi.

– Cała ta historia staje się coraz mniej ciekawa. Będziesz musiała opowiedzieć mi inną.

Spojrzałam na nią zaskoczona.

– Jaka?

– Jak się poznaliście.

Przeniosłam spojrzenie na kanał.

– Skąd wiesz, że w ogóle jest jakaś historia?

– Och, moja słodka. *Zawsze* jest jakaś historia.

†

Miałam dziewiętnaście lat, gdy po raz pierwszy ujrzałam Ruca Lan Laca. Było to w Sia, w Zatopionej Dzielnicy starego miasta, tysiąc mil od Dombângu. Nie szukałam go tamtej nocy, nie szukałam *nikogo*. Wyszłam z mojego małego pokoiku z widokiem na jezioro, szukając tylko muzyki. Byłam w Sia już od ośmiu miesięcy i choć to miasto, jak każde, ma swoją muzykę – mężczyźni o chropawych głosach wykrzykują szanty, siedząc na odwróconych baryłkach

w tawernie przy nabrzeżu, w bogatych rezydencjach eleganckie tria grają przy otwartych oknach i można zatrzymać się na ulicy, by posłuchać kilku taktów – to jednak brakowało mi muzyki Rassamburu.

Wyznawcy Ananshaela uczą się śpiewu na długo przedtem, nim nauczą się władać nożem czy łukiem. Dziesięcioletnie dzieci siadające na krawędziach naszych urwisk i rzucające kamieniami w przepaść potrafią świetnie wykonywać polifoniczne utwory, z którymi nie poradziłby sobie nawet doświadczony bard. Polubiłam Sia, polubiłam ostro przyprawione potrawy, wschód słońca nad jeziorem, ale tęskniłam za muzyką Rassamburu. Kiedy więc usłyszałam, że Chór Pani Aslim – legendarny chór utrzymywany przez tę starą kobietę z jej prywatnych funduszy – otworzy mury świątyni, musiałam tam pójść. A gdy się dowiedziałam, że będą wykonywać *Hymn dla Zapomnianych Antreema*, nic nie mogło mnie zatrzymać.

To przynajmniej myślałam, zanim spotkałam Ruca.

Przybyłam wcześniej do starej świątyni w Zatopionej Dzielnicy miasta. Koncert był otwarty, co było aktem poświęcenia pani Aslim, mającym na celu upamiętnienie osiemsetnej rocznicy założenia Sia. Spodziewałam się, że będzie tam tłum, ale połowa drewnianych ław była pusta.

Wrażenie było dość smutne, jak mi się wydaje. Z okazji rocznicy na ulicach poza świątynią pełno było kuglarzy i połykaczy ognia, akrobatów i sprzedawców owoców. Idąc tam, nie mogłam przepchnąć się przez plac Frangela, ponieważ członkowie Bractwa Stalowego Ciała dokonywali tam właśnie makabrycznego aktu, wbijając sobie haczyki w mięśnie piersi i pleców, a potem wieszając

się na nich ponad brukiem ku zgrozie i zachwytowni zgromadzonych. Chór Pani Aslim zapewne był sławny w pewnych kręgach, ale Msza Antreema była długim, trudnym i wymagającym utworem, niezbyt pasującym do pijackiego festynu. Sądząc po zebranych tłumach, większość mieszkańców miasta wolała piersiaste połykaczki mieczy od dawnej chóralnej muzyki.

Pasowało mi to.

Choć przybyłam do Sia w ramach moich przygotowań do służby bogu – aby dobrze wykonywać naszą pracę dla Ananshaela, musimy się nauczyć płynnego poruszania we wszelkiego rodzaju sytuacjach – i spędziłam większą część roku w zatłoczonych labiryntach kamiennych ulic starego miasta, to tłumy wciąż mnie denerwowały. Ludzka ciżba nazbyt przypominała mi o dzieciństwie spędzonym w Dombângu i w niczym nie kojarzyła się z bezkresnym niebem Ancazu. Tłum nie zamierzał słuchać Antreema, więc z rozkoszą rozparłam się w pustej ławie na samym końcu świątyni, w odległości kilkunastu stóp od najbliższej osoby.

Nie byłam więc zachwycona, gdy ktoś dosiadł się do mojej ławki, mimo że miał do dyspozycji wiele innych, lepszych miejsc.

Przesunęłam się o dobrą stopę, aż dotknęłam ramieniem kamiennej ściany na końcu ławy, po czym spojrzałam z irytacją w bok. Mój nowy towarzysz – młodzieniec w wieku dwudziestu kilku lat – zdawał się zupełnie mnie nie zauważać. Było to nawet zrozumiałe, biorąc pod uwagę, że jego prawe oko, podbite okropnym fioletowym siniakiem, napuchło tak, że zupełnie się zamknęło. Prawdę mówiąc, oko stanowiło tu najmniejszy problem. Widać było, że jego nos został niedawno złamany i nastawiony, a z górnej wargi spłynęła kropla krwi. Bezwiednie otarł ją rękawem, pozostawiając

czerveną plamę na zębach. Także jego ucho zostało brzydko nadszarpięte w dolnej części, jakby ktoś próbował je oderwać, pomagając sobie zębami. Strużka krwi ściekała też z rany widocznej w rozcięciu koszuli. Stanowiła ona część munduru annuryjskiej legii, choć miałam wystarczające pojęcie o legiach, żeby wiedzieć, że jeśli ten człowiek pojawi się w koszarach w takim stanie, to spędzi pół tygodnia w dybach.

Pijany, pomyślałam, zaszedł tu w poszukiwaniu miejsca, w którym mógłby odespać.

Pomyślałam, żeby wyciągnąć go na zewnątrz i ułożyć w jakimś zaułku, gdzie nie przeszkadzałby w słuchaniu Mszy. Ale ważył dużo więcej ode mnie i, sądząc po spuchniętej twarzy, najwyraźniej nie unikał bójek. Mogłam oddać go bogu, podciąć mu gardło tam, gdzie siedział, ale gdyby ktoś zauważył krew zbierającą się na starych płytach posadzki, chaos z pewnością zakłóciłby śpiewy.

Siedziałam zirytowana i zerkałam na niego, rozważając tę istotną kwestię na tyle długo, aby stwierdzić wreszcie, że mężczyzna wcale nie jest pijany. Zamknął drugie oko, to nie opuchnięte, ale nie spał, sądząc przynajmniej po oddechu i pozycji głowy. W gruncie rzeczy z zamkniętymi oczyma wydawał się bardziej skupiony, a nawet nabożny – to słowo przyszło mi do głowy całkiem nieproszone – niż większość koncertowych bywalców siedzących w pierwszych ławkach bliżej środka nawy. Podczas gdy oni szeptali i plotkowali, niecierpliwiąc się, on po prostu czekał z dłońmi opartymi na kolanach. Dłonie również krwawiły, a większość knykci była poraniona.

Nie poruszył się, by przyłączyć się do oklasków, gdy trzynaścioro mężczyzn i kobiet z Chóru Pani Aslim, ubranych na czarno,

wkroczyło przez niskie kamienne drzwi, aby zająć miejsca w nawie. Nawet nie drgnął ani nie otworzył oczu, ale coś w jego postawie się zmieniło, niemal niezauważalnie, jakbyśmy byli opiłkami żelaza, a ktoś na drugim końcu miasta poruszył magnesem.

Irytacja zawrzała we mnie jak gotująca ciecz. Przyszłam tu, żeby zatracić się w *Hymnie Antreema*. Czekałam na to od wielu tygodni. Wyobrażałam sobie ten gorący wieczór w Sia wypełniony światłem latarni i noc wibrującą w takt utworu pochodzącego jeszcze z czasów Atmanich, i siebie zagubioną w muzyce. Zamiast tego dzieliłam ławę z jakimś poranionym, krwawiącym idiotą i co gorsza, z jakiegoś powodu, kiedy pieśń już się zaczęła, moje myśli zaczęły krążyć wokół niego z zaciekawieniem.

Powinłam była go zabić, gdy tylko tu wszedł, pomyślałam. Istniały przecież sposoby inne od podrzynania gardła, bardziej dyskretne, do których mogłam się uciec, nie zakłócając koncertu. Teraz jednak, gdy muzyka już rozbrzmiała, wcale nie miałam ochoty przysuwać się do niego i owijać mu szyi szalikiem.

Próbowałam o nim zapomnieć, zamknąć oczy, gdy tylko chór zaczął śpiewać, i poddać się muzyce. Pierwsze nuty *Hymnu* zarysowały główny motyw, dysonansowy, w tonacji molowej, skupiony na sobie niekompletny kształt, jakby pewnych nut w nim brakowało, jakby zostały zapomniane lub wyrwane. Kiedy włączył się drugi głos, ucho aż bolało z powodu tych utraconych tonów. Kontrapunkt obiecywał pełnię, a potem jej zaprzeczał. W końcu, z zamkniętymi oczyma, zdołałam podążyć krętym tropem muzyki. Zapomniałam o siedzącym przy mnie zakrwawionym mężczyźnie.

Kiedy pierwsza część dotarła do przejmującego zakończenia, a ja otworzyłam oczy, ujrzałam, że wciąż tam siedzi. Przestał krwawić,

ale zaczął cicho łkać, co było jeszcze gorsze. Jego pięści dygotały na podbrzuszu, a skóra na opuchniętych knykciach napięta była do granic. Moje własne dłonie były spokojne – tego ucza w Rassamburze – ale rozpoznałam jego drzenie jako coś, co stało się pod wpływem muzyki. Czasem wydaje się, że jedynym sposobem przeżycia *Hymnu* Antreema jest wysłuchanie go do końca, ale mężczyzna obok mnie nie czekał. Gdy śpiewacy zebrali się do wykonania drugiej części, otworzył oczy, potoczył błędnym wzrokiem, potrząsnął głową, jakby chciał rozjaśnić myśli, a potem, ku memu zdumieniu, wstał. Nasze spojrzenia spotkały się na chwilę, po czym odwrócił się i ruszył ku drzwiom świątyni i w panującą za nimi noc.

†

– Poszłaś za nim – powiedziała Ela. To nie było pytanie.

Dopiłam wino i ze znużeniem skinęłam głową. Słońce już od dłuższego czasu zapadło w mgiełkę po zachodniej stronie nieba. Czerwone łuskowe latarnie rozświetlały taras, kołysząc się w ciepłej bryzie, a w ich wnętrzu tańczyły płomienie. Służący, z którym przez cały wieczór flirtowała Ela, przyniósł nam kolejną karafkę wina. Tym razem ociągał się z odejściem i położył dłoń na jej nagim ramieniu.

– Mogę dorzucić coś jeszcze?

Ela odprawiła go wesołym gestem dłoni.

– Później, Triem, później.

Spojrzałam z powątpiewaniem na pełną po brzegi karafkę.

– Chyba mam już dość.

– Bzdura – orzekła Ela, nagle bardzo rzeczowym tonem, i napełniła mój kieliszek. – Nie zdołam wyciągnąć z ciebie dobrej opowieści, jeśli najpierw nie napoję cię winem. To oczywiste. – Nalała też sobie, po czym odsunęła karafkę. – No dobrze. A zatem poszłaś za nim.

– Poszłam za nim – potaknęłam ostrożnie.

Ela przyjrzała mi się z uwagą.

– Dlaczego?

To samo pytanie zadawałam sobie już setki razy. Pytanie, na które nie było dobrej odpowiedzi.

– Jego oczy – odparłam.

– Myślałam, że widziałaś tylko jedno. Drugie było zapuchnięte.

– W porządku. Jego oko.

– Potrafiłabyś je opisać?

Zawahałam się. Pominęłam ten wątek, mówiąc o porannych wydarzeniach koło pomnika.

– Głęboka zieleń – wyjawiałam w końcu.

Ela uśmiechnęła się.

– Lubię zielone oczy.

†

Właśnie zsuwałam się z ławki, gdy zaczęła się druga część Mszy, a wszystkie trzynaście głosów wyśpiewało razem, na pół pieśnią, na pół krzykiem, tę jedną niewyraźną nutę zatrzaśniętą między umysłem a wszelką inną myślą. Wiedziałam, że to nastąpi, ale nogi ugięły się pode mną. Przez chwilę chwiałam się, położywszy dłoń na oparciu ławki. Muzyka niemal pociągnęła mnie z powrotem.

Mało brakowało, a usiadłabym w ławce, żeby wysłuchać reszty, ale coś w twarzy tego młodego człowieka pociągało mnie równie mocno jak Msza i coś w tym jednym zielonym oku było odbiciem mocy tej muzyki, jej wdzięku i wściekłości. A zatem, zamiast pozwolić mu odejść, poszłam za nim w ciepłą noc.

Kiedy ciężkie drzwi zatrzasnęły się za mną, muzyka urwała się natychmiast. Wyobraziłam sobie, że ktoś nagle zatkał usta śpiewaków poduszkami i trzymał je mocno, oni zaś szamotali się i walczyli w milczeniu, a ich oddechy i brzmienie głosów ginęły bezpowrotnie w nieustępliwej miękkości. Ci, którzy wychowali się w Rassamburze, o wszelkich zakończeniach myślą jak o czymś ostatecznym. Oczywiście pieśń brzmiała dalej, dobywała się z trzynaściorga gardeł, ale dla mnie tej nocy została zakończona. Nagle poczułam się zagniewana i ten gniew mnie zdumiał.

– To nie jest dla wszystkich.

Odwróciłam się na dźwięk tych słów i ujrzałam tego młodzieńca, stojącego pośrodku brukowanej ulicy plecami do mnie. Nie obejrzał się, kiedy mówił, po prostu wpatrywał się prosto przed siebie, jakby przyglądał się pochodniom zatkniętym wzdłuż ulicy. Przez jedno uderzenie serca myślałam, że wcale nie odezwał się do mnie, że właśnie ujrzał kogoś znajomego, lecz prawda była w jego postawie, czytelna dla każdego, kto tak jak ja spędził życie na uczeniu się mowy ludzkiego ciała. Wiedział, że tam jestem, spodziewał się, że pójdę za nim, i co więcej, był gotów.

Mimo całej skrywanej gotowości do przemocy jego głos był cichy, głęboki, lecz cichy. Nie był to głos, jakiego spodziewałam się po mężczyźnie o poranionych knykciach i pokiereszowanej twarzy. Mógłby należeć do śpiewaka – miał odpowiedni tembr, lecz sam

sposób mówienia daleki był od muzyki.

Pokręcił głową.

– Spodziewałaś się czegoś żywszego po Antreemie? Czegoś bardziej pasującego do tańca?

Znowu przyszło mi na myśl, żeby go zabić. Wciąż nie byłam pewna, dlaczego wyszłam ze świątyni, ale na pewno nie po to, by poświęcać tę doskonałą muzykę dla jego drwiny. Czułam na udach moje noże, a ich ciężar uspokajał jak modlitwa i obietnica zarazem. Przez tkaninę spodni wyczułam paznokciem zarys rękojeści. Mój bóg mimo wszystko wypowiada się bardzo jasno, jaki rodzaj nabożności lubi najbardziej: kapłani Ananshaela mogą zabijać dla sprawiedliwości, z litości, a nawet dla czystej radości, ale nasze ofiary nie mogą być składane w gniewie. Gniew profanuje dar i ujmuje mu wartości.

– Ty pierwszy wyszedłeś – zauważyłam.

– Trudno skupić się na muzyce, gdy człowiek się zastanawia.

– A nad czym tak się zastanawiamy?

Odwrócił się w końcu. Nie warknął na mnie ani nie spojrzał gniewnie. Jego ręce zwisały luźno po bokach. Jest jednak pewien sposób, w jaki porusza się osoba gotująca się do walki – ocenia dystans, rozluźnia kark i ramiona, lepiej rozkłada ciężar ciała, miarkując siłę nóg. Jasne było dla mnie, jeszcze w świątyni, że ten mężczyzna stoczył walkę. Stojąc w odległości sześciu kroków od niego, widziałam więcej: był to wojownik.

– Gardło czy brzuch – odparł, przyglądając mi się.

– Czy to ma być zagadka?

Pokręcił głową.

– Zagadki to zabawa. Z pewnością lepsza niż kobieta planująca

wbić mi nóż w brzuch. – Tu ściągnął wargi. – Albo w gardło.

Zawahałam się, nagle zbита z tropu. Jego zdrowe oko spojrzało niżej, przyglądając się mojemu ciału. Miałam uczucie, że dostrzega kształt noży ukrytych pod tkaniną.

– Kto cię przysłał? – zapytał. – Qudis? Shahood?

Imiona te nic mi nie mówiły. Przebywałam w Sia od wiosny, lecz miasto liczyło wieleset tysięcy dusz. Poznałam ich może ze dwa tuziny, a spośród nich już czworo oddałam bogu.

– Nikt mnie nie przysłał.

Potrząsnął głową.

– Brednie. Wciąż mam jedno oko, które widzi. Nie weszłaś tam tak sobie, prosto z ulicy, żeby posłuchać muzyki skomponowanej przez gościa, który umarł tysiąc lat temu. Weszłaś tam, żeby znaleźć mnie. I znalazłaś. Pozostaje tylko pytanie, co zamierzasz zrobić teraz. – Przechylił głowę. Rozcięcie na jego wardze otworzyło się znowu, a on dotknął go językiem, po czym splunął krwią na bruk. – Zakładam, że nawet Shahood nie jest aż tak głupi, żeby chcieć widzieć mnie zupełnie martwym.

– Nie znam Shahooda – odparłam. – Ani Qudisa. A gdybym chciała cię zabić, to już byś nie żył.

†

– Opowiedziałaś to jak kobieta zakochana – mruknęła z zadowoleniem Ela.

Przyglądałam się jej twarzy. Nie widać było po niej, że wypila trzy karafki wina. Nawet gdy siedziała spokojnie, wyglądała na zwinną.

– Nie byłam w nim zakochana. Byłam wściekła.

Obracała kieliszkiem, trzymając go za nóżkę. W Rassamburze prawie nie było kieliszków – stanowiły zbędny luksus, gliniane czarki równie dobrze pełniły swoją funkcję – mimo to Ela wydawała się doskonale obyta z tym obcym naczyniem.

– Wściekłość niekoniecznie jest miłością, ale bywa drogą, która do niej prowadzi.

Spojrzałam na nią zdumiona.

– Zaraz mi powiesz w ślad za monoteistami, że wszystko jest tym samym: rozkosz i ból, miłość i nienawiść.

Ela pociągnęła z kieliszka, po czym starannie postawiła go z powrotem w kółku wilgoci, jakie pozostało na blacie.

– W ostatecznym rozrachunku nasz bóg i tak rozwiązuje takie kwestie.

Jej pewność siebie mnie denerwowała, podobnie jak leniwa maniera machania dłonią przy odpowiedzi, jakby odganiała muchę.

– Oczywiście – odrzekłam, nie potrafiąc ukryć irytacji w głosie. – Nie skończyłyśmy jeszcze, prawda? Gdybym się spieszyła do złożenia ofiary bogu, nie siedziałabym tutaj, szukając pretekstu do spotkania Ruca.

Na pół uderzenia serca jej oczy się zwęziły, jakby jakaś niejasność stała się nagle zaskakująco oczywista. Potem się uśmiechnęła.

– Masz rację. Przepraszam. A jeśli chodzi o śmierć i o to, żeby coś znaczyła, to najpierw musi być jakieś życie.

– Miałam przedtem jakieś życie – rzuciłam, uświadamiając sobie niespodziewanie, że zaczęłam dyskusję z drugiego końca, a zrozumiawszy to, poczułam złość.

Ela uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Opowiedz mi jeszcze o tym chłopcu.

– Miał dwadzieścia cztery lata. Był mężczyzną.

Znów podniosła kieliszek do ust, upiła wina i zamknęła oczy z zadowoleniem.

– Mężczyzna. Jeszcze lepiej. Opowiedz mi więcej.

†

Był to oczywisty idiotyzm.

Słudzy Ananshaela wyznają zasadę ciszy i cienia. Uczy się nas wślizgiwania przez uchylone okna, podcinania gardeł, a następnie znikania jak cień. Odrobina trucizny rozsmarowanej na dnie kufla, strzała o czarnym opierzeniu wbita w szyję – to są sposoby Rassamburu. A ja stałam pośrodku ulicy, chwając się zabijaniem.

Nie była to miłość. Ela się myliła. Ona byłaby oczywiście w stanie zakochać się podczas pierwszej części Mszy Antreema, ale ten rodzaj oddania nie pasował do mojego serca. Nie była to miłość, ale jednak *coś* żarzyło mi się pod skórą; jakaś emocja poderwała mnie z ławki, *coś*, czego nie potrafiłam nazwać, kazało mi rzucać idiotyczne szyderstwa jak noże.

Nawet nie zauważyłam przedtem, ale był bardzo przystojny pod tymi wszystkimi sińcami i zakrzepłą krwią, wręcz piękny. Opuchlizna tylko częściowo przesłaniała dumny zarys wysokich kości policzkowych. Jego skóra, nawet pobladła i pokaleczona, wyglądała ciepło w świetle pochodni. I było w nim *coś* więcej: nie był tylko zielonookim przystojniakiem, ale też wojownikiem, barczystym i żylastym, i to nie zwykłym wojownikiem, ale takim,

który płakał podczas Mszy Antreema. Nigdy nie spotkałam nikogo takiego jak on, nawet w Rassamburze.

Uczucie nie wydawało się odwzajemnione.

– Gdybyś chciała mnie zabić, to już bym nie żył? – Wyssał krew spomiędzy zębów i wypluł na kamienie. – A co to ma znaczyć? To wers z jakiegoś starego melodramatu? Usłyszałaś to gdzieś ze sceny kilka dni temu?

Nie sprawiał wrażenia zaciekawionego. Był raczej zde gustowany.

Jeszcze raz moje palce zatęskniły do noży. Zamiast jednak po nie sięgnąć, zaśpiewałam w duchu fragment chóru z jednego z najstarszych hymnów Ananshaela:

*Śmierć jest pójściem w objęcia,
Nie zaś ucieczką.*

Melodia jest prosta. Dzieci Rassamburu uczą się jej bardzo wcześnie, i nie bez powodu. Większość ludzi wychowywanych poza naszym zakonem musi stawiać czoło problemom, nie mogąc uciec się do zabijania. Przeciętna kobieta ma dość blade pojęcie, gdzie wbić nóż w ciało, by zakończyć jego funkcjonowanie, a to oznacza, że gdy jest rozgniewana, nóż nie jest pierwszym narzędziem, które przychodzi jej na myśl. Ludzie spoza Rassamburu wcześnie uczą się argumentować, negocjować, protestować, przeproszać i tylko w najbardziej skrajnych przypadkach sięgają po noże. Jednakże dla wyznawcy Ananshaela nóż nie ma w sobie żadnej tajemnicy. Wydaje się oczywistą i łatwą odpowiedzią, a przecież nasze problemy nie są problemami boga; jego drogi są szersze od naszych. Stąd ten hymn. To dlatego wciąż mówiłam do Ruca Lan Laca –

choć wtedy nie znałam jeszcze jego imienia – zamiast wypruć mi wątrobę za to, że za jego sprawą poczułam się głupio.

– Jeśli zamierzasz wyciągnąć to na mnie – powiedział, patrząc znacząco na moje udo – to dalej, wyjmij ten cholerny nóż. Gdybym miał czas do roztrwonienia, to nadal bym tam siedział – wskazał palcem za mnie, w kierunku figur stojących przy bramie na straży świątyni – i słuchał Antreema, a nie sterczał tutaj, słuchając twojej paplaniny.

Rumieniec wstydu oblał mi policzki. Było to dziwne uczucie. On zaś rozpostarł ramiona, jakby zapraszał mnie do ataku.

– No więc?

Po raz pierwszy ludzie na ulicy zaczęli sprawiać wrażenie, jakby go zauważyli. Dostrzegali zaschłą krew na jego twarzy, patrzyli w ślad za jego jednookim spojrzeniem, ponad jego ramieniem zauważali mnie, po czym szli dalej, pozostawiając nas stojących jak dwa kamienie, nieruchomych w płynącym nurcie.

– Poszłam za tobą... – zaczęłam, zniżając głos.

Potrząsnął głową.

– Nie obchodzi mnie to. Muszę zdążyć na walkę. Jeżeli chcesz mnie powstrzymać, to proszę, do dzieła.

Nie brzmiał jak ktoś, kto się boi. Raczej jak ktoś niemal znudzony. We mnie zaś walczyły o lepsze irytacja i zaciekawienie. Chciałam, żeby poznał prawdę o mnie i o tym, na co mnie stać. Chciałam mu to pokazać, zobaczyć, jak to piękne zielone oko rozszerza się w zdziwieniu.

W wieku dziewiętnastu lat zdążyłam się już przyzwyczać do tego, że czułam się silniejsza, sprytniejsza i szybsza niż wszyscy ludzie poza Rassamburem. Starsi kapłani i kapłanki Ananshaela

mogli mnie oczywiście pokrajać na plasterki, gdyby chcieli, ale zaczęłam myśleć o każdym człowieku spoza naszych białych murów jako o stworzeniu powolnym, wręcz gamoniowatym. Muskularni mężczyźni pyszniący się w nadbrzeżnych tawernach, szemrani strażnicy sklepów, stojące na rogach ulic nierządnicę o twardym spojrzeniu, w jaskrawych sukniach i z niezbyt starannie ukrytymi nożami, wściekli pijacy i wielcy, powolni ochroniarze bogaczy, dźwigający swe wielkie barki jak woły jarzmo – wszyscy oni wydawali mi się słabi, głupi i niewiele znaczący. Takie niebezpieczeństwo grozi tym z nas, którzy podążają za bogiem śmierci. Kiedy potrafisz unicestwić kobietę tak łatwo, jak oddychasz, łatwo dochodzisz do przekonania, że jesteś od niej większy.

Ananshael nienawidzi tego rodzaju pychy. Przeczy ona wszystkiemu, co jest mu drogie. W ciasnej przestrzeni grobu nie ma miejsca na pychę. Ostateczna prawda o naszym nieuniknionym końcu wymazuje wszelkie podziały między słabymi i silnymi, wielkimi i małymi, między kapłanką z jej nożami i pychą a tragarzem zgiętym pod swoim ciężarem. Zwykle wyobrażałam sobie mego boga jako mściwą moc wielką jak niebo, z setką rąk dzierżących sto noży. Teraz widzę go jako starca, cierpliwego i powolnego. Trzyma w garści mokrą wiosenną ziemię, unosi ją do światła, abyśmy mogli dobrze jej się przyjrzeć, i powtarza cierpliwie bez końca te same słowa: *Jesteś tym. Jesteś tym. Jesteś tym.* Aż wreszcie zrozumiemy.

Wtedy jeszcze nie rozumiałam, a przynajmniej nie do końca, nie w pełni. W głosie młodego mężczyzny brzmiała więc coraz większa pogarda. Mogłam znieść jego gniew, ale nie mogłam znieść jego

lekceważenia. Nie wolno mi było go zabić, a przynajmniej nie w chwili, gdy mój umysł uniósł się pychą i gniewem, ale nie mogłam też pozwolić mu odejść.

– Jaką walkę? – zapytałam.

†

– Pyrre, ty kokietko – wtrąciła Ela, kręcąc głową w dobrodusznym zdumieniu. – Przez całą drogę z Rassamburu jęczałaś i gadałaś głupstwa o miłości, a skrywałaś pod sukienką tę piękną i smakowitą historię.

– Nie skrywałam...

– Oczywiście, że tak. Traktowałaś ją jak jeden z tych nefrytowych fiutów, które widzieliśmy w drodze z Mo'iru, a ty się tak nad nimi roztkliwiałaś i pochylałaś, kiedy sądziłaś, że z Kossalem nie patrzymy, a potem wpakowałaś jednego do plecaka i przez cały dzień udawałaś księżniczkę o kamiennym sercu, niekochającą i niedającą się kochać zabójczynię.

Wbiłam w nią zdumione spojrzenie.

– O czym ty w ogóle mówisz?

– Nie opowiadaj mi teraz, że w ogóle nie widziałaś tych fiutów. Ta wielka baba w chuście i z nożami sprzedawała je na targu. Były grube jak mój przegub! – Tu objęła palcami nadgarstek, dokonując demonstracji, a potem zmrużyła oczy, patrząc na mnie chytrze. – Kupiłaś sobie jednego, co?

– A co miałabym zrobić z nefrytowym fiutem grubym jak przegub?

– Zakładam, że to pytanie jest czysto retoryczne.

– A ja zakładam, że rozumiesz, że polerowany kamienny fallus

nie ma nic wspólnego z miłością.

Ela zmarszczyła się, udając zamyślenie.

– No, nie powiedziałabym, że tak zupełnie *nic*.

– Sądzę, że zakochanie się w kawałku kamienia byłoby pewną przesadą nawet dla ciebie.

– Nie ma nic złego w przesadzie – odparła, puszczając oko.

Powstrzymałam się od riposty i zamiast tego pociągnęłam spory łyk wina. Oczekałam, aż spłynie mi do żołądka, po czym powiedziałam:

– Masz ochotę usłyszeć koniec tej historii czy nie?

Muzycy już dawno się spakowali, ale wielu upartych pijaków w dwu- albo trzyosobowych grupkach wciąż siedziało na tarasie, pochylając się nad stolikami. Dwa stoliki dalej jakaś młoda parka sprzeczała się o coś – on łapał ją za rękę, a ona gniewnie ją cofała, przyciskając najpierw do ciała, a potem kładąc ponownie na stole, jakby ręka była przynęta. Za nimi jakiś bardzo gruby i bardzo pijany mężczyzna śpiewał apatycznie, przekształcając wesoły rytm w pieśń żałobną. Większość obsługi zaczęła już składać krzesła jedno na drugich i zmywała podłogę, choć jeszcze nikt nas nie wypraszał.

– Nie – odrzekła Ela. – Nie dzisiaj.

Te słowa mnie zaskoczyły.

– Pół uderzenia serca temu uważałaś się, że skrywam tę opowieść.

– Och, ja to uwielbiam. – Wysączyła do końca swój kieliszek, cały czas patrząc mi w oczy nad jego brzegiem. – Gdyby nikt niczego nie ukrywał, to co byśmy odkrywali?

Pokręciłam głową, nagle znudzona.

– Powinnam już iść do łóżka.

Ela przewróciła oczami.

– Spałaś przecież cały dzień. – Tu zerknęła na półnagiego młodego mężczyznę, który usługiwał nam przy stoliku. – A Triem i tak jeszcze długo nie skończy pracy.

– Muszę się wyspać – powtórzyłam, wstając niepewnie. – Muszę być jutro gotowa.

– Och? – Kapłanka uniosła brwi. – Gotowa na co, jeśli mogę spytać?

– Gotowa, by kogoś zabić.

6

Walenie w różne rzeczy i picie różnych rzeczy zdawało się głównym zajęciem Szyi.

Wiedziałam, że ogromny żołnierz nazywany jest Szyją, bo za każdym razem, gdy z trzaskiem odstawiał kolejny drewniany kufel na stół, inni siedzący wokół żołnierze, będący pod jego komendą, skandowali: „Szy-ja. Szy-ja. Szy-ja!”.

Nietrudno było zauważyć, skąd wziął się ten przydomek: szyja Szyi była wielkim słupem mięsa, opadającym od uszu prosto w dół, na masywny fundament jego barków. Poniżej, pomiędzy rozpiętego kołnierza legionowego munduru wypełzały rozmaite tatuaże, przedstawiające głównie cierniste winorośle i haczykowate kolce, aczkolwiek widniała tam też nierówno wytatuowana naga kobieta, rozkraczona na żyle szyjnej w taki sposób, jakby usiłowała, dość nieprzekonująco, czerpać rozkosz z tej nabrzmiałej arterii. Cała reszta tego sukinsyna była równie wielka, jakby ktoś ulepił go z wielkich buł mięsa, nie przejmując się zaledwie anatomią szkieletu pod spodem.

Szyja nie skandował. Zamiast tego, gdy tylko radosny chór wiwatów wokół niego osiągał szczyt, uderzał w to, co znajdowało się najbliżej: w stół, w swoje kolano, w ramię towarzysza, jakby chcąc podkreślić swoje upojenie i nonszalancję zarazem.

Nie wierzyłam ani w jedno, ani w drugie.

W czasie, gdy go obserwowałam, wypił oczywiście imponującą

ilość piwa, ale choć chwiał się na krześle, to nie wypadło to zbyt przekonująco. Wyglądało na wyćwiczone i sztucznie odgrywane. A jego oczy, zamiast drgać jak u kogoś prawdziwie pijanego, pozostawały spokojne. Udawał, że nie zwraca uwagi na nic innego poza piwem i kompanami przy stole, ale nieustannie wodził spojrzeniem wokół, szybko i spokojnie lustrując całe pomieszczenie. Gdy tylko ktoś otwierał drzwi, Szyja zerkał w tamtą stronę tak prędko, że bym tego nie zauważyła, gdybym go bacznie nie obserwowała.

Istnieje dość rozpowszechnione, lecz błędne mniemanie, że duzi mężczyźni są głupi. Słyszałam już mnóstwo teorii na ten temat: że mięśnie kradną mózgowi krew; że ich głowy są uszkodzone z powodu wielu bójek; że tak naprawdę bystrość nie jest im *potrzebna*. W rozmaitych sztukach scenicznych przedstawia się ich jako komicznych brutali, w literaturze jako usługowych idiotów będących narzędziem w ręku sprytniejszych od siebie. Jest tak, jakby nasze elementarne poczucie sprawiedliwości cierpiało na myśl, że jedna i ta sama osoba mogłaby być wspaniała zarówno intelektualnie, jak i fizycznie. Myślimy, że powinien obowiązywać jakiś rodzaj handlowej umowy: biedny materialnie powinien być bogaty duchowo, a brzydal szlachetniejszy od urodziwego. Niestety, to w taki sposób nie działa. Bogini narodzin nie obchodzi sprawiedliwość i uczciwość. Bedisa rozdziela swoje błogosławieństwa arbitralnie, obdarzając jednych bogactwem, siłą i mądrością, innemu zaś odmawiając nawet waloru prostych pleców. Dopiero w obliczu śmierci stajemy się równi.

Oczywiście Szyja nie był jeszcze martwy – to było *moje* zadanie – lecz cały kłopot polegał na tym, że zaczynał mi wyglądać na

jednego z tych, którym Bedisa nie poskąpiła swoich największych darów. Patrzyłam na pozostałych mężczyzn wokół niego – żołnierzy z jego legii, jak wskazywały insygnia na annuryjskich mundurach. Łatwiej by mi było zabić któregoś z *nich*. Prawdę mówiąc, łatwiej byłoby zabić nawet ich wszystkich. Byli młodzi i silni po długich latach marszów i walk, mimo to jednak, w odróżnieniu od Szyi, zbudowani na ludzką miarę. Ich szyje wyglądały zwyczajnie, jak wiązki kręgosłupa, przełyku, tchawicy i nerwów, a nie jak podpory architektoniczne. Sprawiali też wrażenie dość nerwowych.

Rzecz jasna, robili, co mogli, aby to ukryć, śmiejąc się zbyt głośno i klepiąc nawzajem po ramionach oraz lekceważąc innych klientów, ludzi miejscowych, siedzących w luźnych grupkach wokół okrągłych stołów, których twarze były słabo widoczne w czerwonym świetle wiszących w górze rybich latarni. Kilku żołnierzy próbowało współzawodniczyć z Szyją w opróżnianiu kolejnych kufli, ale sądząc po bełkotliwych pieśniach i niepewnym chodzie, nie mieli tak mocnej głowy jak ich dowódca. Ale nawet pół beczki wypitego piwa nie mogło zatuszować ich lękliwych spojrzeń i tego, jak nieustannie, bez widocznego powodu, sięgali rękami i dotykali przypasanych do bioder noży i mieczy. Kiedy ktoś przy barze upuścił gliniany kufel, nawet najbardziej pijani z żołnierzy poderwali się z miejsc, jakby się obawiali, że będą musieli wywalczyć sobie drogę ucieczki.

Fakt, że sama przyczyniłam się do tej płochliwości, przynajmniej częściowo. W ciągu wieków, które nastąpiły po podboju Dombângu, Annur naciskał, żeby miasto stało się częścią spokojnej i zjednoczonej całości, jakby to było takie łatwe i wystarczyło jedynie podpisać parę traktatów oraz zlikwidować opłaty celne.

Świat jest bardziej oporny, niż się wydaje.

W Rassamburze zwykłam spędzać wolne godziny na przeglądaniu bogatej kolekcji starych map. W gruncie rzeczy nadal lubię to robić i wciąż uderza mnie w tych pożółkłych pergaminowych arkuszach jedna rzecz: podczas gdy zmieniają się nazwy królestw i imperiów – mniejsze państwa się łączą lub oddzielają, dając złudzenie zmiany – to bardziej fundamentalne granice pozostają niezmienione przez długie stulecia. Żadnemu imperium nigdy nie udało się zjednoczyć terenów na wschód i na zachód od gór Ancazu. Żadna siła nie zdołała połączyć w większe państwo miast leżących na północ od Romsdalu. I żadna centralna władza na obszarze Eridroa nie była w stanie podporządkować sobie dzikich terytoriów leżących na północ od Pasa – terytoriów obejmujących Dombâng i deltę Shirvianu – żadna przed Annurem.

Cesarstwo południowego słońca wygrało wielką bitwę w Dombângu i nagle na całym świecie legion kartografów przystąpił do pracy, sporządzając nowe mapy, jakby całe tysiąclecia lojalności i dumy można było wymazać jedną bitwą i przesunięciem kilku zakreślonych tuszem linii. Dawni kapłani wciąż jeszcze przebywali w mieście, choć ukryli się i zeszli do podziemia. Ludzie wciąż pamiętali dawne pieśni. Posągi, nadal stojące na placach i mostach, przedstawiały postacie tych, którzy rządili Dombângiem, gdy miasto było dumne i niezależne. Przez większą część tych dwustu lat Annur zmuszał każdego do uznania, że miasto nie ma żadnej historii. A jednak historia jest wszechobecna jak woda, jak gnilny rozkład. Wystarczyło tylko trochę czerwonej farby i odcisk dłoni, aby przypomnieć wszystkim, że legie – noszące w swoich znakach gorejące słońce – które ich rzekomo bronią, są

jednak armią okupacyjną.

Gdy obserwowało się tych żołnierzy w drugim końcu tawerny, jasne było, że doskonale to rozumieli. Niezależnie od swojej sztucznej wesołości i hałaśliwego śmiechu wszyscy, pomimo gorąca i oczywistego dyskomfortu, mieli swoje krótkie miecze, jakby w każdej chwili spodziewali się walki. Wszystko to było dla mnie bardzo niedogodne, zważywszy na to, że przyszedłam tu, aby zabić dowodzącego nimi oficera.

W prostszym świecie mogłabym większość z nich oddać bogu. Moja Próba zabraniała jednak tak niewybrednego działania. W końcu każdy może zabijać. Skrzydło cesarskiego Kettralu mogłoby unicestwić całą tę tawernę i wszystkich znajdujących się w niej ludzi za pomocą jednej, dobrze wyliczonej eksplozji. Od wyznawcy Ananshaela wymaga się czegoś więcej. Kapłanka Rassamburu musi wykazać się powściągliwością nawet w chwilach największego oddania.

Już uzgodniłam z Elą i Kossalem, że Szyja doskonale pasuje do pieśni; kim może być żołnierz, jeśli nie „tym, co śmierć zadaje”? Mogłabym zabić któregoś z nich z powodu śpiewu, ale przecież oni *wszyscy* śpiewali, a moja pieśń mówiła o jednym. Co oznaczało, że muszę jakoś odseparować Szyję, który już miał się na baczności, od reszty jego legionistów.

Po drugiej stronie słabo oświetlonej sali legionieści zaintonowali kolejną głośną śpiewkę. Jak na żołnierzy mieli niezłe głosy. Trzej z nich śpiewali główną melodię, a Szyja wykrzykiwał basem refren: „Bo wojak wojakiem, nieważne jak stary!”.

Śpiewając, potężny mężczyzna zauważył mnie i posłał mi uśmiech. Odpowiedziałam mu półuśmiechem i wytrzymałam jego

spojrzenie, podnosząc do ust czarękę *quey*. Trunek wyglądał jak woda. Pachniał okropnie. Palił język jak aksamitny ogień.

Legioniści śpiewali:

A jeśli nie żyje, odgrzebcie wnet go!

I przynieście go z zimna wraz tu.

Choć mu ręce skostniały pewnikiem na kość

Jak trzymać, wiadomo wciąż mu:

Kutasa i kufel, miecz, włócznie, talary...

A wtedy Szyja, wciąż wpatrując się we mnie, szczerząc zęby i rąbiąc dłonią w stół, że o mało nie pękł, zakończył chór refrenem: „Bo wojak wojakiem, nieważne jak stary!”.

Śpiewał jakby specjalnie dla mnie. Kiedy śpiewka się skończyła, stuknął się kuflem z kompanami, uśmiechnął szeroko i podniósł kufel ku mnie. Z żalem stwierdziłam, że zaczynam go lubić. Łowienie ryb staje się trudne, kiedy zaczynasz rozczulać się nad robakami.

Przynęta, napomniałam się w duchu. *On jest przynętą.*

Nawet jeśli pozostawię go przy życiu, któregoś dnia coś go zabije. Choroba, sztylet, utonięcie – albo któreś z innych, subtelnych niezliczonych narzędzi Ananshaela. Śmierć, jaką planowałam mu ofiarować, należy do najłagodniejszych: jest szybka i bezbolesna. Odetnę go od świata w kwiecie wieku. Przypuszczalnie istniały też inne sposoby zakochiwania się, sposoby, które nie wiązały się ze stosami trupów, ale podczas mojej długiej wędrówki z Rassamburu żaden nie przyszedł mi do głowy. Nazwijmy to brakiem wyobraźni.

Trzymał uniesiony kufel, ale zamiast odpowiedzieć na jego toast,

zajrzałam do wnętrza mojej otwartej dłoni, przeciągnęłam po niej palcem, a potem przycisnęłam palec do stołu. Gest był szybki i nieznaczny. Dla większości ludzi wyglądałabym jak wiercąca się na miejscu młoda kobieta, ale liczyłam na to, że Szyja okaże się bardziej spostrzegawczy. Rzeczywiście był. Jego spojrzenie stwardniało. Po chwili odstawił swój kufel i odsunął się od stołu, jakby zamierzał wstać. Dałam znak ruchem głowy w stronę drzwi z tyłu tawerny, położyłam szybko palec na wargach, po czym wstałam z miejsca.

Tylne drzwi prowadziły do wąskiego korytarza z rzędem zamykanych wygódek, których siedziska były umieszczone nad biegnącym w dole kanałem. Był to też powód, dla którego wszystkie slumsy Dombângu ulokowane były na wschodzie, w dole strumienia. Weszłam do najdalszej z pięciu kabin – maleńkiego pomieszczenia, tak ciasnego, że ledwie można było w nim usiąść, a deska przylegająca do tylnej ściany była wygładzona jak lustro przez całe pokolenia tyłków. Otwór pośrodku był wystarczająco duży, bym mogła się przezeń przecisnąć. Gdyby Szyja zabrał ze sobą pozostałych legionistów, to wolałam wybrać drogę ucieczki pozwalającą uniknąć przeciskania się przez korytarzyk pełen żołnierzy z mieczami. Liczyłam jednak na to, że przyjdzie sam, bez obstawy.

Ogromni mężczyźni nie są zwykle głupszy od swoich mniejszych współbraci, ale z pewnością są znacznie mniej ostrożni. Szyja był cięższy od przeciętnego klienta tawerny o wagę równą masie wypasionej świni; nie przywykł do poczucia zagrożenia. Skoro świadomość, że w całym mieście szerzy się rebelia, nie kazała mu ograniczyć picia, to tym bardziej nieprawdopodobne musiało wydać

mu się to, że jedna kobieta – względnie niewielka i najwyraźniej nieuzbrojona – czymkolwiek mu zagrozi. W całym Annurze było może kilka tuzinów kobiet, w większości żołnerek Kettralu lub kapłanek Ananshaela, które mogłyby zabić go w walce wręcz. Pójście za mną do wygodki nie było więc, w założeniu, aż tak wielką głupotą.

Nieszczęściem dla Szyi, nawet najmądrzejsze założenia czasem się nie sprawdzają. Dlatego nazywają się założeniami.

Żołnierz wyryczał jeszcze jedną piosenkę, zanim udał się za mną. Czekaając na niego, wyjęłam z pochew oba noże. Jeden wbiłam w futrynę wygodki za drzwiami, drugi zaś w belkę krokwi nad głową, tak że skierowana w dół rękojeść była w zasięgu ręki. To dobrowolne rozbrowienie było jedną z najdziwniejszych rzeczy, jakich nauczyłam się podczas moich pierwszych lat w Rassamburze, ale od tamtego czasu miałam już wiele okazji, by docenić jej mądrość: ludzie, a zwłaszcza żołnierze, są trenowani, by zauważyć kogoś wyciągającego nóż, dostrzec jego ruch i przeciwdziałać mu. Jednak sięgnięcie *obok* czy *ponad* siebie nie uruchamia tych wyćwiczonych reakcji. Większość ludzi obróci się instynktownie, aby zobaczyć, po co sięgasz, ale zauważą nóż dopiero wtedy, gdy już wyciągniesz go ze ściany i wbijesz im w ciało. Mogłam oczywiście zaczekać na Szyję z nożem w ręku, ale uznałam, że przyjrzy mi się dobrze, zanim wejdzie do środka. Wydawało mi się też, że wejdzie znacznie chętniej, gdy nie będę trzymać w rękach nagich ostrzy. Tylko chwilę zajęło mi odpięcie pochew z ud i wetknięcie ich w słomę strzechy.

W dole woda chlupotała, opływając podpierające wygodkę słupy. Słyszałam gdzieś dalej wioślarzy płynących z nurtem kanału

i chlapanie ich szerokich wiosel, równie głośne, jak ich przekleństwa. Krzyki i śmiechy nadpływały też falami z samej tawerny, narastające, wznoszące się, opadające i narastające znowu. Nie słyszałam jednak stapania ciężkich buciorów Szyi. Dopiero gdy trzasnęły otwierane drzwi do korytarzyka, zorientowałam się, że jednak nadchodzi, poruszając się znacznie ciszej po skrzypiących deskach podłogi, niż się spodziewałam. Jego pukanie do drzwi mojej kabiny również było delikatne, jakby pukał tylko jednym palcem.

Pociągnęłam drzwi ku sobie, otwierając je.

Nie poruszył się, tylko uważnie zbadał wzrokiem wnętrze wygódki, zanim zwrócił uwagę na mnie. Z bliska wyglądał na jeszcze większego, był przynajmniej o dwie głowy wyższy ode mnie i tak szeroki, że zaczęłam wątpić, czy zdoła przejść przez drzwi inaczej niż bokiem. Dwie małe blizny znaczyły jego ogoloną czaszkę, zbyt nierówne i poszarpane, by mogły pochodzić od ostrza. Może były dziełem jaguara. Albo krokodyla. Zależy, ile spędził tu czasu. Jego krótki miecz wyglądał jak nóż zwisający mu u pasa, lecz chociaż pozostawił broń w pochwie, to jedna z potężnych dłoni spoczywała na rękojeści. Miał białą skórę, najwyraźniej więc nie pochodził z Dombângu, lecz jego policzki były czerwone od wypitego piwa. Trzymał się jednak pewnie na nogach i nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Co?

Dałam znak, żeby wszedł.

– Wiadomość.

– Gadaj.

– Przysyła mnie Ruc Lan Lac.

Wyszał coś spomiędzy zębów.

– Nigdy cię nie widziałem.

– W tym rzecz. Właż tu, do licha, zanim ktoś wejdzie przez drzwi, zauważy nas i zostanie zabity za to, że chciał się wysikać.

– Zabity? – Uniósł brwi. – A kto niby miałby go zabić?

Wyszczrzyłam zęby.

– Ty, kiedy usłyszysz, co mam ci do powiedzenia.

Wytrzymałam jego spojrzenie, podczas gdy moje serce wybijało swój szybki, cichy rytm. To już nie był trening, to była moja Próba. Nie wątpiłam, że zdołam przeżyć to spotkanie, podobnie jak nie wątpiłam, że zdołam go zabić, ale musiałam osiągnąć coś więcej, niż tylko pozbawić go życia. Potrzebowałam trochę czasu, pozostawiając trupa za sobą, czasu, którego by mi zabrakło, gdyby cięcie nie poszło jak trzeba albo gdyby ten wielki sukinsyn zaczął krzyczeć, albo gdyby zwabienie go do tej pieprzonej wygodki trwało tak długo, że jego kumple przyszliby sprawdzić, co się dzieje.

Wysunęłam się na pół kroku i sięgnęłam do jego tuniki, jakbym chciała wciągnąć go do środka. Ten ruch był ruchem amatora albo idioty, pozbawił mnie równowagi i uczynił podatną na atak. O to mi chodziło. Im mniej profesjonalnie się zachowywałam, tym większa była szansa, że uspię jego czujność. Złapał mnie za przegub i wyciągnął na korytarz. Krzyknęłam słabo, z jednej strony dostatecznie głośno, z drugiej na tyle cicho, żeby nikt poza korytarzem nie usłyszał, po czym zaczęłam chaotycznie i nieskutecznie się szamotać, gdy obmacywał moje boki, plecy, nogi i nawet tyłek.

– Ruc nie uprzedził mnie, że będę molestowana za moje dobre chęci – syknęłam.

Przewrócił oczami, wepchnął mnie szybko z powrotem do wygodki i wcisnął się za mną.

– Bez urazy. Jestem w tym mieście już dostatecznie długo, żeby wiedzieć, że nawet takie dzieciaki jak ty noszą tu noże.

Wygódka zrobiła się jeszcze ciaśniejsza z nami dwojgiem w środku. Uniosłam ręce i pokazałam mu puste dłonie.

– Żadnych noży, ty dupku. A teraz, gdybyś mógł zamknąć te pieprzone drzwi...

Sięgnęłam ręką za niego i wyrwałam nóż ze ściany, po czym, cofając rękę, przeciągnęłam nim po jego szyi, otwierając gardło.

Nawet wielcy mężczyźni umierają zaskakująco łatwo. Odrąb głowę kogutowi, a będzie biegał w kółko, tryskając z rany fontanną krwi. Natomiast Szyja wprost przeciwnie, zakaszlał cicho i chrapliwie, złapał mnie łagodnie za ramię swoją ogromną łapą, pochylił się, jakby chciał wyszeptać mi coś na ucho, po czym klapnął twarzą na deskę wygodki.

– Niech bóg zlituje się nad tobą – szepnęłam i palcami zamknęłam mu powieki.

Odwrócenie go na plecy było trudniejsze, niż się spodziewałam, ale gdy już tego dokonałam, odpięcie guzików jego skórzanej kamizeli okazało się łatwe. Znalazłam w niej dwie szerokie, wszyte od środka kieszenie. W pierwszej było sześć annuryjskich srebrnych księżyców – dość pieniędzy, by opłacić cały wieczór pijaństwa jego i jego ludzi, a jeszcze trochę by zostało. Zostawiłam monety tam, gdzie były. Druga kieszeń była pusta. Pogrzebałam w swoich spodniach i wyciągnęłam notatkę, którą napisałam wcześniej tego dnia. Papier był mokry od potu i atrament rozpuścił się trochę, ale pismo było nadal czytelne – dwie proste linijki, bez

nazwiska i daty. Jeszcze raz rzuciłam okiem na tekst, po czym wcisnęłam papier do pustej kieszeni nieboszczyka.

Właśnie kończyłam zapinać mu kamizelę, gdy drzwi wiodące z sali do korytarzyka z wygodkami otwarły się z trzaskiem.

– Szyja, ty grubasie, nie myśl, że będziesz się tu chował przez całą noc. – Buty zadudniły o podłogę i ciężka pięść załomotała do drzwi pierwszej wygodki. – Zakład to zakład i na czarną dziurę Shaela, nie pozwolę ci tu wytrzeźwieć, zanim wszystkiego nie wypijesz.

Wyciągnęłam mój drugi nóż z krokwi, wcisnęłam pochwy za pas, spojrzałam w dół przez otwór w desce i skrzywiłam się. Miałam nadzieję, że uda mi się wyjść tą samą drogą, którą tu weszłam, i nie będę musiała spływać wraz z gównem ku dalekiemu morzu. Szyja uniósł lekko powieki i patrzył na mnie ponuro, jakby dobrze to rozumiał. Poklepałam go po policzku; podobnie jak ja, żywił wcześniej prózną nadzieję, że wyjdzie stąd tak, jak wszedł.

Westchnęłam, jeszcze raz rozejrzałam się po ciasnym pomieszczeniu, a potem opuściłam się przez otwór w desce. Woda płynęła kilkanaście stóp niżej; chlupnęłam w nią z cichym pluskiem, ale udało mi się utrzymać głowę nad powierzchnią. Bezpośrednio nade mną żołnierz stukał już do drzwi ostatniej wygodki. Wkrótce stanie się oczywiste, w jaki sposób uciekłam, ale nie dbałam już o to. Noc była ciemna, a nurt wartki. Kiedy ludzie Szyi otrząsną się z szoku i pomyślą, żeby ruszyć za mną w pościg, będę już daleko.

Kilka mocnych ruchów ramion wyniosło mnie na środek kanału. Rybie latarnie wisiały wszędzie wokoło – na tarasach, na rybackich pomostach, na rufach wąskich, cichych łodzi – barwiąc czarną wodę

plamami czerwonawej poświaty. Kiedy oddaliłam się od nabrzeży i ich pali, obróciłam się na plecy i płynęłam na wznak, pozwalając się unosić prądowi. Po latach pływania w zimnych górskich strumieniach wokół Rassamburu woda delty wydawała się ciepła jak krew, zapraszająca i obca zarazem. Z balkonów i okien powyżej, z delikatnie kołyszących się pokładów statków dobiegały mnie głosy, dziesiątki głosów, setki, wyrażających całą gamę ludzkich emocji – jakiś mężczyzna wykrzykiwał raz po raz imię swojej ukochanej, dzieci kaprysiły w łóżku, starsza kobieta śpiewała wciąż od nowa kilka taktów starej pieśni wioślarzy Dombângu. Płynęłam niezauważona, nieznana pośród tych wszystkich okruchów życia. Po chwili zanurzyłam uszy pod wodę i jedynym słyszalnym dźwiękiem stał się jej basowy poszum.

– Troje – mruknełam do siebie.

Byłam w Dombângu niecały tydzień i zaliczyłam już niemal połowę Próby. Tę łatwiejszą połowę. Zostało mi dziesięć dni na oddanie bogu pozostałych czterech ofiar. Trudno. Dziesięć dni na zakochanie się. Moje ręce i nogi stały się ociężałe i nagle jakby niechętne. Woda mnie unosiła leniwie na wschód. W cichym trwaniu pośrodku tego wielkiego, jednostajnego ruchu był jakiś spokój. Wyobrażałam sobie, że Szyja jest gdzieś obok mnie, pochwycony w łagodny uścisk ciepłej i nieubłaganej dłoni Ananshaela, i oboje płyniemy w tej ciszy długie mile ku czekającemu na nas morzu.

– Pewnego dnia – powiedziałam.

Nie odpowiedział.

Powoli otworzyłam oczy, przewróciłam się na bok i zaczęłam płynąć do brzegu. Zastawianie pułapki nie ma przecież żadnego

sensu, jeżeli nie będzie cię tam, kiedy pułapka się zatrzaśnie.

7

Purpurowe Łaźnie były parującym labiryntem basenów – publicznych i prywatnych; zimnych, gorących, ciepłych i perfumowanych; niektórych dyskretnych, innych zaś tak dużych, że zmieściłby się w nich mały oceaniczny statek – a wszystkie one mieściły się pod wysokim drewnianym dachem opartym na masywnych mahoniowych filarach, owiniętych kroplami czerwonych latarni z rybich skór. Niemal równie zadziwiający jak sama łaźnia był wypełniający ją natłok nagich ludzkich ciał. Przywykłam do widoku mężczyzn i kobiet we wszystkich możliwych fazach ubrania i negligżu – Rassambur nie był miejscem szczególnej pruderii – ale zapomniałam o skali łaźni Dombângu. Tego wieczoru – a był to następny wieczór po zabiciu Szyi – kiedy weszłam do wielkiej sali z basenami, było tam może pięć tysięcy ludzi. Niektórzy zanurzeni w wodzie po uszy, inni pływali leniwie na wznak, jeszcze inni wyciągali z wielkich regałów ręczniki i zanim się ubrali, nacierali skórę oliwą, zwracając się do najbliższego sąsiada – mężczyzny, kobiety, przyjaciela lub kogoś zupełnie obcego – z prośbą o pomoc w nacieraniu ramion i pleców.

Spora część tych zabiegów wykraczała znacznie poza działania czysto higieniczne. Co prawda krzywo patrzono na seks w łaźniach, ale nikt się specjalnie nie przypatrywał mężczyźnie ugniatającemu nagie pośladki kobiety albo kochankom w którymś z gorących basenów, szczelnie do siebie przytulonym. Zadziwiła mnie własna

mądrość, że ze wszystkich miejsc w Dombângu na spotkanie z Rukiem wybrałam to właśnie miejsce, a potem spojrzałam w dół na moje ciało, uświadomiwszy sobie, że od lat nie patrzyłam na swoją nagość w taki sposób. Byłam o odcień bledsza od większości mieszkańców miasta, co było spadkiem po cudzoziemskim ojcu, i odrobinę wyższa niż większość kobiet. Miałam też zdecydowanie więcej blizn. Śledzono mnie wzrokiem, gdy przechodziłam. Byłam ciekawa, co ujrzy Ruc. Czy przypominałam tę kobietę, która zaczepiła go w Sia po wyjściu ze świątyni, tyle lat wcześniej, czy może się zmieniłam?

Przyjemnie było zanurzyć się w ogromnym basenie zajmującym środek sali. Ciepła woda o cytrynowym zapachu zamknęła się nade mną, para owiała mi twarz, a w miarę jak płynęłam w stronę środka basenu, ludzie tracili zainteresowanie i przenosili wzrok na nagie ciała znajdujące się bliżej. Na to też liczyłam. Chociaż główny basen był najbardziej na widoku, otwarty na wszystkie spojrzenia, nikt nie zwracał na niego szczególnej uwagi – najbogatsza i najpiękniejsza klientela wolała mniejsze baseny, położone bardziej na uboczu, wzdłuż ścian, i ukryte za rzeźbionymi parawanami. Każdy ciekawski zaglądał raczej tam, mając nadzieję ujrzeć coś podniecającego. Kiedy dopłynęłam do samego środka basenu, zanurzyłam się głębiej, tak że tylko mój nos i oczy wystawały nad powierzchnię wody, i czekałam, zastanawiając się, czy mój plan nie jest jednak zupełnie wariacki. Nie wątpiłam, że Ruc przyjdzie – był zbyt skrupulatny, aby zaniedbać przeszukanie kamizeli Szyi, a w takim razie nie mógł przeoczyć notatki, którą w niej schowałam. Spotkanie z nim stanowiło zaledwie pierwszy krok. Możliwe było, że się zmienił, możliwe, że znienawidził mnie

za sposób, w jaki ulotniłam się przed czterema laty, i całkiem możliwe, że przybył do łaźni w obstawie tuzina Zielonych Koszul. A jeszcze bardziej martwiły mnie moje własne nieznane emocje.

Wcześniej, pod posągami Goca My'ego, Ruc wyglądał jak mężczyzna, którego zapamiętałam: swobodny, pewny siebie, odrobinę pogardliwy w obejściu. Z drugiej strony, widziałam go tylko przez chwilę i to z pewnego dystansu. Niewiele miałam czasu, by stwierdzić, czy mogłabym się zakochać i czy ewentualny płomyk, który mógł jeszcze żarzyć się w mojej piersi, zdoła po tylu latach zapłonąć większym płomieniem.

Już niemal przekonałam samą siebie, że cały ten pomysł nosi wszelkie znamiona szaleństwa i że lepiej zrobię, rzucając się na któregoś z niezliczonych urodziwych nagusów, od których roilo się w basenie, gdy nagle go ujrzałam. Większość mężczyzn i kobiet zwykła zanurzać się powoli, rozkoszując się czystą wodą, pozwalając, by ich opływała i obmywała.

Nie Ruc.

On wkroczył do wody, jakby basen był przeszkodą na jego drodze. Nie miał w sobie nic z niezgrabności mężczyzn, próbujących brodzić w wodzie. Zamiast po prostu szarżować przed siebie, wzburzając spienioną falę i niezgrabnie unosząc ręce, poruszał się jak nóż przecinający wodę, powolny, lecz nieubłagany. Tęskniłam za tym, jak się poruszał. Gładkość jego ruchu była godna podziwu, pomijając fakt, że był nagi.

Pamiętałam jego ramiona, szerokie, lecz proste i dobrze umięśnione. Pamiętałam, jak przesuwalam dłońmi po jego żebrach, przeciągałam paznokciami po śniadej skórze i pamiętałam też, jak uderzałam w to ciało pięściami, próbując znaleźć wątrobę lub nerkę

pod warstwą mięśni. Pamiętałam także i jego pięści, a choć był zbyt daleko, by rozróżnić szczegóły, oczyma wyobraźni widziałam jego zabliznione knykcie i wybrzuszenia na środkowych palcach w miejscach, gdzie były po wielekroć łamane. Ciemny zarost pokrywał jego policzki – od kilku dni się nie golił. A do tego widoczne w unoszącej się parze jego zielone oczy, niewątpliwie te same co dawniej.

Wciąż był dziesięć kroków ode mnie, gdy przemówił niskim i spokojnym głosem:

– Jesteś mi winna butelkę *quey*.

Cztery lata. Cztery lata, odkąd odeszłam od niego w środku nocy, bez uprzedzenia i wyjaśnienia wykradając się z pokoju, który dzieliliśmy – cztery lata, w ciągu których mógł sądzić, że nie żyję – a teraz, zamiast szoku, zdumienia lub niedowierzania, miał mi do powiedzenia właśnie *to*.

– Podejrzewam też – ciągnął, podchodząc bliżej – że nie przyniosłaś jej ze sobą.

– O ile pamiętam – odparłam, naśladowując jego leniwe przeciąganie samogłosek – butelka była już do połowy pusta, gdy ją skończyłam. Pierwszą połowę wypiliśmy wspólnie, zanim tak niehonorowo zasnąłeś.

– A zatem pół butelki *quey*.

Uśmiechnęłam się.

– Z rozkoszą. Wymień czas i miejsce.

– Tu – odrzekł. – Teraz.

– Już tu dotarłeś.

– I znalazłem to, czego szukałem. Jaki szczęśliwy zbieg okoliczności.

To była delikatna sprawa. Ruc przyszedł do łaźni z powodu notatki, którą znalazł w ubraniu Szyi, notatki, która wyznaczała spotkanie z nieznanym kontaktem. Była to rzecz jasna *moja* notatka. Ja ją napisałam, ja byłam tym kontaktem. A jednak, według reguł wymyślonej przeze mnie fikcji, powinnam była oczekiwać Szyi. To zaś znaczyło, że *powinnam* wyglądać na zdziwioną. Zdziwioną, lecz nie skonsternowaną. Powinnam emanować kompetentną improwizacją, pozwalając mu przy tym dostrzec, że improwizuję, a zarazem nie pozwalając zauważyć, że na to pozwalałam. A nie zaszkodziłoby też w trakcie tych pertraktacji wyglądać nieco szykowniej.

Ściągnęłam trochę ramiona, odgarnęłam mokre włosy z oczu i spróbowałam przybrać rozleniwioną pozę.

– Ktoś znowu rozbił ci nos? – zapytałam.

Wzruszył ramionami.

– Nie powinieneś pozwalać, żeby ludzie cię tłukli. Masz miłą twarz, ale za każdym razem, gdy ktoś ją uszkodzi, trochę brzydnie.

To ostatnie nie było do końca prawdą. Lubiłam ten lekko skrzywiony nos i blade blizny na skórze.

– O ile dobrze pamiętam, to odpowiadasz za niektóre z tych uszkodzeń.

Pokręciłam głową, postąpiłam kilka kroków w jego stronę, zatrzymałam się na odległość wyciągniętej ręki, po czym uniosłam dłoń ku jego twarzy, dotknęłam blizn na podbródku, dotknęłam prawej kości policzkowej. Moje głupie serce kołatało w piersi, dużo szybciej i gwałtowniej niż chwilę przedtem, gdy zamierzałam zabić Szyję. Uznałam, że to całkiem obiecujące uczucie, choć niezbyt komfortowe. Jak się zdaje, kołaczące serce i głupota to znak

firmowy miłości. Z drugiej strony, nieustanne kołatanie serca utrudnia koncentrację. Już zapomniałam, co to znaczy być blisko niego. Gorąca para owiała nas, przesłaniając resztę basenu i resztę świata.

Ruc nie uczynił żadnego ruchu, by powstrzymać moją rękę. Stał zanurzony po piersi w wodzie, spokojny, lecz gotowy – zawsze wyglądał na gotowego, nawet gdy spał – i obserwował mnie tak, jak bokser obserwuje w walce pierwsze ruchy przeciwnika. Opuściłam dłoń i cofnęłam się o krok.

– Gdybyś okazał się wówczas szybszy – powiedziałam – uderzyłabym cię słabiej.

Odpowiedział prychnięciem.

– A jak twoje zębra? – Wymacałam pod wodą to miejsce. Wciąż mogłam wyczuć zgrubienie tam, gdzie się zrosły.

– Są lepsze, niż zrobiła je Bedisa.

– Ile to trwało?

– Kilka miesięcy. I było warte otrzymanej lekcji.

Uniósł brwi.

– Jakiejże to?

– Trzymaj łokieć przy sobie, zanim wyprowadzisz sierpowy.

– Dziecinny błąd.

– Byłam dzieckiem.

– I niezłą złośnicą.

– Z akcentem na *niezłą* czy na złośnicę?

– Wysokie oceny dla jednej i dla drugiej.

Mrugnęłam porozumiewawczo.

– Uwielbiam dostawać wysokie oceny.

Mój oddech był szybki i gorący, jak zawsze w chwilach przed

walką, a serce łomotało tak, jakby było dzwonem zawieszonym nad jakimś samotnym miasteczkiem i wartownik bił na alarm. Spojrzał na moje ramiona, a potem w dół, na resztę ciała.

– Widzę nowe blizny.

– Nie jestem wyjątkiem. – Ruchem głowy wskazałam wypukłość na skórze jego barku, pozostałość po jakiejś paskudnej ranie, której nie miał jeszcze w Sia.

Wzruszył ramionami.

– Wciąż sobie powtarzam, że powinienem przestać walczyć. Zająć się garncarstwem albo czymś podobnym. Jakoś mi się nie udaje.

– Jesteśmy, jacy jesteśmy.

– Taka filozofia nie pozostawia miejsca na osobisty rozwój – zauważył.

– Pytony nie wyrastają na lilie.

Ruc przyglądał mi się przez chwilę, po czym pokręcił głową. U kogoś innego taki gest oznaczałby kapitulację. Ruc jednak nie zamierzał kapitulować.

– Co tutaj robisz, Pyrre?

Zerknęłam przez ramię, jakbym rozglądała się za Szyją, a potem odwróciłam się do niego. W każdym razie był teraz bardziej muskularny, niż zapamiętałam, nie tyle silniejszy, ile twardszy, jak posąg porzucony pośrodku łaźni.

– Zgaduję, że to samo co ty.

– W takim razie źle zgadujesz, chyba że wyciągnęłaś notatkę z kamizelki nieboszczyka.

Uniosłam brwi.

– Staram się trzymać z dala od ubrań nieboszczyków.

– Godna podziwu cecha, ale w mojej pracy nie zawsze

praktyczna.

– A więc to prawda. Annur powierzył ci dowództwo Zielonych Koszul.

Skinął głową.

– Powiniennem być dalej boksować w Sia. To uczciwsze.

Ponownie rozejrzałam się po łaźni.

– Miasto najwyraźniej rozkwita pod twoją obserwacją.

– Od jak dawna tu jesteś?

– Dostatecznie długo, aby stwierdzić, że nie płonie.

– Nie łudź się. Trudno jest spalić miasto zbudowane pośrodku pieprzonej rzeki.

– Zapamiętam to sobie.

Wysoko nad głową, gdzieś w mroku ponad kłębami pary, rozległ się gong wybijający wieczorną godzinę, tę, którą wyznaczyłam na spotkanie w notatce pozostawionej w kamizeli Szyi. Głęboki basowy ton wibrował echem w mojej piersi. Ruc odczekał, aż gong wybrzmi, a potem pokręcił głową.

– On nie przyjdzie.

Przechyliłam głowę.

– Kto taki?

– Mężczyzna, którego się spodziewasz.

– Skąd wiesz, że to mężczyzna? – zapytałam, ściągając wargi. – Śledziłeś moje spotkania w łaźni?

– Wiem, że to mężczyzna – odrzekł Ruc – bo znaleziono go w wygodce Spiżowego Krokodyla z poderżniętym gardłem, krwawiącego przez dziurę w desce do kanału. Miał list – Ruc poklepał się w nagą pierś – ze szczegółami spotkania. Miało się odbyć tutaj. – Delikatnie dotknął wody przed sobą. – Teraz.

– Ach – westchnęłam. – A ty myślisz, że to ma coś wspólnego ze mną.

– Jesteś tutaj.

Omiotłam spojrzeniem wielką przestrzeń wokół nas.

– Jest tu całkiem sporo ludzi.

– Ale nie z twoją historią.

– Nie znasz mojej historii.

Skinął głową.

– Właśnie.

– To znaczy?

– To znaczy, że cztery lata temu próbowałem cię odnaleźć. Jestem niezły w odnajdywaniu ludzi. To właśnie robiłem w legiach, kiedy nie zabijałem. To dlatego annuryjski *kenarang* powierzył mi dowództwo Zielonych Koszul. Kiedy zniknęłaś, szukałem cię i wiesz, co odkryłem?

Postukałam się palcem po wargach.

– Nic?

– Bardzo dużo niczego. Kobieta, która walczy równie dobrze jak ja, a może i lepiej ode mnie, jeśli dać jej nóż, pojawia się ni stąd, ni zowąd, dominuje przez długie miesiące, oczywiście razem ze mną, w walkach na gołe pięści w jednym z największych miast Annuru, po czym znika. Nikt jej nie zna. Nikt jej nie trenował i nikt nie trenował razem z nią. Nikt jej nie widział, zanim się pojawiła, najwyraźniej znikąd, i nikt nie widział jej potem – powiedział i postąpił ku mnie bliżej, powoli, lecz nieubłaganie jak rosnąca fala. Zatrzymał się pół kroku ode mnie. – A teraz, po czterech latach tajemniczej nieobecności, pojawia się tutaj, dokładnie w tym miejscu, gdzie zamordowany annuryjski legionista, i to nie taki

zwyczajny, a dowódca całej legii, miał umówione sekretne spotkanie, i dokładnie w tym samym czasie.

Zwilżyłam wargi.

– Wyobrażam sobie, jaki jesteś zaskoczony.

Pokręcił głową.

– Wręcz przeciwnie: czuję, że stara rana zaczyna się zblizniać, a rozdarcie niewyjaśnionej tajemnicy samo zszywa się w całość.

– W takim razie nie potrzebujesz mnie, skoro tajemnica zszywa się sama.

Cofnęłam się o krok, modląc się bezgłośnie, by podążył za mną.

Uniósł brwi.

– Uciekasz? To niepodobne do Pyrre, jaką pamiętam.

– Po prostu zostawiam ci trochę wolnej przestrzeni.

– Dałaś mi dość na całe cztery lata.

– Czyli kilka dodatkowych dni niewiele zmieni.

– Nie.

– Nie – powtórzyłam, smakując tę sylabę. – Trudno powiedzieć, co to znaczy, gdy brak szerszego kontekstu.

– To znaczy, że dopóki to się nie skończy, nie znikniesz mi znowu.

Spróbowałam wyglądać na spokojną pomimo potu, który perlił mi się na twarzy. Spotkanie wypadło tak, jak się spodziewałam: Ruc dowiedział się, że jestem w mieście, i ciekaw był po co, a na dodatek zamierzał mieć mnie blisko siebie, przynajmniej na jakiś czas. Złapał przynętę: pozostało tylko dodać haczyk.

Dlaczego więc czuję się tak, jakbym to ja została złapana?, zadałam sobie w duchu pytanie, patrząc, jak mi się przygląda.

8

– Sądzę, że są dwie możliwości – powiedział Ruc.

Wyszliśmy z basenu i ruszyłam za nim w labirynt ławek i małych przebieralni, drewnianych półek, haczyków obwieszonych odzieżą i rzędów szafek biegnących wzdłuż całej północnej ściany. Przyglądał mi się w milczeniu, gdy wycieraliśmy się ręcznikami. Moja skóra wciąż była zaczerwieniona od gorącej wody i byłam tym poirytowana, lecz i wdzięczna zarazem. Nie chciałam, by myślał, że się rumienię. Z drugiej strony nie byłam wcale pewna, czy tak nie jest.

To zdumiewające, jak łatwo jest być nagim w towarzystwie kogoś, kto jest nam zupełnie obojętny; ciała są czymś zwyczajnym, niewartym większego zainteresowania niż, dajmy na to, ściany. Jeśli jednak dodać do tego fizyczną atrakcyjność i przyciąganie, wówczas całe opanowanie diabli biorą. Gdy Ruc wykręcał się i wyginał, by dobrze wytrzeć trudno dostępne miejsca, nie wiedziałam, gdzie podziąć oczy. Gdy patrzyłam w bok, czułam się jak fałszywa skromnisia, a gdy pozwoliłam sobie przez dłuższą chwilę nie odrywać wzroku – od jego tyłka czy tego wspaniałego miejsca, gdzie noga przechodzi w biodro – natychmiast czułam, że się rumienię.

On zaś najwyraźniej nie podzielał mego dylematu. Jego skóra była ciemniejsza od mojej, co przynajmniej w kwestii rumienienia dawało mu znaczną przewagę. Lecz podejrzewałam, że gdyby

nawet był blady jak księżyc, moja nagość nie peszyłaby go zupełnie. W trakcie wycierania i ubierania obserwował mnie z tak szczerą ciekawością, że gdy wreszcie przemówił, jego słowa przyniosły mi ulgę.

– Współpracowałeś z Szyją – podjął, przerywając na chwilę zapinanie spodni, żeby ocenić moją reakcję. – Współpracowałeś albo miałaś zamiar zacząć. Notatka, którą znalazłem w jego ubraniu, pochodziła od ciebie. To dlatego tu jesteś.

– To jedna możliwość – zgodziłam się.

– Pozostaje kwestia, jaki rodzaj pracy miałaś wykonywać. Tu mamy różne możliwości.

Zerknęłam przez ramię. Grupka kobiet zajmowała odległy koniec ławki, śmiejąc się, paplając i ubierając, ale były wiele kroków dalej i nie zwracały na nas uwagi.

– Albo – ciągnął Ruc, unosząc palec – już pracujesz dla Annuru, co sytuuje nas po jednej stronie. Albo współpracujesz ze zbuntowanymi kapłanami Dombângu, w takim razie wszystko zaczyna wyglądać mniej różowo dla nas obojga.

– Udzieliłabym ci odpowiedzi, ale widzę, jak bardzo cieszy cię układanie tego wszystkiego samemu.

Ruc błysnął uśmiechem.

– A dlaczegóż to nie miałbym opowiedzieć ci całej tej historii – zaproponował. – Była sobie kobieta, urodzona w Dombângu, której jedynym marzeniem było wypędzenie Annuryjczyków ze swego miasta...

– Kiepski początek.

– Myślałem – uniósł brwi – że pozwolisz mi przedstawić to po swojemu.

– Zastrzeżenia mam tylko do sposobu opowiadania. Nie mów słuchaczowi wszystkiego w pierwszym zdaniu. Psujesz całą tajemnicę.

Podniósł pochwę z nożem, kilka razy uderzył się nią z namysłem po rękę, po czym założył ją na pas.

– Domyślam się, że zgodzisz się na ujawnienie tajemnicy tylko pod warunkiem, że w opowiadaniu będzie mnóstwo krzyków i krwi.

– Oczywiście. Nie ma to jak odwołać się do wyrafinowanych gustów tłumu.

– No i dużo seksu – dodał, mrugając do mnie z udaną powagą. – Nie zapominajmy o seksie.

– Nawet nie śmiałam o tym marzyć. Skoro nie możemy mieć porządnej opowieści, to przynajmniej nacieszmy się przemocą i cudzołóstwem.

Ruc wydał wargi.

– Oto prawdziwie solidne podejście, rzekłbym.

– No dobrze... – Pochyliłam się, żeby przypiąć noże do ud. – Wedle tej jarmarcznej opowieści o pożądliwości i krwi...

– Nasza bohaterka – powiedział, kiwając do mnie głową – ta córka Dombângu, śledziła mnie cztery lata temu.

– Dla seksu – zapytałam, prostując się – czy dla krwi?

– Jedno było środkiem do osiągnięcia drugiego. Próbowала zwerbować mnie do powstania w tym mieście, wpływając na mnie za pomocą swoich kobiecych sztuczek. Gdy jej się to nie udało, zniknęła. A teraz pojawia się znowu, zaledwie parę dni po tym, gdy ktoś oklepał to miasto odciskami czerwonych dłoni.

Z ciężarem przypiętych do ud noży czułam się mniej zagrożona. Mniej zagrożona, ale wciąż naga. Zaczęłam podnosić spodnie, ale po

chwili je zostawiłam. Cała ta sprawa, jego opowieść, jego obojętność podczas ubierania, uderzanie nożem o dłoń, wszystko to było tylko krążeniem i markowaniem ciosów przed walką, a ja za nic w świecie nie zamierzałam uskokczyć. Zamiast tego podeszłam blisko niego, położyłam dłoń na jego nagim torsie, powiodłam prostą linię w dół brzucha, wsunęłam jeden palec za pas i tkaninę pod nim. Wciąż był rozgrzany od wody. Nie rozgrzany – gorący.

– Nie mogę się doczekać, żeby usłyszeć, dlaczego ta kobieta, jedna z głównych konspiratorek Dombângu, planowała spotkać się z Szyją, annuryjskim legionistą odpowiedzialnym za rozpracowanie jej starannie zaplanowanej rewolucji. – Ruc spojrział w dół na moją rękę i nie odsunąwszy jej, utkwiał we mnie wzrok. – Z tych samych powodów, dla których znalazła *mnie* cztery lata temu: miała nadzieję wciągnąć Szyję w swego rodzaju znowę.

– Twoje potraktowanie kobiecych postaci pozostawia co nieco do życzenia.

– Och?

– Przede wszystkim ta kobieta, rewolucyjny geniusz, wydaje się polegać, nieco zbyt jednostronnie, na swojej waginie.

– Nie chciałem jej aż tak upraszczać – ustąpił Ruc. – Poza tym jest świetna w boksowaniu.

Uśmiechnęłam się.

– Pozwól, że *ja* opowiem ci pewną historię. Nazwałam ją *Zdradą syna tej ziemi*.

– Żartobliwie.

– Umrzesz ze śmiechu.

– Tytuł chyba jednak wyjawia tajemnicę.

– Nie, jeśli nie wiesz, kto zostanie zdradzony. – Przeciągnęłam

palcem z powrotem w górę, przez brzuch, pierś, szyję, aż do podbródka. – Cała zabawa polega na podziwianiu, jak historia zostanie odegrana.

– Jesteś pewna, że *zabawa* to właściwe określenie?

– Och, najlepsze są historie najgwałtowniejsze, pod warunkiem że nie jesteś tym, kto przeżywa je naprawdę. Będziesz słuchał czy wciąż mi przerywał?

Ruc położył mi dłoń na biodrze.

Trudno było się skupić, gdy był tak blisko. Wszystko to było rzecz jasna próbną walką i każde z nas próbowało zmylić czujność drugiego, ale ja wciąż czułam ciepło jego rąk, jego oddech owiewał mi włosy, a przez chwilę jego szczupła pierś ocierała się o moją. Ogarnęły mnie cudowne wspomnienia: ciepłe noce w Sia, podmuch bryzy wpadający przez otwarte okno i rozwiewający mi włosy, jego dłonie na moich biodrach, w dole pleców, między udami, i oczy zielone jak dżungla, w której z łatwością można się zagubić. Serce łomotało mi w piersi jak kopyta konia na wybiegu pragnącego się uwolnić. Z trudem opanowałam te nawracające emocje i zmusiłam się do dalszego opowiadania.

– Był sobie młody mężczyzna – zaczęłam – syn swego miasta, spadkobierca bardzo dumnej, lecz podupadłej schedy. Spodziewano się, że poprowadzi swój lud, od wieków zniewolony, ku długo wyczekiwanej wolności.

Ruc roześmiał się cicho.

– Kto się spodziewał?

– Ci, którzy znali prawdę, że pochodzi od Goca My'ego, największego spośród Zielonych Koszul...

Uniósł brwi.

– Tych samych Zielonych Koszul, które straciły znaczenie dwieście lat temu, gdy Annur podbił miasto?

Pokręciłam głową.

– Przeszłość nigdy nie traci znaczenia. Milczący stan kapłański Dombângu tylko czekał na właściwy moment, na właściwego człowieka...

– Ten legionista? – zapytał Ruc. – Ktoś, kto służył cesarstwu przez osiem lat, tępiąc dzikusów z rejonów Pasa? Nie wygląda na to, żebyś dobrze przemyślała swoje postacie i ich motywy.

– Doprawdy? Któż lepiej niż ten legionista, którego obdarzyły zaufaniem największe umysły cesarstwa, ktoś, kto dobrze rozumie ich dekadentcki sposób myślenia i wszelkie sztuczki, mógłby rzucić Annur na kolana. Któż lepiej od syna Goca My'ego...

– Wszyscy synowie Goca My'ego nie żyją od stuleci.

– W takim razie *duchowego* syna Goca My'ego. Któż lepiej od tego księcia Dombângu miałby zadbać o to, żeby Zielone Koszule i starzy kapłani odzyskali swoją dawną chwałę?

– Ktoś powinien mu powiedzieć, że jest księciem. Musiałby też porzucić boksowanie i oszczędzić sobie siniaków i połamanych kości.

Spojrzałam mu w oczy i przeciągnęłam palcem po bliźnie z boku szczęki.

– Nie, nie musiałby.

– Nie każdy odczuwa potrzebę walki.

– On *tak* – mruknęłam.

– Pozwól, że zgadnę, jak to się kończy. Po jakimś czasie ów książę odpowiada na wezwanie swego uciemięzonego ludu. Zaczyna mordować tych samych Annuryjczyków, którzy zostali obarczeni

obowiązkiem dbania o porządek w mieście, jak ów legionista znany – pod jakże barwnym przydomkiem – jako Szyja.

– Wiedzieliśmy, że zdrada nadejdzie...

– Potem udaje się do łaźni, aby odnaleźć sekretną sojuszniczkę legionisty i ją także zamordować.

Skinęłam głową, wciąż patrząc mu w oczy.

– Słuchacze uwielbiają zdrady. Kochają opowieści, na których końcu wszyscy są po uszy unurzani we krwi.

Ruc oderwał rękę od mego biodra, musnął moją pierś i spokojnie położył dłoń na moim gardle.

– To ekscytująca historia – powiedział. – Wręcz fascynująca. Problem jednak w tym, że, jak zapewne zauważyłaś, wciąż żyjesz.

– Podobnie jak ty.

– Co oznacza, że albo ociągamy się z zabijaniem, albo jesteśmy po jednej stronie.

Potaknęłam skinieniem głowy.

– To może okazać się pożyteczne, gdy idzie o krojącą się rewolucję.

Zmrużył oczy.

– Co o tym wiesz?

Wzruszyłam ramionami.

– To samo co wszyscy. Malunki na pomnikach i mostach. To taki rodzaj malunków, który może zakończyć się rzezią ludzi i spaleniem całych dzielnic miasta. – Uśmiechnęłam się. – Jestem tu po to, żeby to powstrzymać.

– Myślałem, że to moje zadanie.

– Powinno tak być. Są jednak tacy, którzy sądzą, że niezbyt *radzisz* sobie z tym zadaniem.

Ruc parsknął szyderczo.

– Zakulisowi mądrale. Banda biurokratów o czystych rączkach, którzy nigdy nie wyściubili nosa poza stolicę.

– Nie mogę się wypowiadać na temat czystości ich rączek, ale niektórzy z tych mądrali siedzą wyżej od tych, których nazywasz „biurokratami”. Kettral nie przyjmuje rozkazów od biurokratów.

Mrugnęłam, cofnęłam się o krok, po czym podniosłam spodnie z ławki, wsunęłam się w nie i z udanym spokojem czekałam, co odpowie na to kłamstwo.

Po drodze do Dombângu długo się zastanawiałam, jaki życiorys dla siebie wymyślić. Odnalezienie Rucy było w końcu tylko pierwszym krokiem. Pewne było, że potem zacznę zadawać pytania, a choć cztery lata temu udało mi się zbyć większość z nich, to dręczyła mnie obawa, że za drugim razem okaże się bardziej dociekliwy. Moja nowa tożsamość musiała być całkowicie bez zarzutu i nie do podważenia, nawet przez kogoś tak sprytnego i wnikliwego jak Ruc. Co równie ważne, historia, jaką opowiem, musiała być *odpowiednia*. Skoro miałam się w nim zakochać, to musiałam dać Rucowi powód, by zechciał ze mną rozmawiać, współpracować i trzymać mnie blisko siebie.

Całe tygodnie zajęło mi wymyślenie, by wystąpić pod przykrywką Kettralu, co było dość dziwne, biorąc pod uwagę, że nie była to doskonała historia, za to *jedyna* pasująca do wszystkiego. Przede wszystkim Ruc nigdy nie mógłby sprawdzić moich kłamstw. Kettral, jednostka elitarnych zabójców cesarstwa Annuru, była znana ze swojej tajności. Mieściła się, jak głosiły plotki, na ukrytym archipelagu Qirinów, których położenie znane było tylko samym kettralowcom i najśmielszym piratom. Ruc nie miał

sposobu, by dotrzeć do Kettralu i sprawdzić historię młodej kobiety o takim a takim wzroście i w takim a takim wieku...

Co lepsze, historia o Kettralu dawała mi powód, by współpracować z Zielonymi Koszulami. Ruc, rzecz jasna, miał za zadanie uśmierzać wszystkie bunty w Dombângu. Legie zapewniały siłę. Wydawało się również naturalne, by Annur miał plan awaryjny, dodatkową parę oczu i noży na straży nie tylko miasta, ale i samych jego strażników. Z tego, co wiedziałam, gdzieś w Dombângu mogło się ukrywać jedno lub dwa Skrzydła Kettralu, najlepszych żołnierzy cesarstwa, w przebraniu rybaków czy barmanów. Było to przynajmniej *możliwe*, a co najważniejsze, tłumaczyło moje niezwykle umiejętności. Słudzy Ananshaela są ćwiczeni w dyskrecji i ja też, rzecz jasna, gdy się ostatnio widzieliśmy, zachowałam przed Rukiem w tajemnicy historię mojego wyszkolenia. Ale nawet ten skromny jego fragment, który widział, wystarczył, by unosił brwi ze zdumienia. Ten poziom wyszkolenia w sztukach walki byłby niewiarygodny w większości znanych na świecie profesji.

Kettral dostarczał mi zatem doskonałego kłamstwa, takiego, w jakie nie mógł *nie uwierzyć*...

– Nie wierzę w to – powiedział bezbarwnym głosem.

Uniosłam brwi, wciągnęłam powietrze przez zaciśnięte zęby i spróbowałam wymyślić jakąś odpowiedź.

– Ilu znasz ludzi, którzy mogą sprostać ci w walce na gołe pięści?

Bezwiednie stukał palcem o żebra dokładnie w tym miejscu, w które zwykle zadawałam mu ciosy w ringu.

– A spośród nich – ciągnęłam, nie czekając, aż odpowie na moje pytanie – ilu waży o czterdzieści funtów mniej od ciebie? A ile jest

wśród nich dwudziestoletnich kobiet?

– Skoro jesteś z Kettralu, to co, na Shaela, robiłaś w Sia? – zapytał wolno.

Wzruszyłam ramionami.

– Wykonywałam swoją pracę.

– A gdzie reszta twojego Skrzydła?

– Nie zawsze pracujemy w Skrzydłach. – Nie miałam pojęcia, czy to prawda, ale założyłam, że on również nie wie.

– Co to była za misja?

– Każdy na Qirinach, kto znał odpowiedź na to pytanie, już nie żyje. Nie namawiam, żebyś się do nich przyłączył.

– A twoja misja tu, w Dombângu?

– Spotkanie z Szyją na początek.

– Nie był to raczej udany początek.

– To po prostu znaczy, że musimy działać ostrzej.

Przez chwilę przyglądał mi się uważnie.

– My?

Skinęłam głową.

– Ja i reszta mojego Skrzydła.

– Właśnie mówiłaś, że nie zawsze pracujesz ze Skrzydłem.

– Tak było ostatnim razem. Inna misja. Inne warunki.

– A ta misja, poza rozmową z umarlakiem?

– W normalnych okolicznościach nie powiedziałabym ci tego – odparłam.

– A kiedy w ogóle okoliczności są normalne?

– Słuszna uwaga – ustąpiłam.

– Zobaczmy, czy uda mi się odgadnąć resztę – powiedział, mierząc mnie tym niebywałym zielonym spojrzeniem.

– Byłabym zawiedziona, gdyby ci się nie udało.

– Jesteś z Kettralu, a przynajmniej tak twierdzisz. Znalazłaś się w Dombângu, bo w mieście wciąż ktoś podżega do buntu. Annur postawił mnie na czele Zielonych Koszul, oddając mi pod komendę kilka legii, żebym utrzymywał w mieście spokój, ale w stolicy coś się wydarzyło i ktoś tam nie ufa mi już tak bardzo jak kiedyś. Wysłali więc ciebie, żebyś mnie pilnowała. – Uniósł brwi. – Jak teraz wygląda moje opowiadanie?

– Coraz lepiej. – Poklepałam go po policzku. – Jesteśmy tu, żeby cię pilnować. Jeżeli twoja lojalność nie uległa zmianie, pozostaniemy w cieniu, pozwolimy ci wykonywać twoją pracę, a potem posprzątam bałagan, który ewentualnie po sobie zostawisz.

– Czyli jestem albo zdrajcą, albo idiotą.

– Zapewniłam ich, że nie jesteś ani tym, ani tym.

Zerknął na mnie nieufnie.

– A jednak tu jesteś.

Wzruszyłam ramionami.

– Jadę tam, gdzie mi każą.

– Dlaczego *ty*?

Ściągnęłam usta.

– Może jednak mimo wszystko jesteś idiotą.

– No dobrze – prychnął. – Jesteś z Dombângu. Znasz miasto...

– ...I znam ciebie.

Machinalnie przebierał palcami po rękojeści noża przy pasie.

– To o to chodzi? Żebyś poszła ze mną do łóżka, pieprzeniem pozbawiła podejrzeń, a potem wyciągnęła ze mnie wszystkie sekrety?

Zmarszczyłam brwi i oparłam dłonie na biodrach.

– Czy nie rozmawialiśmy przed chwilą o tym, że moje umiejętności wykraczają znacznie poza rozkładanie nóg?

Ruc przyjrzał mi się od góry do dołu, ale nie potrafiłam odczytać jego spojrzenia. Czy był w nim jakiś okruczeństwo? A może był to tylko stalowy wzrok boksera mierzącego swego przeciwnika?

Spróbowałam wyobrazić sobie, że jestem Elą, kobietą obytą w świecie i zmieniającą mężczyzn z taką swobodą, jak zmieniała suknie. Wyobraziłam sobie jej brązowe oczy, gdy podnosiła do ust kieliszek wina, gdy odbijało się w nich światło lamp, gdy zdawały się śmiać, gdy ona sama siedziała w bezruchu. Oparłam się plecami o drewnianą ścianę, usiłując odnaleźć coś z jej naturalnej swobody, ze sposobu, w jaki opuszczała ramiona, z ich odprężenia i gotowości zarazem.

Może mi się udało. Z twarzy Ruc nie mogłam tego odgadnąć. Prawdę mówiąc, czułam suchość w ustach i pot po wewnętrznej stronie dłoni.

– Oczywiście – ciągnęłam, naśladowując gardłowy ton głosu Eli – że Kettral musi być przygotowany na *wszelkie* sytuacje. Jestem pewna, że gdyby to było absolutnie konieczne, znalazłabym w sobie chęć do przespania się z tobą dla dobra naszego wielkiego cesarstwa.

Miało to być powiedziane wstydliwie i trochę uwodzicielsko. Ruc jednak wcale nie wyglądał na uwiedzionego. W istocie wyglądał tak, jakby w ogóle mnie nie usłyszał. Zamiast tego patrzył gdzieś ponad moim ramieniem, w głąb długiego, wąskiego pomieszczenia. Ledwo się poruszył, po prostu lekko przeniósł ciężar ciała, nieznacznie opuścił ramiona, ale ja od razu rozpoznałam tę

postawę. Widywałam ją w Sia dziesiątki razy i za każdym razem znaczyła to samo: był gotów kogoś uderzyć i to całkiem mocno.

†

– Kobieta w szarym to Żmija – mruknął, gdy wyszliśmy z łaźni w gorącą noc.

Potrzebowałam chwili, by dostrzec ją znowu – niską kobietę w średnim wieku z ospowatą twarzą i utykającą lekko. Nie musiałam dwa razy jej się przyglądać. Powoli torowała sobie drogę pośród dziesiątków ludzi tłoczących się na schodach do łaźni, omijała grupy pijaków, kuląc się niemal odruchowo, gdy ktoś ją potrącił, i cały czas mając spuszczone oczy.

– Nie wygląda na kogoś, kto nazwał siebie jadowitym wężem – powiedziałam.

– To nie ona tak siebie nazwała. To my nadaliśmy jej to imię.

– Bo jej własne nie było zbyt ekscytujące, co?

Ruc pokręcił ponuro głową.

– Nie byłem w stanie się go nauczyć.

Zaczął schodzić po schodach, przemykając płynnie między ludźmi, a ja podążałam pół kroku za nim.

– Dlaczego jesteśmy tacy napaleni, żeby się z nią zobaczyć?

– Nie z nią – odparł Ruc. – Tylko z osobą, która z nią jest.

Zmrużyłam oczy. Dziesiątki czerwonych rybich latarni wisiały wzdłuż schodów, ale kołysząc się w nocnej bryzie, rzucały migotliwe, niewyraźne światło.

– Nikogo nie widzę.

– Nie tu – mruknął Ruc, przyspieszając kroku. – Dalej, nad

kanalem. Trzecia łódź w tyle, ta z czarnym daszkiem. Ten mężczyzna, który się do niej zbliża.

Zajęło mi chwilę, aby dostrzec jego wysoką, szczupłą postać w sięgającym do pól łydki *noc* i w czarnej kamizeli. Zanim wszedł na łódź, spojrział za siebie przez ramię. Przez krótką chwilę mignęła mi jego pociągła twarz, wysokie czoło i ostry nos.

– Nie wydaje się, żeby byli razem – zauważyłam.

Ruc skinął głową.

– W tym rzecz. To dlatego nie mogłem dotrzeć do korzeni tego stanu kapłańskiego, nawet po czterech latach.

– A zatem są kapłanami.

– Ten w czarnym. Żmija pracuje dla pani Quen, dowiedzieliśmy się tego dopiero parę miesięcy temu.

– Czy Quen jest nazwiskiem, które powinnam znać?

– To zależy od tego, jak jesteś poinformowana. Jest jedną z najbogatszych osób w mieście i jedną z najbardziej krytycznie nastawionych wobec polityki Annuru, ale jak dotąd nie udało mi się powiązać jej z żadną sprawą pozwalającą na wytoczenie jej procesu.

Uniosłam brwi.

– Masz setki Zielonych Koszul i nie wiesz ile legii pod swoim dowództwem. Po co jakieś procesy?

– Nie rozumiesz Dombângu – odparł Ruc. – To miasto balansuje na ostrzu miecza. Większość mieszkańców popiera Annur, jego prawa, handel i zamożność, ale mniejsza część, która go nie popiera, może w pół dnia obrócić miasto w perzynę. Kiedy kogoś aresztuję, potrzebuję dowodów, potrzebuję ciał, potrzebuję stosów zarekwirowanych łupów, a i tak zawsze istnieje ryzyko, że

doprowadzi to do zamieszek.

– Może jednak powinieneś dalej boksować?

– Nawet nie wiesz, jak często o tym myślę.

Człowiek w czerni – ów kapłan – zniknął pod daszkiem łodzi. Żmija odczekała w podcieniach u dołu schodów prowadzących do łaźni, wydała kilka miedzianych płomyków na liść napełniony kruszonym lodem w miodzie, po czym poszła nad brzeg kanału, gdzie skubiąc wolno swój deser bambusową łyżeczką, patrzyła spokojnie w wodę.

– Skoro zależy im na sekrecie, to dlaczego spotykają się tutaj, przy największej łaźni Dombângu? – zapytałam.

– W ten sposób trudno ich śledzić. Obserwujemy dom pani Quen dniem i nocą, ale ona o tym wie. Zarznięłaby każdego kapłana, który pojawiłby się w pobliżu jej drzwi w odległości mniejszej niż sto kroków. Postępują więc tak: podstawione osoby, tajemne znaki, miejsca publiczne. Może to być tutaj, na dowolnym rynku, w portach czy tawernach. Różni kapłani mają różne drogi. To nieustannie się zmienia.

– A czym jest *to*? – zapytałam, choć okropny strach, który wykręcił mi wnętrzności, podpowiadał, że już wiem, o co chodzi.

Ruc popatrzył mi w oczy.

– Ofiara – odparł cicho. Ruchem głowy wskazał Żmiję. – Chodź.

Kobieta dokończyła zmrożony miód, wyrzuciła liść do kanału, popatrzyła chwilę, jak odpływa niczym maleńki stateczek, po czym poszła nabrzeżem do tej samej łodzi, na którą wcześniej wszedł kapłan. Na nabrzeżu koło budynku łaźni wrzała gorączkowa aktywność: długie i smukłe łodzie oraz pękate spacerowe barki pracowicie się przepychały, szukając miejsca wśród natłoku

kadłubów, aby wysadzić lub zabrać pasażerów. Nie było nic szczególnego w łodzi z czarnym płóciennym daszkiem. Nawet bym jej nie zauważyła, gdyby Ruc mi jej nie pokazał. Żmija lekko wstąpiła z pomostu na kołyszący się kadłub, nie oglądając się za siebie. Wyglądała jak jedna z tysięcy osób przechodzących tym pomostem każdego dnia. Mruknęła coś do wiosłarzy, po czym zanurkowała pod daszek i zniknęła nam z oczu.

Zerknęłam na Ruca.

– Mamy ich zabić?

Potrząsnął głową.

– Gdybym chciał dostać tego kapłana, dopadłbym go już wiele miesięcy temu. Ja chcę pani Quen.

– Wyobrażam sobie, że byłoby zbyt wielkim uproszczeniem zakładać, że czeka na nas spokojnie na tej łodzi.

– Ta kobieta nie ma w sobie żadnej prostoty. Zadaniem Żmii jest nawiązać kontakt, zaprowadzić kapłana do pani Quen i upewnić się, że nie jest śledzona.

– Musimy zatem być bardzo przebiegli.

– Mam nadzieję, że utrzymałaś formę – powiedział Ruc, kolejny raz taksując mnie wzrokiem.

– Jakiej kondycji trzeba, żeby leżeć płasko na dnie łodzi, gdy będziemy ich śledzić?

– Nie weźmiemy łodzi. Zauważyliby nas od razu.

– Proszę, powiedz, że nie będziemy pływać.

– Nie będziemy pływać.

Zmierzyłam go wzrokiem.

– A jednak będziemy.

Skinał głową.

– Oczywiście.

– O, najśłodsze światło Intarry.

– Myślałem, że kettralowcy są dobrymi pływakami.

– Jesteśmy – odparłam. – Ale wolę pływać w wodzie, a nie w ścieku.

– Masz szczęście, że jesteśmy po czystszej stronie miasta.

– Wielkie szczęście.

Wioślarz Źmii odbił od nabrzeża i przepychał się przez ścisk łodzi, wrzeszcząc na właścicieli innych stateczków, którzy blokowali mu drogę.

– Ruszajmy się uświnić – powiedział Ruc i szybkim krokiem zanurzył się w tłum.

Odetchnęłam głęboko, sprawdziłam noże i podążyłam za nim.

Dombâng jest miastem innym niż wszystkie, które widziałam. Większość ulic to kanały, kręte drogi wodne, wijące się wśród zabudowy posadowionej na wbitych w muł grubych, smołowanych palach. Nad niektórymi kanałami biegną wzdłuż ich powolnego nurtu długie na całe mile drewniane groble i szerokie promenady. Ruszyliśmy jedną z nich i trzymając się najgęstszych skupisk tłumu, szliśmy tropem łodzi z czarnym daszkiem, śledząc ją z bezpiecznej odległości. Gdyby dało się podążać za nią w ten sposób przez całą noc, wszystko byłoby łatwe. Niestety, Źmija wystarczająco dobrze znała swój fach, aby nie ułatwiać nam zadania.

Po przebyciu ćwierci mili łódź skręciła z głównego kanału na północ, w wąską boczną odnogę, pozostawiając nas po niewłaściwej stronie wody. Gdy zniknęła nam z oczu, spojrzałam na Rucę, który już ściągał kamizelę, zrzucał buty i zdejmował spodnie.

Przechodnie zwalniali kroku i przyglądali mu się z widocznym rozbawieniem. Kilku z nich, którzy mnie przy nim dostrzegli, czynili rozmaite sprosne gesty, na co Ruc nie zwracał uwagi.

– Płyn w koszuli, jeśli chcesz – powiedział – ale jeśli zostaniesz w tyle, nie będę na ciebie czekał.

Przeskoczył przez balustradę. Plusk rozszedł się pianą po ciemnej powierzchni wody. Wymamrotałam przekleństwo, ściągnęłam koszulę przez głowę, zrzuciłam spodnie i sandały i skoczyłam za nim. Ostatnie fale niskiego kilwateru łodzi były już ledwo widoczne.

– Tamten – powiedział Ruc i wskazał jakiś prywatny pomost na końcu kanału, po czym popłynął mocnymi, równymi ruchami. Po wszystkich kłamstwach i werbalnych pojedynkach w łaźni dobrze było po prostu płynąć, wyznaczając ciału konkretne zadanie, niewymagające żadnych subtelności i domysłów. Już dawno nie zdarzyło mi się płynąć na dystansie dłuższym niż kilkadziesiąt kroków – największe sadzawki w górach Ancazu są niewiele większe od wanny – ale ruchy pamiętane z dzieciństwa powróciły po kilku chwilach i niosły mnie naprzód, choć ręce i nogi piekły mnie z bólu.

Dotarłam do pomostu kilka kroków za Rukiem, który już zdążył wyleżeć z wody.

Sięgnął w dół, by mnie wyciągnąć, i moje mokre ciało otarło się o niego, gdy się wyprostował. Gdy podniosłam wzrok, jego twarz była o parę cali od mojej. Przez chwilę nie puszczał mego nadgarstka.

– Czy przypadkiem nie ścigaliśmy jakichś złoczyńców? – zapytałam, ściągając usta.

Poczułam, jak jego ciało zadrżało od skrywanego śmiechu.

– Po prostu dałem ci chwilę wytchnienia.

– Och, a ja po prostu korzystam z rozgrzewki.

Boczny kanał, w którym zniknęła łódź, ciągnął się dalej w ciemność. Oczywiście było, dlaczego udało nam się wyleźć z wody bez szwanku – dwójkę pływaków płynących z pluskiem środkiem kanału jest jeszcze łatwiej zauważyć niż łódź. Niestety, nie było innego sposobu, by posuwać się za tamtymi. Kanał prowadził do prywatnych zabudowań. Nie było tu żadnych chodników czy promenad, tylko szereg pomostów przed skupiskami domów, tu i ówdzie oświetlonych latarniami, wychodzących w nurt w równych odstępach.

– Jak długo chcesz tu czekać? – zapytałam.

Ruc pokręcił głową.

– Wcale nie chcę.

Zanim zdążyłam coś powiedzieć, ruszył wąskim pomostem do drzwi, pchnął je, przekonał się, że są zamknięte, po czym kopnął w nie bosą stopą.

Uniosłam brwi.

– Oni obchodzą budynki dookoła – powiedział – a my przejdziemy na wprost.

– A jeśli właściciele domów zaprotestują?

– To przejdziemy i przez nich.

Pierwszy blok zabudowy nie rozciągał się szerzej niż na dwieście kroków. W tej części wyłamaliśmy czternaścioro drzwi i dwa okna, przeleźliśmy przez dwa ceglane mury – jeden zaprowadził nas na wspaniałą dziedziniec obsadzony kwiatami, drugi pozwolił nam stamtąd wyjść – pogroziliśmy nożem jakiemuś rozzłoszczonemu

mężczyźnie, innego ogłuszyliśmy butelką, z której pociągał, przebiegliśmy przez jakąś sypialnię z białymi zasłonami, w której na ogromnym łożu naliczyliśmy co najmniej czworo nagusów; jednego, który się rozwrzeszczał, znokautowaliśmy świecznikiem, pozostałym kazaliśmy się zamknąć, przebiegliśmy przez drewnianą bramę do kolejnego ogrodu, po czym wyjrzelśmy przez niski mur na oświetlony księżycem basen połączony z sąsiadującym kanałem. Łódź Żmii była w połowie basenu, zwrócona dziobem do wylotu, nad którym przerzucony był niski, ażurowy mostek.

Zerknęłam na Ruca. Był zlany potem, dyszał ciężko, ale oczy mu błyszczały.

– To było łatwiejsze, niż sądziłem – powiedział.

Zgięłam się wpół i oparłam ręce o kolana, próbując złapać oddech.

– Myślałam, że odpowiadasz za spokój w mieście.

– Zajmuję się także ochroną niewinnych. Nie zawsze jedno z drugim idzie w parze.

Kiedy nabrałam dość powietrza do płuc, aby móc się wyprostować, dziób łodzi właśnie przemykał pod mostkiem.

– Wiesz co – wykrztusiłam – Kettral przykłada dużą wagę do planowania.

– Ja mam plan.

– Podzielisz się nim ze mną?

– Gonimy ich dalej.

Wskoczył na niski mur, po czym dał nura w wodę.

Musieliśmy pokonać tak wiele mil, wyważając drzwi, przepływając kanały i przebiegając wąskimi zaułkami. Cztery czy pięć razy myślałam, że zgubiliśmy trop, ale za każdym razem Ruc

znajdował jakiś skrót, czysto intuicyjnie, lecz mądrze odgadywał drogę i znowu odnajdowaliśmy łódź, czasem kilka kroków przed sobą, wyglądając z jakiegoś okna lub balkonu, czasem kawałek z tyłu. Żmija była niesamowicie ostrożna, wręcz paranoidalna. Podążała swoim wodnym szlakiem, zataczając wielkie pętle i ponownie, często trzykrotnie, płynąc własnym śladem. Zatrzymywała się w cichych zatoczkach, aby, sama niezauważona, spokojnie obserwować, czy ktoś nie podąża za nią. Jak przewidział Ruc, obserwowała wodę, a nie domy. I nie patrzyła na dachy.

Wreszcie, najwyraźniej usatysfakcjonowana, obrała bardziej bezpośredni kurs na południowy wschód i dopłynęła na koniec do Starego Portu. Przed setkami lat był on sercem miasta, a jeden z jego basenów był na tyle głęboki, że mógł przyjmować oceaniczne statki przywożące towary z tak odległych miejsc jak Zakole czy Anthera. W miarę jak Dombâng się rozrastał i przyplýwało coraz więcej statków, zatłoczony port stał się w końcu zbyt ciasny. Kiedy Anho Łysy zrealizował swój wielki projekt pogłębiania i budowy Nowego Portu, stary port okazał się bezużyteczny. Magazyny zaczęły butwieć i się rozpadać. Statki uszkodzone przez sztormy i pozostawione przy nabrzeżach przez zubożałych armatorów osiadały na dnie, w miarę jak rzeka zamulała zaniedbane baseny. Był to surrealistyczny widok. To, co dawniej było wielką połącią wody szeroką na pięćset kroków, stało się wielkim bagniskiem rozdzielonym kilkoma wąskimi kanałami i poznaczonym kadłubami unieruchomionych statków.

Łódź, którą śledziliśmy, oraz druga o podobnej konstrukcji i barwie przycumowane były do jednego z największych wraków, ogromnego szkunera. Trzy z jego czterech masztów były złamane

lub zrąbane i tylko jeden mierzył w niebo, a resztki zwisających zeń lin powiewały na wietrze. Zdołałam odczytać nazwę wypisaną wyblakłą pozłotą na dziobie: *Ryk Heqeta*. Linowa drabinka nieco świeższej daty przymocowana była do relingu na wysokości trzydziestu stóp i pilnowana przez dwóch strażników. W świetle księżyca zauważyłam zarysy kusz, zbroi i miecze przypasane do boków, ale nie rozpoznałam rysów twarzy.

– Ludzie pani Quen – mruknął Ruc, kładąc mi dłoń na ramieniu.

Przyczailiśmy się w odległości kilkudziesięciu kroków, za stertą naniesionych z północy przez rzekę Shirvian korzeni i gałęzi, zgarniętych w jedno miejsce przez straż kanałową i przeznaczonych do późniejszego spalenia. Ręce i nogi mnie bolały, ramiona kurczyły się z bólu, jakby chciały wyskoczyć ze stawów po tak długim pływaniu. Zarazem jednak czułam się rześko, jakby ten wysiłek mnie rozgrzał i ożywił. Nie wiedziałam, czy serce biło mi tak żywo po tym, jak Ruc mnie dotknął, czy może z wyczerpania. Może z obu tych powodów. Tak czy owak dobrze mi było przy nim i dobrze było razem polować. To dziwne, jak łatwo powraca dawna intymność. Gdy wyruszałam z Rassamburu, nie spodziewałam się aż tak wiele.

Ale czy to jest miłość? – zastanawiałam się, zerkając na jego skórę połyskującą w blasku księżyca.

– Na co patrzysz? – zapytał, mrużąc oczy.

Skierowałam myśli na to, co było najbliżej, i starłam kroplę krwi z jego ramienia, bo oboje pokryci byliśmy setkami drobnych skaleczeń i zadrapań.

– Po prostu upewniam się, że nie przewrócisz się na mnie. Niektóre drzwi kopales naprawdę mocno.

– Drzwi nie miały kuszy – powiedział, wskazując na statek. –

Oni mają.

– Gdzie jest pani Quen?

– Gdzieś na dole, jak sądzę. Pod pokładem. – Pokręcił głową. – Kurewsko trudno będzie się tam prześliznąć.

Skinęłam wolno głową, przyglądając się wszystkiemu z uwagą. Jedyne podejścia prowadziły albo od otwartej płaszczyzny pokrytej mułem, albo od kanału. Jasny księżyc odbijał się srebrem w płaskich, mokrych powierzchniach. Każdy, kto próbowałby tamtędy przejść, mógłby równie dobrze nieść latarnię albo walić w bęben. Nie było żadnego subtelnego sposobu, aby się tam dostać.

– Może na drugim końcu? – zapytałam.

– Ona nie jest idiotką. Tam też na pewno kogoś postawiła.

– Będziemy musieli tam przepłynąć. – Tu wskazałam na stertę drewna przed nami. – Jest tego więcej za ostatnim zakrętem. Jeżeli ściągniemy do wody kilka gałęzi, będziemy mogli za nimi popłynąć.

– Będzie kiepsko – powiedział Ruc. – Ale jeżeli zaczniemy z tej strony, to po drodze będziemy mogli odciąć kilka łodzi, co spowoduje pewne zamieszanie. Może nawet zejść niżej po drabince. Będziemy w cieniu i sukinsyny będą patrzeć pod niekorzystnym kątem.

Sukinsyny, o których była mowa, nie poruszyli się ani o krok, odkąd się pojawiliśmy. Nie rozmawiali, nie chodzili, nie siadali.

– Są irytująco zdyscyplinowani – zauważyłam. – Nie należą do takich, co to pędzą sprawdzać, gdy usłyszą najsłabszy odgłos.

– Jeżeli masz inny pomysł, jak tam wejść, to słucham.

Poklepałam noże ukryte pod tkaniną spodni i przyjrzałam się otoczeniu. Potem się uśmiechnęłam.

– No to podpływajmy.

Wszystko było kwestią kątów patrzenia i zgnilizny.

Gdyby kadłub statku był zbyt stromy lub zbyt twardy, nie zdołałabym wbijać noży dostatecznie głęboko. Gdyby zaś deski były nazbyt przegniłe, nie utrzymałyby mego ciężaru, nie wspominając o Rucu. Wypukłość kadłuba chroniła nas przed wzrokiem strażników na górze, ale i tak działałam bardzo ostrożnie, sprawdzając różne miejsca, zanim wcisnęłam nóż w szparę, gdzie deski poluzowały się odrobinę. Uginały się nieco, ale wytrzymywały nacisk. Powoli wyciągnęłam z pochwy drugi nóż i podciągnęłam się na pierwszym, tak że w wodzie zanurzona była już tylko dolna połowa mojego ciała, i sięgnęłam wolną ręką tak wysoko, jak zdołałam, po czym wetknęłam między deski drugi nóż. Z tej pozycji łatwo już było oprzeć stopę na pierwszym nożu, stanąć na nim, wyciągnąć z pochwy na biodrze trzeci nóż i wbić go o pół długości mojego ciała wyżej niż ostatni.

Jeszcze w Rassamburze moi bracia i siostry kpili czasem ze mnie, że noszę przy sobie tyle noży – *Oddawanie ludzi bogu, Pyrrze, to wielka ofiara, ale nie musisz oddawać ich wszystkich naraz.* Cztery noże zawsze wydawały mi się jednak rozsądną liczbą: jeden przy pasie, gdzie każdy może go zobaczyć, po jednym na udach, no i jeden przypasany do górnej części ramienia.

Przysięgłam sobie tej nocy, kiedy wraz z Rukiem pięliśmy się w górę starego kadłuba, że gdy tylko wrócę do Rassamburu, będę nosić ich więcej i niezwłocznie zlecę ich wykonanie.

Wspinaliśmy się po chwiejnych stopniach z czterech noży,

kierując się ukosem w stronę dziobu. Gdy tylko Ruc uwolnił od swego ciężaru dolny nóż, pochylał się i sięgał w dół, aby go wyciągnąć spomiędzy desek, po czym prostował się i podawał mi. Była to powolna praca, zwłaszcza że usiłowaliśmy wykonywać ją w zupełnej ciszy. Przynajmniej pod jednym względem czujność strażników działała na naszą korzyść. Zakładali bowiem, że ewentualny atak nadejdzie od strony drabinki, co oznaczało, że nie zamierzali ruszyć się z tego miejsca. Nawet nie podejrzewali, że możemy wspiąć się mozolnie, cal po calu, po śliskim kadłubie.

Żadna z tych rzeczy nie czyniła naszego wysiłku łatwiejszym. Gdybym wbijała noże głębiej, aż po rękojeść, Ruc miałby kłopot z ich wyciąganiem. Z drugiej zaś strony był ode mnie znacznie cięższy. Kiedy tylko sięgał w górę, do rękojeści noża, na którym stałam, czułam, jak nóż ugina się pod moją bosą stopą, grożąc, że wypadnie z namokłego drewna. Nie wątpiłam, że przeżylibyśmy upadek, ale strażnicy Quen z pewnością nie przeoczyliby głośnego plaśnięcia gołej skóry o mokry muł, który unieruchomiłby nas, pozwalając im bezkarnie nafaszerować nas bełtami z kuszy. Nie miałam nic przeciwko umieraniu w ramionach Ruca, ale chciałam jednak pożyć na tyle długo, żeby zdążyć się w nim zakochać i zaliczyć Próbę.

Kiedy zdołałam wreszcie pochwycić ręką górną poręcz relingu, odetchnęłam głęboko i podciągnęłam się powoli. Na pokładzie panował nieopisany bałagan. Walały się tam porozbijane skrzynie, resztki połamanych drzewc i kawałki czegoś, co mogło być porzuconymi dawno namiotami, których płótno przegniło i zostało podarte przez wiatr. Strażników w ogóle nie było widać za tymi stertami śmieci. Ostrożnie przeniosłam ciężar ciała ponad

relingiem, po czym wychyliłam się i sięgnęłam do Ruca.

Był właśnie zgięty wpół i usiłował wyciągnąć najniższy nóż spomiędzy desek. Kiedy już trzymał go w ręku, podał mnie, oparł stopę na następnym nożu i uchwycił moją rękę, a potem spróbował przerzucić mnie nad relingiem, głową naprzód, w muł na dole.

Tak to przynajmniej odczułam.

Pół uderzenia serca trwało, zanim zrozumiałam, że nóż wypadł spod jego stopy, a on zawisł w ciemnościach, jedną ręką trzymając rękojeść ostatniego noża. Nadgarstek jego drugiej ręki trzymałam w ciasnym uchwycie. Nóż upadł w muł z cichym plum. Przez kilka chwil bałam się poruszyć. Trwałam przechylona nad relingiem, którego drewniana poręcz wbijała mi się w żebra, a oddech rozdzierał mi płuca. Pot spływał mi wzdłuż ramienia, osłabiając chwyt na dłoni Ruca. Sięgnęłam w dół drugą ręką, pochwyciłam jego nadgarstek i spróbowałam wciągnąć go na górę.

Skrzywił się, a potem lekko pokręcił głową.

Gdzieś po mojej prawej stronie słyszałam rozmawiających strażników, którzy narzekali tak samo, jak narzekają wszyscy mężczyźni wykonujący nudną pracę. Spróbowałam oddychać jeszcze ciszej.

– Po prostu trzymaj – powiedział Ruc bezgłośnie samym ruchem warg.

Skinęłam głową i włożyłam w chwyt jeszcze więcej siły.

Wpatrując się w moje oczy, puścił nóż, złapał mnie za przegub i przez krótką chwilę dźwigałam cały jego ciężar. Ku memu zdumieniu uśmiechnął się. Potem uniósł wysoko nogę, oparł ją na rękojeści ostatniego noża, dźwignął się w górę i już po chwili przeszedł przez reling.

Pochylił się tak, że poczułam jego usta, gdy szepnął mi do ucha:

– I jak się to ma do innych twoich misji?

Poczułam ogromną chęć, by wybuchnąć śmiechem. Obróciłam mu lekko głowę, musnęłam ustami jego policzek i zbliżyłam je do ucha.

– W sumie nudziarstwo.

Odsunął głowę na tyle, by spojrzeć mi w oczy.

– Będę musiał znaleźć inny sposób zapewnienia ci rozrywki.

Cudowny ból ogarnął moje wnętrze.

O tak, pomyślałam, patrząc w jego przesłonięte cieniem oczy.
Będziesz musiał.

†

Choć na pokładzie przeszedł mnie dreszcz, zniknął z chwilą, gdy znaleźliśmy się w ładowni.

Udało nam się dostać na pierwszy poziom przez zdezelowany luk na dziobie. Spodziewałam się niemal zupełnych ciemności, ale przez szpary w deskach pod naszymi stopami sączyła się krwawa poświata. Łatwo było dzięki temu przejść przez całą ładownię – poruszając się powoli, aby uniknąć potknięcia o rozrzucone klepki rozbitych beczek, resztki podartych sieci i resztę rozmaitych śmieci walających się po statku – aż do następnego luku, tym razem z wystającą z dołu drabiną.

Przyłożyłam oko do szpary w deskach i spojrzałam.

Wąskie pomieszczenie w dole oświetlone było świecami, całymi tuzinami świec, których było dużo więcej niż potrzeba do rozjaśnienia tak niewielkiego wnętrza. Niektóre stały na podłodze, inne na półkach między wręgami. Oślepiąca światłem, dopiero po

chwili zrozumiałam, na co patrzę.

Na deskach leżało sześć ciał, każde skrępowane w przegubach i w kostkach. Twarze zasłaniały kaptury, ale sądząc po wzroście, dwoje było jeszcze dziećmi, może ośmio- lub dziesięcioletnimi. Pozostali byli dorośli. Niezależnie od wieku, mieli na sobie podarte ubrania, wręcz łachmany, pozszywane z jakichś szmat, w większości resztek żaglowego płótna, z których sklecono namiastki koszul i spodni. Tylko jeden z tej szóstki miał obuwie, rozpadające się sandały.

Obok mnie Ruc wydobył z siebie niski, gardłowy odgłos, przypominający warknięcie.

W końcu niskiego pomieszczenia stali Żmija, dwóch strażników, kapłan, którego śledziliśmy od łaźni, oraz pełna wdzięku kobieta mogąca być tylko panią Quen. Podobnie jak jej słudzy, najwyraźniej włożyła sporo pracy w niepozorny wygląd. Jednakże inaczej niż tamtym zupełnie jej się to nie udało. Jej szara jedwabna suknia mogła nie rzucać się w oczy w nocnym mroku, ale światło świec pokazywało wyraźnie, że została uszyta z tkaniny, na którą tylko najwięksi bogacze Dombângu mogli sobie pozwolić, i skrojona tak, by przyciągać oko. Kobieta niewątpliwie wyglądała olśniewająco, wręcz po królewsku. Stała jak osoba wysłuchująca błagań kogoś o wiele niższego. Patrzyła ciemnymi, drapieźnymi oczyma, czarne włosy miała poprzetykane białymi pasemkami siwizny, zaczesane do tyłu i spięte srebrną klamrą, a usta zaciśnięte w wyrazie wielkiej dezaprobaty.

– Pani – powiedział kapłan, kłaniając się nisko – składasz tu wielką ofiarę.

– Nie spodziewałam się jednak, że będę ją składać tak *późno* –

rzuciła. – Słońce będzie już wysoko, gdy skończymy.

– Wybacz, pani – mruknęła Żmija, z pokorą wbijając wzrok w podłogę. – Annuryjskie oczy są wszędzie. Musiałam się upewnić, że nas nie śledzą.

Quen obnażyła zęby i syknęła cicho z rozdrażnieniem.

– Przyjdzie dzień, że już się nie ośmielą.

– Zaprawdę, pani – odezwał się kapłan, z szacunkiem skinąwszy głową. – Zaprawdę. Ale to *my* winniśmy przyspieszać nadejście tego dnia naszą walką i ofiarami.

– Przez całe życie nie robię nic innego, tylko przyspieszam – parsknęła. – Choć jak dotąd nie ma z tego wiele pożytku.

– Miej wiarę – odparł mężczyzna, a jego oczy rozbłysły odbitym światłem świec. – Czerwone dłonie wzniosły się, by zburzyć to miasto. Dzień proroctwa jest bliski.

Jedna z dziecięcych postaci na podłodze szarpnęła się, a potem zaczęła się miotać.

Quen pokręciła głową i obróciła się do strażników.

– Podobno mieli zostać uspokojeni.

Mężczyzna skłonił się niemal do ziemi.

– Wybacz, pani. Uniżenie proszę o wybaczenie. Dziewczynka jest mała. Nie chciałem, żeby umarła przed czasem.

Nagle powróciły wspomnienia: liny wiążącej moje nadgarstki, twarzy wciśniętej w kadłub statku, mułu, krwi, strachu. Wspomnienie oczu przypominających kocie, ale nienależących do kota, i kobiety silniejszej od wszystkich kobiet.

– Pani Quen, twój człowiek ma rację – mruknął kapłan, podchodząc do dziecka. – Nieżywa nie nada się dla naszych bogów.

Powoli, niemal z miłością zsunął z jej głowy kaptur, odsłaniając

brudną twarzą wysmarowaną mułem i poznaczoną śladami łez, z szeroko otwartymi ze strachu zielonymi oczyma. Otworzyła usta do krzyku, ale kapłan wyciągnął ze swego *noc* jakąś szmatę, wcisnął jej do buzi, po czym odwrócił się do pani Quen, uśmiechając się z zadowoleniem.

– Jest silna. Troje będą zadowoleni.

– I ja byłabym zadowolona – odparła Quen – gdybyśmy zdołali zakończyć tę ceremonię, zanim wszyscy się tu zestarzejemy.

– Oczywiście – odrzekł kapłan i podniósł się, nie zwracając uwagi na rzucające się po podłodze dziecko. Z półki ze świecą wziął szeroki nóż o dwóch ostrzach, którego połówką rękojeść zrobiona była ze starej kości słoniowej, a ostrza z lanego spiżu. Przeszedł przez pomieszczenie, przestąpił nad ciałami i podał nóż pani Quen.

Po raz pierwszy wyraz zniechęcenia ustąpił z jej oczu, zastąpiony wyrazem nabożności. Zaciśnęła dłoń na rękojeści noża i obróciła nim kilka razy, podziwiając grę światła na ostrzu. Gdy odwróciła się z powrotem do kapłana, usłyszałam w jej głosie nowy, gorączkowy ton.

– Oni wkrótce powstaną – mruknęła. – Muszą.

Kapłan przytaknął ochoczo.

– To my opuściliśmy Trojga. Oni czekali, żeby powrócić, czekali, żebyśmy przedtem wykazali swoją wartość. Ta ofiara – wskazał na więźniów – pokaże bogom, że nie zapomnieliśmy i wciąż chcemy, wierni i posłuszni, oddać to, co dla nas najcenniejsze.

Związani i leżący na podłodze więźniowie nie wyglądali na cennych dla nikogo. Wiedziałam, że o ile nic się w Dombângu nie zmieniło, to pani Quen kazała swoim pachołkom porwać kilku pijaków i sierot zbyt słabych i głupich, żeby uciec. Według

opowieści, kiedy założono Dombâng, tylko najwięksi wojownicy ruszali w głąb delty, żeby spotkać bogów i złożyć im w ofierze własne życie. Oddaliliśmy się jednak bardzo od tych opowieści.

– Moja pani – mruknęła Żmija. – Jak rzekłaś, jest już późno...

Przez chwilę zdawało się, że pani Quen jej nie usłyszała. Przez chwilę stała bez ruchu, wpatrzona w nóż w dłoni, głucha na jęki dziewczynki. Potem zaś, jakby wytrącona z pięknego snu brutalnym dotknięciem brzydkiego świata, zwróciła się w stronę najbliższego ciała – sądząc po kształcie i wielkości był to mężczyzna – rozsunęła koszulę i czubkiem ostrza przeciągnęła przez pierś wystarczająco mocno, aby pojawiła się krew, ale nie tak głęboko, by zadać poważną ranę. Wszystko to było częścią teatru. Kapłan miał zabrać więźniów w głąb delty. I to kapłan miał ich tam zostawić, aby umarli. Aby jednak zyskać łaskę bogów, pani Quen musiała wytoczyć pierwszą krew.

Mężczyzna jęknął lekko w szoku, przetoczył się na bok i zamarł bez ruchu.

Ruc dotknął lekko mego ramienia i przybliżył usta do ucha.

– Skaleczy każdego – szepnął – a potem odejdzie. Wyniesienie ciała pozostawi tamtym. Pojmiemy ją na szczycie drabiny. Ty zabijesz strażników.

Wiedziałam rzecz jasna, że do tego dojdzie. Nie po to śledziliśmy Żmiję i kapłana przez pół miasta, żeby na koniec zasiąść nad butelką *quey*. Problem polegał na tym, że nie mogłam ich zabić, nie pogwałcając reguł mojej Próby. Gdyby któryś pasował do pieśni, to co innego, wówczas mogłabym oddać go bogu, ale szanse na to były marne. Żadna osoba w pomieszczeniu na dole nie wyglądała na ciężarną. Nikt nie śpiewał. Oczywiście są sposoby, by

unieszkodliwić człowieka, nie zabijając go. Cicho schowałam jeden z moich noży, zmieniłam chwyt na rękojeści drugiego, po czym ukryłam się w cieniu nad lukiem.

Zaczekałam, aż drugi ze strażników wszedł po drabinie, i ciężką głowicą noża rąbnęłam go w czubek głowy, a potem zakręciłam się w miejscu, uderzyłam pierwszego strażnika pięścią w brzuch, złapałam go za gardło i ścisnęłam tętnice po bokach szyi. Przez chwilę szukał dłonią miecza, po czym zwiotczał i upadł z chrzęstem żelaza.

– Co tam się dzieje? – zapytała z dołu pani Quen.

Nie zwróciłam na nią uwagi. Zamiast tego skupiłam się na strażnikach. Moje poczynania nie gwarantowały, że długo pozostaną nieprzytomni, a nie mogłam ryzykować, że będę zmuszona ich zabić. Musiałam więc ich unieszkodliwić, zanim się ockną. Przecinanie ścięgien przegubów i kostek było paskudnym zadaniem, a ja nigdy nie sądziłam, że jako kapłanka Ananshaela będę robić takie rzeczy. Kiedy skończyłam, czułam się okropnie. W szybkiej, czystej śmierci jest swoiste piękno. To, co właśnie zrobiłam, było raczej torturą i bardziej pasowało do tego, co się działo w gorącym i dusznym pomieszczeniu na dole.

– Jeszcze trzech na górze – mruknął Ruc, po czym zeskoczył przez luk na dół, nie troszcząc się o drabinę.

Usłyszałam dobiegające z dołu przekleństwo pani Quen i krzyk kapłana, ale zanim zdążyłam tam zajrzeć, trzech strażnicy z góry wskoczyli przez luk nad nami. Choć pierwszy niemal wylądował mi na głowie, to wszyscy trzech stanowili dla mnie mniejszy problem niż dwaj pierwsi, bo ich oczy nic nie widziały w ciemności. Gdy przecinałam im ścięgna rąk i nóg, starałam się pamiętać, że oni

także byli współnikami w składanej ofierze. Wspólnikami tego, co czyniono tym związanym ludziom w ładowni.

Może się wydawać dziwne, że służąc Ananshaelowi, mogę mieć coś przeciwko takim ofiarom. W końcu przecież czymże innym zajmowałam się w Dombângu, jeśli nie składaniem ofiar memu bogu? Ludzie tak bardzo boją się śmierci, że mają skłonność do łączenia jednego z drugim, czyli do postrzegania śmierci i strachu jako dwóch stron tego samego medalu. Większość nie potrafi wyobrazić sobie unicestwienia, jakie zapewnia Ananshael, bez towarzyszącego mu strachu.

W rzeczywistości jednak mój bóg odrzuca strach, podobnie jak ból. Są przeciwieństwem pokoju, jaki nam daje. Najdoskonalsza ofiara to taka, która umiera, zanim poczuje ostrze. Jest zatem czymś zupełnie odmiennym od ofiar, jakie składa się w Dombângu. Tu przerażenie ofiar to nieodłączna część aktu ofiarowania. Oczekuje się, że będą walczyć, protestować, pogrążyć się w otchłani strachu, najlepiej przez długie dni, jeśli to możliwe, zanim w końcu umrą. W innych okolicznościach byłoby chwalebnym czynem położyć kres takiemu cierpieniu, ale ja, związana regułami Próby, mogłam jedynie zamienić cierpienie tamtych w dole na cierpienie strażników na górze.

Pięciu z nich wiło się na podłodze, rycząc jak dzikie byki i nie mogąc wstać. Jeden sięgnął, by złapać mnie za kostkę, lecz ponieważ przecięłam im również ścięgna przegubów, jego palce ześliznęły się bezwładnie po mojej skórze. Popatrzył z przerażeniem na swoją dłoń i jęk rozpaczony wyrwał mu się z ust. Odwróciłam się od tej rzezi, czując, że robi mi się niedobrze, po czym zeskoczyłam za Rukiem przez luk prowadzący do ładowni

poniżej.

Ruc zabił Żmiję, przetrącając jej kark jednym mocnym uderzeniem, po czym zapędził panią Quen i kapłana w odległy róg pomieszczenia.

Quen wpatrywała się weń z wyrazem głębokiej pogardy.

– Ach – mruknęła. – Zdrajca przybywa, żeby kolejny raz zdradzić swój lud.

Ruc wskazał mieczem leżących na podłodze więźniów.

– A może zapytamy ich, kto ich zdradził?

Quen prychnęła pogardliwie.

– To śmieci z zaułków. Trzech pijaczków, którzy nie przeżyliby nawet roku, a tamtych troje tak zagłodzonych, że już byli półmartwi.

– Oto prawdziwie wielka ofiara dla waszych mitycznych bogów – rzucił Ruc.

Kapłan się wyprostował.

– Troje istnieją *naprawdę*. Oni was *pożrą*. Nakarmimy wami węża i burzę. A waszą krew damy rzece.

– Prawdę mówiąc, zrobimy trochę inaczej – uciał Ruc. – Urządzimy piękny proces. Mnóstwo ludzi będzie zeznawać publicznie przeciwko wam. – Tu wskazał na więźniów. – A potem, kiedy już wyciśniemy z was wszystkie sekrety i nazwiska tej waszej buntowniczej grupy... – Wzruszył ramionami. – Nie wiem, czy Intarra istnieje czy nie, ale mogę wam zaręczyć, że poczujecie, czym jest ogień.

– Bluźniercy – syknął kapłan, po czym jego głos przeszedł w wysoki, żałobny lament. – Bogini was *pożre*. Ona powstaje. Ona *powstaje*, a jej kaci stoją u jej boku.

– To ta sama śpiewka, którą słyszałem, gdy wam podobni paćkali malunki na murach. Może pamiętacie, jak to się skończyło – powiedział Ruc.

Kapłan uśmiechnął się szyderczo.

– Jest tak, jak było za dawnych dni. Wody zdają się cofać. Ośmielony wróg przychodzi tylko po to, by w końcu pochłonął go sprawiedliwy potop.

– Tym gorzej dla ciebie, bo już tego nie zobaczysz. – Ruc obrócił się do mnie, a oczy miał twarde, jakby zrobione z nefrytu. – Zabij go.

Zesztywniałam.

– A co z wyciskaniem sekretów, oddawaniem go Intarze i tak dalej?

– To na jej sekretach mi zależy. – Ruc wskazał panią Quen. – Od miesiący śledzimy tych idiotów. O nim wiem wszystko, co powinniśmy wiedzieć.

– To po co go zabijać?

– Bo nie wiem wszystkiego, co powinienem wiedzieć o tobie. – Tu przechylił głowę. – Powiedzmy, że zabicie go będzie dodatkowym dowodem, że jesteśmy po tej samej stronie.

– Nie jestem pewna – odparłam, szukając jakiegoś wyjścia i możliwości wykpienia się z tej sytuacji. – Jako twój więzień będzie znacznie bardziej niebezpieczny dla powstańców niż jako nieboszczyk. W końcu, jeśli będzie żył, zawsze będzie mógł wyjawić jeszcze jakiś sekret.

– Oczywiście masz rację – stwierdził Ruc, po czym zmrużył oczy. – Ale też grasz na zwłokę.

Poczułam ucisk w piersiach, a mój oddech przyspieszył.

Wskazał moje noże, które ociekały krwią w świetle świec.

Kapłan również na nie patrzył, znieruchomiały. Nagle jednak oderwał od nich wzrok.

– Cokolwiek mi zrobicie – warknął – oni przyjdą po was. Przyjdą po was wszyscy Troje.

Nagle dostrzegłam drogę wyjścia.

– Kim, do ciężkiej cholery, są ci *Troje*, o których wszyscy w kółko gadają?

Quen patrzyła na mnie tak, jak drapieżnik wpatruje się w kawał mięsa.

– Kettral – powiedziała cicho. – A więc wściekłe psy cesarstwa już się tu zjawiały.

– Chodzi raczej o ptaki – odparłam złośliwie, odpowiadając jej podobnym spojrzeniem. – Fakt, że założyciel naszej jednostki zastanawiał się krótko, czy nie powinniśmy jeździć na psach, ale zdecydował się jednak w końcu na wielkie, potworne, krwiożercze jastrzębie.

Kapłan, pochłonięty własną złością i przerażeniem, najwyraźniej nie słyszał tej wymiany zdań. Potakiwał nerwowo, niemal wściekle, jakby przygotowywał się do wygłoszenia jakiejś kwestii.

– Sinn – syknął wreszcie. Zabrzmiało to na poły jak przekleństwo, a na poły jak wezwanie. – Hang Loc. Kem Anh. Oni mnie pomszczą. Pomszczą wszystkich poległych i prześladowanych z Dombângu. Możesz teraz podciąć mi gardło, ale...

Gdy tylko to powiedział, nie było już potrzeby pozwalać mu kończyć. Poderznęłam mu gardło szybkim, bocznym machnięciem, a gdy upadał, otarłam nóż o spodnie. Moje myśli powędrowały wstecz, zanurzając się w ciemnym nurcie wspomnień.

Sinn, Hang Loc, Kem Anh.

To były imiona, których nie słyszałam od czasów dzieciństwa, a i wtedy wypowiadano je tylko szeptem. Jeden z moich kompanów pokazał mi kiedyś sekretne pamiątki swojej rodziny. Wspiął się po nie aż pod strzechę z sitowia i spod krokwi wyciągnął trzy niezgrabnie ulepione z gliny figurki: dwóch mężczyzn i kobiety. Postacie wielkości dłoni były nagie, muskularne, z członkami długimi na pół ramienia, naprężonymi pośladkami, szerokimi barkami i rozstawionymi nogami. Nie pamiętałam imienia tego chłopca, ale zapamiętałam imiona, które wyrecytował drżącym głosem, dotykając kolejno wszystkich figurek. Sinn, czerwony jak krew, chudy jak polano; Hang Loc, większy i ciemniejszy; Kem Anh, bogini, największa z całego tria, z rozłożonymi ramionami, o oczach będących jakby wynikiem jakiejś przemocy, poszarpanych, jakby ktoś wydłubał je w glinie ostrzem noża.

Taka jest natura imion, że z czasem tracą swój związek ze światem. W ciągu stuleci sylaby zmieniają brzmienie, stają się niezrozumiałe, język, który je stworzył, ginie, a odniesienia do konkretnych rzeczy stają się nieznane. Tak było i z tymi, które w dawnym języku Dombângu znaczyły: wąż, ciemna burza, rzeczna śmierć.

Dawni bogowie mego miasta byli okrutniejsi, bliźsi i bardziej żarłoczni od świetlistej, zagadkowej bogini Annuru.

Mimo to cesarstwo mogłoby ich tolerować. Świetność Annuru po części wynikała z tego, że jego cesarze chętnie uznawali inne wierzenia. Cesarska rodzina Malkeenianów czciła Intarrę, ale stolica kraju gościła setki, a nawet tysiące świątyn poświęconych bóstwom innym niż Pani Światła i na wszystkich placach i ulicach

starzy bogowie sąsiadowali z nowymi. Handlarka mogła o wschodzie słońca zmówić dziękczynną modlitwę do Intarry, złożyć ofiarę Heqetowi – miseczkę ryżu i kawałek mięsa – w swojej domowej kapliczce, a potem zatrzymać się na chwilę w świątyni Bedisy, aby zmówić modlitwę w intencji ciężarnej córki. Nawet najciemniejsze kultury, zdyskredytowane ustami bogów już przed tysiącami lat, przetrwały w cichych zakątkach cesarstwa. Malkeenianie nie chcieli, by nowo podbite narody buntowały się z powodu jakichś nieistotnych teologicznych sporów. Tylko w Dombângu cesarstwo postawiło swój lśniący but na starych wierzeniach.

Konflikt tkwił w naturze bogów Dombângu. Podczas gdy skalne duchy Romsdalu czy mityczni ludzie-ryby z Łamanej Zatoki nie sprzeciwiali się annuryjskim rządóm, nasi bogowie byli nie tylko krwiożerczy, ale i zazdrośni. Pochodzili nie ze sfer niebiańskich, lecz z samej delty. Ich krwią była woda, ich ciałem muł, ich krzykiem grzmot letniej burzy. Ich umowa z mieszkańcami miasta była prosta i okrutna: składajcie ofiary, a będziecie chronieni. Składajcie ofiary spośród młodych, silnych i pięknych, a my będziemy niszczyć wszystkich tych, którzy występują przeciwko wam.

Układ był świetny, dopóki nie okazał się gówniany.

Kiedy annuryjskie legie zaatakowały Dombâng, żadne bóstwa nie wychynęły z wód, aby stanąć w jego obronie. Armia zajęła miasto, przywódcom Zielonych Koszul ścięto głowy, zburzono największe świątynie, a wszystko to bez najmniejszego boskiego sprzeciwu. Mężczyzna twierdzący, że nazywa się Hang Loc, wysmarował sobie ciało mułem i rzucił się z gołymi rękami na

żołnierzy annuryjskiego garnizonu. Pojmano go, wykastrowano i ścięto mu głowę przed pomnikiem Goca My'ego, a szczątki wrzucono do kanału. Tydzień później jakaś kobieta utrzymująca, że zwie się Kem Anh, udała się na Północny Cypel podczas wielkiego sztormu i wezwała wody delty, aby powstały i zatopiły Annuryjczyków. Wody wezbrały, jak zawsze podczas sztormu, po czym opadły. Annuryjczycy, jak zwykle metodycznie i brutalnie, jej również odrąbali głowę i ciało wrzucili do kanału. Od tamtej pory nie pojawił się już żaden pretendent do boskości.

Annuryjski triumf był dla wielu dowodem, że bogowie Dombângu nigdy nie istnieli. Nie było też dla nich miejsca w wielkim panteonie bóstw powstałym po wojnach z Csestriimami, kiedy młodzi bogowie chodzili po ziemi w ludzkiej postaci. Od stuleci handlarze z obcych krajów kpili z naszych przesądów. To, że nasi bogowie nie ocalili nas w trudnej chwili, dla wielu oznaczało, że nie byli żadnymi bogami, tylko zwykłymi lalkami, pomalowanymi w taki sposób, aby przypominać o niebezpieczeństwach grożących nam w miejscu, jakie wybrali dla nas przodkowie, takich jak powodzie, węże i burze.

Był to dowód dla wielu. Ale nie dla wszystkich. Zdaniem niektórych to nie bogowie zawiedli Dombâng, tylko mieszkańcy Dombângu zawiedli bogów. Według nich panowanie Annuru było jedynie wezwaniem do większej pobożności i ściślejszego przestrzegania starych obrządków, do stawiania oporu obcej pladze. Opór jednak okazał się nieskuteczny. Annur był bogaty, bezlitosny i niestrudzony. Legie wyszukiwały ukrywających się kapłanów, ścinały im głowy i kolejne ciała wrzucano do kanału. Na dobitkę maleńkie statuetki trójcy naszych bóstw, wciąż bezsilnie

obecne w maleńkich domowych kapliczkach lub rzeźbione na sterach statków, były systematycznie niszczone, ścierane, usuwane z miasta, które miały chronić. Ludzi zakuwano w dyby za gwizdanie nieodpowiednich melodii i skazywano na śmierć za śpiewanie niewłaściwych słów. Stare święte księgi palono, a kapłanów torturowano. Okupacja ta, podobnie jak wszystkie okupacje, była okropna. Niektórzy jednak uznawali, że nowy pokój i dobrobyt warte są tej ceny. Inni zaś uważali inaczej. Mogłabym zniechęcić Annuryjczyków równie mocno jak pani Quen, gdyby nie moje nowe doświadczenia z naszą wyjętą spod prawa religią. Annur zachował stare święta, ale pod nowymi nazwami. Kem Anh stała się Intarra, Sinn i Hang Loc jej sługami, Gorącem i Ogniem. Nawet po tym świętokradztwie nasi bogowie nie zaprotestowali. Dwa stulecia wystarczyły, by wielu ludzi zupełnie o nich zapomniało.

Wielu. Ale nie wszyscy.

Martwy kapłan u moich stóp, związane ciała za mną i wyniosła kobieta oparta o kadłub byli tego wystarczającym dowodem.

– Kem Anh powstaje – powiedziała. – Zdławi was swymi wodami. Ruc pokręcił głową.

– Czy wiesz, że jesteś sto czterdziestym pierwszym więźniem, który mi to mówi? I to tymi samymi słowami?

– Jej prawdzie nie można zaprzeczyć – odparła Quen, obnażając zęby.

– Może i nie, ale minęły już cztery lata, odkąd powróciłem do tego miasta. – Tu postukał się palcem w gardło. – Jak dotąd żadnego dławienia. Zabiję cię, a mimo to wody... – Zamilkł na chwilę i przyłożył dłoń do ucha, jakby nasłuchiwał, po czym znów pokręcił

głową. – Nie. Nie powstają.

Kiedy obrócił się do mnie, jego wzrok był czujny, dociekliwy.

Był to swego rodzaju triumf, a jednak nadzieja, z jaką zaczęłam tę noc, i dreszcz, jaki czułam, biegnąc z Rukiem uliczkami, ulotniły się. Nie wiem, co czułam w tej chwili, ale nie była to miłość.

– Nie żyje – powiedziałam, wskazując na kapłana.

– Nie żyje – zgodził się Ruc.

Dawca imion, powiedziałam do siebie w duchu, przypomniawszy sobie słowa świętej pieśni Ananshaela, po czym spojrzałam ostatni raz na ciało kapłana. Oddałam memu bogu dawcę imion. Tego, który zdradził mi te starożytnie imiona.

9

Pomimo późnej pory, o której wróciłam w końcu do gospody, mój sen tej nocy był niespokojny, nawiedzany przez koszmar. Pojawiała się w nim kobieta z grzywą czarnych włosów, z zębami ociekającymi krwią i zwężonymi pionowo źrenicami, jak u kota.

Zerwałam się z bijącym sercem, sięgając po noże, a potem znów opadłam na posłanie. Za oknem, w mroku przed świtem, na kanałach panował już ruch. Drobni rybacy powracali już na swoich wąskich łodziach; każde pociągnięcie wiosel rozlegało się skrzypieniem, a na dziobach piętrzyły się stosy złowionych nocą ryb. Kobiety i mężczyźni wykrzykiwali pozdrowienia, żarty i przekleństwa z pokładów większych, płaskodennych statków, przystosowanych do oceanicznych połowów, gdy podjeżdżały do nich wozy, podskakując na rampach i pomostach. W sąsiednim pokoju chodził w kółko, ociężałe, ktoś kulejący. Usłyszałam odgłos otwieranych okiennic, a potem chlupnięcie, gdy zawartość nocnika wpadła do wody. Gęsty, wszechobecny fetor unosił się wraz z porannym dymem palenisk: zapach przypalonej ryby i słodkiego ryżu, mułu, stojącej wody, butwiejącego drewna oraz, ponad tym wszystkim, zapach słonej wody w gorącym powiewie wschodniego wiatru: obietnica niewidocznego stąd morza.

Całe ciało bolało mnie jeszcze po nocnym biegu przez miasto, więc przez dłuższy czas leżałam spokojnie, wspominając wszystko, co się zdarzyło, począwszy od spotkania w łaźni, a skończywszy na

końcowej przemocy. Zapakowaliśmy panią Quen na jej własną łódź razem z sześcioma więźniami i powiosłowaliśmy z powrotem do Wraku Statku, tak nazywano rozległą drewnianą fortecę Zielonych Koszul. Przez całą powrotną drogę nie odezwałam się do Ruca nawet słowem. Częściowo z powodu obecności innych uszu na pokładzie, ale głównie dlatego, że nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć. Mój plan rozwijał się prędzej, niż się spodziewałam. Udało mi się zaskarbić zaufanie Ruca i stać się jego współpracowniczką w walce przeciwko miejskim buntownikom. A jednak te pierwsze sukcesy przypomniały mi jedynie niewygodną prawdę: że często łatwiej jest rozpętać wielką rewolucję, niż się zakochać.

Analizowałam w myślach wyraz oczu Ruca, wspominałam nasze przekomarzenia, przeżywałam raz jeszcze wszystkie dreszcze podniecenia, jakich doznałam, gdy biegliśmy przez Dombâng, osłaniając się nawzajem.

Co to może znaczyć? – dziwiłam się, patrząc w sufit. Co ja naprawdę czuję?

Podniecenie, rzecz jasna. Trzepotliwe połączenie pożądania z niepewnością. Zawrót głowy. Euforię. Całą mieszaninę pomniejszych, mało znaczących kuzynów miłości – ale samą miłość? Zamknęłam oczy, zagłębiłam się w siebie, zbadałam każdy organ, każdą część siebie, serce, płuca, lędźwie. Bolały mnie zebra. Czułam ból w płucach po długim biegu. Miałam zdarte knykcie po wspinaczce na kadłub wraku. Bolały, gdy je zginałam. Wszystko to były znajome doznania. Nic z tego, co mogłam rozpoznać, zidentyfikować, oddzielić i obejrzeć pod światło, nie mówiło: *To jest miłość.*

Na koniec, powodowana dwiema przeciwstawnymi potrzebami

picia i sikania, stoczyłam się z łóżka, podeszłam do okna i otworzyłam na oścież okiennice. Słońce wzeszło już na tyle wysoko, że świeciło teraz czerwono spod obwisłej powieki chmur. Poranki w Dombângu są mgliste: poranna mgła znad rzeki miesza się z dymem kuchennych palenisk. Było już naprawdę gorąco. Po użyciu nocnika i wyżłopaniu połowy wody z glinianego dzbana stojącego przy łóżku przypięłam noże, wsunęłam lekkie bawełniane spodnie, narzuciłam jedwabną koszulę i wyszłam się rozejrzeć za jakimś jedzeniem.

Znalazłam Kossala siedzącego w narożniku tarasu gospody. Czarka *ta* stała przed nim na stole, parując w porannej mgiele, ale nie zwracał na nią uwagi, skupiwszy się na trzymanym przy ustach flecie. Mimo że oboje przeżyliśmy większość życia w Rassamburze, tylko kilka razy słyszałam, jak kapłan gra. Zwykł raczej cieszyć się muzyką w samotności, w górach, czasem w odległości wielu dni drogi od fortecy, gdzie towarzyszyły mu jedynie flet i dzbanek z wodą. Spotkanie go tutaj, na tarasie gospody w środku miasta, gdzie wokoło przy stołach, o kilka kroków od niego, siedzieli ludzie, było trochę jak odkrycie dzikiego górskiego kota siedzącego na ławce i chlepczącego mleko z kieliszka.

Inni goście gospody, którzy wstali wcześniej, żeby zjeść śniadanie o świcie, musieli odczuwać to podobnie. Nie mogli oczywiście wiedzieć, że Kossal jest kapłanem, i ich spojrzenia wciąż wędrowały ku niemu, a potem nerwowo uciekały, jakby rozumieli, że ten starszy człowiek jest istotą zupełnie niepodobną do znanych im ludzi, kimś dziwnym i być może niebezpiecznym, pomimo piękna granej przezeń muzyki. Kossal zdawał się nie zauważać zainteresowania, którego był przyczyną. Grał z zamkniętymi

oczyma, wydobywając ze swego instrumentu delikatne jak dym nuty, jakby był sam na piaskowcowym skalnym szczycie w wysokich górach Ancazu. Z początku nie rozpoznałam tej pieśni, lecz potem uświadomiłam sobie, że jest to dawna lokalna, taneczna melodia, lecz grana w zupełnie innym, wolniejszym tempie, w taki sposób, że pauzy między nutami wydawały się równie ważne, jak same nuty.

Kiedy skończył, odłożył flet, ale oczy wciąż miał zamknięte. Kobieta i mężczyzna siedzący kilka stolików dalej zaczęli klaskać. Rysy twarzy starego kapłana stężały.

– Wyznam, że czasem, gdy ktoś klaszcze, kusi mnie, żeby oddać go bogu – mruknął cicho, tak że tylko ja usłyszałam.

Popatrzyłam na niego, na zmarszczki, które porały jego twarz, a potem, nad jego ramieniem, spojrzałam na klaszczącą parę. Posłałam im uśmiech, który, miałam taką nadzieję, sugerował jednak coś innego niż natychmiastową śmierć z rąk kapłana Ananshaela.

– Doceniają muzykę – powiedziałam cicho.

– Skoro doceniają, to niech przestaną hałasować.

– Ale pieśń już się skończyła.

Nieopodal nas wiosła biły wodę. Kilkanaście kroków w górę nurtu, przy nabrzeżu gospody, zaskrzypiały cumy. Mewy wrzeszczały, dając upust swojej małostkowej złości.

Kossal otworzył oczy.

– Skąd wiesz?

– Odłożyłeś flet.

Nastroszył krzaczaste brwi.

– A jeśli wezmę go znowu? – Podniósł instrument, przesunął

językiem po wargach i zaczął grać, posyłając oddech w głąb polerowanej drewnianej rurki i słuchając, jak wydobywa się z niej w postaci muzyki.

Był to ten sam muzyczny motyw co wcześniej, lecz tym razem w jakiś sposób odwrócony, jakby pierwotna pieśń była płaczem posłanym w świat, a ta nowa, przekształcona muzyka stanowiła spóźnioną odpowiedź.

– Bądź ostrożna – powiedział, kiedy znów odłożył flet – mówiąc, że coś się skończyło.

Cokolwiek to miało znaczyć.

Ta sama para znowu zaczęła klaskać. Kossal zgrzytnął zębami, uniósł do ust parującą czarękę i wypił.

– Tej nocy złożyłam swoją czwartą ofiarę – oznajmiłam.

– Dawcę imion. Ela mi powiedziała.

Spojrzałam zdumiona.

– Skąd wiedziała?

– Jest w końcu twoim świadkiem. Powiedziała, że to była niezła noc.

Spróbowałam to sobie wyobrazić. Byłam tak skupiona na łodzi, którą śledziliśmy, że nie zwracałam specjalnej uwagi na to, co się dzieje z tyłu. Możliwe więc, że też byliśmy śledzeni.

– Gdzie ona jest teraz? – zapytałam.

– Śpi, jak sędzę. Ta kobieta śpi jak pijana świnka. Czy słyszałaś...

Głos Eli przerwał mu ostro:

– Nie zgadzam się z tą charakterystyką. – Odwróciłam się i zobaczyłam kapłankę zbliżającą się do nas wolnym krokiem. Miała na sobie nowe *ki-pan* z cienkiego jedwabiu, w kolorze

nefrytu, z obszytymi na czarno rozcięciami po bokach, które zdawały się sięgać jeszcze wyżej niż te, które prezentowała ostatnio. Sprawiała wrażenie, jakby miała niewyczerpane zasoby strojów, choć z Rassamburu wzięła tylko mały plecak. Jeśli kupowała je tutaj, to musiała już wydać co najmniej tyle, ile zarabia rocznie przeciętny tutejszy rybak. – Jestem całkowicie pewna – ciągnęła, osuwając się na krzesło i przywołując gestem wypielegnowanej dłoni jednego ze służących – że *kiedy* już śpię, to wyglądam jak wdzięczna gołąbka wtulona w miękką pościel. – Nie zwróciła uwagi na lekceważące prychnięcie Kossala. – Powiedziałam, że *kiedy* śpię, bo ostatnio nie miałam wiele okazji po temu, tropiąc naszą impetyczną podopieczną po całym tym pięknym mieście. – Tu otworzyła delikatny papierowy wachlarz i zaczęła się nim wachlować. – To doprawdy wyczerpujące.

Przyjrzałam się jej. Nie wyglądała na wyczerpaną. Raczej tak, jakby połowę poranka spędziła w kąpieli, potem nakładając makijaż i oliwiąc skórę, aż połyskiwała złocistą, ciepłą barwą. Jej gęste, opadające kaskadami loki były jeszcze wilgotne. Pachniała bzem i lawendą.

– W jaki sposób nas śledziłaś? – zapytałam, choć pozałowałam tych słów, gdy tylko je wypowiedziałam.

Ela spojrzała na Kossala i zniżyła głos, udając z troskanie:

– Biedactwo jest ładniutkie, ale chyba niezbyt lotne, co?

Kossal nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć, a chwilę później jeden z młodych ludzi podszedł do naszego stolika z parującym czajniczkiem *ta* w ręku. Podobnie jak reszta, został najwyraźniej wybrany do tej pracy z powodu doskonałego kształtu ramion i klatki piersiowej, a gdy nalewał napój, Ela spojrzała na niego

z uznaniem, oblizwała wargi, wydobywając z siebie cichy gardłowy odgłos, pół mruczenie, a pół warkot. Odpowiedział jej spojrzeniem i ku swemu zdziwieniu stwierdził, że nie potrafi znieść jej wzroku, po czym z konsternacją odwrócił oczy.

Kiedy odszedł, Ela pochyliła się ku mnie i rozkosznym szeptem powiedziała:

– Uwielbiam ich straszyć.

Otworzyłam usta, ale nie znalazłam słów i zamknęłam je znowu.

– Oczywiście – podjęła Ela, jakby nie zauważyła mojego zmieszania – z tymi tutaj idzie łatwo. Ale ten twój facet, Ruc Lan Lac... – rozciągnęła nieco sylaby jego nazwiska. – Jego nie da się chyba tak łatwo przerazić, co?

Pokręciłam głową, odzyskując w końcu zdolność mówienia.

– Nie, z pewnością nie.

Ela znowu się do mnie nachyliła.

– Opowiedz mi więcej – mruknęła. – O ile dobrze pamiętam, przerwałaś opowiadanie na tym, gdy wygoniłaś ślicznego, krwawiącego, zielonookiego mężczyznę z koncertu na ulicę. Było tam coś o walce, na którą podobno miał zdążyć...

†

Tawerna Gniew Rishiniry była tak zatłoczona, że na pozór brakło już miejsca nawet dla pary mocujących się na rękę, nie mówiąc już o dwójce walczących na gołe pięści bokserów i ringu, na którym mieliby stoczyć walkę. Ludzie zapełniali całe główne piętro – w większości mężczyźni, rybacy z jeziora i pomocnicy z łodzi na kanale, sądząc po bosych stopach – i ryczeli głośno, by mogli ich

usłyszeć kompani stojący o krok od nich. Hałas był jak ściana, a gorący, słodkawy odór potu i przetrawionego śliwkowego wina przyprawiał mnie o mdłości. Po spędzeniu większości życia na otwartych przestrzeniach i w suchym powietrzu Ancazu nawet miejski plac wydawał mi się nieznośnie zatłoczony. Wejście do Gniewu Rishiniry było jak wpłynięcie do gardła jakiejś cuchnącej bestii, wielkiej jak dom. Miałam takie uczucie, jakby to miejsce mnie trawiło.

Mój towarzysz nie miał tego problemu. Choć jeszcze niedawno, przed świątynią, zamierzał zbić mnie na krwawy befsztyk, najwyraźniej o mnie zapomniał, gdy zaczęliśmy przepychać się krętymi uliczkami Sia. Nie wyglądało też na to, by przejmował się zbyt wiele, kimkolwiek, gdy przechodziliśmy obok czterech uzbrojonych w pałki drabów stojących przed wejściem do tawerny. Kiedy wkroczyliśmy w panujący we wnętrzu ścisk, nie zadał sobie trudu, by unieść ręce, prześlizgiwać się bokiem albo odsuwać ludzi stojących mu na drodze. Po prostu parł prosto przed siebie, torując sobie drogę piersią. Nie był wielki, ale gdy wbił się w tłum, po prostu szedł niczym przez gęsty łąn pszenicy, głuchy na rozlegające się wokół przekleństwa. Marynarze oblegali go na chwilę i wznosili pięści, nim zobaczyli jego twarz. Wówczas ich oczy rozszerzały się, gdy nagle go rozpoznawali, cofali się o krok i opuszczali ręce. Młody mężczyzna zupełnie ich ignorował. Zachowywał się, jakby był zupełnie sam.

Moje przejście przez to pomieszczenie nie było pozbawione pewnego wysiłku. Po pierwsze, byłam mniejsza, a po drugie, byłam kobietą wśród tłumu hałaśliwych, pijanych mężczyzn. Złamałam rękę pierwszemu idiotcie, który do mnie sięgnął, a potem

wyminęłam wyjącego z bólu. Przeciskałam się dalej i odgłosy rozmów powoli zagłuszyły jego wrzaski. Zanim dogoniłam mego posiniaczonego, kochającego muzykę wojownika, strzaskałam kostki dwóm typom, a jednemu tak mocno wykręciłam mosznę, że nie mógł potem utrzymać się na nogach. Gdyby było tam mniej ludzi, wszystko to mogłoby skończyć się dla mnie fatalnie; nawet najlepsze kapłanki Ananshaela nie potrafią stawić czoła dwóm tuzinom mężczyzn naraz. Tłok w znacznej mierze mnie chronił. Za każdym razem, gdy zwracałam się przeciwko jakiemuś niedoszłemu prześladowcy, wystarczało mi jedynie cofnąć się, zrobić kilka kroków i zniknąć w tłumie.

Mimo że zwracałam na siebie niechcianą uwagę, wszystko to sprawiało mi pewną uciechę. Odkąd przyjechałam do Sia, próbowałam działać niepostrzeżenie. Posłannicy mojego boga niezbyt chętnie angażują się w masowe, niewybredne jatki. Ci z nas, którzy wciąż się szkolą, wyjeżdżają z Rassamburu głównie po to, żeby uczyć się życia w świecie i poznawać umysły i zachowania ludzi niewtajemniczonych. Oczywiście wymagano ode mnie, abym podczas rocznego pobytu w tym mieście złożyła pewną liczbę ofiar memu bogu, ale głównym moim celem była nauka. Dobrze się więc czułam, mogąc użyć swojego ciała zgodnie z tym, do czego zostało wytrenowane. Właśnie udało mi się wyjąć kieliszek wina z ręki upadającego mężczyzny i radośnie upić z niego parę łyków, kiedy niemal zderzyłam się z moim młodym wojownikiem, który nagle zatrzymał się tuż przede mną.

Chwilę trwało, zanim zrozumiałam, co się dzieje. Krąg ludzi otaczał ciasno szeroką, otwartą przestrzeń w środku pomieszczenia, tworząc kwadrat wyznaczony zawieszoną na

wysokości bioder liną. Kiedy wspierałam się na palce, aby wyrzeć zza ramienia mego towarzysza, zobaczyłam, że podłoga opada kilkoma rzędami ławek otaczających położony parę kroków niżej ring. Większość tych miejsc była już zajęta i sądząc ze strojów i zachowania siedzących tam mężczyzn i kobiet, byli to ludzie mający więcej pieniędzy od stłoczonych w pomieszczeniu wyżej śmierzących marynarzy. Kilkunastu brutali z pałkami, najwyraźniej wynajętych do ochrony, powstrzymywało napierający tłum.

Początkowo nikt nie zauważył młodego mężczyzny stojącego przy linach. Potem jednak kilku spojrzało i z okrzykiem wskazali na niego palcami. Chwilę później potężna kobieta, siedząca w najniższym rzędzie ławek, wstała i obróciła się ku nam, po czym twarz rozjaśnił jej szeroki i mocno szczerbaty uśmiech. Gdy przemówiła, jej głos zabrzmiał jak gong, zagłuszając panujący wokół tumult.

– Ruc Lan Lac! – zawołała do mego pokiereszowanego wojownika. – Już myślałam, że w końcu wymiękłeś.

To wtedy po raz pierwszy usłyszałam jego imię. *Ruc Lan Lac*.

Już w chwili, gdy go zobaczyłam, podejrzewałam, że nie pochodzi z Sia. Niewielu ludzi w tym mieście miało taki odcień skóry, podobne lśniące, czarne włosy i wykrój oczu. Albo jego rodzice byli cudzoziemcami, albo pochodził z południa, może z Channary albo i z Dombângu. Jego imię tylko to potwierdzało. Lan Lac było starym nazwiskiem w mieście mego urodzenia, kiedyś nawet należało do szlacheckiej rodziny, która już dawno podupadła.

Tłum niemal przycisnął mnie do jego pleców, ale zdążyłam przesunąć się w bok, pozostawiając między nami wolną przestrzeń,

uniosłam do ust kieliszek śliwkowego wina i wypłam do dna. Radość sprzed kilku chwil ulotniła się gdzieś, ale nie potrafiłam określić, co poczułam zamiast niej; coś żywszego, lecz bardziej kolczastego.

Na dźwięk jego imienia hałas w tawernie powoli cichł. Okrzyki ustąpiły miejsca gorączkowym komentarzom, potem szeptom, a wreszcie nastąpiła zupełna cisza. Zajęło to trochę czasu, bo Gniew Rishiniry był sporą tawerną. Przeniosłam uwagę z Ruca na kobietę, która wypowiedziała jego imię. Stała teraz pośrodku ringu, gigantyczna, półtora raza wyższa ode mnie, z piersią wielkości beczki. Musiała mieć koło czterdziestki i nie było w niej choćby śladu słabości. Mięśnie jej ramion i barków leniwie zachodziły na siebie przy każdym poruszeniu. Gdy uśmiechnęła się swoim szczerbatym uśmiechem, ścięgnięta na jej szyi napięły się jak liny. Przed laty ktoś oberwał jej pół ucha, a poza tym gołym okiem było widać, że jej krzywy nochal wiele razy był łamany i składany. Nikt nie mógłby powiedzieć, że była piękna, ale była w niej jakaś nieodparta witalność, radosna siła w sposobie poruszania się, a w brzydkim uśmiechu pewien rodzaj humoru, który prawie pozwalał zapomnieć o licznych niedoskonałościach jej ciała. Poczulałam, że chciałabym ją poznać, ale ona nie patrzyła na mnie. Nie spuszczała szarych oczu z Ruca Lan Laca.

– Wyglądasz, jakby wół cię kopnął! – wykrzyknęła.

Jej głos zabrzmiał jak spiżowy dzwon, jego zaś niczym dobra stal wykuta na kowadle.

– Witaj, Nayat – odparł. – Już zaczynałem podejrzewać, że ten sukinsyn, którego zeszłej nocy wystawiłaś przeciwko mnie, nie był w pełni człowiekiem.

Dowcip ten wywołał wśród tłumu lawinę śmiechów. Olbrzymka Nayat uśmiechnęła się szerzej, ale w jej szarych oczach pojawił się wyraz sprytu i wyrachowania.

– A jednak pojawiłeś się tu bez zwłoki.

Ruc rozłożył ręce tym samym ruchem, jakim wcześniej zapraszał mnie do walki na ulicy.

– Cóż mogę rzec? Brakowało mi twojego uśmiechu.

Nayat uniosła krzaczaste brwi.

– Są ludzie, którzy nazywają cię głupcem. Większość mężczyzn odpoczęłaby tydzień lub dwa. Wydadaj trochę pieniędzy z tych, które wygrałeś. Strzel sobie parę głębszych. Znajdź kogoś do pieprzenia.

– Niestety nie zarabiam po to, żeby pieprzyć.

– Och, sama nie wiem. Z takim ciałem? Zdaje mi się, że mogłoby jednak dochodzić do jakichś krzyżówek.

Ruc pokręcił głową.

– No to do dzieła, Nayat. Ty płacisz. Za dziesięć złotych słońc zrobię wszystko, czego sobie zażyczysz.

Z tłumu dobiegły wiwaty i okrzyki zachęty. Nayat zmrużyła oczy. Zaczekała, aż hałas ucichnie, i odpowiedziała:

– To kuszące, ale moi goście przyszli tu dla widowiska.

Ruc wzruszył ramionami.

– Za dziesięć złotych słońc możesz mnie wypieprzyć, i to na samym środku ringu. To łatwiejszy sposób zarabiania niż pozwalanie, by te twoje woły kopały mnie po brzuchu. – Ściągnął lekką bawełnianą koszulę i odrzucił ją na bok. Mięśnie jego pleców i barków poruszyły się harmonijnie. Był szczupły i w widoczny sposób silny, ale jego żebra pokrywały sińce, a w dole pleców widać było krwawy ślad, gdzie jakiś ostry przedmiot wyrwał mu kawałek

skóry wielkości paznokcia. – Mówiąc szczerze – ciągnął, obracając się, aby tłum mógł go widzieć – chętnie zmienię klimacik. – Tu sięgnął dłonią do klamry u pasa, jakby zamierzał ją rozpiąć. Owacje zebranych sięgnęły zenitu. – Obiecuję, że obejdę się z tobą delikatnie jak baranek, Nayat. Ja zarobię, ty będziesz miała trochę radości, a te dupki swoje widowisko. Powiedz tylko słowo.

Nayat uśmiechnęła się, ukazując połamane zęby, i powoli, niemal z żalem pokręciła głową, czekając, aż krzyki umilkną. Cofnęłam się, powiększając nieco przestrzeń między sobą a Rukiem. Wciąż miałam nadzieję pozostać niezauważona.

– Doceniam twoją ofertę – powiedziała w końcu Nayat – i ufam, że nie odbierzesz tego źle, ale wolę... – spojrzała w dół na swoje ciało, uniosła brwi, jakby zdziwiona jego ogromem i siłą – ...wolę kochanka odrobinę masywniejszego.

Nikt nie mógłby nazwać Rucą małym, ale Nayat była od niego o dłoń wyższa i na pewno cięższa. Mężczyzna ponownie wzruszył ramionami.

– Czyli wychodzi na to, że jednak będę musiał walczyć.

Nayat przypatrzyła mu się z uwagą.

– Mógłbyś trochę poczekać. Podleczyć się. Wrócić za tydzień. Ludzie przychodzą tutaj, żeby patrzeć, jak walczysz, a nie jak krwawisz, słaniasz się i upadasz.

Ruc uśmiechnął się miło.

– Walki mają to do siebie, że jest w nich trochę jednego i drugiego – powiedział.

Jak się okazało, niewiele było jednego i drugiego.

Nayat wystawiła do walki z Rukiem mężczyznę jeszcze większego niż ona, pokrytego bliznami, ze złamanym nosem, o przygarbionych ramionach i jasnej skórze, zapewne Nishanina lub Breatańczyka. Kiedy wkroczył na ring, ryknął, rozłożył ramiona, poruszył mięśniami barków, pleców i klatki piersiowej, po czym zaczął boksować powietrze, demonstrując sześć prostych kombinacji. Był wielki i szybki, ale nieudolny. Zadając ciosy, nie osłaniał podbródka, a jego kontra, która mogłaby wybić z zawiasów drzwi stodoły, sprawiała, że tracił równowagę. Mężczyźni tak wielkiej postury zapominają o wielu drobnych rzeczach. Są nawykli do walki z tymi, którzy są zbyt mali, by przewyższyć ich zasięgiem ramion, albo zbyt słabi, by wyrządzić im krzywdę, kiedy uda im się prześliznąć bliżej.

Ruc nie należał ani do jednych, ani do drugich.

Zamiast unieść pięści, postąpił szybko naprzód z rękoma opuszczonymi wzdłuż tułowia. Przechylił głowę, jakby oceniał dystans, po czym wkroczył w zasięg ramion olbrzyma. Jasnowłosy potwór złapał przynętę, ryknął, biorąc zamach, zakreślił mięsistą pięścią łuk w powietrzu i potknął się lekko, nie trafiwszy w to, w co zamierzał uderzyć, po czym natknął się na pięść Ruca, która wybiegła mu na spotkanie krótkim, skutecznym ciosem z dołu, wyprowadzonym z całą siłą prostujących się nóg i korpusu. Wielkolud cofnął się o krok, wysunął rękę, jakby szukał oparcia, a potem upadł na wznak w piasek.

Ruc przyglądał mu się przez chwilę, wzruszył ramionami, a potem skupił uwagę na swoich knykcjach, jakby sprawdzając, czy jeszcze się zginają. Tłum w Gniewie Rishiniry, który, gdy tylko

walka się zaczęła, jął wrzeszczeć i zagrzewać walczących, na widok padającego wielkoluda umilkł jak zaklęty, po czym, gdy zorientował się, że to koniec rozrywki, rozkrzyczał się znowu. Połowa najwyraźniej przeklinała olbrzyma za jego głupotę, druga połowa zaś zwracała swój gniew przeciwko Rucowi, który ignorował to zupełnie. Mężczyzna obok mnie rzucił kufel z piwem na ring i darł się, powtarzając w nieskończoność: „Ustawiona! Ustawiona!”.

Kompani jasnowłosego boksera wskoczyli między liny. Jeden próbował go posadzić, podczas gdy drugi biegał tam i z powrotem, na zmianę to gapiąc się na Ruca, to obrzucając tłum obelgami. Chwilę później na ring wkroczyła Nayat. Nie wyglądała na zadowoloną, gdy podniosła ręce, prosząc o spokój.

W ogromnym pomieszczeniu zapadła niechętna cisza. Najostrzejsze głosy słyhać było nieco dłużej, domagały się powtórki walki, nieuznania wyniku albo zwrotu postawionych pieniędzy, lecz Nayat stała nieporuszona, dopóki i one nie umilkły, choćby na chwilę.

– Wygląda na to – powiedziała, zwracając się do Ruca – że niepotrzebnie się o ciebie martwiłam.

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Nawet nie wiesz, jak ciepło robi mi się na sercu, kiedy tak mówisz.

Zmarszczyła brwi.

– Może jednak powinnam była ci zapłacić za pieprzenie. Przynajmniej mielibyśmy dłuższy pokaz. Zostawiłeś mnie z tłumem niezadowolonych klientów.

– Zapłaciłaś mi za walkę, nie za satysfakcję.

– Miałam nadzieję, że jedno idzie w parze z drugim.

– Ja też mam nadzieję na parę rzeczy.

Nayat uniosła brwi.

– Czyżby?

Wojownik sprawiał wrażenie, jakby rozważał to pytanie, a potem pokręcił głową.

– Nie, chyba nic z tego. – Rozejrzał się po otaczającym go tłumie.

– Chcesz, żebym walczył z kimś jeszcze?

– Zrobiłbyś to? – zapytała Nayat, obejmując go grubym ramieniem. Stojąc przy niej, wyglądał naprawdę na małego. – Dla mnie?

Ruc pokręcił głową, ale nie uczynił żadnego ruchu, żeby wyplątać się z jej objęcia.

– Nie. Zrobiłbym to za kolejne dziesięć słońc.

Oferta wywołała następną lawinę krzyków i wiwatów. Za moimi plecami niektórzy z klientów, niemający dość szczęścia, żeby znaleźć sobie miejsce na otaczających ring ławach, wdrapali się na stoły, częściowo po to, aby widzieć całą akcję, a częściowo po to, aby skuteczniej ryczeć słowa zachęty. Tłum za mną gęstniał, naciskał, a ja przeżyłam niezwykłą dla mnie chwilę paniki.

Rassambur jest fortecą z powietrza, światła i otwartej przestrzeni; kobieta może tam odejść do boga, ale uczyni to na szerokiej skale pod bezkresnym niebem. Natomiast moje wspomnienia z dzieciństwa pełne były dusznych, gorących miejsc; nasza tekowa chałupa stała obok innych tak blisko, że zdawało się, że wsparta na zbutwiałych palach unika zawalenia tylko dzięki podparciu walących się chałup sąsiednich. Kiedy mój ojciec wracał do domu z nabrzeża i zatrząskiwał za sobą drzwi, w ciasnocie naszej izby nie mieliśmy dokąd uciec ani gdzie się schronić. Nawet

wtedy, gdy uciekałam, wymykając się z jego pijackich, niezdarnych łap, pozostawał mi tylko ciasny labirynt wijących się kanałów Dombângu, niebezpieczne przejścia i chodniki z chwiejnych desek pomiędzy palami prowizorycznych bud oraz ciasne, śmierdzące kadłuby rybackich łodzi.

Tawerna Gniew Rishiniry leżała daleko od Dombângu, ale ścisk i smród zbyt wielu ludzi stłoczonych w zbyt małej przestrzeni, gdzie gorąco i złość nie znajdowały ujścia, przypomniały mi mój pierwszy rodzinny dom, który miałam, zanim znalazłam drogę do Rassamburu. Opanowała mnie nagła ochota, by się stąd wycofać, by wywalczyć sobie drogę do wyjścia, ale nie tak zbita masa mężczyzn, przez którą przebijaliśmy się w tę stronę, zgęstniała tymczasem na mur. Spocona, z zaciśniętymi zębami, odwróciłam się ku rozgrywającej się w dole scenie.

Na pierwszy rzut oka było widać, że Ruc zapędził Nayat w kozi róg. Ludzie siedzący na ławkach wokół ringu nie płacili brzęczącą monetą za walki trwające zaledwie cztery uderzenia serca. Nawet ci, którzy postawili na Rucę, wydawali się nieco rozczarowani, a ci, którzy przegrali, krzyczeli teraz, domagając się powtórki i drugiej szansy. Sprawy nie potoczyły się całkiem źle, ale widziałam po napięciu szyi i pleców Nayat, że odczuwała zagrożenie równie mocno jak ja, gdy bliska przemoc narastała jak wysoki dźwięk, tuż poza granicą słyszalności.

Uniosła rękę, prosząc o spokój. Tym razem trwało to nieco dłużej, a gdy wreszcie zapanowała cisza, z jej obrzeży wciąż dobiegały do nas szepty i pomruki.

– Zapłaciłabym ci – zwróciła się do Rucy – ale nie mam nikogo, kto mógłby z tobą walczyć. – Tu wskazała kciukiem przez ramię

w kierunku, w którym jasnowłosego olbrzyma wynieśli jego kompani. – Nie planowałam, że rąbniesz Fiona w szczękę tak prędko. Może jutro wieczorem...

A kiedy ona jeszcze mówiła, kiedy ludzka masa wokół ringu wciąż napierała gniewnie, żadna usłyszeć, czym się to skończy, zrobiłam coś, czego do dziś nie potrafię całkiem zrozumieć.

Myślę, że częściowo przyczyną był napierający z tyłu tłum. Jediną wolną przestrzenią była studnia ringu, gdzie stała Nayat, obejmując Ruca ramieniem, a coś we mnie, jakiś dawny głos szepnął: *Tam jest bezpieczniej*. Było to oczywiste szaleństwo.

A może nie chodziło wcale o ten głos, ale o ów dziewczęcy impuls, który wcześniej popchnął mnie, by wyjść za Rukiem ze świątyni, jakiś dreszcz w głębi trzewi na sam jego widok, na widok jego torsu, sposobu poruszania się, piękna jego skóry pod wszystkimi tymi siniakami. A może, najzwyczajniej, chciałam się sprawdzić. W Rassamburze pełno jest takich sprawdzianów, sposobności do wypróbowania swego umysłu, ciała i ducha w walce z czymś większym. Życie poza nim mogło wydawać się wyblakłe i rozrzedzone, jak seria banalnych czynności pozbawionych większego znaczenia. Może było to zupełnie proste: chciałam sprawdzić, co potrafię.

– Ja będę z nim walczyć – powiedziałam.

Słowa te wylądowały na ringu, wyraziste i nieomyłne jak monety, choć nie wiedziałam, co zamierzam za nie kupić.

Nayat to usłyszała, ale gdy uniosła wzrok, by odnaleźć autora tych słów, spojrzała poza mnie, jakby szukała w tłumie jakiegoś bardziej nadającego się pięściarza. Stałam tuż za najwyższym rzędem ławek.

– Chcę z nim walczyć – powtórzyłam.

Nayat dostrzegła mnie w końcu, zmarszczyła brwi, po czym pokręciła głową.

– A kimże ty jesteś, na świętego Hulla?

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Jeśli chodzi o ścisłość, to ma – odparła kobieta. Ludzie przychodzą tutaj, żeby oglądać walki. Znam każdego boksera w tym mieście. Ciebie nie znam.

Ruc, który do tej pory odnosił się obojętnie do całego zajścia, spojrzał na mnie ostro, gdy się odezwałam, mrużąc swoje nieopuchnięte oko do wąskiej szparki, jakby próbował mnie dostrzec w oślepiającym świetle. Przyglądając mi się, wysunął się spod grubego ramienia Nayat. Był to mały krok w bok, ale Ruc aż się otrząsnął, gdy uwolnił od ciężaru swoją szyję i barki. Zacisnął dłoń, którą znokautował blond olbrzyma, sprawdzając, czy wszystko z nią w porządku.

– Podejmę walkę – powiedział cicho. Cały czas przyglądał mi się uważnie.

Dopiero gdy się uśmiechnął, uświadomiłam sobie, jaka byłam głupia. Odkąd przyjechałam do Sia, oddałam bogu trzy osoby, po jednej w każdym miesiącu, i choć byłam pewna, że nikt mnie nie widział, niedorzecznością było publicznie zdradzać swoją obecność. Nie tylko obecność, ale i umiejętności. I tu dochodziłam do kolejnego aspektu mojej głupoty, bo wszystko wskazywało na to, że Ruc rozniesie mnie w ringu na strzępy. Może się okazać, że wyjdę z Gniewu Rishiniry ze złamaną nogą albo wybitym okiem. A sądząc po sile jego uderzeń, mogłam w ogóle nie wyjść stąd żywa.

To nie myśl o śmierci mnie niepokoiła; nawet wtedy ufałam

w sprawiedliwość i miłosierdzie Ananshaela. A jednak *bezsensowna* śmierć, ku której rzuciłam się tylko z powodu zielonych oczu, a raczej jednego oka obcego mi człowieka, będzie zapewne zniewagą dla mego zakonu i dla wszystkich jego członków, którzy tak ciężko i cierpliwie pracowali, żeby mnie wytrenować. Gorsze jednak i chyba bardziej prawdopodobne było to, że ujdę z życiem, ale tak okaleczona, że nie będę mogła służyć memu bogu.

Takie było ryzyko i ewentualności, które oczywiście powinnam była rozważyć *przed* otwarciem ust. Gdy Ruc przyjął wyzwanie, wszystkie szkliste, zamglone pijaństwem oczy skupiły się na mnie. Chwilami przez basowy chór wściekłych głosów przebijał się szybszy ton argumentów i negocjacji. Wyławiałam uchem tylko fragmenty tych rozmów:

...Jest o dwa cale niższa...

...Kobieta...

...Postawię wszystko. Jeżeli ona choćby...

...Cztery do jednego. Osiem...

Chociaż Nayat nie wyraziła jeszcze zgody, jej bukmacherzy już krążyli między rzędami, przyjmując następną kolejkę zakładów.

Ruc nie zwracał na to wszystko uwagi. Najwyraźniej miał szczególny dryg do ignorowania otoczenia. Wciąż nie spuszczał ze mnie oczu, gdy Nayat zwróciła się do niego:

– Zechcesz może przedstawić swoją lubą?

– Bardzo bym chciał – odrzekł – ale sam dopiero ją poznałem.

Nayat zmarszczyła brwi.

– To do ciebie niepodobne.

Ku mojemu zdziwieniu Ruc się skrzywił.

– Co? Poznanie kobiety?

– Walka z kimś, kto nie może ci się przeciwstawić.

– Och, ona potrafi walczyć.

Nayat odwróciła się, oceniając mnie ostrym spojrzeniem.

– Skąd wiesz?

– Sama wiesz, jak to jest – odparł Ruc. – Czasem po prostu się wie.

Po dłuższych oględzinach olbrzymka skinęła głową, potoczyła spojrzeniem po tłumie, przytaknęła sama sobie, jakby podjęła jakąś decyzję, po czym zapytała:

– Masz jakieś imię?

Potwierdziłam ruchem głowy.

– Perra.

– W porządku, Perra. Jaka jest twoja cena?

Nie pomyślałam o tym. Przemoc dla kapłanek Ananshaela jest wyrazem pobożności. Oczywiście nasz zakon akceptuje i przyjmuje zamówienia, wielotysięczne sumy za zabicie kogoś ważnego w sposób pewny i niezawodny. Cokolwiek o tym sądziłam, nie myślałam o pieniądzach, wstępując na ring. Wyglądałoby to jednak dziwnie, jeszcze dziwniej niż dotąd, gdybym nie zażądała niczego.

– Dziesięć słońc – odrzekłam. – Jeśli wygram, będą moje.

– A co w razie tego malutkiego ryzyka, że przegrasz? – zapytał Ruc. Jego twarz była spokojna, poważna, ale w głosie wyczułam ślad uśmiechu.

– Tam, gdzie dorastałam, kobiecie nie płaci się za przegraną.

Czasem, gdy spojrzę wstecz, myślę sobie, że różnica pomiędzy kobietą pięćdziesięcioletnią a dziewiętnastoletnią to zaledwie pół uderzenia serca. Albo, dokładniej, tysiące takich półuderzeń, miliony, niczym drobne okruchy spokojnego zastanowienia

poutykane pomiędzy gorące impulsy i działania, które za nimi następują. To całkiem rozsądna ilość czasu, choć przez dobrych kilka lat te momenty refleksji i rozwagi uporczywie mi umykały. A teraz znowu, stojąc przed dziesiątkami ludzi, powiedziałam coś bardzo, bardzo głupiego.

– A gdzie ty właściwie dorastałaś? – parsknęła Nayat.

Ruc tylko uniósł brwi, cierpliwie czekając na odpowiedź.

Pokręciłam głową, choć szkoda już się na poły stała. Gdy odpowiadałam, gorący rumieniec oblał mi policzki.

– Nie wygram niczego, gdy będziemy tak gadać przez całą noc.

– Założę się – odparła Nayat – że tak czy owak niczego nie wygrasz, ale ty chcesz walczyć i on chce walczyć. Oni też – tu szerokim gestem wskazała niespokojny tłum – chcą, żebyście walczyli. Nie będę więc stawać wam na drodze.

Nawet nie pamiętam, jak zeszałam po stopniach między rzędami ław. Zdawało się, że w jednej chwili stałam na górze, na koślawych deskach podłogi tawerny, a w następnej byłam już w ringu. Jakbym stanęła w środku jakiegoś ogromnego kwiatu o tysiącu płatków, z których każdy miał ludzką, szyderczą twarz. Prosto nad moją głową liczne duże latarnie zwisały na łańcuchach z krokwi; światło było niemal tak jasne jak słoneczne, ale migotliwe i złudne, tak że wszystkie te twarze wydawały się poruszane czymś innym niż emocje, jakby jakieś niewidoczne cienie wiły im się pod skórą.

W przeciwieństwie do nich twarz Rucy była spokojna.

– A więc – odezwał się, gdy doszłam do środka ringu – jednak mnie śledziłaś.

Zaczęłam kręcić głową, próbując raz jeszcze wyjaśnić całą tę sytuację, ale się powstrzymałam. Powiedzenie prawdy, że

natknęłam się na niego przypadkiem na Mszy Antreema, potem szłam za nim aż tutaj, aż wreszcie rzuciłam mu wyzwanie, wiedziona jakimś niepojętym pragnieniem, wydawałoby się zbyt dziwaczne, aby w to uwierzył. Zamiast tłumaczenia uśmiechnęłam się.

– Czy możesz mnie za to winić?

– Nie jestem pewien, czy to wyłącznie kwestia obwiniania.

Przechyliłam głowę.

– A czego to kwestia?

– Co tu robisz i jak mocno powinienem cię skrzywdzić, żeby cię powstrzymać.

– Skąd wiesz, że nie chciałbyś, abym to robiła?

Chciałam, żeby zabrzmiało to kokieteryjnie, ale wyszło tak, jakbym była nadąsana.

Ruc prychnął.

– Nazwij to przecuciem.

– Choć jako kobieta doceniam – wtrąciła Nayat – te poprzedzające walkę uprzejmości, to chciałabym wiedzieć, czy możemy już przejść do głównej atrakcji.

Raz jeszcze potoczyłam spojrzeniem po widowni. Bukmacherzy wciąż przyjmowali zakłady, pracując parami, jeden zbierał pieniądze, a drugi zapisywał nazwiska i stawki, posługując się jakąś odmianą stenografii. Ci, którzy porobili już zakłady, mówili o swoich szansach z przechwałą w głosie, jak wszyscy gracze na całym świecie. Z tego, co słyszałam, moje szanse oceniano jako marne, co było zrozumiałe. Ruc Lan Lac ważył o czterdzieści funtów więcej ode mnie, zasięg jego ramion był przynajmniej o dłoń dłuższy od mojego, a ponadto nie był w ringu nowicjuszem.

Z drugiej strony nie trenowali go kapłani i kapłanki boga śmierci.

Odwróciłam się od tłumu i napotkałam jego spokojne spojrzenie.

– Jestem gotowa.

– Nie – powiedziała Nayat, podchodząc do mnie. – Nie jesteś. – Przeciągnęła palcem wzdłuż moich nóg. – Poruszasz się tak, jakbyś miała coś stalowego pod tymi spodniami. Nie przeszkadza mi trochę śmierci na moim ringu, ale jeśli planujesz zabić mężczyznę, a zwłaszcza tak dobrego boksera jak Ruc, musisz to zrobić pięściami.

W tym momencie zabrnęłam już tak daleko, że w jednej chwili wyciągnęłam z pochew oba noże i rzuciłam je na ziemię. Wywołało to wśród tłumu gniewny syk i kolejne drwiny. Ruc spojrzał na noże, potem na mnie. Pokręcił głową.

– Dlaczego wszyscy ciekawi ludzie, jakich spotykam, próbują mnie zabić?

– Gdybym próbowała cię zabić – odparłam – to nie pozbywałabym się noży.

– Dość łatwo jest zabić człowieka bez noży.

– Ja nie usiłuję cię zabić.

– No dobrze. – Wzruszył ramionami. – Zaraz się o tym przekonamy.

Nayat podniosła noże i zatknęła za swój szeroki skórzany pas, po czym zwróciła się ku nam.

– Muszę powiedzieć – zawołała swym scenicznym głosem – że ze swej strony bardzo jestem ciekawa, co wydarzy się za chwilę. – Gestem dała znak, byśmy podeszli do siebie, po czym ujęła nas za przeguby. Jej uchwyt był mocniejszy, niż sądziłam. Spojrzała na

mnie, zmarszczyła brwi i pokręciła głową. – Spróbuj przynajmniej ustać na nogach parę chwil dłużej niż ten ostatni dupek.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, puściła nasze ręce, cofnęła się, a Ruc zaatakował.

To nie było to, czego się spodziewałam, w ogóle nie przypominało stylu, w jakim rozegrał poprzednią walkę. Zaskoczenie niemal kosztowało mnie przegraną. Zamiast odczekać, zmierzyć dystans, wypatrywać szans na kontrę, ruszył na mnie z szybkim jak wąż prawym sierpowym. Uratowały mnie tylko tysiące godzin treningu na skałach Rassamburu. Odchyliłam się w lewo, poczułam, jak pięść ociera się o mój policzek, przetoczyłam się po ziemi, co pozwoliło mi odzyskać dystans, i powstałam z pięściami przy twarzy.

Ruc odchrząknął.

– Hmm, jednak jesteś wojowniczką. Czasem nienawidzę mieć rację.

Zabrzmi to trochę jak szukanie wymówki, ale prawdą jest, że ten pojedynek wygrał dla niego tłum. Albo, dokładniej, tłum sprawił, że przegrałam. Ruc był szybki i sprytny. Wielu wie, jak uderzać, niektórzy wiedzą nawet, jak się poruszać. Jednak tylko niewielu ma dość doświadczenia i przytomności umysłu, aby dostrzec pod szybkością ruchów pewien schemat, wpisać się weń i obrócić go na swoją korzyść. Ruc należał do tych ostatnich.

Niemal natychmiast stało się jasne, że jest ode mnie lepszy w walce w miejscu. Z drugiej strony Nayat, po zabraniu mi noży, nie powiedziała nic o zabronionych ciosach, a ja znałam ich dużo więcej niż Ruc. Był dobry, ale przywykł do takich osiłków jak ten, którego powalił wcześniej tego wieczoru, do wielkich mężczyzn,

którzy atakowali go ciosami wymierzonymi w głowę i korpus. Odrzuciłam takie podejście, gdy tylko zaczęła się walka. Zamiast tego wykorzystywałam często uniki i przewroty, uderzałam wyprostowanymi palcami zamiast pięściami i w nietypowe miejsca znajdujące się w moim zasięgu: w nerw łokciowy albo w ścięgno z boku kolana wysuniętej nogi. Ruc był szybki i dostosowywał się prędko, ale miał nieprawidłowe instynkty, a te zmienia się przez lata.

Nie uwzględniłam jednej rzeczy, mianowicie ryku tłumu. W Rassamburze często odbywaliśmy próbne walki na oczach innych kapłanek i kapłanów. Walczyłam setki razy w obecności dużej grupy, ale nie wszystkie grupy są do siebie podobne. Słudzy Ananshaela chętnie oglądają walki, nawet te na śmierć i życie, z mieszaniną żywego zainteresowania i chłodnego, intelektualnego dystansu. W istocie większość moich braci i sióstr podchodziła do walki tak samo jak do utworu muzycznego: jak do czegoś, co się studiuje, omawia, a także, w przypadku prawdziwych mistrzów, czci. Tego wieczoru w Gniewie Rishiniry nie było wiele studiowania, analizowania i czczenia. Natknęłam się za to na jedną wielką ścianę hałasu.

W pierwszej chwili byłam zbyt pochłonięta analizowaniem sposobu poruszania się Ruca, żeby usłyszeć ów ryk. Kiedy jednak przyjęliśmy już odpowiednie pozycje i zaczęliśmy nasz taniec próbnych ataków i odskoków, wrzaski zaczęły mi przeszkadzać. Chwilami docierały do mnie nawet pojedyncze głosy wykrzykujące obelgi. Jakiś idiota, którego odnalazłabym później i zabiła, gdybym tylko wiedziała, jak wygląda, wrzeszczał co chwilę do Ruca: „Grzmoć cipę w cipę”. Potrzebowałam maksimum koncentracji na

walce, na przeciwniku i na własnym ciele. Zamiast tego moja uwaga zaczęła się chwiać jak płomyk świecy na zimowym wietrze.

To była dobra lekcja. Później, już po powrocie do Rassamburu i podczas innych podróży po świecie, ćwiczyłam walkę w takim chaosie. Spędziłam nawet jedną szczególnie mroźną zimę na walkach w Kamiennych Kręgach w Erensie i w końcu nauczyłam się tego, opanowałam sztukę wyłączania części umysłu odpowiedzialnej za słyszenie hałasu czy też przejmowanie się nim. Jednakże lekcji tej nie mogłam przyswoić sobie w ciągu jednej nocy. W miarę jak walka trwała, czułam się coraz bardziej pojmana w uścisk wielkiej pięści wrzasku i zgniatana w niej, aż zaczęłam mieć wrażenie, że walczę z dwoma przeciwnikami: z Rukiem i jego straszliwymi ciosami oraz z całą resztą Gniewu Rishiniry.

Nieuniknione było to, że w końcu zauważy moje błędy, te drobne chwile pomiędzy jego ruchem a moją reakcją, i obróci je na swoją korzyść. Zaskakujące było jedynie to, że trwało to tak długo. Dopiero w połowie siódmej rundy, kiedy źle odczytałam jego markowany cios, uchyliłam się, napotkałam jego pięść i poczułam, jak pęka mi kość policzkowa. Mógł się wtedy zatrzymać, widząc, że upadam, lecz upadek nie zawsze oznacza koniec, a on wystarczająco dobrze się na tym znał, żeby zakończyć dzieło, jak należało.

†

Obudził mnie zapach brzoskwiń, stara ghanońska melodia dobiegająca do mnie w ciepłym powietrzu i piekący ból w boku. Zmusiłam się do otwarcia oczu, lecz dostrzegłam tylko zamazane

kontury. Widziałam jedynie migotliwe światło latarni i prostokątny otwór w ciemnościach, który mógł być oknem, oraz cień na tle poświaty kilka kroków ode mnie. Śpiew dobiegał z cienia. Głos wydał mi się znajomy, zwróciłam się w jego stronę, a wówczas ból w boku stał się tak nieznośny, że przesłonił wszystkie myśli.

Kiedy znów odzyskałam przytomność, śpiew ustał, a nade mną pochylały się jakieś postacie. Tym razem rozpoznałam jego twarz, krew ściekała z rozcięcia nad okiem.

Jego nos był siną miazgą. Niedawno złamany, został niedbale nastawiony. Jego oczy były w świetle lampy jak zielone morze. Pamiętałam te oczy, ale nie mogłam przywołać z pamięci imienia ani żadnego wspomnienia miejsca, w którym się znalazłam.

– Wypij to – powiedział.

– Kto... – wychrypiałam, czując zupełną suchość w ustach.

– Wypij to – powtórzył.

Wzięłam do rąk wyszczerbioną czarkę i przytknęłam do ust. Była chłodna. Gdy z trudem pociągnęłam trzy lub cztery bolesne łyki, ponowiłam próbę.

– Gdzie jestem?

Uśmiechnął się. Dziwnie miły był ten uśmiech w jego potłuczonej twarzy.

– No cóż, jeszcze nie umarłaś, mimo że wzywałaś Ananshaela czterdzieści lub pięćdziesiąt razy.

Obleciał mnie strach. Jeśli zdradziłam, kim jestem, i powiedziałam cokolwiek o Rassamburze lub o moich braciach i siostrach, musiałabym zabić tego młodego mężczyznę o zielonych oczach. Przesunęłam się na niskim polowym łóżku i sprawdziłam pięść. Knykcie piekły, gdy zginałam palce, i kości bolały, ale były

też inne sposoby oddania kogoś bogu niż walenie pięścią. Czarka była dostatecznie ciężka...

– Wiem, jakie to uczucie, gdy chce się komuś przyłożyć – powiedział, obejmując dłonią mój przegub. – Ale może lepiej będzie, gdy będziemy kontynuować walkę w ringu.

Nagle, szybko jak uderzenie w twarz, wszystko do mnie powróciło: Msza Antreema, Ruc Lan Lac, ring, moja idiotyczna decyzja, by na niego wejść, wrzaski tłumu, uczucie, że wygrywam, uczucie, że przegrywam, pięść Ruca uderzająca mnie w bok raz za razem...

Przyglądałam się jego twarzy w świetle lampy. Niektóre skaleczenia były stare, ale znad oka wciąż ciekła krew, a do tego ten siny, złamany nos.

– Czyli jednak trafiłam cię przynajmniej raz.

Ruc uniósł brwi.

– Trafiłaś mnie dużo więcej razy. – Puścił mój przegub i dotknął łokcia, a potem ramienia, krzywiąc się z bólu za każdym razem. – Myślałem, że jednak schowałaś nóż w rękawie.

Pokręciłam głową, natychmiast tego pożałowałam, zamknęłam oczy i położyłam się z powrotem na wznak.

– Bolesne miejsca – mruknęłam.

– Niezłe – parsknął. – Nie miałem pojęcia, że uderzenie w łokieć może tak boleć.

– Znacznie częściej trafiałabym cię w głowę, tylko że bardzo ją chroniłeś. To niezbyt sportowo.

– I kto to mówi. Musiałem złamać ci dwa żebra, żebyś w końcu opuściła gardę.

Mimo woli uśmiechnęłam się, słysząc ton jego głosu.

– Cieszę się, że zanedbano nie ułatwiałam ci zadania.

– Prowadziłem roczne kampanie wojenne, które były znacznie łatwiejsze.

Pomacałam ostrożnie bok.

– Chyba rzeczywiście połamałeś mi żebra.

Potaknął i posłał mi skruszony uśmiech.

– Chciałem być skrupulatny.

– To nie było zbyt miłe – mruknęłam przez zęby.

Przyglądał mi się tymi zielonymi oczyma, a potem pochylił się powoli i pocałował mnie w czoło na linii włosów. Poczułam ból, gdy moje ciało niemal bezwiednie posunęło się ku niemu. Słabym ruchem ręki otarłam mu krew z czoła. Kiedy wreszcie wstał, pokręcił z żalem głową.

– Jeśli szukałaś miłego mężczyzny, to nie powinnaś szukać go w Gniewie.

– Znalazłam cię w świątyni – przypomniałam mu.

Skrzywił się.

– Obawiam się, że upłynie dekada, zanim powtórzą tam Mszę Antreema. – Przechylił głowę. – Chciałabyś pójść tam ze mną?

Popatrzyłam na niego zdumiona przez mgłę bólu.

– Co? Za dziesięć lat?

Znowu typowym dla siebie gestem wzruszył ramionami.

– Tylko jeśli masz ochotę.

Uśmiechnęłam się, skrzywiłam z bólu, po czym skinęłam głową.

– Oczywiście, że mam.

10

– Te porozbijane knykcie i nos, te ramiona i zielone oczy, które nie uciekają w bok, tylko patrzą przed siebie. – Ela zamknęła powieki, oglądając stworzony przez siebie obraz. – Już widzę, dlaczego go polubiłaś.

Poczułam się nagle, ku memu wielkiemu zdziwieniu, trochę zazdrosna. Nie mogłam powiedzieć, że kocham Rucę, jeszcze nie, ale wciąż miałam nadzieję, że to nastąpi. Przybyłam do Dombângu, żeby przynajmniej *spróbować* go pokochać, a nie po to, żeby jakaś kapłanka całymi wieczorami czaiła się w ciemnościach i śliniła na jego widok. Nawet jeśli ta kapłanka awansowała szybko do miana legendy Rassamburu.

Ela uniosła do ust swoją *ta*, najwyraźniej nieświadoma targającej mną burzy uczuć. Dopiero gdy wypić łyżeczkę, nacieszyła się jego smakiem i odstawiła kubek, ciągnęła:

– Zaaranżowanie pierwszego spotkania w łaźni to dobry wybór. Skoro masz zobaczyć mężczyznę, to najlepiej zobaczyć go *całego*. A potem jeszcze...

Przerwałam jej:

- Nie widziałam cię.
- To Świadek ma widzieć. Nie zaś odwrotnie.
- Gdzie byłaś?
- Dostatecznie blisko, żeby usłyszeć, co miałam usłyszeć. I zobaczyć, co chciałam zobaczyć. – Przez chwilę rozkoszowała się

wspomnieniem, leniwie się uśmiechając. – Wiedziałaś o tej bliźnie na jego udzie? – Odchyliła się na krześle i zakreśliła pomalowanym paznokciem linię po wewnętrznej stronie uda. – Tutaj?

– Tak – prychnęłam. – Wiedziałam. To rana od włóczni, z dżungli.

Ela potaknęła z aprobatą.

– Lubię mężczyzn z bliznami. – Machnęła ręką, przywołując kogoś z obsługi. – Ci są całkiem ładni, ale zbyt delikatni, jak małe figurki. Kiedy się ich dotyka, ma się takie uczucie, jakby byli z porcelany. – Zmarszczyła brwi. – Z ciepłej porcelany.

Spojrzałam na nią zdumiona.

– Myślałam, że spędzasz cały czas na śledzeniu mnie.

– *Cały czas?* – Śmiech Eli był dźwięczny jak kurant w ciepłym porannym powietrzu. – To wyczerpujące. Odkąd tu przybyliśmy, biegałaś po całym mieście, malując jakieś symbole, zabijając ludzi, odwiedzając *łaźnie*... – Nie zadała sobie trudu, żeby zniżyć głos, nawet wtedy, gdy wspomniała o morderstwach i podżeganiu do buntu. – Gdybym spędzała cały czas na śledzeniu ciebie, to kiedy korzystałabym z uroków Dombângu? – Tu ruchem głowy wskazała bar, gdzie rozmawiali dwaj służący. – Kam i Keo sami nie sprawiają sobie przyjemności. – Ściągnęła usta, po czym się poprawiła: – No dobrze, wiem, że to robią, ale lubię sobie myśleć, że jednak wnoszę coś do tych doświadczeń.

– A co z obserwowaniem mnie?

Ela sięgnęła przez stół i poklepała mnie po ręku.

– Nie bądź zazdrosna, Pyrre. Nie zaniedbuję cię. Prawda, że Kossal odwała połowę tej roboty, ale gdy przychodzi moja kolej, żeby mieć na ciebie oko, to zapewniam, że to oko służy wyłącznie

tobie.

– O ile nie podglądasz Ruca.

– Wszystko w ramach właściwej mi pobożności – odparła i mrugnęła do mnie figlarnie.

– Pobożności? – wykrztusiłam, nieomal dławiąc się tym słowem.

– A gdzie pobożność w oglądaniu blizn Ruca i jego ramion? Jesteś kapłanką Ananshaela.

– To zaś oznacza, że gdy wreszcie oddasz go bogu, będę musiała wiedzieć, czy go kochałaś.

Spojrzałam zdumiona.

– A to wymaga, żebyś podkradała się w łaźni i podglądała jego nagość?

– Podkradanie. – Ela skrzywiła się, jakby ugryzła niedojrzały ognisty owoc. – To takie nieładne słowo. Przeważnie pływałam na wznak.

– Pozycja nie ma tu znaczenia.

Ela ściągnęła usta.

– Ja zaś twierdzę, że pozycja, *właściwa* pozycja, bardzo wiele zmienia. – Odstawiła kubek, po czym przechyliła głowę i przyjrzała mi się uważnie. – Twoja na przykład pozostawia wiele do życzenia.

Jak często mi się zdarzało w obecności Eli, poczułam się nagle pokonana. Łatwość, z jaką przenosiła się w rozmowie od ud Ruca do pobożności i na powrót do seksu, przyprawiała mnie o zawrót głowy, dezorientowała, jakbym traciła grunt pod nogami. Nawet jej ton był niejednoznaczny. W jednej chwili zdawało mi się, gdy patrzyłam w głąb jej brązowych oczu, że kpi ze mnie, w następnej zaś jej uśmiech, z błyskiem doskonałych zębów spomiędzy rozchylnych warg, wydawał mi się rodzajem oferty, sekretnej

zaproszenia do głębszej konfidencji, tylko dla mnie. Nigdy nie wiedziałam, czy uśmiechnąć się w odpowiedzi, czy zaprotestować.

Kiedy wreszcie odpowiedziałam, poczułam się jak mała dziewczynka, która nie wie nic o świecie i ludziach:

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Oczywiście – odparła, płynnym ruchem wstając z krzesła. Wyciągnęła szyję, rozejrzała się, spojrzała na mnie konspiracyjnie, marszcząc brwi, po czym dała znak ręką. – Wstawaj.

– Dokąd idziemy?

– Na prywatny taras za moim pokojem.

Zmrużyłam oczy.

– Po co?

Ela uśmiechnęła się.

– Edukacja.

†

Stojąc na obszernym tarasie, starałam się wyglądać normalnie i swobodnie. Widząc jednak oczywiste rozbawienie w oczach Eli, poczułam się dość dziwnie. Nie mogłam przyjąć luźnej postawy, nie pamiętałam, jak powinny zwisać po bokach moje ręce. Spróbowałam skrzyżować je na piersiach, ale miałam uczucie, że wyglądam śmiesznie, jak żołnierz samochwała na scenie, więc je opuściłam. Ela uniosła brwi.

– Na słodki pocałunek Ananshaela, Pyrre, przy mnie jesteś jeszcze bardziej niezręczna niż przy nim. Czy *próbujesz* wyglądać tak jak jedno z tych długonogich ptaszysk z delty?

– Nazywają się szczudłonogi – wykrztusiłam.

– Masz piękne nogi, ale sposób, w jaki stoisz... – Ela cofnęła się o krok. – Nie musisz chyba iść do wygodki, co?

Rumieniec wstydu oblał mi policzki.

– Nie wiedziałam, że częścią Próby są kpiny.

– Zazwyczaj nie, ale żyjemy w dziwnych czasach. Masz tam wspaniałego, zielonookiego i krzywonośnego boksera, który nie może się doczekać, żeby cię wychędożyć, ale jeśli nawet stać poprawnie nie umiesz, to nigdy się nie zakochasz.

Zgrzytnęłam zębami.

– A cóż takiego ma poprawne stanie do zakochania?

Ela mrugnęła.

– Z pewnością nie mówisz poważnie.

– Co oznacza, że jestem głupsza, niż myślałaś.

– Dużo głupsza?

– Równie dobrze możesz zacząć od początku.

Kapłanka gwizdnęła cicho, zwilżyła wargi językiem, po czym kiwnęła na mnie, żebym podeszła bliżej. Postąpiłam krok do przodu.

– Bliżej – powiedziała. – Stań tuż poza zasięgiem ramion.

To przynajmniej był język, który rozumiałam. Lata spędzone w Rassamburze nie obfitowały w rozmowy o miłości, ale znałam zasięg swoich ramion z każdym z pięćdziesięciu rodzajów broni z dokładnością do grubości palca. Ela przypatrywała mi się chwilę, a potem wzruszyła ramionami.

– Możesz wyciągnąć nóż albo cokolwiek, żeby poczuć się odrobinę swobodniej.

Zawahałam się, a potem wyciągnęłam nóż z pochwy na udzie. Ciężar broni w ręce sprawił, że cały świat wydał mi się

spokojniejszy. Ela zrobiła nieznaczny ruch dłonią, jakby przedstawiała mnie tłumowi.

– Jak widać, oczywiście postawa ma znaczenie.

– Kiedy próbuje się kogoś zabić.

– Miłość jest jak zabijanie, ale bez tej całej krwi. – Zmarszczyła brwi, jakby rozważała tę myśl. – Zazwyczaj. Rzecz w tym, że umiesz więcej, niż zwykle sądzisz.

– Umiem – warknęłam – wpakować ci nóż w oko albo w pierś, albo w gardło, albo w tuzin innych miejsc...

– Tak po prawdzie – powiedziała Ela, unosząc palec w geście zastrzeżenia – to umiesz wpakować nóż w oko albo w pierś, albo w gardło, albo w tuzin innych miejsc osobie dużo wolniejszej ode mnie, ale nie w tym rzecz. Chodzi o to, że taka jest miłość. Postawa ciała bardzo się liczy.

Uśmiechała się, ale był to jej zwykły uśmiech, ciepły radością kobiety, która pozostaje w zgodzie ze sobą i dobrze czuje się w świecie. Patrzyłam na ten uśmiech, upatrując w nim drwiny.

– Jeśli to jakiś dowcip na temat seksu...

Leniwym gestem dłoni odrzuciła tę obiekcję.

– Każdy głupek potrafi pieprzyć, niekoniecznie dobrze, ale to bez znaczenia. My dyskutujemy tutaj o miłości, Pyrre. – W jej oczach iskrzyło słońce, maleńkie gwiazdki dostatecznie jasne, by przetrwać w świetle dnia. – Proszę, spróbuj wznieść swój umysł ponad cielesne pasje.

Uświadomiłam sobie, że patrzę na nią ze zdumieniem.

– Tak właśnie wyglądam, kiedy się wznoszę.

Coś w pozie gotowości do walki wyprostowało mnie i przywróciło mi równowagę. Wszystko znów wydało się znajome. Gdzieś daleko

odezwał się gong świątyni Intarry. Masywny, jasny jak słońce spiż obwieszczał południe, drżąc pod młotem kapłana. Zerknęłam w stronę słońca – gniewnego i gorącego, które na tę krótką chwilę znalazło się w zenicie. Pot spływał mi po plecach, przyklejał włosy do głowy, ale nie miało to znaczenia, gdy tak zastygłam w jednej z najstarszych póz Ananshaela. Zamiast idiotką, która nie wie, co począć ze swoim ciałem, stałam się naczyniem boga, nieskończoną możliwością śmierci, która stała się ciałem.

Ela wyprostowała leniwie ręce nad głową, wdzięczna niczym rozwijający się kwiat. Oczy miała zamknięte, twarz zwróconą ku słońcu.

– A teraz – mruknęła – zabij mnie.

Spojrzałam zdumiona.

– Przepraszam?

Małeńka zmarszczka pojawiła się na jej twarzy, ale Ela nie otworzyła oczu.

– Czy mówisz to zawsze, gdy zabijasz jakąś kobietę?

– Nie rozumiem.

– Dlatego właśnie to robimy. – Wzięła głęboki oddech, a jej pierś przylgnęła do jedwabiu *ki-panu*. Przez chwilę rozkoszowała się ciepłym powietrzem wypełniającym płuca. – Nadszedł czas, żebyś mnie zabiła, Pyrre. I proszę, spróbuj zrobić to najlepiej, jak potrafisz.

Wahałam się tylko przez pół uderzenia serca. W Rassamburze ktoś zawsze walczy, odbywa próbne walki na szerokie miecze na wypalanej w słońcu glinie, walczy na pięści w zamkniętych boksach ćwiczebnych pawilonów albo z uporem powtarza sekwencje ruchów w walce na włócznie na którejs z turni. Wcześniej uczyliśmy się, jak

wyprowadzać uderzenia, jak w ostatniej chwili wykręcać ostrze, żeby uniknąć zabójczego ciosu. To nie zabijanie jest zakazane; bylibyśmy dziwnymi sługami Ananshaela, gdyby tak było; chodzi o to, żeby każde zabójstwo było dokonane z rozmysłem i stanowiło akt prawdziwej pobożności, a nie było zwykłą pomyłką podczas treningu. Przez pół uderzenia serca rozważałam, czy zaatakować Elę krótkim manjaryckim pchnięciem, które utoczy trochę krwi, ale nie zabije. W Rassamburze byłoby to rozsądne podejście, ale my opuściliśmy Rassambur już przed paroma miesiącami. Powiedziała, żebym ją zabiła. Jeśli mi się uda, pozostanie Kossal, żeby być moim Świadkiem do końca Próby.

Gładka skóra jej gardła była zupełnie odkryta. Tam zadałam cios.

Ela nie sparowała mojego uderzenia. Nawet nie zrobiła prawdziwego uniku. Gdy mój nóż zbliżał się do niej, postąpiła krok w tył, szybki i miękki jak krok tancerki do rytmu muzyki, opuściła ręce wzdłuż tułowia i odgięła się lekko. Mój ruch zakończył się równocześnie z jej ruchem. Byłam w pełnym wyciągnięciu ręki, w ruchu ku przodowi, potknęłam się nawet nieporadnie, a czubek mojego noża błysnął w kontakcie z jej skórą, ledwo jej dotykając, nie na tyle mocno, żeby ją przeciąć. Ela mrugnęła do mnie.

– Widzisz?

Pytanie zdawało się sugerować koniec walki, jeśli to w ogóle była walka. Kapłanka nie powiedziała jednak, żebym zaprzestała prób, więc nie zaprzestałam. Następny mój atak był niezręczny. Polegał na nieporadnym ruchu do przodu przy pełnym wyciągnięciu ręki, ale mój nóż już był przy jej szyi. Aby zagłębić go w skórze i biegnącej pod nią arterii, miałam do pokonania dystans nie

wiekszy od szerokości palca. Ela przewidziała mój atak i poruszyła się wraz z ruchem mojego noża, pozostawiając ostrze tuż przy swojej skórze, lecz nie dopuszczając do jej przecięcia.

Był to najbardziej ostentacyjny pokaz kompetencji, jaki zdarzyło mi się widzieć. Od kapłanek i kapłanów Ananshaela oczekuje się dyskrecji. Łatwiej oddaje się ludzi bogu, gdy wierzą, że jesteś kołodziejem, ogrodniczką lub sprzedawcą; wszystkim, tylko nie budzącą grozę czaszkowierczynią. W rezultacie trening w Rassamburze kładzie nacisk na szybkość i skuteczność. Jeśli potrafisz zabić kobietę w czasie jednego uderzenia serca, to poświęcenie na to dwóch uderzeń jest nieudolnością. Prawie nie ma miejsca na takie niebezpieczne i próżne popisy, jakie urządziła tu Ela. Przede wszystkim jednak Ela nie całkiem pasowała do reszty kapłanów. Nie było wielu *ki-panów* w Rassamburze.

Uśmiechnęła się do mnie znad błyszczącej klingi.

– Twoje myślenie o miłości jest całkiem fałszywe.

Mało brakowało, a rzuciłabym się w przód do kolejnego pchnięcia, ale jak dotąd moje ciosy nie okazały się zbyt skuteczne. Nie wiedziałam, w jaki sposób Ela odczytuje moje zamiary, ale jakoś odbierała ich sygnały. Cofnąm się o krok i opuściłam uzbrojoną rękę do niskiej zastawy, gotowa zamarkować uderzenie nożem, a w rzeczywistości wyprowadzić cios zaciśniętą pięścią. Ela jednakże, zamiast wykorzystać uzyskaną przestrzeń, postąpiła do przodu w ślad za mną, dostosowując swój ruch do mojego tak ściśle, że zniżające się ostrze niemal przecięło jej *ki-pan*. Była tak blisko, że czułam jej jaśminowy zapach i mogłabym ją pocałować, gdybym chciała. Uśmiechnęła się i przez chwilę byłam zbyt zszokowana, żeby się poruszyć.

– Myślisz, że miłość jest czymś, co przydarza się tutaj – powiedziała, stuknąwszy mnie palcem między oczy – albo tutaj – dodała, wskazując miejsce między piersiami. Potem zmarszczyła brwi. – Nie przerywaj zabijania, Pyrre, tylko dlatego, że coś mówię.

Uderzyłam nożem w jej brzuch, tnąc w górę przez przeponę do płuca. W każdym razie byłoby tak, gdyby Ela równocześnie z moim atakiem nie wykonała obrotu, tak że moja ręka ześliznęła się bokiem. Nóż przeciął jedwab na wysokości jej pasa i trafił w pustkę. Poniesiona w przód impetem ataku, potknęłam się o wysuniętą nogę Eli i upadłam niezdarnie na deski tarasu.

– Widzisz? – powtórzyła.

To słowo zaczynało już działać mi na nerwy.

– Zabijanie nie jest czymś, co robisz prywatnie, wewnątrz swojej głowy. Ono dokonuje się tutaj. – Rozłożyła ręce, jakby chciała objąć cały świat. – W relacji pomiędzy ciałami.

Powoli podniosłam się na nogi i ponownie zwróciłam twarzą do kapłanki. Udało mi się przeciąć spory kawałek jej *ki-panu*, lecz delikatna skóra pod spodem wydawała się nietknięta. Przerzuciłam nóż do drugiej ręki, ujmując go starożytnym antherskim chwytem, a potem wyjęłam z pochwy jego towarzysza. Sądząc po spojrzeniu Eli, równie dobrze mogłabym trzymać w rękach parę kartofli.

– Tak samo jest z miłością – ciągnęła. – Podchodzisz do tego, jakby był to problem związany z tobą, jakby był *wewnątrz* ciebie, oddzielony od reszty świata. Tak nie jest. Miłość nie jest częścią ciebie ani twojego kochanka. Nie jest to coś, co możesz mieć, jak stosik złota albo miły prosiaczek. Miłość jest tym. – Wskazała przestrzeń między nami. – Jest przestrzenią pomiędzy.

Postąpiłam pół kroku do przodu, sprawdzając tę przestrzeń, szukając właściwego dystansu, pozwalającego zabić i nie zostać zabitym.

– Taka przestrzeń jest wszędzie – warknęłam. – Między wszystkimi.

– Nie bądź tępą, Pyrre. Liczy się *natura* tej przestrzeni.

Nagle odwróciła się do mnie plecami. Tym razem się nie wahałam. Uniosłam jeden nóż, opuściłam drugi i tnąc nimi w przeciwstawnych kierunkach, natarłam. Ela nie odwracając się, pochwyciła mnie za nadgarstki w chwili, gdy stał już miała zagłębić się w ciało. To było niemożliwe, nawet kapłanka Ananshaela nie może zablokować ataku, nie *widząc* go. Wtedy ujrzałam odbicie jej brązowych oczu w oknie i rozbawiony uśmiech.

– Ta konfiguracja na przykład – w jej głosie nie było napięcia, mimo że naciskałam na noże z całą siłą – jest niewłaściwa. Jest taki kształt w zabijaniu, bez którego nie jest to już zabijanie, podobnie jak jest taki kształt w miłości, bez którego miłość jest tylko flirtem, przymilaniem albo pieprzeniem. – Wzruszyła ramionami, wykręciła się, odsunęła moje noże i już była wolna.

Oddech przedzierał mi się przez gardło, chrapliwy i gorący. Krok ode mnie Ela spojrzała w dół na swoje *ki-pan*, przeciągnęła palcem wzdłuż rozcięcia, po czym pokręciła z żalem głową.

– Wiesz, Pyrre – powiedziała, ponownie podnosząc ku mnie oczy – są inne sposoby pozbawiania kobiety ubrania. – Wzięła z poręczy czarnekę śliwkowego wina, którą tam wcześniej postawiła, i pociągnęła z niej długi łyk.

– Dla ciebie to wszystko, prawda? – zapytałam.

W Rassamburze nie odważyłabym się przemówić w ten sposób do

kapłanki, ale wówczas nikt mnie w ten sposób nie prowokował. Oczywiście byłam pokonywana setki razy podczas treningów i próbnych walk, pobita i poraniona wszelkiego rodzaju bronią. Kapłani i kapłanki bez litości wytykali mi techniczne usterki, ale wszystko to odbierałam jako część większego poświęcenia. Nie było wstydu w staraniach, by lepiej służyć naszemu bogu.

To jednak, co Ela robiła w tej chwili, nie wydawało się poświęceniem. Sprawiało raczej wrażenie gry. Nie próbowała zrobić ze mnie lepszej zabójczynie ani lepszej kapłanki. W jakimś sensie walczyłyśmy, ale nie uczyła mnie niczego nowego, jeśli chodzi o posługiwanie się nożem. Zamiast tego uśmiechała się i kpiła z moich porażek. Uświadomiłam sobie, że naprawdę mam ochotę wpakować jej nóż. Nie było to uczucie godne służki Ananshaela, ale nie czułam się teraz służką Ananshaela. Czułam się jak głupia dziewczynka, która nawet nie potrafiła się zakochać, w nikim i ani razu. Miałam ochotę wsadzić Eli nóż w oko, a nie mogąc tego uczynić, zaatakowałam ją słowami, wkładając w nie tyle pogardy, ile tylko zdołałam wyrazić.

– To na tym polega twoja wielka lekcja? Że miłość to sprawa ciała? Sposobu, w jaki się do siebie dopasowują? Wrażenie noża w szyję, pierś albo brzuch to zabijanie, a wsadzenie języka w cipę albo fiuta w ucho to miłość, tak?

– Czasami – zgodziła się łagodnie Ela. – Chociaż osobiście odradzałabym ten scenariusz z uchem, ale w końcu wszyscy mamy swoje grzeszki. – Moje słowa najwyraźniej nie utoczyły więcej krwi niż noże. – Istnieje powód – ciągnęła – dla którego kochankowie wolą mówić za pomocą ciała. Łatwiej dostrzec przestrzeń między ludźmi, gdy porozumiewają się mową ciała, łatwiej docenić jej

kształt, łatwiej uwierzyć. – Dotknęła warg koniuszkiem palca, jakby nagle przypomniała sobie o czymś. – Ciepły język zataczający odpowiednie kręgi jest sposobem... potwierdzenia wiary.

– Co oznacza, że nie da się kochać, nie pieprząc.

Ela roześmiała się długim, dźwięcznym śmiechem.

– Polubiłabyś Thurian – powiedziała, a potem zmrużyła oczy. – Mam nadzieję, że nie zrezygnowałaś z prób zabicia mnie? Nie uważałam cię za kogoś, kto się poddaje.

Odetchnęłam głęboko i przesunęłam się, próbując bokowaniem zapędzić ją w róg małego tarasu. Poruszała się wraz ze mną, gibka jak tancerka, wymykając się, aż stanęła przy balustradzie, plecami do kanału. Za nią, na wschód, rozciągał się widok na całe miasto. Gorący wiatr wiał znad oceanu i napędzał nad deltę zielonobure chmury, które przesłaniały słońce.

– Kim była Thurian? – zapytałam, tylko częściowo oczekując odpowiedzi.

– Kapłanką – odrzekła Ela. – Bardzo poważną. – Pokiwała palcem. – Jak ty.

Tym razem rzuciłam nożem, szybkim ruchem z dołu, który posłał ostrze w stronę jej brzucha. Ela ledwo się poruszyła. Trzymała glinianą czarkę przed sobą, przełożywszy dwa palce przez jej uszko. Gdy rzuciłam nóż, opuściła naczynie w dłoni, obracając je wokół palców, a stalowe ostrze, zamiast zagłębić się w jej ciele, uderzyło w dno czarki, zgrzytnęło o dobrze wypalone wnętrze, po czym upadło na ziemię w rozbryzgach wina. Ruch, który uratował jej życie, był tak drobny, że niemal przypadkowy.

Uniosła czarkę, zajrzała do środka, po czym pokręciła głową.

– Sprawilo mi to przyjemność.

Rozpadał się deszcz, bębniąc we wszystkie płaskie powierzchnie Dombângu, jakby dziesięć milionów srebrnych palców sprawdzało dachówki i tarasy, marszczyło wodę w kanałach, mocząc jedwab sukni Eli i spływając po jej twarzy. Oblizwała wargi, jakby nie był to letni deszczyk, lecz wino, które przed chwilą wylało się z jej czarki. Zerknęłam na nóż leżący pomiędzy nami tam, gdzie przed chwilą upadł. Ela jak dotąd poruszała się lekko i bez wysiłku, lecz miała na sobie grube drewniane chodaki, podczas gdy ja byłam boso. Na zmoczonym, śliskim tarasie byłabym szybsza i zwinniejsza.

Zanurkowałam po nóż, złapałam go lewą ręką, wyprostowałam się i wykorzystując siłę bezwładu, z całą mocą zaatakowałam z góry dwoma nożami. Ela obróciła się bokiem, zwięzając mój cel, ale poczułam, że oba noże go dosięgły, a rezonans uderzenia wprowadził w drżenie moje ramiona i barki. Kapłanka uśmiechnęła się. Mój umysł potrzebował ułamka sekundy, abym zrozumiała, że ostrza minęły jej ciało i wbiły się w poręcz balustrady, pierwszy nóż tak blisko, że porwał kawałeczek *ki-panu* i wbił go w drewno. Było to jak dziwny, niedopełniony uścisk. Moje dłonie pozostały zaciśnięte na rękojeściach noży wbitych po bokach jej ciała, a Ela weszła między nie, pocałowała mnie lekko w czoło, po czym rąbnęła pięścią w brzuch.

Upadłam na wznak, wypuszczając noże.

– Oczywiście Thurian była heretyczką – ciągnęła dalej przyjaźnie.

Wydobyłam z siebie głos, coś pomiędzy kaszlnięciem a jękiem, zastanawiając się, czy Ela złamała mi coś w środku.

– Wierzyła, że jesteśmy czymś innym niż to... – Odeszła od poręczy, a od jej sukni oderwał się długi pasek jedwabiu. Dotknęła

swego nagiego brzucha, zmoczonej deszczem skóry. – Thurian wierzyła, że kobieta, lub też mężczyzna, jest czymś innym niż ciało, które posiada. Jest od niego odrębny.

Spróbowałam wstać, poczułam, jak jedno z żeber chrupnęło nierówno w moim wnętrzu, a potem znów osunęłam się na taras. Deszcz rozpuścił świat. Już nie widziałam budynków po drugiej stronie kanału ani stojących na nim łodzi. Nawet kontury naszej gospody były ledwo widoczne, majacząc nade mną w strugach deszczu. Ela i ja zdawałyśmy się niepowiązane ze światem śmiertelników. Drewno pod naszymi stopami mogło być pokładem statku zagubionego pośród sztormu, pochwyconego pomiędzy coś zbyt ciemnego, żeby być dniem, i zbyt zielono-buro-jasnego, żeby być nocą.

– Oczywiście musiałam ją zabić – podjęła Ela.

Raz jeszcze próbowałam się podnieść i tym razem udało mi się usiąść.

– Zabiłaś kapłankę, bo nie była owładnięta obsesją na punkcie swojego ciała?

Ela obserwowała mnie chwilę przez zasłonę deszczu, po czym długo i ostentacyjnie westchnęła.

– Miałam nadzieję poświęcać więcej czasu na kupowanie sukienek, a mniej na wykłady.

– Nikt cię nie zatrzymuje.

– Oby – mruknęła w zamyśleniu. – Tylko moje nadmiernie rozwinięte poczucie obowiązku. – Słowo to zabrzmiało w jej ustach absurdalnie, lecz zdołała je wypowiedzieć bez cienia uśmiechu. Wzruszyła ramionami, a potem ciągnęła: – Biedna mała Thurian myślała, że ma coś w sobie, coś, co jest *bardziej nią* niż wszystkie

jej części, które może zobaczyć i dotknąć.

Ela przeszła przez taras i wyciągnęła do mnie rękę. Przyjęłam ją nieufnie. Ela była silniejsza, niż na to wyglądała, i z łatwością postawiła mnie na nogi, a gdy już odzyskałam równowagę, położyła mi dłoń na ramieniu. Planując następny atak, usiłowałam zignorować przenikliwy ból w boku.

– Chciała być czymś więcej niż swoim sercem – mówiła Ela, dotykając palcem mojej piersi. – Więcej niż twarzą. Więcej niż wszystkimi tymi cudownymi organami ukrytymi pod skórą. – Pokręciła głową. – Nie wiem czemu. Miała piękną twarz: duże brązowe oczy, cudowne wargi. Wyjęłam jej serce z ciała, aby mu się przyjrzeć; nigdy nie widziałas takiego ślicznego serduszka.

– Może... – wykrztusiłam, wykręcając się lekko z uścisku kapłanki – powinnaś była zostawić je tam w środku trochę dłużej.

Wypowiadając to ostatnie słowo, przesunęłam odrobinę biodra, ujęłam jej rękę, która spoczywała na moim ramieniu, wykręciłam się w pasie i pchnęłam kapłankę w poprzek tarasu. Wylądowała na plecach, a ja znalazłam się na niej. Bok mnie bolał, jakby ktoś wbił weń nóż, ale przez chwilę miałam uczucie, że mam przewagę, i nie zamierzałam jej stracić. Zacisnęłam pięści i zamierzyłam się na jej twarz. Ela złapała mnie za nadgarstki.

– Była heretyczką – powiedziała, jakbyśmy siedziały naprzeciwko siebie, prowadząc obojętną rozmowę w jakimś urzędzie, a nie walczyły ze sobą w strugach siekącego deszczu.

– Bo wierzyła, że jest w niej coś więcej poza kośćmi i krwią?

– Właśnie. Kim byś była, Pyrre, bez swojej krwi? – Uniosła głowę z desek i jej ruchem wskazała na moją szyję. – Nawet teraz widzę, jak tętni w twoich żyłach. Czym byłaby ta walka bez krwi i kości?

Cóż by znaczyła? Gdybyś zaprzeczyła temu wszystkiemu – powiedziała, a najwyraźniej rozumiała przez to rzeczywiście wszystko: deszcz ciepły jak krew, purpurowo-szary siniec nieba, nasze zmagające się ciała – zaprzeczyłabyś samemu życiu.

– Nie jesteśmy kapłankami życia.

– Ty w ogóle nie jesteś jeszcze kapłanką – zauważyła. – Jeśli jednak zdołasz przejść swoją Próbę, odejdiesz, wiedząc to jedno: że nie ma śmierci bez życia.

– Zdawało mi się, że miałaś mnie uczyć o miłości.

Mokry od deszczu chwyt jej dłoni na moim nadgarstku osłabł. Nabrałam powietrza, przetoczyłam się na bok, wykręciłam, przez chwilę poczułam się wolna, po czym zrozumiałam swój błąd. Skoro moja ręka była uwolniona, to znaczy, że i Ela miała wolną rękę, którą wykorzystwała, by złapać mnie za włosy, a potem, gdy już odtoczyła się na bok, wcisnąć moją twarz w deski tarasu. Udało mi się jakoś wykręcić, ale ona w mgnieniu oka znalazła się na mnie, przytrzymała mnie w pasie nożycowym chwytem nóg i przycisnęła do mego gardła mały nóż, który wyciągnęła nie wiadomo jak spomiędzy strzępów sukni. Widziałam śliskie drewno o kilka cali od swojej twarzy.

– Uczę cię tylko jednego – mruknęła mi do ucha. – Jesteśmy swoimi ciałami. To, co z nimi robimy, mówi, kim jesteśmy. Ta pozycja... – postukała ostrzem w moją szyję – to prawie zabicie... – Potem, w czasie jednego uderzenia serca, nóż zniknął. Przeciągnęła dłonią po moim podbródku i przycisnęła mokry policzek do mojego. – To prawie miłość... – Jej dłoń zmieniła położenie i ujęła mój podbródek chwytem, który znałam aż za dobrze, bo wystarczyłby jeden szybki ruch, a mój kark zostałby skręcony. – A teraz znowu

prawie zabicie...

Osunęłam się w jej uchwycie, gotowa na ostatnią, absolutną ciemność. Puściła mnie, podniosła się jednym płynnym ruchem i podeszła do balustrady, aby popatrzeć na deszcz. Zdołałam unieść się do połowy i spojrzeć na jej plecy. Przemówiła znowu swym zwykłym leniwym i żartobliwym tonem, ale pod nim, lub w nim, pojawiła się jeszcze jedna nuta, coś, co zwykle było ukryte, jakaś nuta niemal na granicy słyszalności, odczuwana głównie w kościach.

– Miłość jest jak zabijanie – powiedziała. – Robisz to całą sobą albo wcale.

11

Ostatki czarnej jak muł, gorącej i cichej nocy wciąż ciążyły nad miastem, kiedy ktoś zaczął dobijać się do moich drzwi. W pierwszym odruchu sięgnęłam po leżące na nocnym stoliku noże i odrzuciwszy lekkie prześcieradło, stoczyłam się na podłogę. Leżenie na podłodze nie należy do najlepszych pozycji, kiedy trzeba rozpocząć walkę, ale walka nie była jeszcze rozpoczęta, a ja spędziłam zbyt wiele czasu na studiowaniu techniki „zapukaj, poczekaj, dźgnij”, aby podchodzić do drzwi z uniesioną głową dla wygody przeciwnika.

Bądź tam, gdzie nie powinno cię być – oto stary aforyzm Rassamburu.

Szalone stukanie ustało na moment i zastąpił je głos mężczyzny:

– Pyrre!

Wciąż miałam zapuchnięte od snu oczy i byłam obolała po wycisku, jaki dostałam od Eli, ale nie zamierzałam jeszcze rezygnować z korzystnej pozycji. Po chwili łomotanie rozległo się znowu, tak gwałtowne, jakby mężczyzna, zamiast dać znać o swoim przybyciu, zamierzał wyłamać drzwi. Czubkiem noża podniosłam ostrożnie stalowy haczyk zamka.

– Pyrre! – ryknął mężczyzna. – Przysyła mnie dowódca.

Tym razem, gdy tylko zastukał ponownie, odsunęłam zasuwkę i pociągnęłam drzwi do środka. Niesiony impetem własnej niecierpliwości młody mężczyzna wpadł do pokoju. Podstawiłam

mu nogę, po czym wskoczyłam na niego, przykładając mu nóż do gardła. Pozycja ta przypomniała mi o wykładzie Eli udzielonym mi poprzedniego dnia. Słyszałam pomruk jej głosu: *Liczy się przestrzeń między ciałami*. Spojrzałam w dół na ubłoconą bluzę mężczyzny, na krótki miecz u jego boku i na swoje gołe nogi, którymi przyciskałam do podłogi jego ramiona, i skrzywiłam się. W jakiś sposób, skupiając się na tym, by stworzyć przestrzeń *gotowości do zabijania*, wpakowałam się w coś... innego.

Młody żołnierz z Zielonych Koszul, ubrany w standardowy uniform, najwyraźniej nie dostrzegął mojej nagości. Zamiast tego całą uwagę skupiał na rękojeści noża, który przyłożyłam mu do gardła, a jego oczy niemal zezowały z wysiłku, jakby samym spojrzeniem mógł powstrzymać nóż przed zagłębieniem się w jego szyi. Raczej nie wyglądał na zabójcę.

– Teraz wstanę – powiedziałam, starając się mówić powoli i spokojnie, aby nie wpadł w panikę – i coś na siebie włożę. Proszę, nie próbuj mnie zabić.

Jego usta poruszyły się w jakiejś milczącej modlitwie, ale wydawał się niezdolny do mówienia. Oderwałam czubek noża od jego gardła, lecz jego przerażone spojrzenie podążyło za ostrzem.

– Hej – powiedziałam, uderzając go dłonią w policzek, żeby wreszcie spojrzał mi w oczy. – Chcesz mnie zabić?

Pokręcił głową powoli, głupkowato.

– Nie. Przysłał mnie dowódca. Przynoszę wiadomość...

– Poczekaj z tą wiadomością – wstałam – aż włożę spodnie.

Kiedy podeszłam, żeby zamknąć drzwi, zauważyłam Elę zaglądnącą do środka. *Ona* znalazła czas, zauważyłam z irytacją, aby wciągnąć na siebie luźną jedwabną koszulę nocną. A może po

prostu w niej spała. Może też nie spała w ogóle. Jakkolwiek było, kapłanka wyglądała na zrelaksowaną i rozbawioną.

– Kiedy zasugerowałam, żebyś zwracała więcej uwagi na swoje ciało, nie musiałaś brać tego aż tak *dostłownie*.

– On jest posłańcem – warknęłam.

Ela wzruszyła ramionami.

– To właśnie w tobie lubię, Pyrre. Nigdy nie przegapiasz okazji do nauki.

Zielona Koszula podniósł się niepewnie i stanął za mną.

– Kim ona jest? – wystękał z trudem.

– Nikim – odpowiedziałam, zatraskując nogą drzwi. – A kim ty jesteś, do cholery?

– Anho – wykrztusił.

Powstrzymałam się od niechętnego zmarszczenia brwi. Nazywanie dzieci imionami znanych postaci zawsze wydawało mi się szczególną formą okrucieństwa. Jakby brzemie własnego imienia, własnego nieprzeżytego życia nie było wystarczającym ciężarem mogącym złamać człowieka. Już niemal zapomniałam, jak wielu ludzi w Dombângu nosiło imiona założycieli i opiekunów miasta: Goc My, Anho, Chua, Thum, Voc. Był to, jak podejrzewałam, jedyny sposób, jaki pozostał rodzicom, by uczcić historię, którą odebrali im Annuryjczycy.

Patrzył na mnie, oniemiały, gdy brałam spodnie z oparcia krzesła, wsuwałam nogi w nogawki, a potem wciągałam przez głowę luźną tunikę bez rękawów. Odsunęłam zasłonę w jedynym oknie. Daleko na wschodzie ciemne indygo nocy zbladło, przechodząc w brzask.

– Czego chce ode mnie Ruc, że nie może to poczekać do wschodu

słońca, Anho?

Nie mogłam usłyszeć kroków Eli oddalającej się korytarzem. Nie słyszałam też jej nadejścia, ale to i tak nie miało większego znaczenia. To moje rozmowy z Elą musiały pozostać tajemnicą dla Ruca i Zielonych Koszul, a nie na odwrót.

– Musisz pójść – powiedział, łapiąc mnie za przegub z oczywistym zamiarem wyciągnięcia mnie z pokoju.

Najwyraźniej nie był zbyt bystry. Do tej pory jednak rozbudziłam się już na tyle, żeby go nie zabić. Odtrąciłam jego rękę, złapałam go za szyję i przyciągnęłam do siebie. Tętnica pulsowała pod moimi palcami, a oczy się rozszerzyły, ale nie zrobił żadnego ruchu, żeby się wyrwać. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat. Po prostu jeszcze jeden dzieciak w rozlazłej armii Ruca. Lekko poluzowałam chwyt, po czym spróbowałam przemówić do chłopaka przyjaźnie, nawet wesoło.

– Anho – powiedziałam – skończ z łomotaniem, krzykami i próbami wyciągnięcia mnie za drzwi. Po prostu przekaz mi wiadomość od Ruca.

Jego brązowa twarz osiągnęła barwę śliwki. Kiedy go puściłam, słowa wypadły z niego wraz z jednym oddechem.

– Oni napadli na transportowiec.

Zmarszczyłam brwi.

– Mówiąc *oni*, masz zapewne na myśli lokalnych buntowników, a transportowiec to chyba statek dowożący legionistów z Annuru?

Jego głowa podskoczyła w górę i w dół jak u kukielki.

Próbowałam wyobrazić sobie tę scenę. Transportowiec musiał przewozić przynajmniej setkę uzbrojonych żołnierzy, z pewnością weteranów, skoro zostali wysłani do Dombângu. To wszystko

przeciwko hałastrze bałwochwalczych zelotów. Taka walka nie była fair.

– Ilu wzięliście jeńców?

Młody żołnierz gapił się na mnie z rozdziawionymi ustami. Poklepałam go delikatnie po policzku.

– Ilu? – powtórzyłam.

Pokręcił głową w niemym, gamoniowatym zaprzeczeniu i przez chwilę wysilał umysł w poszukiwaniu słów.

– Żadnego. Wszyscy nie żyją.

Gwizdnęłam.

– Żadnych jeńców. Ruc chyba nie jest zbyt zadowolony? Nie chciałabym być w skórze tego dowódcy, kiedy Ruc go dopadnie.

Anho spojrzał na mnie w zakłopotaniu.

– On nie żyje.

Zmarszczyłam brwi.

– Dowódca?

– Oni wszyscy. Legioniści, buntownicy. Wszyscy. Wszyscy są martwi. Ktoś zmasakrował wszystkich.

†

Spędziłam większość poranka, stojąc przy relingu łodzi i patrząc ponuro w przepływającą w dole mętną wodę.

Przybycie posłańca napełniło mnie wcześniej ekscytacją. Cokolwiek się wydarzyło, Ruc posłał po *mnie*. Oznaczało to, że mój plan zadziałał. Ruc potrzebował mojego punktu widzenia, mojej rady, a może czegoś jeszcze. Dreszcz nocnego pościgu kanałami Dombângu powrócił, gdy tak podążałam przez mosty i groble,

a potem przez żelazne bramy Wraku Statku, wielkiej fortecy Zielonych Koszul.

Pozostawiłam Rucowi dość miejsca, gdy wsiadaliśmy i gdy płynęliśmy; jego ludzie mnie nie znali, a ja nie chciałam mieszać się do dowodzenia. Stałam z boku, gdy słońce wzniosło się nad sitowiem, a łódź poddała się skrzypliwemu rytmowi wioseł i warkliwych rozkazów. On jednak, odkąd odbiliśmy od brzegu, prawie mnie nie zauważał. W gruncie rzeczy jego obojętność była tak doskonała, że mogłabym wsiąść na tę łódź całkiem przypadkowo, jako dodatkowy pasażer, zupełnie pozbawiony znaczenia.

Zniechęcona, rozdrażniona i rozczarowana wycofałam się do relingu, przybierając postawę, która wyglądała dostatecznie żołniersko i powściągliwie, i pozostałam tam przez cały ranek, obserwując przepływające cicho w wodzie groźne potwory delty.

Kiedy po raz pierwszy wyjechałam z Dombângu, z zaskoczeniem odkryłam, że wszyscy inni ludzie z kontynentu myśleli o rzece Shirvian z rodzajem życzliwej obojętności. Ogromny łuk, jaki zatacza, przepływając przez Eridroę, jest w większości żeglowny – nurt jest kręty i szybki powyżej jeziora Baku, szeroki i silny poniżej, przedzielony dwiema kataraktami. Dla ludzi z Sia lub Ghanu rzeka jest czymś w rodzaju niezmordowanego muła, na którym zawsze można polegać i który sezon za sezonem dźwiga na swym szerokim, śliskim grzbiecie ludzi z sześciu atrepii wraz z dobytkiem. Wszędzie poza deltą rzeka jest sługą.

Jednakże w samej delcie, w tysiącu splatających się kanałów, które nieustannie grożą Dombângowi uduszeniem, rzeka jest bogiem, a nie poczciwym służącym.

Mapy są prawie bezużyteczne. Delta ciągle się zmienia i rozrasta w nieprzewidywalny sposób. Głębokie kanały w ciągu miesięcy ulegają zamuleni i nagle stają się niedrożne. Wyspy, które mają być godnymi zaufania punktami odniesienia, zapadają się, wciągnięte w muł i sitowie, i nie pozostaje po nich nawet ślad. Nowe kopczyki zbitej ziemi wyrastają za to w miejscach, gdzie była tylko kłębiąca się woda. Tylko miejscowi rybacy, którzy codziennie wyruszają z sieciami na połów, potrafią śledzić zmiany zachodzące w tym labiryncie, ale nawet oni padają często ofiarą delty.

Oczywiście Dombâng nigdy nie rozrósłby się do obecnych rozmiarów, gdyby nikt z tym wodnym galimatiasem nie walczył. Wśród wielu pamiętnych dokonań Goca My'ego było powołanie korpusu inżynierów, których zadaniem było zbudowanie i utrzymywanie wielkiego, godnego zaufania kanału, dostatecznie głębokiego, by mogły wpływać weń morskie statki, i łączącego główny nurt Shirvian z morzem. Miasto podwoiło swoje rozmiary w ciągu jednego pokolenia, a potem jeszcze raz i znowu. Jednak w miarę jak na statkach napływało do miasta srebro i złoto, pomnażane rękami obcych pochodzących z kilkunastu narodów, niektórzy zaczęli szeptać, że Goc My zdradził miasto i jego bogów. *Przez całe lata to delta dbała o nasze bezpieczeństwo, powtarzali, a on ją sprofanował. Miał w sobie tyle pychy, by próbować ją ujarzmić.*

Z pokładu dwukadłubowej łodzi, na której stałam obok Ruca Lan Laca, delta w żadnym razie nie wyglądała na ujarzmioną. Płynęliśmy głównym kanałem Dombângu na wschód, a wiosłarze wiosłowali z leniwym prądem. Ze względnego bezpieczeństwa pokładu obserwowałam śliskie węgorze płynące kręto naszym

śladem, długie węże wygrzewające się na słońcu w przybrzeżnym mule, krokodyle unoszące się cicho i cierpliwie blisko brzegu, czekające na jakąś nieświadomą zagrożenia ofiarę. Gdziekolwiek wystawały głazy; w innych miejscach, tuż pod powierzchnią wody, majaczyły ostre skały, niczym kamienne zęby gotowe rozerwać dno kadłuba. Nasz nawigator stał na dziobie i wykrzykiwał polecenia dla sternika – „Uwaga na tamten brzeg! Przy bakburcie! Omiń ten wir!” – który pewną ręką dzierżył rumpel, skupiając się na chwilowych zagrożeniach.

Ruc najwyraźniej nie zwracał uwagi ani na piaszczyste łąchy, ani na krokodyle, ani na kołysanie pokładu pod stopami. Przez większą część ranka wbijał oczy w horyzont, jakby wypatrywał czegoś poza zasięgiem wzroku zwykłego śmiertelnika. Kiedy jednak słońce wspięło się wyżej, nagrzewając pokład i migocząc jak milion monet na powierzchni zmąconej wody, usłyszałam głos Eli, gładki i sprytny jak sama kapłanka, mrużący we wnętrzu mojej głowy:

Skoro nawet stać poprawnie nie umiesz, to nigdy się nie zakochasz.

Wzięłam głęboki wdech, po czym skupiłam uwagę na aranżowaniu przestrzeni między nami. Ruc stał na dziobie, tylko kilka kroków za nawigatorem, wyprostowany jak maszt, z rękoma za plecami. W irytacji odeszłam od niego tak daleko w stronę rufy, jak zdołałam, wychyliłam się przez reling i oparłam rękę na pawęży.

Kiedy tak zbierałam się na odwagę, aby trzeźwo ocenić sytuację i stwierdzić, co naprawdę dzieje się w mojej szalonej głowie, zrozumiałam jasno, co najlepszego robię. Wycofałam się na rufę w nadziei, że Ruc dostrzeże moją nieobecność i *podąży za mną*.

Była to, musiałam przyznać, bardzo dziwna wizja intymności, oparta na ucieczce i pościgu oraz na założeniu, że on zechce ścigać mnie wszędzie, nieważne, jak daleko ucieknę. Niemal słyszałam śmiech Eli: *Jesteś kobietą, Pyrre, czy małą dziewczynką?* Zamiast to rozważać, podniosłam wzrok, żeby przyjrzeć się Rucowi.

Ku memu rozczarowaniu wcale mnie nie ścigał, jeśli *ściganiem* można by nazwać przechadzkę po otwartym pokładzie długości kilkunastu kroków. Odkąd zostawiłam go na dziobie, nawet się nie odwrócił i nie raczył choćby dać do zrozumienia, że jest ze mną ostrożny. Kiedy tak stał odwrócony do mnie plecami, mogłam z łatwością wpakować mu nóż między łopatki, przebijając serce, zanim zdążyłby krzyknąć. Przyznaję, zrobiłam wiele, aby uwierzył, że jesteśmy po tej samej stronie. *Chciałam*, żeby sądził, że należę do Ketralu i że oboje służyliśmy cesarstwu, ale przecież nie chciałam, żeby był aż tak cholernie *zrelaksowany*.

Jak bardzo mężczyzna musi kochać kobietę, żeby ani trochę się nie martwić, że ona może go zabić?

Uświadomiłam sobie, że machinalnie dotykam noża. Zacisnęłam zęby, puściłam reling i zrównoważyłam ciałem lekkie kołysanie łodzi pod stopami. Jeśli Ela miała rację, to ja się myliłam. W przestrzeni, jaką stworzyłam między nami, nie było żadnych pułapek ani haczyków. Przeszłam na drugi koniec łodzi, żywiąc nadzieję, że on do mnie dołączy, ale tego nie zrobił. Mogłam czekać, mieć nadzieję i marzyć albo też spróbować czegoś innego. Rzuciłam w duchu przekleństwo pod adresem Eiry, której sprytne sztuczki były tak niepodobne do postępowania boga, którego sobie wybrałam, po czym ruszyłam naprzód.

Próbowałam czuć pustkę między nami, w miarę jak się

zmniejszała, odnajdować jej kształt, kąty i krawędzie. Po pierwszych krokach nie wyczułam żadnej różnicy, lecz z chwilą, gdy stanęłam tuż za plecami Ruca, coś się zmieniło. Potrafiłam wyczuć to w sobie, jakby ktoś przywiązał cienką jak włos nić do najwrażliwszych wnętrzości mego ciała i ciągnął za nią, delikatnie, lecz uporczywie, w stronę Ruca. Irytowało mnie, że Ela miała rację, ale nie miałam wiele czasu na tę irytację, bo Ruc już się odwracał, po raz pierwszy oderwawszy wzrok od labiryntu delty. Trudno było powiedzieć, czy on również wyczuł tę jedwabistą nić, kiedy na mnie spojrzał.

– Już byśmy byli na miejscu, gdybyś zabrała ze sobą ptaka – powiedział.

Pokręciłam głową.

– Nie ma sposobu, żeby ukryć kettrala w Dombângu. Gdybyśmy spróbowali, już pół miasta by wiedziało, że tu jesteśmy.

Przez krótką chwilę nie odpowiadał, tylko patrzył na mnie oczyma gorącymi i groźnymi jak sama delta, lekko zmrużonymi, jakby próbował ocenić kształt jakiejś piaszczystej łąchy w porannej mgle. Inaczej niż reszta Zielonych Koszul na łodzi Ruc nie miał na sobie zbroi, tylko bawełniane spodnie ściągnięte ciasno sznurkowym pasem i zwyczajną kamizelę powszechnie noszoną w Dombângu. Rozpiął górne guziki, bo nie lubił sztywnych mundurów i wojskowego szyku, a ja zobaczyłam starą bliznę na jego piersi, która pozostała mu po dawnych walkach w rejonie Pasa; ciało było w tym miejscu bledsze i gładsze. Ruc, podobnie jak reszta, pocił się, lecz inaczej niż ci, którzy pod swymi hełmami i kolczugami wyglądali dość nieszczęśliwie, sprawiał wrażenie gotowego, jak bokser po rozgrzewce przed czekającą go walką.

Mam ochotę go uderzyć.

Ta myśl zakiełkowała we mnie szybko i mimowolnie. Jakaś część mnie wiedziała, że to śmieszne, ale sprawdzało się w czasach, gdy żyliśmy w Sia. Miałam dopiero odkryć ten nieznany łąd, jakim była miłość, ale byłam pewna, że sąsiaduje on z mroczniejszym królestwem, które znałam aż za dobrze, królestwem Przemocy i Gniewu. Stłuczenie pięści o jego twarde jak kamień żebra może nie było miłością, ale przynajmniej jakimś rodzajem intymnej zażyłości, kontaktem skóry ze skórą.

Odepchnęłam od siebie tę myśl.

Zaatakowanie dowódcy Zielonych Koszul na pokładzie jego łodzi, w obecności dwudziestki jego ludzi, nie było dobrym sposobem utwierdzenia ich w przekonaniu, że jesteście sprzymierzeńcami. Było też coś jeszcze, co mnie zniechęciło. Dobrze pamiętałam rękę Eli trzymającą mnie za gardło i szeptane przez nią z naciskiem słowa na temat drobnych różnic pomiędzy różnymi rodzajami i stopniami intymności. *Prawie miłość*, szeptała, a jej brązowe oczy znajdowały się groźnie blisko moich oczu. Czułam, jak porusza się jej gibkie ciało. *Prawie zabijanie*.

Już próbowałam uderzyć Ruca. Parę razy walczyliśmy ze sobą i choć przemoc doprowadziła nas do tego, że przez kilka miesięcy dzieliliśmy łóżko, to jednak żadne z nas się nie zakochało. Mogłam pójść tą samą drogą ponownie, i to z łatwością, lecz tym razem potrzebowałam czegoś więcej. Usiłowałam wyobrazić sobie, jak inne kobiety na świecie – kobiety, które wychowały się poza Rassamburem i uczyły innych rzeczy niż podrzynanie gardeł i odbieranie życia, choćby jakieś garncarki albo księżniczki – mogłyby się zachować wobec młodego mężczyzny na pokładzie

łodzi.

Mogłabym go przytulić.

Nie mogłam jednak wyobrazić sobie bardziej irytującej sytuacji: nachylenie się ku niemu, przyciąganie do siebie, opieranie wdzięcznej główki na jego piersi, jak jakaś suplikantka albo idiotka. Ta myśl nasiliła chęć uderzenia go, więc aby się temu oprzeć, cofnęłam się o krok.

– Jeśli nie byli to lokalni buntownicy, to w takim razie kto – zapytałam w końcu, stając przy relingu obok niego.

Zielone Koszule zerkały na mnie podejrzliwie przez cały ranek, najwyraźniej nie mając pewności, kim jestem i co robię. Kilku wioślarzy mruknęło coś pod nosem, gdy zbliżyłam się do ich dowódcy, ale byli zbyt daleko od nas, żeby coś usłyszeć.

– To byli miejscowi buntownicy – odparł Ruc.

– Nie to powiedział mi twój człowiek po tym, gdy próbował wyważyć moje drzwi. Powiedział, że wszyscy nie żyją, zarówno legionieści, jak i ci, którzy ich zaatakowali, kimkolwiek byli.

– Mój człowiek to przestraszony dwudziestolatek, który usłyszał coś od innego przestraszonego dwudziestolatka, który z kolei usłyszał to od kilku rybaków, którzy byli już tak urżnięci, że kiedy wreszcie dotarli do Wraku Statku, nie mogli utrzymać się na nogach.

– Myślisz, że się mylą?

– Myślę – zaczął Ruc, zaciskając dłoń i sprawdzając siłę pięści – że jedynymi ludźmi, których zwykle się znajduje po udanych zasadzkach, są nieboszczycy.

– Kiedy ostatnio buntownicy zaatakowali annuryjski transport?

Pokręcił ponuro głową.

– Nigdy.

– W takim razie to historyczna chwila – powiedziałam, uśmiechając się promiennie.

– Myślałbym, że Kettral powinien być nieco bardziej urażony morderstwami i otwartą rebelią.

– Jeśli uraza sprawi, że źli chłopcy zaczną ginąć, to będę urażona. – Spojrzałam w głąb kanału zarośniętego po bokach sitowiem. Małe ptaki w trzcinach trzepotały i rozkrzyczały się, gdy przepływaliśmy, a potem umilkły. – Czy przyszło ci kiedykolwiek do głowy, że to może być zasadzka? – Spojrzenie Rucy było spokojne jak ocean przed burzą. – Pozwól, że ujmę to inaczej – powiedziałam. – Co planujesz zrobić, jeśli to *jest* zasadzka?

– Mamy dziesięć łodzi. – Gestem wskazał na łodzie za nami. – Dwieście Zielonych Koszul.

– W transporcie było co najmniej stu legionistów, czyli cała legia – zauważyłam – i według tego, co powiedział twój człowiek, wszyscy zostali wyrżnięci.

– Tamta łódź była podatna na atak, samotna, i wziętą ją przez zaskoczenie. Kiedy pułapka się zatrzasnęła, nie było innych łodzi mogących przyjść jej z pomocą.

– Rozumiem, że jeśli to zasadzka, to zamierzasz wiosłować prosto w jej środek.

– Tylko pierwsza łódź. Reszta będzie się trzymać z tyłu.

Zerknęłam przez ramię na łodzie tnące ciemną wodę za nami.

– Nie mogę nie zauważyć, że pierwszą łodzią jesteśmy my.

Zastanawiałam się, na ile okazywać zaniepokojenie. Prawda była taka, że niewiele mnie obchodziło, czy jest to zasadzka, czy nie. Przez większą część podróży myślałam o Rucu, o miłości i o tym, co

jest ze mną nie tak, że tyle o tym myślę. Wiedziałam oczywiście, że u końca drogi czeka na nas statek pełen wymordowanych żołnierzy, ale to nie było nic nowego: przecież Ananshael czeka na końcu wszystkich naszych podróży, bezdenny i cichy jak morze. Miałam całe życie na to, żeby się z tą prawdą oswoić, a jednak miałam wrażenie, że powinnam wyglądać... jak?

Na przestraszona? To nie pasowało. Nigdy nie spotkałam nikogo z Kettralu, ale jako jednostka bojowa stanowili legendarną siłę, porównywalną do moich braci i sióstr. Kettralowcy nie byliby przestraszeni perspektywą odrobiny przemocy. Z drugiej jednak strony nie byli kapłanami Ananshaela. Dla nich śmierć oznaczała porażkę. Musiałam opracować zachowanie dla postaci, którą sama stworzyłam – silnej i dumnej młodej kobiety, która całe życie trenowała, by walczyć dla chwały cesarstwa, i która powróciła do swego rodzinnego miasta, aby dopilnować jego pacyfikacji i zadbać o to, żeby zrobiono to należycie. Nadałam rysom twarzy nowy wyraz, taki, który moim zdaniem mógłby z grubsza pasować do zdecydowanego i nieugiętego obywatelskiego zaangażowania.

Ruc zmrużył oczy.

– Jeżeli jest ci niedobrze, to wychyl się za reling.

Był to ostatni raz w życiu, kiedy usiłowałam przybrać wyraz obywatelskiego zaangażowania.

Odwróciłam się, żeby ukryć irytację. Nasz nawigator wpłynął w boczny kanał, dużo węższy od głównego, połączonego z nurtem rzeki. Prąd był tu bardziej leniwy, a brzegi znajdowały się bliżej, jakby miały zagrozić zdławieniem przepływu wody. Niski, spocony mężczyzna wychylał się znad stewy dziobowej, wypatrując skał i łach, żebyśmy nie zaryli w dno.

– Żaden z żołnierzy nie zauważył, że wypłynęli z głównego kanału? – zapytałam. – Albo że brzegi są niepokojąco blisko?

– A ty byś zauważyła? – spytał Ruc.

Jeszcze raz stanęłam z nim twarzą w twarz. Pomimo rosnącego napięcia Ruc nie skrzywił się, nie warknął ani nie krzyknął. Ręce wciąż miał założone za plecami, a twarz spokojną. Znałam jednak ten spokój. Kiedy Ruc przestawał się ruszać, znaczyło to, że powstrzymuje w sobie jakąś gwałtowność, której nie da się bezpiecznie uwolnić.

Lubiłam tę gwałtowność.

Podeszłam do niego jeszcze bliżej. Mój umysł tylko połowicznie skupiał się na rozmowie.

– Oczywiście, że bym zauważyła. Kanał Goca My'ego ma sto kroków szerokości. Biegnie prosto ze wschodu na zachód. To... – zatoczyłam szeroki gest – w niczym go nie przypomina.

Ruc pokręcił głową.

– Wychowałaś się tutaj. Żołnierze z tamtego transportu, a przynajmniej większość z nich, nie odróżniliby trzcinowego węża od skały. Ufali pilotowi i sternikowi.

– To dobra lekcja, jak sądzę, żeby ufać bardzo nielicznym.

– I to mówi kobieta, która nalega, żebym jej zaufała.

– Powiedziałam „nielicznym”, a nie „nikomu”.

– A ty, jak się domyślam, należysz do tych nielicznych?

– Sądzę, że na to zasłużyłam.

Dobrze było znów się przekomarzać. Te słowne przepychanki miały w sobie coś z fizycznej walki, ale bez pięści i krwi. Zmieniłam jednak ustawienie nóg, jakbyśmy naprawdę znaleźli się w ringu, choć jako pretekst do postąpienia o krok bliżej wykorzystałam

kołysanie pokładu. Ruc się nie cofnął, ale zauważyłam zmianę w jego postawie, sposób, w jaki skręcił się lekko w pasie, żeby dostosować się do mojego ruchu, a także to, jak opuścił ręce wzdłuż tułowia, zamiast nadal trzymać je za plecami. Przez chwilę wyglądało to tak, jakbyśmy byli tancerzami uczącymi się nieznanymi kroków. Ale, rzecz jasna, nie byliśmy tancerzami.

Taniec był przeznaczony dla innych ludzi, dla kobiet, które lepiej znały sekretne drogi swoich serc i rozumiały, co znaczy kochać i być kochaną. Tańczyć mogli rybacy i farmerzy. Ludzie, którzy z ledwością potrafili wybijać rytm kijem o dno beczki, umieli, o dziwo, tańczyć. Kobiety, których ciała były zupełnie niewyćwiczone i które potykały się przy najbardziej podstawowych ruchach, jakimś niepojętym sposobem potrafiły nasycać te nieporadne gesty prawdziwym uczuciem, co nawet dla mnie było dobrze widoczne.

Ja natomiast umiałam z łatwością powtórzyć nawet skomplikowane sekwencje ruchów – trening Rassamburu przydaje się w wielu innych rzeczach poza zabijaniem – ale tańczyć nigdy nie lubiłam. Nigdy tego nie *rozumiałam*. Podczas tańca czułam się tak, jakbym była z drewna, miała koślawe nogi i w ogóle wszystko wydawało mi się bezsensowne, czego nigdy nie doświadczałam podczas walki lub polowania. Nie chodziło mi o to, że taniec jest miłością, lecz o to, że to samo pęknięcie w moim wnętrzu odpowiedzialne było za moje porażki w obu dziedzinach. Zdaniem Eli miłość to sprawa ciał, a ja rozumiałam moje ciało tylko wtedy, gdy robiłam coś niebezpiecznego.

– Zwolnić – przerwał pilot, podnosząc rękę, by dać sygnał wioślarzom.

W odległości stu kroków kanał skręcał ostro i znikał za zakrętem. Delta wydawała się nienaturalnie cicha, gdy wiosła przestały w końcu młócić wodę i zamarły w bezruchu. Gdzieś na brzegu po prawej stronie ptak podróżniczek wykrakał swoją fałszywą melodię i zaraz umilkł. Niebo, nabrzmiałe jasnością gorącego popołudniowego światła, chyliło się nisko nad naszymi głowami. Zielone Koszule za nami kręciły się niepewnie, pomrukując i sprawdzając broń. Zerknęłam przez ramię za siebie. Inne łodzie nie były widoczne, pozostawały ukryte za ostatnim zakrętem, trzymały się z tyłu, jak rozkazał Ruc, żeby zobaczyć, czy uruchomimy pułapkę.

Poklepałam delikatnie przypasane do ud noże i wezbrała we mnie dawna, dobrze mi znana niecierpliwość. Być może nie umiałam tańczyć, ale to nie był czas na tańce. Kiedy z północy powiał leniwy podmuch wiatru, wyłowiłam w nim gęsty, słodkawy, mięsny odór zgnilizny. Gdzieś niedaleko były martwe ciała, gnijące już w równikowym upale. Czułam w powietrzu spokojną i nieubłaganą wielkość mego boga, a moje serce wzbierało pobożną tęsknotą za nim, bijąc szybko i równo.

Na krótką chwilę miłość przestała się liczyć. Mogłam przestać cierpieć z powodu niedostatków romantyzmu. Za zakrętem kanału czekała Śmierć, lecz podczas gdy mężczyźni za mną byli przerażeni, ja czułam ulgę i pragnienie, by przypomniała mi swoją jasność i czystość.

12

Być może zdarzyło ci się stać w jakiejś sali lub w domu rankiem po wielkiej zabawie. Goście już wyszli, hulanka się skończyła, muzyka umilkła, ale oznaki wieczornej radości pozostały – do połowy opróżnione kieliszki, wypalone latarnie, szal przerzucony przez oparcie krzesła, jakby ktoś miał lada chwila wrócić. W takim opuszczonym pomieszczeniu, które jeszcze parę godzin wcześniej przepełnione było szaloną radością, są jakiś spokój i melancholia. Ten transportowy statek przywodził mi na myśl właśnie coś takiego.

Szeroki i płytki pokład nie był oczywiście salą, a zamiast kieliszków były tam miecze, krwawe wnętrzości, stopy gnijących trupów, ale uczucie było podobne: zabawa się skończyła. Weszliśmy w przestrzeń, gdzie wydarzyło się coś szczególnego, gdzie ludzie przybyli tłumnie, po czym odeszli, aby już nigdy nie powrócić. Wielkie świętowanie chwały Ananshaela się zakończyło. Pozostały tylko szczątki. Któryś żołnierz spośród Zielonych Koszul zwymiotował na burtę transportowca. Inny płakał cicho, patrząc na to wszystko, i nawet nie zadał sobie trudu, by obetrzeć łzy z oczu. Inaczej niż moi bracia i siostry, ludzie ci nie nawykli do widoków pozostałych po przejściu mego boga. Spróbowałam przybrać odpowiedni, pasujący do Kettralu wyraz twarzy, będący mieszaniną szczerego żalu i odrobiny wściekłości. Trudno było powiedzieć, czy mi się udało, ale nie miało to większego znaczenia.

Ruc znów odwrócił się ode mnie, by pomóc żołnierzom otrząsnąć się z przerażenia.

– Truc! – ryknął. – Chcę po tuzinie ludzi z każdej burty. I niech przepatrują ławki. Hu, znajdź mi pilota i sternika, ale ich ciał nie ruszajcie. Mah, podziel resztę na drużyny po czterech. Najpierw szukajcie tych, co przeżyli. Sprawdzajcie każdemu tętno i nic mnie nie obchodzi, jak biedny sukinsyn wygląda. Każdy ocalony może powiedzieć nam... VOCTAN! – Wbił to imię jak topór pomiędzy pozostałe słowa.

Jeden z żołnierzy, niemal tak pozieleniały na twarzy jak jego koszula, obrócił się prędko. Miał szeroko otwarte szkliste oczy. Miecz do połowy wyciągnął z pochwy.

– Schowaj to – powiedział spokojnie Ruc. – Następny, którego zobaczę z obnażoną stalą, będzie wracał wpław.

– Ale... – wykrztusił młody żołnierz, wskazując jatkę na pokładzie.

Ruc podszedł do niego i położył mu dłoń na ramieniu.

– Tamci już odeszli. Ktokolwiek to zrobił, tu go nie ma. Zostaw broń i bierz się do roboty.

Dopiero gdy Zielone Koszule rozproszyły się po pokładzie, odwrócił się znowu do mnie.

– Wszystko przemawia za zasadzką – powiedziałam. – Dziwi mnie, że nie każesz im trzymać broni w pogotowiu.

Ruc pokręcił głową i ściszył głos:

– Nie są kettralowcami.

– To jeden powód więcej, żeby byli gotowi.

– Broń nie czyni człowieka gotowym. Są tak spięci, że raczej ponadziewają się nawzajem na te miecze, niż zrobią krzywdę

nieistniejącym wrogom.

– Skoro już o nich mowa. – Obróciłam się, żeby ponownie spojrzeć na pokład. – Nadal uważasz, że zrobili to wasi buntownicy?

Nawet z punktu widzenia pobłażliwości Rassamburu pokład przedstawiał widok okropny. Transportowiec był spory, szeroki, o podwójnym pokładzie, niemal barka mająca dość wiosła, by swobodnie manewrować pod prąd w kanałach delty. Annuryjska legia liczyła stu ludzi i przynajmniej dwie trzecie leżały zmasakrowane na szerokich deskach górnego pokładu, a ciała rozkładały się w słońcu. Annuryjczycy nie byli jedynymi ofiarami. W panującym tam chaosie leżało równie wielu, jeśli nie więcej, napastników pochodzących z Dombângu, sądząc po włosach, kolorze skóry i włóczniach, które niektórzy wciąż jeszcze trzymali w dłoniach. Tysiące chrząszczy mroczników pełzało po zwłokach, a ich drżące skrzydełka połyskiwały żywo i gniewnie w późnym świetle dnia.

Uklękłam przy najbliższym ciele. Chrząszcze bzyknęły wściekle, gdy je odpędziłam, zawisły błyszczącą chmurą, po czym zniknęły. Żołnierz był młody, nie miał wiele więcej niż dwadzieścia lat. Miał jasną skórę i płomienście rude włosy Breatañczyka, z kraju leżącego tysiąc mil stąd. Zastanawiałam się, jak długo Ananshael za nim podążał, ile mil, ile lat upłynęło, zanim wybrał tę właśnie chwilę na dokonanie swego szybkiego, niezrównanego dzieła. Młody człowiek zdążył wyciągnąć miecz, a jego palce wciąż zaciśnięte były na rękojeści, lecz ostrze nie zostało splamione krwią, natomiast gardło było rozdarte. Rozerwane krtań i przełyk zwisały obscenicznie z ruiny ciała.

– Na cokolwiek się zamachnął, z pewnością nie trafił – zauważył Ruc.

– Dziwne – powiedziałam, nachylając się niżej, żeby obetrzeć krew.

– Nie ma nawet... dwudziestki? Ktoś lepiej władający mieczem...

– Nie został zabity mieczem. – Wskazałam cztery otwory na brzegach rany i włożyłam w nie końce palców. – Ktoś wyrwał mu gardło ręką.

Ruc przykucnął obok mnie, przeciągnął palcem po rozszarpanej tchawicy, po czym gwizdnął przeciągle.

– Nie ma śladu cięcia.

– Często widzisz w mieście coś takiego?

Przyglądał się ranie jeszcze przez chwilę, jakby stanowiła jakiś matematyczny problem albo była obraźliwym tekstem w języku, którego nie umiał odczytać, po czym spojrzał mi w oczy i pokręcił głową.

– Nie. – Znów popatrzył na zwłoki. – Nie sądziłem, że to w ogóle jest możliwe.

– Dla większości ludzi nie jest.

Wyprostowałam się, niepewna, ile mogę mu wyjawic. Niektórzy z moich braci i sióstr byli wystarczająco szybcy i silni, żeby wyrwać komuś gardło. Jako dziecko widziałam, jak stary i ślepy Rong Lap wbił swoją sękatą dłoń w ciało owcy i wyciągnął z niej bijące serce. Nigdy potem jednak nie widziałam, nawet w Rassamburze, żeby ktoś zrobił coś podobnego, a Rong Lap nie żył już od dobrych dziesięciu lat.

– Tutaj! – wykrzyknął jeden z ludzi Ruca, ocierając podbródek z wymiocin. – Sternik.

Gdy torowaliśmy sobie drogę przez pobojuwisko, nad naszymi głowami przefrunęło stadko winnodziobów, szybując z rozpostartymi czarnymi skrzydłami i rzucając na pokład szybko przesuujące się cienie. Gdy zniknęły nam z oczu, niebo wydało się nagle nieruchome, niczym wielka ołowiana masa ciężąca nad delta.

– Ma całą szyję – zauważył Ruc, gdy podeszliśmy do sternika.

– Nie widać, żeby czuł się z tym lepiej – odparłam.

Inaczej niż pozostałe ciała rozrzucone po pokładzie – poranione na wszelkie możliwe sposoby, z powyrywanyymi rękami, rozerwanymi gardłami, ze zwojami śliskich wnętrzności wyszarpniętymi z brzuchów – sternik wydawał się nietknięty. Leżał na wznak z ręką lekko opartą o reling i patrzył szklistymi oczyma w niebo. Z jakiegoś powodu połyskliwe chrząszcze mroczniki nie obsiadły jego ciała, choć kłębiły się wszędzie na całym transportowcu.

– Może żyje? – mruknął jeden z żołnierzy.

– Nie żyje – powiedział sucho Ruc, po czym zmrużył oczy. – A cóż to takiego?

Przykucnął obok ciała, ujął szczękę nieboszczyka i otworzył mu usta. Coś czarnego i śliskiego zwisało pomiędzy zębami. Zrazu wzięłam to za język. Uduszenie może dać taki efekt, ale nie było żadnych oznak, że mężczyzna został uduszony, żadnych sińców na szyi i zsinienia warg. Poza tym ten czarny kawałek ciała był zbyt wąski i zbyt ostro zakończony jak na ludzki język.

Dziwny twór wygiął się nagle.

Żołnierz obok mnie rzucił się w tył i wydobył z siebie coś pomiędzy wrzaskiem a piskiem. Ruc jednak po prostu sięgnął dłonią do pasa, krzyknął na mężczyznę, żeby przysunął się bliżej,

przez chwilę przyglądał się uważnie dziwnemu czarnemu niby-językowi, a wreszcie wyciągnął nóż. Po ukłuciu czubkiem ostrza czarny język poruszył się znowu.

– Wąż-duch – stwierdził ponuro Ruc.

Otworzyłam szeroko oczy. Zielona Koszula wydał stłumiony okrzyk. Ruc zastanawiał się jeszcze chwilę. Potem zaś jednym zwinnym ruchem nadział na czubek noża ogon węża. Skurcz przebiegł przez gardło sternika, jakby ten wciąż żył i próbował przełykać. Ruch pochodził oczywiście od węża, który próbował wkręcić się głębiej w swego gospodarza.

Ruc jednak trzymał go mocno za twarde ogon i powoli, cał po calu, za pomocą noża wyciągnął lśniące cielsko na zewnątrz. Było dłuższe, niż się spodziewałam. Miało prawie dwie stopy długości. Większość spoczywała zwinięta w piersi sternika, żywiąc się nim. Kiedy ukazała się na koniec głowa, gad wykręcił się do Ruca. Jego żółte oczy błysnęły w łuskowatym pysku, otwartym szeroko i groźnie uzębionym.

Żołnierz cofnął się i krzyknął przerażony, lecz Ruc poczekał, aż wąż zaatakuje, po czym wolną ręką schwycił go mocno tuż za głową. Obejrzał go uważnie, jakby próbował wyczytać coś z jego głodnego, paskudnego spojrzenia, a potem wyciągnął nóż z ogona i odciął łeb.

Przez chwilę na pokładzie transportowca panowała cisza, a jedynymi dźwiękami były chlupot wody o kadłub oraz świergot ptaków podróżniczków w sitowiu. Potem jeden z żołnierzy osunął się na kolana z poszarzałą twarzą.

– „Widziałam, jak powstają z wód głodne węże” – wymamrotał jak w transie. – „Widziałam, jak pożerają serca obcych żołnierzy”.

Ruc odwrócił się i spojrzał mu prosto w twarz. Ludzi wieszano za recytowanie prorocstwa Chong Mi, ale choć było to właśnie zadaniem Ruca, nie zagroził on żołnierzowi ani nawet nie udzielił mu reprimendy. Zamiast tego wyciągnął rękę i podniósł go z kolan, po czym podsunął mu pod oczy uciętą głowę węża. Żołnierz próbował się cofnąć, ale Ruc go powstrzymał.

– Spójrz – powiedział, obracając w dłoni makabryczne trofeum. – To zwykły wąż.

– Wąż-duch – zaprotestował żołnierz.

Ruc skinął głową.

– W delcie jest ich pełno. Wiesz, co robią, gdy brakuje ludzi?

Młody mężczyzna potrząsnął głową.

– Wpełzają do wnętrzości chorych lub umierających zwierząt, istot zbyt słabych, by się poruszyć.

– Są zemstą delty – wykrztusił żołnierz.

Ruc pokręcił głową.

– Po prostu próbują przeżyć, jak każde inne zwierzę. Tak samo jak my. Zwłoki zapewniają pożywienie i schronienie, dopóki nie zgniją.

Zielona Koszula patrzył na niego niepewnie. Ruc wytrzymał jego spojrzenie.

– Nie są żadnym dopustem bożym – powiedział spokojnie. – To tylko zwykłe węże. – Aby podkreślić swoje słowa, wyrzucił łeb gada za burtę.

Na wodzie rozbiegły się kręgi. Chwilę później dostrzegłam srebrzystobiały błysk pod powierzchnią – jakaś ryba niebojąca się ptaków o ostrych jak brzytwa dziobach wypłynęła, by porwać swój kęs.

– Gdyby byli tutaj bogowie – podjął Ruc, wskazując na leniwie rozchodzące się kręgi – to twoim zdaniem wybraliby sobie takich nędznych posłańców?

Zielona Koszula pokręcił z wahaniem głową, wciąż wpatrując się w wodę.

– Idź – polecił mu Ruc, wskazując kierunek – i pomóż drużynie Truca.

Żołnierz zadrżał, jakby budząc się z uspienia, po czym odwrócił się i poszedł.

– Zwyczajny wąż? – zapytałam, kiedy zostaliśmy z Rukiem sami na rufie.

– Łuski, trójkątny łeb, brak nóg, czyli pasuje.

Westchnęłam.

– Rozumiem, że nie chcesz, aby twoi ludzie ulegli panice. Rozumiem, że nie chcesz plotek w mieście. – Poklepałam go delikatnie po ramieniu. – Ale ja nie jestem twoim człowiekiem. Nie zacznę plotkować. Ściągnęłaś mnie tutaj, bo potrzebowałeś mojej pomocy, ale nie będę mogła ci pomóc, jeśli nie będziesz rozmawiał ze mną jak z dorosłą kobietą, która ma własne oczy, a za nimi działający mózg.

Ruc zerknął na moją rękę, która wciąż spoczywała na jego ramieniu. Gest ten wydał mi się zrazu naturalny, zwyczajny, ale spojrzawszy w te bezdenne zielone oczy, zagubiona w nagłym milczeniu, poczułam się najpierw niezręcznie, a potem głupio, jak dziewczyna, która kiedyś nie bardzo wiedziała, co począć ze swoim ciałem. Opuściłam więc rękę.

– Ktoś wepchnął tego węża w gardło sternika – rzuciłam te słowa w ciszę między nami, jakby mogły zapełnić pustkę. – Wiesz to i ja

to wiem.

– Węże-duchy nieustannie wpełzają ludziom do gardeł. Taki mają zwyczaj.

– Wpełzają do gardeł istot, które *śpią*. Nie sędzę, żeby sternik spał pośrodku zacieklej bitwy, jaka rozgorzała na pokładzie.

– Mógł być martwy.

Pokręciłam głową.

– Węże-duchy są tak nazywane, ponieważ karmią się żywymi.

Ruc się skrzywił, spojrział za mnie w stronę pokładu, gdzie Zielone Koszule wciąż krzątały się pośród ofiar rzezi. – Jeśli chcesz zobaczyć, jak Dombâng płonie – warknął – to mów dalej.

– Nie wydaje mi się, żeby to ja stanowiła tu problem.

– Dopóki mówisz, jesteś problemem.

Uniosłam brwi.

– Wydaje ci się, że jeśli będę trzymać buzię na kłódkę, twoi ludzie będą uważali to za zwykłą zasadzkę?

– W zasadzce nie ma nic zwykłego.

– Zwłaszcza w takiej, w której udział biorą trzy strony.

Ruc położył mi dłoń na ramieniu, obrócił mnie tyłem do pokładu i przodem do pustej rufy transportowca. Z jednej strony miałam ochotę strącić z ramienia tę rękę albo złamać ją w nadgarstku. Z drugiej miałam nadzieję, że ją tam pozostawi. Podobał mi się jej ciężar i siła, choć nienawidziłam być prowadzona. Aby wyrównać rachunki, nachyliłam się, aż poczułam jego oddech na policzku, i mruknęłam mu prosto do ucha:

– Czy teraz jesteśmy dostatecznie przezorni?

Opuścił rękę i cofnął się.

– Moi ludzie patrzą.

– Twoi ludzie obrzygują sobie mundury.

– To nie przeszkodzi im zauważyć, jak wciskasz mi język do ucha.

– Jeśli to zauważą, to z pewnością dostrzegą też, że w tej zabawie brała udział trzecia frakcja. Frakcja, która zabiła mnóstwo ludzi, a potem się ulotniła.

– Moi ludzie nie są kettralowcami. Nie mają twojego wyszkolenia w odczytywaniu przebiegu starć.

– Nie *muszą* być kettralowcami – zawołałam. – Annuryjczycy noszą miecze. Ludzie, którzy ich zaatakowali, mieli noże i włócznie. Ale połowa ludzi na tym pokładzie została zabita gołymi rękami.

– Kiedy żołnierz traci broń, to walczy gołymi rękami.

Rzuciłam mu chłodne spojrzenie.

– Zachowaj ten kit dla swoich ludzi. Wiesz równie dobrze jak ja, że był tu ktoś, kto walczy przeciwko *obu* stronom.

Ruc spojrzał mi w twarz, po czym skinął lekko głową.

– Myślisz, że dasz radę nie ujawnić tego mojej załodze?

– Dziwna strategia: poleganie na tępcie własnych oddziałów.

– Nie są tępi, tylko młodzi. To – wskazał na pokład – jest język, którego nikt ich nie nauczył.

– Na szczęście – odparłam – ty i ja jesteśmy wykształceni. Pytanie brzmi: jaką historię tu czytamy?

Ruc zaczął odpowiadać, gdy przerwał mu krzyk jednego z jego ludzi. Cała ich grupa zebrała się przy relingu prawej burty, wskazując palcami na brzeg. Dobrą chwilę trwało znalezienie przyczyny tego poruszenia. Na brzegu, zaledwie parę kroków od statku, ktoś ułożył piętnaście, może dwadzieścia odciętych głów, wciskając je w błoto w taki sposób, że patrzyły w niebo. To znaczy

patrzyłyby, gdyby ktoś nie wyłupił im oczu. Puste oczodoły wypełniono ziemią, zmieniając je w swego rodzaju prowizoryczne doniczki, z których wdzięcznie sterczały łodyżki błotnych fiołków, wiotkich purpurowych kwiatków, chwiejących się na wietrze.

Byłam oczywiście jedyną osobą, która uznała ten widok za dziwnie piękny.

Połowa Zielonych Koszul przeklinała, wyrzucając z siebie bezsilną wściekłość i nawołując do zemsty, która, biorąc pod uwagę, że zupełnie nie wiedzieliśmy, kto to zrobił, wydawała się mało prawdopodobna. Druga połowa sprawiała natomiast wrażenie bardziej przestraszonej niż wściekłej. Ręce raz jeszcze powędrowały do rękojeści mieczy, nie bacząc na rozkazy Ruca, a wielu żołnierzy mamrotało modlitwy, stare zaklęcia przeciwko gniewowi delty, błagając starych bogów o litość, bogów, którzy zdaniem Annuryjczyków wcale nie istnieli.

Ruc odwrócił się do najbliższego żołnierza, człowieka w średnim wieku, o twarzy oszpeconej, zapewne jeszcze w dzieciństwie, przez wyniszczającą chorobę. Żołnierz zaczął mrużyć refren, który pamiętałam jeszcze z moich dawnych lat w Dombângu.

Oszczędź nas, o władco węży.

Oszczędź nas, o władco burzy,

O pani powodzi i gniewu,

Oszczędź nam twego...

– Dosyć. – Głos Ruca był jak zardzewiały nóż, który cięciem przerwał modlitwę.

Żołnierz zamilkł, spojrział w oszołomieniu na Ruca, po czym

odwrócił się i wskazał z niemym naciskiem bezokie, kwitnące czaszki, jakby sama ich obecność w tym miejscu zmieniała wszystko. Pozostali mężczyźni również zamilkli, wpatrzeni w brzeg, jakby spodziewali się, że za chwilę z trzcin wyskoczy z wrzaskiem ich własna śmierć.

Delta odpowiedziała na nasze milczenie ciszą. Wiatr umilkł. Trzciny podniosły się, prostując swe ostre jak brzytwa grzbiety. Ptaki o jaskrawo upierzonych skrzydłach, które jeszcze przed chwilą wзираły z gęstwiny, zniknęły w jednej chwili, ukrywając się w swoich gniazdach lub odleciając. Tylko woda się poruszała, cierpliwa i cicha, opływając kadłub transportowca, jakby koniecznie chciała przekazać mu jakiś sekret. Bez wiatru dzień był nieznośnie gorący, powietrze gęste i duszne, a niebo napierało na nas jak wilgotna poducha. Wydawało się niemożliwe, że gdzieś na zachodzie czeka całe miasto, a ludzie tam potrafią jakoś bronić się przed deltą, kopać kanały i powstrzymywać czyhającą zewsząd śmierć. Wydawało się, gdy tak staliśmy na pokładzie, że przybyliśmy do jakiegoś obcego, nieludzkiego miejsca, do sklepionej niebem świątyni omywanej powodziami i burzami, uświęcanej krwią. Nagle zrozumiałam potrzebę wystraszonego żołnierza, który zapragnął się modlić i błagać niewidzialne siły o miłosierdzie.

Ruc najwyraźniej nie czuł nic takiego.

– To są czaszki – powiedział, wskazując palcem. – Takie same jak ta, którą macie na własnym karku. – Dla ilustracji puknął jednego z żołnierzy knykciami w czoło, a potem odwrócił się w stronę pokładu. – To są zwłoki. To jest krew. To jest statek. Tam mamy błotnisty brzeg, przy którym utknął statek. To jest niebo. A tutaj rośnie trochę trzcin. – Wypowiadał sylaby z naciskiem,

jakby każda z nich była żelaznym gwoździem, a on wbijał je młotkiem, jakby chciał z powrotem przybić ten dziwny, milczący, nieludzki świat do czegoś, co jest nam znane. – Jesteśmy tutaj – ciągnął dalej – bo jakieś tchórzliwe sukinsyny zwabiły tu transportowiec i go zaatakowały.

– Ale węże- duchy – zaprotestował któryś z Zielonych Koszul. – Czaszki. Trupy...

Ruc obrócił się ku niemu i spojrzał mu w twarz.

– Co z nimi?

Żołnierz pokręcił głową, zmieszany i przerażony.

– Coś *powydzierać im gardła*.

Wiedziałam, jak szybko Ruc potrafi się poruszać, lecz nawet ja byłam zdumiona, gdy sięgnął i złapał mężczyznę za szyję. Na ramiona wystąpiły mu węzły mięśni, gdy niemal podniósł żołnierza z pokładu. Twarz tamtego pociemniała, oczy wyszły mu z orbit, ale nie wykonał żadnego ruchu, żeby się bronić. Ruc popatrzył ponad nim na resztę Zielonych Koszul, odpowiadając dzikim wzrokiem na ich wystraszone spojrzenia.

– Każdy – powiedział, a słowo to zabrzmiało bardzo gładko – potrafi wyrwać gardło.

Żołnierz wydobył z siebie zduszone gulgotanie.

– To kwestia ściśnięcia i szarpnięcia. – Z powrotem skupił uwagę na mężczyźnie, który zaczął się wic w jego uścisku, potem pokręcił głową i go upuścił. Gdy Zielona Koszula dyszał, leżąc na pokładzie, Ruc znowu wskazał na czaszki. – Dziecko potrafi zedrzeć skórę i wydłubać oko z oczodołu. A nawet babcia umie posadzić kwiatki.

– Ale po co? – jęknął któryś.

– Bo w ten sposób wygrywają – odparł ponuro Ruc. – Atak to

najłatwiejsza rzecz. Zamordowanie setki Annuryjczyków, dobrych ludzi, takich jak wy, którzy po prostu przyjechali tu, żeby wykonać swoje zadanie, to rzecz najłatwiejsza. To pułapka, ale ci biedacy nie byli celem. – Tu potoczył wokół spojrzeniem jak sierpem. – Oni byli przynętą.

Kilku żołnierzy obejrzało się nerwowo przez ramię, jakby się spodziewali, że spośród listowia wypadnie, wyjąć, coś szczyrzącego zakrwawione kły.

– Nie – ciągnął Ruc, odpowiadając na niezadane pytanie. – Oni nie chcą nas zaatakować. Ci ludzie, a byli to ludzie, nie potwory i nie podstępni bogowie z baśni, które rodzice opowiadali wam w dzieciństwie przed zaśnięciem, wcale nie chcą was skrzywdzić. Chcą, żebyście żyli i byli przerażeni. Chcą od was tylko tego, żebyście wrócili do miasta i rozpowiadali tę dziwną historię. Chcą, żebyście mówili waszym przyjaciołom, braciom i matkom, że coś tu się zdarzyło i że to sama delta powstała przeciwko tym żołnierzom. – Pokręcił głową zde gustowany i znowu wskazał gestem na pokład. – Wszystko to jest oszustwem. To pozoracja.

– Poza samą śmiercią. – Nie mogłam się powstrzymać. – Oni naprawdę nie żyją.

– Ale te fiołki... – odezwał się ktoś. Miał mundur w wymiocinach. – I węże-duchy. We wszystkich opowieściach są to znaki bogów. W mitach...

Ruc uciszył męczyznę spojrzeniem.

– Każdy, kto dorastał w Dombângu, zna mity – warknął. – Wszyscy je słyszeliśmy. Połowa waszych rodziców wciąż ma zapewne drewniane posązki dawnych bożków, dobrze gdzieś ukryte. Wasi dziadkowie pewno nadal mamrocą stare modlitwy.

A wiecie *dłaczego?* – Uniósł brwi i przyglądał się wszystkim kolejno. – Bo się boją. Zauważyliście chyba, że bogowie naszej delty nie są zbyt mili. Nasze mity pełne są burz i krwi, trucizn i powodzi. Nie mamy żadnych historii o bogach, którzy chodzą między nami, lecząc chorych lub przynosząc żywność w czasach głodu. Ludzie w Dombângu czczą dawnych bogów, ponieważ boją się, co będzie, gdy *przestaną*.

– Bogowie chronili miasto – mruknął jeden z mężczyzn. – Kiedy o nich zapomnieliśmy, przyszli Annuryjczycy i nas podbili.

– A kiedy Annuryjczycy już zdobyli miasto, to co się wówczas stało? – zapytał łagodnie Ruc.

Rozłożył ręce, czekał. Nawet na mnie nie spojrzał, ale ja nie mogłam oderwać od niego oczu. Nigdy nie widziałam go takim. W Sia był walczącym na gołe pięści bokserem z zamiłowaniem do muzyki. Wiedziałam, że potrafi przyciągnąć uwagę sali, wiedziałam, że potrafi przerzucać się przytykami, zarówno na ringu, jak i poza nim, ale to...

Stojąc na tym skrwawionym pokładzie, po raz pierwszy uświadomiłam sobie, dlaczego Annur uczynił go dowódcą i że jego sprawność w walce na pięści odgrywała w tym najmniejszą rolę. Wiem, że słowo to zabrzmie nieco śmiesznie w odniesieniu do spoconego boksera w rozpiętej kamizelce, z irytacją wypisaną na twarzy, ale muszę stwierdzić, że był on *królewski*. Inny przywódca pobłażałby swoim żołnierzom albo ich poniżał. Ktoś czujący się mniej pewnie groziłby im egzekucją za nieprawomyślne wypowiedzi.

Ruc jednak po prostu patrzył im w oczy i narzucał swoją wolę pomimo ich rosnącego lęku. A oni mu wierzyli. Widziałam to jasno

w dziesiątkach ich spojrzeń. Chcieli nawet zapomnieć o wszystkim, co mówiono im w dzieciństwie, zapomnieć o mitach, które szeptano im na temat straszliwej Kem Anh i jej mocy, a przynajmniej zapomnieć o tym, dopóki Ruc do nich mówił. Widok ten przyprawiał o dreszcz.

– Powiem wam, co się zdarzyło – ciągnął – po tym, jak Annur podbił miasto: stało się ono większe, bogatsze i bezpieczniejsze. – Tu zamilkł na chwilę, czekając, czy ktoś zechce zaprotestować. Nikt tego nie zrobił. – Możecie przejść się po dowolnie wybranym rynku w Dombângu i znaleźć towary z ponad dwudziestu miast. Jeśli zostanieie obrabowani, możecie zgłosić sprawę do annuryjskiego sądu o zadośćuczynienie. Gdy spłonie w mieście kwartał, zostanie odbudowany prędzej niż dwieście lat temu. Dlaczego zatem ludzie szepczą mity o dawnych bogach? Ze strachu. Oto, *po co* są te stare opowieści. Mają wzbudzać w ludziach strach. A kto na tym korzysta? – Pokręcił głową. – Nie wy i nie ja, to pewne. Nie rybacy i nie kupcy. Nie dzieci pluskające się w kanałach. Powiem wam, kto korzysta: kapłani, kobiety i mężczyźni, którzy zwykli składać ofiary tym wyimaginowanym bogom. To oni żyli kiedyś w bogatych świątyniach i pierwsi korzystali z połowów, wybierając najlepsze ryby z sieci, i zabierali najpiękniejsze dzieci z naszych domów... a wszystko z powodu tych mitów. Annur ich pokonał, a oni nigdy nie zapomnieli, co im odebrano.

To – ciągnął dalej, pokazując jatkę na pokładzie i czaszki z fiołkami w pustych oczodołach – ich robota i próba odzyskania tego, co stracili. Nie mają po swojej stronie sił policyjnych ani wojskowych. Mają tylko te stare historie, opowieści o węzłach w gardle i fiołkach w oczach. Opowieści te są ich jedyną bronią,

a stają się bronią tylko wtedy, gdy się je *powtarza*. – Przyglądał się swoim ludziom, jednemu po drugim. Późny popołudniowy wiatr targał jego kamizelką. Przez chwilę nasze spojrzenia się spotkały, a potem on odwrócił wzrok. – To, co się tu wydarzyło – powiedział spokojnie – było mordem i zdradą. Nie dziełem jakichś niewidzialnych bogów.

Wszystko to brzmiało rozsądnie. Świat był szeroki i wypełniony konkurującymi ze sobą panteonami bogów. Każde leżące na uboczu miasto i górską osada miały swoje baśnie i opowieści, a niektóre były nawet starsze od tych annuryjskich. Nie wszystkie one są prawdziwe. Jeśli Kem Anh i jej pobratymcy rzeczywiście panowali kiedyś nad deltą, to gdzie są teraz? Gdzie byli, gdy dwieście lat temu Annur zdobył miasto? Czy naprawdę mieliśmy uwierzyć, że wciąż tam są, ukrywając się w błocie i trzcinach, i od stuleci to znoszą, bo ludzie w Dombângu nie czcili ich jak należy? Cała ta opowieść, z perspektywy Ruca, wyglądała śmiesznie, niemal dziecinnie.

Były jednak ciała na pokładzie, nad którymi wypadało się zastanowić. Raz jeszcze omiotłam spojrzeniem obraz rzezi, widok ramion wyrwanych ze stawów i głów oderwanych od szyi, jakby wyszarpiętych zwykłą, choć brutalną siłą. Nie wiedziałam wiele o bogach mego rodzinnego miasta, ale dużo wiedziałam o śmierci, a cokolwiek uśmierciło tych ludzi, z pewnością było szybsze, silniejsze i *lepsze* we wszystkim od grupy chciwych, niezadowolonych kapłanów.

Spaliliśmy transportowiec. Ludzie Ruca polali pokład smołą, a potem, gdy już schroniliśmy się bezpiecznie na naszej łodzi, podłożyli ogień. Gorące, leniwe podmuchy rozniosły gęsty dym po niebie. Popiół opadł na nasz pokład jak śnieg. Żołnierze go zmiotali, jakby mógł ich oparzyć, i zasłaniali usta, jakby spodziewali się uduszenia.

– To wygląda na marnotrawstwo – zauważyłam. – Ludzie nie żyli, ale transportowiec był w dobrym stanie.

Ruc pokręcił głową.

– Inna możliwość była tylko taka, żeby rzucić ciała na żer dla krokodyli i *qirna*.

Wzruszyłam ramionami.

– No tu rzuć je krokodylom i *qirna*. Bestie też muszą jeść.

Nigdy nie potrafiłam zrozumieć ludzkiej fascynacji rytuałami pogrzebowymi. Sama śmierć, co oczywiste, jest wystarczającą tajemnicą jako chwila, gdy palce mego boga dotykają świata. Jednakże po tym, jak Ananshael dokona swego dzieła, człowiek znika, a na jego miejscu pozostaje jedynie kupka kości, chrząstek i mięsa. Rozumiem, rzecz jasna, skłonność do otaczania śmierci szacunkiem, ale nie bardzo potrafię pojąć, że ludzie kojarzą ścierwo z nieobecną już osobą. W Sia na przykład ubierają pozostałe mięso w najpiękniejsze szaty, po czym grzebią tak wystrojoną lalę dziesięć stóp pod ziemią. Można zobaczyć płaczących, stojących na skraju tej dziury i wpatrzonych w jej ciemną czeluść, jakby wciąż mogli dojrzeć ślad osoby, którą kochali, i jakby miało jeszcze sens nazywanie tego skórzanego wora kości i skrzepniętej krwi ojcem, matką, bratem. W Rassamburze, kiedy ktoś odchodzi do boga, zrzucamy jego szczątki z krawędzi płaskowyżu w przepaść

i zapominamy o nim.

– Czy tak właśnie Kettral czci swoich poległych? – zapytał Ruc, przyglądając mi się przez kłęby dymu.

Po tym pytaniu poczułam dobrze znany dreszcz, kiedy uświadamiasz sobie, że przeciwnik przedarł się przez twoją gardę.

– Skupiamy się bardziej na pozostaniu przy życiu – odparłam beznamiętnie, starając się, żeby mój głos zdradzał znudzenie całą tą rozmową, a tymczasem przeglądałam zasoby pamięci, usiłując odnaleźć coś na temat obrzędów pogrzebowych w Kettralu.

– Nawet kettralowcy umierają – nalegał Ruc.

– Jeśli zdołamy dowieźć ich z powrotem na Wyspy, to palimy zwłoki.

Pokręcił głową.

– Słyszałem, że jest tam teren przeznaczony na pochówki. Jakies wielkie, czarne drzewo pełne nietoperzy.

Słyszał o tym więcej niż ja i najwyraźniej z niepokojącymi szczegółami. Wycofywanie się nigdy nie sprawdzało się w rozmowach z Rukiem. Nieomylnie wyczuwał wahanie.

– Źle słyszałeś – powiedziałam i odwróciłam się.

Na koniec i tak krokodyle oraz *qirna* miały swoją ucztę. Transportowiec płonął nierówno, po stronie sterburty zajął się wysokim ogniem, po czym przechylił się ciężko, nabierając wody, a cały ładunek zjechał z pokładu do kanału. Ciała, wzdęte od upału, pozostały na wodzie, unosząc się na jej powierzchni, niektóre nadpalone, inne zaś w jakiś cudowny sposób nietknięte, wyglądające niemal pogodnie. Krokodyle, mimo że na lądzie były powolne i niezgrabne, w wodzie poruszały się zadziwiająco prędko jak rozmyte cienie, zaciskały cicho swe ogromne szczęki na

ramionach lub nogach i znikwały ze swym bezwładnym łupem pod wodą. Zdołały w ten sposób zabrać trzy lub cztery ciała, zanim pojawiły się *qirna*, które w kłębowisku zębów i opalizujących łusek wzburzyły wodę tak, że zdawała się gotować, i błyskawicznie rozebrały ciała, ilustrując z przeraźliwą jasnością końcową, niezaprzeczalną fazę rozkładu: to, co kiedyś było człowiekiem, nagle być nim przestało, stając się tylko zabarwioną na czerwono wodą, skrawkami mokrego ciała oraz okazjonalnym błyskiem nagich kości.

– Na słodkie światło Intarry – mruknął któryś żołnierz, porażony tym widokiem.

Kawałek dalej jego towarzysz pokręcił ponuro głową.

– Cokolwiek się tu stało, Intarra nie ma z tym nic wspólnego – powiedział.

13

Gdy wróciliśmy do Dombângu, latarnie były już zapalone. Nasza łódź minęła cicho Szczurzą Wyspę, potem Wodną Bramę, przemknęła pod Łysym Mostem i wreszcie Kanałem Cao dotarła do Wraku Statku. Znow poczułam się w tym mieście jak obca, gdy nad naszymi głowami zamajaczyły wysokie budynki z tekowego drewna. Z okien i zaułków docierały urywki melodii, po czym milkły, porwane przez wiatr. Nie było nas ledwo jeden dzień, nie opuściliśmy delty, a mimo to kanał, w którym spaliliśmy annuryjski transportowiec, mógłby znajdować się w innym czasie albo wręcz w innym świecie. Gorąca, przeraźliwa cisza tamtego odludzia nie miała nic wspólnego z kształtem i ludzkim rytmem tego miasta. Wydawało się wręcz cudem, że udało się nam tam dopłynąć i wrócić.

Gdy nasz pilot wyskoczył na pomost nabrzeża, Ruc odwrócił się od relingu i spojrzał w twarze Zielonych Koszul na pokładzie. Ludzie wyglądali na wyczerpanych, nawet ci, którzy nie wiosłowali, jakby horror tego, co przeżyli, ciążył na nich przez większość dnia jak gorące jarzmo, pod którym garbiły się ich ramiona i ugiwały kolana. W świetle latarni wpatrywali się niespokojnie w swego dowódcę.

– Ktokolwiek powie coś o tym, co dziś widzieliśmy – rzekł spokojnie Ruc – zostanie skazany na śmierć. Jeśli wydaje się to wam srogą karą, pomyślcie o tym: nasze miasto jest na krawędzi

wojny domowej. Annuryjski dowódca został znaleziony w wychodku, zamordowany, a ktoś odcisnął ślady krwawych dłoni na najważniejszych budynkach w mieście. Legia, która miała nam pomóc utrzymać pokój, została właśnie zmasakrowana na obszarze delty. W takim momencie większość dowódców próbowałaby was pocieszyć. Mówiliby wam o tym, że wszystko jest pod kontrolą i nie ma się czego bać. Ja wam tego nie powiem. Dombâng jest w niebezpieczeństwie. Każdy, kogo kochacie, jest zagrożony. I to nie przez jakąś mityczną triadę bogów. Bogowie, jeśli w ogóle istnieją, nie zwracają sobie głowy naszymi kłopotami. Jesteśmy zagrożeni przez tych samych obywateli, których przysięgaliśmy strzec. Jeśli wybuchną zamieszki, ludzie będą umierać. Jeśli dojdzie do pożarów, ludzie spłoną. – Powiódł spojrzeniem po twarzach żołnierzy. – Waszym zadaniem jest dopilnować, żeby nie było zamieszek ani pożarów. Zrobicie to, co przysięgaliście robić, czyli będziecie chronić miasto i trzymać gęby na kłódkę. Jeżeli was podkusi, żeby szepnąć żonom albo przyjaciołom, coście dziś widzieli, to pamiętajcie: taki szept może ich zabić równie pewnie jak nóż wbity w oko. Kontynuujcie zwykły plan patroli. Strzeżcie Dombângu tak, jak to czyniliście zawsze, odkąd wstąpiliście do tej formacji. Dotrzymujcie przysięgi. Wiem, że tak postąpicie, bo jesteście Zielonymi Koszulami, a także dlatego, że w przeciwnym razie was znajdę i poobcinam wam języki. – Tu zamilkł na moment. – Są jakieś pytania?

Po chwili jeden z żołnierzy podniósł niepewnie rękę.

– Ale co zrobimy? W związku z tym, co się tam zdarzyło? Co widzieliśmy?

Ruc się uśmiechnął.

– Zostawcie to mnie.

Odczekałam, aż wszyscy żołnierze zeszli z pokładu, i wtedy do niego podeszłam. W panującym mroku nie widziałam dobrze jego oczu, ale dostrzegałam rysy twarzy w migotliwym świetle latarni.

– A co *ty* zamierzasz zrobić? – zapytałam.

– Pogadać z pewnymi ludźmi.

– Jakimi ludźmi?

Pokręcił głową, po czym zaczął się odwracać. Kiedy złapałam go za ramię, poczułam, jak skręca ciało i zniża się do lekkiego przysiadu, gotów mnie odepchnąć albo uderzyć. Po chwili się opanował. Niecierpliwe zaciekawienie opuściło mnie i pozostało jedynie suche, tępe rozczarowanie.

– Czego chcesz, Pyrre? – zapytał cicho.

– Chcę wykonać swoją pracę – odparłam. Czułam pod dłonią ciepło jego skóry. – Chcę ci pomóc.

– Dlaczego twoim zdaniem zabrałem cię do tego transportowca?

– To był początek, nie zaś koniec tego wszystkiego.

Ruc wolno pokręcił głową.

– To się zaczęło na długo przedtem. Ktokolwiek zaatakował statek, mógł świadomie aranżować sceny z krwawych pieśni delty, których nikomu nie wolno już śpiewać. Węże-duchy, pieprzone fiołki w oczodołach... – Zamilkł i pokręcił głową.

– Z kim więc zamierzasz porozmawiać?

Otarł twarz zmęczonym ruchem dłoni.

– Mamy więźniów. Ludzi związanych z buntownikami.

– Buntownicy byli jedną z dwóch grup, które zostały tam wymordowane – zauważyłam.

Ruc odwrócił się od pomostu, latarni i ode mnie i zapatrzył

w cicho przepływającą, ciemną wodę. Węzłaste mięśnie jego przedramion naprężyły się, gdy złapał za reling.

– Oczywiście, że rzecz jest bardziej złożona, niż sądziłem. Wiele frakcji.

Wizja kobiety o oczach węża przemknęła mi przed oczyma, po czym znikła, a ja pozostałam w ciemności, mrugając.

– Myślisz, że to po prostu ludzie – mruknęłam cicho.

– *Oczywiście*, że to byli cholerni ludzie – warknął Ruc. – Nie wmawiaj mi, że Kettral cię tutaj przysłał, żebyś tropiła bandę nieistniejących bogów.

Wpatrywałam się w plecy mężczyzny, dla którego przybyłam do Dombângu, żeby go pokochać i zabić. Powodem, dla którego Ruc stał się tak dobrym wojskowym dowódcą, było to, że nigdy nie ulegał przesądom i uprzedzeniom jak większość żołnierzy. Jeśli ktoś mógł mu coś wypomnieć, to nie dlatego, że był to jego pechowy dzień albo zjadł coś niedobrego, albo umył się nieprawidłowo. Stało się tak dlatego, że popełnił błąd, a z chwilą gdy go zrozumiał, już nigdy nie popełnił go ponownie. Walka, bitwa czy miasto na granicy chaosu były dla Ruca tym samym: problemami do rozwiązania, zawinionymi przez ludzi. Kiedy mógł znaleźć człowieka i dostrzec jego słabość, wygrywał.

Nie byłam jednak taka pewna, czy to, co zabiło legionistów, było człowiekiem.

Większość życia spędziłam w Rassamburze, gdzie kobiety i mężczyźni codziennie rozmawiali z bogiem, oddawali się chętnie i dobrowolnie w jego bezkresne objęcia. Nie wierzyłam, by dawni bogowie działali na terenie delty poza Dombângiem, ale jednak uwzględniałam, że może tam być *coś*, czego nie rozumiałam, *coś*

niepojętego dla ludzi śmiertelnych, i byłam na to od dawna przygotowana.

Kossal przebył tę drogę przynajmniej częściowo z tego samego powodu. Stary kapłan może był oschły i trudny w rozmowie, skoro jednak wierzył, że w delcie ukrywają się Csestriimowie, to zapewne miał rację.

– Vuo Ton – powiedział wreszcie Ruc.

Spojrzałam na niego, odrywając się od własnych myśli.

– Co z nimi?

– Mogli to zrobić.

– Vuo Ton nie miesza się do Dombângu, odkąd go opuścili.

– Zapytaj świnię, czy łatwo przewidzieć przyszłość w oparciu o przeszłe doświadczenia.

– Nigdy nie miałam prorokującej świni.

– Świnia wie doskonale życie – powiedział Ruc. – Mnóstwo pomyj. Dach nad głową chroniący przed deszczem. Całe bajoro gnojówki. Każdego dnia, przez długie miesiące, świnia budzi się do tego samego doskonałego życia. Czasem przez lata. A potem nagle ktoś pęta jej tylne nogi i podrzyna gardło, a ona kwiczy.

– A w tej ożywczej analogii – podsumowałam – Dombâng jest świnią.

– Fakt, że wciąż mam głowę na szyi nie oznacza, że ktoś nie ostrzy właśnie noża.

Patrzyłam, jak czerwone światło latarni migocze na wodzie, i próbowałam przemyśleć ten pomysł. Myśl, że po ponad tysiącu lat izolacji Vuo Ton nagle atakują Dombâng, wydawała się nieprawdopodobna. Ale też wszystko, co dotyczyło Vuo Ton, było nieprawdopodobne. *Ktoś* zamordował żołnierzy i kapłanów na

pokładzie transportowca, ktoś szybki i niebezpieczny, potrafiący umknąć z powrotem w deltę i nie pozostawić śladu. Pomyślałam znowu o człowieku, który śledził mnie, gdy przemierzałam miasto, o czarnych liniach tatuażu na jego twarzy oraz o tym, jak się uśmiechnął, gdy wreszcie go zobaczyłam.

– Musimy znaleźć kobietę imieniem Chua Dwie-Sieci – powiedziałam w końcu.

Ruc odwrócił się.

– Kim jest Chua Dwie-Sieci?

– Rybaczką, choć przestała łowić, jeszcze zanim opuściłam Dombâng. Musi mieć teraz dobre pięćdziesiąt lat.

– Po co nam starszawa rybaczka?

– Zna deltę.

– Tysiące ludzi znają deltę – odparł Ruc, potrząsając głową. Wskazał gestem na drugą stronę kanału, gdzie flotylla łodzi zacumowała na noc, kołysząc się łagodnie na niewielkich falach i ocierając ze skrzypieniem o siebie. – Tam są rybacy.

Pokręciłam głową.

– Nie tacy jak Chua. Ona została wychowana przez lud Vuo Ton.

– Chua Dwie-Sieci. – Ruc zmrużył oczy. – Wydaje mi się, że już gdzieś o niej słyszałem.

– Spędziła dwa tygodnie w delcie, sama, bez łodzi. Wyszła z tego żywa.

– To było wtedy, gdy przebywałem z legiami w rejonie Pasa – powiedział Ruc. – Opowieść sprawiała wrażenie zmyślonej.

– To nie było zmyślone.

– Skąd wiesz?

– Bo byłam tam, gdy wróciła.

†

– Wszystkie rzeki wpadają do oceanu. Co oznacza, że wszystko, co ludzie wrzucają do rzeki, wszystkie siki, gówno i zgniłe resztki, również spływa do oceanu. Jeśli dobrze się przyjrzeć, to widać, że kanały Dombângu stają się mętniejsze i bardziej cuchnące w miarę posuwania się na wschód, ale nie ma wielkiej potrzeby patrzenia na wodę. Gdy chce się wiedzieć, w którą stronę iść, łatwiej obserwować budynki. Wszystkie zespoły tekowych pałaców i łaźni stoją na zachodnich krańcach Dombângu, gdzie kanały są wartkie i czyste. Na wschód od Nowego Portu budynki stoją coraz ciasniej, stłoczone w trzypiętrowych skupiskach nad kanałem. Jeszcze dalej na wschód, na najdalszym skraju miasta, domy ustępują plątaninie bud na rozchwierutanych palach i gnijącym pomostom oraz gęstwinie przycumowanych na stałe barek, a zamiast mostków przestrzenie pomiędzy pomostami łączą wąskie deski.

Na mapach ten koniec miasta nazywa się Świtem. Każdy, kto tam mieszka, jest przekonany, że ta nazwa to żart. Tam nigdy nie widać wschodu słońca. Z palenisk kuchennych dobywa się zbyt wiele dymu i nie ma dość wiatru, żeby go rozwiać. Najwyraźniej idiota odpowiedzialny za sporządzanie map nigdy tam nie był. Ludzie, którzy tam mieszkają, nazywają to miejsce Tamą, co wydaje się nazwą malowniczą, zanim się zrozumie, że *tama* to inna nazwa *pułapki*.

– Ujrzysz tu rzeczy – zwróciłam się do Ruca, gdy przeszliśmy do tej dzielnicy przez jeden z chwiejnych mostów – które obrażą twój zmysł prawa i porządku.

Ruc prychnął.

– Dorastałem w Dombângu. Od lat dowodzę Zielonymi Koszulami. Stale wysyłamy patrole do Tamy.

– My nie jesteśmy patrolom – zauważyłam. – Nie niesiemy tu jasnego światła annuryjskiej sprawiedliwości. Przyszliśmy, żeby znaleźć konkretną kobietę, zadać jej parę pytań, po czym wycofać się, nikogo nie zabijając.

Odetchnęłam głęboko, po czym natychmiast tego pożałowałam. Tama cuchnęła ściekami i odpadkami, tłącym się żarem kuchennych palenisk, gęstą zupą rybną i ostrymi przyprawami z delty, które ludzie dodawali do wszystkich potraw, żeby ukryć ich paskudny smak. Zapach ten był zapachem mego dzieciństwa, a teraz, stojąc na koślawym moście, uświadomiłam sobie, że wcale nie mam ochoty tam wracać.

– Nikogo nie zabiję, chyba że ty to zrobisz – powiedział Ruc.

– Nie obiecuj przedwcześnie – odparłam. W końcu to właśnie w Tamie po raz pierwszy odkryłam cichą moc miłosierdzia mego boga.

Wzruszył ramionami.

– Jak ją znajdziemy?

Gdy się spojrzeło ze szczytu mostu, Tama zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Wszystkie krzywe drewniane dachy, kręte kanały i wąskie na szerokość ramion przejścia spowite były mgłą dymu. Człowiek mógł się tam błąkać przez cały dzień, nie znajdując wyjścia, oczywiście pod warunkiem, że nikt nie wpakował mu noża pod żebra za coś, co powiedział lub posiadał.

– Chua zwykle mieszkała na wodzie – powiedziałam. – Ona i jej mąż sypiali na swojej łodzi w Dzbanie.

– Wiem, gdzie to jest. Chodźmy.

Potrząsnęłam głową.

– Kiedy wróciła, nie miała już łodzi. Ani męża. Odsunęła się od wody tak daleko, jak tylko się dało.

Ruc omiótł spojrzeniem rozciągającą się przed nami sieć kanałów.

– W Tamie to będzie pewnie ze dwanaście stóp, co?

– Dwanaście stóp może oznaczać różnicę pomiędzy patrzeniem na krokodyla a staniem się ich pokarmem.

– Myślałem, że była zbyt szybka dla krokodyli.

– Każdy robi się powolny, gdy pożyje dostatecznie długo.

– To ma być argument za tym, żeby umrzeć młodo?

– Argumentuj sobie, jak chcesz. Śmierć przychodzi w swoim czasie.

– Jakie to filozoficzne.

Spojrzałam na niego, po czym ruchem głowy wskazałam labirynt przed nami.

– Kiedy dorastasz w takim miejscu, to stajesz się albo filozofem, albo trupem, albo wariatem.

– Cieszę się, że nie zdecydowałaś się na trupa.

– A kto powiedział, że mogłam decydować?

Tama otoczyła nas jak sieć. Po dwudziestu krokach, oglądając się wstecz, nie mogliśmy już dojrzeć mostu, przez który przeszliśmy. Brudne ściany krzywych bud groziły nam zepchnięciem z wąskich przejść w brudną wodę, a choć właśnie w tych kanałach uczyłam się pływać, prawie nie zwracając uwagi na zalegające w nich nieczystości, to jednak moje standardy znacznie się zmieniły. Po prostu już zapomniałam, jak wstrętne było to wszystko. W Tamie

nie było łaźni i tym samym sposobu, żeby się umyć. Rybacy myli się w rzece za miastem. Wszyscy inni żyli w tym potwornym smrodzie, aż ich nosy po prostu przestały reagować.

Niemal gorszy od smrodu był panujący tam chaos i harmider. Rzec można, że ludzie żyli tam, deptając po sobie nawzajem. Zawsze otwarte drzwi wypluwały z siebie głosy, ciała i całe ludzkie życie. Kuchenne ognie płonęły w wielkich glinianych misach pośrodku zaułków. Jeżeli chciało się dokądś dojść, trzeba było następować na ludzi, przeciskać się obok nich, łokciami spychać z przejść rozgadane matki z dziećmi na biodrach i przekraczać siedzące na drodze grupki graczy. Było to zupełne przeciwieństwo Rassamburu. Podczas gdy górską twierdza mego boga była przestrzenią, skalnymi urwiskami, ostrymi krawędziami cienia i ostrego słońca zakreślającego na niebie swój doskonały łuk, Tama była światem potu, zgnilizny i wszechobecnego życia, dziesięciu tysięcy głosów i dziesięciu tysięcy rąk, stłoczonych razem tak ciasno, że zdawały się mnie miażdżyć.

Gdy dotarliśmy do Szczurzej Wyspy, byłam już gotowa dźgnąć kogoś w oko, żeby zrobić sobie trochę miejsca. Wyspa jednak, jedyna w całej dzielnicy, była mniej zatłoczona niż otaczające ją kanały, a to z jednego oczywistego powodu.

W Dombângu nie ma pogrzebów, bo nie ma dość ziemi, żeby chować zmarłych. Wedle dawnych przekazów pierwsi mieszkańcy miasta kładli ciała na wąskich łódkach, podpalali je i spławiali z nurtem. Jawi się to jako piękny rytuał. Jednak w miarę jak Dombâng się rozrastał, tradycja ta okazała się niezbyt praktyczna. Każdej nocy kanałami spływała armada płonących łódek, które utykały przy pomostach i podpalały drewniane domy. Miasto nie

miałoby szans przetrwać nawet tygodnia. Zamiast tego wprowadzono więc kremację zwłok. Bogatych palono na wewnętrznych dziedzińcach domów, wszystkich innych zaś na Szczurzej Wyspie.

Inaczej niż wszystkie inne budowle krematorium stało osobno, otoczone ze wszystkich stron pasem przeciwpożarowym szerokości dziesięciu kroków. Cztery kamienne mury, jedne z nielicznych w całym Dombângu, okalały szeroki dziedziniec. Były dostatecznie wysokie, by odciąć widok na to, co działo się w środku, ale nie aż tak wysokie, by nie było widać z zewnątrz migotliwych języków płomieni. Kiedyś, jako dziecko, wspierałam się na szczycie tego muru, co było wielkim wyczynem, i wciąż pamiętałam to, co wówczas zobaczyłam: pięć długich rowów, każdy wypełniony dziesiątkami ciał, i wiązki trzciny ułożonych gęsto pod i nad zwłokami. Patrzyłam wtedy w przerażeniu, niczym zahipnotyzowana, jak robotnicy polali rowy olejem, a potem podłożyli ogień. *To nie różni się tak bardzo od kuchni*, myślałam, czując skurcz w żołądku. Popiół osiadał na całej wyspie, biały i cichy. Każdego ranka można było ujrzeć na nim ślady stóp. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam śnieg, moja pierwsza myśl była taka, że bardzo przypomina popioły zmarłych z mego miasta.

– Mieszka tutaj? – zapytał Ruc.

Wskazałam niewielką budę na granicy pasa przeciwpożarowego.

– Jak już powiedziałam, niezbyt lubi wodę.

– Są miejsca położone jeszcze dalej od wody. Nawet w samym Dombângu.

– Nie dla rybaczki, która zarzuciła łowienie ryb.

Drzwi chałupy były zamknięte i zablokowane od wewnątrz,

odwrotnie niż w innych budynkach Tamy. Może po to, żeby odciąć się od popiołu.

Zapukałam. Brak odpowiedzi.

– Jak dawno temu wyjechałaś z miasta? – zapytał po chwili Ruc.

Skrzywiłam się.

– Szesnaście lat temu.

– Od tamtego czasu mogła umrzeć albo się wyprowadzić.

– Powiedziała, że już nigdy nie zbliży się do wody.

– Ludziom zdarza się zmieniać zdanie.

Zapukałam znowu, tym razem głośniej, po czym ponownie pchnęłam drzwi. Odór krematorium zatykał nozdrza, zalepiał gardło, ale jednak dotarł do mnie z wnętrza chaty lekki zapach galarety z ryby. Chwilę później przez szparę między drzwiami a framugą dostrzegłam, że w środku ktoś się poruszył.

– Chua Dwie-Sieci – zawołałam. – Musimy z tobą porozmawiać.

Otwierając drzwi, zasłużysz na całe annuryjskie słońce.

Ruc spojrzał na mnie bystro.

– Kto dostarczy złoto?

– Ty.

– A nie Kettral?

– To do ciebie należy zadbanie o to, żeby miasto nie poszło z dymem. Ja tylko ci pomagam. – Odwróciłam się ku drzwiom. – Chua...

Włócznia wysunęła się przez szparę przy drzwiach, szybko jak uderzająca zmija. Dostrzegłam ją w ostatniej chwili i jedną ręką złapałam drzewce tuż poniżej grotu. Zauważyłam, że jest to raczej włócznia służąca do połowu ryb, z dwuzębnym grotem z zadziorami, a nie ze zwykłym w kształcie liścia. Obróciłam nią

gwałtownie. Zwykle to wystarczało, aby trzymający włócznię człowiek wypuścił ją z ręki, ale w tym wypadku osoba trzymająca drzewce była silna jak wół. Zdołałam przeciągnąć włócznię kilka cali na zewnątrz, lecz po chwili została ona wciągnięta z powrotem. Objęłam włócznię drugą dłonią. Nie miałam zamiaru jej wypuścić, nie zyskawszy pewności, że nikt mnie nią nie dziabnie. Po krótkiej szarpaninie nastąpiła sytuacja patowa.

– No dobra, może jesteś głupia – zza ściany dobiegł głos kobiety, niski i chropawy – ale jesteś też szybka. Przyznaję.

– Chua – powiedziałam. Nawet po szesnastu latach pamiętałam ten głos. – Chcesz dostać złoto czy wolisz mnie zakłuć?

– Planowałam jedno i drugie.

– Czas na nowy plan. Możemy wejść?

– Puść moją włócznię.

– Żebyś mogła mnie dźgnąć, kiedy wejdę przez drzwi?

– Nie bądź idiotką. Włócznia w środku jest do niczego. Jakbym chciała cię dopaść, użyłabym noża do patroszenia.

Mimo woli się uśmiechnęłam.

– Masz dziwne pojęcie o gościnności.

– A ty masz dziwne pojęcie o Tamie – odcięła się – skoro myślisz, że można tu walić obcym do drzwi, przechwalać się swoją forszą i uważać, że to dobry sposób pozostania przy życiu.

– Ja nie mam pieniędzy – powiedziałam. – On je ma.

– A kimże on, kurwa, jest?

– To Ruc Lan Lac. Dowódca Zielonych Koszul.

Ruc cofnął się o krok, kiedy w szparze znowu ukazała się włócznia, lecz poza tym nawet nie drgnął. Jego nieprzeniknione zielone oczy były czujne i badawcze.

– Daleko od domu, Zielona Koszulo – rzekła po chwili Chua.

Ruc wzruszył ramionami.

– Odkąd pamiętam, Tama była częścią Dombângu.

– A kiedy to było? Tak daleko na wschodzie nie widzimy zbyt wielu Zielonych Koszul.

– Wyobrażam sobie, że w ogóle mało co widzisz – powiedział obojętnie Ruc – skoro upierasz się, żeby rozmawiać przez ścianę.

– Lubię znać tych, których zapraszam do domu.

Ruc rozłożył ręce.

– No to już mnie poznałaś.

Włócznia drgnęła w moich dłoniach.

– A ty? Masz akcent z delty, ale trochę dziwny.

– Przebywałam daleko stąd.

– Daleko. Masz szczęście. Po co wracałaś?

Zerknęłam na Ruca.

– Dombâng ma kłopoty.

– Dombâng to gnijąca kloaka tonąca powoli w delcie i nie zmieni tego jedna głupia dziewczyna, nieważne jak szybka – odparła Chua.

– Gnicie i tonięcie nie obchodzą mnie aż tak bardzo – powiedziałam. – Bardziej interesuje mnie zabijanie.

– Zabijanie *jest* ździebko bardziej interesujące od gnicia – ustąpiła Chua.

– Zwłaszcza dla ludzi mojej profesji.

– Która polega na czym? Na pieczeniu mięsa?

– Na walce.

– Nie wyglądasz na żołnierza.

– Kettral – powiedziałam cicho.

Mówienie o tym za każdym razem przychodziło mi łatwiej, jakby zwykle powtarzanie mogło zmienić to najzwyklejsze kłamstwo w prawdę. Zastanawiałam się, czy to samo prawo odnosi się do miłości. Spojrzałam na Ruca. Gdybym tak powtarzała w kółko: *Kocham go, kocham go, kocham go*, to te proste słowa zdołałyby zmienić moje uczucia? Łatwiej też byłoby to sobie wyobrazić, gdybym przebywała gdzieś indziej, *gdziekolwiek* indziej. Jednak tutaj, gdy tak stałam przy rozpadających się drzwiach z drzewcem włóczni w rękach, a popiół ze spalonych ciał osiadał mi na włosach, miłość wydawała się tak daleka jak niebo.

– Kettral i Zielona Koszula – powtórzyła Chua po dłuższej chwili.
– To może być podstępne łgarstwo, ale przynajmniej nie nudne, przyznaję. – Poczulałam, że puściła włócznię.

Rozległo się drapanie i chrobotanie odsuwanych haczyków i zasuwek, po czym drzwi otworzyły się na oścież.

Kiedy opuszczałam Dombâng, Chua Dwie-Sieci miała może trzydzieści pięć lat, co oznaczało, że teraz miała około pięćdziesiątki. Kobieta, którą pamiętałam, miała czarne włosy, brązową karnację, brązowe oczy, jak większość ludzi pochodzących z delty. Na tym zresztą kończyło się jej podobieństwo do ziomków. Podczas gdy większość mieszkańców Dombângu nosiła długie i połyskliwe włosy, Chua swoje ścinała, pozostawiając zupełnie krótką szczecinę. Kiedyś przyłapała mnie na tym, jak obserwowałam ją, gdy raz za razem przeciągała ostrym nożem po naoliwionej głowie. *Jak się chce pozostać tam przy życiu, powiedziała, to nie wolno mieć włosów. To jeszcze jedno miejsce, w którym chowają się pająki, i jeszcze jedna rzecz, która może zaplątać się w sieć.*

Ktoś wytatuował wokół jej rąk i ramion – a ciało miała wówczas muskularne jak zwój lin używanych w Nowym Porcie do cumowania statków – całe stado węży, czerwonych, zielonych i czarnych; wszystkie one wiły się w górę i otaczały jej szyję naszyjnikiem oczu jak szparki i obnażonych kłów, a każdy trwał nieruchomo, uwieczniony podczas próby ugryzienia Chui w twarz. Opowiadano, że kazała tatuować sobie węża za każdym razem, gdy jakiegoś zabiła, co oznaczało, że przynajmniej tuzin razy o włos uszła śmierci. Chua jednak była zdecydowanie żywa, a jej silna osobowość niezbyt pasowała do wąskich uliczek Tamy; była niczym legendarna postać z dawnych pieśni, które miejscowi śpiewali nocami przy dogasającym żarze kuchennych ognisk, była kimś tak dumnym, groźnym i chwalebnym jak bogowie, których porzuciliśmy.

Teraz jednak w niczym nie przypominała już bogów. Oczywiście rozpoznawałam wytatuowane węże, wciąż syczące bezgłośnie na jej szyi, lecz dostrzegłam też, że zapuściła włosy do połowy pleców, jej potężne ramiona się przygarbiły, a węzły mięśni na ramionach zwiotczały. Stare blizny z czasów, gdy wywalczyła sobie powrót z pustkowiec delty, znaczyły pociągłymi wybrzuszeniami jej skórę. Połowa twarzy była brzydko odbarwiona, obok zaś widniała czerwonobrazowa plama, pamiątka po ukąszeniu pająka, które kogoś słabszego zabiłoby niechybnie. Sprawiała wrażenie kobiety, która mogłaby mieć problemy z przechodzeniem po chwiejnych kładkach tego miasta. Jednakże jej oczy, jasne i wyzywające, były oczyma, jakie pamiętałam.

– Wara im – powiedziałam, skinąwszy ku niej głową.

Przymknęła oczy. Aż do tej chwili, zanim ujrzałam ją obok siebie,

nie pamiętałam tego szczególnego pozdrowienia, jakim Chua witała i zegnała ludzi. W każdym przypadku wymawiała te dwa słowa: Wara im.

– Dobry wieczór, Dwie-Sieci.

– Wara im.

– Mieliśmy dziś szczęście tam, w sitowiu.

Kolejne kiwnięcie głową.

– Wara im.

Nikt nie wiedział, czy to obietnica, ostrzeżenie czy przekleństwo. Nikt z tych, których znałam, nie ośmielił się o to zapytać. Zapomniałam o tym w ciągu lat spędzonych w Rassamburze, ale teraz, gdy wróciłam do Dombângu, przypominałam sobie.

– Nie znam cię – powiedziała, przyglądając mi się.

– Wychowałam się tutaj.

– Już to mówiłaś.

– Widziałam, jak trzy razy wygrałaś noworoczne zawody łódek.

– Osiem razy.

Kiwnęłam głową.

– Byłam za mała, żeby zapamiętać pierwsze pięć.

Chua zerknęła na Ruca, przygryzła na moment policzek, spojrzała gdzieś za mnie, nad moim ramieniem, potem znowu na mnie, aż wreszcie skinęła głową.

– Wejdźcie i zamknijcie drzwi. Umarli was zaduszą, jeżeli będziecie ich wdychać dłużej.

W małej chacie była tylko jedna izba. W rogu leżał materac z sitowia. Pleciona mata, cieńsza, też z sitowia, pokrywała całą podłogę. Były tam jeszcze gliniana miska, do połowy wypełniona rybną galaretą, której zapach wyczułam na początku, dzban wody,

również gliniany, pusta misa do mycia, sześć solonych ryb zwisających z niskiej krokwi wraz z suchym pękiem słodkich trzciniowych bulw. Pośrodku izby widniało wgłębienie paleniska, ale gdy spojrzałam w górę, zobaczyłam, że dymnik w dachu jest zamknięty.

Kobieta podążyła oczyma za moim spojrzeniem.

– Gaszę mój ogień, zanim oni rozpalą swój – powiedziała i ruchem głowy wskazała w stronę krematorium.

Pomieszczenie było ciasne, osmalone i zapuszczone, poza ścianą bezpośrednio za materacem. Na niej, na szeregu kołków, wisiały dwie schludnie zwinięte sieci. Ponad nimi na drewnianej półce leżały liczne włócznie na ryby, rozwidlone i z zadziarami jak ta, którą trzymałam w ręku. W Dombângu włócznie rybackie są niemal tak samo powszechne jak ryby. Każde dziecko taką ma. Można zaobserwować kobiety i mężczyzn o każdej porze dnia, rozmawiających leniwie na mostkach i wyczekujących z ugiętym łokciem na właściwy moment. Te włócznie różniły się jednak od innych. Nie byłam rybaczką, lecz łatwo było poznać po gładkiej, wyslizganej powierzchni, po zębach *qirna* wstawionych w groty jako zadziory, z pieczołowicie wypalonych ornamentów, że włócznie te, jak cenne narzędzia, przechodziły z pokolenia na pokolenie, były w jakimś sensie święte. Na małej półce poniżej, w futerale z węzowej skóry, leżały trzy noże do patroszenia. Ich kościane rękojeści były rzeźbione dla lepszego uchwytu.

Maty z sitowia nie były zmieniane od wielu tygodni, może nawet miesięcy. Dołek paleniska wymagał pogłębienia. Rybna potrawka zastygła w misce w galaretę. Jednakże włócznie i noże były skrupulatnie naoliwione. Ani jedna drobinka popiołu, który osiadał

na innych sprzętach w izbie, nie zabrudziła ich powierzchni.

– Dwie dolne należały do Tema – powiedziała Chua, siadając ze skrzyżowanymi nogami na macie przy wygasłym palenisku.

– Kim jest Tem? – zapytał Ruc.

– To mój mąż. Już umarł.

A to była inna część całej tej historii. Każdy był tak zaszokowany tym, że Chua Dwie-Sieci wróciła z delty po miesiącu nieobecności, że łatwo było zapomnieć o tym, że jej mąż nie wrócił. Częściową przyczyną było to, że Tem niezbyt pasował do legendy żony. Każdy wiedział, że urodziła się poza miastem, że była wychowywana i trenowana w ukrytej osadzie ludu Vuo Ton i to tam nauczyła się wiosłowania, łowienia ryb i przetrwania w delcie. To wszystko miało sens.

Natomiast sensu nie miała druga część historii. Zgodnie z nią Chua natknęła się któregoś razu na łódź Tema, zakochała się, porzuciła swój dom i swój lud i przybyła do Dombângu. Można by w to uwierzyć, gdyby Tem nie był... chudym jak trzcina rybakim, kulejącym i do tego bez szczególnej renomy. Owszem, potrafił śpiewać i tak opowiedzieć dzieciom bajkę, że piszczały ze strachu lub zachwytu, ale w porównaniu z Chuą wydawał się nieznaczącą postacią, w Tamie nazywano go nawet Małym Temem. Tak więc kiedy zginął, nikogo to specjalnie nie obeszło. Oczywiście Mały Tem nie zdołałby przetrwać w delcie. Oczywiście Chua Dwie-Sieci wróciła z delty. Kiedy ludzie to opowiadali, zapominali o nim.

Chua, rzecz jasna, nie zapomniała.

– Moje kondolencje – powiedział Ruc.

– Są warte mniej niż dziurawa łódź – odrzekła Chua. – Gdzie złoto?

Ruc zerknął na mnie.

– Moja przyjaciółka wyrwie się czasem zbyt pośpiesznie. – Pogrzebał w kieszeni kamizeli. – Mam tu garść srebrniaków. Złoto jest we Wraku Statku.

– A ryby w rzece – odparła Chua ze skwaszoną miną.

– Można mu zaufać – powiedziałam.

Ruc zacisnął szczęki, ale zmilczał. Oddałam jej włócznię, po czym usiadłam. Po krótkiej chwili Ruc dołączył do mnie.

– No tak – odezwała się Chua, mierząc nas wzrokiem. – Los Dombângu się dopełnia.

– Raczej niezbyt cię to obchodzi – zauważył Ruc.

– Niezbyt – zarechotała Chua.

– Nie ma w tobie miłości do miasta, które cię przygarnęło?

– Twoje miasto jest nikczemne.

– Ośmielę się zauważyć, że wciąż w nim żyjesz.

– Mnóstwo ludzi na świecie kończy w miejscach, w których wcale nie chcieli się znaleźć. – Mówiąc to, Chua podniosła na mnie wzrok.

Poczułam skręt wnętrzości. Wspomnienia dławily mnie, jakbym wciągnęła je do płuc wraz z popiołowym odorem krematorium.

– Ktoś wymordował cały transportowiec annuryjskich legionistów – powiedziałam, a mój głos zabrzmiał znacznie spokojniej, niż się spodziewałam.

Chua roześmiała się.

– Nigdy dość nienawiści do legionistów w tym mieście. – Tu spojrzała znacząco na Ruc. – Albo do Zielonych Koszul. Tak się dzieje, kiedy zabije się dostatecznie wielu ludzi za to, że wierzą w to, w co wierzą.

– To się nie stało w mieście – sprostował cicho Ruc. – Tylko

w delcie. Na południowy wschód stąd.

– Czyli kapłanom udało się zasadzka.

Potrząsnęłam głową.

– Kapłani też tam byli. Cokolwiek zabiło legionistów, zgładziło ich także.

Kobieta zamilkła nagle. Wbiła we mnie spojrzenie.

– Jak zostali zabici?

– Wyrwane gardła. Węże-duchy w brzuchu. Fiołki z delty zasadzone w oczodołach czaszek. Z legionistami i kapłanami, którzy zastawili zasadzkę, było tam ponad stu ludzi. Grubo ponad stu.

– Wszyscy martwi – mruknęła Chua na poły do siebie.

Ruc pochylił się i zmrużył oczy.

– Skąd wiesz?

Zwróciła się ku niemu i spojrzała z naciskiem.

– Bo Trójka nie pozostawia nikogo żywego.

Niskie słońce przeciskało się do chaty przez szpary w dachu, rozświetlając płomieniście drobinki popiołu unoszące się w powietrzu.

– Nie – powiedział Ruc po chwili. – Delty nie nawiedzają żadni bogowie.

– Ile czasu spędziłeś w delcie?

Ruc pokręcił głową.

– Nie wierzę, żeby trzy istoty, żeby jakiegokolwiek *trzy* stworzenia mogły wymordować ponad setkę uzbrojonych ludzi.

– Och, im nie zależy na tym, żebyście wierzyli – odparła Chua. – Oni chcą waszej krwi.

Ruc podniósł się zwinnie.

– Mam dosyć. Mogę się nasłuchać tego gówna na każdym moście w tym mieście.

– Coś jednak napadło na transportowiec – zauważyłam spokojnie.

– *Ktoś* – poprawił mnie Ruc z naciskiem. Potem odwrócił się do Chui. – Zaginiony Lud.

Pokręciła wolno głową, niemal hipnotycznie, skupiając wzrok na czymś ponad nami.

– Vuo Ton nie chcą mieć z waszym miastem nic wspólnego. Wasza polityka ich nie obchodzi.

– Polityka to słowo, którego używają ludzie chcący coś zdobyć – stwierdził ponuro Ruc. – Zaginieni są ludźmi, bo widywałem ich już w porcie i na targu. A wszyscy ludzie czegoś chcą. Może nie podoba im się rozwój miasta. Ingerencje Annuryjczyków w delcie...

Chua zaniósła się długim, wymuszonym śmiechem.

– Nie ma żadnych ingerencji w delcie.

– A rozwój północnych dzielnic? – zapytał Ruc. – A grobla?

– Grobla to wstążeczka zawiązana na szyi tygrysa. Delta mogłaby jedną powodzią zniszczyć wasze północne dzielnice. Jeśli nie żyłeś w sitowiu, nie masz pojęcia, jak niewiarygodnie maleńkie jest to wasze miasto, jak mało znaczące.

– Przeprowadziłaś się tu – zauważył Ruc. – Opuściłaś Zaginionych, żeby przybyć do Dombângu.

Uchwyt Chui na drzewcu rybackiej włóczni zacisnął się, jakby zamierzała wbić mu ją w gardło.

– Nie przeprowadziłam się tu dla miasta. Przybyłam tu dla mężczyzny. Teraz już go nie ma.

– Dlaczego więc nie wróciłaś?

– Ponieważ nie mam ochoty oddawać hołdu bogom, którzy go zabrali.

– Jakim bogom? – zapytałam.

Spojrzała na mnie.

– Jeżeli wychowałeś się tutaj, na pewno znasz ich imiona.

– Sinn – powiedziałam cicho – Hang Loc, Kem Anh.

– Mity – warknął Ruc. – Podtrzymuje się je, bo są politycznie użyteczne.

Chua popatrzyła na niego.

– Czy mity wyrywają gardła? Czy polityka odrywa głowy od ciała, a potem zasadza fiołki w oczodołach?

– Takie rzeczy robią ludzie, jeśli pragną czegoś bardzo złego. Gdyby Zaginieni pragnęli opanować miasto, to wpierw chcieliby je osłabić i podzielić...

– Nie słuchasz – powiedziała Chua. – Vuo Ton nie są Zaginieni. Doskonale wiedzą, gdzie leży miasto. Nie przychodzą, bo ich ono nie obchodzi. Swoje życie, całe codzienne życie poświęcają walce.

– Jakiej walce?

– Przeciwko Trojgu.

– Właśnie mówiłaś, że *czczą* swoich bogów – przerwał jej Ruc. – Że składają hołdy.

Chua pokręciła głową, jakby zmęczona jego głupotą.

– Walka *jest* kultem. Walka jest pobożnością.

– A zatem z waszymi bogami można walczyć.

Kobieta przechyliła głowę.

– Sto uderzeń serca temu upierałeś się, że Troje to mit. A teraz chcesz z nimi walczyć?

– Chcę tylko – powiedział Ruc – znaleźć tego, kto napadł na

transportowiec i zabił legionistów. Ja myślę, że byli to Zaginieni. Ty myślisz, że to byli mityczni bogowie. Tak czy inaczej, nie dotrę do prawdy tutaj, w Dombângu. Muszę się udać do osady Vuo Ton.

– Możesz zabrać nas ze sobą – powiedziałam cicho.

Chua zapatrzyła się w czarne, zimne węgle swego paleniska i potrząsnęła głową.

– Udało mi się uciec z delty wiele razy i już wystarczy. Nie zamierzam tam wracać.

Ruc zacisnął szczęki.

– Zielone Koszule zapłacą ci pięć annuryjskich słońc – powiedział w końcu. – Plus to jedno, które już ci obiecaliśmy za to spotkanie.

Pokręciłam głową, wtrącając się, zanim Chua zdążyła się odezwać:

– Pięćset złotych słońc.

Chua zmrużyła oczy. Ruc zamrugał, po czym zaczął kręcić głową.

– Żaden przewodnik nie jest wart nawet części...

– Nie ma takiego przewodnika – powiedziałam ostro – który mógłby nas zabrać do Vuo Ton. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

– Nie pójdę znowu do delty – oznajmiła Chua. – Nawet za całą górę pieniędzy.

Spojrzałam jej w oczy.

– To złoto nie jest zwyczajnym złotem.

Popatrzyła na mnie z uwagą.

– Te monety...

– Oznaczają mile – stwierdziłam. – Oznaczają dystans, jaki możesz stworzyć między sobą a deltą. Mając pięćset złotych słońc, możesz wsiąść na statek do Annuru, Badrikas-Ramy albo do Wolnego Portu. W Wolnym Porcie nie ma węży ani jadowitych

pająków. Codziennie, przez okrągły rok, pada tam śnieg, ludzie mieszkają pod ziemią i ogrzewają się ciepłem podziemnego ognia. Ludzie tam nigdy *nie słyszeli* o Trojgu.

Kiedy Chua wreszcie odpowiedziała, jej głos był suchy jak plewy:

– A co bym robiła w Wolnym Porcie?

– *Żyłabyś*. Zamiast chować się w najdalszej od wody chacie i dusić od popiołów umarłych. Byłabyś wolna.

– Jedyna praca, jaką znam – powiedziała, zaciskając dłonie na włóczni – to praca związana z deltą.

– Nie jesteś w delcie – powiedziałam. – A z pięcioma setkami słońc nie będziesz *musiała* pracować.

Chua patrzyła w dół na włócznię i wodziła palcem po jej zdobieniach, jakby była dzieckiem uczącym się liter, jakby gdzieś tam była zapisana odpowiedź, którą tylko ona mogła odczytać.

– Jeśli pieniądze to nie wszystko – dodałam – jest jeszcze coś.

Spojrzała na mnie.

– Co takiego?

– Wierzę w twoich bogów – powiedziałam cicho, nie zwracając uwagi na rosnącą irytację Ruca. – Dorastałam w Tamie, więc są oni także moimi bogami.

– Twoja wiara niczego nie zmienia.

– Mogłaby zmienić, gdybym ich zabiła.

Chua pokręciła głową ze znużeniem.

– Ich się nie da zabić. Vuo Ton trenują przez całe życie, aby z nimi walczyć.

– Vuo Ton są zacofanym plemieniem kilku tysięcy ludzi, którzy nie mają dostępu do nowoczesnej broni, środków wybuchowych, drapieżnych ptaków tak wielkich, że w kilku kęsach pożerają

krokodyla. Kettral to najbardziej skuteczna siła bojowa świata.

– Delta to nie świat – odpowiedziała kobieta. Ale w jej oczach pojawiło się światło, którego wcześniej nie było.

Wzruszyłam ramionami.

– Może masz rację. Jeśli tak, to ja będę gnić na dnie rzeki, a ty będziesz siedzieć tysiąc mil stąd, na tarasie małej willi na breatańskim wybrzeżu. Ale jeśli *ja mam* rację, to cokolwiek zabiło twego męża, cokolwiek rozszarpało gardła tych legionistów, dowie się wreszcie, co to znaczy umierać. Nie jestem sama. Są ze mną inni kettralowcy, którzy chcą znaleźć twoich bogów i ich zniszczyć. Po prostu musisz tam wrócić jeszcze jeden jedyny raz.

Chua zamknęła oczy.

– Vuo Ton mogą cię zabić. Ofiarować cię bogom.

– To nie twój problem.

– Możemy nawet nie dotrzeć do ich osady.

– A pająk może cię ukąsić podczas snu. Chcesz umierać tutaj, kryjąc się, czy tam, próbując przynajmniej zdobyć dla siebie wolność?

Otworzyła szeroko oczy.

– Pięćset annuryjskich słońc.

Skinęłam głową.

– Wkrótce zapragniesz nigdy tam nie wracać.

– Mam mnóstwo pragnień – odparłam, zerkając na Ruca. Siedział nieporuszony jak bożek w pasach słonecznego światła. – Przywykłam już, że moje pragnienia nie zawsze się spełniają.

14

W cienkiej białej warstwie popiołu wokół chatki Chui zauważyłam ślady bosych stóp, które zbliżały się do południowej ściany, a potem oddalały w stronę, z której przyszły. Jak to było obiecane, Kossal śledził mnie i obserwował. Omiotłam spojrzeniem rzędy chwiejnych bud otaczających krematorium, ale on znał swoje rzemiosło na tyle dobrze, by pozostawać poza zasięgiem wzroku. Byłam ciekawa, czy ukrywał się gdzieś na naszej łodzi, gdy znaleźliśmy transportowiec. Wydawało się to mało prawdopodobne, ale Kossal nie byłby dobrym kapłanem, gdyby ograniczał się tylko do tego, co prawdopodobne.

Ruc nie zauważył śladów. Mnie też zdawał się nie zauważać, gdy przemykaliśmy się z powrotem zaułkami Tamy, tylko szedł ze wzrokiem utkwionym przed siebie, torując sobie drogę między pijakami, rybakami i sierotami. Jakiś wredny dzieciak w wieku może dziesięciu lat usiłował zwędzić mu nóż, który miał u pasa. Ruc złapał go za nadgarstek i wrzucił do kanału, nie zmieniając nawet kroku. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy wychynęliśmy spod zwieszających się dachów na otwartą przestrzeń portu w Tamie.

Słońce na zachodzie schowało się za spiczastymi dachami. Ciasne budy rzucały na ciemniejącą wodę coraz szersze cienie. Inaczej niż Nowy Port, który był dość głęboki, by przyjmować oceaniczne statki handlowe o wysokich masztach, Dzban – jak miejscowi nazywali ten port, będący w istocie zbiorowiskiem pomostów wokół zalewu przy jednym z kanałów – gościł w sobie chaos łodzi i wiklinowych

łódek o skórzanym poszyciu, podtopionych i na stałe przycumowanych tratw, którym nikt o zdrowych zmysłach nie zaufałby na wodach delty. Ludzie zaczęli już zapalać latarnie i zawieszać je na długich żerdziach. Ich czerwień była niczym zachodzące słońce, jakby ktoś skradł jego barwę i wtłoczył ją do wnętrza tych lamp zrobionych z martwych ryb.

Ruc zwrócony był do najbliższych latarni plecami, a jego twarz tonęła w cieniu, jak przykryta maską. Czerwień podkreślała jedynie zarys szczęki i mięśnie szyi, ale oczy były dla mnie niewidoczne.

– Pięćset słońc? – zapytał.

Wzruszyłam ramionami.

– To taniej, niż ujrzeć całe miasto w ogniu.

Ludzie potracali nas, lecz widok twarzy Ruca trzymał na dystans żebraków i złodziei. Od czasu odkrycia transportowca coś się w nim zmieniło. Zawsze był wojownikiem, żołnierzem, ale w tej przemocy była muzyka, w jego głosie kpiarski spryt, nawet gdy się nie uśmiechał. Inny mężczyzna, mający w sobie mniej ciekawości, a więcej złości, nie spędziłby ostatnich kilku dni na udawanych kłótniach i przekomarzaniu się ze mną. Gdy postanowiłam wrócić do mego miasta, mogłam liczyć na jego umiłowanie przygody. Mężczyzna, którego kochałam w Sia, lubił niebezpieczeństwo, rozkwitał w nim. Zaczynałam się jednak obawiać, że po tym, co ujrzeliśmy na pokładzie tamtego statku, Ruc skończył z podejmowaniem ryzyka.

– Myślisz, że ona ich znajdzie? – zapytał.

– Vuo Ton? – Przechyliłam głowę, próbując lepiej przyjrzeć się jego twarzy. – Czy bogów?

Zwrócił się ku mnie.

– Nie ma bogów, Pyrre. A jeśli są, to mają nas w dupie.

Zwalczyłam w sobie chęć, by złapać któregoś z anonimowych, przechodzących obok ludzi, oddać go bogu i pokazać Rucowi moc Ananshaela. Moja Próba nie pozwalała jednak na zabijanie dla argumentów teologicznych, a Kossal wciąż gdzieś tam był i obserwował. Poza tym Ruc nie mówił o Ananshaelu.

– Skąd wiesz? – zapytałam.

– Złe pytanie.

– Wydaje mi się, że pytający może decydować, o co pyta.

Pokręcił głową.

– Pytaj o wszystko, co chcesz. Ale to złe pytanie. Równie dobrze mogłabyś mnie zapytać, skąd wiedziałem, że odeszłaś.

– Jestem tu.

Znów pokręcił głową.

– Chodzi mi o tamten poranek w Sia i dni zaraz po nim.

Odetchnęłam głęboko i uspokoiłam myśli.

– To, że czegoś nie widzisz, nie oznacza, że tego nie ma.

– Naprawdę?

– Mogłam tam być.

– Jak? Ukrywając się? Śledząc mnie?

– W końcu mam doświadczenie z Kettralu. – To miał być żart, ale słowa te wylądowały między nami ciężko jak martwy węgorz na pomoście.

– Mogłem sobie wierzyć, że do mnie wrócisz – powiedział Ruc i podjął po chwili: – Mogłem też wierzyć, że po prostu odskoczyłaś dokądś na dzień lub dwa i zapomniałaś zostawić karteczkę, że co noc będziesz wspinać się przez okno do mego łóżka. Mogłem w to

wierzyć, tak samo jak wszyscy w tym zatraconym mieście wierzą, że bogowie wrócą i ich uratują. Ale nie byłoby to rozsądne, prawda? Nie zadawałem sobie pytania, dlaczego powinienem uwierzyć, że odeszłaś, bo byłoby to głupie pytanie. Dobre pytanie brzmiało: dlaczego powinienem uwierzyć, że *wrócisz*. I właśnie to pytanie sobie zadawałem. Wiele razy. I wiesz, co sobie na nie odpowiadałem? – Ostatnie słowa wbił w zapadłą ciszę niczym gwoździe. – *Że nie wrócisz*.

Jego ręce zwisły luźno po bokach, ale był gotów do walki, wręcz czekał na to. Czułam, jak żyły na mojej szyi pulsują, a całe ciało pręży się w oczekiwaniu. *Oczekiwaniu na co?* – byłam ciekawa. Żeby poczuć jego ciało przy swoim, żeby pieprzyć się lub walczyć, poczuć jego łokieć na gardle, a palce zacisnąć na jego nadgarstkach. Tak było na ringu i w łóżku; zimno i gorąco zarazem, oszałamiająco, euforycznie.

Ale to nie jest miłość, uświadomiłam sobie, po czym zastanowiłam się, czy rzeczywiście mam rację. Może miłość właśnie taka była: najpierw furia, potem cudowne wyczekiwanie, wreszcie ukojenie. Chciałam krzyknąć, mocno zacisnęłam zęby, przygryzając ten głos, który plątał się na moim języku, przepychał przez gardło. Kiedy wreszcie przemówiłam, wydobyłam z siebie tylko dwa spokojne słowa:

- Jednak wróciłam.
- Na misję.
- Na misję, o którą prosiłam.

W cieniu jego zielone oczy były czarne. Gdy się poruszył, błysnęły czerwienią.

- Dlaczego?

Śmiała odpowiedź leżała przede mną, gotowa, by jej użyć: *Bo chciałam cię zobaczyć. Bo cię potrzebowałam. Bo cię kocham.*

Nie mogłam tego powiedzieć.

Kłamstwo nie stanowiło problemu. Odkąd przybyłam do miasta, okłamałam Ruca już dobre kilkanaście razy. Nie mogłam wypowiedzieć tych słów, bo się bałam, że gdy nadam im kształt w swoich ustach, w powietrzu między nami, to nie zdołam im sprostać w rzeczywistości. Dopóki pozostawały niewypowiedziane, można było im zaprzeczyć i się ich wyprzeć. Natomiast rzecz wypowiedziana zyskuje siłę. A co, jeśli historia, którą o sobie zmyślę, okaże się silniejsza od życia, które przeżywam? A co, jeśli kłamstwa, które o sobie wypowiadamy, są żywsze od prawdy?

– Byłam ciekawa – powiedziałam w końcu, zniecierpliwiony to słowo, jego miałość i małość, już w chwili, gdy je wymówiłam.

– Ciekawa?

– Ciebie. Chciałam zobaczyć, czy się zmieniłeś.

Odwrócił się i stanął plecami do Dzbana.

– Każdy się zmienia.

Potrząsnęłam głową i położyłam mu dłoń na ramieniu. Była to niebezpieczna postawa, zanadto rozciągnięta. Gdyby zechciał złamać mi łokieć, trudno by mi było go powstrzymać. Nie cofnęłam jednak ręki.

– Ty wydajesz się taki sam.

– Taki sam jak? – Nawet nie spojrzał na moją rękę. – Wtedy mnie dobrze nie znałaś i teraz też nie znasz.

Te słowa zabolowały. Zastanawiałam się, czy byłby to dobry znak, gdyby ból i wstyd służyły czemuś więcej. Wydawało się to możliwe. Ale może być i tak, że ból to po prostu ból.

– Powiedz mi więc, czego nie wiem.

– To cała lista.

– Powiedz mi, czego chcesz. W co wierzysz.

Myślałam, że powie coś o mnie, ale drzwi, otwarte na krótką chwilę, zamknęły się cicho w czasie, gdy szukałam właściwych słów. Kiedy przemówił, zrobił to z typowym dla siebie spokojem, doskonałym i cierpkim dystansem, który był jego najlepszą obroną.

– Chcę sprawiedliwości. A wierzę w to, że to *ludzie* zabili tych legionistów i kapłanów. Nie bogowie. Chcę ich dopaść i powstrzymać, zanim zrobią coś więcej i coś gorszego.

Te słowa pozostawiły mnie pustą i zimną. Były szlachetne, to prawda, ale wolałabym ujrzeć jego wściekłość, wolałabym, żeby ryknął na mnie, spróbował złamać mi rękę, która wciąż, jak bezbronny ptak, spoczywała na jego ramieniu, niż to doskonale chłodne obywatelskie zaangażowanie. Oczywiście, jeśli chce się czegoś, to nie znaczy, że to się ziści. Westchnęłam i cała ekscytacja uszła ze mnie wraz z powietrzem. Z powrotem skupiałam się na nudnym temacie masakr i bogów.

– Jeśli wierzysz – odezwałam się wreszcie – że to Vuo Ton stoją za atakiem na transportowiec, to szukanie ich jest jak wkładanie ręki w paszczę krokodyla. Jeżeli są naszymi wrogami, zabiją nas w tej samej chwili, gdy się u nich pojawimy.

– Być może.

– Być może? – Pokręciłam głową. – Nie jesteś pieprzonym idiotą, Ruc. Jest coś, o czym mi nie mówisz.

– I ponieważ nie jestem idiotą, to nadal nie będę ci o tym mówił.

– Nadal mi nie wierzysz – powiedziałam znużonym głosem.

Wzruszył ramionami.

– Nie zabiłaś mnie jak dotąd, a ja daję ci szansę.

Pokręciłam głową.

– Ależ to bez znaczenia. Po prostu mi nie ufasz.

– A ty byś ufała?

Było to irytująco trafne pytanie.

Oczywiście kłamałam, robiłam wszystko, co możliwe, aby doprowadzić do pozogi tego miasta, choćby miało to służyć wyłącznie za pretekst, by być blisko Ruca. Był mądry, nie ufając mi, ale z pewnością miłość była warta więcej od zaufania. We wszystkich pieśniach i sztukach kochankowie uporczywie omijali drogę pragmatyzmu i zdrowego rozsądku, lekceważyli dobre rady przyjaciół i rodziny, ignorowali tysiące znaków i sygnałów mówiących „stop, cofnijcie się”. Przeważnie się wydaje, że miłość jest nieodłącznie związana ze złą oceną sytuacji. Każda miłość, która pozostawia rozum nienaruszonym, wydaje się słaba i miałka, jakby wcale nie była miłością. A rozum Ruca wydawał się w zupełnie dobrym stanie. Mój także, rzecz jasna, ale ja byłam tą osobą, która musiała zaznać uczucia.

Cofnęłam rękę i rozłożyłam ramiona, jakby zapraszając go do zaatakowania mnie.

– Skoro kłamię i nie jestem z Kettralu, to co właściwie tu robię?

– Nie wiem – odparł po chwili.

U kogoś innego, w innej sytuacji, słowa te mogłyby być kapitulacją. Dla Ruca, gdy tak stał na pomoście pod latarniami, były murem, pieprzoną fortecą.

Kadłuby w porcie kołysały się na małych falach. Noc wypełniała polifonia niezgodnych głosów: kobieta wrzeszcząca raz za razem, żądająca od kogoś, żeby zostawił ją w spokoju; zrzędzenie starców

marudzących nad swymi glinianymi miseczkami; jakieś krzyki, nie wiadomo – strachu czy zachwytu; tak wiele ludzkich egzystencji stłoczonych razem, tak blisko siebie. Pod nami na długiej, wąskiej barce siedziała grupka dzieci grająca w grę wymagającą kostki i noża, a pomiędzy kolejnymi rzutami kostki śpiewała zawsze ten sam refren:

*Jeden dają za serce,
Dwa dają za oczy,
Trzy zaś będzie dla tych,
Co po tobie płaczą.*

*Cztery za kończyny,
Pięć za kłamstwa dają,
Sześć zaś będzie dla tych,
Co cię śmiechem żegnają.*

Kiedy byłam dzieckiem, nazywaliśmy tę grę Kostką umarlaka, a czasem Ciachanką. Pamiętam, jak graliśmy w nią w zaułku, kilka uliczek od mojej chaty. Pamiętam szybkie, niecierpliwe bicie serca, gdy kostka się toczyła, szamotaninę, by złapać nóż, i grad piekących cię po palcach, gdy przegrywałam. Tak naprawdę nigdy nie lubiłam Kostki umarlaka, ale każdej nocy, gdy tylko było to możliwe, wymykałam się, żeby w nią grać.

Porwana tą śpiewką, wiedziona niewytłumaczalnym impulsem zawołałam do Ruca:

– Chodź ze mną.
Nie poruszył się.

– Dokąd?

– Niedaleko. Tylko na drugą stronę Dzbana.

Myślałam, że odmówi, lecz po chwili skinął głową i oderwał się od drewnianej poręczy, wątlej jak cień. Nie rozmawialiśmy. Noc i tak wypełniały różnorakie głosy, zbyt liczne, by dodawać do nich jeszcze nasze. Drewniana kładka trzeszczała i chwiała się pod nami. Ciekawa byłam, czy popełniam błąd. Wyprowadziłam nas prosto na pusty, butwiejący pomost.

Niedaleko usłyszałam głos mężczyzny łowiącego ryby podbierakiem. Nucił refren jednej z miłosnych pieśni Dombângu, prostej i bardzo starej. Rybak najwyraźniej nie znał wszystkich słów, tylko refren, i powtarzał wciąż od nowa zapamiętaną garść nut, raz wyżej, raz niżej, a potem znów powracał do podstawowej toniki. Muzyka ta przypomniła mi z jakiegoś powodu małego niedźwiadka, którego przed laty znalazłam w górach Ancazu. Jego matka zginęła pod skalną lawiną, która zmiażdżyła jej zad. Biedny, zagubiony niedźwiadek odbiegał od niej na kilka stóp, potem wracał, by wtulić się w futro matki, znowu odbiegał i tak w kółko, jakby na całym wielkim świecie nie widział miejsca, do którego mógłby pójść.

Wskazałam na przeciwną stronę Dzbana, w kierunku rzędu rozchwianych bud, niebezpiecznie pochyłonych nad wodą.

– To tam się wychowałam.

Nie spojrzałam na Ruca. Po chwili przestałam patrzeć również na budy. Wcześniej wcale nie chciałam tu wracać.

– Po co mi to pokazujesz? – zapytał po chwili.

Pokręciłam głową.

– Nie wiem.

– Dlaczego stąd odeszłaś?

– Byłam tu skończona.

– A twoi rodzice?

– Umarli.

– Przykro mi.

– Niech ci nie będzie przykro. – Zawahałam się na moment. – To ja ich zabiłam.

Latarnie kołysały się na długich żerdziach umieszczonych na rufach łodzi, tak samo jak każdego wieczoru. Prąd wody poruszał łodziami swymi delikatnymi, niezmordowanymi palcami tak samo tej, jak i każdej nocy. Czasem zdarza się nam coś powiedzieć z takim uczuciem, jakby miało to zmienić świat. A kiedy świat się nie zmienia, nie bardzo wiadomo, co dalej począć. Ruc nic nie odpowiedział, rzuciłam się więc głową naprzód, na oślep, a moja własna opowieść zamknęła się nade mną jak wody rzeki, ciepłe, przyjazne i cuchnące.

– Mój ojciec pochodził z Nish. Odziedziczyłam po nim nieco jaśniejszą skórę i jasny kolor oczu. Kiedy tu przyjechał, był bogatym kupcem. Spotkał moją matkę, ożenił się, mieli syna, ale go stracili. Nie poznałam imienia brata, rodzice nigdy go nie wymawiali. Ojciec obwinił siebie, obwinił matkę, obwinił cały świat, a potem zaczął popijać *quey*. Kiedy się urodziłam, zdążył już roztrwonić majątek. Stracił dom w zachodniej dzielnicy miasta. Jedyne dom, jaki znałam, był tutaj. Wracał do domu nocami i bił mnie, jeśli zdołał dorwać. Bił matkę. Zawsze miał przy sobie nóż. Gdy tylko rozbił mi wargę albo podbił matce oko, wychodził na pomost i ciął się tym nożem, raz przy razie. Nigdy nie wiedziałam, czy karze się za to, że nas krzywdzi, czy za śmierć mego brata, czy

za swoje zmarnowane życie. Zapewne za wszystko razem.

Zamilkłam i zapatrzyłam się nad portem w gorące i duszne komnaty mojej przeszłości. Kiedy Ruc położył mi dłoń na ramieniu, niemal go uderzyłam. Znowu czułam się jak dziecko: zagubione, przerażone, pogrążone w rozpacz.

– Matka próbowała go ratować – podjęłam w końcu. – Któregoś dnia wróciłam do domu po buszowaniu w kanałach i nie zastałam ojca, a w środku czekał jakiś dziwny mężczyzna. „Kto to jest?” – zapytałam. Pamiętam, że matka nie patrzyła mi w oczy. „To jest kapłan”, odpowiedziała. To słowo, *kapłan*, sprawiło, że przeszły mnie ciarki. Kapłani byli potężni i tajemniczy. Było tak, jakby nagle się okazało, że mamy gdzieś w domu schowaną kupę złota. Tyle że nie mieliśmy złota. Jedynym, co mieliśmy, byłam ja.

Ruc wydobył z gardła odgłos, który przypominał warknięcie. Jego palce zacisnęły się na moim ramieniu.

– Kapłan się uśmiechnął, podał mi coś do picia i powiedział, że ratuję moją rodzinę. Kiedy się obudziłam, byłam sama w delcie jako ofiara dla bogów.

– Jak przeżyłaś? – zapytał Ruc.

– Miałam szczęście – odparłam. Była to częściowa prawda. Nie wspomniałam o złocistych oczach, o kobiecie o włosach czarnych jak łuska. Uznałam, że była tylko sennym koszmarem. – Uświadomiłam sobie wówczas coś na temat życia: że nie zawsze jest dobre. Ludzie trzymają się go kurczowo, bo nie znają nic innego, podobnie jak Chua, która nie chce opuścić miasta, mimo że go nienawidzi. Potrzebuje tylko odrobinę pomocy, zachęty, czegoś, co wskaże inną drogę. Tacy właśnie byli moi rodzice. Po prostu czcili złych bogów. – Pokręciłam głową. – Nie potrzebowali Kem

Anh i jej towarzyszy. Potrzebowali Ananshaela.

Gdzieś za wodą rybak wciąż od nowa wyśpiewywał te same kilka nut, jakby nie było innych na świecie.

– Kiedy wróciłam do miasta, zabiłam ich oboje. To było takie łatwe. Spali. On obejmował ją ramieniem. Wyglądali na spokojnych i zakochanych. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego nie zrobiłam tego wiele lat wcześniej.

Jakie to dziwne, pomyślałam, kiedy wreszcie umilkłam, że tak wiele dni, całe moje dzieciństwo potrafiłam zmieścić w tak niewielu słowach.

– A potem? – zapytał Ruc.

– Znalazłam drogę do Kettralu – odparłam. Po tylu słowach prawdy kłamstwo zakłuło mnie w gardle jak ość.

– Dlaczego mi o tym opowiadasz?

– Nie jestem pewna – odpowiedziałam. Jednak po chwili pokręciłam głową. – Nie. Opowiadam ci o tym, bo chcę, żebyś wiedział.

– Większość ludzi starałaby się ukryć taką historię.

– Ukrywałam ją przez długi czas.

Postąpiłam ku niemu bliżej, na tyle blisko, że wreszcie mogłam dostrzec w cieniu rysy jego twarzy i ruchy oczu. Nie cofnął się, gdy położyłam mu dłoń na piersi, nawet nie zeszywniał. Jego skóra była ciepła w ciepłym powietrzu nocy. Czułam pod dłonią wyczekującą spokojnie siłę jego mięśni.

– Chcę, żebyś mnie pocałował – powiedziałam głosem cichym jak tchnienie.

Nie poruszył się. Nie drgnął ani się nie nachylił. Rybak za kanałem wciąż od nowa nucił ten sam refren. Słyszałam szepczący

mi do ucha głos Eli: *To ważne, jaką postawę ciała przyjmujesz.* Przesunęłam się leciutko, kierując się jakimś instynktem starszym od moich uporczywych myśli, poruszyłam lekko i zbliżyłam nieznacznie do Ruca. Tym razem on poruszył się wraz ze mną, objął jedną ręką, przesunął dłoń wzdłuż kręgosłupa, ścisnął mój kark i przyciągnął mnie powoli, niepowstrzymanie, ku sobie.

Byłam zaszokowana, jak wiele pamiętałam szczegółów, które uznałam już za dawno zapomniane, a które nagle napłynęły z powrotem: to, że całował tak, jak walczył, spokojnie i nieubłagane zarazem; maleńkie wyszczerbienie zęba, które mój język tak szybko odnajdywał; drżenie jego piersi pod moimi dłońmi, gdy pomrukiwał, przyciągając mnie bliżej; to, jak jego skóra pachniała solą, dymem i czymś jeszcze, czego nigdy nie zdołałam dokładnie określić; a także i to, że nigdy, przenigdy nie zamykał oczu. Czułam, jak moje ciało reaguje, jak się spręża i rozluźnia, a w moim brzuchu budzi się coś podobnego do głodu i wędruje aż do gardła i języka, potem zaś powraca w dół, aż do nóg.

Kiedy wreszcie oderwaliśmy się od siebie, poczułam się jak marionetka, której nagle przecięto połowę drucików.

– Czy to oznacza, że jednak mi ufasz? – wykrztusiłam.

Podczas pocałunku przesunęliśmy się nieco w stronę latarni i teraz mogłam wyraźniej widzieć jego oczy, gdy odpowiedział, zielone i obce jak delta:

– Nie, nie oznacza.

Rybak w końcu umilkł. Może już zwinął i schował swoją sieć, a może nadal tam był, pracując w ciemności, ale zmęczył się śpiewaniem.

15

Wracając do gospody, wybrałam dłuższą drogę.

Ruc pożegnał się ze mną zaraz na zachód od Tamy i wrócił do Wraku Statku, aby rozpocząć przygotowania do kolejnej wyprawy na teren delty. Mogłam iść dalej tą drogą, przechodząc przez szereg wysp i mostów ciągnących się po północnej stronie wielkiego kanału Goca My'ego, lecz zamiast tego zboczyłam na południe, nie mając jeszcze wielkiej ochoty na sen i ewentualne koszmary, które tak często mu towarzyszą. Po przeżytej bliskości z Rukiem, po tym, jak czułam jego ciało i dotyk ust, potrzebowałam chwili samotności, aby spróbować zrozumieć, co się wydarzyło i co to oznacza.

W istocie nie byłam jednak zupełnie sama.

Nie zobaczyłam nikogo za sobą, gdy zerknęłam przez ramię, ale wiedziałam dobrze, że ślady stóp odcisnięte w popiele za chatą Chui należały do Kossala. Jeśli w ogóle jest coś, co kapłani Rassamburu potrafią robić lepiej od zabijania, to tym czymś jest tropienie. A to oznacza, że Kossal obserwował mnie i Ruca przy Dzbanie. Był świadkiem naszego pocałunku. Być może podsłuchiwał nawet, jak opowiadałam pośród gorącej nocy historię mego dzieciństwa. Ela powiedziała mi tamtej nocy w Rassamburze, że oboje z Kossalem zadecydują wspólnie, czy zaliczyłam Próbę, co oznaczało, że mieli też zadecydować, czy byłam zakochana. Ciekawa byłam, jak wyglądaliśmy z Rukiem w czerwonym świetle latarni, on z dłońmi wplątanymi w moje włosy, ja zaś

z dłońmi opartymi na jego piersi. Miałam wrażenie, że wyglądało to dość zaskakująco.

Obróciłam się rozmyślnie, żeby spojrzeć na drogę, którą pokonałam. Szłam wzdłuż jednego z pomniejszych kanałów, którego nazwa wyleciała mi z pamięci, podążając drewnianym chodnikiem zawieszonym nad wodą na belkach wystających ze ścian budynków. Miał tylko parę stóp szerokości i mogłam widzieć dwadzieścia, najwyżej trzydzieści kroków wstecz. Za mną postępowało tylko parę osób, wszystkie w luźnych spodniach i kamizelkach, i żadna z nich choćby w niewielkim stopniu nie przypominała Kossala. Zastanawiałam się, czy tak wcześnie wrócił do gospody. Było to mało prawdopodobne.

Kanałem płynęło kilka wąskich, małych łodzi, tnąc czarną wodę. Na każdej rufie stał wiosłarz popychający łódź jednym długim, osadzonym w pawęży wiosłem. Łodzie były zbyt daleko od chodnika i czerwonych wiszących latarni, żebym mogła dostrzec wyraźne kontury postaci, nie wspominając o twarzach. Jednym z nich mógł być Kossal, nie mogłam jednak tego stwierdzić.

Nie chodzi o to, że chciałam cokolwiek ukryć przed moimi Świadcami. Jednakże, jeśli się jest śledzonym, naturalną rzeczą jest zerknięcie od czasu do czasu, czy śledzący wciąż idą twoim śladem. Pomyślałam o górskich kotach w wysokich górach Ancazu, zwinnych, sprężystych drapieźnikach, które poruszają się po skałach szybko jak cienie rzucane przez chmury. Nie widząc, kto cię śledzi, jesteś bardziej w sytuacji zwierzyny łownej. Przez tkaninę spodni dotknęłam noży, otrząsnęłam ramiona z napięcia i szłam dalej. W ciągu lat spędzonych w Rassamburze nauczyłam się prostej rzeczy: wszyscy jesteśmy zwierzyną łowną, zawsze. Nikt

się nie ukryje przed Ananshaelem.

Ćwierć mili dalej doszłam do szerokiego mostu przerzuconego nad kanałem, wdzięcznego łukowatego przęsła obwieszzonego czerwonymi latarniami i obstawionego po bokach budkami straganów, przy których kłębił się tłum. Mosty w Dombângu służą tym samym celom co place targowe w innych miastach; są miejscem spotkań, handlu i plotek. Biorąc pod uwagę panujące w delcie upały, większość tego wszystkiego odbywa się po zmierzchu. W miarę jak tłum zgęstniał, zwolniłam kroku, pozwalając się nieść ludzkiemu nurtowi. Dobrze było znaleźć się wśród ludzi, którzy mnie nie znali i których ja nie znałam. Ludzi, których nie musiałam pokochać.

Opływał mnie szum setek rozmów, głośnych, lecz niewyraźnych, słyszanych tak jak dźwięk pod wodą. Przeszłam obok kobiety sprzedającej łby płastug z wielkich koszy z sitowia. Wielkie oczy ryb patrzyły oskarżycielsko. Otwarte szczęki ukazywały rzędy ostrych jak igły zębów. Wyobraziłam sobie leżącą wśród nich uciętą głowę Ruca. Jego zielone oczy patrzyły na mnie, szkliste i poważne. Niczego nie mogłam odczytać z tego spojrzenia.

Kilka stoisk za handlarką ryb jakiś ślepiec sprzedawał świeżo wyciskany sok z rambutanów. Dałam mu miedziaka za przemyślnie zwinięty liść napełniony tym sokiem. Spłynął mi do gardła ciepły i słodki, ale pozostawił takie wrażenie, jakby był oszustwem, bo czymże jest sok, gdy nie obierzemy sami owocu i nie usuniemy twardych nasion ze środka.

Właśnie wyrzuciłam liść do kanału, kiedy przez ogólny szum przedarła się do moich uszu rozmowa kilku kobiet, mruczących do siebie parę kroków za mną.

– Bogini – syknęła jedna na tyle cicho, że od razu wiedziałam, że nie chodzi o Intarrę – nigdy nie *odeszła*. Ona tylko *czekała*.

– Przez tyle lat? Na co tak czekała?

– Na *nas*.

– Przecież byliśmy tu przez cały czas – wtrącił się nowy głos, znużony, lecz zjadliwy. – Nasze matki były przed nami, a przed nimi ich matki, i gdzie *wtedy* była Kem Anh? – Chór syków i szeptów zagłuszył nieco końcówkę imienia, a kobieta ciągnęła dalej, niezrażona: – Wymawianie jej imienia nie jest zbrodnią. I nigdy nie było.

– Mów trochę ciszej – warknęła pierwsza kobieta.

– Gówno tam. Będę mówić, co zechcę. Tej *wiary* Zielone Koszule nie ruszą.

Obróciłam się odrobinę, tylko na tyle, żeby zerknąć na rozmawiające. Były starsze, niż się spodziewałam, może po sześćdziesiątce, lekko przygarbione, o szponiastych dłoniach, będących ceną za lata zarzucania i wyciągania sieci. Nie stanowiły zorganizowanej grupy konspiratorek; ich beztroska rozmowa przy moście, gdzie każdy mógł ją usłyszeć, była tego wystarczającym dowodem. Mogły wydawać się niegroźne; po prostu grupka starszych plotkujących kobiet, takich samych jak wszędzie, a jednak, skoro pogłoski o szykującej się w Dombângu rewolucji dotarły nawet do tych niepowiązanych z konspiracją kobiet, skoro tak otwarcie i publicznie wymawiały imię Kem Anh, to Ruc miał rzeczywiście pełne ręce roboty.

Uśmiechnęłam się, skinęłam im głową, po czym mrugnęłam porozumiewawczo.

– Ona powstaje, siostry – szepnęłam, przysuwając się bliżej. –

Nie dalej jak wczoraj daleko w delcie bogini ze swymi towarzyszami wyrznęła całą annuryjską legię.

Najmniejsza z całej trójki, kobieta z obwisłą twarzą, lecz bystrymi oczyma, okazała się najśmielsza. Zebrawszy się na odwagę, wyszeptała do mnie:

– Skąd to wiesz? Kim jesteś?

– Przyjaciółką – odparłam. – Lojalną córą Dombângu. – Uścisnęłam jej dłoń, pogłaskawszy palcami jej chłodną, suchą skórę, ponownie puściłam do nich oko i rozplynęłam się w tłumie.

Niemal natychmiast straciłam je z oczu, ale nie mogłam przestać o nich myśleć. Ich rozmowa była zachęcająca. Oznaczała, że moje malunki podziałały. Pogłoski się rozchodziły. Rewolta zaczynała wykraczać poza tajne kręgi i sprzysiężenia i wychodzić na ulice. Ruc potrzebował mnie teraz, a przynajmniej tak sądził, co już było dobre. Wszystko działo się szybko, szybciej niż się spodziewałam, ale nawet to tempo pozwalało mi na oddech.

Krwawe dłonie były moim dziełem, rzecz jasna, podobnie jak trupy pod pomnikiem Goca My'ego, w jakimś sensie. Podjęłam działanie, aby przypomnieć ludziom o prorocztwie Chong Mi, i udało mi się. Spodziewałam się, że w mieście powoli zaczną narastać wrzenie, ale nie sądziłam, że ktoś inny zacznie wcielać w życie słowa prorocztwa, i to ktoś tak niebywale skuteczny. Jeszcze raz powróciła do mnie wizja odciętych głów i fiołków leniwie kołyszących się na wietrze.

Widziałam tysiące czaszek, tysiące bezokich czaszek,

Gdy mięso z ich wnętrza stało się mułem dla kwiatów delty.

Minęło zaledwie pięć dni, odkąd spędziłam całą noc na odciskaniu w mieście śladów dłoni. Kto mógł w pięć dni zaaranżować napad na transportowiec? Nawet moi bracia i siostry z Rassamburu musieliby się nieźle uwijać, żeby dokonać czegoś takiego.

Zerknęłam przez ramię, na poły spodziewając się ujrzeć wytatuowaną postać Vuo Ton. Ze wszystkich ludzi w Dombângu tylko Kossal, Ela i ten nieznany mężczyzna z delty wiedzieli, co robiłam tamtej nocy. Jeśli Ruc miał rację i mężczyzna ten, powróciwszy do ukrytej osady, powiedział swoim ziomkom, co widział, to całkiem możliwe, że udało im się zorganizować napad na transportowiec.

Tylko że na pokładzie nie było żadnych trupów Vuo Ton. Choćby nie wiem jak zabójczy, bezlitośni i doskonale obeznani z deltą, nie zdołaliby przecież rozszarpać ponad setki ludzi i zniknąć, nie pozostawiając własnych ofiar. Chociaż mogli zabrać ze sobą swoich zabitych, to wciąż pozostawała kwestia ran, które widziałam na statku. Czy Vuo Ton mogli rozerwać tyle gardeł gołymi rękami? Nie wydawało się to prawdopodobne.

Wypadki okazały się szybsze niż moje oczekiwania, wręcz dramatycznie je wyprzedziły. W innych okolicznościach mogłabym próbować spowolnić bieg wydarzeń, odczekać jakiś czas, aż zrozumiem, co się tutaj dzieje. Nie miałam jednak tyle czasu, by móc zaprzestać knucia. Minęło już osiem dni mojej Próby, czyli ponad połowa, a ja jeszcze musiałam się zakochać.

Pocałunek na pomoście był gorący i obiecujący, ale potrzebowałam czegoś więcej niż obietnic. Skoro zamordowanie setki Annuryjczyków i miejscowych kapłanów doprowadziło do

pocałunku, to jakie emocje wywołałoby powstanie? Już sobie wyobrażałam siebie z Rukiem w objęciach, w przepoconej pościeli, podczas gdy na ulicach w dole szalałaby rewolta, przechodząca stopniowo w regularną bitwę. Wyobraziłam sobie, jak przytrzymuję mu ręce nad głową, a Zielone Koszule i legionieści walczą przeciwko kapłanom i ich zwolennikom. Wyobrażałam sobie, jak Ruc wchodzi we mnie, a wokół wali się miasto. Było to, rzecz jasna, zupełnie niedorzeczne. Gdyby Zielone Koszule walczyły, to Ruc byłby z nimi, lecz w jakiś niepojęty sposób, którego nie zdołam opisać słowami, czułam się tak, jakby miasto stało się częścią mnie, jakby *zawsze* nią było, częścią, o której istnieniu zapomniałam na długie lata spędzone pod błękitnym niebem Rassamburu.

Ciemne i kręte kanały Dombângu płynęły cicho, sennie i niezauważalnie w mojej krwi. Jego pieśni czułam na języku. Podobnie jak miasto mego dzieciństwa, byłam zapracowana, lecz zadowolona z siebie. Kiedy zamknęłam oczy, dostrzegłam prawdę: aby moje serce zapłonęło ogniem, Dombâng musiałby spłonąć w pożodze.

†

Boginie i bogowie są mniej praktyczni od sprzedawców ubrań i handlarzy ryb; nie są skłonni do wywieszania szyldów i reklam na drzwiach swoich przybytków, a to z jednej przyczyny: wierni, jak się zakłada, sami znajdą drogę. Rozpoznają swoją religię w kształcie dachu lub żłobkowaniu drewnianej kolumny. Rozpoznają zapach całopalnej ofiary, woń mięsa powoli obracającego się w popiół.

Nie rozpoznałam świątyni, na którą natknęłam się długo po nocnym gongu. Zdecydowanie jej nie szukałam. W mojej zawiłej drodze powrotnej do gospody nie szukałam niczego. Chciałam być sama, rozkoszować się smakiem powietrza, rozważać szczegóły tego, co przydarzyło mi się z Rukiem, i zastanawiać się nad sensem zagadkowych pouczeń Eli. Mogłabym wędrować tak przez pół nocy – przechodząc przez mosty, podążając skrzypiącymi drewnianymi chodnikami, zawieszonymi nad wodą kanałów, przepychając się przez szemrane zaułki – gdyby nie śpiew, który dobiegł mnie zza otwartych tekowych drzwi.

Kobięcy głos nie był szczególnie dobry – chropawy, wytarty, zmęczony, nawet trochę fałszywy – ale jedyny w swoim rodzaju. Frapujący w takim znaczeniu, w jakim twarz może być frapująca, nie będąc ani trochę urodziwa. Kobieta nie śpiewała skomplikowanej melodii, była to bardziej monotonna, śpiewna recytacja, niska i melancholijna, rodzaj muzyki nieprzeznaczonej do tańca, ale wpadającej w ucho. Jej nuty uderzały jak zimowe fale o brzeg, cierpliwie, powoli i nieuchronnie omywając piasek. Dopiero gdy posłuchałam jej przez chwilę, zauważyłam drewniany treliarz nad drzwiami, naoliwione drewno oplecione kaskadą kwitnących nocą kwiatów. Wyrzeźbiony na samych drzwiach, niemal przysłonięty roślinami, widniał płaski drewniany relief przedstawiający serce w dłoni. Okazało się, że weszłam – podążając tropem dawno zapomnianych wspomnień albo za sprawą ślepego przypadku – do świątyni bogini, która tak zdecydowanie odmawiała mi swoich łask: Eiry, bogini miłości.

Niczym ćma krążąca wokół płomienia świecy wkroczyłam do środka.

Najpierw ujrzałam miecze, dwa bliźniacze ostrza po bokach przedsionka, zaraz za otwartymi drzwiami. Rękojeści wpuszczone były w marmurowe piedestały, a ostrza, sięgające pasa, mierzyły prosto w sklepienie. Białe światło z wiszących w górze kilkudziesięciu latarni zmieniało stal nagich ostrzy w lód. Przy mieczach stało dwoje akolitów w czerwonych szatach, trzymając w dłoniach białe jedwabne chusty poznaczone ciemnymi liniami. Początkowo uznałam to za rodzaj wzoru zrobionego tuszem. Potem, gdy moje oczy przywykły do światła, uświadomiłam sobie, że to krew.

– Witaj, sestro – mruknęła bliższa z dwóch postaci, młoda, niezgrabna kobieta, która przypominała mi pewien gatunek płochliwych ptaków z delty. Nie podnosząc oczu, wskazała miecz po swojej stronie. – Bogini wymaga... – Zamilkła, najwyraźniej czekając na mnie.

Nie było trudno się domyślić, czego ode mnie oczekuje, więc po chwili wahania przeciągnęłam palcem po ostrzu. Było tak ostre, że niemal nie poczułam, jak rozstępuje się pod nim skóra. Krew pojawiła się chwilę potem jako cienka, czysta czerwona linia, jaskrawa jak klejnot w świetle latarni. Kobieta zbliżyła się do mnie, ujęła moją dłoń i otarła ją z krwi. Wówczas drugi akolita – tęższy i masywniejszy od towarzyszki – zbliżył się do mnie, zanurzył chustę w małym naczyniu z jakimś olejkim, wyjął moją dłoń z rąk kobiety i wytarł ją do czysta. Chłód balsamu wniknął w moją skórę, uśmierzając ból.

– Bogini wymaga – zaintonował mężczyzna, pochylając głowę – i leczy.

Potem cofnął się, przybierając poprzednią postawę, i było po

wszystkim. Za cenę kilku kropli krwi dostałam się do sanktuarium bogini miłości. Zerknęłam przez ramię, przyglądając się mieczowi. Nie wiem, czego spodziewałam się po Eirze. Może wielkiego pomieszczenia pełnego poduszek. Innego zachowania akolitów przy wejściu. Przytulenia? Niewinnego pocałunku? Zapewne mniej krwi, trochę mniej mieczy. Oczywiście czyste ogrody Rassamburu i jego białe ściany, pnące się owocowe drzewa i ożywcze głębokie studnie oraz zupełny brak krwawych szczątków i fontann krwi powinny już dawno temu nauczyć mnie, jak opacznie rozumiemy czasem inną wiarę i formy kultu innych ludzi.

Zwróciłam się w stronę sali, wysokiej, wdzięcznej nawy wspartej na rzeźbionych filarach. Ołtarz był pusty, w końcu wybiła już prawie północ. Śpiew, który słyszałam, dobiegał z jednej z kaplic widocznych po bokach nawy. Śpiewająca kobieta klęczała, pochylona w modlitwie przed jedną świecą, a długie czarne włosy spływały jej po plecach jak woda. Przyglądałam się jej przez chwilę, a potem zajęłam miejsce w ławie przed ołtarzem. Przez chwilę próbowałam sobie wyobrazić rodzaj ceremonii, jakie odbywają się tutaj w ciągu dnia, a także naturę tego kultu, lecz zrezygnowałam. Nawet przez cały długi dzień rozważań nie byłabym w stanie odgadnąć znaczenia mieczy w przedśionku. Zamiast tego uklękłam, zamknęłam oczy i podczas gdy śpiewana przez kobietę melodia niosła się w noc, nuta za nutą, zmówiłam modlitwę do Eiry.

Początek nie był zbyt obiecujący.

Bogini, powiedziałam w duszy, zawsze uważałam, że jesteś dziwką.

Jesteś wybredna, kapryśna i wybierasz sobie ulubieńców. Ananshael przychodzi w końcu po nas wszystkich, ale co z tobą?

Niektórzy ludzie przeżywają całe życie, ledwie cię zauważając. Kiedy krzątasz się tak pracowicie, obdarzając jedną kobietę miłością, otaczając ją rodziną i przyjaciółmi, wypełniając jej serce po brzegi, inną zaniedbujesz zupełnie. Kiedy twoi wybrańcy zasypiają bezpiecznie i ciepło w ramionach swoich matek, ojców, ukochanych, reszta z nas, ci, od których się odwróciłaś, zasypiają pozostawieni samym sobie i otuleni jedynie płaszczem nocy.

Czym się kierujesz? Nie ma to najwyraźniej nic wspólnego z zasługą. Nie jest to coś, na co zarabiamy lub nie zarabiamy. Niektóre dzieci otrzymują miłość z chwilą, gdy przychodzą na świat, zakrwawione i wrzeszczące, dziedzicząc ją tak, jakby była należnym im prawem. Wszyscy inni muszą zadowolić się ochłapami.

Powiem ci coś: wystarczyły mi te ochłapy. Tak czy owak, nigdy nie chciałam być rybką na twoim haczyku. Widziałam, co robisz ludziom, jak czynisz ich słabymi, przetrącając im kolana, i jak rozsądne kobiety przyprawiasz o szaleństwo. Zawsze wolałam stać pewnie na własnych nogach. A szaleństwo, którym szafujesz? Nie potrzebuję go.

Hmm.

Chciałam rzec, że nie potrzebowałam.

Teraz potrzebuję.

Nie wiem, dlaczego mój bóg – starszy, silniejszy i bardziej miłosierny, niż ty kiedykolwiek byłaś – nalega, bym zanieczyściła jego rytuał miłością, ale nie mnie to kwestionować. Przez całe życie ty i ja byliśmy sobie obce, ale pieśń powiada, że muszę pokochać, i dlatego tu jestem. Zostawiłam swoją krew na mieczu przy drzwiach. Modlę się do ciebie.

Zapewne powinnam być bardziej uprzejma, przeprosić za

nazwanie cię dziwką, ale jeśli słyszysz tę modlitwę, to chyba wiesz także, co się dzieje w mojej głowie, czyli nie ma raczej problemu, co? Wiesz, co myślę, a to oznacza, że wiesz, iż myślę, że jesteś dziwką, ale wiesz również, że chcę, żebyś to wiedziała. I wiesz, że ta modlitwa jest prawdziwa.

Potrzebuję cię.

Nie wiem, jak wybierasz serca, które zamierzasz napęłnić miłością, inne pozostawiając puste, ale proszę, wybierz moje serce.

Wybierz moje, Eiro. Bogini, błagam cię.

Pokręciłam głową w milczeniu.

No i pieprzę cię za to, że kazałaś mi błagać.

Otworzyłam oczy. Nic w świątyni się nie zmieniło. Latarnie wciąż rzucały na drewnianą podłogę i ławki swoje ciepłe, białe światło. Ołtarz pozostawał pusty. Nie spodziewałam się raczej, że Eira zstąpi osobiście, by odpowiedzieć na moją modlitwę. Kilka milczących oskarżeń wzbogaconych o małe błaganie nie mogło zmienić jej zupełnej nieobecności w moim życiu. Pomyślałam o Rucu i wyobraziłam sobie jego zielone oczy wpatrzone we mnie, przypomniałam sobie pocałunek na pomoście, jego dłoń na moim karku, przyciągającą mnie bliżej. Na to wspomnienie serce zabiło mi prędzej, ale cóż to znaczyło?

Ile to jeszcze musi potrwać, do cholery?

Zabrzmiało to jak złe pytanie.

Wstałam z ławki, czując się nagle zmęczona całym dniem spędzonym na słońcu. Należało już przestać włączyć się w kółko, wrócić do gospody i przespać trochę. Ruc pewnie wstanie wcześniej, a ja chciałam wstać równie wcześniej jak on. Pragnęłam kolejnego pocałunku; chciałam czegoś *więcej* niż pocałunku. Przegrywałam,

co wydawało się oczywiste, ale zamierzałam walczyć do końca. Chciałam, żeby Ela, gdy przyjdzie po mnie ze swymi nożami, zastała mnie nagą w ramionach Ruca, w jego łóżku, z nogami owiniętymi wokół jego bioder, z jego ustami przy mojej szyi. Seks nie jest miłością, to jasne, ale nie wiedziałam, czego innego mogę spróbować.

Przechodząc, spojrzałam na śpiewaczkę. Wciąż klęczała przed świecą, wciąż słała swoją pieśń w ciepłą ciemność nocy. Ruszyłam obok, w stronę drzwi, lecz po chwili zatrzymałam się i odwróciłam.

Jej włosy były w mojej dłoni jak jedwab. Zapachniały jaśminem, gdy odchyliłam w tył jej głowę. Nie przestała śpiewać nawet wtedy, gdy spojrzałam jej w oczy. Muzyka potrafi uczynić coś takiego z człowiekiem; jest labiryntem, w którym można się zagubić. Uśmiechnęła się do mnie, a jej ciemne oczy spojrzały w górę, jakbym była jej przyjaciółką lub dawno zaginioną kochanką; kto wie, może wyznawcy Eiry czują miłość do wszystkich i przez cały czas? Gdy podciąłam jej gardło, zastanawiałam się, jakie to może być uczucie.

Śpiewak schwyty w pieśni sieć.

Przestała śpiewać, gdy bóg ją zabrał, lecz wystarczająco długo słuchałam jej pieśni, by podjąć ją teraz bez trudu. Śpiewałam, wycierając nóż o jej szatę, i gdy wsuwałam go do pochwy, i jeszcze później, gdy poszłam ku drzwiom.

Mogłam oczywiście modlić się przez całą noc i błagać o łaski bogini, ale moim prawdziwym bogiem był Ananshael, a ja już zbyt długo go zaniedbywałam.

16

Wróciłam do gospody tylko po to, aby stwierdzić, że cała misterna architektura moich kłamstw została wywrócona do góry nogami.

Pomimo niedorzecznie późnej godziny, na tarasie przy jednym z okrągłych stolików siedział Ruc, zupełnie sam. Tętno w moich żyłach przyspieszyło na jego widok. Zaczęłam gorączkowo analizować wszystkie ewentualności. Może dowiedział się czegoś nowego o rewolcie Vuo Ton? A może przyszedł tutaj, spragniony jeszcze jednego pocałunku albo czegoś więcej? Właśnie miałam do niego zawołać, gdy dostrzegłam Elę podchodzącą do stolika z pełną karafką wina. Śmiała się typowym dla siebie rozkosznym, gardłowym śmiechem.

– Zauważyłam, że wciąż nie tknąłeś *quey* – powiedziała, trącając go lekko łokciem w ramię. – Można by pomyśleć, że towarzystwo kobiety cię nie cieszy.

Ruc nawet nie spojrzał na stojącą przed nim glinianą czarękę.

– Jestem na służbie.

– Powtarzasz to od godziny. A kiedy służba się *skończy*?

– Żołnierze zadają sobie to pytanie, odkąd są żołnierzami.

Ela się skrzywiła.

– Lubię mężczyzn w mundurze, ale całe to gadanie o służbie jest już trochę nudne.

Pochyliła się nad nim tak nisko, że gdyby chciał, mógłby pocałować ją w szyję, wzięła jego czarękę z *quey*, wyprostowała się

i jednym łykiem wypila jej zawartość. Miała na sobie błękitne *kipan*, którego krój ujawniał jeszcze więcej niż zwykle. Trudno było nie zauważyć, jak odstawiając czarke, otarła się o mężczyznę, którego miałam nauczyć się kochać. Usiadła potem obok niego, a nie naprzeciwko, gdzie ja bym usiadła.

Obserwowałam ich z drewnianego chodnika za tarasem. Poczułam się tak, jakby w moim wnętrzu, tuż pod przeponą, pojawiły się małe myszki, które zaczęły podgryzać we mnie coś żywotnego. Ugryzienia nie były zbyt bolesne, ale czułam wyraźnie, że coś jest nie w porządku.

Scena obfitowała w kontrasty. Ela piła jasne śliwkowe wino z kieliszka na długiej nóżce. Ruc natomiast zupełnie nie zwracał uwagi na stojącą przed nim opróżnioną czarke. Ela wiła się leniwie, zakładała nogę na nogę i co rusz sięgała do jego dłoni, a Ruc pozostawał nieruchomy jak zastawiona pułapka. Ela zniżyła głos. Nie potrafiłam odróżnić słów, ale słyszałam, że cały czas mówi, opowiada jakąś historię, która płynie wartko jak woda w potoku. Ruc milczał. Ela co chwilę wybuchała śmiechem, a jej oczy błyszczały. Ruc się nie śmiał.

Czułam się winna, patrząc na nich, choć nie potrafiłam powiedzieć dlaczego. Próbowałam przyjrzeć się memu poczuciu winy, dostrzec jego prawdziwy kształt, ale umykał mi jak nietoperz przelatujący przez światło latarni. Sama czułam się niemal tak jak ten nietoperz, stworzenie niewidzialne w ciemnościach i patrzące na światło wielkimi, lecz ślepyimi, szklistymi i niedoskonałymi oczyma. Miałam wrażenie, że w ogóle nie powinno mnie tu być. Ruc przyszedł tu z mojego powodu, to oczywiste, ale moja nieobecność najwyraźniej wcale im nie przeszkadzała. On nie wyglądał na

podekscytowanego ani rozradowanego, ale od czasu odkrycia transportowca nie sprawiał wrażenia człowieka szczęśliwego. Nawet wtedy, gdy się całowaliśmy. Siedział teraz w milczeniu, słuchając śmiechu Eli, patrząc na jej smukłe nogi i zagadkową gestykulację. Po cokolwiek tu przyszedł, już mnie nie szukał. To jedno było pewne.

– Widzisz *teraz*, dlaczego wciąż się zastanawiam, czy nie oddać jej bogu?

Głos odezwał się tuż przy moim uchu, a ja odruchowo sięgnęłam po nóż, zanim mój umysł przetworzył i zrozumiał znany mi suchy, rozwlekły akcent: Kossal.

– Śledzenie ludzi jest dobrym sposobem, by stracić życie – mruknęłam, nie odwracając się. Z jakiegoś powodu nie chciałam, żeby widział moje oczy.

Odchrząknął.

– Bóg zabierze mnie w swoim czasie.

– Nie chcesz, żeby twoja ostatnia ofiara była czymś więcej niż zwykłą pomyłką? – zapytałam, dając wyraz niewytłumaczalnej złości.

– Pomyłka czy męczeństwo, śmierć to śmierć.

Słuchałam go tylko jednym uchem, skupiwszy wzrok na Eli.

– Co ona *robi*? – syknęłam.

– Wygląda na to, że uwodzi mężczyznę, którego parę godzin temu całowałaś nad rzeką.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Zapewne dlatego, że jej się podoba. I dlatego, że ruszałaś się zbyt wolno.

†

– I to – mówiła właśnie Ela, gdy podeszliśmy bliżej – był ostatni raz, kiedy próbowaliśmy przebrać Kossala za nałożnicę. – Pokręciła głową na to zmyślane wspomnienie. – Wystarczy powiedzieć, że nie było gdzie ukryć sztyletu, nie mówiąc już o przyzwoitym mieczu. Ach! – Klasnęła w ręce, jakby dopiero w tej chwili zauważyła moje nadejście. – Otóż i oni. Pyrre! Kossal! Siadajcie i wypijcie z nami kieliszek.

Kossal mnie wyminął, opadł na krzesło i gestem przywołał jednego ze służących.

– *Quey* – powiedział.

– Jedną czarękę? – zapytał młodzieniec.

– Przynieś całą butelkę – odparł Kossal.

Nie zrobiłam najmniejszego ruchu, żeby się zbliżyć. Patrzyłam na Elę. Uśmiechnęła się, a jej doskonale białe zęby błysnęły czerwienią w migotliwym świetle latarni. Wyglądałaby, jakby właśnie przegryzła komuś gardło, gdyby nie to, że przegryzający gardła raczej nie wyglądają tak pięknie i miło.

– Co robisz? – zapytałam.

Ela wyrazistym gestem wskazała Ruca.

– Zabawiam dowódcę Zielonych Koszul z Dombângu. Masz pojęcie, że on pochodzi od Goca My’ego?

– Wiedziałam o tym.

Ruc przeniósł spojrzenie na mnie.

– Towarzyszka z twojego Skrzydła zabawiała mnie właśnie opowieściami o wyczynach Kettralu.

– Doprawdy. – Spojrzałam na Elę. Nigdy nie wtajemniczyłam jej ani Kossala w szczegóły mojej przykrywki, ale skoro śledziła mnie w całym Dombângu, to zapewne podsłuchiwała przynajmniej parę moich rozmów z Rukiem.

– A ty – ciągnął Ruc, zwracając się do Kossala – jesteś zapewne mistrzem od demolki z waszego Skrzydła.

– Nie – stwierdził krótko Kossal, zerkając przez ramię na powracającego z butelką *quey* służącego.

– Czy mogę nalać, panie?

Kossal pokręcił głową.

– Po prostu postaw ją tutaj.

– Nie? – zapytał Ruc, unosząc brwi.

Moje serce biło jak szalone. Dłonie zaczęły się pocić. Kettralowa przykrywka była bardzo solidna. Mogłam ją utrzymywać, nawet pomimo ciągłych nagabywań Ruca. Jednakże Ela i Kossal to była zupełnie inna sprawa.

– Nie zwracaj uwagi na tego starego kozła – powiedziała Ela, machając lekceważąco dłonią w stronę Kossala.

– Prawdę mówiąc – wtrącił Ruc, nie bacząc na ten gest – jestem bardzo ciekaw tego starego kozła. Co masz na myśli, mówiąc „nie”?

Kossal odłożył flet na stół, pociągnął solidnie z butelki, skrzywił się, przełykając, po czym otarł usta wierzchem dłoni.

– Mam na myśli to, że nie jestem z Kettralu – odparł sucho.

Ruc przesunął się lekko z krzesłem, powiększając nieco przestrzeń między sobą a stołem i zapewniając sobie swobodny dostęp do miecza przy lewym biodrze.

– To interesujące – powiedział, spoglądając na Elę, a potem w górę, na mnie. – A przecież twoje towarzyski ze Skrzydła

opowiadały mi takie ciekawe historie...

Poczułam, jakby cała moja praca legła w gruzach, moje plany rozlazły się jak zbutwiałe sieci, a wszystko, co miałam nadzieję w nie złapać, wymknęło się z nich i uciekło. Jeśli Ruc odkrył prawdę, to naszą niepewną współpracę szlag trafił. Nie będzie więcej wypraw łodzią w dalekie rejony delty, aby oglądać ciała pomordowanych, nie będzie więcej pocałunków ani innych okazji do formowania przestrzeni między nami w kształt przypominający miłość. W najlepszym wypadku przestanie mi ufać; w najgorszym – jeśli Kossal ujawni mu, że jesteśmy sługami Ananshaela – postara się ująć nas i skazać na śmierć. Wówczas będę musiała albo uciekać, albo walczyć, a żadna z tych ewentualności nie przybliżył mi ani o krok do zaliczenia Próby.

Ela pochyliła się nad stolikiem w stronę Ruca i mruknęła do niego, przesłaniając usta ręką i puszczając doń oko.

– Kossal bardzo poważnie traktuje bezpieczeństwo misji.

Usiadłam w końcu przy stoliku, ciężko i bez wdzięku, jakby ktoś podciął mi nogi.

– Kossal jest jak pokąsane przez muchy, swędzące końskie jaja – dodałam ponuro. Patrzyłam na Elę, nie na Ruca. – Tak samo jak ty.

Kossal chrząknął. Kątem oka zauważyłam, że znów pociągnął z butelki.

– Pokąsane przez muchy jaja to nie brzmi wcale tak źle – ustąpił.

– W każdym razie prawdziwiej niż Kettral.

Ela spojrzała mi w oczy i uniosła ręce.

– On jest nie do opanowania. Cóż więcej mogę powiedzieć?

– Rzecz w tym – powiedział Ruc – że to miasto ma swój rząd.

A moim zadaniem jest zadbać, by ten rząd pozostał na swoim miejscu. Kiedy więc pojawia się cudzoziemiec, który najpierw twierdzi, że jest z Kettralu, a potem że nie jest, to w moim odczuciu taka sytuacja powinna być przedmiotem czegoś więcej niż zwykłej troski.

Nie wyglądał na zatroskanego. Nie skubał paznokci ani nie przygryzał policzka. Nie podnosił głosu. Dużo wcześniej, jeszcze zanim go poznałam, przestudiował wszystkie tiki i nawyki, które mogłyby przedwcześnie zdradzić jego grę. Każdy z obecnych na tarasie, kto przypadkowo spojrzełby w tę stronę, ujrzałby mężczyznę około trzydziestki, poważnego, lecz odprężonego, opierającego jedno muskularne ramię na oparciu krzesła, a drugą dłoń na kolanie. Ja dostrzegałam pod tą powierzchnią gotującą się przemoc, podobnie jak ławica *qirna* czyha pod gładką powierzchnią oświetlonej słońcem wody.

Ela wydeła wargi.

– Na zwykłą troskę mogłabym się zgodzić, ale na coś *więcej*... – Powachlowała się dłonią. – Chyba dostaję rumieńców – zwierzyła się cicho. – Nie tylko na buzi, ale *wszędzie*.

– Nie widzę żadnych rumieńców – stwierdził Ruc.

– Jasne, że nie! – roześmiała się Ela. – To dla mnie rozkoszny wieczór.

– Może się okazać mniej rozkoszny, kiedy moi ludzie, leżący na dachu po przeciwnej stronie, zaczną tu strzelać z kusz.

– Kusze – mruknęła Ela, znów pochylając się nad stolikiem ze wzrokiem wbitym w Rucę, jakby snajperzy na dachu nie byli przedmiotem żadnej troski. – Jakie to *ekscytujące*. Na kogo polujemy?

– *My* nie polujemy na nikogo.

– *My* raczej tak – wtrącałam.

Ruc pokręcił głową.

– Ludzie na dachu celują prosto w twoją pierś.

– W moją pierś? – Ela podniosła rękę i leniwie przyłożyła palec tuż nad sercem. – Tutaj? – Po chwili przesunęła go niżej, na biust.

– A może tutaj?

– Przestań, do cholery – warknęłam. – Oboje przestańcie. Wiesz równie dobrze jak ja, że nawet dwadzieścia pięć lat treningu na Wyspach nie ustrzeże cię przed bełtem z kuszy.

– Och, nie sądzę, żeby naprawdę mnie zastrzelił – zaprotestowała Ela. – Po prostu w taki sposób się poznajemy.

– Według twego przyjaciela – odparł Ruc, lekkim ruchem głowy wskazując Kossala – nie do końca się to zgadza. Ile można się dowiedzieć o kobiecie, która przez pół nocy cię okłamywała? – Mówiąc to, Ruc patrzył na Elę, ale były to tylko pozory. Ostrze tego pytania skierowane było ku mnie.

Pokręcałam głową.

– Kiedy zrobiłeś się taki nerwowy?

– Był sobie pewien dowódca, pod którym służyłem przed laty – odparł Ruc i wolno obrócił się do mnie – kiedy walczyliśmy w rejonie Pasa. Facet z północy, o białej skórze i oczach nawet bardziej niebieskich od twoich. Miał na imię Collum, ale wszyscy nazywali go Zimnym Collumem. Nie dlatego, że wyglądał na zmarzlaka. Był wielkim mężczyzną i pocił się strasznie. Nazywaliśmy go Zimnym Collumem, bo nic go nie ruszało. Nic nie mogło go wystraszyć. Nic nie mogło przyprawić o drzenie. Lokalne plemiona zasypywały nasz fort strzałami, a Collum stał sobie na

murze, całkowicie odkryty, jakby w ogóle tego nie zauważał. Facet absolutnie nie miał zamiaru martwić się czymkolwiek.

– Brzmi znajomo – powiedziałam, zerkając na Elę.

Uśmiechnęła się.

– Wszyscy kochali Colluma. Wszyscy go podziwiali. Myślał, że jest niezniszczalny, więc wszyscy inni też myśleli, że jest niezniszczalny, więc wszyscy myśleliśmy, że będąc blisko niego, też jesteśmy odrobinę bardziej niezniszczalni.

– Zaczynam podejrzewać, sądząc ze struktury narracji – odezwała się Ela – że w istocie wcale nie był taki niezniszczalny.

Ruc pokręcił głową.

– Pewnego gorącego, mglistego poranka przechadzał się po murach, wrzeszcząc na nas jak zwykle, i jedna z tych małych, używanych w dżungli strzał przeszła mu gardło.

Kossal zaklął cicho. Początkowo pomyślałam, że przejął się śmiercią Colluma – co wydawałoby się dość dziwne – a potem zrozumiałam, że w ogóle nie słuchał naszej rozmowy, tylko usiłował wydobyć przez szyjkę butelki *quey* martwego węża. Najwyraźniej nie uznał opowieści o śmierci Colluma za fascynującą.

– Już rozumiem – powiedziałam, obracając się z powrotem do Ruc. – Uważasz, że powinniśmy bać się tych ludzi, których trzymasz w ciemnościach na dachu. Że powinniśmy być spięci. Powiedziałeś swoje.

– Nie jestem tego całkiem pewien – odparł. – Nie obchodzi mnie, czy jesteście spięci. Nie obchodzi mnie, czy jesteście weseli, przestraszeni czy pijani. Zapytałaś, kiedy zrobiłem się nerwowy. Właśnie wtedy, gdy ujrzałem Zimnego Colluma, jak przekoziółkował za szaniec. To w tamtej chwili uzmysłowiłem

sobie, że podejmowanie ryzyka może się wydawać wspaniałe i służyć za kanwę różnych opowieści, ale kierowanie się tym w zwykłym życiu, nie wspominając już o dowodzeniu wojskiem, jest głównie warte. Przejąłem oddziały po śmierci Colluma i przestaliśmy liczyć na szczęście. To dlatego Annur mianował mnie tutaj dowódcą. I powiem wam coś jeszcze. W tej chwili cała wasza trójka wygląda jak jedno wielkie, pieprzone szczęście; szczęście, któremu mogę położyć kres jednym ruchem ręki.

Słowa były tak spokojne, a ton tak zwyczajny, że gdybym była nieco bardziej rozproszona – na przykład tym, co robił Kossal, wydłubujący patykiem węża z butelki – to mogłabym przeoczyć ogrom tej groźby. Ruc nie zwykł się pysznić. Nie wchodził na ring, nie będąc pewny, że zgniecie przeciwnika na miazgę. Skoro powoływał się teraz na swoją rękę, to znaczyło, że jest absolutnie pewien, że może nas zabić, ale znaczyło też coś jeszcze: że nie chce tego zrobić.

W moim sercu zrodziła się nadzieja, tak gorąca, że niemal bolesna.

Pomimo absolutnej odmowy Kossala, który nie zamierzał wspierać mojej gry, Ruc nie wydał rozkazu swoim snajperom. O mojej desperacji świadczyło to, że uznałam tę niedoszłą egzekucję za obiecujący początek nowego, romantycznego rozwoju sytuacji. Mój umysł szukał oparcia w niepewnych okolicznościach. Po chwili obróciłam się do Kossala.

– Powiedz mu, kim jesteśmy.

Stary kapłan skrzywił się. Zdążył już nabić martwego węża na drzazgę, ale nie mógł go przeciągnąć przez szyjkę butelki.

– I na wszelkie świętości, dlaczego po prostu nie wypijesz reszty

pieprzonej *quey*, skoro tak bardzo pragniesz wyjąć tego węża? – dodałam.

– Powiniennem raczej pozostać trzeźwy – odparł, wciąż skupiony na dotychczasowej czynności – na wypadek, gdybym musiał dzisiaj kogoś zabić.

Ruc przechylił głowę.

– Masz na myśli kogoś konkretnego?

– Jest wiele możliwości – mruknął Kossal. Wskazał na Elę szybkim ruchem głowy. – Zawsze mnie kusilo, żeby zacząć od niej, ale mój bóg nie pochwała ofiar składanych w gniewie lub frustracji.

– Twój bóg? – zapytał cicho Ruc.

Kossal odchrząknął.

– To także i twój bóg. Bóg nas wszystkich. Ananshael.

– Chcesz mi powiedzieć, że jesteś czaszkowiercą – stwierdził Ruc zimno.

Ela wybuchnęła długim, radosnym śmiechem, płynącym z głębi brzucha. Miałam ochotę uderzyć ją w tchwicę.

Kossal po prostu wzruszył ramionami. Wywlekał już węża wolno na zewnątrz.

– Jesteśmy czaszkowiercami – powiedziałam – którzy przypadkiem zaczęli darzyć żywym zainteresowaniem życie społeczne Dombângu.

Nie było sposobu, żeby cofnąć wypowiedziane przez Kossala słowa, a udawanie, że nie padły, nie miało sensu. Jedyne nadzieje były w tym, żeby jakoś je wykorzystać. Jeśli dobrze oceniłam starego kapłana, to nie był bardziej zainteresowany przekonywaniem Ruca do prawdy niż przekonywaniem go do moich kłamstw. Najwyraźniej głównie go obchodziło, co Ruc sobie myśli.

– Kim *chcesz*, żebyśmy byli? – wymruczała kokieteryjnie Ela i zacisnęła usta, jakby rozważała alternatywę. – Czaszkowiercami? Kettralowcami?

Ruc popatrzył na nią przez chwilę, po czym obrócił się do mnie.

Ku swemu zaskoczeniu wybuchłam śmiechem, a całe napięcie minionego dnia spłynęło ze mnie w wielkim spazmie wesołości.

– Mówię prawdę, Ruc – powiedziałam. – Podobnie jak Ela. Kossal jest po prostu starym, zręczliwym sukinsynem, który zbyt serio traktuje wojskowe regulaminy dotyczące nieujawniania naszej tożsamości. – Pokręciłam głową. – Ale jakie to ma znaczenie? Tam, w delcie, *coś* jest. Może są to Vuo Ton, a może *coś* innego, tak czy inaczej musisz to znaleźć i zabić.

Kossal odgryzł już głowę węża, ale powstrzymał się przed jej schrupaniem, po raz pierwszy zainteresowany rozmową.

– O tym właśnie chciałbym pogadać.

Ela spojrzała na Ruca.

– Siedzieliśmy tu przez pół nocy, a ty nawet nie wspomniałeś o waszych przygodach w delcie?

– Ciszej – warknął Ruc.

Ela nie przejęła się ostrzeżeniem. Wszyscy pozostali klienci byli od nas oddaleni o kilka stolików. Pochyliła się do Ruca.

– Jesteśmy świetni w zabijaniu – mruknęła, po czym spojrzała na mnie. – Co zabijamy?

– *Coś*, co potrafiło powyrywać gardła setce uzbrojonych legionistów – odparłam. – *Coś*, co zasadziło fiołki w oczodołach nieboszczyków. *Coś*, co udaje boga.

– To nie bóg – stwierdził Ruc.

Kossal upchnął na poły przezutą głowę węża w zagłębienie

policzka.

– Jednak kobieta w tamtej chacie tak właśnie sądziła.

Ruc odwrócił się i przyjrzał uważnie staremu kapłanowi.

– Śledziłeś nas w Tamie?

– Chodzimy za nią *wszędzie* – powiedziała Ela. – Ja na przykład byłam przy waszym pierwszym spotkaniu w łaźni.

Ruc był chyba najbardziej niewzruszoną osobą, jaką znałam. Widziałam, jak oberwał pałką w brzuch i ledwo się skrzywił, ale nie przywykł do takich osób jak Ela czy Kossal. Jego panowanie nad sobą, zwykle absolutne, zaczynało się kruszyć, choć tak niezauważenie, że tylko ja zdołałam to dostrzec.

– A ty mnie nawet nie zauważyłeś. – Ela pokręciła z żalem głową.

– A co ty robiłaś w łaźni?

Kapłanka rozłożyła ręce.

– Pyrre jest więcej niż uzdolniona we wbijaniu ostrej stali w ciała wrogów naszego kochanego cesarstwa, ale czasem – mrugnęła do niego porozumiewawczo – trzeba też mieć pod bokiem kobietę, która potrafi cały świat rozsadzić. – Przeciągnęła ostatnie słowo, układając wargi w kształt O przy pierwszej samogłosce.

– A więc i ty zajmujesz się demolką – powiedział Ruc.

– Wolę mówić ludziom, że jestem od pożarów.

– Ona jest kapłanką – wtrącił zirytowany Kossal. – Ja jestem kapłanem. Ona zaś... – wymierzył we mnie paluch – jest akolityką naszego boga. A teraz – zwrócił się do Ruca – czy moglibyśmy omówić to, co widzieliśmy na transportowcu?

– Dlaczego tak się przejmujesz transportowcem, skoro nie zależy ci na Dombângu? – spytał nieufnie Ruc.

– Zależy mu – powiedziałam. – Jest przecież kettralowcem. Walczył za Annur przez ostatnie pięćdziesiąt lat, ale po poprzednich pokoleniach odziedziczył sztywne podejście do procedur tajności, co oznacza, że nigdy nie powie ci, że jest z Kettralu, choćbyś przywiązał go do stolika i podpalił.

– Czego nie radzę czynić – skwitowała Ela.

– Przejmuję się tym, co stało się na transportowcu – ciągnął Kossal, jakbyśmy w ogóle się nie odezwały – bo każdy, kto wydziera gardła uzbrojonym ludziom, jest sługą mego boga, i to znakomitym, a ja zawsze chętnie spotkam się z moimi braćmi w wierze.

Ruc pokręcił głową.

– Ludzie, którzy wyrwali tamtym gardła, czczą starych bogów tego miasta: Kem Anh, Hanga Loca, Sinna.

– Starym bogiem jest Ananshael. Tamci to uzurpatorzy.

– Co do tego możemy się zgodzić – powiedział Ruc. – Ale ci uzurpatorzy okazują się zadziwiająco wytrwali. Ludzie z delty czcili ich od tysiącleci, odkąd istnieją przekazy, a nawet dawniej. Przynajmniej od czasu założenia Dombângu podczas wojen z Csestriimami, jeśli wierzyć mitom. Annur zdelegalizował ten kult, ale najwyraźniej wszystkie legie, które wysyłał, nie zdołały sobie poradzić z tą pradawną trójcą.

Kossal zabębnił palcami po stoliku, jego wzrok spoczął na połówce węża, którą odłożył sobie na boku, podniósł ją i wbił zęby w łuskowatą skórę.

– Pójdziemy – obwieścił z pełnymi ustami.

– Dokąd? – zapytał Ruc.

– Z tobą. Do delty. Żeby spotkać się z Vuo Ton.

Ela znów się roześmiała. Na poły ją znienawidziłam, ale

poczułam się też upojona tym śmiechem.

– Chcesz pomóc? – zapytał Ruc. – Skoro jesteś czaszkowiercą, to co cię, do cholery, obchodzi Dombâng?

– Nie obchodzi mnie – odrzekł Kossal, przerywając na chwilę zucie, żeby ostrym drewnikiem wyciągnąć kość spomiędzy zębów.
– Ale obraża mnie, gdy słyszę, że czegoś nie da się zabić. Na mego boga, jestem skłonny znaleźć ich i pozabijać.

– Jeszcze przed chwilą zamierzałeś odnaleźć swoich braci w wierze. Teraz chcesz zamordować nieśmiertelnych uzurpatorów. To jak?

– Kult ten – zaczął Kossal – jest monetą, która ma dwie strony: zabijanie i umieranie. Jestem tu po to, żeby zadbać, by każdy mógł mieć udział i w jednym, i w drugim.

Ruc przyglądał mu się przez chwilę, a potem pokręcił głową.

– Na słodkie światło Intarry – mruknął, po czym odwrócił się do mnie i wyjątkowo obdarzył szczerym spojrzeniem swoich zielonych oczu. – Dlaczego wydaje mi się, że moje życie byłoby dużo łatwiejsze, gdybym cię nie spotkał?

Zmarszczyłam brwi.

– Spróbuję to uznać za komplement.

Zaśmiał się krótko.

– Powiedzmy sobie szczerze, że niezbyt wielu ludzi potrafi mnie zadziwić, ale wasza trójka... – Tu przerwał, po raz pierwszy nie znajdując słów.

Zadziwienie. Powtórzyłam to słowo w myślach. Czy zadziwienie może przerodzić się w miłość? Brzmiało to dość prawdopodobnie. Może nawet bardziej niż prawdopodobnie, gdybym spaliła większy kawałek tego miasta.

– Zawsze możesz zastrzelić nas później – zasugerowała Ela radośnie.

– Gdybym zastrzelił was od razu, to nie musiałbym potem oglądać się za siebie.

– Gdybyś zastrzelił nas od razu, to nie miałbyś nas do pomocy – zauważyłam.

– Kiedy wpadłaś na pomysł, że potrzebuję pomocy?

– Kiedy zobaczyłam, jak twoi ludzie rzygają na transportowcu – odparłam. – Z czymkolwiek walczysz, Zielone Koszule nie sprostają temu zadaniu.

– Mam też legie.

– Te same legie, które spaliliśmy i rzuciliśmy rybom na żer?

Twarz Ruca nagle stężała.

– Nie ufam wam.

– Więc nam nie ufaj – powiedziałam. – Już wiesz, co musisz wiedzieć. Czaszkowiercy czy Kettral, jesteście doskonali w zabijaniu...

– Ty jesteś – przerwał. – Co do pozostałej dwójki, to widziałem tylko, że potrafią pić i flirtować.

– Kobieta nie może podrzynać gardeł przez cały boży dzień – zaoponowała Ela.

Napotkałam spojrzenie Ruca.

– Oceniałeś już wystarczająco wielu wojowników.

Wciągnął powietrze przez zęby, a potem pokręcił głową.

– Czuję się jak Zimny Collum na murach.

– Chętnie byś się gdzieś skulił? – zapytałam.

– Tak. Chętnie bym się gdzieś skulił.

Uśmiechnęłam się, pewna swego.

– Nie, nie zrobiłbyś tego.

Znów chciałam go ucałować. Całe moje ciało tęskniło do tego, by pochylić się ku niemu, ująć go pod brodę i przyciągnąć do siebie.

– Powinieneś ją pocałować – zaproponowała radośnie Ela, kopiąc go pod stolikiem w pizczel.

– Chyba wystarczy, bo już pół nocy spędzili na całowaniu – burknął Kossal.

– Pyrre! – Ela zwróciła się ku mnie. – Ty sprytna mała lisico. Kiedy zamierzałaś mi o tym powiedzieć? Jakie to smakowite. Coś rozdziera ludziom gardła oraz rozkwitający romans! – Zamruczała z zadowoleniem. – Dombâng to doprawdy miasto miłości.

Do rana żaden z ukrytych przez Ruca kuszników nie strzelił do nas, co uznałam za dobry sygnał; z drugiej strony Ruc do samego końca, kiedy wreszcie opuścił taras tawerny, nie podzielił się z nami bliższymi szczegółami swego planu.

– Czekaście tutaj – powiedział, wstając z krzesła. – Przyślę po was kogoś, gdy przyjdzie pora.

– Dokąd idziesz? – zapytałam.

– Przygotować parę rzeczy.

– Powiesz nam jakich rzeczy?

Potrząsnął głową.

– Nie.

– Misja przebiega najlepiej wtedy, gdy wszyscy w zespole znają cele, zasoby i taktykę – zauważyłam.

– Celem jest znalezienie Vuo Ton i wyciśnięcie z nich prawdy – odparł Ruc. – Chua Dwie-Sieci i wy troje jesteście naszymi zasobami. Czy właśnie na to tak mocno nalegaliście przez pół nocy?

– Liczyłam na nieco więcej szczegółów – powiedziałam. – Jak na

przykład planujemy wycisnąć prawdę z Vuo Ton?

– Lubię szczegóły. Niestety, ponieważ poza Chuą nikt nie widział tej tajemniczej osady Vuo Ton, to kiedy tam dotrzemy, będziemy zmuszeni do improwizacji, a w praniu wiele założeń okaże się do dupy.

Ela promieniała.

– Kocham improwizować.

Ruc nie zwracał na nią uwagi, lecz przyglądał mi się uważnie.

– To jest właśnie specjalność Kettralu, prawda? To w tym jesteście dobrzy.

Skinęłam głową, a Kossal, znużony lub zirytowany, przetarł dłonią oczy.

– Nie jesteśmy żadnym Kettralem – rzucił.

17

Przez cały dzień patrzyłam z tarasu Tańca Anho, jak Dombâng się burzy. Miasto, podobnie jak przecinające je kanały, na powierzchni wyglądało dość spokojnie: ludzie krzątali się w interesach i powszednich sprawach swego życia, tłoczyli się na mostach i chodnikach, przeciskali kanałami w wąskich łodziach, posłuszni rytmowi pracy i handlu, zabawy i wypoczynku. Jednakże, jeśli posiedziało się dłużej, obserwując ów nurt życia, można było ujrzyć pod jasną, nieskazitelną powierzchnią niespokojną głębię.

Ludzie zbyt często oglądali się przez ramię, nawet w środku dnia. Kiedy rozmawiali, nachylali się bliżej ku sobie, zniżali głos, miarkowali słowa. Gdy przybyliśmy do miasta, większość ludzi krzątała się w pojedynkę; teraz poruszali się w grupkach trzy- lub czteroosobowych, nawet gdy nie było po temu wyraźnej potrzeby. Ruc zakazał noszenia mieczy, ale najwyraźniej każdy miał przy sobie nóż, niektórzy na widoku, w pochwie u pasa, inni niezbyt udatnie ukrywali go pod kamizelką lub spodniami. Nie skrywano emocji. Widziałam, jak dwie kobiety usiłowały wydrapać sobie oczy z powodu rozbitego garnka, a jakiś mężczyzna wepchnął drugiego do kanału tylko dlatego, że ten nie ustąpił mu z drogi. Dzieci biegały dzikimi bandami po zaułkach i mostach, wyśpiewując słowa zakazanych pieśni i nie bacząc na krzyki rodziców. Nie rozumiały, co naprawdę się dzieje, ale czuły w powietrzu zapach rozkładu.

Rankiem następnego dnia po tym, gdy Ruc nagle się ulotnił, wstałam przed świtem, spryskałam się wodą, a potem ruszyłam na taras, gdzie usiadłam nad kubkiem gorzkiej *ta*. W dole, w kanale, białopłetwa ryba wypłynęła z mrocznej otchłani, by łapać przelatujące nad powierzchnią muchy, a potem znikła w głębinie jak myśl albo wspomnienie, coś straconego na zawsze. Niebo, jasne i ciężkie, tkwiło nad tekowymi dachami jak sufit. Dzień był gorący, a zapowiadał się jeszcze gorętszy.

– Czy byłoby to takie straszne, gdybyś spróbowała zakochać się w kimś trochę sprawniejszym?

Kossal podszedł do mnie jak zwykle tak cicho, stąpając bospo po deskach tarasu, że zupełnie go nie zauważyłam. Klapnął na krzesło naprzeciw mnie.

– On jest sprawny – odparłam. – Zastanawiam się tylko, *czym* się teraz tak sprawnie zajmuje.

– Wypłynął w deltę bez nas?

Zawahałam się, a potem pokręciłam głową.

– To nie w jego stylu. Gdyby nam nie ufał, nie zostawiłby nas samych, żebyśmy pod jego nieobecność wzniecili w mieście pożar.

– W takim razie co, do jasnej rzyci, robi? Załadowanie łodzi zaopatrzeniem nie zajmuje dwóch dni.

– Powinnam była go śledzić.

Stary kapłan popatrzył na mnie tak, jakbym nagle zaczęła się ślinić na stolik.

– Powinnaś raczej zająć się swoją pracą, zamiast marnować czas na kombinowanie, co by tu zrobić. W Próbie Ananshaela zostało coś więcej niż tylko dwie ostatnie linijki.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, zbliżył się do nas młody służący.

O ile dobrze pamiętałam, miał na imię Vet. Parę dni wcześniej Ela zwabiła go do swego łóżka, jednak Ela jeszcze nie wstała, bo zwykle spała do południa. Posłał mi chytry uśmiezek, który sugerował, że gdybym zechciała, to on z pewnością dotrzymałby tajemnicy. Kossal jednak, jak było do przewidzenia, zepsuł nastrój.

– Przynieś mi *ta* – polecił chłopakowi – i coś, co nie śmierdzi rybą.

– Już się robi – mruknął Vet, po czym zwrócił się do mnie: – Czy coś dla młodej pani?

Jego porozumiewawczy uśmiech sugerował, że lista dostępnych opcji wykracza znacznie poza ofertę kuchenną.

Pokręciłam głową.

– Może później. – Posłał mi jeszcze jeden uśmiech, po czym się odwrócił.

Obserwowałam, jak lawirował między stolikami. Nietrudno było się domyślić, co Ela w nim polubiła. Zbudowany był jak posąg, miał mocną szczękę i szerokie ramiona. Nosił też rozpiętą kamizelkę, podobnie jak reszta służących, aby pokazać wyrzeźbione brzuch i pierś. A ten uśmiech... był zarazem zwodniczy i dodający otuchy. Jakie byłoby to uczucie, gdybym zsunęła zeń kamizelkę i pozwoliła jego dłoniom wędrować po moim ciele? Jak brzmiałby jego głos w moim uchu? Czy byłoby możliwe zmienić zwykłe pożądanie w coś, co mogłabym uznać za miłość? *Ktoś* mógłby go pokochać; byłam tego pewna, tak jak pewna byłam, że tym kimś nigdy nie będę ja. Choćby miało od tego zależeć moje życie, nie potrafiłabym powiedzieć dlaczego.

Obróciłam się do Kossala.

– Nieważne, że już nikogo więcej nie oddałam bogu. Nie ma to

większego znaczenia. Jeśli nie wypełnię nakazu ostatnich dwóch linijek – powiedziałam cicho – poniosę porażkę.

– Czasem taka porażka jest wyrazem pobożności.

– To nic nie znaczy.

– Nasze ciała odchodzą – wskazał na siebie – a potem nasze umysły. Porażka dowodzi, że jesteśmy śmiertelni.

Potrząsnęłam głową.

– Nie.

Kossal nie odpowiedział. Przyglądał mi się szeroko otwartymi oczyma, a jego źrenice były spokojne, o wyrazistych konturach, jakby ktoś wykroił je nożem z tęczówek. Wykorzystałam tę ciszę.

– Zaliczyłeś swoją Próbę. Ela także. Nikt wam nie mówił, że macie ponieść porażkę w imię pobożności.

– Było to trzydzieści pięć lat przed twoim urodzeniem – powiedział kapłan cichym głosem. – Nie masz pojęcia, co mi wtedy powiedziano.

– Wiem, że jesteś *tutaj* – rzuciłam. – Przetrwałeś.

– Przetrwanie – powtórzył. – Co przyjdzie Władcy Grobów z naszego przetrwania?

Patrzyłam na niego w zdumieniu.

– Więc po co to *robimy*? To wszystko? Po co te pieśni, treningi, Próby? Dlaczego po prostu nie poderżniemy sobie gardeł i załatwione?

Było to pytanie, które od lat wzbierało w mojej piersi, od chwili, gdy zjawiłam się w Rassamburze. Nigdy nie wątpiłam w Ananshaela. Miłosierdzie i sprawiedliwość boga były dla mnie oczywiste jak niebo. Nie chciałam nic więcej, tylko służyć takiemu władcy, a jednak było w tej służbie coś, co zawsze z trudem

próbowałam zrozumieć. Moi bracia i siostry każdego roku oddawali bogu tysiące dusz. Więcej nawet, na dziesiątki sposobów ofiarowywali samych siebie. Nie było miesiąca, żeby któreś z jego sług nie skoczyło z urwiska albo nie wypilo spokojnie zatrutej zawartości czarki. *Kiedy bóg wzywa, to słuchaj*, mawiamy w Rassamburze. A jednak to wszystko wydawało mi się swego rodzaju... marnotrawstwem. Skoro Ananshael chce nas mieć, a my chcemy mu się oddać, to przecież najprostszą drogą posłuszeństwa byłoby samobójstwo.

Był to paradoks. Oczekiwało się od nas zabijania i umierania z uśmiechem na ustach, ale nigdy pośpiechu. Kilka razy poruszałam w Rassamburze tę kwestię i nigdy nie otrzymałam sensownej odpowiedzi. Były setki aforyzmów i żadnych porządných odpowiedzi, tylko mętne teksty w rodzaju *pszenica sama nie znajdzie kosy*. Po jakimś czasie przestałam pytać. Rassambur był pięknym miejscem do życia. Słońce jasno świeciło, powietrze jaśniało błękitem, a ja byłam młoda i silna. Powtarzałam sobie, że któregoś dnia zrozumie.

Nagle zaczęło się to wydawać mniej prawdopodobne.

Miałam umrzeć. Kiedy mój czas upłynie, Kossal i Ela otworzą mi żyły i wyleją moją krew do któregoś z kanałów Dombângu, a ja wciąż nie będę rozumiała elementarnych podstaw mojej wiary.

– Każdego roku żyjemy – szepnęłam – a każdy *dzień* jest zwykłym odroczeniem, rezygnacją z naszej wiary. Masz rację. Po co w ogóle *starać się przetrwać*?

Patrzyłam w dół na przepływającą wodę. Łatwo byłoby przejść przez poręcz, stoczyć się w dół, przebić powierzchnię wody z krótkim chlupnięciem, a potem pograć się w głębinie i pozwolić

nurtowi ponieść się do morza. Widziałam kiedyś w Sia utopioną kobietę, która leżała twarzą w dół na płyciźnie przy brzegu jeziora, z suknią rozpostartą wokół jak płatki kwiatu i z rękami rozłożonymi tak, jakby miała zamiar pofrunąć. Nigdy nie widziałam równie pięknego ciała.

– Przetrawanie nie jest życiem – odparł cicho Kossal.

Spojrzałam na starego kapłana.

– Nie wiem, co to znaczy.

– Co oddajemy bogu?

– Naszą jaźń. Nasze życie.

– A jaki rodzaj życia chcesz mu oddać, jaki rodzaj jaźni?

Usiłowałam znaleźć odpowiedź pasującą do pytania, ale mi się nie udało.

– A twoim zdaniem dlaczego, w moim wieku, wciąż chodzę po tym cholernym kontynencie? Co twoim zdaniem robię w tym nędznym mieście? – Machnął ręką, wskazując otaczającą nas tawernę. – Całe to miejsce śmierdzi zupą.

Zawahałam się.

– Ela twierdzi, że robisz to dla niej. Bo lubisz być przy niej.

– Dla *niej*? Bo *lubię* być przy niej?

– Tak powiedziała.

Kapłan wyglądał, jakby zamierzał splunąć.

– Ta kobieta jest dla mnie codzienną udręką – wycedził wreszcie.

– *Ona* udręką? – byłam tak zbita z tropu, że nie mogłam znaleźć słów. – Przez całą drogę z Rassamburu Ela była miła, radosna, ciekawa świata... a ty co? Stary drań z kamieniem w nerce. Za każdym razem, gdy gdzieś siadaliśmy, wyglądałeś, jakby ktoś nasikał ci do *quey*. Przestajesz się krzywić tylko wtedy, gdy grasz

na flecie.

– Gram na flecie, żeby się powstrzymać od zabicia tych, których nie powinienem zabijać – powiedział Kossal.

– A na jakiej liście to figuruje? – zapytałam. – *Zabić?* czy też *Nie zabić?*

Zmrużył oczy pod krzaczastymi brwiami. Potem, ku memu zdumieniu, wybuchnął długim, serdecznym śmiechem. Zerknęłam przez ramię, ale na tarasie byliśmy prawie sami.

Kossal w końcu przestał się śmiać.

– Jest tylko jedna lista, moje dziecko – powiedział.

Pokręciłam głową.

– Jakaż to?

– Tych, którzy się liczą. Tych, którzy nie są tylko scenerią. Tych, którzy uczynili z przetrwania sposób życia.

– Po cóż miałbyś ich zabijać?

Uniósł brwi.

– Bo życie, Pyrre, jest dużo trudniejsze od przetrwania.

– A Ela sprawia, że czujesz się żywy.

– I to mnie niewyobrażalnie wyczerpuje.

Zamilkliśmy, gdy Vet wrócił z parującym czajnikiem, nalał Kossalowi *ta*, po czym wycofał się, wciąż zerkając na mnie. Zastanawiałam się, jak wyglądamy w jego oczach: pewnie jak zwykły stary mężczyzna z młodą kobietą, a nie żadni słudzy Ananshaela. Moglibyśmy rozmawiać o czymkolwiek – o wyczynach pijanego krewniaka, o tym, że ktoś wpadł do kanału, o śmiesznych cenach ognistych owoców – o wszystkim, tylko nie o cienkiej jak jedwabna nić granicy oddzielającej życie od śmierci. O czym myśli większość ludzi, wstając rano z łóżka? Najprawdopodobniej

o wysikaniu się i kawie. Może o pracy, jaka ich czeka tego dnia. Był to smutny sposób życia – błady i bez wyrazu.

– Jak myślisz, co znajdziemy tam, w delcie? – zapytałam wreszcie.

Kossal zamieszał *ta* w kubku, pociągnął łyk, zacisnął wargi, po czym spojrzał na mnie.

– Nie wiem.

– A gdybyś miał *zgadywać*, to co byłoby na pierwszym miejscu?

– Już wiele lat temu nauczyłem się, że zgadywanie nie najlepiej mi wychodzi.

– Czyli przestałeś zgadywać? Nie masz żadnych oczekiwań?

Stary kapłan skinął głową.

– Pracowałem wystarczająco dobrze przez ostatnie pięćdziesiąt lat albo coś koło tego.

Przyjrzałam się uważnie jego ogorzałej od wiatru skórze i spokojnym, silnym dłoniom.

– Kłamiesz.

Uniósł brwi.

– Kłamać też przestałem. Moje kłamstwa nie były wiele lepsze od zgadywania.

– Ale jesteś ciekaw – nalegałam. – Uważasz, że jest tam coś, z czym warto walczyć.

– Walczyć? – Kossal zmarszczył brwi. – Nie lubię walczyć.

– Co warto zabić.

Wzruszył ramionami.

– Serce samo nie znajdzie drogi, żeby wyrwać się z piersi, a na tamym statku pełno było wyrwanych serc.

– Myślisz, że to Vuo Ton?

Znów wzruszył ramionami.

– O Vuo Ton po raz pierwszy usłyszałem parę dni temu. O ile wiem, to grupa żywiących się bulwami pacyfistów. Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

– A ty *zamierzasz* się przekonać. – Pokręciłam głową. – Co oznacza, że twoim zdaniem to nie Vuo Ton. Myślisz, że to ci bogowie z delty.

Kossal przyglądał mi się przez obłoczek pary wznoszącej się z jego wielkiego kubka.

– Jeżeli *jest* tam coś innego niż banda idiotów z nożami i interesującym mitem, to było tam już od bardzo dawna.

– Rzeczywiście sądzisz, że bogowie tego miasta istnieją naprawdę?

– W to wątpię. Ale są też inne istoty niż bogowie, które nie potrafią umrzeć bez odpowiedniej zachęty.

– Masz na myśli Csestriimów.

Wprost nie do wiary, że zaczęliśmy rozmawiać o takich rzeczach. Mimo całego swego nieprawdopodobieństwa bogowie Dombângu byli ludziom znani. Sama dorastałam z ich imionami na ustach, a moje dłonie obeznane były z niezgrabnymi kształtami ich figurek. Csestriimowie jednakże, pomimo wielu świadectw historycznych, pomimo tego, co twierdził Kossal, który utrzymywał, że ich spotkał i zabił, wydawali się istotami z baśni, nieśmiertelnymi wrogami ludzkiej rasy, wytrzebionymi ze wszystkich zakątków świata tak skutecznie, jakby wcale nie istnieli.

– Csestriimów – ciągnęłam – ukrywających się w shirviańskiej delcie i udających bogów.

– No, nie, niekoniecznie aż tak. Ale jeśli tam są, to już bardzo

długo okpiwali Ananshaela.

– A jeśli to nie oni?

Kossal pociągnął łyk *ta*.

– Wtedy zastanowimy się, czy niektórzy z tych Vuo Ton zasługują na to, by oddać ich naszemu bogu.

Mówił o tym zupełnie zwyczajnie, zarówno o Csestriimach, jak i o codziennych sprawach swojej religii.

– Jak decydujesz? – zapytałam, wspominając kapłankę Eiry i kilka kropli jej krwi, które skapnęły mi na dłoń, gdy kładłam ją na świątynnej posadzce.

– Zakładam, że jest jeszcze druga część tego pytania.

– Jakie ofiary składać? Na świecie jest przecież mnóstwo ludzi. Nawet w Dombângu... – Przerwałam, wyobraziwszy sobie kanały zatłoczone łodziami, wioślarzy pokrzykujących do siebie nawzajem, kobiety i mężczyzn tłoczących się na drewnianych chodnikach, wychylających się z okien tekowych domów, krzyczących na rozpychające się dzieci. – Nie możesz pozabijać ich wszystkich – podsumowałam wreszcie.

– Niektórzy kapłani próbowali.

Otworzyłam oczy w zdumieniu.

– Naprawdę? I co się stało?

– Nie udało im się.

– Domyślam się.

– Ludzie zauważają, co robisz, kiedy idziesz od budynku do budynku, ulica za ulicą, podrzynając gardła. Zaczynają protestować.

– Jeśli jednak nie postępujesz w ten sposób, to jak decydujesz? – nalegałam. – Siedząc tutaj, w tym miejscu, widzimy tysiące

przechodzących ludzi. Na samym tarasie są teraz dobre dwa tuziny. A żadnego z nich nie zabiłeś.

– Dwóch – odparł Kossal.

– Proszę?

– Zabiłem dwóch.

Rozejrzałam się po tarasie. Ludzie popijali spokojnie swoją *ta* lub sok, sami lub w grupkach po dwóch albo trzech. Nikt chyba nie umierał. Obróciłam się do Kossala, zastanawiając się, czy żartował.

– Nie widzę żadnych ciał.

Oddalił to zastrzeżenie lekceważącym machnięciem ręki.

– Trucizna potrzebuje trochę czasu.

Bez żartów, pomyślałam. Miałam wrażenie, że to już koniec rozmowy, lecz po dłuższej chwili Kossal podjął wątek, mówiąc cichym, mrukliwym głosem:

– Pobożność to nie system, Pyrre. Mijasz setkę ludzi, tysiąc, i nic. A gdy mijasz tysiąc pierwszego, czujesz nagle, że bóg patrzy twoimi oczyma i przejmuje władzę nad twymi członkami. Sposób, w jaki odczuwasz wolę boga, nie jest takim samym sposobem, w jaki rozpoznajesz wielkość placu albo dystans dzielący cię od Annuru. To nie jest kwestia faktów ani równań. Nasza pobożność nie jest listą obowiązków.

Pokręciłam głową.

– Trochę podobnie Ela opisuje sprawy miłości.

Ku memu zdziwieniu Kossal skinął głową.

– Rzeczywiście. Śmierć i miłość są dziełem boga, choć ograniczonym do śmiertelnego ciała.

– Jak odróżnić jedno od drugiego?

Kossal zakręcił *ta* w kubku i wpatrzył się w miniaturowy wir na

dnie.

– Nie jestem pewien, czy to w ogóle możliwe.

18

Posłaniec Ruca pukał nerwowo do moich drzwi, budząc mnie z niespokojnego snu w gorącej, dusznej porze między północą a świtem. Śnili mi się Ruc i Ela, oboje nadzy, objęci, z zamkniętymi oczyma, zatopieni w rozkoszy ciasno wtulonych w siebie ciał. Wołałam do nich, ale mnie nie słyszeli albo nie chcieli odpowiadać.

Usiłowałam się do nich zbliżyć, ale byłam do czegoś przywiązana i wielokrotnie owinięta liną. Kiedy ponownie spojrzałam, dostrzegłam, że Ruc leży na wznak, a Ela siedzi na nim okrakiem i sięga, żeby przyciągnąć go mocniej do siebie... Nie, sięga, żeby go udusić. Obejmuje palcami jego szyję, a jej plecy wyginają się z rozkoszy. Nie mogłam ocenić, czy Ruc się wytężał, by się uwolnić czy żeby lepiej jej dogodzić.

On nie wie, myślałam. Nie wie, kim ona jest i co mu robi. Krzyknęłam, ale knebel stłumił mój krzyk. Cisza.

Chciałam sięgnąć po nóż, a on natychmiast znalazł się w mojej dłoni. Tak prędko, jak zdołałam, uwalniałam się, przecinając liny, tnąc desperacko ich grube, szorstkie zwoje, skupiona tylko na tym, by się z nich wydostać i powstrzymać kapłankę, zanim udusi Ruca. Kiedy ostatnie pęta opadły, rzuciłam się naprzód przez nieokreśloną przestrzeń. Gdy dopadłam do ich ciał, okazało się, że są ciche, zakrwawione, martwe. Głowa Eli leżała na muskularnej piersi Ruca, a sploty jej ciemnych włosów przesiąknięte były krwią. Ktoś ich zasztytował, kłując wielokrotnie. Kiedy spojrzałam

w dół, ujrzałam, że nóż w moim ręku ocieka krwią. Jej krople kapały na podłogę, kap, kap, kap, w takt jakiejś muzyki, która jeszcze nie rozbrzmiała albo już umilkła.

Gdy dotarliśmy do nabrzeża przy fortecy Zielonych Koszul, wizja zbladła, lecz pot wciąż pokrywał moje dłonie i pierś; moje serce zaś, zwykle tak równo i spokojnie bijące, podeszło mi do gardła, gdy zza beczek na pomoście wyszła Chua. Nie był to dobry zwiastun dnia, który i tak nie zapowiadał się łatwo.

Kobieta przyniosła złożoną starannie sieć i dwie rybackie włócznie, dorównujące długością jej wzrostowi. Miała też przypasany do uda cienki nóż do filetowania, a w pochwie na drugim udzie widniał dłuższy i cięższy nóż do krojenia. Był to standardowy zestaw narzędzi rybaka wyruszającego na teren delty. Jej kamizelka i spodnie nie były jednak typowe. Większość rybaków pracujących na kanałach Dombângu nosiła ubrania z bawełny, a jeśli mogli sobie na to pozwolić – lekkie stroje z jedwabiu, które były najbardziej przewiewne w popołudniowym upale. Ubranie, które miała na sobie Chua, wydawało się błyszczeć w świetle nadbrzeżnych latarni, zmieniać się i wić przy każdym ruchu. Chwilę trwało, nim uświadomiłam sobie, że jej spodnie i kamizelka zrobione były ze specjalnego rodzaju skóry: węża, a może krokodyla, z czegoś, co miało ciemne, połyskliwe łuski.

Gdy zauważyła, że przyglądam się jej ubraniu, przeciągnęła ręką po skórze.

– Zabezpiecza przed tnącą trzcina – powiedziała – oraz przed większością tego, co ma kły.

– Musi być w tym gorąco.

– Jeśli jest ci gorąco – odparła, patrząc na mnie ciemnymi,

błyszczącymi oczyma – to znaczy, że wciąż żyjesz.

– Ja zaś nie cierpię, gdy jest mi za gorąco – oznajmiła Ela. Kapłanka, inaczej niż rybaczka, ubrała się na wyprawę znacznie mniej praktycznie, choć przynajmniej zmieniła swoje tradycyjne *kipan* na lekkie jedwabne *noc* i górę bez rękawów. Jedno i drugie raczej nie mogło zabezpieczyć przed tnącymi trzcinaми i tym, co ma kły. – Ty z pewnością jesteś Chua. – Zrobiła krok w jej stronę i obdarzyła ją uśmiechem. – Pyrre mówiła, że masz wielkie umiejętności.

Starsza kobieta spojrzała na nią jak na jakąś egzotyczną rybę wyciągniętą na pokład, a potem zerknęła na mnie.

– Ona ma być z Kettralu? – zapytała nieufnie. – Gdzie w takim razie ma broń?

– Broń? – Ela otworzyła szeroko oczy i posłała mi spanikowane spojrzenie. – Pyrre! Czyżbyś zapomniała o broni?

– Ona może na to nie wygląda – powiedziałam, ignorując popisy kapłanki – jednak należy do Kettralu.

– Ale czymże jest Kettral bez *broni*? – ciągnęła Ela. – Zapomniałam moich ciężkich mieczy z gospody.

– Mniej hałasu – warknął Ruc. – Wyruszamy przed świtem, bo nie chcemy, żeby całe miasto wiedziało o naszej wyprawie.

– To nie miastem powinienes się martwić – stwierdziła Chua.

– Na szczęście jestem dobry w martwieniu się kilkoma rzeczami naraz – powiedział Ruc spokojnym tonem.

Nadrabiał z nawiązką brak broni u Eli: miał krótki miecz przy jednym boku, sztylet przy drugim oraz kuszę przewieszoną przez plecy. Gestem wskazał wąską łódź z poszerzaną rufą przycumowaną do nabrzeża. Przy wiosłach siedziały dwie Zielone

Koszule. Ich twarze skrywał cień.

– Kim oni są? – zapytał Kossal.

– To Dem Lun i Hin – odparł Ruc. – Zajmą się wiosłowaniem.

Chua przyjrzała się im sceptycznie.

– Są żołnierzami, nie rybakami.

Bliższy żołnierz obrócił się. Był starszy, niż myślałam, niemal w tym samym wieku co Chua.

– Wybacz pani, ale obaj wychowaliśmy się, łowiąc ryby w zachodnim kanale, ja i Hin.

– Nie płyniemy na zachodni kanał.

Dem Lun skinął głową.

– Jasne, psze pani. Ale woda to woda. Obaj pamiętamy, jak ciągnąć za wiosła.

– Wdzięczna jestem za pomoc – oznajmiła Ela. – Nigdy w życiu nie wiosłowałam, a poza tym pół nocy spędziłam na zabawie. – Lekko przeskoczyła na rufę łodzi i podczas gdy my szukaliśmy dla siebie miejsc na drewnianych ławach, zasiadła między wiosłarzami.

Kiedy wsiadaliśmy, inny żołnierz przyturlał dwie niewielkie drewniane beczułki i umieścił je na rufie, tuż przy sterze.

– Co tam jest? – zapytałam.

– Zaopatrzenie – odparł Ruc.

– Zechciałbyś wyrazić się dokładniej?

Potrząsnął głową, odwiązując linkę cumowniczą.

– Nie.

Bez zbędnych słów postawił stopę na pawęży, odepchnął się od pomostu i zwinnie wskoczył do łodzi.

Gorąca i słona nocna mgła powlekła miasto, zasnuwając mosty i groble, rozmywając czerwone światło latarni. Dem Lun i Hin

wiosłowali w milczeniu, bezgłośnie zanurzając wiosła w wodzie i z lekkim szmerem wyciągając je na końcu każdego pociągnięcia. Płynąc na południe, minęliśmy parę tuzinów łodzi, rybaków wracających z połowu, niskie barki towarowe, wypełnione skrzyniami i beczkami aż po reling, oraz jeden szeroki stateczek wycieczkowy z lampionami na dziobie i rufie, na którym hulaszce towarzystwo wytrwale dopijało resztki wina, wyrzaskując w noc pijackie pieśni.

Słońce rozświetliło już niebo na wschodzie, gdy minęliśmy ostatnie zabudowania Dombângu. Chwilami sitowie wysokie jak domy otaczało nas zupełnie. Gdyby nie smugi dymu na niebie za nami, moglibyśmy odnieść wrażenie, że nagle, pomiędzy jednym a drugim pociągnięciem wiosel, miasto zapadło się w muł, wraz z setkami tysięcy dusz, z wszystkimi ich nadziejami i całą nienawiścią. Niebo zawisło nad deltą, ciężkie, szare i połyskliwe jak stal. Dzień wstawał gorący i miał być jeszcze gorętszy.

Ela oparła głowę na dnie łodzi, a stopy na relingu i zamknęła oczy.

– Obudź mnie – mruknęła – jak nadejdzie czas, żeby coś zabić.

Chua pokręciła głową.

– Bardziej prawdopodobne jest, że coś spróbuje zabić nas.

Ela uśmiechnęła się, nie otwierając oczu.

– W takim wypadku też się obudzę, jak sądzę, ale tylko wtedy, gdy będzie to coś bardzo, bardzo ekscytującego.

†

Bez słońca nad głową niemal natychmiast straciłabym rozeznanie,

gdzie jest zachód, południe i pozostałe kierunki. Delta była siecią zielono-burzych cieków i strumieni wijących się pomiędzy małymi wyspami, łachami i gęstwami tnących trzciny, siecią tysięcy kanałów, z których wszystkie wyglądały tak samo: trzciny i muł, i mętna woda, niezauważalnie płynąca ku morzu. W mule leniwie wylegiwały się krokodyle, ale na razie zostawiały nas w spokoju. Poza dobiegającym nas od czasu do czasu rozpaczliwym wrzaskiem jakiegoś uciekającego, a potem ginącego stworzenia, dzień był spokojny, niemal senny. Na długich odcinkach nie słyszeliśmy żadnych odgłosów oprócz cichego rytmu ociekających wioseł, wody chlupoczącej o kadłub oraz lekkiej bryzy poruszającej sitowiem.

Od opuszczenia miasta Chua wskazywała kierunek swoją długą rybacką włócznią na każdym rozwidleniu kanałów. Nie odezwała się głośno przez cały ranek aż do chwili, gdy mijaliśmy rozległą kępę trzciny.

– Zatrzymajcie się tutaj.

Zielone Koszule uniosły wiosła nad wodę.

– Dlaczego? – zapytał Ruc.

Kobieta wskazała na trzciny.

– Potrzebujemy jednej z nich.

Popatrzyłam na długie źdźbła. Tnące trzciny zawdzięczały swoją nazwę czerwonej barwie o rudawym odcieniu skrzepłej krwi oraz ostrym krawędziom, które potrafiły przeciąć ludzką skórę równie łatwo jak nóż.

– Dlaczego? – powtórzył Ruc.

Łódź, popychana lekką bryzą, dryfowała ku kołyszącym się trzcinom.

– Nie za blisko – powiedziała Chua, ignorując pytanie Ruc, i wyciągnęła nóż. – Różne stwory żyją tu na płycznach.

– Jakie?

– Takie, których nie chcielibyśmy mieć w łodzi.

Kiedy byliśmy jeszcze dobry krok od trzciny, zaczęła stopą o ławkę i przechyliła się tyłem przez reling, wyciągając się nad wodą. Ruch ten był zarazem akrobatyczny i zupełnie naturalny. Podczas gdy wiosłarze trzymali wiosła w pogotowiu, obcięła jedną trzcinę tuż nad wodą, pozwoliła jej upaść, po czym podniosła ją ostrożnie, chwytając między palec wskazujący i kciuk.

– Odpływamy – polecił Ruc i Dem Lun, który nieufnie patrzył na brzeg, wcisnął pióro wiosła w muł i wypchnął łódź na środek kanału.

Chua przeciągnęła płasko ostrzem wzdłuż długiej na pięć stóp trzciny, najpierw z jednej strony, potem z drugiej, wyciskając wodę z włóknistej łądygi, aż dotarła do wielkiego jak kciuk pająka.

– Pocałunek wdowy – powiedziała, wskazując go czubkiem noża, po czym strąciła do wody.

Pająk utrzymywał się przez chwilę na wodzie, przebierając odnóżami, podczas gdy jego śliska, czarna skorupa spijała światło. Pamiętałam tę nazwę z dzieciństwa. Rybacy ukąszeni przez tego pająka nie wracali żywi do domu. Ruc nie zwrócił na to uwagi, tylko wbił oczy w Chuę.

– Zakładam, że podjęliśmy to ryzyko z jakiegoś powodu.

Chua skinęła głową, przypatrując się uważnie trzcinie najpierw z jednej, potem z drugiej strony. Kiedy już uznała, że nie ma na niej innych mieszkańców, wsunęła podstawę łądygi w otwór na dziobie, przez który przeciągnięta była linka cumownicza.

– To nasza flaga – powiedziała.

– Co oznacza? – zapytałam.

– Ona mówi, że ich szukamy.

– Szukamy? – powtórzył Ruc, mrużąc oczy. – Mówiłaś przecież, że wiesz, gdzie oni są.

– W delcie nic nie pozostaje długo na tym samym miejscu.

– Jak więc ich znajdziemy? – naciskałam.

Starsza kobieta patrzyła nad dziobem łodzi, jakby chciała przeniknąć wzrokiem sitowie i zajrzeć dalej jeszcze, aby odnaleźć jakąś wizję z czasów dzieciństwa.

– Nie ma jednego miejsca – odparła w końcu – ale jest pewien schemat przemieszczania. Kiedy się zbliżymy, otrzymamy znaki.

– A to? – zapytałam, wskazując ponownie na czerwoną, chwiejącą się trzcinę.

– Zobaczą ją – powiedziała – i poznają, że wraca swój.

Mówiąc, kobieta nie odwracała się. Z ławki, na której siedziałam w środku łodzi, obserwowałam jej plecy. Odkąd wypłynęliśmy z Dombângu, sprawiała inne wrażenie: nie zmieniła się, ale była w trakcie jakiejś przemiany, jakby pokryta bliznami skóra tej kobiety, którą spotkaliśmy w chacie w pobliżu krematorium, zaczynała linieć.

– A co by było, gdybyśmy jej nie mieli? – drążyłam. – Gdybyśmy ich szukali bez flagi?

– Zabiliby nas.

Ruc skinął głową, jakby słowa kobiety potwierdziły coś, co wiedział już od dawna.

Zielone Koszule wysyłały już łodzie na poszukiwanie Vuo Ton. Nie ostatnio, ale w zapisach są o tym wzmianki. Większość wracała

wyczerpana, pokonana, niczego nie ujrzawszy. Niektórzy w ogóle nie wrócili.

Chua wzruszyła ramionami.

– W delcie czyha tysiąc rodzajów śmierci.

– A jednym z nich – rzucił sucho Ruc – jest śmierć z rąk Vuo Ton.

Chua spojrzała na trzymaną w dłoni włócznie.

– Ludzie z Dombângu znajdują się na budowaniu, na pieniądzach, na handlu. Vuo Ton wiedzą, co żyje pod wodą i na wodzie, co przemyka w trzcinach i sitowiu. Wcześniej uczą się stawać twarzą w twarz z bogami. Wiedzą, jak ich czcić i składać im ofiary.

– Ofiary. – Ruc skrzywił się ponuro. – Widziałem już te ofiary. Dzieci albo idioci zbyt pijani, by się bronić, związani i porzucani w delcie. Wszystko to, żeby zaspokoić apetyt tych pieprzonych bogów.

Chua pokręciła lekceważąco głową.

– Ludzie z Dombângu są słabi. Nic nie znaczą dla Kem Anh i jej towarzyszy.

– Ale umierają tak samo. Widziałem ciała.

– Trójka nie interesuje się umarłymi.

– A więc czym się interesuje? – zapytał Kossal leniwie.

Kapłan siedział na wąskiej ławie, z łokciami na kolanach, podparłszy brodę dłońmi. Milczał przez cały ranek. Teraz jednakże, na wzmiankę o bogach, wyprostował się, oczy rozblęły mu w słońcu, a cała postawa przeczyła jego leniwemu sposobowi mówienia.

– Są myśliwymi – odparła Chua.

– To dla nich dobre miejsce. – Kossal ruchem głowy wskazał przelatujące cicho stado czubatych kaczek. – Jest tu mnóstwo

wodnego ptactwa.

Chua uśmiechnęła się szeroko.

– A jednak Troje wolą bardziej duchową zdobycz.

– Widziałaś kiedyś kaczkę broniącą swego gniazda? – Kossal uniósł brew. – To jest dopiero duch.

– Ale nie taki jak u kobiety walczącej o życie. – Rybaczka cały czas przyglądała się mijanym trzcinom. – Albo u mężczyzny, dajmy na to.

Potrząsnęłam głową. Nadgarstki aż mnie zaboląły na stare wspomnienie sznura wpijającego się w skórę. Poczułam wręgi łodzi uciskające moje żebra, twarde i nieustępliwe.

– Ludzie ofiarowywani delcie *nie muszą* walczyć. – Słowa, które mi się wyrwały, były jak warknięcie, aż rybaczka zerknęła na mnie, na jej ogorzalej twarzy malował się wyraz powagi.

– Ofiary składane przez ludzi z miasta są bluźnierstwem. To gorsze niż kulty Annuryjczyków.

Ruc nie odrywał oczu od kanału. Jego ręka spoczywała pewnie na rumplu. Gdy mówił, jego głos był spokojny, ale widziałam, jak sprawdza lewą dłoń, lekko ją zaciskając.

– Brzmi to tak, jakby twój lud był zadowolony, gdyby całe miasto spłonęło – zauważył. – Razem z kapłanami i legionistami.

– Wasze miasto jest niczym dla Vuo Ton – parsknęła Chua. – Jest małą, smrodliwą wygodką, zupełnie bez znaczenia w bezkresnym Darowanym Kraju.

Ruc zmarszczył brwi.

– Darowanym Kraju?

– W delcie – wyjaśniła rybaczka i zatoczyła szeroki krąg włócznie, pokazując na wodę, trzciny oraz gorące i zmienne niebo.

– Darowanym komu? – zapytał Kossal. – I przez kogo?

– Darowanym nam przez bogów – odrzekła Chua.

Kossal pokręcił głową.

– Troje nie stworzyło delty – powiedział.

– Nie – odparła Chua – ale uczyniło ją bezpieczną.

Spojrzałam na nią ze zdumieniem.

– *Bezpieczną?* Dzięki polowaniu na ludzi?

– Taki zawarto układ. My składamy ofiary, oni stoją na straży.

Spojrzenie starego kapłana było ostre jak nóż.

– Bronią was przed czym?

– Przed tym, co prześladowało nas na początku.

Ukryty w trzcinach niewidoczny ptak zaskrzeczał ostro kilka razy, przerywając duszną ciszę.

– Przed Csestriimami – dopowiedział cicho Kossal.

Chua zmierzyła go wzrokiem. Kiedy w końcu przemówiła, jej słowa zabrzmiały jak recytowana od pokoleń, wyuczona opowieść:

– Na początku ludzie znali tylko strach i ucieczkę. Uciekali przed nieśmiertelnymi przez góry i pustynie, aż dotarli do kraju, w którym wciąż żyli bogowie. Troje bogów odparło nieśmiertelnych, a w zamian zgodziliśmy się ich czcić.

– Żeby sami mogli was mordować, zamiast Csestriimów? – zapytał Ruc.

– *Wara im* – odparła cicho rybaczka. – Taki zawarliśmy układ. Mogliśmy żyć w delcie i tu umierać. Oddaliśmy się bogom i ich sługom, ale nie Csestriimom. *Wara im*.

– To dość gówniany układ – powiedział Ruc – biorąc pod uwagę, że Csestriimowie wyginęli tysiące lat temu.

– Przysięga to przysięga – odrzekła Chua. – Ludzie z Dombângu

się jej sprzeniewierzyli.

– Podobnie jak ty – zauważył Ruc. – Słuchamy o prawości z ust kobiety, która porzuciła swój lud, aby żyć pośród brudnych apostatów.

Chua zeszywniała. Przez jedno uderzenie serca myślałam, że wbije drewnianą włócznię z zadziorami w pierś Ruca. Potem jednak pokręciła głową. Jej oczy patrzyły w nieokreśloną dal.

– Zapłaciłam swoją cenę.

– Myślałem, że to honor dla waszych ludzi – warknął Ruc. – Powiedziałaś to tak, jakby Vuo Ton pragnęli w delcie umierać.

– Vuo Ton chcą być godni polowania.

Ruc skinął głową, jakby to wyjaśniało wszystko.

– Czyli chcą być składani w ofierze – powiedział.

– Tym, czego chcą – rybaczka patrzyła gdzieś nad ramieniem Ruca, jakby wcale nie istniał, jakby mówiła do samej delty – jest honor stawania z bogami twarzą w twarz.

†

Uderzenie, które nastąpiło, było tak szybkie, że Hin umarł, zanim skończył krzyczeć.

Kiedy przerwał wiosłowanie, było trochę po południu, a gdy spojrzałam w jego stronę, był nieco zmieszany.

– Muszę... na chwilę przerwać – powiedział niejasno.

Ruc po prostu skinął głową.

Łódź zwolniła i przechyliła się, kiedy Hin stanął na ławce. Chwilę potem usłyszałam chlupot strugi moczu trafiającej do rzeki. Nad naszymi głowami przeleciało cicho stadko winnodziobów.

Obserwowałam je, aż zniknęły w oddali. Ruc oglądał jedną z dwóch baryłek, które zabrał na łódź, sprawdzając kciukiem pieczęcie. Tak jak przez cały ranek, spróbowałam znów odgadnąć jej zawartość. Jakies podarki dla Vuo Ton, kiedy już ich odnajdziemy? *Quey* albo śliwkowe wino? Czyżby zamierzał ich upić, a potem poderżnąć im gardła, kiedy zasną? Taki plan byłby dość marny.

Ruc poniósł wzrok i zorientował się, że na niego patrzę. Przez moment spoglądaliśmy na siebie w milczeniu. Puścił do mnie oko i był to u niego pierwszy przejaw beztroski od czasu odkrycia transportowca. Poczułam, że w kąciuku moich ust pojawił się grymas uśmiechu.

Po chwili rozległ się krzyk Hina.

Krzyczał właściwie bardziej z przerażenia niż z bólu, a jego krzyk przywodził na myśl przeciągłe wycie zwierzęcia. Potem upadł.

Wyciągnęłam nóż, ale nie dojrzałam niczego, w co mogłabym go wbić. W Rassamburze uczymy się zabijać ludzi, a nie węże, więc początkowo nie dostrzegłam wijącej się w łodzi czarnej taśmy, pełzającej po ławkach i siedziskach wioślarzy szybko jak cień. Chua nie była tak ślepa jak ja. Jednym płynnym ruchem obróciła się i dźgnęła błyskawicznie, przyszpilając rozdwojonym grotem łeb gada do desek kadłuba. Wąż – matowoczarny i długi jak dwa moje ramiona – syczał wściekle i bił powietrze ogonem.

Hin upadł na dno łodzi z wybałuszonymi oczyma, w drgawkach, a jego język, purpurowy i pokryty pianą, wysunął się spomiędzy obrzmiałych warg. Dem Lun odrzucił wiosła, złapał przyjaciela i wciągnął go na swoją ławkę. Był to ludzki odruch, lecz zupełnie bezużyteczny. Mój milionopalcy bóg trzymał już żołnierza w objęciach, a kiedy Ananshael zaciśnie swoją pięść, to już jej nie

otworzy.

Ruc został unieruchomiony na rufie, nie mogąc, ze względu na rozmiar łodzi, wyminąć Eli i Kossala. Ktoś inny na jego miejscu wykrzykiwałby bezużyteczne rozkazy i wywijał na próżno mieczem. Ruc chwycił ster i trzymał łódź z dala od brzegu. Zacisnął zęby tak mocno, że były bliskie pęknięcia, ale milczał, pozwalając tym, którzy byli bliżej, walczyć.

W ciągu kilku uderzeń serca wąż zdołał się wyrwać z potrzasku Chui. Cofnął się, wypatrując kolejnej ofiary, lecz Kossal złapał go tuż za głowę tak spokojnym i pewnym ruchem, jak człowiek przystępujący do pracy ujmując w dłoń wysłużone, dobrze znane narzędzie.

– Zabij go – powiedziała ponuro Chua.

Stary mnich najwyraźniej nie słyszał. Podniósł gada, aż jego oczy i rozwarta paszcza znalazły się na wysokości jego oczu. Ogon wił się i bił szaleńczo wokół jego ręki, lecz Kossal nie przywiązywał do tego wagi.

– Zabij go – powtórzyła Chua.

– Jak on się nazywa? – zapytał Kossal, nie spuszczając wzroku z gada.

– Tien tra – odparła Chua. – Cztery kroki.

– Dziwna nazwa – zauważył Kossal – dla stworzenia, które nie ma nóg.

– Nazwa pochodzi od kroków jego ofiary. Kiedy cię ugryzie, zrobisz zaledwie cztery kroki. Potem umrzesz.

Hin nie pociągnął nawet tyle. Na ławce obok mnie Dem Lun obejmował ramiona nieboszczyka i patrzył bezradnie w jego wybałuszone oczy. Zdawał się nie zauważać niczego i nikogo. Kręcił

wolno głową, mruczając i powtarzając bez końca jedno: „Nie. Nie. Nie”.

Kossal pochwycił węża drugą sękatą dłonią, zaciskając ją zaraz za pierwszą. Gad miotał się wściekle, gdy kapłan zaczął zaciskać dłonie i skręcać, wolno i nieubłaganie.

– Łatwiej byłoby użyć noża – stwierdziła Chua.

Kapłan nie zwracał na nią uwagi. Muskuly jego przedramion nabrzmiały z wysiłku, ale twarz była spokojna, kiedy wreszcie oderwał łeb gada. Ogon wyrzucił za burtę, gdzie wił się przez chwilę, zanim utonął. Przyglądał się głowie jeszcze trochę, po czym pieczołowicie zamknął paszczę, chowając zęby jadowe, i wsunął łeb do kieszeni swojej szaty.

Chua obserwowała go przez chwilę zmrużonymi oczyma.

– Niebezpieczne trofeum – zauważyła.

– To nie trofeum – odparł Kossal. – To przypomnienie.

– Przypomnienie czego?

– Że mój bóg jest wszędzie i któregoś dnia weźmie w swoje cierpliwe dłonie nawet tych, którzy mu służą.

Nikt się nie odezwał. Nurt płynął dalej, otwierając swoją gardziel przed ostrym dziobem łodzi. Przycupnąwszy na ławie, rozmyślałam o doskonałości węża, o tym, jak niepostrzeżenie wśliznął się na pokład i zabił człowieka, zanim zdążyliśmy go zauważyć. Oczywiście było to tylko zwierzę. Zabijało, żeby jeść, nie żeby składać hołd, ale jego wdzięk i niezwykła zwinność sprawiła, że poczułam się głupio i niezgrabnie. W końcu podniosłam się, wsunęłam nóż do pochwy, a potem odwróciłam się, żeby popatrzeć na martwe ciało, które jeszcze niedawno było Hinem. Kiedy ja kombinowałam, przejmowałam się i knułam, całymi dniami

podejmując starania, żeby się zakochać, zaliczyć Próbę i zostać kapłanką, Ananshael miał miliony sług podobnych do tego węża, cierpliwych i niewyświęconych, którzy krzątali się, zajęci swoją pracą, odbierając życie, a wraz z nim nieodłączną nędzę i cierpienie. Po co byłam potrzebna bogu ja i moja niezdarna pobożność? Jakie to miało w końcu znaczenie, czy pokocham Ruca i go zabiję, czy też, jeśli poniosę porażkę, Ela złapie mnie za gardło swymi długimi doskonałymi palcami i przytrzyma tak długo, aż umrę?

W każdej decyzji służenia bogu jest jakaś niewytłumaczalna pycha.

Odwróciłam się, by spojrzeć na Elę. Podczas całego tego epizodu nawet nie drgnęła. Kiedy Hin krzyczał i rzucał się, aż nastał jego koniec, ona spała, oparta bosymi stopami o reling, wystawiając brązowe nogi na słońce, z rękami założonymi za głowę. Teraz jednakże, jakby czując na sobie mój wzrok, otworzyła leniwie jedno oko. Nie ruszając się, potoczyła spojrzeniem po łodzi i smutnym obrazie śmierci, po czym zamknęła powiekę i westchnęła.

– Czy to ma znaczyć, że teraz ja wiosłuję? – zapytała.

19

Do osady Vuo Ton dotarliśmy przed zmierzchem.

Zrazu myślałam, że Chua zgubiła drogę. Kanał, którym płynęliśmy, zwężał się coraz bardziej, a tnące sitowie zwieszające się nad naszymi głowami utworzyło w końcu zielono-brązowy tunel, w którym nie widzieliśmy nieba ani słońca. Kiedy Dem Lun nie mógł już wiosłować, wyjął cicho wiosła i ułożył je bezpiecznie na dnie, po czym podniósł drewniany pagaj. Gorące powietrze było ciężkie od słodkawego odoru mułu i zgnilizny. Niewidoczne stworzenia, ukryte w trzcinach po obu stronach, syczały i trajkotały. Wciąż zauważałam kątem oka jakieś mgnienia poruszeń, szybkie przemykanie, ale za każdym razem, gdy zwróciłam się w tamtą stronę, widziałam jedynie ścianę trzciny i spokojną zieloną wodę.

– To przywodzi mi na myśl zsuwnię, na której końcu szlachtuje się zwierzęta – zauważył łagodnie Kossal.

Ta perspektywa najwyraźniej była mu obojętna. Ruc jednakże przyglądał się sitowiu, jedną rękę oparłszy na sterze, a drugą na napiętej kuszy. Przesunął się lekko i wymierzył ją w Chuę.

– Jeżeli nas zdradziłaś, to pierwszym bełtem przeszyję ci gardło.

Kobieta spojrzała na broń, po czym odwróciła się i wskazała rybacką włócznią na trzciny.

– Gdyby Vuo Ton chcieli nas zabić, to już bylibyśmy martwi.

– Czego teraz szukasz? – zapytałam.

Przez chwilę nie odpowiadała, tylko dalej wpatrywała się w sitowie, sondując je od czasu do czasu włócznią. Wbijała ją w mulisty brzeg, a potem cofała. Na koniec znalazła miejsce, w którym rozdwojony grot nie trafił na muł i po wyjęciu ociekał jedynie wodą.

– Przeplyniemy tędy.

Spojrzałam na trzciny.

– Wygląda na doskonałe miejsce dla jadowitych pajaków. Albo węży.

Chua potrząsnęła głową.

– Vuo Ton posypują wodę solą i popiołem. Pajaki i węże od tego stronią.

Sól i popiół wydały mi się dość skromną ochroną przed drapieżnikami delty, ale jak dotąd opieka Chui okazywała się skuteczna. Ruc popatrzył przez chwilę na trzciny, po czym kiwnął Dem Lunowi głową. Zielona Koszula, z oczyma wciąż szeroko otwartymi ze strachu po śmierci Hina, znów zaczął wiosłować i łódź zanurkowała w sitowie, rozchylając je i prześlizgując się ukrytym kanałem, otoczona ze wszystkich stron kołyszącymi się łodygami, zostawiając za sobą pas wody. Nikt nic nie mówił. Jaskrawo upierzone ptaki – czerwone, ognistopomarańczowe, niebieskie – przelatowały tam i z powrotem, niepokojąc się o swe gniazda, ale żaden wąż nie wpełzł do łodzi. Żaden pajak nie spadł do niej z trzciny. Potem, między jednym pociągnięciem pagaja a drugim, wypłynęliśmy na otwartą przestrzeń.

Zrozumienie, na co patrzę, zajęło mi dłuższą chwilę.

Zakola i zatoczki były w delcie bardzo liczne, miejsca, w których nurt zwalniał albo wręcz zanikał, takie, które bardziej wyglądały

na sadzawki, a nie kanały wielkiej rzeki. To jednak nie była sadzawka. Tylko jezioro. Otwarta przestrzeń rozciągała się na setki kroków we wszystkich kierunkach. Po tygodniach zamknięcia między ścianami i zaułkami Dombângu, między szpalerami gęstego sitowia rosnącego po bokach kanałów, zdążyłam zapomnieć, jak wielkie jest niebo. Zamiast kawałka chmury i przebłysku słońca między szczytami dachów mogłam wreszcie ujrzeć niczym niezakłócony ogrom i bezkres błękitu. Po nakrapianym plamkami słońca mroku trzciny zalew słońca na jeziorze był tak oślepiający, że przez chwilę nie widziałam nic oprócz światła i przestrzeni. Osłoniłam oczy jedną dłonią i wkrótce z tego blasku zaczęły wyłaniać się kształty.

Blisko środka, otoczona wodą, mieściła się wioska, jeśli słowem „wioska” można określić osadę, w której nic nie jest trwale osadzone. Wyglądało na to, że Vuo Ton zbudowali wszystko – domy, barki, chodniki, a nawet wiele łodzi – z sitowia. Cieńsze wiązki służyły jako słupki i poręcze. Większe snopy, grube jak korpus człowieka, przewiązane ciasno sznurem, były belkami nośnymi i słupami podtrzymującymi sprytnie splecione strzechy. Początkowo pomyślałam, że Vuo Ton zbudowali to wszystko na jednej z niskich wysp delty, ale gdy przyjrzałam się wiosce bliżej, dostrzegłam, że się ugina, unosi i opada na wodzie, jakby była żywa i oddychała.

– To pływa – powiedziałam głupio.

Chua skinęła głową.

– Każdy dom jest statkiem.

Wokół wioski kołysały się czółna-dłubanki, do każdego domu przywiązane były dwa lub trzy. Sześcioro dzieciaków bawiło się

w nich, śpiewając piosenkę w języku, którego nie rozumiałam. Wykonywały jakiś dziwny taniec, a gdy czołno zaczynało się chwiać, przeskakiwały na drugie. W innym czołnie dwie dziewczynki balansowały na burtach, fechtując się rybackimi włóczniami, kłując i blokując, a przy okazji kołysząc łódką, żeby rzucić przeciwniczkę do wody. Kilka kroków dalej na pływającej tratwie siedziało kilkoro starych ludzi, popijając coś z glinianych czarek i dyskutując żywo.

Usłyszałam za sobą trzask, a potem zgrzyt otwieranej beczułki. Obejrzałam się i ujrzałam Rucę, który właśnie odrzucił drewniane wieko. Naprężył ramiona i oparł je o burtę, po czym wyrzucił zawartość. Szaroniebieskie zwoje splątanych wnętrzości chlupnęły do wody, unoszone na powierzchni przez zgromadzone w nich gazy. Krew spłynęła ciemną plamą. Rucę patrzył przez chwilę nieodgadzionym wzrokiem, po czym za pomocą noża zaczął mocować się z drugą beczułką.

– Co robisz? – zapytała Chua.

– Bogowie chcą ofiary – odparł Rucę, nie podnosząc głowy. – To jest pieprzona ofiara. Jeśli Vuo Ton chcą krwi, oto ona. Nazwij to gestem dobrej woli.

Rybaczka patrzyła na niego uważnie, ale zachowywała kamienny spokój. Nad naszymi głowami zaczęły krążyć ptaki, ciemna chmura ostrych jak brzytwa dziobów i błękitnych piór, głodnych uczy.

Dem Lun przestał wiosłować, żeby popatrzeć na wioskę.

– Wygląda to tak, jakby w ogóle nie wiedzieli, że tu jesteśmy – mruknął.

Chua parsknęła i zwróciła głowę w stronę, z której przyplłynęliśmy.

Odwróciłam się. Tuż za nami cztery czółna wysunęły się z trzciny na otwartą wodę. Kobiety i mężczyźni w smukłych łódkach trzymali krótkie łuki. Patrzyli tam, gdzie skierowane były ich osadzone na cięciwach strzały, czyli prosto w nasze gardła. Groty strzał nie były żelazne; wyglądały na kościane albo, jak zorientowałam się chwilę później, zrobione z zębów. Przyjrzałam się dobrze najbliższemu, a potem podążyłam wzrokiem wzdłuż drzewca strzały aż do niewzruszonych oczu za nim.

Vuo Ton wyglądali jak wszyscy ludzie z Dombângu: mieli brązową skórę i cienkie czarne włosy, wysokie kości policzkowe i kwadratowe szczęki. Podobnie jak Chua, mieli na sobie ubrania ze skóry węża lub krokodyla – wąskie pumpy i kamizelki, odkrywające szczupłe, muskularne ramiona. Główną różnicą między ludźmi Vuo Ton a mieszkańcami Dombângu były tatuaże: czarne linie biegnące w dół twarzy i ramion, przebiegające także przez szyję i dłonie, jakby każdy kawałek ciała musiał być naznaczony cieniem. Po chwili rozpoznałam mężczyznę mierzącego we mnie; był to ten sam, który podążał za mną w nocy zaułkami miasta, gdy odciskałam znak dłoni. Nie opuścił łuku, ale ku memu zdziwieniu uśmiechnął się i mrugnął do mnie.

– Myślę, że nas lubią – powiedziała Ela.

Kapłanka obudziła się wreszcie, podniosła z dna łodzi i stanęła między ławkami, przeciągając się leniwie, potem przechylając na boki, a wreszcie zgięła się, dotykając dłońmi stóp.

– Ludzie, którzy mnie lubią, zwykle mają ze sobą mniej łuków – odparł Ruc. Wciąż trzymał w dłoni podręczny nóż, którego użył do podważenia wiek beczulek, ale po kilku uderzeniach serca rozsądnie schował go do pochwy.

Niezbyt wierzyłam, że uda nam się odnaleźć Vuo Ton. Zwłaszcza po tym, jak umarł Hin, wydawało się całkiem prawdopodobne, że wrócimy do Dombângu z pustymi rękami, pokonani. Jeszcze chwilę temu, gdy przepływaliśmy przez trzciny, nie wyobrażałam sobie, że po drugiej stronie ujrzymy cokolwiek innego niż kolejny kanał, kolejną odnogę wodnego labiryntu. Wydawało się, że może on ciągnąć się bez końca, że cały świat został wchłonięty przez deltę, a my zostaliśmy sami, sześcioro ludzi i nieboszczyk patrzący tępo przed siebie, pokładając jedyną nadzieję w tym, że Chua zachowała w pamięci dawne, kilkudziesięcioletnie wspomnienia tego miejsca i ludzi, którzy mogli zniknąć stąd już wiele lat temu.

A oto byli i zbliżali się ku nam w swych czarnych czółnach, a przy tym – ku naszemu zdumieniu – uśmiechali się zza łuków. Mężczyzna, który w końcu przerwał ich milczenie, miał w ręku pagaj, nie łuk. Inaczej niż pozostali nie stał tylko siedział na rufie czółna i obserwował nas, spokojny jak bożek. Długie blizny znaczyły jego twarz, przecinając linie tatuaży. Jedna z tych blizn biegła wypukłym śladem przez ruinę oka. Jednakże drugie oko patrzyło bystro i przenikliwie w świetle słońca.

– Wara im, siostró – powiedział wreszcie, witając Chueę skinieniem głowy, a jego głos zabrzmiał cicho jak wiatr szumiący w sitowiu.

Chua skinęła głową w odpowiedzi.

– Wara im, Cam Hua.

Uśmiechnął się, potrząsnął głową, a potem wskazał palcem na swój pusty oczodół.

– Cam Hua umarł w delcie. Jestem Świadkiem Vuo Ton. – Mówił doskonale po annuryjsku, ale wymawiane słowa naznaczone były

lekkim akcentem, jakby jego język, wymawiając je, czuł się trochę nieswojo.

Na wzmiankę o świadku Ela uniosła brwi z zaciekawieniem. Zerknęła na Kossala, ale on tylko wzruszył ramionami. Tytuł ten mógł się wydawać dziwnym zbiegiem okoliczności, ale w końcu przecież nie byłam jedyną osobą na świecie poddawaną obserwacji.

Chua nie spuszczała wzroku z siedzącej postaci.

– Kiedy stąd wyjeżdżałam, ledwo przestałeś być chłopcem.

– A ty dziewczyną. – Wzruszył ramionami. – Woda płynie. Kanały się zmieniają. Nawet zagubieni powracają, jeśli dać im dość czasu.

Chua pokręciła głową.

– Ale nie po to, żeby zostać.

– Nie powinnaś nienawidzić miejsca, które uczyniło cię taką, jaka jesteś.

– A co powiesz o miejscu, które odebrało mi ukochanego mężczyznę? – odcięła się. – Czy mam prawo je znienawidzić?

– Widziałem tego, którego kochałaś. Nie był stworzony do stawiania czoła delcie.

– Oczywiście, że nie był. Tak samo jak ty nie jesteś stworzony do tego, żeby stawiać czoło wielkiemu morzu. Ale on jednak co dzień pływał po kanałach.

Mężczyzna, który nazwał siebie Świadkiem, uklonił się jej dziwnie ceremonialnym gestem, mogącym być ustępstwem albo prośbą o wybaczenie. Ukłon ten wydawał się zupełnie nie na miejscu w przypadku kogoś siedzącego na rufie czółna z wiosłem w dłoni, biorąc przy tym pod uwagę skierowane ku nam strzały. Kiedy jednak znowu przemówił, sprawiał wrażenie, że mówi

szczerze:

– Każde serce bije własnym rytmem. Łączę się z tobą w żalu.
Zasadzę jeden fiołek za tego, którego kochałaś.

Ruc, który dotąd przyglądał się w milczeniu, drgnął na te słowa.

– Powiedz mi coś o tych fiołkach – powiedział cicho.

Świadek nie zareagował na jego słowa i wciąż patrzył na Chuę.

– Są tu inni, którzy nie należą do delty.

– Chcieli tu przybyć.

– Był transportowiec – zaczął ponuro Ruc – z annuryjskimi żołnierzami...

Świadek zastukał leniwie palcem w pagaj, zabręczała cięciwa i strzała odbiła się od burty kilka cali od nogi Ruca.

– Wyjaśnij mu – powiedział starszy mężczyzna – że nie zasłużył jeszcze na głos.

Rysy Chui stężały nagle.

– On nie jest człowiekiem Vuo Ton.

– Żadne z nich nie jest – odparł łagodnie Świadek – a jednak przywiozłaś ich ze sobą.

– Byli bardzo przekonujący.

– Być może zapomniałaś nasze prawa: Vuo Ton dopuszczają tylko dzieci i tych, którzy zasłużyli na głos. Nikogo innego. Ci tutaj – wskazał pagajem – raczej dziećmi nie są...

– Nie przybyli tu, żeby zostać Vuo Ton – odrzekła Chua. – Chcą z wami porozmawiać. – Zawahała się przez chwilę. – O Trojgu.

– Jak mogą rozmawiać, nie mając głosu?

Chua wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby.

– Są z tej samej gliny co mój mąż. Nie nadają się, by stawać przed naszymi bogami.

– Naszymi bogami? – Świadek pokręcił głową. – Oddałbym resztę mojego wzroku, żeby nie musieć ofiarowywać bogom takich słabych istot. Jeżeli chcą rozmawiać, muszą zasłużyć na głos.

– Jak mamy to zrobić? – zapytał Ruc.

– W taki sam sposób jak reszta naszych dzieci – odparł starszy mężczyzna z uprzejmym uśmiechem. – Jest odpowiednia Próba.

Poczułam nagle, że jestem zmęczona i mam serdecznie dość wszelkich prób. Słowa same wyszły z moich ust, zanim zdążyłam je powstrzymać:

– A co, jeśli nie zechcemy się jej poddać?

Świadek wzruszył ramionami.

– Delta zawsze jest głodna.

Ruc wzruszył ramionami, wściekły, lecz gotowy.

– Na czym polega ten pieprzony test?

†

Nasza grupa tworzyła dziwną procesję na tratwach i mostach pływającej osady. Wojownicy szli z tyłu z łukami wymierzonymi w nasze plecy, podczas gdy dzieciaki biegały i skakały wokół, kłując nas w nogi wyposażonymi w zadziory rybackimi włóczniami. W atakach tych nie było złości; małe skurczybyki traktowały to jak świetną zabawę, śmiejąc się, celując w nas, odskakując i doskakując, i kłując siebie nawzajem równie często jak nas.

– Zastanawiam się, czy nie oddać całej tej wioski bogu w ofierze – mruknął Kossal, parując gołą ręką już chyba setny atak.

– Dlaczego tak nienawidzisz zabawy? – zapytała Ela. Tanecznymi obrotami na mostkach unikała ciosów, lekkimi

uderzeniami odbijała włócznie, łapała rzucane w nią kamienie i odrzucała z powrotem, wymierzała dzieciakom pstryczki w nos i pociągała je za uszy.

Ruc w ogóle nie przejmował się ukłuciami włóczni. Nawet gdy powodowały krwawiące skaleczenia, nie patrzył w dół, więc po krótkim czasie dzieci się nim znudziły. Obserwował wioskę wzrokiem, który znałam, mierząc ją, oceniając i planując walkę.

Jak na coś zbudowanego wyłącznie z sitowia osada wyglądała na zaskakująco wygodną. Każdy dom miał wysokie okna, które wpuszczały powiew bryzy, oraz mądrze skonstruowane żaluzje, które chroniły przed ostrym słońcem. Obszerne daszki nad przednią częścią tratw osłaniały ustawione przed wejściami krzeselka zrobione z wiązek sitowia. Przeszliśmy przez obszerną salę. Nie wyobrażałam sobie, że można zbudować coś tak wielkiego wyłącznie z sitowia. Wysokie okna, obwieszane zasłonami utkanymi z ptasich piór – czerwonych i żółtych, pomarańczowych i niebieskich – wpuszczały do wnętrza ciepłe światło popołudniowego słońca, które pięknie barwiło podłogę.

Linia tratw, na których zajmowano się gotowaniem, wyglądała początkowo jak wyciosana z kamienia. Gdy jednak podeszliśmy bliżej, zrozumiałam, że była to jedynie warstwa wypalanej gliny pokrywającej znajdujące się pod spodem trzcinowe warstwy. Dziesiątki glinianych mis parowały na starannie ogrodzonych paleniskach, podczas gdy nadziane na szpikulce mięso wędziło się w dymie z palmowych liści. Ogniska zasnuwały południową część wioski dymem, który pachniał pieczoną rybą, ognistą papryką i słodką trzcina.

– Dokąd idziemy? – zapytał Ruc, zwracając się do Chui.

– Aby zapoznać się z Wagą bogów.

– Wagą? – zapytałam, chwytając najbliższą włócznię, blokując nią dwie kolejne, a potem łamiąc ją na głowach moich małych napastników.

Wrzasnęli z zachwytu, cofnęli się i zaczęli przegrupowywać.

– Ważą chyba węże, krokodyle i ryby – burknął Kossal – bo co jeszcze mogą ważyć bogowie w tym bajorze?

Potoczyłam spojrzeniem po wojownikach idących za nami. Raczej nie wyglądali na urażonych słowami Kossala. Wciąż jednak trzymali łuki w pogotowiu, mierząc zębatymi grotami w nasze plecy.

– Nie o taką wagę chodzi – odparła Chua, gdy wyszliśmy spośród zabudowań na otwartą przestrzeń. – Ta Waga służy do mierzenia.

– A co będziemy mierzyć? – zapytałam.

– Wy nic. To wy będziecie mierzeni. Aby się przekonać, czy zasługujecie na głos.

– Świetny pomysł – powiedziała Ela. – Świat byłby znacznie lepszym miejscem, gdyby każdy, kto chce gadać, musiał najpierw przejść próbę.

Chua parsknęła.

– Gdyby wszyscy ludzie przeszli taką próbę, świat byłby znacznie spokojniejszym miejscem. – Skinęła głową. – Tędy.

Doszliśmy do szerokiego basenu wypełnionego wodą. Zerknęłam przez ramię, aby zorientować się, gdzie jesteśmy, i po dłuższej chwili stwierdziłam, że wioska tworzyła dość regularny krąg w centrum jeziora. Pośrodku tego kręgu była sadzawka o średnicy kilkudziesięciu kroków, niczym małe jezioro wewnątrz jeziora, otoczona chatami i łodziami. Mogłaby być miłym miejscem do

pływania dla dzieci i kąpeli dla dorosłych, rodzajem wodnego placu bezpiecznie odciętego od reszty delty. Zabezpieczonego przed wszystkim, z wyjątkiem trzech wylegujących się w niej krokodyli.

Początkowo nie zauważyłam tych bestii – nikt z nas nie zauważył.

Dopiero po chwili dostrzegłam przecinające wodę, pokryte łuskami ogony i wystające nad powierzchnię oczy. Każdy krokodyl miał co najmniej dziesięć stóp długości, grubą łuskę, wielkie zębiska i szponiaste łapy.

Kiedy tylko jakiś krokodyl wpłynął do Dombângu niesiony rzeczny prądem, grupa rybaków – zwykle był ich tuzin, czasem dwa – ruszała w pościg z sieciami. Polowanie miało częściowo wymiar zemsty, bo krokodyle zabijały rybaków każdego roku, a częściowo należało do rutynowej ochrony miasta. Nikt nie chciał żyć i pracować w sąsiedztwie bestii, która jednym kłapnięciem szczęk mogła odgryźć nogę, potrafiła wychynąć nagle z głębin, by złapać swoją ofiarę, zawlec krzyczącą do wody i obracając się raz za razem, sprawić, że się utopi lub wykrwawi.

Nikt. Z wyjątkiem Vuo Ton.

– Tutaj będziecie oddawać bogom cześć w Wadze bogów – rzekł Świadek Vuo Ton.

– Oddawanie czci – Ela zmarszczyła brwi – może być bardzo nudnym zajęciem. Mnóstwo mamrotania i odmawiania jakichś mantr.

– Jeżeli jakaś mantra pomoże ci w zmaganiach z Wagą – powiedział Świadek, uśmiechając się – to proszę bardzo.

Dem Lun patrzył skamieniały na krążące w wodzie bestie.

– Zmagać się? – wykrztusił głosem niewiele głośniejszym od

szeptu. – To znaczy *walczyć*?

– Zbyt łatwa pobożność nie byłaby warta swojej nazwy. Zwycięzcie, a zasłużycie na głos.

Chua zrobiła głęboki wdech, po czym wolno wypuściła powietrze.

– Zrobię to razem z nimi – powiedziała.

Spojrzałam na nią.

– Najpierw nie chciałaś tu wrócić, a teraz jesteś gotowa mocować się z krokodylami?

– Jeżeli umrzecie – odparła ponuro rybaczka – moje pieniądze przepadną razem z wami.

Świadek odwrócił się i spojrzał na Chuę. Po chwili z żalem pokręcił głową.

– A więc to dlatego wróciłaś. Pamiętam cię, siostrze, z czasów, gdy nie opuściłabyś swego ludu za garść metalu.

– Opuściłam go dla Tema – powiedziała.

– A te pieniądze?

– One są po to, żebym już nigdy nie musiała wracać. – Rzuciła swoje włócznie pod stopy, na tratwę, sięgnęła po sieć przewieszoną przez plecy i rozwinęła ją jednym fachowym szarpnięciem. – Miejmy to już za sobą.

Świadek pokręcił głową.

– Już przed wieloma laty zasłużyłaś na głos.

– No to zasłużę jeszcze raz.

– Wiesz, że nie tędy droga.

– Oni zostaną rozszarpani – stwierdziła Chua ponuro.

Potężne zwierzęta krążyły wokół małego jeziora, jakby czuły zbliżającą się chwilę przemocy. Ja również czułam rosnącą we mnie niecierpliwość. Przez ponad tydzień krążyłam po mieście,

podburzając do wojny domowej, podążając jak bezwolna kukła za Rukiem i próbując się w nim zakochać. Dni były grzaskie, nudne. Nie potrafiłam odróżnić jednej chwili od drugiej i nie wiedziałam, czy zbliżam się do celu, czy po prostu drepczę w miejscu. Wydawało się, że upłynęło wiele czasu, odkąd byłam ręką mego boga. Pragnęłam celu i jasności.

– Będzie dobrze – usłyszałam swój głos.

Świadek uniósł brwi, ale zanim zdążył odpowiedzieć, Dem Lun zaczął się cofać.

– Nie – wyszeptał, nie spuszczając wzroku z krokodyli, a potem powtórzył nieco głośniejszym głosem, jakby to jedno słowo mogło powstrzymać cały świat: – *Nie*.

Odwrócił się, żeby uciec, ale Ruc złapał go za ramię i ruchem głowy wskazał na otaczających nas kręgiem mężczyzn i kobiety.

– Zabiją cię, gdy zaczniesz uciekać.

Zielona Koszula przywarł do niego, dysząc ciężko i wodząc oczyma od krokodyli do Ruca i do Vuo Ton, i z powrotem.

– Te pieprzone *krokodyle* nas zabijają. Widziałem, co potrafią. Odgryzają nogi. Jeszcze żyjesz, kiedy cię *pożerają*.

Ruc rąbnął go mocno pięścią w żołądek, tuż pod zebra. Dem Lun zgiął się wpół, kaszląc i nie mogąc wydusić ani słowa.

– Jesteś żołnierzem – mruknął, przyklękając tak, że jego głowa znalazła się przy boku tamtego. – Bez ciebie będzie nas tylko pięcioro do walki z tymi bestiami. – Zamilkł na chwilę. – Potrzebujemy cię.

– Wcale nie jestem pewna, czy go potrzebujemy – wtrąciła Ela. Otoczyła ramieniem drżące ramiona żołnierza. – Bez urazy, ale wyglądasz na ciut nerwowego.

Dem Lun odwrócił się i spojrzał na nią.

– Już jesteśmy martwi. Wszyscy tu, do cholery, zginiemy.

– No cóż, chyba tak – odparła Ela, mrużąc oczy, jakby chciała go lepiej zrozumieć. – To część umowy, jaką zawarliśmy, godząc się na życie.

– Ale nie w *ten* sposób – syknął Dem Lun.

– A co w tym złego? – Ela powiodła obojętnym wzrokiem po krokodylach. – Wyglądają na bardzo skuteczne. Gdy chodzi o rodzaje śmierci, to zjedzenie przez krokodyla należy do najszybszych.

– Nie zginiemy – powiedziałam. – Ela, zostaw go w spokoju.

Ela obdarzyła mnie zranionym spojrzeniem.

– Ja go tylko *pocieszam*.

– Za dużo gadania jak na ludzi bez głosu – stwierdził Świadek.

Machnął ręką i jeden z wojowników Vuo Ton podszedł do nas. Na trzcinach przed nami położył kilka noży, po czym się cofnął.

– Chcecie, żebyśmy walczyli *nożami*? – zapytał Dem Lun.

– Ja na przykład planowałam je zagryźć – powiedziała Ela. Obnażyła swoje białe zęby. – Potrafię ugryźć bardzo mocno.

Ruc oszacował wzrokiem noże.

– Po jednym czy po dwa? – zapytał spokojnie.

– Dla każdego po jednym – odparł Świadek. – Każde dziecko Vuo Ton wchodzi do wody nago i z jednym nożem.

– *Nago*? – rzuciła Ela. Zmierzyła mnie i Rucą spojrzeniem. – To brzmi obiecująco.

– Ubrania by was zabiły – powiedziała Chua. – To dodatkowa rzecz, o którą krokodyl może zaczepić zęby. I dodatkowy ciężar ciągnący pod wodę.

Kossal bez słowa zrzucił szatę. Nie miał nic pod spodem, ale nie czuł się zakłopotany nagością.

– Mogłeś uprzedzić kobietę – powiedziała Ela, wachlując dłonią przed twarzą, jakby zabrakło jej powietrza. Pomimo udawanej konsternacji patrzyła na niego całkiem otwarcie. – Spodziewałam się więcej zmarszczek – dodała po chwili – i szczerze mówiąc, nieco mniejszego fiuta.

Gdyby nie czekające obok krokodyle i przerażony wzrok Dem Luna, oboje mogliby równie dobrze toczyć swobodną pogwarke gdzieś na miejskim rynku. Ruc nie podzielał ani obojętności kapłanów, ani przerażenia swojego żołnierza. W milczeniu ściągnął ubranie, nie spiesząc się zbyt, aby dobrze przyjrzeć się krokodylom. Powinnam zrobić to samo przed czekającą nas walką, ale przyłapałam się na tym, że moje oczy biegną w stronę brzucha i bioder Ruca. Miałam nadzieję, że gdy następnym razem oboje będziemy nadzy, widownia będzie mniejsza, a sytuacja nie będzie wymagała obecności drapieżników, lecz odkąd przybyłam do Dombângu, moje nadzieje zawodziły mnie dość często. Skrzyżowaliśmy z Rukiem spojrzenia. Ananshael był blisko. Czułam jego dłoń ściskającą moje serce, lecz Ananshael jest niewidzialny. Patrzyłam na Ruca z bijącym sercem, a jego oczy spoglądały na mnie i czułam, jak płonie w mych żyłach podniecenie przed czekającą nas walką. Patrzył mi w oczy dość długo, a potem spojrzał na Chuę.

– Co jeszcze możesz nam powiedzieć?

– Przyciąga je ruch – odpowiedziała kobieta. – Starajcie się wskakiwać za nie, na ich grzbiety. Atakujcie oczy. Kiedy was złapią, zaczną się turlać.

– Turlać? – zapytał Kossal.

– Krokodyle wolą utopić swoją ofiarę. Po złapaniu wciągają ją pod wodę i zaczynają się obracać. Przytrzymują ją pod powierzchnią. Ich szczęki nie zabijają. Zabija woda.

Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, dziki wrzask rozdarł powietrze. Obróciłam się błyskawicznie tylko po to, by ujrzeć, jak Dem Lun szarżuje nago na krokodyle, dzierżąc w uniesionej ręce nóż od Vuo Ton. Owładnęło nim przerażenie. Strach wyczynia dziwne rzeczy z umysłem człowieka. Czasem łatwiej jest rzucić się naprzód i poczuć na sobie zaciskające się zęby, niż czekać i zastanawiać się, jakie to będzie uczucie.

Ruc już chciał rzucić się w ślad za żołnierzem, ale złapałam go za przegub, podciąłam mu nogi, przewróciłam na plecy i mocno ścisnęłam jego szyję w zgięciu łokcia. Nie byłoby to takie łatwe, gdyby nie patrzył na Dem Luna zamiast na mnie. Jedną z wielu zalet kapłanów Rassamburu jest obycie ze śmiercią. Nie rozprasza nas widok kogoś rozdieranego zębiskami kilka kroków dalej. Nie podejmujemy złych decyzji.

Ruc wykręcał się w moim uścisku, ale trzymałam go mocno, objąwszy ciasno nogami jego biodra. Pozbawianie kogoś przytomności przez podduszanie w tej pozycji nie trwa długo.

– Już nie żyje – szepnęłam Rucowi do ucha. Nie było to jeszcze prawdą, ale Dem Lun, w panice chlapiąc i młócąc wodę, był już w połowie drogi do krokodyli, które rozdzieliły się, aby zaatakować go z trzech stron równocześnie. – Jeżeli ruszysz teraz, zginiesz jak on. – Zacisnęłam chwyt. – A wtedy co się stanie z Dombângiem?

Nie dopowiedziałam: *Jeżeli krokodyle cię zabiją, już nigdy nie będę miała szansy.*

Największa bestia rozwarła szczęki. Dem Lun, zbyt późno ocknąwszy się z szaleństwa swego ataku, odwrócił się w wodzie, zrozumiał, że jest sam, i zaczął płynąć z powrotem. Zbyt wolno. Gdy parł desperacko w stronę brzegu, krokodyl złapał go za nogę. Zielona Koszula krzyknął i zaczął się miotać po powierzchni. Krokodyl cofnął się, uniósł go i rąbnął nim o wodę. Pojawiła się krew. Słońce rozświetliło czerwoną, szybko powiększającą się plamę.

Vuo Ton wokół nas patrzyli na to w milczeniu. Obserwowali działanie swoich bogów, podobnie jak ja obserwowałam działanie mojego boga. Ruc leżał sztywno w moim uścisku, a jego gorąca skóra przylegała do mojej.

Krokodyl się obrócił, wciągając Dem Luna pod wodę; zniknął razem z nim w rudoczerwonej pianie. Odliczyłam trzydzieści uderzeń serca, zanim wypłynął znowu z bezwładnym ciałem w szczękach. Uderzył nim o wodę raz jeszcze i powtarzał to, aż noga oddzieliła się od ciała na wysokości bioder. Pozostałe dwa krokodyle w ciągu kilku chwil rzuciły się na resztę, wrywając sobie kawały mięsa. Tak prędko, jak się zaczęło, było już po wszystkim.

Chua pierwsza przerwała milczenie:

– Dobrze się stało. Będą wolniejsze, gdy napełnią sobie brzuchy.

Gdy wypuściłam Ruca, odwrócił się do mnie z pałającymi oczyma, dysząc. Już myślałam, że złapie nóż i rzuci się na mnie, ale miał w sobie zbyt wiele żołnierskiej dyscypliny.

– Kiedy będzie po wszystkim – powiedział przez zaciśnięte zęby – zapłacisz za to.

– Kiedy będzie po wszystkim – odparłam cicho, ciekawa, czy

zaprzepaściłam jedyną szansę zaliczenia Próby – oboje możemy nie żyć.

†

Woda zamknęła się nade mną, ciepła jak zupa. Inaczej niż pozostali zdecydowałam się na własny nóż, który miałam przypasany do uda. Ten stalowy balast okazał się przyjazny, gdy poczułam, jak moje ciało stopniowo staje się nieważkie – najpierw nogi, potem pierś, wreszcie ramiona. Miałam wrażenie, jakbym wkroczyła w sen, w jakiś inny świat, gdzie przestały obowiązywać wszystkie znane mi reguły.

Krokodyle ani drgnęły, gdy nasza piątka wolno zsunęła się do wody. Chua mówiła, że przyciąga je ruch, dlatego – inaczej niż Dem Lun, który wbiegł do jeziora, wrzeszcząc i chlapiąc – poruszaliśmy się powoli i z rozmysłem. Widziałam tylko ich prastare oczy nad wodą – krokodyle potrafią żyć sto lat i dłużej – oraz wystające nad powierzchnię łuski ich grzbietów i ogonów. Nagle zrozumiałam, dlaczego Vuo Ton uznawają te gady za wcielenia swoich bogów.

– Rozdzielamy się na dwie flanki – powiedział Ruc, ruchem głowy wskazując w lewo i w prawo. Taki jest nawyk żołnierza: zapomina o wszystkim oprócz walki. Teraz, gdy już byliśmy w wodzie, całkiem zapomniał o Dem Lunie.

– Płyńcie sobie, gdzie chcecie – odparła Ela. – Ja będę się unosić.
– Nie mówiąc nic więcej, obróciła się na wznak i zamknęła oczy.

Troje z nas spojrzało ze zdumieniem, gdy popłynęła wolno ku krokodylom.

– Postradała zmysły? – zapytał Ruc.

– Tak – odparł ponuro Kossal.

Rzeczywiście zakrawało to na szaleństwo. Kapłanka wystawiła ręce na boki i leciutko przebierała dłońmi w wodzie, jakby korzystała z kąpieli w prywatnym basenie jakiegoś bogacza i czekała, aż służba poda jej kielich albo ręcznik. Słońce opromieniało jej moką skórę. Wyglądało to tak, jakby płonęła żywym ogniem. Szczęśliwy uśmiech błąkał się na jej wargach.

– Jaki mamy plan? – zapytałam.

– Jeśli dobrze oceniłem mózg tej kobiety – powiedział Kossal – to wolałbym, żeby mnie tu nie było.

Ruc przyglądał się Eli jeszcze przez chwilę, a potem wskazał na krokodyle.

– Cokolwiek ona zamierza, lepiej, żebyśmy byli na flankach, kiedy to nastąpi. Ja wezmę lewą, a wy dwoje...

– Ja wezmę lewą – stwierdził Kossal i odplynął, zanim któreś z nas zdążyło odpowiedzieć.

Spojrzałam na Ruca.

– Jak rozumiem, tworzymy teraz zespół.

Wytrzymał moje spojrzenie.

– Chyba lepiej nam szło, gdy walczyliśmy *przeciw* sobie.

Po mojej lewej krokodyle się poruszyły i dwa popłynęły za Kossalem.

– Przypominają mi ciebie – powiedziałam cicho. Słowa po prostu ze mnie wypłynęły, mimowolnie, dziwnie euforyczne. Jeśli miałam pójść do mego boga, to chciałam, żeby Ruc wiedział o pewnych rzeczach. – Mam na myśli ich spokój.

Popatrzył na mnie chwilę w milczeniu, a potem pokręcił głową.

– Jesteś tak samo szalona jak tamtych dwoje – warknął, po czym

wskazał na Elę. – Ruszajmy. Ona jest już blisko.

Popłynęliśmy niemal równie wolno jak Ela, okrążając najmniejszego krokodyla, choć „mały” to pojęcie względne, gdy mowa o bestiach wielkości łodzi. Próbowaliśmy zdradzić naszą obecność jedynie nieznacznymi poruszeniami. Bestia popłynęła za nami, śledząc nas swymi gadzimi oczyma, wiedziona jakimś zakodowanym nakazem, by prowadzić swoje zębiska za wszystkim, co się rusza.

– Zajście ich od tyłu wydawało się dużo łatwiejsze, zanim weszliśmy do wody – mruknęłam.

– A co dopiero wspiąć się na te ich cholerne grzbiety. – Ruc wskazał ruchem głowy na Elę. – Mam nadzieję, że powiedziałaś swojej przyjaciółce wszystko, co chciałaś powiedzieć, bo niebawem umrze.

Kapłanka była zaledwie na wyciągnięcie ręki od nozdrzy środkowego krokodyla. Wciąż miała zamknięte oczy. Obserwowałam zafascynowana, jak pod pływa coraz bliżej. Czekałam, aż otworzą się wielkie szczęki i zatrzasną na jej gardle. Zwierzę nie poruszyło się jednak nawet wtedy, gdy Ela zderzyła się z nim delikatnie.

– Zbyt wolno – powiedziałam i pokręciłam głową. – Śledzą ruch, a ona prawie się nie ruszała.

– Niestety, musimy je również zabić – powiedział Ruc – a nie tylko przepływać obok.

Ela obróciła się w wodzie lekko niczym korek i przycisnęła nagim boki do skóry krokodyla. Powoli, bardzo powoli położyła rękę na jego grzbiecie, co przypominało ruch nieco pijanej kobiety na poły budzącej się ze snu i szukającej ręką leżącego obok kochanka.

Uśmiechnęła się, nie otwierając oczu, przeciągnęła dłonią po łuskach, a potem ruchem tak szybkim, że dostrzegłam jedynie wodną pianę i fontannę krwi, wbiła nóż w oko krokodyla.

Jezioro eksplodowało.

Ranne zwierzę miotało się i kłapało wściekle szczękami w powietrzu, a po chwili zaczęło się obracać, pieniać ogonem wodę. Pozostałe dwa krokodyle ruszyły do środka, przyciągnięte nagłym atakiem Eli i śmiertelnymi spazmami miotającej się bestii. Kossal, szybki jak węgorz, w ciągu kilku chwil pokonał dystans i znalazłszy się za najbliższym krokodylem, wskoczył mu na grzbiet, ścisnął kolanami jak jeździec, który osadza spanikowanego wierzchowca, i wyciągnął nóż.

Popłynęłam odruchowo naprzód, a Ruc wraz ze mną, i zbliżyliśmy się do naszej zwierzyny pod nieco różnymi kątami. Ruc znalazł się bliżej łba i groźnych szczęk. Pomyślałam, że przypadła mi w udziale łatwiejsza rola, ale już po chwili machnął w wodzie potężny ogon, uderzając mnie prosto w głowę i odrzucając na całą długość ciała. Gdy spłynęła mi z twarzy piana i wykaszałam wodę z płuc, ujrzałam, że Ruc zмага się ze zwierzęciem z jedną ręką unieruchomioną w jego paszczy, drugą obejmuje jego szyję, a na jego twarzy widnieje grymas zacieklej determinacji.

Kossal zniknął, podobnie jak krokodyl, którego dosiadł, a tamto miejsce zmieniło się w krwawy wir spienionej wody. Ela również zniknęła, chociaż krokodyl, którego zabiła, jeszcze się skręcał i drgał z nożem wciąż zawadiacko sterczącym z oka. Ledwo zauważałam patrzących na nas Vuo Ton, którzy śpiewali i zagrzewali nas do walki, oraz Chuę wykrzykującą co rusz jakieś

rady. Mój świat zawęził się do Ruca i wściekłej bestii, która usiłowała go pożreć.

– Nóż – krzyknęłam. – Wbij go!

Kiedy już wykrzyczałam te słowa, zorientowałam się jednak, że to się nie uda. Krokodyl rzucał się jak wściekły byk. Ruc jak dotąd zdołał się na nim utrzymać, ale gdyby oderwał wolną rękę, zwierzę zaczęłoby miotać nim jak lalką, aż wyrwałoby mu ramię ze stawu.

– Włóż mu na grzbiet – warknął Ruc. – Włóż za... – Zanim dokończył, krokodyl zawirował, wciągając go w głębinę.

Nabrałam powietrza i zanurkowałam. Jezioro było już jednak zbyt mętne od krwi i wzbitego z dna mułu, abym mogła zobaczyć coś więcej poza własnymi dłońmi rozgarniającymi niepewnie wodę. Zastanawiałam się, czy wyciągnąć nóż, ale potrzebowałam obu rąk do pływania. Choć Ruc i krokodyl zanurzyli się zaledwie parę kroków ode mnie, to przez długi czas widziałam w wodzie tylko bąbelki, pojedyncze, skośne promienie słońca oraz unoszące się trzciniowe włókna. I nagle znalazłam się nad nimi. Krokodyl, jak wielki kamień, opadł na dno, a Ruc leżał pod nim jak ledwo widoczny cień.

Nie widziałam wiele więcej poza konturami, a już na pewno nie tyle, żeby trafić bestię w oko. Przez kilka długich chwil szukałam w mętnej wodzie po omacku. Najpierw trafiłam na pierś Ruca, wciąż ciepłą, z mięśniami napiętymi z wysiłku. Uspokoił się, gdy poczuł dotyk mojej ręki, świadomy na tyle, nawet z ramieniem uwięzionym w paszczy krokodyla, by rozumieć, że ktoś przybył z pomocą, i zaprzestać szarpania, aby umożliwić mi odnalezienie oczu zwierzęcia. Kiedy już znalazłam jego pysk, namacanie oczu – małych, twardych kulek w odległości ramienia od nozdrzy – było

łatwe. Choć już paliły mnie płuca, wyjęłam z pochwy nóż, zmuszając się do powolnych ruchów, owinęłam ramieniem szyję zwierzęcia, po czym wbiłam ostrze, wpychając je do środka, aż zatrzymało się na jakiejś kości głęboko w głowie, obróciłam je, wyszarpnęłam i wbiłam jeszcze raz.

Bestia skręciła się, szarpnęła wstecz, a potem zamarła w bezruchu.

Skończone, pomyślałam.

Potem uzmysłowiłam sobie, że Ruc nadal pozostaje uwięziony w szczękach gada.

Szukając luki w rzędzie ostrych zębów, spróbowałam je podważyć i rozewrzeć. Ani drgnęły. Na koniec Ananshael odbiera siły wszystkim istotom, także krokodylom, ale mój bóg miał czas, a Ruc go nie miał i nie mógł czekać. Napałam na szczęki raz jeszcze i znów mi się nie udało. Zmusiłam się do krótkiego zastanowienia, a potem znalazłam twarz Ruca. Omywana ciepłą krokodylą krwią, przycisnęłam usta do jego ust. Zesztywniał pod tym dotykiem, spróbował się cofnąć, ale przytrzymałam mu głowę i wdmuchnęłam resztkę powietrza do jego płuc. Ujęłam jego dłoń, ścisnęłam ją, potem wypuściłam i wypłynęłam na powierzchnię.

Osiem razy napełniałam płuca do granicy wytrzymałości, osiem razy spływałam z powrotem na dół i podawałam mu swój oddech, piłując przy tym szczękę krokodyla nożem. Skóra była twarda jak kora drzewa, mięśnie pod nią węzłaste jak stara lina, ale nie ustawałam, tnąc, piłując i dźgając, co rusz powracając po następny haust powietrza.

Na koniec to Ruc musiał mnie wydobyć na powierzchnię. Czekałam zbyt długo, zbyt wiele czasu spędziłam pod wodą, źle

oceniłam swój zapas powietrza i ciemność zacisnęła się wokół mnie jak pięść. Miałam jeszcze czas pomyśleć: *Mój bóg...* i wszystko zgasło.

Ocknęłam się i ujrzałam nad sobą zielone oczy Ruca.

– Obudź się – powtórzył i nacisnął zakrwawioną ręką mój brzuch.

Zakrztusiłam się, wyrzygałam brudną wodę, przewróciłam się na bok i jęknęłam. Kiedy znów opadłam na wznak, on wciąż tam był, zakrwawiony, i patrzył na mnie. Coś gorącego i przejmującego rozkwitło w moim sercu.

Miłość? – zadałam sobie w duchu pytanie.

Eira swoim zwyczajem nie odpowiedziała.

20

Krokodyle patrzyły poważnymi, martwymi oczyma na ucztę, jaką sobie z nich urządziliśmy.

Rzeźnicy odcięli im głowy, położyli na glinianych półmiskach, otaczając je świeżo wykrojonymi kawałami mięsa, a między parującymi połciami utykając rzeczny czosnek i gotowaną słodką trzcinę. Całe plemię Vuo Ton przybyło na tę ucztę. Dorośli siedli ze skrzyżowanymi nogami na szerokich tratwach – nie było stolików ani krzesełek – a dzieci musiały poprzestać na takich miejscach, jakie sobie znalazły. Przeżycie trudnej próby zapewniło nam honorowe miejsce na środkowej tratwie, tuż obok Świadka. Kobiety i mężczyźni zasiadający obok nas wcale nie byli najstarszymi ani najsilniejszymi członkami społeczności, choć mieli chyba najwięcej blizn i cechowała ich taka pewność siebie, jaką mają ludzie, którzy już wiele razy zaglądali śmierci w oczy.

Noc zapadała, sącząc się powoli z powierzchni wody, spomiędzy trzcin, spomiędzy pływających domów, aż ogarnęła całe niebo. Daleko na zachodzie niski księżyc błyszczał jak nasmarowany łojem, przezierając przez rozkołysane sitowie. Dym z kuchennych palenisk zasnuwał gwiazdy, ale latarnie z rybiej łuski zwisały z lin nad naszymi głowami, kołysząc się w podmuchach bryzy i oświetlając jedzenie oraz twarze czerwonym światłem. Czułam obecność Ruca u swego boku, spokojny kształt pośród nieustannego ruchu, stały punkt w ciągle zmieniającej się delcie.

Spojrzałam, żeby się przekonać, że patrzy na mnie swymi zielonymi oczyma, które w świetle latarni wydawały się prawie czarne. Małeńka staruszka z rękami jak odnóża pająka posmarowała rany na jego dłoni jakąś maścią, potem je zaszyła, a na koniec znów posmarowała maścią z jakichś bulw, których nie rozpoznałam. Kiedy nalegała, żeby się położył, pokręcił głową.

– Bywało gorzej.

W czasie posiłku nie było widać, żeby rany bardzo mu przeszkadzały. Używał zakrwawionej lewej ręki równie często jak prawej, choć częściej zaciskał palce, jakby sprawdzając, czy są sprawne. Żadne z nas nie wyszło z wody bez szwanku. Czułam bardzo bolesne stłuczenie pod skórą policzka; miałam wrażenie, jakby kość była uszkodzona, ale nie mogłam tego stwierdzić na pewno. Kilka długich ran biegło wzdłuż nogi Kossala, nawet Ela, której walka skończyła się równie prędko, jak się zaczęła, miała na ramieniu kilka bolesnych obrzęków, chociaż podobnie jak Ruc, sprawiała wrażenie, jakby ich nie zauważała. W sumie skończyło się to w miarę dobrze. Dla nas, ale nie dla Dem Luna, którego ciało rzeźnicy musieli wydostać z brzucha największego krokodyla.

Kiedy jedliśmy, jego zwłoki czekały na jeziorze, na stosie pływającego sitowia, kilkadziesiąt kroków od nas. Wieczorna uczta była zarówno wesołym świętem, jak i ceremonią pogrzebową. Ruc nie zaprotestował – miał dość praktyczne podejście do zwłok, w czym nie różnił się wiele od nas – ale raz czy dwa podczas posiłku zauważyłam, jak zerkał w stronę cienia na tratwie, jakby to pokiereszowane ciało mogło odpowiedzieć na jakieś niewypowiedziane pytanie, a kiedy Świadek wreszcie rozkazał podłożyć ogień pod stos, nie spuszczał oczu z płomieni.

Gdy mokre ciało obróciło się w końcu w popiół, Vuo Ton zaśpiewali we własnym języku prostą, melodyjną pieśń.

– Co ona znaczy? – zapytałam cicho Chuę.

– To upamiętnienie jego dzielności – odparła.

– Dziwna praktyka – powiedział doskonale obojętnym tonem Ruc. – Najpierw gościa zamordować, a potem wychwalać jego dzielność.

Świadek obrócił się w naszą stronę.

– Nie spodziewaliśmy się po nim niczego więcej, niż oczekujemy od naszych dzieci.

– Jacy ludzie karmią swymi dziećmi krokodyle?

– One nie są pożywieniem, tylko wojownikami.

– Nie będą nimi, jeśli umrą.

– Jeśli umierają – odparł Świadek – to z nożem w rękę. Z czego mogłyby być dumne, chowając się do końca przed życiem?

– Więcej niż sto tysięcy ludzi w Dombângu – powiedział Ruc – żyje, śmieje się i ma się doskonale. Nikt nie rzuca ich nago do delty, żeby walczyli z krokodylami.

– I dlatego właśnie mieszkańcy Dombângu są słabi. Zapomnieliście waszych bogów.

Kossal, który ogryzał zebro gada, przerwał na chwilę, otarł usta i wymierzył kość w wodza Vuo Ton.

– Opowiedz nam o bogach.

Jednooki mężczyzna skinął głową, jakby spodziewał się tego pytania.

– Nie jesteś z Dombângu.

– Ona jest – wtrąciła Ela, wskazując na mnie. – Należymy do Kettralu.

Kossal przewrócił oczyma, ale nic nie powiedział.

– Kettral – powtórzył Świadek, przeciągając to słowo, jakby chciał mu się lepiej przyjrzeć. – Słyszałem opowieści o tych wojownikach. Teraz zaczynam rozumieć, dlaczego tyle wazycie na Wadze. – Obrócił się do siedzących najbliżej Vuo Ton, mruknął do nich coś, czego nie zrozumiałam, a potem powtórzył: Kettral. Zaskoczenie przebiegło jak fala wzdłuż rzędu siedzących, rozległy się pytania i okrzyki. Kobiety i mężczyźni przyglądali się nam na nowo, ich oczy zabłysły w wytatuowanych twarzach. – A po co – zapytał po chwili – Kettral przybywa do Darowanego Kraju?

– Aby znaleźć was – odparł Ruc, przeciągając się leniwie, jak rozwijający się wąż.

– Ty nie jesteś z Kettralu – powiedział wódz. – Widywaliśmy cię w mieście. Dlaczego zapragnąłeś znaleźć coś, co przez tak długi czas wcale cię nie obchodziło?

– Ponieważ tydzień temu zostało zabitych prawie dwustu mężczyzn. Połowa była Annuryjczykami, a połowa pochodziła stąd, z miasta.

– Ach – westchnął Świadek i odwrócił się na chwilę, żeby przetłumaczyć to pozostałym, a potem ponownie zwrócił się do Ruca. – Pękaty statek? Jego pokład cuchnął solą?

– Bardziej krwią niż solą, przynajmniej wtedy, gdy go znaleźliśmy.

Świadek skinął głową.

– To wielka ofiara. Święta.

– Wyjaśnij mi – powiedział Ruc – co jest świętego w dwustu ludziach, którym wyrwano gardła, wyszarpnięto ręce ze stawów, oderwano głowy, wydłubano oczy i posadzono fiołki w oczodołach?

– To dzieło Trojga – odrzekł Świadek, jakby to tłumaczyło wszystko.

Ruc przyglądał mu się przez chwilę, a potem obrócił się, aby przyrzeć się tłumowi Vuo Ton na tratwach i łodziach.

– Trojga? – zapytał cicho. – A może trzech tysięcy?

– Uważasz, że zaatakowaliśmy twoich ludzi?

– Nigdy nie widziałem boga, ale widziałem was – odrzekł Ruc.

Wódz pokręcił głową.

– Nie widziałeś bogów, ponieważ, jak wszyscy w mieście, zapomniałeś o swojej wierze.

– Och, ta wiara ma się w Dombângu całkiem nieźle. W każdym tygodniu wywozi się dzieci na obszar delty, gdzie umierają.

Świadek pokręcił głową.

– Bogowie nie wzięliby słabego mieszkańca waszego miasta chętniej niż jaguar zapragnąłby zgniłego mięsa.

– Widziałem ciała – odparł cicho Ruc.

– W Darowanym Kraju istnieje wielkie bogactwo rodzajów śmierci – powiedział Świadek. – Ukąszenia węży i pajaków. Utonięcie. Pragnienie.

Nieprzyjemna wizja przemknęła mi przed oczyma: oczy jaguara, a pod nimi jakieś inne oczy, jakby kobiety, a jednak nie kobiety. Ból przeszył moje ciało. Moja skóra już dawno się zablizniła, ale wciąż czułam rany, które pokryły się bliznami, jakby wciąż krwawiły. Poczułam nagły zawrót głowy. Światło latarni zawirowało wściekle wokół mnie. Nawet gwiazdy zdawały się płonąć.

– To, co robią kapłani z waszego miasta – ciągnął Świadek, który wciąż mówił do Ruca, nieświadomy, że przez chwilę byłam nieobecna – to nie jest wiara.

- I mówi to człowiek, który próbował nakarmić nami krokodyle.
- To wy przybyliście do nas. Chcieliście tego.
- Chcieliśmy rozmowy.
- Tylko ci, którzy zostali zważeni na Wadze, otrzymują prawo głosu. – Jednooki pokręcił głową. – Samiście wybrali – powtórzył.
- A co z tymi ze statku? – zapytał Ruc. – Czy oni też to wybrali?
- My jesteśmy związani przysięgą naszych przodków.

Ruc prychnął niechętnie.

- O co chodzi z tą słabością mieszkańców miasta? Myślałem, że jesteśmy zgniłym mięsem, znacznie poniżej zainteresowań waszych Trojga?

Świadek uśmiechnął się.

- Dwustu ludzi, uzbrojonych, gotowych do przemocy. To już nie jest samotna duszyczka porzucona na mulistym brzegu. Tu łup godzien myśliwego.

Ruc milczał. Wąskie źrenice martwego krokodyla patrzyły w noc, podczas gdy przygotowane na ucztę kawałki mięsa stygły na misie wokół nich, tłuszcz zastygał na mięsie, które zmieniało barwę z czerwono-brunatnej na szarą.

- Skąd wicie tyle o Trojgu, skoro nikt ich nigdy nie widział? – zapytałam.

Wytatuowany mężczyzna obrócił się do mnie i zdało mi się, że patrzy zarazem na mnie i na wskroś mnie.

- Co dziesięć lub dwadzieścia lat pozostawiają jednego wojownika przy życiu – odparł.

Pokręciłam głową.

- Dlaczego?

- Aby dawał świadectwo. – Uniósł dłoń do piersi, uśmiechnął się

z rozbawieniem, jakby dopiero teraz stwierdził, że posiada ciało; jakby był zdziwiony, że nie zostało zniszczone. – Aby dawał świadectwo prawdzie.

Znowu ogarnął mnie zawrót głowy, ale obroniłam się przed nim i zmusiłam do oderwania od wspomnień i skupienia na chwili obecnej, na człowieku, który siedział naprzeciwko mnie, i na pytaniu, które paliło mnie w gardle jak ogień.

– Jak wybierają? – Mój głos był suchy, chropawy. – Jak decydują, kogo oszczędzić?

Wzruszył ramionami.

– Ich wyroki to ich własna sprawa.

– Może i tak – odparłam – ale czcicie ich od tysięcy lat. Musicie mieć jakieś pojęcie, dlaczego robią to, co robią.

Świadek uniósł brwi. Czułam na sobie nieodgadniony wzrok Vuo Ton, a także obecność Rucy u swego boku i to, że mnie obserwuje. Przesadziłam. Jakaś część mnie wiedziała o tym. Naciskałam zbyt mocno, by wydobyć prawdę, której nie miałam prawa znać. A jednak, siedząc naprzeciw mężczyzny, który twierdził, że spotkał swoich bogów, musiałam się tego dowiedzieć.

– Dlaczego cię oszczędzili? – zapytałam.

Świadek zacisnął wargi i przeciągnął palcem po bliźnie biegnącej w dół ramienia, jakby podążał śladem jakiejś ścieżki na mapie.

– Ja ujrzałem w nich siebie – powiedział w końcu. – Być może oni dostrzegli we mnie coś z siebie. – Pokręcił głową, jakby nie był pewny swoich słów. – A może chcieli, żeby ktoś uczył nowe pokolenie.

– Uczył ich umierać – warknął Ruc.

– Żeby uczył ich żyć – zaproponował Świadek. – I walczyć. –

Zamilkł na chwilę. – Trójka bogów potrafiłaby zabić nas wszystkich w jedno popołudnie. Mogliby wynurzyć się z wody jeszcze tej nocy i posłać nas do grobu. Widziałeś zabitych na tamtym statku. Dobrze zatem wiecie, co bogowie potrafią.

– Dlaczego więc tego nie zrobią? – zapytałam i szerokim gestem wskazałam na ciemne trzciny wokół jeziora. – Skoro tak bardzo lubią polowanie, dlaczego wciąż tu jesteśmy?

– Gdyby nas nie było, na kogo by polowali?

– Jeśli to prawda – powiedział Ruc – choć ja w nią nie wierzę, to wygląda na to, że dobrowolnie zostaliście zwierzyną łowną.

– Wszyscy jesteśmy zwierzyną – odparł Świadek z uśmiechem. – Życie nie polega jednak na umieraniu, ale na byciu żywym.

Ruc pokręcił głową.

– Łatwo ci mówić. Ty wciąż żyjesz.

Uśmiech zniknął z twarzy wodza. W jego oczach zagościła nagle pustka, jakby stały się dziurami wywierconymi w bezdennej ciemności.

– Nie jest łatwo żyć ze wspomnieniem Trojga.

– Jakie to podniecające – zagruchała Ela, kładąc dłoń na ramieniu mężczyzny. – Ty naprawdę ich *widziałeś*.

Skinął głową.

– Jak oni *wyglądają*?

Zmusiłam się, by pochylić się bliżej. Wspomnienie uderzyło we mnie jak zaciśnięta pięść, zamazując teraźniejszość. Znowu ujrzałam lamparta leżącego w bezruchu na brzegu, zobaczyłam, jak się spręży i skacze ku mnie z otwartą paszczą. Poczułam, jak otwieram bezbronną dłoń, aby walczyć ułamek chwili dłużej, a potem dostrzegłam, tak samo jak w tysiącach snów przedtem, tę

kobietę, która przecież nie mogła być kobietą, jak wynurza się z wody, naga i doskonała, swobodnym ruchem chwyta lamparta za szyję, a ten wije się w jej rękę, po czym zwisa bezwładnie ze złamanym karkiem. Musiał ważyć dobre sto funtów, ale ona odrzuciła go z łatwością, niemal niedbale, w taki sposób, w jaki kobieta kończąca posiłek rzuca na talerz ostatnią, do czysta ogryzioną kosteczkę. Znowu poczułam, że serce łomocze mi rozpaczliwie w piersi, a ona pochyła się nade mną i widzę jej oczy, te same oczy, które prześladowały mnie od zawsze, zimne i złociste w doskonałej twarzy. Usłyszałam własny głos: *Czy przysłaś, żeby mnie uratować?* Zobaczyłam jej obnażone zęby, ostre siekacze, gdy się uśmiechnęła, a potem pokręciła głową.

– Są piękni.

Przez pół uderzenia serca myślałam, że były to moje słowa, choć nie otworzyłam ust.

Potem zrozumiałam, że powiedział to Świadek. Powoli moje wspomnienie zblakło. Rzeczywisty świat powrócił – Vuo Ton siedzący na tratwach z sitowia, odrąbana głowa krokodyla patrząca na mnie leniwymi oczyma, Ruc, spokojny, lecz gotowy, przy moim boku, palce Eli na ramieniu wodza i sam Świadek z dalekim, nieobecny spojrzeniem.

– Jak ludzie? – zapytałam.

– Są dla nas tym, czym my dla cieni, które rzucamy – odparł.

Na tratwę przed nami padał mój cień obok cienia Ruca i drżał delikatnie w migotliwym świetle płomyka latarni, jakby coś w nas stale się poruszało, coś pod kośćmi i skórą nie godziło się na spokój naszych ciał.

– Ślicznie – powiedziała Ela, gładząc dłonią ramię wodza. –

Podoba mi się ta część o cieniach. Nie wiem jednak, co oznacza.

– Są tacy jak my – powiedziałam, nie potrafiąc dłużej się powstrzymać. – Jak my, ale szybsi i silniejsi. Doskonalsi. Bardziej wypełnieni tym czymś, co czyni nas żywymi.

Kossal zmrużył oczy, patrząc na mnie nad półmiskiem stygnącego jedzenia.

– Widziałaś ich.

Nie było to pytanie, więc pozostawiłam je bez odpowiedzi. Zamiast tego zwróciłam się do wodza Vuo Ton:

– Jaki kolor miały jej oczy?

Uśmiechnął się na to wspomnienie.

– Jak ostatnie światło słońca.

– Żłociste?

Potwierdził skinieniem.

– A blizna? – mówiłam dalej, czując bolesne kołatanie serca. – Tutaj, w tym miejscu? – Uniosłam dłoń do policzka i przeciągnęłam w dół podbródka.

– A więc i ty ją widziałaś.

Zawahałam się, ale po chwili skinęłam głową. Czułam na sobie spojrzenia wszystkich Vuo Ton, poważne i nieruchome. Nie zwracałam na nie uwagi. Jedyne spojrzenie, które się dla mnie liczyło, posyłał Ruc, który przyglądał mi się z mieszaniną gniewu i zupełnej niewiary. Zwróciłam się ku niemu.

– Nie uwierzyłbyś mi.

Pokręcił głową.

– Teraz też ci nie wierzę.

Chciałam zaoponować, ale poczułam, że nie potrafię. Przez całe życie nosiłam w sobie wspomnienie tych żłocistych oczu i tej

obojętnej, okropnej siły, z jaką kobieta odrzuciła jaguara. Przez większość czasu traktowałam to jak jakąś wizję, senne marzenie, fantazję umysłu po zbyt długim przebywaniu na słońcu.

– Oczywiście, że nie – odezwałam się znowu. – Sama ledwo w to wierzę, a przecież ją widziałam.

Odwróciłam się od Ruca i ujrzałam, że Chua pochyła się ku mnie z wielkim skupieniem na ogorzałej twarzy.

– Kiedy cię znalazła?

Patrzyłam na nią, niepewna, jak zrelacjonować spotkanie, którego przez dwadzieścia lat nie dopuszczałam do świadomości. Rybaczka wpatrywała się we mnie, z dłońmi zaciśniętymi na kolanach. Świadek obserwował mnie jakimś szczególnym spojrzeniem, podobnie jak Kossal. Nawet Ela milczała, co zdarzyło się jej pierwszy raz. Mogłam oczywiście spróbować ukryć te wspomnienia w tym zakątku mego umysłu, w którym przechowywałam je przez wszystkie te lata, ale czułam się już zmęczona ukrywaniem. Poważne twarze Vuo Ton rozplywały się w migotliwym świetle lamp. Księżyc wzniósł się już ponad trzciny; wisiał nad nami jak samotna latarnia na bezkresnym nocnym niebie.

To naprawdę się zdarzyło, powiedziałam sobie w duchu, starając się poczuć prawdę tych słów. *To było rzeczywiste.*

Zwróciłam się do Ruca, choć był tu jedynym prawdziwym sceptykiem, a może właśnie *dlatego*, i nabrawszy powietrza, zaczęłam powoli opowiadać mu swoją historię.

– Miałam osiem lat, gdy matka związała mi ręce i nogi i oddała kapłanowi, żeby zostawił mnie w delcie.

– Już mi to opowiadałaś.

– Nie wszystko.

Ruc otworzył usta, by zaproponować, potem jednak pokręcił głową i je zamknął. Trudno powiedzieć, czy było to zaproszenie, żebym mówiła dalej, czy odmowa podjęcia tego tematu. Można powiedzieć, że rzuciłam się z urwiska i nie było już odwrotu, nie było innego wyboru poza skokiem w dół.

– Matka myślała, że ofiarowanie dziecka delcie może odmienić los mego ojca i tym samym uratować ich oboje, dlatego oddała mnie kapłanowi. Był grubym, lecz silnym mężczyzną. Za każdym razem, gdy usiłowałam wyskoczyć z łodzi, ściągał mnie z powrotem. Sądzę, że w końcu go to znudziło, ponieważ za setnym razem, gdy znów spróbowałam to zrobić, wymierzył mi kopniaka w głowę i kopał tak długo, aż przestałam się ruszać. Obudziłam się na gładkim mulistym brzegu, czując, że maści mi się wzrok i boli mnie głowa. Nie było widać miasta, nie było też dymów na niebie. Wszędzie wokoło tylko trzciny i wolno płynąca brunatna woda u moich stóp.

– Zerknęłam na Świadka. – Kapłan mnie rozwiązał – dodałam.

Skinął głową.

– Kem Anh i jej towarzysze nigdy nie polowali na ośmioletnie dziecko. Ci z twego miasta, którzy nazywają siebie kapłanami, zapomnieli o tym. Ale nawet oni nie mogli przecież zapomnieć, że Troje to myśliwi. – Przechylił głowę. – Dali ci jakąś broń?

– Nic specjalnego – odparłam cicho. – Tylko stary nóż. – Wciąż czułam go w ręku, jego ciężar, surowe drewno rękojeści i stalowe ostrze nadgryzione rdzą.

– To kpina – powiedział Świadek, kręcąc głową.

– Być może – odparłam. – Ale ten nóż uratował mi życie. – Zagłębiłam się w odmęty wspomnień. – Przez chwilę pozostawałam

w bezruchu. Czułam ból głowy, a moje nogi były jak z ołowiu, ale powodem, dla którego nie wstałam i nie próbowałam nic zrobić, był strach. Ślepa panika przykleiła mnie do tego mułu mocniej niż żelazne kajdany. Kapłan mógł równie dobrze zostawić mnie związaną. Leżałam tak przez cały ranek, zastanawiając się, kiedy umrę i jak. Dzień był gorący, język spuchł mi w ustach, ale nie ośmieliłam się zbliżyć do wody ani nawet się poruszyć. Bałam się *qirna*, węży, krokodyli, *wszystkiego*. Późnym popołudniem czerwonodzioba kaczka wylądowała na brzegu przy trzcinach. Gdy zaczęła wydziobywać jakieś robaczki, z trzcin podniósł się brunatny wąż, złapał ją w pętlę swego ciała i zaczął ścisnąć. Trwałam nieruchomo. Tylko obserwowałam. Kaczka szamotała się i walczyła. Jej łapki trzepotały w mule. Myślałam, że to się nigdy nie skończy, aż nagle, ot tak, była już martwa. Spokojna. Wtedy właśnie pomyślałam o samobójstwie, o tym, żeby wbić sobie nóż w brzuch. Śmierć była o wiele spokojniejszym stanem, ale *umieranie* było trudne. Nie wiedziałam, dokąd idę, ale chciałam być z dala od tej kaczki i jak najdalej od powoli połykającego ją węża, poszłam więc wzdłuż mulistego brzegu. Kiedy doszłam do końca, miałam przed sobą dwie drogi: albo popłynąć na odległą wyspę po drugiej stronie, albo ruszyć przez trzcinę. Popłynęłam, starając się płynąć wolno, nie robiąc hałasu ani niczego, co mogłoby przyciągnąć *qirna*. Kiedy dotarłam do wyspy, wdrapałam się na niskie drzewo i zasnęłam.

Obudziłam się zagubiona i zdezorientowana. Oddychałam z trudem. Zrazu pomyślałam, że to ojciec przygniół mi gardło grubym ramieniem, lecz zaraz pojęłam, że to nie mój dom, że nie czuję w powietrzu smrodu *quey* i nie słyszę przekleństw. Chwilę

potem spadłam z drzewa, a kiedy uderzyłam o ziemię, przypominałam sobie: kapłan, mulista łacha, wyspa. Sięgnęłam do piersi i dotknęłam węża boa, który owinał się wokół mnie i zaczął ścisnąć coraz mocniej. Miałam głupie szczęście, że nie wypuściłam z dłoni noża, a ręka, w której go trzymałam, wciąż była wolna. Zaatakowałam węża z wściekłą furją, dziabiąc nożem raz za razem, aż zacięłam się w kilkunastu miejscach. Na koniec, kiedy poczułam, że opadam z sił, wąż zwolnił uścisk. Ściągnęłam go z siebie, a potem odrzuciłam tak daleko, jak zdołałam, i wróciłam na drzewo. Przez pół popołudnia patrzyłam na martwego węża, a potem zmusiłam się do zejścia, obdarłam kawałek jego ciała ze skóry i zjadłam odrobinę mięsa, które było jeszcze ciepłe.

Trzy dni spędziłam na tej wyspie, kiedy zjawił się jaguar. Może przyciągnęła go krew węża na piachu, może moja krew z licznych skaleczeń, które otwierały się przy każdym poruszeniu, a może po prostu moje szczęście już się wyczerpało. Zaskoczył mnie, gdy stałam na brzegu z prowizoryczną włócznią w ręku i próbowałam upolować rzeczno wężorzą. Zauważyłam go tylko dzięki temu, że wszystko za mną ucichło, owady i małe ptaki nagle zamilkły. Pamiętam, że się odwróciłam, zobaczyłam cętkowane futro, szeroko otwarte oczy, kły i pomyślałam najpierw: *Jakie to piękne*, a potem: *Teraz umrę*.

Powstrzymywałam go przez chwilę z nożem w jednej ręce, a włócznią w drugiej. Był ostrożny, ale ja nie miałam dokąd uciec. Zostałam złapana w potrzask na tej wyspie. Był lepszym pływakiem ode mnie, a ja byłam wyczerpana, chora i było mi gorąco. Nie było dokąd pójść, nie było dokąd uciec. Za każdym razem, gdy mnie atakował, byłam coraz wolniejsza, a potem dostał

się bliżej, skaleczył mi ramię pazurem, wytrącił z ręki włócznię, cofnął się, zatoczył krąg, po czym zamarł na chwilę przed śmiertelnym atakiem. Kiedy na mnie skoczył, byłabym niechybnie zginęła, gdyby nie ta kobieta, naga, o złocistych oczach, która wypadła z wody jak piorun, złapała kota w powietrzu, złamała mu kark i odrzuciła na bok.

– Kem Anh – powiedział cicho Świadek.

Popatrzyłam na niego przez długą chwilę, a potem pokręciłam głową.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Dziwne są zachowania bogini. Nie mogę mówić w jej imieniu, ale powiedziałbym, że dostrzegła w tobie twoją przyszłość: ośmioletnie dziecko, samo w delcie od trzech dni, które zabiło boa dusiciela i walczyło z jaguarem. Dostrzegła, co może z ciebie wyrosnąć. Nie chciała tego zmarnować.

– Zmarnować czego?

– Kobiety, która pewnego dnia może stać się godna polowania – odparł z uśmiechem.

Potrząsnęłam głową.

– Nie mogła wiedzieć, że tu wrócę.

Rozłożył ręce, jakby chciał objąć mnie, ucztę, wioskę i całą tę noc.

– A jednak tu jesteś, po latach, i szukasz jej.

†

Picie trwało długo w noc. Pamiętam, że w którymś momencie pomyślałam, jakie to dziwne, że ci sami ludzie, którzy traktowali

nas z taką nieufnością, a potem próbowali nakarmić nami krokodyle, stali się tak gościnni, życzliwi i wymowni. Dzbanki z *quey* krążyły wokół, a potem, gdy dzieci posprzątały resztki po uczcie, ludzie zaczęli przechodzić z tratwy na tratwę, porzucając jedną rozmowę, aby przyłączyć się do innej. Nie rozumiałam ich języka, ale z wyciągniętych w naszą stronę palców i żywej mimiki wносиłam, że jednym z głównych tematów była popołudniowa walka. Starsi kiwali głowami ze zrozumieniem, jakby widzieli to już tysiące razy. Dzieci, zwłaszcza te zbyt małe, by same walczyć z krokodylami, przez całą noc rozpytywały o każdy szczegół, który mógłby zapewnić im przewagę, gdy już przyjdzie ta chwila, kiedy wejdą nago do jeziora z bestiami.

Vuo Ton wydawali się zafascynowani nami wszystkimi. Oglądali rękę Ruca, debatowali żywo o śladach na nogach Eli oraz zerkali na Kossala z oczywistym, choć ostrożnym zainteresowaniem. Kilkoro podeszło do Chui, zwłaszcza tych w bardziej podeszłym wieku, których mogła pamiętać z dawnych czasów, zanim opuściła pływającą wioskę, by udać się do Dombângu. Rybaczka nie wydawała się zbyt szczęśliwa z odwiedzin w domu swego dzieciństwa i wymknęła się, gdy zaczęto wyciągać gliniane fajki i nabijać je jakimiś liśćmi o gryzącym zapachu, których nie znałam, i wdychać dym z maleńkich ognisk żaru.

Co najciekawsze, Vuo Ton byli niezwykle zainteresowani mną. Gdy opowiedziałam moją historię, Świadek zrelacjonował ją dokładnie całej wiosce. Kiedy skończył, wszyscy zwrócili się ku mnie i skłonili z szacunkiem głowy. Gdy picie i palenie trwało już na dobre, ludzie zaczęli podchodzić do mnie, wkładać mi przez głowę naszyjniki, wciskać do rąk fajki albo butelki, zachęcając do

picia, palenia i tańca. Byłam senna, lecz kiedy więcej *quey* popłynęło w mojej krwi, przeszłam na niepewnych nogach do miejsca na największej tratwie, gdzie ustawiono w półkole sześć skórzanych bębnow.

Ruc odnalazł mnie w ścisku i natychmiast wywlókł na brzeg tratwy. Woda drżała od dźwięków muzyki, każde uderzenia bębna wprawiało w ruch odbicie księżyca na jej powierzchni. Przez całą noc nie widziałam, żeby Ruc palił lub pił cokolwiek.

– Zdajesz sobie sprawę – warknął – że pijanych łatwiej zabić. I że głośniej śpią.

Popatrzyłam w jego ciemne oczy, a potem wskazałam gestem na festyn za jego plecami. Kossal zniknął, lecz Ela wirowała w tańcu od partnera do partnera, całkiem sprawnie przebierając długimi nogami w rytm nowej muzyki. Dzieci śpiewały, a ci, którzy byli zbyt starzy, by tańczyć, wybijali sękatymi dłońmi takt na kolanach.

– Naprawdę sądzisz, że coś tu jest nie tak? – zapytałam. Zauważyłam, że zacisnął szczęki. – Patrz – powiedziałam, obejmując go ramieniem i obracając. – *Patrz*. Nie sądzisz, że byłby to bardzo dziwny sposób oddania nas bogu?

– Jakiemu bogu? – zapytał i zmrużył oczy.

Przeklełam swoje pijaństwo i brnęłam dalej:

– Jakiemukolwiek. Mogli nas zabić z łuków, gdy wpłynęliśmy na jezioro. Mogli nas zabić tuż po tym, gdy skończyliśmy walkę z krokodylami. Mogli zatruć ranę twojej ręki, zamiast ją wyleczyć. Mogli otruć nas wszystkich w dowolnym momencie uczy. – Pokręciłam głową i przyciągnęłam go bliżej do siebie. – Zamiast tego nakarmili nas i dali nam na noc szałas – dodałam.

Szałas to nie było nazbyt dobre określenie. Trzy domki, które

Świadek nam przydzielił, były schludniejszymi od szałasów kopulastymi konstrukcjami ze splecionej ciasno trzciny, każdy pływał na osobnej tratwie. Kossal już zażyczył sobie jednej chatki, a Chua drugiej. Ela chyba nigdy nie potrzebowała snu, więc trzeci domek został dla mnie i dla Ruca. Od wschodu zerwał się ciepły wiatr. Na krótką chwilę słony zapach oceanu przegnał woń mułu i ludzkich ciał. A potem spadł deszcz, tak gęsty, że przesłonił mi wszystko poza twarzą Ruca, oświetloną światłem rozkołysanych na wietrze latarni.

– Chodź – powiedziałam, ciągnąc go za ramię.

– Dokąd? – zapytał głosem niewiele głośniejszym od bębnienia deszczu o trzcinę i pluskania milionów kropeł o wodę.

– Do środka – odparłam, wskazując gestem ledwo widoczny kontur naszej chatki. – Jeśli postanowili nas zabić, to równie dobrze możemy zginąć wysuszeni.

Uwolnił się z mego objęcia. Pomyślałam, że będzie się opierał, ale po chwili kiwnął głową i przepuścił mnie przodem.

Gęsty dach z sitowia chronił od deszczu i tłumił dobiegający z największych tratw dźwięk bębnów, na których Vuo Ton wciąż grali. Małe wnętrze było ciemne, ciepłe, pachnące dymem, potem i jakimiś korzeniami, których nie znałam. Z początku nie widziałam nic poza niewyraźnym zarysem postaci Ruca i zamazaną, srebrzystą kurtyną deszczu w niskim wejściowym otworze. Za nim kołysała się samotna latarnia, w której wnętrzu migotał płomyk poruszany wiatrem, lecz bezpieczny za osłoną rybiej łuski; czerwone światło docierało do wnętrza chatki i po kilku chwilach zaczęłam rozróżniać kształty: rząd glinianych dzbanków ustawionych schludnie przy wejściu, rybackie włócznie

oparte o ścianę, sześć koszyków zwisających z trzcinowego dachu oraz trzcinowe posłanie w głębi.

Oboje staliśmy w środku. Słyszałam oddech Ruca i czułam bijące od niego ciepło. Uniosłam dzbanek w dłoni.

– Napijesz się?

Potrząsnął szorstko głową, patrząc na deszcz.

Objęłam go i przyciągnęłam bliżej do siebie.

– Może warto chociaż raz komuś zaufać.

Ruc zeszywniał w moim objęciu.

– Oni zamordowali Dem Luna.

– On – zaczęłam, choć czułam, że następne słowa dyktuje mi to, co wcześniej wypaliłam – tak czy inaczej nie uszedłby z delty cało.

– Ale nie musiał umierać w szczękach pieprzonego krokodyla.

– I nie musiał wbiegać do wody z wrzaskiem, jak żarcie dla krokodyla. – Jeszcze raz pomachałam Rucowi dzbankiem przed twarzą. – Spróbuj tego.

Próbował się wyrwać, ale czułam, że to się zbliża, i trzymałam go mocno.

– Zostaw mnie – warknął.

– Nie.

Przez strużki deszczu widziałam cienie tańczących Vuo Ton. Ulewa osłabła na moment i dostrzegłam Elę wirującą wśród tłumu. *Miłość nie jest czymś, czego doświadczasz samotnie, przypomniałam sobie. Nie jest czymś w twojej głowie. Miłość to przestrzeń między dwojgiem ludzi.*

– Posłuchaj – powiedziałam, pociągając Ruca, by stanął twarzą do mnie. – Chcesz, żebym powiedziała, że mi przykro z powodu Dem Luna. – Potrząsnęłam głową. – Otóż nie jest mi przykro.

– Bo „widziałaś boginię”? – zapytał cicho. – Bo nagle zrozumiałaś prawdę? Bo teraz rozumiesz potrzebę składania ofiar Darowanemu Krajowi?

Zaczepiłam nogą o jego kostkę, przewróciłam go na materac z sitowia i ległam na nim z twarzą przy jego twarzy.

– *Ja zostałam ofiarowana delcie. Spędziłam tam trzy dni, myśląc, że umrę, zanim uratowali mnie zdumieni rybacy z Dombângu.*

– To znaczy, że teraz kolej na innych, żeby przeżyli to samo? Ojciec cię bił i nienawidził, matka się ciebie wyrzekła, więc nadeszła pora, żeby wepchnąć kogoś innego, kto nie ma z tym wszystkim *nic wspólnego*, w paszczę krokodyla?

Czułam płomień w miejscu, gdzie powinno bić moje serce. Prawie się spodziewałam, że twarz Ruca zajmie się od niego ogniem, gdy przemówię. Czułam pod sobą sprężoną moc jego ciała, ale z jakiegoś powodu nie próbował się uwolnić.

– A ty chciałeś, żeby jak umarł? – warknęłam.

– Na pewno nie w taki sposób.

– *Wszystko dzieje się w jakiś sposób* – powiedziałam. – To, co pojawia się przedtem, zęby lub choroba, nóż czy ugryzienie węża, nie ma większego znaczenia. To nie jest śmierć. – Oddech palił mnie w gardle. Czułam zapach potu Ruca. Wspomniałam jego zakrwawione wargi na moich wargach, gdy tchnęłam mu w usta: – Śmierć jest tym, co *kończy* cierpienie. Śmierć jest *błogosławieństwem*.

– Dlaczego zatem unikałaś jej przez całe życie?

– Nie masz zielonego pojęcia o tym, jak spędzałam życie.

Ruc spojrzał mi w oczy.

– Nie mam. Nie wiem, czy jesteś z Kettralu, czy może jesteś

czaszkowierczynią albo jakąś pieprzoną najemniczką w służbie sukinsynów, którzy chcą zniszczyć Dombâng.

– Skoro chcę zniszczyć Dombâng, to co tutaj robię? Dlaczego ci pomagam?

– Pomagasz? Na pewno byłaś przy mnie, ale co naprawdę robiłaś?

– Poza wydostaniem cię ze szczęk krokodyla? Poza podawaniem ci do ust mojego oddechu?

Zagryzł wargi. Ujęłam go dłonią pod brodę i przylgnęłam do niego mocno.

– Gdybym chciała twojej śmierci – ciągnęłam – to wystarczyłoby jedynie poczekać. – Sięgnęłam po nóż. – Nawet teraz mogłabym cię zabić.

Ruc złapał mnie za przegub, potrząsnął głową i przewrócił na plecy.

– Nie – warknął. – Nie mogłabyś.

Wykręcił mi rękę i wypuściłam nóż. To nie był czas na ostrze. Jeszcze nie.

Wpierw musiałam go pokochać.

– Wróciłam do Dombângu – powiedziałam – bo są tu rzeczy, których nie mogłam zapomnieć. Rzeczy, które musiałam jeszcze raz zobaczyć.

Poczułam na twarzy jego gorący oddech.

– Twoją boginię. Pieprzony mit, który od czterech lat usiłuję wykorzenić.

– Ona nie jest moją boginią.

– Ale wierzysz, że rzeczywiście gdzieś tam jest.

– Ty jesteś rzeczywisty – odpowiedziałam, przyciągając jego

twarz ku sobie tak blisko, że wdychałam jego oddech. – I jesteś tutaj. Ale to nie czyni cię bogiem.

Oczy w jego twarzy wyglądały jak ciemne dziury.

– Pyrre, czego ty chcesz, do jasnej cholery?

Mądra odpowiedź była oczywista: *Chcę ciebie.*

Tego jednak nie mogłam powiedzieć.

Nie dlatego, żeby to nie była prawda. Pragnęłam go w tym momencie, chciałam poczuć na sobie jego ciężar i jego nagą skórę na mojej. Chciałam, żeby mnie kochał, i chciałam go pokochać, ale to nie wszystko. Rzeczy, których chciałam, był cały legion: chciałam jeszcze raz złapać matkę za gardło, chciałam błogosławieństwa Ananshaela, świeżego powietrza Rassamburu owiewającego mi twarz, ujrzenia po raz drugi tej doskonałej istoty, która przed laty wybawiła mnie od jaguara. Wszystko napierało zewsząd, wyciągając ku mnie dłonie jak żebracy i prosząc o więcej, wciąż więcej.

– Chciałabym być lżejsza – powiedziałam w końcu.

Ruc parsknął; był to na poły śmiech, a na poły taki odgłos, jaki wydaje mężczyzna uderzony w brzuch, po czym stoczył się ze mnie.

Nie tak, chciałam powiedzieć. *To własnego ciężaru chcę się pozbyć.* Ale on już odszedł i usiadł przy wejściu, patrząc na deszcz i pociągając z dzbanka długi łyk *quey*. Też usiadłam, schowałam nóż i dołączyłam do niego, wciąż szukając właściwych słów. Ulewa osłabła i widziałam teraz Elę siedzącą na tratwie naprzeciwko. Większość ludzi Vuo Ton schroniła się w swoich chatkach lub większych ośmiokątnych pomieszczeniach otaczających kręgiem wioskę, ale dobry tuzin kobiet i mężczyzn wciąż tańczył w rytm bębnow w padającym deszczu. Ela znów była w centrum tego

ruchu, deszcz spływał jej po twarzy, gdy tańczyła z kolejnymi partnerami.

– Chcę być taka jak ona. – Nie zdawałam sobie sprawy, jak prawdziwe są to słowa, dopóki ich nie wypowiedziałam.

– Sprawia wrażenie stukniętej – odparł Ruc.

Pokręciłam głową.

– Wie, kim jest. Rozumie, czego chce. Nic jej nie martwi.

– A powinno.

– Co powinno?

Ruc znów pociągnął długi łyk z dzbana, odstawił go, a potem machnął dłonią, wskazując na zewnątrz.

– Przyjrzyj się. Świat się rozpada. Każdy, kto tego nie wie, kto nie czuje tego w kościach, też będzie naznaczony rozpadem.

– A co, jeśli wszyscy już ulegliśmy rozpadowi?

Zaśmiał się ponuro.

– Taką możliwość też brałem pod uwagę.

Sięgnęłam i przeciągnęłam palcem po ranie na jego ręce, a potem dotknęłam blizny na podbródku, tej, którą pozostawiłam mu pięć lat wcześniej, walcząc z nim w ringu nad jeziorem.

– Co zatem mamy zrobić?

Pokręcił głową.

– Spróbujmy poczuć się lepiej.

Deszcz padał, wsiąkając w sploty sitowia, przecinając srebrnymi strużkami światło lampy, pryskając przez otwarte drzwi na moje nogi. Wciąż słyszałam ostatnich tancerzy, ale dostrzegałam zaledwie kształty i ruch. Kiedy obróciłam się do Ruca, moje widzenie się zmieniło. Światło lampy odbijało się w jego oczach, połyskiwało w kroplach potu na jego piersi. Poza tym był

mężczyznę zbudowanym z żaru, twardych mięśni i ciemności.

– Poczuc się lepiej – powtórzyłam, smakując te słowa. Ujęłam dłońmi jego twarz. – To dlatego wróciłam.

Przynajmniej to nie było kłamstwem.

Dotknął moich palców, jakby zaskoczony, że znalazły się w tym miejscu, przeciągnął dłonią po moim nagim ramieniu aż do barku, a jego dotyk był zdumiewająco delikatny. Pamiętałam walkę z nim, kochanie się z nim, ale czegoś takiego nie.

– Powinnaś była poszukać gdzieś indziej – powiedział, kładąc mnie delikatnie na sitowiu i przenosząc nade mnie swoje ciało. – Kogoś innego.

Sięgnęłam ręką do jego paska, rozpięłam i wsunęłam dłoń w spodnie, aby stwierdzić jego gotowość.

– Nie ma nikogo innego – odparłam, zsuwając mu spodnie, a potem, ruchem stopy, zrzucając mu je z kostek. Uniosłam ramiona, aby mógł zdjąć ze mnie kamizelkę. – To musiałeś być ty.

Oczywiście, jak większość mężczyzn, jak większość ludzi, zrozumiał to zupełnie opacznie. Usłyszał ostatnie słowo – *ty* – podczas gdy powinien był zapytać o pierwsze. Czym jest *to*?

21

Obudziwszy się, ujrzałam światło brzasku rozsmarowane jak wosk nad wschodnim horyzontem. Głowa pulsowała mi z bólu, całe ciało bolało w kilkunastu miejscach, które ucierpiały poprzedniego dnia podczas spotkania z krokodylami. Obróciłam się półprzytomna. Przy mnie, na wznak, leżał nagi Ruc, z jedną ręką odrzuconą w bok, a drugą, tą zranioną, przytuloną do siebie, jakby trzymał w niej coś niezwykle cennego. Przyglądałam się przez chwilę, jak jego pierś wznosi się i opada wraz z oddechem, jak drżą przez sen jego zamknięte powieki, jakby przeżywał w nim coś, czego nigdy nie poznam. Potem odwróciłam się, aby poszukać swoich noży.

Znalazłam je obok koszyka przy drzwiach, po wewnętrznej stronie, choć nie pamiętałam, abym je zdejmowała i tam kładła. W gruncie rzeczy całe godziny tej nocy wydawały mi się jakby zamglone albo ich wręcz nie pamiętałam. Zapamiętałam wargi Ruca na moich wargach, jego palce cudownie wędrujące po mojej skórze i zagłębiające się we mnie, jego język między moimi udami, ale wszystko to było jak błyski błyskawicy, zbyt jasne, aż dziwne w swojej precyzji, przedzielone długimi okresami ciemności.

Przeciagnęłam się, pozbywając się skurczów w mięśniach nóg i plecach, a potem pochyliłam, żeby przypasać noże do ud. Ich ciężar działał uspokajająco. Noże przypominały mi, że niezależnie od tego, jak bardzo chciałam, by moje nogi były obnażone dla rąk i pieszczot Ruca, byłam tu w określonym celu. Nie nosiłam tych

noży dla samoobrony lub ozdoby. Były moimi instrumentami, tak samo jak ja byłam instrumentem Ananshaela. Jeśli miałam znaleźć miłość w mroku mego serca i wydobyć ją na światło, mocną i jasną, to noże te były narzędziem, za którego pomocą miałam położyć jej kres.

Ponownie spojrzałam na Ruca i spróbowałam wyobrazić sobie, jak wbijam nóż między jego zębra, przekłuwam mięśnie i docieram do serca. Coś we mnie struchlało na tę myśl. Znieruchomiałam, do połowy odwrócona w stronę padającego od drzwi światła, i spróbowałam zrozumieć, co właściwie stało się w moim umyśle, pochwycić ulatującą emocję i ściągnąć ją ku sobie, przytrzymać i przyjrzeć się jej dłużej. Było to już dawno, bardzo dawno, kiedy śmierć jeszcze robiła na mnie wrażenie, ale teraz, przez chwilę, wizja noża rozcinającego ciało i wypływającej zeń gorącej krwi przypawiła mnie o mdłości.

Patrzyłam na pulsujące na szyi Ruca tętno i podążałam spojrzeniem wzdłuż zdecydowanych konturów jego ciała.

Czy to jest miłość? – zastanawiałam się. Czy to chorobliwe uczucie w moich wnętrznościach to miłość?

Było to mało prawdopodobne, ale w tym cały kłopot. Miłość nie jest taka jak większość rzeczy na tym świecie – drzewa, niebo, ogień – na które można wskazać palcem i przypisać im nazwę. Cudzoziemcy z rozmaitych krajów mówiący w różnych językach mogą nauczyć nas tysięcy słów, nie wkładając w to wysiłku większego niż oddech potrzebny do ich wypowiedzenia. *To jest kwiat. To moja ręka. To księżyc.* Miłość jednakże nie jest czymś, co można wskazać. Mamy jedynie słowa kobiety, jej czyny, to, jak się zachowuje, oraz rzeczy, które robi lub których nie robi. Dla

większości ludzi, dla milionów rozrzuconych po całym świecie, miłość jest przeciwieństwem noża wbitego w pierś. Jeśli tak to rozumieć, to czaszkowiercy są niezdolni do miłości. Ela oczywiście by się z tym nie zgodziła, ale kimże ja jestem, żeby wiedzieć, czy to oni mają rację, czy ona? Nie mogę im zajrzeć do głowy. Ledwo radzę sobie z tym, co dzieje się w mojej.

Zirytowana i urażona własną irytacją, odwróciłam się od Ruca, wciągnęłam spodnie i kamizelkę, wyszłam za drzwi i zamarłam.

Wszystko zniknęło.

Nie delta, rzecz jasna. Jezioro wciąż tu było, brunatna od mułu woda marszczyła się lekko w podmuchu bryzy. Winnodzioby wylatywały i chowały się w trzcinach. Sześć kaczek kołysało się lekko na drobnych falach. Tratwa pod moimi nogami była wystarczająco solidna, tak samo jak chatka, z której właśnie wyjrzałam. Dwie podobne przywiązane były po bokach, a zaraz za nimi cumowała nasza łódź. *To* wszystko było takie, jak zapamiętałam. Jednak cała reszta wioski Vuo Ton, barki i łodzie, flotylla pływających domów, czółna-dłubanki – wszystko zniknęło.

Przez kilka uderzeń serca patrzyłam w niemym zdumieniu. Mój umysł, wciąż półprzytomny z wyczerpania po długim picciu i paleniu, usiłował dopasować oderwane fragmenty wspomnień do sceny, którą miałam przed sobą. Gdy tak stałam, gapiąc się, z drzwi sąsiedniej chatki wyszedł Kossal, spojrzał na opustoszały krajobraz, skrzywił się, splunął do wody i szybko cofnął, by po chwili pojawić się znowu, tym razem w towarzystwie Eli. Kapłanka zmieniła przemoczone ubranie na jasne prześcieradło, które przerzuciła przez jedno ramię i przewiązała w pasie. Wyglądała na równie otumanioną jak ja i przez kilka chwil przeciągała się

i przecierała oczy, aż wreszcie zwróciła uwagę na otoczenie. Wtedy wybuchła serdecznym śmiechem.

– Pomyślałam wczoraj, że to ich *quey* dziwnie smakuje.

Kossal pokręcił głową.

– Ja nie piłem *quey*.

Ela pogroziła mu palcem.

– Ale piłeś wodę.

– Nafaszerowali nas narkotykiem.

– Za co jestem im wdzięczna – powiedziała Ela, wzruszając ramionami. – Doceniam dobry sen bez koszmarów po całym dniu walczenia z krokodylami i całej nocy tańca.

– Dokąd odpłynęli?

– Gdzieś indziej.

Odwróciłam się i zobaczyłam Chue stojącą przed swoją chatką, kompletnie ubraną, z rybacką włócznią w ręku. Patrzyła na puste jezioro.

– W nocy było tu ze sto budynków – stwierdził Kossal.

Rybacka pokręciła głową.

– Raczej sto łodzi. Mówiłam wam, że Vuo Ton nie pozostają długo w jednym miejscu.

– Wiedziałaś, gdzie ich znaleźć – zauważyłam. – Przybyliśmy prosto tutaj.

– Nie – odparła Chua. – Wiedziałam, gdzie *patrzyć*. Minęliśmy z sześć innych miejsc cumowania, zanim znaleźliśmy właśnie to, a znaleźliśmy je tylko dlatego, że nam na to pozwolili.

– Ale w końcu *pozwolili*. Przeszliśmy próbę. Przyjęli nas z radością.

– Ja niewątpliwie poczułam się dobrze przyjęta – Ela puściła do

nas oko – przez cudowną parę, której imiona wyleciały mi teraz z pamięci.

– Vuo Ton przeprowadzają się, kiedy wioska jest zagrożona – wyjaśniła Chua.

– Gdzie tu zagrożenie? – zapytałam, wskazując na rozległe, puste jezioro.

Drzwi chatki za mną zaszeleściły i chwilę później wyszedł Ruc, bez koszuli, zdrową rękę zacisnął w pięść.

– Zagrożenie się spóźniło – stwierdził ponuro.

Ela uniosła brwi.

– Jakież to tajemnicze.

Przez kilka uderzeń serca próbowałam zrozumieć dziwne stwierdzenie Ruca. Potem wszystko ułożyło się w spójną całość.

– Planowałeś atak – powiedziałam, przyglądając się jego twarzy.

Skinął głową ze znużeniem.

– Jeśli byli odpowiedzialni za rzeź na transportowcu, była to jedyna szansa.

Ela przechyliła głowę.

– Trochę szczegółów mi umknęło. Czy mieliśmy zmasakrować ich wszystkich ubiegłej nocy? Skoro taki był plan, to tańczyłabym mniej i uprawiała mniej seksu.

– Nie – odparł Ruc. – Byliśmy tylko psami. Myśliwi postępują za nami, czekając, aż coś osaczymy.

– Przyznaję, że nieźle się bawiłam – powiedziała Ela – ale słowo *osaczyć* brzmi cokolwiek nieżyczliwie...

– Przynęta – uświadomiłam sobie. – Wczoraj. Te beczułki, które opróżniłeś za burtę. To nie była ofiara.

– Krew przyciąga *qirna* – odparł. – *Qirna* przyciągają jastrzębie

z delty. Te ptaszyska mają osiem stóp rozpiętości skrzydeł. Przez lunetę można je zobaczyć z odległości wielu mil, jak krążą wysoko nad trzcinami.

– Twoi ludzie nas śledzili – dodałam.

Skinął głową.

– Zielone Koszule i legie. Mieli rozkaz otoczenia wioski i zaatakowania o świcie.

Chua splunęła do wody.

– Już wam mówiłam, że nikt nie znajdzie Vuo Ton, jeśli nie zechcą być znalezieni.

– Spodziewałem się osady – powiedział Ruc – a nie flotylli powiązanych ze sobą łódek. – Powiódł spojrzeniem po trzcinach, wypatrując jakiejś luki. – Jak daleko stąd już są?

– Całe mile – odparła Chua.

– Potrafisz ich wysledzić?

Popatrzyła na niego zimno.

– I po co było urządzać tę zabawę? – zapytał Kossal. Dłubał w zębach, próbując wyciągnąć coś, co w nich utknęło, i patrzył z zastanowieniem w niepewne niebo. – Po co nas w ogóle wpuścili, skoro wiedzieli o pułapce?

– Z powodu krwawej trzciny, którą zerwaliśmy w delcie – wyjaśniła Chua.

Kossal zmarszczył brwi.

– Zatknięcie kawałka miejscowej rośliny na dziobie łodzi wydaje się dość wątplym usprawiedliwieniem planowanej zasadzki.

– Vuo Ton nigdy nie byli w niebezpieczeństwie – odpowiedziała kobieta. Obróciła się do Ruc. – Musiałeś kazać ludziom czekać, żebyśmy zdążyli nawiązać kontakt przed zamknięciem pułapki.

Skrzywił się i skinął głową.

– Czyli... co? – powiedziałam. – Po prostu chcieli nas poznać?

Chua wzruszyła ramionami.

– Vuo Ton wierzą w opatrność Darowanego Kraju. Nie zdarza się często, żeby jakaś łódź z Dombângu znalazła drogę do tego miejsca. Tych, których Troje przepuszcza, nie wolno lekceważyć.

– Znaleźliśmy ich – powiedział Ruc – bo wiedziałas, gdzie patrzeć. Nie dlatego, że delta nas tu przywiodła. I nie dlatego, że bogowie sekretnie wskazywali nam drogę.

– Nawet po tym, co widziałeś, nadal nie wierzysz – stwierdziła rybaczka.

– A cóż takiego widziałem? – zapytał Ruc, obracając się, by spojrzeć jej w twarz. – Oszukańczą wioskę na łódkach. Dwóch moich ludzi zabitych, jeden przez krokodyla, a drugi przez węża. – Tu wskazał na sitowie. – Żadnych bogów. Żadnej złotookiej kobiety wyskakującej z wody.

– Widziałeś Vuo Ton – odrzekła Chua. – Czy wciąż wierzysz, że to oni wymordowali ludzi z waszego transportowca?

Ruc patrzył na trzciny, jakby były kodem, którego nie zdoła do końca odcyfrować.

– Nie wiem – przyznał wreszcie.

– Czasem lepiej jest najpierw wszystkich pozabijać, a dopiero potem martwić się szczegółami – zasugerowała Ela.

– Moje rozkazy nie mówiły o zabijaniu wszystkich. – Ruc pokręcił głową. – A przynajmniej nie wtedy, gdyby się poddali. Po prostu chciałem mieć ich przywódców, wojowników i wszystkich odpowiedzialnych za napad.

– A twoim zdaniem ilu ludzi potrzeba, żeby pojmać tych

przywódców i wojowników? – zapytał Kossal.

Ruc skrzywił się.

– Dwustu. Zabrałbym więcej, ale nie chciałem osłabiać sił w Dombângu.

– Dwustu – powtórzył Kossal – przeciwko tysiącom Vuo Ton.

– To było ryzykowne – przyznał Ruc. – Przyjąłem, że połowa populacji to dzieci albo kobiety i mężczyźni zbyt starzy, żeby walczyć. Wiedziałem, że zobaczą te statki przed ostatecznym atakiem, ale w dalszym ciągu będzie element zaskoczenia. Mamy w końcu przewagę uzbrojenia, kusze i tak dalej.

Chua pokręciła głową.

– Mogłam ci powiedzieć, że to błąd.

– Nie ufałem ci i myślałem, że ich ostrzeżesz.

Ranek był cichy. Czerwonawe słońce niechętnie wypełzło na szerokość dłoni ponad sitowie. Zwróciłam na to uwagę.

– Powiedziałeś, że twoi ludzie mieli rozkaz zaatakować o świcie. Gdzie w takim razie są?

†

Wracając do Dombângu, wciąż nie poznaliśmy odpowiedzi na to pytanie. Po całym dniu lawirowania krętymi kanałami delty – tymi samymi, którymi powinni byli przepływać żołnierze Ruca – spotykaliśmy tylko krokodyle i czubate kaczki, winnodzioby i małe trzcinowe drozdy o niebieskich łebkach. Kiedy ujrzelśmy wreszcie dymy z kominów Dombângu, słońce zdążyło już się schować po drugiej stronie purpurowiejącego nieba. Pierwszą łodzią, jaką ujrzelśmy, była długa koraka o wiklinowym szkielecie, z załogą

liczącą sześciu rybaków. Przesłali na chwilę ciągnąć sieci i przyglądali się nam nieufnie, nie podnieśli rąk na znak pozdrowienia ani nie odezwali się do nas słowem.

Wiosłowałam z Rukiem całe popołudnie, ale gdy zobaczył rybaków, puścił wiosła i stanął w łodzi.

– Widzieliście jakieś Zielone Koszule? – krzyknął. Jak większość dźwięków w delcie, jego głos nie poniósł się daleko. Jakby utknął gdzieś w trzcinach albo wsiąknął w muł. – Łodzie wojenne – dodał – z żołnierzami?

Najstarszy z rybaków pokręcił poważnie głową, przyglądał się nam przez dłuższą chwilę, po czym znów zajął się sieciami.

– Twój żołnierz pewno już nie żyje – stwierdziła obojętnie Ela. – Tak jak tamci. Ci z transportowca.

Ela w drodze powrotnej nieraz czyniła różne uwagi, ale Ruc po raz pierwszy jej odpowiedział. Obrócił się do kapłanki, która leżała wyciągnięta leniwie na dziobie, i wymierzył w nią palec, jakby zamierzał przebić jej szyję.

– Żołnierze na transportowcu zostali zmyleni, a potem wpadli w zasadzkę. Większość była zapewne pijana, bo przed wpłynięciem do miasta wypili resztki rumu. Każdy żołnierz z tych, których wysłałem dziś rano, był uzbrojony w kuszę, miecz i włócznię. Znali wroga i byli gotowi.

– Nikt nie jest gotowy na Darowany Kraj – powiedziała Chua. Usiadła na ławce obok mnie i wyjęła mi wiosło z ręki. – Przesiądź się.

– Mogę jeszcze powiosłować – zaproponowałam.

– Noc już prawie zapadła, a ty nas spowalniasz. Nie chciałabym umierać tak blisko Dombângu, gdy niemal czuję jego dym.

Przesiadłam się niechętnie. Nie rozmawiałam z Rukiem przez całe popołudnie, ale samo siedzenie w jego towarzystwie, dostosowywanie się do jego rytmu, słuchanie jego oddechu i ocieranie się ramieniem o jego ramię było dla mnie źródłem radości i satysfakcji. Tak długo rywalizowaliśmy, próbowaliśmy swoich sił w walkach, nie ufaliśmy sobie nawzajem, że teraz dobrze było połączyć wysiłki i współdziałać w jednym celu. Czułam się uczciwa, trzymając wiosło w dłoniach. Dopóki zachowywaliśmy milczenie, nie było między nami kłamstwa.

Chua miała jednak rację, byłam wyczerpana. Im szybciej znajdziemy się we Wraku, tym szybciej się przekonamy, co się stało ze statkami Ruca i jego żołnierzami. Ponadto chciałam już być z powrotem w Dombângu. Nikt nie zginął w drodze powrotnej – Chua zgrabnie zabiła włócznią węża, który płynął obok łodzi – ale delta nocą budziła we mnie wspomnienia dzieciństwa, gdy głodna i przerażona wtulałam się w niskie gałęzie drzewa z nożem w ręku, czekając, aż coś wypełźnie z mroku, żeby mnie zabić. Umieranie nie martwiło mnie już, ale nie wszystkie lęki dotyczą śmierci, a ja odetchnęłam z ulgą, gdy otoczyły nas pierwsze zabudowania i blask czerwonych latarni zastąpił gasnące światło dnia.

Ulgą nie trwała długo.

Ledwo zapuściliśmy się dwanaście długości łodzi w głąb kanałów miasta, uświadomiłam sobie, że coś jest nie tak. Na nabrzeżach, mostach i chodnikach było zbyt mało ludzi. We względnym wieczornym chłodzie mieszkańcy Dombângu zwykli się gromadzić na świeżym powietrzu. Tarasy tawern nad brzegami kanałów zaczynały się o tej porze zapełniać. Rybacy związywali łodzie i wynurzali się spod płóciennych daszków, aby spędzać czas na

pokładach. Stragany na mostach, zamknięte w największe upały, otwierały się i sprzedawano owoce, kruszony lód, śliwkowe wino i setki odmian *quey*. Tak w każdym razie działo się każdej zwykłej nocy. Ta noc była jednak inna. Zrazu pomyślałam, że po dwóch długich dniach spędzonych w delcie umysł płata mi figle. Może też nie było jeszcze tak późno, jak mi się zdawało. Może w tej części miasta nie było zwykle tak dużego ruchu. Kiedy jednak płynęliśmy bezszelestnie po ciemnej wodzie kanału, zauważyłam, że Ruc ze zmarszczonym czołem też patrzy niespokojnie na mosty i chodniki.

Ela uniosła głowę z ławki, na której drzemała, i potoczyła wokoło sennym wzrokiem.

- Wydaje się, że panuje mniejszy ruch, niż zapamiętałam.
- Coś jest nie w porządku – stwierdził Ruc.

Kilku ludzi przemykało lękliwie chodnikami, co rusz oglądając się przez ramię. Łodzie na kanale omijały nas szerokim łukiem, gdy się zbliżaliśmy. Nikt nas nie pozdrawiał. Nawet nie patrzyli w naszą stronę. Równie dobrze moglibyśmy być duchami dryfującymi na łodzi. Sądząc po zupełnym braku zainteresowania, moglibyśmy spokojnie umrzeć w delcie.

– Miasto było takie ruchliwe, gdy wypływaliśmy – zauważyłam. – Jeśli doszło do kolejnych zamieszek...

Ruc skinął głową.

- Godzina policyjna. Wydałem Zielonym Koszulom rozkazy, aby na pierwsze sygnały przemocy zamknięto miasto. – Przeklął cicho.
- To tłumaczy, gdzie podziały się legie.
- Myślałam, że zostawiłeś dość ludzi do obrony miasta.
- Tak zrobiłem. Ale to cholernie duże miasto. To nie byłby pierwszy raz, kiedy się przeliczyłem.

Mimo że wiosłował całe popołudnie, znów zwiększył tempo. Chua spojrzała na niego, po czym dostosowała swój rytm i łódź skoczyła do przodu, tnąc wodę, jakby dotarcie do domu było sprawą życia i śmierci. Patrzyłam na mijane budowle: pokrytą szkłem świątynię Intarry; złowieszczy, na poły zrujnowany budynek urzędu celnego w Starym Porcie; bramy wodne zbudowane przez Anha Grubego dla odcięcia centrum miasta od oceanu. Wszystko wyglądało jak martwe. Zamiast latarni i kuchennych palenisk, śpiewów i grania na bębnach mijaliśmy puste piwiarnie, puste burdele, statki o pustych pokładach. Wiele w życiu rozmyślałam o zabijaniu, byłam świadkiem śmierci całych tuzinów ludzi, kiedy życie ich opuszczało, ale nigdy nie wyobrażałam sobie śmierci całego miasta. Tej nocy w Dombângu było coś świętego. Wydawał się jakiś większy, wspanialszy, mniej brudny. Poczułam ochotę, by powłóczyć się jego mrocznymi kanałami, oddzielić się od Chui, Kossala i Eli i ponownie zająć miejsce przy wiosle obok Ruca, żeby zwiedzić miasto, w którym wyrosłam.

Ruc, rzecz jasna, miał inne zmartwienia. Kiedy wypłynęliśmy za Pierwszą Wyspę, naszym oczom ukazał się Wrak Statku. Wielka, nieforemna, drewniana forteca wznosiła się nad kanałem, jej przysadziste wieże mierzyły w niebo, a szaníce, niczym rzędy połamanych zębów, gryzły noc. Tam przynajmniej widać było światła w oknach, jakby paliły się wszystkie świece, pochodnie i latarnie, a żołnierze czuwali. W dole, przy pomostach nabrzeża, również paliły się wszystkie latarnie i pochodnie, oświetlając rzędy łodzi i statków. Dwa tuziny strażników patrolowały pomosty, ich kolczugi połyskiwały odbitym światłem. Wszyscy mieli kusze.

Ruc zerknął przez ramię na mnie u steru.

– Trzymaj się od nich z dala – mruknął, a potem ruchem głowy wskazał na większy od innych statek kołyszący się na kotwicy w centrum nurtu. – Tam. Potrzebuję jakiejś osłony, zanim zdecydujemy, co robić dalej.

– Podejrzewasz, że to nie są twoi ludzie? – zapytał Kossal.

– Jeszcze nie wiem – odparł Ruc. – A siedzenie w łodzi pośrodku kanału nie wydaje się najlepszym pomysłem, żeby się o tym przekonać.

Jeden ze strażników zauważył nas w tej samej chwili, gdy zbliżyliśmy się do majaczącego w mroku kadłuba dwumasztowej karaki.

– Rybacy – zawołał. – Naruszyliście godzinę policyjną.

Kilka Zielonych Koszul ruszyło do łodzi przycumowanej do pomostu.

– Godzina policyjna? – rzucił Ruc głosem tylko na tyle donośnym, żeby poniósł się po wodzie. – Z czyjego rozporządzenia?

– Dowódcy Ruca Lan Laca – odrzekł Zielona Koszula. – Między zachodem a wschodem słońca wszystkie łodzie mają być przycumowane.

– Musiałeś być niezwykle zapracowany – mruknęła Ela – ścigając Vuo Ton, a zarazem śląc rozkazy do miasta.

Ruc potrząsnął głową.

– Zostawiłem instrukcje. – Podniósł dłoń do ust. – Hoai – krzyknął. – To moje pieprzone rozkazy.

Wywołało to spore poruszenie na pomoście. Zielone Koszule szeptały coś do siebie i zniżały kusze, celując w ciemność, gdzie pływała nasza łódź. Żołnierz nazwany Hoai zwrócił się do drugiego, niższego mężczyzny, naradzał się z nim przez chwilę zbyt cicho,

byśmy mogli go usłyszeć, po czym spojrzał ku nam ponownie.

– Wybacz, dowódcu – powiedział. – Nie poznałem cię. Jednak zanim pozwolę wam się zbliżyć, muszę mimo wszystko poprosić o umówione hasło. Takie są wasze własne rozkazy, panie.

– Jaka cudowna paranoja – zauważyła Ela.

Ruc zignorował te uwagę. Spodziewałam się, że wykrzyknie jakieś słowo lub zdanie, ale zamiast tego zaczął śpiewać niezapomniane początkowe takty Mszy Antreema. Śpiewał o całą oktawę głosem niższym, niż mówił, i poszczególne nuty wprawiały w wibrację kadłub łodzi, a powierzchnię wody w drzenie. Coś w mojej piersi, zapewne serce, też odpowiadało drzeniem. Śpiewał tylko przez kilka chwil, ale pieśń unosiła się w powietrzu jeszcze długo po tym, gdy skończył. Ostatni raz słyszałam utwór Antreema tamtej nocy w Sia, kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy. Ruc spojrzał na mnie w milczeniu, ale w ciemnościach nie mogłam dostrzec jego twarzy.

– Proszę, panie – powiedział Hoai. – Jeszcze raz proszę o wybaczenie.

– Przestań przeproszać – odparł Ruc. – Gdybyś zlekceważył moje rozkazy, kazałbym cię wychłostać.

Skinął głową do Chui, oboje zanurzyli wiosła, łódź drgnęła i pomknęła przez ciemną wodę w stronę pomostu.

Hoai złapał linkę cumowniczą, Ruc i Chua skontrolowali wiosłami, a jeden z żołnierzy sięgnął i przyciągnął rufę. Ruc wyskoczył z łodzi, zanim została przywiązana, przesadził z łatwością przestrzeń nad wodą i wylądował na pomoście.

– Zamieszki czy jakiś zorganizowany atak?

– Zorganizowany, panie – odparł Hoai. – Trzy skoordynowane

ataki.

– Rezultat?

– Dwa odparliśmy. Za trzecim razem okrążyliśmy atakujących na południe od Nowego Portu, choć w całym mieście wybuchała przemoc. Stąd godzina policyjna.

– Ranni?

Zanim Zielona Koszula zdążył odpowiedzieć, żołnierz za nim westchnął, zakrztusił się i upadł, sięgając dłonią do wbitego w pierś noża.

Jeszcze nim dotknął desek pomostu, wyszarpnęłam noże z pochew, podobnie Ruc wyciągnął swój miecz. Reszta żołnierzy, którzy opuścili kusze, gdy się zbliżyliśmy, skierowała je na nas znowu. Niektórzy ukłękli na jedno kolano, żeby ustabilizować celność, inni rozbiegli się na boki, jakby zamierzali zablokować nam drogi ucieczki. Znieruchomiały Hoai patrzył na Elę, która niewinnie rozłożyła ręce.

– Coś ty zrobiła? – Ruc zwrócił się do niej.

Ruchem głowy wskazała leżącego żołnierza. Jego krew, śliska jak lakier, połyskiwała w świetle księżyca tysiącem migotliwych punkcików.

– Pomyślałam sobie, że to niezły pomysł zabić go, zanim on zabije nas – powiedziała łagodnie.

– To *moi* ludzie – rzucił Ruc.

Ela wydeła wargi i potoczyła spojrzeniem po Zielonych Koszulach.

– Nie sądzę.

Ruc przystawił jej czubek miecza do gardła.

Ela ani drgnęła, nawet sprawiała wrażenie, jakby tego nie

zauważyła.

– Hoai – Ruc nie spuszczał oczu z kapłanki – zabierz ją. Zabierz ich wszystkich do aresztu.

Milczenie Zielonej Koszuli było głębokie i czarne jak otaczająca noc. Kiedy spojrzałam na niego, jego oczy były ponure.

– On nie jest w twojej drużynie, mój drogi – stwierdziła Ela, kręcąc głową.

– Ona ma rację – odpowiedział Hoai. Spojrzał wokoło na ludzi Ruca, na *swoich* ludzi, których były dwa tuziny, a każdy mierzył do nas z kuszy. Z takiej odległości nawet dziecko potrafiłoby trafić bełtem w oko. – Zabierzcie do celi ich wszystkich – dodał, po czym skinął głową w stronę Ruca. – Łącznie z nim.

Ela spojrzała na Kossala.

– Moglibyśmy ofiarować bogu wspaniały dar.

Starszy kapłan pokręcił głową z poirytowaniem.

– Zanim zostanę unicestwiony, chciałbym jeszcze zobaczyć tę złotooką nieśmiertelną boginię, którą widziała Pyrre.

– Rzuć miecz, panie – polecił Hoai.

Ruc odwrócił się do swego porucznika, wciąż trzymając w ręku miecz.

Kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał chropawo, jakby przeciągnął nożem po kamieniu:

– Dlaczego?

Hoai potrząsnął głową, jakby odpowiedź była zbyt obszerna, aby jej udzielić.

– Rzuć miecz.

– Powiedz mi dlaczego.

– Nie – odparł ponuro młodszy mężczyzna. – To ty powiedz *mi*,

dlaczego zdradziłeś swoje miasto.

– Czy to zdrada, gdy próbuje się położyć kres setkom, a nawet tysiącom lat krwawych ofiar?

– A co z ofiarami, jakich wymaga Annur? Co z pieniędzmi, jakie wyciąga z naszych kieszeni? Z wolnością, jaką nam wydzierają? Co z naszą historią, którą wymazał, pozbawiając nas dumy? A co z ludźmi, z *naszymi* ludźmi, których skazujemy na śmierć tutaj, przed tą właśnie fortecą? – Głos mu drżał, a gdy zamilkł, zauważyłam, że jego ramiona dygoczą od z trudem powstrzymywanej wściekłości.

– Bez prawa – odparł cicho Ruc – jest tylko cierpienie.

Hoai pokręcił głową.

– Od tej chwili sami będziemy stanowić nasze prawa. Tak jak to czyniliśmy, zanim Annur postawił but na naszym gardle.

– Jesteś idiotą. Nawet nie wiesz, jak swobodnie oddychało to miasto, zanim ci tak zwani kapłani zaczęli je dławić.

Zielona Koszula już chciał coś odpowiedzieć, jednak się powstrzymał.

– Ostatni raz ci nakazuję, żebyś rzucił miecz.

Położyłam dłoń na ręce Ruca, powstrzymując go przed atakiem. Gdyby było ciemniej, gdyby odległość była większa, gdybyśmy mieli jakąś osłonę albo własne kusze, moglibyśmy spróbować stoczyć walkę. Jednak staliśmy pośrodku pustego pomostu. Najbliższym schronieniem była woda, od której dzieliło nas sześć kroków. Ludzie z kuszami nie musieliby nawet być szybcy, żeby wpakować nam bełty w plecy, a ja przed śmiercią chciałam jeszcze zaliczyć Próbę. Kiedy Ananshael przetnie wreszcie nić mojej duszy, chciałabym, żeby zdążył poznać pełną miarę mojej pobożności.

– Nie teraz – szepnęłam.

Ruc nie spojrział na mnie, ale po chwili odrzucił pogardliwie miecz.

– Reszta to samo – polecił Hoai.

Kossal splunął na pomost.

– Nie mamy żadnej broni.

– Co w tym momencie zaczyna wyglądać na pewne niedopatrzenie – dodała życzliwie Ela.

†

Potoczyłam prędko spojrzeniem po celi, do której wepchnął nas jeden z renegatów z oddziału Ruc: była to klatka o wymiarach dziesięć stóp na dziesięć, której posadzka i ściany wyciosane były z rudobrazowej skały tej wyspy, a strop z cedrowych bali o grubości bliskiej obwodowi mojego ciała. Nie było to doskonałe więzienie. Gdyby mieć dłuto i stołek pozwalający dosięgnąć stropu, a do tego tydzień spokoju, podczas którego można by poświęcić się pracy, to ktoś o w miarę rozwiniętych mózgu i mięśniach mógłby się stąd wydostać. Oczywiście nikt nie dał nam dłuta ani stołka, a tydzień był założeniem optymistycznym. Właśnie zaczęłam wypatrywać innych słabych punktów, gdy drzwi zatrzasnęły się na głucho i ogarnęła nas ciemność.

– Przyznaję, że jestem nieco urażona – powiedziała Ela po kilku chwilach milczenia. – Nastawiłam się na dobrą kąpiel, butelkę śliwkowego wina i towarzystwo któregoś z tych atrakcyjnych młodzieńców z Tańca Anho.

– Wsadzenie nas do jednej celi było błędem – orzekł Kossal.

– Spróbuję nie poczuć się osobiście urażona – odparła Ela.

– Razem jesteśmy bardziej niebezpieczni – prychnął stary kapłan.

– Dla kogo? – zapytałam. Moje oczy zdążyły już przywyknąć do ciemności, ale nadal nic nie widziałam, nawet cieni, które mogłabym przypisać do poszczególnych głosów. – Na pomoście mogliśmy jeszcze czegoś próbować. Teraz, gdy tu siedzimy, wystarczy im potrzymać dłużej zamknięte drzwi, żeby nas zabić.

– Oni nas nie zabiją – odezwał się Ruc z drugiego końca celi. W krótkim milczeniu, jakie zapadło, słyszałam szuranie dłoni, którą przeciągnął po szorstkiej ścianie. Łatwo mogłam sobie wyobrazić, że nie jest mężczyzną, tylko jakimś zwierzęciem, cierpliwym i niebezpiecznym, nawet w klatce. – Chcą nas żywych. Przypuszczalnie do jakiejś parodii procesu.

– Potrafię zrozumieć, po co chcą *ciebie* – powiedziała Ela. – Zdrajcę waszego miasta, waszych ludzi i tak dalej. Nie jestem jednak pewna, co chcą osiągnąć, urządzając proces mnie i Kossalowi. Odkąd tu przybyliśmy, on nie robił nic, tylko siedział i marudził, a jeśli w Dombângu nie ma jakiegoś śmiesznego archaicznego prawa, które mówi, co kto komu może wsadzać i gdzie, to uważam, że ja nikomu nic złego nie zrobiłam.

– Po prostu wpakowałaś nóż temu żołnierzowi na pomoście – zauważyłam.

– Z pewnością kobiecie można wybaczyć chwilową nieroztropność.

– Skąd wiedziałaś? – spytał Ruc. Przestał na chwilę krążyć po celi i zatrzymał się za moimi plecami. Nie dotykał mnie, ale czułam, że tam jest, czułam w ciemności jego siłę.

– Oni wszyscy patrzyli nie na to, co powinni – odpowiedział za Elę Kossal.

– To znaczy?

– Patrzyli na nas – odparł kapłan. – Na początku mieli kusze wycelowane w rzekę, ale obserwowali tylko nas.

– Właśnie wróciliśmy po dwóch dniach z delty – zauważył Ruc. – To mogło być zdziwienie. Ciekawość.

– Mogło – zgodził się Kossal. – Ale nie było.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś? – zapytałam.

– Gdybym coś powiedział, to któreś z was, głuptasów, mogłoby coś zrobić. Skierowali w końcu kusze na nas, a to oznaczałoby śmierć, co jest w porządku, ale ja nie mogę się doczekać, żeby wpakować nóż temu czemuś, co mieszka w delcie.

Z odległego kąta celi odezwała się Chua. W ciemności jej głos był starszy, bardziej zmęczony.

– Może wciąż jeszcze masz tę szansę.

– Oni nie urządują nam procesu – powiedziałam i nagle wszystko ułożyło mi się w głowie. – To nie po to utrzymują nas przy życiu. Procesy nie leżą w tradycji Dombângu. To tradycja annuryjska. Dla każdego, kto wyznaje kult Trojga, sprawiedliwość i ofiara są tym samym. Zanim nastąpiło tutaj cesarstwo, przestępcom nie wytaczano procesów, oddawano ich delcie.

Nikt się nie odezwał. Jedyнным słyszalnym odgłosem była polifonia naszych oddechów.

– Przyznaję – powiedziała Ela – że to bardzo pobudza moje zmysły. Proces to jednak nudy.

Większość ludzi, zamkniętych w gorącym, ciemnym pomieszczeniu z perspektywą krwawej i okrutnej śmierci, nie będzie spać przez całą noc, wyobrażając sobie na tysiąc sposobów czekający ich koszmar. Większość umysłów sama zadaje sobie tortury na długo przedtem, zanim kat pojawi się z toporem, zanim zostanie ułożony stos i zanim rozszalały tłum rzuci pierwszy kamień. Historia pełna jest opowieści o kobietach i mężczyznach zamkniętych w małych izbach, którzy weszli do nich wieczorem zdrowi na umyśle, a rano wyszli na spotkanie swego losu, postradawszy zmysły.

Kossal i Ela nie byli tego rodzaju ludźmi.

Po stwierdzeniu, że z celi nie ma ucieczki, że w murach nie ma żadnych słabych miejsc i że, z wszelkim prawdopodobieństwem, zostaniemy złożeni delcie w ofierze – co w ich odczuciu oznaczało pozytywny rozwój sytuacji – wybrali sobie najgładsze fragmenty, jakie można było znaleźć na szorstkiej posadzce, i położyli się spać. Wkrótce basowe chrapanie Kossala zgrało się z głębokim, równym oddechem Eli. Spokój jest jednym z najwspanialszych darów Ananshaela – kiedy przez całe życie człowiek przygotowuje się na spotkanie z bogiem, jego bliskość nie wywołuje lęku.

Chua zasypiała dłużej.

– Wiedziałam – stwierdziła, gdy Ela z Kossalem już zasnęli.

– Co wiedziałaś? – zapytałam.

– Że tutaj umrę.

Ruc siedział obok mnie, oparty plecami o zimną kamienną ścianę.

– Jeszcze nie jesteśmy martwi – powiedział.

– Ale będziemy.

– Przeżyłaś kiedyś w delcie – zauważyłam. – Sama przez dwanaście dni.

– Przez dziesięć – poprawiła mnie. – Przez pierwsze dwa dni był ze mną Tem.

Spróbowałam dojrzeć w ciemnościach jakiś zarys, ludzki kształt, ale zrezygnowałam i zamknęłam oczy.

– Co się z nim stało? – zapytałam. – Jak umarł?

– Zabiłam go.

Ruc poruszył się przy moim boku. Mogłam sobie wyobrazić, że on również wpatruje się w tę absolutną ciemność. Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał.

– Dlaczego? – zapytałam w końcu.

– Nóż wydawał się łaskawy. Łaskawszy od pajaków i krokodyli, jaguarów czy *qirna*. Nie miałam nadziei na przetrwanie. Ani swoje, ani jego.

Następne pytanie było trudne, nie wiedziałam, jak je zadać, ale musiałam uzyskać odpowiedź.

– Czy on wiedział? Że to byłaś ty?

– Zakłułam go we śnie. Obudził się, spojrzał mi w oczy i umarł.

– I myślałaś, że uda ci się od tego uciec dzięki kilku setkom sztuk złota? – spytał Ruc.

– Powtarzałam sobie, że byłoby to możliwe. – Chua zamilkła na dłuższą chwilę. – Ale wiedziałam, że nie. Darowany Kraj jest we mnie, w środku.

– Co to ma, do cholery, znaczyć? – zapytał Ruc. W jego głosie było więcej zmęczenia niż gniewu, mimo zapalczywych słów, jakie wypowiedział.

– Nikt nie ucieknie. Nawet ci, którzy stamtąd wychodzą, są inni.

Darowany Kraj ich zmienia.

Znów poczułam na sobie ciężar węża boa, owiniętego wokół mego ośmioletniego ciała, poczułam, jak raz za razem dźgam nożem jego sploty i jak parę dni później wbijam nóż w pierś mego śpiącego ojca, w szyję matki, i widzę gorącą krew na swoich rękach, a krzyk więźnie mi w gardle.

– Zachowaj te przesady dla kapłanów – warknął Ruc. Nie mógł widzieć moich wspomnień. Przez dzielącą nas gorącą ciemność nie mógł dostrzec moich drżących rąk. – Delta jest takim samym miejscem jak każde inne. Może bardziej niebezpiecznym, ale to wciąż tylko ziemia i woda, rośliny i zwierzęta.

– I coś jeszcze – dodała cicho Chua.

Na moment oderwałam się od swoich myśli.

– Widziałaś ją?

– Nie ją – odparła. – Byli tylko tamci dwaj. Sinn i Hang Loc. Pierwszy raz zobaczyłam ich zaraz po tym, gdy zabiłam Tema. Obserwowali mnie, stojąc na brzegu po drugiej stronie kanału. Początkowo wzięłam ich za zwykłych mężczyzn, zawołałam, ale jacy mężczyźni staliby sobie nago na mulistym brzegu, nie mając łodzi, włóczni i niczego poza tymi pięknymi, strasznymi oczyma?

– Co robili? – zapytałam.

– Przyglądali się. Całymi dniami szli za mną i obserwowali. Kilkanaście razy myślałam, że sobie poszli, tylko po to, żeby ujrzyć ich za kolejnym zakrętem, za kolejną ścianą trzcin. Poruszali się po delcie jak cienie, jak światło słońca.

– Jak na istoty, które kochają zabijać, ci wasi bogowie całkiem sporo ludzi puszczają wolno – zakpił Ruc.

– Byłam zbyt słaba na polowanie – wyjaśniła Chua. – Po

ukąszeniach przez węża i pająka ledwo mogłam ruszać lewą ręką. Straciłam w rzece chyba połowę krwi. Polowanie na mnie nie sprawiłoby im satysfakcji.

– Może i tym razem nam darują – powiedział Ruc.

– Nie – stwierdziła Chua. – Tym razem pójdę do delty, żeby umrzeć.

– Skąd wiesz? – zapytałam.

– Czuję to.

– Na słodkie światło Intarry – wybuchnął Ruc. – Co takiego jest w tych Trojgu, że odbierają ludziom zdolność racjonalnego myślenia? Zgodzę się, że w delcie może coś być, coś niebywałego. Może nawet Csestriimowie. Ale nie rozumiem, dlaczego miałyby to oznaczać, że mamy porzucić rozum i zacząć rozmawiać za pomocą jakichś oderwanych, pozbawionych sensu, złowieszczych opowieści.

– Zabierz swoje racjonalne myślenie ze sobą do delty – poradziła Chua. – Każdy powinien mieć ze sobą coś, czego będzie mógł się trzymać, gdy będzie umierał.

†

W ciągu długiego milczenia, jakie zapadło, gdy Chua zasypiała, mój umysł miotał się pomiędzy dwoma problemami. Pierwszym było moje oddanie bogu. Wszystkie kobiety umierają, ale gdy nadejdzie ta chwila, to wolałabym raczej iść do mego boga jako kapłanka, a nie jako obraz zupełnej porażki. Pozostały mi jeszcze dwa dni na ukończenie Próby, dwa dni na złożenie bogu dwóch ofiar: ciężarnej kobiety oraz miłości mego pieprzonego życia. Pomijając kłopoty z drugą ofiarą, nawet pierwsza wydawała się już mało

prawdopodobna. W naszej celi nie cierpieliśmy bynajmniej na nadmiar „matek nowym życiem brzemiennych”, chyba że Ela w swoich miłosnych relacjach wykazała się szczególną niefrasobliwością. Gdybyśmy byli wolni, w mieście, to przynajmniej tę część Próby mogłabym zaliczyć. Teraz jednak wiedziałam, że prosto z celi wywiozą nas do delty. Gdyby jeszcze wytoczyli nam jakiś proces, będący publicznym spektaklem, mogłabym spróbować zabić jakąś kobietę po drodze, ale i tak pozostałby drugi, większy problem.

Miłość.

Oparłam głowę o kamienną ścianę celi i zamknęłam oczy. Pamiętałam dłonie Ruca na mojej skórze, jego usta na moich, pamiętałam, jak leżał na mnie i poruszał się we mnie, pamiętałam jego oczy i pokrytą bliznami brązową skórę napinającą się wraz z poruszeniami mięśni. Ta noc u Vuo Ton zbliżyła nas do siebie bardziej niż cokolwiek od momentu mego przybycia do Dombângu i bynajmniej nie ze względu na seks. Przeżyliśmy razem pobyt w delcie, razem walczyliśmy z krokodylami, razem odnaleźliśmy Vuo Ton. Każde wspólne wyzwanie, każde odkrycie, zbliżało nas bardziej do siebie. Z drugiej strony miało to swoje granice: niemal wszystko, o czym mu opowiadałam, z wyjątkiem historii mego ofiarowania w dzieciństwie, było kłamstwem.

Czy można kochać osobę, którą się okłamywało? Kochać kogoś, komu mówiło się *same* kłamstwa? Jak mogłabym pokochać Ruca, skoro nie miał szansy mnie poznać, i jak on mógłby mnie pokochać, skoro nigdy nie mówiłam mu prawdy? Ela potrafiła pokochać mężczyznę, którego nigdy wcześniej nie widziała, kierując się wyłącznie wyglądem jego dłoni albo twarzy, ale ja nie byłam Ela.

Aby opuścić gardę, aby sprawdzić w całej rozciągłości moje uczucia wobec Ruca, musiałam wiedzieć, co on czuje w stosunku do *mnie*... a żeby to poznać, musiałam ujawnić mu prawdę.

Ale jaką prawdę? Ile tej prawdy?

Przybyłam tu, żeby cię odnaleźć.

Przybyłam tu, żeby cię pokochać.

Przybyłam tu, żeby cię zabić.

Pierwsze dwie wydawały się w porządku, ale nic nie wskazywało na to, by to ostatnie stwierdzenie zdolne było skrzesać w Rucu niegasnący płomień pożądania. Drogi mego boga i władcy są mroczne. Nawet dzielnym mężczyznom zdarza się opacznie rozumieć jego miłosierdzie i sprawiedliwość. Komentarze Ruca pod adresem Vuo Ton jasno pokazywały, że uważa się za żołnierza, nie za ofiarę. Gdybym miała więcej czasu, mogłabym mu to jakoś wytłumaczyć, ukazać prawdę: ofiara jest częścią tego, czym jesteśmy. Bez tego żadna z tych rzeczy, które czynimy – miłość czy nienawiść, zwycięstwo czy porażka – nie znaczy nic. Csestriimowie i Nevariimowie byli naczyniami nieśmiertelnymi, lecz pustymi. Msza Antreema nie mogłaby istnieć bez swego zakończenia, a Ruc był istotą w każdym calu równie wspaniałą i niepojętą jak ta msza. Każda prawdziwa muzyka się kończy. Śmierć nie jest żadnym umniejszeniem.

Mając więcej czasu, mogłabym to objaśnić, ale już go nie miałam. Miałam dwa dni. Nie mogłam przekazać mu całej prawdy o tym, kim jestem i dlaczego tu przybyłam, ale być może mogłam powiedzieć więcej. Może tyle, żeby wystarczyło.

Otworzyłam oczy i wpatrzyłam się ślepo w ciemność. Słyszałam, jak Ruc oddycha równo obok mnie. Nie wydawało się, by już zasnął.

To strasznie ryzykowne, pomyślałam, a potem przypomniałam sobie, że wszystko wiąże się z ryzykiem. Życie to ryzykowne przedsięwzięcie. Jedynym pewniakiem w tej stawce jest śmierć. Zwróciłam twarz w jego stronę, szczęśliwa, że nie będzie mógł mnie zobaczyć, kiedy to powiem.

– Ja to zaczęłam.

Poruszył się lekko. Wyobraziłam sobie jego wzrok, który spoczął na mnie.

– To krótkie zdanie jest wyjątkowo niejasne – odparł.

Zebrałam myśli.

– Tę rewoltę. – Pierwsze słowa były najtrudniejsze, jak pierwsze ruchy pływaka w zimnej wodzie, gdy czuje się ucisk w klatce piersiowej, a oddech jest przerywany i płytki. – To ja po przybyciu do miasta zostawiłam wszędzie odciski krwawych dłoni.

Powietrze w celi wydało się nagle niebezpiecznie nieruchome. Poczułam, że moje ciało napina się do walki, obróciłam się lekko w stronę, z której miałyby nadejść atak, i przygotowałam się. Całym sensem ujawnienia prawdy było opuszczenie gardy, a nie jej wzmocnienie. Ruc był wciąż głazem balansującym na krawędzi wysokiego urwiska.

– Dlaczego? – zapytał.

Zawahałam się. Moim celem było zbliżenie się do prawdy, ale *jak* blisko?

– Nie jesteś z Kettralu – podjął po dłuższej chwili milczenia.

Odetchnęłam głęboko, nierówno.

– Nie.

Poczułam, jak przestrzeń między nami zmienia się i deformuje pod ciężarem tego jednego słowa.

– Czym jesteś?

– Miałam nadzieję, że zapytasz *kim*.

– Mam wrażenie, że nikt z nas nie otrzymał dzisiejszej nocy tego, na co liczył.

– Mówię ci o tym – starałam się zapanować nad rozmową i ją podtrzymać – bo chcę być uczciwa.

– A co takiego w gruncie rzeczy mi mówisz? Że nie jesteś z Kettralu. Że przybyłaś do Dombângu, żeby wywołać zamieszki, może nawet rewolucję. – Zamilkł, zastanawiając się zapewne nad różnymi możliwościami. – Jeżeli trzymasz z nimi, zabiję cię, zanim dotrzemy do delty. Mam dość zdrad na dzisiaj.

Prawda jest jak jadowity wąż. Jeżeli zachowasz czujność, zdołasz utrzymać ją w klatce. Jeżeli masz odwagę, możesz wypuścić ją na wolność. Jednakże tylko idiota wypuszcza jej połowę na wolność, mając nadzieję, że drugą połowę utrzyma w klatce.

– Jestem kapłanką Ananshaela – powiedziałam. Te słowa zabrzmiały dobrze, prawdziwie. – Wyszkołoną w Rassamburze. Przybyłam tu w służbie mego boga.

Milczał długo, a gdy wreszcie przemówił, nie sprawiał wrażenia zaszokowanego:

– Czaszkowierczyni.

– Wolimy inne nazwy.

– Wróciłaś do Dombângu, żeby hurtowo mordować ludzi, a martwisz się nazwami? – Usłyszałam, jak kręci głową. – Powinienem zabić cię od razu. Was wszystkich.

– Nie mógłbyś – powiedziałam cicho. – I coś jeszcze. Jeżeli naprawdę poślą nas do delty, będziesz nas potrzebował. Będziesz potrzebował mnie.

- Żebyś mogła wpakować mi nóż w plecy?
- Żebym mogła stać u twego boku.
- Czy Dwie-Sieci też jest czaszkowierczynią?
- Chua powiedziała prawdę.

Znowu usłyszałam, jak kręci głową.

– Jesteś pewna? Przecież zabiła sprawnie swego kochanego męża.

– Widziałeś ludzi umierających od ukąszenia węża – odparłam. – To był akt dobroci.

Ku memu zdziwieniu Ruc się roześmiał. Jego śmiech zabrzmiał pusto, chrapliwie i był pozbawiony radości.

– Czy sobie też mówisz takie rzeczy? Tak się usprawiedliwiasz?

– Dość wcześnie się uczymy, żeby się nie usprawiedliwiać. Nasza pobożność może być trudna do zrozumienia.

– To po co mi o tym opowiadasz?

– Mówię ci o tym, żebyś poznał prawdę.

Kiedy żyje się pośród ludzi, dla których śmierć jest czymś naturalnym, łatwo zapomnieć, jak reszta postrzega miłosierdzie Ananshaela. Nie spodziewałam się, że Ruc ucieszy się na tę wiadomość. Spodziewałam się, że będzie wściekły i dezorientowany, że zażąda ode mnie różnych wyjaśnień, że zada pytania, na których część nie będę mogła udzielić odpowiedzi albo nie będzie mi wolno jej udzielić. Spodziewałam się, że rozmowa będzie trudna, ale mój umysł był wypełniony spokojem i pięknem Rassamburu. Kiedy myślałam o wyznawcach Ananshaela, myślałam o ludziach w rodzaju Eli czy Kossala, mężczyznach i kobietach pełnych życia.

Teraz wydaje mi się to głupie, ale wówczas zupełnie nie liczyłam

się z tym, że Ruc zareaguje niesmakiem.

Poczułam, że całe ciepło, jakie już było między nami, się ulatnia. Sięgnęłam ręką w ciemnościach i dotknęłam jego ramienia. Złapał mnie mocno, a ja przez chwilę myślałam, że wszystko jednak będzie dobrze. A potem wypuścił moją dłoń z uścisku. Posłyszałam szuranie jego butów o podłogę, gdy przesunął się do odległego kąta celi.

– Ruc... – powiedziałam.

Cisza połknęła jego imię. Słyszałam jego oddech, ciężki jak po wielomilowym biegu, jakby na jego barkach spoczął niemożliwie wielki ciężar, którego nie mógł z siebie zrzucić.

Zaczęłam znowu:

– Ruc... – Ale wszystko, poza jego imieniem, zdawało się bezużyteczne.

Prawda wypełzła na wolność. A przynajmniej jej połowa. Patrzyłam na pustą klatkę mego umysłu, zastanawiając się, co najlepszego zrobiłam.

22

Oto, zamiast kwiatów, wciąż drgające ciała tuzina zdrajców.

Próbowałam wyobrazić sobie, że mówię te słowa do Ruca, gdy strażnicy otwierali drzwi, a ja mrugałam załzawionymi oczyma w oślepiającym świetle. Przez jedno uderzenie serca wydawało się, że mógłby to być przyjemny gest na rzecz pokoju. Byli to w końcu ci sami ludzie, którzy go zdradzili, zdeprawowali miasto i zawładnęli jego fortecą.

– Kto tu dowodzi? – zapytał Ruc, też mrugając i przepychając się do przodu, mimo że po całej nocy w absolutnych ciemnościach był równie oślepiiony jak my wszyscy. – Gdzie są moi ludzie? To znaczy ci, którzy nie są zdrajcami?

Najbliższy żołnierz, wielki mężczyzna, który wyglądał tak, jakby jego mięśnie ulepiono z kopczyków rzeczno-mułowego, rąbnął Ruca w głowę drewnianą pałką. Po długich latach walk bokserskich Ruc wiedział, jak przyjąć cios, tyle że technika przyjmowania uderzeń w czaszkę nie na wiele się przydaje w sytuacji, gdy ma się ręce związane za plecami. Osunął się na ścianę, lecz odzyskał równowagę, zapierając się barkiem o kamienną, szorstką powierzchnię, po czym odwrócił się do olbrzyma, który go uderzył.

– Gdzie moi ludzie? – powtórzył pytanie.

Zerknęłam przez ramię. Chua, Kossal i Ela już wstali. Dwoje kapłanów wyglądało tylko odrobinę mniej zabójczo niż zwykle, mimo że byli związani, ale jednak nie bardzo mogłam liczyć na ich

wsparcie. Sama nie byłam w szczytowej formie, choć udało mi się poluźnić więzy na tyle, że mogłam uwolnić się z nich w dowolnym momencie, gdybym chciała. Sterta ciał nie była tradycyjnym romantycznym podarunkiem, ale Ruc i ja nie przywiązywaliśmy wielkiej wagi do róż i rubinów. Może taka szybka zemsta pozwoliłaby usunąć rozdzwięk, jaki powstał między nami przez moją idiotyczną szczerłość. W każdym razie byłoby to *coś*.

Po jednym uderzeniu serca porzuciłam ten pomysł.

Praktycznie było to niewykonalne, a to z jednego powodu. Były tam dwa tuziny strażników, wszyscy mieli na sobie kolczugi, większość trzymała napięte kusze. Owszem, szybko poruszam rękoma, ale nie aż tak szybko. Może i miałabym szczęście, ale taka rodzaju masowa jatka była ściśle zakazana regułami mojej Próby. Nie byłoby miło w końcu się zakochać po poniesieniu takiej porażki.

Zielona Koszula – olbrzym wciąż miał na sobie zieloną bluzę, choć, podobnie jak reszta, najwyraźniej dość elastycznie interpretował wynikającą z tego lojalność – znów uniósł pałkę, żeby ponowić cios. Zgrabnie wkroczyłam w powstałą lukę.

– Możemy równie dobrze oszczędzić sobie pytań – powiedziałam do Ruca, lecz nie spuszczać oczu z wielkiego sukinsyna. – Mam przeczucie, że zaraz spotkamy się z tym, kto tu dowodzi.

Zielona Koszula uśmiechnął się. Jest coś zdecydowanie zimnego w oczach ludzi przekonanych o własnej racji.

– Jasne – odparł. – Jasne, że tak.

Spróbowałam pochwycić spojrzenie Ruca, gdy strażnik popchnął go w stronę drzwi. Spróbowałam, lecz bezskutecznie. Mężczyzna, który jeszcze dwa dni temu tulił mnie w ramionach, przeszedł obok, jakbym była słupem w drzwiach – nawet nie osobą, ale jakimś

koniecznym elementem architektury, niewartym szczególnej uwagi. Patrzyłam na jego wyprostowane plecy, gdy kroczył korytarzem z dwoma zbrojnymi po bokach. Nie byłam pewna, czy nienawidzę tej jego dumy, czy ją podziwiam. Jak bym się czuła, gdyby odwrócił się nagle i okazał odrobinę zmieszania lub słabości? Czy kochałabym go przez to bardziej czy mniej? Podobnie jak w przypadku większości dręczących moje serce problemów, nie miałam najmniejszego pojęcia.

Zielone Koszule dały nam znak, żebyśmy szli za nimi. Kossal pokręcił głową, jakby to wszystko zaczynało go już irytować, a Ela zaczęła czarować oczyma wielkiego typu, który uderzył Ruca. Odwróciłam się od nich, udając uległą, podczas gdy żołnierze prowadzili nas po kamiennych stopniach w górę, wyprowadzając z chłodu i wilgoci podziemia w przedpołudniowy upał delty.

– Wyglądasz na zmęczoną – powiedziała Ela po pokonaniu trzeciego lub czwartego podestu.

Zerknęłam na kapłankę. Pomimo liny krępującej nadgarstki oraz pomiętej i wybrudzonej odzieży wyglądała na radosną i wypoczętą.

– To prawda – odparłam po chwili.

– To już trzeci raz w życiu, gdy wtrącono mnie do lochów – zwierzyła się. – Zaczynam wyrabiać sobie o nich złą opinię.

Jeden ze strażników pchnął ją brutalnie w plecy.

– Dość gadania.

Ela nawet się nie potknęła, gdy odwróciła się, żeby spojrzeć z dezaprobatą na swego prześladowcę.

– Jak masz na imię? – zapytała.

Mężczyzna, najwyraźniej zaskoczony jej reakcją, spojrzał na swego towarzysza.

– Wcale nie masz niesympatycznej twarzy – ciągnęła niezrażona Ela – a sądząc z tego, jak leży na tobie mundur, ciało pod nim może być całkiem przyjemne. – Tu z żalem potrząsnęła głową. – Niestety masz pożałowania godną osobowość.

– Powiedziałem, żebyś zamknęła gębę, dziwko... – zaczął mężczyzna.

Zanim skończył, Ela przemknęła pod jego napiętą kuszą i związanymi w przegubach dłońmi trzasnęła go w gardło. Osunął się i zakrztusił. Był to śmiertelny cios, choć musiało upłynąć trochę czasu, żeby śmierć nastąpiła. Wszystko stało się tak szybko i tak cicho, że tylko najbliżsi strażnicy cokolwiek zauważyli, przynajmniej na początku. Nastąpiła chwila ciszy, niczym pauza przed kolejnym taktem muzyki, a potem Zielone Koszule zaczęły krzyczeć, wpadając na siebie, cofając się i pchając do przodu, podejmując próby wycelowania kusz w Elę, a wszystko to bez żadnej koordynacji.

Kapłanka zdawała się nie zwracać na to najmniejszej uwagi. Zajmowała się poprawianiem jakiejś wyimaginowanej niedoskonałości fryzury, podczas gdy żołnierz dusił się w agonii u jej stóp.

Kossal, który szedł krok przed nami, odwrócił się, przyjrzał całej scenie, po czym pokręcił głową.

– Będę trochę urażony, jeśli odejdziesz do boga, zanim znajdziemy się w delcie. Mogę cię jeszcze potrzebować.

Ela zmarszczyła brwi.

– To zabrzmiało niemal słodko. – Obróciła się ku mnie. – Nigdy nie potrafię się zdecydować, czy lepiej być potrzebną czy pożądaną.

– A teraz, kurde, wszyscy *na ziemię*.

Po długiej chwili jakieś dowództwo wyłoniło się wreszcie z chaosu zielonych mundurów. Wielgachny brutal z pałką wskazał na Elę, wykrzykując na zmianę już to pod adresem Eli: „Kładź się, kurde”, już to pod adresem swoich ludzi: „Kusze na tę dziwkę”.

Ela spojrzała na deski podłogi, po czym pokręciła głową.

– Podłoga jest brudna. A więc nie. Poza tym – dodała, ruchem głowy wskazując na postać w konwulsjach u swoich stóp – nie lubię słowa *dziwka*.

W śmiertelnej ciszy, jaka zapadła, zdawało mi się, że słyszę mego boga przemykającego ku nam szerokim korytarzem. Zmierzyłam spojrzeniem odległość między sobą a Rukiem, usiłując ocenić, czy zdołam dopaść do niego na czas i go zabić, zanim zrobi to bełt z kuszy wbity w jego pierś. Nie dość na tym. Wciąż nie byłam pewna, czy uczucie, jakie żywiłam w sercu wobec niego, jest miłością. A jeśli nawet było, to i tak winna byłam bogu jeszcze jedną śmierć: brzemiennej kobiety. Nawet jeśli dopadnę Ruca i go uduszę, zanim zabiją mnie Zielone Koszule, i tak przegram. A jednak, po tak długim czasie, jakoś niewłaściwie byłoby pozwolić, żeby ktoś inny oddał go bogu, nie ja.

Sprężyłam się, gotowa runąć ku niemu pod ulewą bełtów.

Zanim jednak ktokolwiek zdążył zaatakować, Kossal uniósł związane dłonie.

– Ona nie zabije nikogo innego – powiedział.

Ela uniosła brwi.

– Choć bardzo cię wielbię, Kossalu, to nie przypominam sobie, żebym mianowała cię moim prorokiem.

– Bogowie mają proroków – burknął Kossal. – Kapłanki mają upierdliwych staruchów, którzy chętnie udaliby się do boga

w innym miejscu niż ten kiepsko oświetlony korytarz pełen idiotów.

– On ma na myśli was – szepnęła Ela do Zielonych Koszul, zniżając głos, jakby powierzała im jakiś sekret. – To wy jesteście tymi idiotami.

Wściekłość przebiegła skurczem po obliczu dowodzącego żołnierza, ale po chwili, jakby przyszedł mu na myśl jakiś ważniejszy rozkaz, chwilowo zapomniany po nieoczekiwanym ataku Eli, podniósł rękę.

– Wszyscy w tył – warknął. – Dwa kroki.

– Ona złamała kark Qangowi – zaprotestował jeden z mężczyzn, który na chwilę odłożył kuszę, aby odciągnąć zwłoki od Eli. – Złamała mu, kurde, kark.

– A ja złamię twój – odparł ponuro dowódca – jeżeli nie będziesz słuchał rozkazów. Wielka kapłanka chce ich żywych i całych, więc dostarczymy ich jej żywych i całych. – Obrócił się do Ruc. – Chyba że się nie da. To twoje zadanie, żeby utrzymać swoich ludzi w karności.

Po raz pierwszy tego dnia Ruc spojrział na nas. Przez moment zatrzymał wzrok na mnie, a potem pokręcił głową.

– To nie są moi ludzie.

†

Wyglądało na to, że połowa Dombângu przyszła popatrzeć, jak ofiarowują nas dawnym bogom. Po stuleciach ukrywania swojej wiary, modlenia się do ukrywanych skrzętnie bożków, zbierania w zapomnianych kapliczkach, składania krwawych nielegalnych ofiar, za które annuryjskie prawo kazałoby ich powiesić,

mieszkańcy mego miasta mogli wreszcie uprawiać swój pradawny kult w pełnym świetle dnia.

Staliśmy na szczycie szerokich schodów przed Wrakiem Statku, co najmniej sześć kroków nad poziomem placu poniżej. Zebrały się na nim tysiące ludzi, wiele tysięcy – rybacy w roboczych kamizelach; kupcy, kobiety i mężczyźni, dostatecznie bogaci, by pozwolić sobie na kordon zwalistych ochroniarzy; żebracy w łachmanach; dzieciaki buszujące dzikimi bandami pośród tłumu i wrzeszczące do siebie pomimo protestów dorosłych; bosi marynarze z nożami do takielunku u pasa; babcie poruszające się o laskach, drobniutkie pod rozłożystymi, plecionymi z sitowia kapeluszami; słowem, cała pstrokata zbieranina mieszkańców Dombângu, ciekawych okrutnej prastarej ceremonii.

Niektórzy przynieśli podobizny Intarry nadziane na rybackie włócznie w taki sposób, że ostrze przeszywało jej brzuch, piersi lub oczy. Inni darli flagi z symbolem annuryjskiego słońca, zawodząc: „Śmierć cesarzowi. Śmierć Sanlitunowi. Śmierć psom Malkeenianom”. Jeszcze inni nieśli podobizny własnych bogów; małe, mieszczące się w dłoni drewniane figurki, malowane i przemalowywane starannie, we wszystkich szczegółach, które od pokoleń przechowywano na strychach i w skrytkach. Pomimo różnorodności tych małych rzeźb łączyło je jedno: srogość, jaką rozpoznawałam, piętno okrucieństwa i śmierci obecne nawet w najmniejszej z nich.

Przebiegła przeze mnie fala mdłości, na chwilę zamazując mi wzrok. Krótco po naszym pojmaniu wiedziałam już, co się wydarzy, ale dopiero w tym momencie ta wiedza przeniknęła z mego umysłu do ciała: wracałam. Jeszcze raz zostanę ofiarowana delcie. Więzy

ocierały mnie tak samo, jak wrzynały się przed laty w moje dziecięce nadgarstki. Oddech palił mi gardło. Rozpaczliwie szukałam słów, które poznałam w późniejszych latach:

*Ananshael czuwa nade mną. Jego moc przewyższa wszystko.
W najciemniejszej godzinie pozostaje jego miłosierdzie.*

Powoli, w miarę powtarzania tej mantry, znów zaczęłam widzieć jasno.

Kanał Cao – zaraz za placem – zapchany był tak gęsto łodziami, tratwami, czólnami i korakami, że można było przejść po nich suchą nogą aż na Serpentyne. Kobiety i mężczyźni na pokładach popijali z dzbanków śliwkowe wino i *quey*, opiekali na rusztach słodką trzcinę i wrzeszcząc, wymieniali ponad wodą rozmaite wyzwiska. Rewolucja stała się wielkim festynem. Patrząc na ten falujący tłum, można było śmiało powiedzieć, że zebrał się tu dla muzyki i żarcia, a nie po to, by uczestniczyć w złożeniu ludzkiej ofiary. Wyglądało to jak wielkie święto.

I będzie to święto, uświadomiłam sobie.

Kapłani, którzy wydarli miasto ze szponów Annuru, mieli wpisać tę datę do nowego kalendarza. Każdego roku nowa grupa więźniów stanie na tych schodach, a tłum będzie wył, żądając ich krwi. Annur nazwie to barbarzyństwem, ale jest to przynajmniej uczciwe. Większość wielkich świąt – z okazji militarnych zwycięstw albo triumfu jednej rodziny lub frakcji nad inną – poprzedza rozlew krwi. Tylko że po latach ludzie o tym zapominają.

Gdy wyszliśmy z cienia pod młot słonecznego żaru, cichy pomruk tłumy przeszedł w ryk, a od tysięcy podekscytowanych i spoconych twarzy i z otwartych szeroko ust dobiegło coś niczym śpiew, łącząc dusze w jedną melodię dawno zapomnianego chóru.

– Jestem pod wrażeniem – powiedziała Ela do Ruc. – Trzymałeś w garści miasto, którego każdy mieszkaniec szczerze cię nienawidził.

Ruc pokręcił głową, zaciskając szczęki.

– To tylko jedna frakcja Dombângu. Dziesiątki tysięcy ludzi chowają się dziś, kobiet i mężczyzn lojalnych wobec Annuru, a przynajmniej obojętnych wobec tej starej religii. Normalnych ludzi mających nadzieję, że ogień przejdzie obok, nie paląc ich na popiół. Nie będziemy dziś jedynymi, którzy zostaną złożeni delcie w ofierze, tylko najbardziej znanymi.

– Wciąż nie rozumiem – rozważała Ela – dlaczego *nas* nie lubią. Nie ma tam nawet jednej osoby, która by wiedziała, kim jestem. – Zamilkła na chwilę. – Może poza grupką młodych mężczyzn i jedną wyjątkowo giętką młodą kobietą, lecz nie sądzę, żebym zrobiła cokolwiek, co by ich uraziło.

– Nie ma żadnego znaczenia, kim jesteś – warknął Ruc. – Zostaliście złapani razem ze mną. Pojawi się milion rozmaitych opowieści o tym, że byliście annuryjskimi agentami przysłanymi tu po to, żeby zdławić ruch oporu. Niektórzy będą roznosić idiotyczne plotki, że byliście z Kettralu. – Tu zerknął na mnie oczyma zimnymi jak kawałki nefrytu. – To oczywiste kłamstwo, ale to nic nie szkodzi. Prawda nie ma dla tłumu żadnego znaczenia. Sprawiedliwość nie ma znaczenia. Liczy się tylko gniew i to, żeby dać mu jakiś obiekt.

Zanim zdążył powiedzieć coś jeszcze, krzyk tłumu, przed chwilą ogłuszający, przeszedł w inną tonację, coś pomiędzy wrzaskiem a piskiem.

Obróciłam się i ujrzałam trzy zakapturzone postacie wychodzące

z obitych stałą podwójnych wrót Wraku. Wkroczyły na szeroki podest i zatrzymały się kilka kroków za nami i powyżej nas – my zostaliśmy stłoczeni kilka szerokich stopni niżej – aby rozkoszować się sprawiedliwym gniewem tłumów. Każda z tych postaci miała szatę innego koloru: mrocznej szarości, cynobru oraz brązu tak ciemnego, że niemal czarnego. Nigdy dotąd nie widziałam tych regaliów. Takie szaty były zakazane w Dombângu od stuleci, ale je rozpoznałam, bo pojawiały się w szeptanych baśniach, które znałam od dzieciństwa. Po całym życiu ukrywania się najwyżsi kapłani miasta wychynęli na światło, żeby wysłać nas na śmierć.

Najważniejszy z całej trójki, przybrany w głęboki brąz, zwrócił się do pozostałych, coś chyba do nich szepnął, a potem wszyscy troje teatralnym gestem zrzucili z głów kaptury. Nie rozpoznałam dwóch mężczyzn, mogliby zostać losowo wybrani z tłumu. Jednakże kobietę, która ich prowadziła, rozpoznałam od razu. Była inaczej ubrana, ale trudno byłoby zapomnieć jej władcą twarz, oczy jastrzębia i sposób, w jaki na nas patrzyła, jakbyśmy już leżeli na pokładzie niczym śnięte ryby. Nawet gdy była naszym więźniem, nie chciała się ugiąć.

– Quen – warknął Ruc.

Pani Quen jakimś niepojętym sposobem zdołała się uśmiechnąć, nie rozchylając warg.

– Ruc Lan Lac. Musisz być trochę zaskoczony, że znalazłeś się związany na progu własnej fortecy.

– Tylko idiota spodziewa się wejść do gniazda żmij i wyjść z niego bez szwanku.

– Żmije. – Kapłanka uniosła brwi. – To święte stworzenia.

– Beznogie worki z jadem – odciął się Ruc. – Bez żadnego celu

poza własnym przetrwaniem.

– Nawet tutaj – kapłanka pokręciła głową – nawet pokonany i w więzach upierasz się przy profanacji.

– Pozwól, że powiem ci – odparł Ruc – co jest profanacją. Profanacją jest rzucanie niewinnych ludzi na żer delcie, a wszystko po to, żeby podtrzymać swoją władzę.

– Niewinnych? – Kobieta spojrzała na swoje dłonie, jakby spodziewała się ujrzeć na nich krew. – Przyznaję, że w czasach, gdy prawdziwa wiara Dombângu musiała zejść do podziemi, ludzie zapomnieli o dawnych zwyczajach. Byli zmuszeni składać... desperackie ofiary. Teraz jednak, gdy już powróciliśmy, gdy zrzuciliśmy z siebie jarzmo twojego cesarstwa, naprawię te błędy.

– Co oznacza, że jedynymi ludźmi, których rzucisz delcie, będą ci, którzy ci się przeciwstawiają.

Kobieta pokręciła głową.

– Dombâng był kiedyś wielkim miastem, wolnym i dumnym, zanim sprzedaliście je za garść monet.

– Ono nie zostało sprzedane – powiedział Ruc. – Zostało najechane. A stało się to dwadzieścia dziesięcioleci przed moim urodzeniem.

– Każde pokolenie zdradzało je na nowo. Każde pokolenie aż do dzisiaj.

– Wysłanie pięciorga ludzi do delty nie uwolni cię od Annuru – rzekł Ruc.

Kapłanka wzruszyła ramionami.

– To pierwsza z naszych ofiar, ale nie ostatnia. Wielkie zepsucie wymaga wielkiej czystki.

Ruc splunął na stopnie.

– To zabijanie niewinnych.

– Niewinnych? – Kobieta zmarszczyła brwi, powtarzając to słowo.

– Dowódca Zielonych Koszul, troje konspiratorów z Kettralu i jedna kobieta Vuo Ton, która sprzeniewierzyła się swemu ludowi za garść złotych monet. Nie powiedziałabym, że jesteście niewinni.

– Nie jesteśmy z Kettralu – powiedziałam znużonym głosem.

– Ona to wymyśliła – dodała Ela. – Wtedy wydawało się to dobrym pomysłem.

Kapłanka przyglądała mi się przez chwilę, a potem potrząsnęła głową.

– Osąd należy do Trojga. My jesteśmy tylko ich sługami. Powiedziałam ci, kiedy spotkaliśmy się ostatnio: Kem Anh powstaje.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, ona się odwróciła, postąpiła krok w stronę tłumu i podniosła rękę. Zgiełk, który się zerwał, a potem ścichł, gdy pierwszy raz wyszła z fortecy, teraz zamilkł zupełnie. Słysząc było jedynie płacz dziecka w oddali, puste dudnienie kołyszących się na wodzie i objających o siebie kadłubów oraz łopot flag na wieży za nami w podmuchach lekkiej bryzy. Spojrzałam na te flagi. Annuryjskie słońce ściągnięto już z masztu.

– Mieszkańcy Dombângu – obwieściła głosem mocniejszym, niż się spodziewałam. – Dziś odebraliśmy nasze miasto.

Ryk. Gniew. Tysiące wzniesionych rąk, jakby każdy ze zgromadzonych chciał nas ściągnąć w dół. Kiedy tłum znów umilkł, ciągnęła dalej:

– Przez stulecia zgnilizna osłabiała filary naszego miasta. Zbyt wielu z nas zapomniało naszych bogów, nie dziwi więc, że i bogowie z niesmakiem odwrócili od nas swe oblicza. Aż do dzisiaj. Już nie

będziemy o nich zapominać. – Odwróciła się i wskazała na Ruca. – Znacie tego mężczyznę. To Ruc Lan Lac, ten syn Dombângu, któremu zapłacono annuryjskim złotem za każdy złamany kręgosłup, za każdego zdradzonego sąsiada. Dziś zostanie osądzony.

Ruc przyglądał się ryczącemu tłumowi, jakby to była burza nad miastem, niebezpieczna, ale nie zabójcza.

– Tych czworo – ciągnęła dalej kapłanka, wskazując resztę z nas, gdy chaos się uspokoił – to jego porucznicy, gorliwi egzekutorzy, wysłani i opłacani przez Annur, aby utrzymywali Dombâng pod butem cesarstwa. Oni także staną dziś przed obliczem Trojga.

Ruc postąpił krok do przodu, jakby zamierzał powiedzieć coś do tłumu, ale strażnicy złapali go za ramiona i pociągnęli w tył. Kapłanka odstąpiła, a naprzód wystąpili dwaj kapłani, mężczyźni w szatach cynobrowej i szarej. Trzymali w rękach węże, małe karmazynowe żmije, które ściskali tuż za głowami i unosząc, pokazywali tłumowi.

– Wąż-jarzmio – mruknęła Chua.

Kossal zmarszczył brwi.

– Śmiertelnie zabójczy?

Rybaczka potrząsnęła głową.

– Ich ukąszenie na pół dnia paraliżuje i odbiera zdolność myślenia.

– Z jednej strony żaloszny teatr dla tłumy – powiedział Ruc – a z drugiej gwarancja, że nie zabijemy tego, kto nas zabierze w głąb delty.

Kapłan w czerwonej szacie stanął naprzeciwko mnie. Miał nierówne i pokruszone przednie zęby, jakby ktoś wcisnął mu twarz

w kowadło, oraz sześć blizn na policzkach i z tyłu głowy. Jego oddech cuchnął zgnilizną. Węże wiły mu się w dłoniach, wytrzeszczając wściekłe żółte oczka i szczerząc obnażone zęby jadowe. Kapłan wyciągnął ku mnie rękę. Żmija uderzyła tak prędko, że zdałam sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy poczułam, że boleśnie drętwieje mi szyja, a krew spływa po piersi, gorąca jak pot. Usiłowałam coś powiedzieć, lecz nagle doznałam uczucia, jakby język był zbyt duży w moich ustach. Świat się przechylił, a chwilę później nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Zatoczyłam się, a potem ziemia rąbnęła mnie w twarz.

Na placu ludzie znów krzyczeli, ale dobiegało to z dala, jakby w ogóle ich tam nie było, jakby te tysiące głosów były czymś, co jedynie pamiętam, jakby każda osoba, do której kiedyś mówiłam lub którą kiedyś słyszałam, wołała teraz do mnie, a może nawet nie wołała, tylko śpiewała jakąś triumfalną pieśń, melodię, za którą chciałam nadażyć, ale nie zdołałam.

23

Zanim znów pojawiło się światło, dźwięki oraz inne doznania w moim ciele, rozległo się bębnienie. Z początku dobiegało z bardzo daleka. Wyobraziłam sobie samotną kobietę siedzącą pośrodku czółna-dłubanki i trzymającą między kolanami drewniany bęben. Miała zamknięte oczy i bębniła cały czas w tym samym podstawowym rytmie, jakby robiła to od lat, nieprzerwanie, przez całe swoje życie. Dźwięk stawał się powoli coraz głośniejszy, bliższy, tak bliski, że czułam, jak każde uderzenie rozlega się we mnie wibracją. Tempo było coraz szybsze. Jej dłonie, zrazu tak opanowane, zaczęły bębnić jak szalone. Widziałam oczyma umysłu, jak czółno się zbliża, coraz bardziej, a bębnienie jest coraz głośniejsze, aż kobieta znalazła się o krok ode mnie. Zatraciwszy się w wybijanym rytmie, nie widziała mnie. Usiłowałam się poruszyć, ale coś mnie wstrzymywało.

Spróbowałam krzyknąć: *Kim jesteś?* – ale głos odmówił mi posłuszeństwa.

Przez chwilę wyglądała jak Ela, z burzą ciemnych włosów. Potem, choć niby nic się nie zmieniło w moim widzeniu, stała się tą kobietą, która przed laty ocaliła mnie przed jaguarem; mięśnie jej nagich ramion przeżyły się, gdy biła w bęben, a lśniące od potu kosmyki czarnych włosów smagały jej twarz. Po chwili, jakby po raz pierwszy usłyszała coś poza dudnieniem swego bębna, podniosła oczy. To *moje* oczy, uświadomiłam sobie nagle. Moja

twarz. Uśmiechnęła się do mnie, ukazując zakrwawione zęby, zacisnęła pięści i przebiła nimi skórę bębna, rozdzierając ją na strzępy. Z drzeniem, które przebiegło całe moje ciało, obudziłam się w ciemnościach delty.

Ujrzałam nad sobą liście palczastej palmy. Drzewo wzięło swoją nazwę od kształtu liści przypominających ludzką dłoń. W tym momencie nie były wiele wyraźniejsze od cienia, kołysały się na wietrze, składając się i rozkładając, jakby próbowały łapać światło księżyca i kilkudziesięciu gwiazd nieprzesłoniętych strzępiastymi chmurami. Słyszałam wodę przepływającą niemal bezgłośnie pośród sitowia albo gałęzi zwałonego drzewa. Jakieś stworzenie, którego nie rozpoznałam, poruszało się i kwiliło w krzakach kilka kroków ode mnie.

Kiedy spróbowałam unieść głowę, ból przebiegł mi przez szyję, jakby ktoś przeciągnął mi zardzewiałym nożem wewnątrz kręgosłupa. Stłumiłam jęk, żeby nie przywoływać niepotrzebnie różnych zwierząt delty, zanim będę zdolna wstać, i z wielkim trudem zmusiłam się do pozostania bez ruchu, aż ból minie.

Grunt pode mną wydawał się twardy, kamienisty. To i palmy oznaczało, że porzucono mnie na jednej z prawdziwych wysp delty. Wsłuchawszy się uważniej, rozpoznałam oddechy Eli i Kossala, ciche pochrapywanie Ruca, a także urywany oddech Chui. A więc byliśmy wszyscy razem. I wszyscy żywi. Choć kiepsko oceniałam nasze szanse pozostania przy życiu, gdybyśmy dłużej mieli pozostać sparaliżowani.

Kiedy zamknęłam oczy, ujrzałam troje bogów mknących ku nam przez deltę, przeskakujących kanały lub nurkujących w nie i wynurzających się nago, błyszczących od wilgoci, aby po chwili

zniknąć wśród trzcin.

Halucynacja, powiedziałam sobie w duchu. *Wizja zrodzona ze strachu*.

Gdzieś indziej – choćby na tarasie Tańca Anho w otoczeniu ludzi i z kieliszkiem *quey* w ręku – słowa te mogłyby wydać się rozsądne. Jakże mogłabym z odległości wielu mil ujrzeć te istoty przemykające ku nam przez noc? To było niemożliwe. Leżąc jednak w delcie, sparaliżowana, nie potrafiłam czerpać pociechy ze swoich myśli. Otworzyłam oczy i ze wszystkich sił usiłowałam nie zamknąć ich ponownie.

Odliczywszy tysiąc uderzeń serca, znów podjęłam próbę sprawdzenia mego ciała, tym razem przewracając się na bok, a nie zginając wpool. Prawie mi się udało. Wężowy jad palił mi żyły, gdy tak leżałam, próbując nabrać tchu, a kamienisty grunt siniaczył mi żebra. Niemal zemdlałam, ale wiedziałam też, co na mnie czyha w tych ciemnościach, więc trzymałam się przytomności jak kobieta tuląca do siebie umierające dziecko.

Kiedy ból ustąpił ponownie, zdołałam wyłowić z ciemności kształt ciała Chui, leżącej na wznak kilka kroków ode mnie, z głupio rozdziawionymi ustami, wciąż zagubionej w mrocznych korytarzach swego umysłu. Zdjęto jej więzy, podobnie jak mnie. Kawalek za nią zauważyłam stosik broni – mieczów, włóczni, toporów – choć w tym momencie odkrycie to nie miało dla mnie wielkiego znaczenia. Spróbowałam poruszyć palcami, lecz nadaremno, spróbowałam jeszcze raz i poczułam, jakbym włożyła je w ogień, a potem się poddałam i leżałam tak, patrząc na kołyszące się trzciny i próbując wymyślić coś, co okazałoby się bardziej skuteczne od samego leżenia.

Musiałam przetrwać.

Na wyspie nie było z nami żadnej ciężarnej kobiety. Znaczyło to, że nawet gdyby moje uczucia wobec Ruca zapłonęły nagle bardzo żywym płomieniem, to nie zaliczyłabym Próby i zawiodła mego boga. Leżąc tak w gorących ciemnościach, nie mogąc się ruszyć, gdy każdy oddech palił boleśnie, po raz pierwszy ujrzałam taką możliwość. Bałam się porażki już od chwili w Rassamburze, gdy Ela z Kossalem zaśpiewali dla mnie pieśń. A jednak bać się czegoś to nie to samo, co wierzyć, że to się wydarzy.

Boże miłosierny, modliłam się bezgłośnie. Boże sprawiedliwy, ocaliłeś mnie. Dałeś mi powód, bym żyła dalej, kiedy moje życie nie miało już sensu. Proszę, nie zawieź mnie teraz. Boże, proszę, wskaż mi drogę.

Gdzieś daleko w delcie jakieś stworzenie wrzasnęło raz, potem znowu, po czym nagle umilkło i zapadła doskonała cisza. Zbudziła się we mnie nadzieja. Delta tętniła życiem. Odkąd pierwszy wąż zatopił kły w ciele innego stworzenia, Ananshael chadzał po tych mulistych pustkowiach, rozchyłał trzciny milionem swych rąk, szukając żywych stworzeń i przytulając je do swej piersi w chwili unicestwienia. Mój bóg tu był. Zawsze tu był. Postanowiłam wrócić tutaj, do domu, z powodu mojej Próby, a nie tylko dla Ruca i nie tylko dlatego, że tu zaczęła się podróż mego życia. Chciałam wrócić także dlatego, że było to miejsce, w którym niemal namacalnie czułam obecność mego boga. Delta należała do niego nawet bardziej niż góry z czerwonych skał otaczające Rassambur.

A jednak, jeśli wierzyć Vuo Ton, jeśli zaufać mojemu wspomnieniu kobiety o złocistych oczach, były w delcie istoty, które opierały się memu bogu, i były tam równie długo, a może i dłużej

niż on, jasne, piękne, wyzywająco długowieczne, może nieśmiertelne. To dla ich rozrywki zostaliśmy pojmani, zatruci i zawleczeni na tę wyspę, a one za nic miały moją Próbę i pobożność. Jeśli chciałam dopełnić swej ofiary, musiałam to zrobić pomimo nich.

Ponownie zmusiłam się do skupienia na otaczającym świecie. Teraz poruszyła się Chua, bezgłośnie wzdrygnąwszy się z bólu. W jej drobnych ruchach było coś dziwnego, nienaturalnego. Wpatrywałam się zapuchniętymi oczyma w poruszający się cień i próbowałam to zrozumieć. Potem, między jednym uderzeniem serca a drugim, wiatr przegnał skrawek chmury zasłaniającej księżyc. Zalało nas mleczne światło i wtedy zobaczyłam. Chua wcale się nie poruszała. Leżała rozciągnięta na mulistym gruncie. Ruch pochodził od pająka wielkości mojej rozwartej dłoni. Wlazł jej na brzuch i siedział, czyszcząc odnóża, prostując je i podkurczając, i wydając okropny trzaskający odgłos.

Próbowałam krzyknąć, ale ból przeszył mi gardło i zdławił moje ostrzeżenie. Najlepszą rzeczą, jaką mogłam zrobić, był jękliwy szepc i toczenie ciepłej śliny z ust. Z wysiłkiem udało mi się unieść na łokciu, ale pozostałam tylko chwilę w tej pozycji, pojmana w szpony jadu. Mięśnie klatki piersiowej i barków zadrżały, potem zaczęły się trząść, a w końcu upadłam z powrotem w muł, gdzie leżałam, dysząc ciężko, czując pod skórą tysiące piekących ognisk bólu.

Kiedy odzyskałam zdolność widzenia, ujrzałam, że pająk zdaje się kopać i wbijać w brzuch Chui. Rybaczka dygotała w konwulsjach, ale wciąż była nieprzytomna. Znowu spróbowałam się poruszyć, przetoczyć, i znów mi się nie udało. Pająk zaczął

poruszać się coraz zacieklej, coraz bardziej szaleńczo, dźgając ciało Chui z całą intensywnością zwierzęcia walczącego o życie.

Albo o swoje potomstwo.

Rozpoznałam wreszcie to stworzenie, wspomniawszy koszmarnie opowieści z dzieciństwa. Będąc dziećmi, nazywaliśmy te pająki „lalkarzami”. Bo sprawiały, że ciało tańczyło – tańczyło, aż umarło. Samica wyszukiwała jakieś chore stworzenie, psa, świnię, cokolwiek wystarczająco dużego, żeby wykarmiło jej młode, i dostatecznie słabego, by nie mogło się obronić, po czym składała w jego ciele setki jaj. Przez pół dnia mniej więcej biedna istota czuła się tak, jakby nic się nie stało. Potem, w miarę jak małe pająki zaczynały się wykluwać i pożywiać, ciało ich żywiciela zaczynało podrygiwać, a nawet podskakiwać, jakby na sznurkach jakiegoś okrutnego lalkarza. Po jednym dniu, albo coś koło tego, miriady pajaków ostatnim gwałtownym zrywem opuszczały ciało, co sprawiało wrażenie, jakby litościwy lalkarz odciął wreszcie swoje sznurki.

Pająk wciąż wkopywał się coraz głębiej w ciało Chui. Cienka strużka krwi, czarna w blasku księżyca, ściekała po jej boku. Gdybym zdołała sięgnąć, zanim pająk złoży jaja, uratowałabym ją. Wzięłam chrapliwy, nierówny wdech, po czym znowu się szarpnęłam, jeszcze raz próbując pokonać opór zdradliwych mięśni. Tym razem udało mi się przeczłgać o krok, potem o dwa, czułam ból w całym ciele, zmuszając się do kolejnego oddechu. Dobiegło do mnie z wiatrem rozpaczliwe skomlenie. Przez chwilę myślałam, że to Chua, a potem zrozumiałam, że odgłos ten pochodzi z mego gardła. Z drżącą piersią i trzęsącymi się ramionami dopełzałam do leżącej kobiety.

Jeszcze był czas.

Lalkarz wciąż kopał.

Uniosłam słabą dłoń, aby go strącić, i nagle zamarłam.

Zwielokrotnione oczy pająka błyszcząły w świetle księżyca jak tuziny ciemnych klejnotów. Jego żuwaczki drgały, jakby smakował powietrze. Wyczuwałam zapach potu Chui i jej krwi, przypuszczalnie ten zapach przyciągnął pająka. Mogłam ją uratować, odpędzić zwierzę i utrzymać je na bezpieczną odległość, aż Chua się obudzi. Lalkarze poszukiwały słabych istot z jednego powodu – pomimo swej wielkości nie były na tyle niebezpieczne, żeby skutecznie zaatakować zdrową ofiarę. Mogłam zachować Chue przy życiu, a jednak, gdy tak leżałam obok niej, unosząc rękę, nowa myśl pojawiła się w moim umyśle: *Pozwól jej umrzeć.*

Kimże w końcu byłam, jeśli nie służką Ananshaela? Czym był pająk? Leżąc wcześniej na kamienistym gruncie i mrużąc z bólu oczy, modliłam się do mego boga, a on odpowiedział. Wyobraziłam sobie setki małych jajeczek wykluwających się w brzuchu rybaczki, wszystkie te małe, nowo narodzone stworzenia żywiące się w ciemnościach jej krwią i ciałem, żarłoczne i szybko rosnące, ukrywające się pod skórą, aby wreszcie, już dostatecznie duże, wypełznąć czarne i zakrwawione na zewnątrz, jako nowe życie. To również było dziełem mego boga. Działo się to w delcie każdego dnia, tysiąc razy dziennie. Kimże byłam, aby się temu przeciwstawiać? Zwłaszcza wtedy, gdy mogłam to wykorzystać do swoich celów, spożytkować dla własnej pobożności.

Wolno opuściłam rękę.

Pająk mnie obserwował. Nie wiedziałam, co widzi w tych ciemnościach, ale jego czarne oczy patrzyły na mnie nieruchomo

przez cały czas, gdy składał jaja. Nie byłam już przerażona. Pająk był piękny, lśniący i długonogi, wspaniały w czystej celowości swej budowy. Podobnie jak wąż, który ukąsił mnie wcześniej tego dnia, jak krokodyl, którego zabiłam w wiosce Vuo Ton, jak jaguar, który przyszedł po mnie, gdy byłam dzieckiem, był, podobnie jak ja, stworzeniem delty, cudownym, a zarazem pokornym siewcą śmierci. Od czasu mego powrotu do Dombângu próbowałam być kimś, kim nie byłam, i odnajdywać w sobie emocje, jakich nie znałam. Co pająk wiedział o miłości? Co go to obchodziło?

Czasem wystarcza po prostu być tym, kim się jest.

– No, dalej – szepnęłam do niego. – Dalej.

Spodziewałam się, że umknie, gdy skończy składać jaja. Nie umknął. Zamiast tego wywlókł swoje ciało z otworu, który zrobił w ciele Chui, postąpił kilka niepewnych, drżących kroków, po czym stoczył się na ziemię. Zapomniałam już tę część opowieści. Złożenie jaj to ostatnia czynność lalkarza. Nigdy nie zobaczy swego potomstwa, jak wydostaje się na światło dzienne, nie widzi, jak dorasta.

Wyciągnęłam rękę i nakryłam dłonią jego drżące jeszcze ciało, gdy Ananshael przyszedł i delikatnymi palcami uwolnił go od życia. Wciąż jeszcze trzymałam dłoń na pająku, gdy ponownie ogarnęła mnie ciemność.

†

Drugi raz obudziłam się, kiedy Ruc złapał mnie za ramię i potrząsał, żebym się ocknęła. Za jego głową świeciło poranne słońce, oślepiając mnie i skrywając jego twarz w cieniu.

Poruszanie się bolało, ale nie tak mocno jak za pierwszym razem, w nocy.

W nocy.

Odwróciłam się i ujrzałam leżący w odległości wyciągniętej ręki zewłok pająka. Krążyły już nad nim muchy, pełzały po nim mrówki. Kilka kroków dalej leżała Chua, wciąż nieprzytomna, a ranę w jej boku pokrył strup. Ela i Kossal zniknęli. Miejsce, w którym leżeli, kiedy pierwszy raz się zbudziłam, było puste, a jedynym znakiem, że w ogóle tam byli, była lekko zgnieciona trawa. Zanim jednak zdążyłam się zmartwić ich nieobecnością, Ruc podniósł mnie na nogi.

– Coś się zdarzyło? – wykrztusiłam, unosząc dłoń, żeby osłonić oczy.

– Zdarzyły się jaguary – warknął. Mówiąc to, rzucił coś lewą ręką, kij lub kamień, moje widzenie było jeszcze zbyt zamglone, żeby to odróżnić. – Dwa. Z początku trochę się mnie bały, ale obawiam się, że już zdążyły odkryć mój sekret.

– Jaki to sekret? – zapytałam, mrugając i wodząc wzrokiem po otaczającej nas gęstej roślinności. W ustach miałam smak popiołu, głowa pulsowała mi z bólu, ale po kilku chwilach zaczęłam widzieć wyraźniej. Byliśmy na małej polance o średnicy kilkunastu kroków. Za nami przepływał leniwym łukiem szeroki, mulisty kanał. Resztę otaczały kolczaste krzewy i trzciny.

– Mój sekret – mruknął Ruc – jest taki, że jeśli zrobię więcej niż dwa kroki w dowolną stronę, to się przewracam.

Spróbowałam zrobić krok, potknęłam się, niemal przewróciłam, a wreszcie złapałam Ruca za rękę.

Uświadomiłam sobie, że trzymał w niej miecz, jakąś dziwną,

wspaniałą broń z lanego spiżu.

– Skąd wzięłeś miecz? – zapytałam głupio, zupełnie zapominając o broni, którą zauważyłam wcześniej.

– Zostawili nam broń – odparł Ruc, wskazując nieco pomniejszony stos.

– Myślałam, że przywieźli nas tutaj, żebyśmy umarli.

– Mam wrażenie, że oczekują od nas, że uczynimy to umieranie interesującym. Masz. – Wcisnął mi w rękę włócznię. Długością dorównywała niemal memu wzrostowi, a jej grot był również ze spiżu.

Mogłabym spędzić więcej czasu na jej podziwianiu, gdyby jaguary nie wybrały sobie tej właśnie chwili na powtórny atak i nie wypadły pędem z krzaków z dwóch przeciwnych stron. Ruc zamachnął się mieczem, w którym pięknie odbiło się słońce, a ja się odwróciłam, żeby stawić czoło drugiej bestii.

Nie widziałam jaguara od czasu, gdy przed laty postanowiono złożyć mnie delcie w ofierze. Kot, którego zapamiętałam, był ogromny; jego szczęki wydały mi się wówczas tak wielkie, że mogłyby zmiażdżyć mi czaszkę. Oczywiście urosłam od tamtego czasu i nie czułam już dziecinnego lęku. Stworzenie, które wybiegło mi naprzeciw, nie ważyło dużo więcej ode mnie. Poruszało się z taką samą zabójczą pewnością, jaką zapamiętałam, ale ja też byłam znacznie zwinniejsza. Dopóki oddzielał mnie od zwierzęcia grot włóczni, mogłam utrzymać je na dystans.

Jaguar obnażał kły, syczał, krążył raz w jedną, raz w drugą stronę, szukając jakiejś luki. Zielono-złote oczy, którymi się we mnie wpatrywał, wyglądały niemal jak ludzkie.

– No chodź – szepnęłam. – No, chodź.

Kot bił ogonem, zataczał szerokie kręgi, atakował łapą ostrze włóczni, a potem znów krążył i próbował. Jego towarzysz za mną był z frustracji.

– Nic na to nie poradzę, ale muszę zauważyć zupełny brak nieśmiertelnych kobiet wyskakujących nam z wody na ratunek – powiedział Ruc. – Może pojawią się później?

Jego oddech był ciężki, lecz równy.

– Niezbyt się do tego palę – odpowiedziałam. – Zdaniem Vuo Ton pozostawiła mnie przy życiu, żeby mieć więcej przyjemności, zabijając mnie później.

– A ja myślę, że powinna się pospieszyć, jeżeli nie chce, żeby te koty odwały całą robotę za nią.

Byłam tak zdezorientowana, kiedy się obudziłam, a potem tak bardzo skupiona na atakujących jaguarach, że dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że cała furia Ruca z dnia poprzedniego, jego pogarda i niesmak najwyraźniej go opuściły. Nie ośmieliłam się odwrócić, żeby zobaczyć jego twarz, ale głos wydał mi się taki, jak zapamiętałam: cierpki, spokojny, niewzruszony.

– Dlaczego nie pozwoliłeś kotom nas zabić? – zapytałam. – Zabić mnie?

– I samemu próbować wydostać się z delty?

– Mogłeś uratować tylko Chuę. Zna deltę lepiej od każdego z nas.

Obróciłam się bokiem do kota, jakbym zupełnie o nim zapomniała, i kątem oka śledziłam najmniejsze oznaki ruchu, a potem zadałam cios włócznią z półobrotu, uderzając nieco z góry, z przeskokiem. Od bardzo dawna nie walczyłam włócznią i choć zraniłam jaguara w bok, to po części uderzyłam drzewcem. Kot przetoczył się, zasyczał, a potem cofnął, nie spuszczając ze mnie

oczu.

– Zakładam, że nie trafiłaś – powiedział Ruc.

– Nie zabiłam go jeszcze.

– Taka z ciebie czaszkowierczyni?

– Dlaczego nas uratowałeś? – zapytałam znowu. – Dlaczego mnie obudziłeś?

Zamiast odpowiedzieć, Ruc cicho zaklął. Usłyszałam odgłos szybkiej szamotaniny, chrzęst ostrza uderzającego w ciało i wysoki, wściekły pisk. Zaraz potem dobiegł mnie zdyszany oddech Ruca.

– Wciąż żyjesz? – zapytałam.

– Jak dotąd tak.

– No to odpowiedz na moje pytanie.

Ruc splunął pod nogi.

– Jestem pewien, że będzie jeszcze parę trudnych chwil, kiedy pożałuję tej decyzji, ale póki co, mam z tobą do pogadania.

Mój zwierzak pokazał zęby. W odpowiedzi pokazałam mu swoje.

– To znaczy?

– Znaczy, że nadal nie powiedziałaś mi prawdy.

– Dowiedzieć się, że jestem kapłanką Ananshaela, to nie dość?

– Nie. Nie dość. Powiedziałaś, że wróciłaś do Dombângu, ale nie powiedziałaś dlaczego.

– Aby służyć mojemu bogu.

– Ludzie wszędzie umierają w podobny sposób. Obserwowałam ich. Zabijałam. Nie musiałaś tłuc się po to taki kawał drogi, aż do Dombângu.

W jakimś sensie łatwiej było rozmawiać o tym podczas walki z jaguarem, jakby to zwierzę przypominało mi o mocy mego boga i o tym, że cokolwiek sobie powiemy i jakikolwiek ból zadamy lub

poczujemy, śmierć jest obecna na wyciągnięcie ręki i w razie czego wygładzi wszystko. Przyjęłam starą manjarycką postawę i uniosłam włócznię nad głową, skierowaną lekko ukosem w dół, po czym zamknęłam oczy.

Nie wiem, jakim zmysłem wyczułam skok jaguara. Być może powiew powietrza od skoku uniósł włoski na moich przedramionach. Może go usłyszałam. Może ujrzałam jakiś ruch cienia pod czerwoną zasłoną powiek. Może bóg przemówił w moim ciele. To bez znaczenia. Liczyło się to, że wiedziałam. Całą siłą moich osłabionych ramion pchnęłam włócznię w dół, przebijając się przez futro, naprężone mięśnie, przez zdławiony koci wrzask, aż do nagrzanej słońcem ziemi. Słyszałam za sobą Ruca pochłoniętego śmiertelną walką, ale wciąż miałam oczy zamknięte, a dłońmi zaciśniętymi na drzewcu włóczni czułam ostatnie śmiertelne drgawki zwierzęcia. Dopiero teraz ośmieliłam się spojrzeć.

Przeszyłam włócznią grzbiet jaguara tuż nad łopatką, przyszpilając go do ziemi. Popatrzył na mnie mętными oczyma, szczerząc zęby, po czym opuścił łeb – dzikie zwierzę, nareszcie oswojone cierpliwą dłonią Ananshaela.

Dopiero gdy wyrwałam włócznię ze skrwawionego ciała, uświadomiłam sobie, że walka za moimi plecami również dobiegła końca. Odwróciłam się i ujrzałam Ruca, który osunął się na jedno kolano i dyszał ciężko nad martwym drugim kotem. Słoneczne światło odbijało się od spizu jego miecza, śliskiego od krwi, której krople błyszczały w słońcu jak rubiny. Pot spływał mu po twarzy, kapał na kamizelkę i mieszał się z krwią spływającą z ramienia, gdzie jaguar przedarł się przez jego zastawę, oraz z długiej rany na ręce po walce z krokodylem. Najwyraźniej nic go te rany nie

obchodziły. Nie odrywał ode mnie oczu. Cały świat mógłby przestać istnieć i utonąć w mule.

– Dlaczego wróciłaś? – zapytał.

Pytanie to było jak cierń w moim umyśle: *Wróciłam, żeby się w tobie zakochać, a potem oddać cię bogu.* Kossal mógłby coś takiego powiedzieć. Kossal zawsze mówił to, co myślał. Ela też potrafiłaby powiedzieć coś takiego. A jednak, kiedy otworzyłam usta, wypowiedziałam inne słowa:

– Wróciłam, żeby się przekonać, co żyje w delcie. Chciałam się dowiedzieć, co przydarzyło mi się, gdy byłam dzieckiem.

Nie było to kłamstwem, ale nie było też pełną prawdą.

Ruc przyjrzał mi się nieufnie, ale zanim zaczął drążyć temat, ocknęła się z jękiem Chua. Przez kilka uderzeń serca ruszała rękami w powietrzu, macała po ziemi, szukając oparcia, najwyraźniej dezorientowana i zagubiona.

– Chua. – Podeszłam do niej.

Zastygła bez ruchu, słysząc swoje imię, potem odwróciła się, uniosła na czworaki i złapała jakiś kamień, jakby miała zamiar roztrzaskać mi nim czaszkę.

– Chua – powtórzyłam, cofając się o krok. – Pyrre i Ruc. Jesteśmy na wyspie. Zatruli nas jadem węża, a potem porzucili tutaj.

Wodziła czarnymi oczyma od Ruca do mnie i z powrotem, z wolna przytomniejąc.

– Pamiętam – powiedziała suchym, chrapliwym głosem. Wciąż trzymała w dłoni kamień. – Gdzie tamtych dwoje?

– Zniknęli – odparł Ruc. – Kiedy się obudziłem, już ich nie było. Rybaczka skinęła głową, jakby właśnie tego się spodziewała.

– Znaczy, że nie żyją.

– Nie byłabym tego taka pewna – odrzekłam.

– Twoja niepewność nie ma żadnego znaczenia. – Wsłuchiwała się przez chwilę w powolny nurt, a potem pokręciła głową. – Musimy oddalić się trochę od wody.

– Dlaczego? – zapytał Ruc.

– Krokodyle. Węże wodne. Nie powinniśmy byli nawet przeżyć nocy. Są tu setki stworzeń...

Zamarła nagle z oczami wbitymi w martwego pająka. Upuściła kamień. Jej dłonie powędrowały do brzucha, jakby wiedzione własną intuicją, i odnalazły pokrytą strupem ranę, gdzie pająk złożył jaja. Powoli, jak kobieta zmęczona po całym dniu pracy spodziewająca się ciepłej kąpieli i wypoczynku, zamknęła oczy. Spodziewałam się, że zacznie szarpać ranę, próbując ją otworzyć i wyrwać z niej jajeczka pająka. Zamiast tego przycisnęła mocno dłonie do zakrwawionej skóry. Ruch ten był powolny, czuły, niemal opiekuńczy.

Ruc spojrzał na mnie, a później na Chuę.

– Co się dzieje? – zapytał.

Chua otworzyła oczy.

– Jednak nie przeżyłam tej nocy.

– Kolejne ukąszenie węża? – zapytał, patrząc na jej rękę.

Pokręciła głową.

– Coś wolniejszego. I znacznie gorszego.

Obok w rzece ryba o maślanej barwie wyskoczyła nad powierzchnię, żeby złapać przelatującą ważkę, po czym zniknęła w mętnej toni, pozostawiając na wodzie wolno rozchodzące się kręgi. Obserwowałam je przez chwilę, a potem odwróciłam się

i napotkałam wzrok Chui, ciepły i spokojny.

– Zabij mnie – powiedziała.

Włócznia w mojej dłoni była lekka jak piórko.

– Nie – odparłam cicho.

– Ten pająk – wskazała leżący zewłok – złożył we mnie jaja.

Wkrótce wyklują się małe pająki, zaczną rosnać, pożrą mój brzuch, jelita, a później wyskoczą przez skórę na zewnątrz.

– Wiem.

– No więc mnie zabij.

– Nie mogę.

Chua zmarszczyła czoło.

– Jesteś czaszkowierczynią. Słyszałam w celi.

Poczułam, jak Ruc przenika mnie wzrokiem, jakby potrafił zajrzeć przeze mnie na wskroś, w głąb mego serca.

– Oddam cię bogu, kiedy nadejdzie czas.

– Właściwy czas jest *teraz* – upierała się kobieta. – Koło południa zdążą się już wykluć.

– W takim razie poczekamy do południa.

Odmowa w tej sytuacji wydawała się czymś niewłaściwym. Piękno Ananshaela polega na jego zdolności uwalniania nas od cierpienia. Szybkim pchnięciem włóczni mogłam oszczędzić jej rychłego dotkliwego bólu. Umarłaby, zanim dotknęłaby ziemi, uwolniona od wszystkiego. To do tego byłam ćwiczona i w to wierzyłam głębiej niż w cokolwiek innego. Następnego dnia czy za miesiąc z przyjemnością przecięłabym jej gardło w jednej chwili, ale teraz nie miałam przed sobą wielu dni, a moja praca nie była ukończona.

Kobieta brzemienna nowym życiem.

Czyżby Ananshael odpowiedział na moje prośby? Czy to on wysłał pająka, żeby dać mi szansę ukończenia Próby? A może to tylko złudzenie?

Miliony milionów śmiertelnych istot chodzi po świecie każdego dnia; są w powietrzu, w wodzie i na ziemi. Nie wszystkie są wysyłane przez bogów. Nie ma specjalnej opatrności w śmierci każdego pająka. Było też możliwe, że Chua nie ma nic wspólnego z moją Próbą i że zdradzam mego boga, chcąc przedłużyć jej cierpienie, zamiast je zakończyć. Znów się zawahałam, czy nie podciąć jej gardła. I znów tego nie zrobiłam.

Bywają takie chwile w życiu, kiedy rozum zawodzi, a największy geniusz nie jest wart złamanego grosza. Wszystkie lata studiów, nauki i treningu przesłaniają często zwykły fakt, że są rzeczy, których po prostu nie wiemy. Kobieta może przejść dystans pomiędzy Rassamburem a Dombângiem, ale w świecie wiele jest przestrzeni, których nigdy nie zmierzimy, gdzie skutki trwale oderwały się od przyczyn, gdzie pierwsza przyczyna ruchu zagubiła się na dobre. Możliwe, że Ananshael wysłał tego pająka, ale możliwe też, że nie. Wobec boga, który odpowiada milczeniem na wszystkie pytania, jedyną drogą jest wiara.

Chua i Ruc patrzyli na mnie uważnie, gdy znów pokręciłam głową.

– Jeszcze nie czas.

Rybaczka splunęła na zdeptaną trawę, po czym podeszła do kupki broni. Wybrała sztylet z kościaną rękojeścią, przeciągnęła palcem po ostrzu i kiwnęła głową.

– Zrobię to sama.

Mogłam ją rozbroić. Mogłam znów pozbawić ją przytomności,

skrepować jej własnym ubraniem, zmusić do czekania i pozostania przy życiu, aż w jej wnętrzu wyklują się pająki i będzie „brzemienna”. To z tego powodu oddałam ją lalkarzowi. Gdyby się teraz zabiła, byłabym zgubiona. Poszłabym do mego boga, ponioślszy porażkę; do boga, który wybawił mnie od cierpienia w dzieciństwie i dał mi wszystko, co w moim życiu było dobre i piękne.

Ale to i tak było już bez znaczenia. Nie mogłam nic zrobić.

Wszystkim, na co było mnie stać, gdy kobieta przytknęła jasny czubek sztyletu do swego boku, było wykrztuszenie dwóch słów:

– Jeszcze nie.

Chua patrzyła na mnie, zagłębiając ostrze w skórę.

– Dlaczego?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, Ruc postąpił krok naprzód.

– Bo sama dobrze wiesz, że istnieje sposób, żeby to powstrzymać. Wiesz o tym lepiej ode mnie. Wypij kilka galonów herbaty z czarnolistowia, jaja obumrą, zanim pająki się wyklują.

– Czarnolistowie rośnie nad oceanem – powiedziała Chua. – Nigdzie indziej.

– Nie możesz tego wiedzieć – odparł Ruc.

– Spędziłam w tej delcie całe życie.

– Ostanie dwie dekady spędziłaś w szopie w Tamie – rzucił Ruc.

– Do tej pory czarnolistowie mogło się już rozplenić po całej delcie. Zostaniesz przy życiu – powiedział, zerkając na mnie – bo dopóki żyjesz, dopóty jest szansa.

Pozostaniesz przy życiu, dodałam w duchu, ponieważ nie nadszedł jeszcze czas, żeby cię zabić.

Chua skrzywiła się, po czym odwróciła się do mnie.

– Obiecuj mi, że kiedy się wyklują, zakończysz to.

– Obiecuję – odparłam.

Śmierć Chuy to będzie już szósta ofiara. Pozostanie tylko Ruc.

Sitowie zaszumiało, przesiewając ciepły podmuch wiatru. Drobne zmarszczki przebiegły po wodzie, potem znikły. Muchy krążyły nad truchłami jaguarów. Późny ranek cuchnął krwią i zgnilizną.

– Gdzie są bogowie? – mruknęłam na poły do siebie. Problem był praktyczny i niewyczerpany zarazem.

Na moje pytanie odpowiedziała Ela, która wynurzyła się z krzaków, dzierżąc w obu dłoniach spizowe sierpy.

– Byli tutaj – odparła radośnie. – Wskazała za siebie. – No dobrze. Albo to byli oni, albo ktoś inny, bardzo zainteresowany układaniem czaszek i sadzeniem egzotycznych kwiatków.

24

Wysoki do piersi mur otaczał niskie skalne wzniesienie w centrum wyspy. Wyglądało to jak kamienna zagroda dla kóz, tyle że jej wyższe położenie wskazywało raczej na funkcję obronną i sugerowało, że może to być jakiś rodzaj dawno porzuconej fortyfikacji. A poza tym zagrody dla kóz zwykle nie są otaczane czaszkami.

Setki czaszek wieńczyły ten okrężny mur, a każda z nich ułożona była starannie, splukana deszczem i spalona słońcem, oślepiająca bielą. W każdym wypełnionym czarną ziemią oczodole kwitły fiołki z delty, purpurowe kwiatki kołyszące się wdzięcznie na smukłych łodyżkach. Te kwieciste spojrzenia od dawna przestały mieć cokolwiek wspólnego z ludzkim wzrokiem, ale ja czułam się tak, jakbym była obserwowana, analizowana w najdrobniejszych szczegółach i to w taki sposób, że miałam ochotę skulić się, schować, wycofać w zarośla i uciec.

– To złe miejsce – powiedziała Chua. Sprawiała wrażenie, jakby ten widok był jej dość obojętny.

Staliśmy na rozległej polanie, jakby nogi wrosły nam w ziemię.

Rybaczka spojrzała w dół na swój brzuch.

– Umrzemy tutaj – powiedziała.

– Przynajmniej w licznym towarzystwie – zauważyła Ela, ruchem głowy wskazując na czaszki.

Ruc się skrzywił.

– Musi ich być chyba ze trzysta? Czteryście?

Kossal pokręcił głową.

– Są ich tysiące.

Uniósł sękaty palec, wskazując na mur. Tam również kwitły fiołki, tworząc prawdziwy wodospad zieleni i purpury opadający z kamieni.

Nie, uświadomiłam sobie, mrużąc oczy od światła. To nie kamienie. To jeszcze więcej czaszek.

Te były brązowe, nie białe, ubrudzone ziemią z oczodołów, ułożone rząd nad rzędem, przynajmniej na pięć stóp wysoko, a podstawa muru była dwa razy grubsza niż szczyt. Czaszki na dole były już mocno zmurszałe i z biegiem czasu prawie rozpadły się pod ciężarem tych ułożonych wyżej.

– Ci bogowie traktują swoje ogrodnictwo bardzo poważnie – stwierdziła Ela. Wskazała na zachód w dół wzgórza. – Są tam jeszcze dwa takie. Z jednego z nich został już praktycznie tylko ziemny krąg. Ten tutaj wydaje się najnowszy.

Spojrzałam na kapłankę. Jej otrzymane od Vuo Ton spodnie z wężowej skóry były uwalane mułem. Włosy miała zmatowiałe z jednej strony, zapewne po tym, jak Zielone Koszule rzuciły ją na ziemię. Wyglądało jednak na to, że jad węża w żaden sposób jej nie spowolnił. Jej uśmiech był równie jasny jak sierpy w jej dłoni.

– Gdzie byliście? – zapytałam.

Wzruszyła ramionami.

– Spaliście tak głęboko, że pomyśleliśmy sobie, że wybierzemy się na małą przechadzkę.

– Chciałem was użyć jako przynęty – dodał Kossal, patrząc na wznoszący się za nami krąg z czaszek, jakby ten w jakiejś mierze

go obrażał.

– Przynęty? – szarpnął się w jego stronę Ruc, kładąc dłoń na mieczu.

Choć Kossal wcześniej wybrał sobie ze stosu broni dwa spiżowe toporki, nawet nie zadał sobie trudu, by je unieść.

– Przynęta to coś, co wkładasz do pułapki, żeby przyciągnąć zwierzyne.

– Albo boga – dorzuciła Ela. Potem zaś zmarszczyła brwi z udawanym zamyśleniem. – Choć zdaje mi się, że na bogów to nie działa.

Ruc próbował powstrzymać gniew, zdławić go w sobie.

– Skoro wierzycie w takie rzeczy – powiedział wolno – skoro tak wam pilno do ich zabicia, to czy nie sądzicie, że będziemy mieli większe szanse, gdy wszyscy pięcioro pozostaniemy żywi?

Kossal zmrużył oczy i spojrzał z namysłem w dal, zastanawiając się nad pytaniem, po czym pokręcił głową.

– Niekoniecznie. Ela i ja walczyliśmy razem od bardzo dawna. Wasza trójka nie zna naszego tempa. – Tu zmarszczył brwi. – Myślę, że jednak lepsi będziecie w roli przynęty.

Patrzyłam na starego kapłana ze zdumieniem. Bywały chwile w ostatnim miesiącu, podczas długiej wędrówki na południe, a nawet w samym Dombângu, kiedy Kossal wydawał mi się niemal słodki, burkliwy, ale opiekuńczy, jak dobry dziadunio, który w przerwach między podrzynaniem gardeł może podzielić się jakąś mądrością na temat życia lub miłości. Ten Kossal zniknął niemal zupełnie. Człowiek, który stał teraz przede mną, najwyraźniej wyzbył się swego wieku i roztargnienia. Pomimo bruzd na twarzy i niewielkiego przygarbienia ramion był gotowy, drapieżny,

zabójczy, jakby całe życie czekał na odnalezienie w porosłej sitowiem delcie tej zagubionej wyspy.

– Jeśli chodzi o mnie, to jestem bardzo zadowolona, że wciąż jesteście żywi – powiedziała Ela. – Kossal jest świetny w oddawaniu bogu rozmaitych stworzeń, ale jako towarzysz jest okropny. A poza tym – mrugnęła do mnie – chciałabym zobaczyć koniec tej historii.

– Jedynymi historiami, których koniec zobaczymy, są nasze własne – odezwała się cicho Chua.

Ela zerknęła na kobietę.

– Prawdę mówiąc, brzmi to bardzo pesymistycznie.

– To ich świątynia. – Chua wpatrywała się w mur kwiatów i kości.

Kossal spojrział na nią przenikliwie.

– Widziałaś ją wcześniej?

Pokręciła głową.

– Słyszałam o niej. Ludzie przybywają tu, żeby umrzeć.

– W takim razie wynośmy się stąd – powiedział Ruc i odwrócił się.

Była to całkiem słuszna propozycja, równie dobra jak każda inna, biorąc pod uwagę okoliczności. A jednak te czaszki w jakiś sposób mnie przyciągały. Byłam jak ryba złapana na haczyk i nieuchronnie ciągnięta w tamtą stronę. Gdy przeszłam przez otwartą przestrzeń pomiędzy granicą zarośli a murem, poczułam się nagle tak, jakby uwolniono mnie z uwięzi, jakbym zaczęła cofać się w czasie, z powrotem do mego dzieciństwa, do wspomnień, które tak długo plamiły krwią moje sny. Nigdy nie byłam na tej wyspie ani nie widziałam kręgu czaszek, ale to miejsce cuchnęło. Nie

można było wyczuć tego nosem, nie był to powszedni odór mułu zmieszanego z krwią ani nic, co człowiek mógłby nazwać; to tkwiło gdzieś w głowie, w najgłębszych zakamarkach mego umysłu, i cuchnęło czymś pradawnym, wyzywającym, pięknym i niezaprzeczalnym – *niq*. Czułam, jak nogi uginają się pode mną, a oczy zasnuwa mgła, gdy szłam przez spieczony słońcem pas ziemi, by uklęknąć przy murze.

Fiołki kołysały się na lekkim wietrze. Podniosłam odłamek kości i obracałam chwilę w palcach, próbując wyobrazić sobie kobietę, do której należała; z jakiegoś powodu uznałam, że była to kobieta. Niczego nie wiedziałam o niej, o jej życiu, o jej twarzy, o lękach, ale wiedziałam, co ujrzała w swoich ostatnich chwilach, bo ja też to widziałam – oczy osadzone w nadludzko pięknej twarzy.

Zacisnęłam dłoń na poszarpanej krawędzi kości, aż skóra się rozstąpiła i nabiegła krwią. Gdy ustąpiły wspomnienia, świat wokół mnie powrócił na swoje miejsce: niebo było tam, gdzie być powinno, pod niebem kołysały się trzciny, a odłamek kości tkwił w mojej dłoni. Przyjrzałam mu się.

– W Rassamburze są tysiącletnie szkielety, które wyglądają na bardziej świeże niż ta kość.

Ela wzruszyła ramionami. Reszta grupy dołączyła do nas przy świątyni.

– W Rassamburze jest sucho. Tu nie jest.

– To jedno wyjaśnienie – powiedział Kossal. – Inne jest takie, że te kości mają dużo więcej niż tysiąc lat.

– A tamte w dole wzgórza? – zapytałam. – Te starsze?

– Są znacznie starsze.

Borykałam się chwilę z tą wizją, próbując wyobrazić sobie ludzi

przybywających do tego miejsca na długo przedtem, nim powstał Annur i zanim jeszcze Dombâng stał się czymś więcej niż skupiskiem chat na palach. Ludzi przybywających i umierających, gdyż sposób składania ofiar pozostawał niezmienny przez całe tysiąclecia. Poczułam zawrót głowy.

– Troje byli tutaj na długo przedtem, zanim powstał Dombâng – powiedziała Chua, ubierając moje myśli w słowa.

– To fascynująca tajemnica – dodał Ruc – ale nie rozwiążemy jej teraz. Musimy opuścić to miejsce. Ustalić, co się stało w mieście. *Potem* tu wrócimy.

– Opuścić? Jak? – zapytałam, powstając i odwracając się ku niemu. – Jesteśmy na wyspie. Nie mamy dokąd pójść.

– Mamy do dyspozycji całą tę pieprzoną deltę – stwierdził, zataczając szeroki krąg mieczem.

– A jak długo twoim zdaniem przetrwamy w tej delcie bez łodzi? Ruc spojrzał na Chuę.

– Tobie się to kiedyś udało. Przeżyłaś. Jaki jest plan działania? Pokręciła głową, wskazując na czaszki.

– Nie ma planu działania. Możemy walczyć z jaguarami albo krokodylami. Możemy umknąć węzom i pająkom. Gdybyśmy popłynęli wodą cicho jak kłody i za wszelką cenę powstrzymali krwawienie ran, to może ucieklibyśmy *qirna*. Ale nie Trojgu. To jest ich gniazdo.

– Zostaję – powiedział Kossal.

– Po co? – zapytał Ruc.

– Żeby pozabijać Csestriimów – odparł stary kapłan. Spojrzałam na niego zdziwiona.

– Nadal sądzisz, że to Csestriimowie? Że przez wszystkie te lata

ukrywali się w delcie, uchodząc za bogów?

– Tak.

Wyprostowałam się i zdjęłam jedną z czaszek ze szczytu muru. Była ciężka od wypełniającej ją ziemi.

– Myślisz, że Csestriimowie mogli zrobić coś takiego?

– Tak.

Patrzyłam na niego z niedowierzaniem.

– Csestriimowie byli istotami rozumnymi. Czytałam kroniki. Byli zupełnie niewrażliwi na emocje. Nie mieli przesądów. Nie tworzyli *świątyń*.

Kossal zbył te obiekcje wzruszeniem ramion.

– Aby podporządkować swojej woli całe miasto, mogli udawać bogów.

Ruc pokręcił głową.

– Jesteś chyba bardziej stuknięty niż Vuo Ton.

– A jakie ty sam masz wyjaśnienie? – zapytał Kossal. Wskazał na mur z czaszek. – Coś je tu ułożyło. Coś układało je od tysięcy lat i nie tylko zwałało bezładnie na kupę, ale starannie *pielegnowało*. Sadziło w nich kwiatki. Odkładało na miejsce, gdy upadły. Powiększało stos.

– To jakiś kult – odpowiedział Ruc. – Jakieś plemię w rodzaju Vuo Ton.

– Troje są bogami – mruknęła Chua.

– Nie – oznajmił Kossal. – Nie są. Bogiem jest Ananshael. Boginią jest Eira. Bogowie nie robią *takich rzeczy*. – Ruchem podbródka pokazał mur.

– On ma na myśli to – wtrąciła uczynnie Ela – że bogowie nie spędzają tysięcy lat, siedząc w jakichś zapadłych błotnistych

dziurach układając wieże z czaszek. Mają lepsze rzeczy do roboty.

– Ale po co Csestriimowie mieliby spędzać całe tysiąclecia w delcie? – zapytałam, kręcąc głową.

– Nie mają dokąd pójść – odparł Kossal. – Pokonaliśmy ich. Wybiliśmy niemal do nogi. Po tysiącach lat od tamtych wojen Csestriimowie, którzy przeżyli, musieli zrobić wszystko, żeby przetrwać i móc dalej rzucać wyzwanie naszemu bogu. Przebierali się za żeglarzy i żołnierzy, za wieśniaków i kapłanów. Może to część jakiegoś większego spisku. A może ta trójka jest ostatnia. Może to po prostu ich zemsta.

– Spiszowa broń – zauważyła Ela, przechylając jeden z sierpów tak, że słoneczny odblask przebiegł po czaszkach. – Pierwsi ludzie nie mieli stali. Walczyli spizem.

Przeciągnęłam dłonią po drzewcu mojej włóczni.

– To nie liczy sobie tysięcy lat.

– Oczywiście, że nie – rzucił Kossal. – Wygląda, jakby zrobiono ją tydzień temu. To *rytuał* jest stary, podobnie jak mity. Csestriimowie ukrywali się tutaj od tysięcy lat, oszukując Ananshaela. Mężczyźni i kobiety odchodzą do boga znacznie prędzej. Kiedy przekazują sobie różne opowieści, niektóre rzeczy opowiadają zgodnie z prawdą, inne pomijają.

– To nie szkodzi – powiedziała Chua.

Kossal obrócił się ku niej.

– Wszystko, co nie umiera, obraża mojego boga.

– Skoro już mowa o umieraniu – wtrąciła się Ela – to czy wystarczy ci czasu, Pyrre?

Spojrzałam ukradkiem na Ruca, a potem potrząsnęłam głową.

– Zaczekam do końca dnia.

– Końca dnia możemy nie doczekać – rzekł Kossal. – Jeżeli masz jakieś sprawy do załatwienia, to właściwy czas właśnie nadszedł.

– Poza tym – dodała Ela – pozwoli nam to wypełnić czas oczekiwania. – Zacisnęła wargi, przyjrzała się Rucowi dłuższą chwilę, po czym znów spojrzała na mnie. – A zatem, czy twój umysł i ciało rozśpiewały się miłością?

I nagle się okazało, że już czas stawić temu czoło i raz na zawsze rozstrzygnąć kwestię, która męczyła mnie, odkąd Kossal i Ela zaśpiewali mi pieśń w Sali Wszystkich Końców w Rassamburze. Nie miałam już więcej dni, nie było więcej ucieczek i uników.

Czy go pokochałam?

Niekiedy, podczas tych dwóch tygodni w Dombângu, wydawało mi się, że prawie mogłabym odpowiedzieć „tak”. Gdy biegliśmy razem przez miasto, śledząc Żmiję w pogoni za panią Quen, czułam tętniącą mi w żyłach radość w taki sposób, w jaki mogłabym odczuwać miłość. Gdy leżeliśmy w chacie Vuo Ton, w plątaniu swoich objęć, słuchając bębnienia deszczu o trzciny dach, też mogłabym nazwać to uczucie miłością. Gdybym go zabiła w takich chwilach, na oczach Eli, być może mogłabym odtrąbić zwycięstwo.

Za każdym razem jednak, kiedy wygrana była już prawie w moim zasięgu, wymykała mi się z rąk. Spoglądałam na Ruca i nagle wydawał mi się bardzo, wręcz niemożliwie daleki. Bywały takie dni, jak choćby ten, gdy wracaliśmy do Dombângu po wyprawie do wioski Vuo Ton, kiedy Ruc był mi niemal obcy. Cokolwiek razem osiągnęliśmy, jakkolwiek blisko siebie byliśmy, jakkolwiek gorąco zabiło moje serce, stan taki nie trwał długo.

Zadawałam sobie pytanie: *Czy go kocham?* I zawsze dochodziłam do tej samej odpowiedzi: *Nie*. Słowo to broniło mi dostępu jak

żelazna brama.

Jednakże po raz pierwszy, zagubiona na tej wyspie pośród delty, śledzona spojrzeniami żywych, nieśmiertelnych oraz martwych, zaczęłam wątpić w sens samego pytania.

Traktowałam miłość jak rzecz, jak osiągnięcie, trofeum do zdobycia i powieszenia sobie na szyi. Ludzie mawiają o tym czasami w taki sposób:

Moja miłość do ciebie nigdy nie umrze.

On nigdy nie poznał mojej miłości.

Gramatyka popełniła błąd, zaliczając miłość do rzeczowników.

To nie jest rzecz, którą można posiadać.

Miłość – podobnie jak wątpliwość czy nienawiść – powinna być czasownikiem. Nie ma w niej stałości. Jej prawda, tak samo jak w pieśni, ujawnia się w miarę rozwoju. Język pełen jest takich złudzeń. Pięść, uścisk, uderzenie są czynnościami, nie rzeczami. Czynność wymaga czasu, a czas jest narzędziem mego boga.

Jeszcze nie kochałam Ruca, ale wciąż był na to czas.

Przyjrzałam mu się. Nie miał na sobie kamizelki. Widać było blizny na mięśniach jego torsu. Niektóre były moim dziełem. Na inne sam zapracował. Miałam ochotę go dotknąć, jeszcze raz pogładzić dłonią jego gładką, ciepłą skórę, ale przecież już go dotykałam i dotyk okazał się niewystarczający. Jeżeli miałam go pokochać, naprawdę pokochać, nie mogłam poprzestać na dotykaniu. Nie wystarczyłyby nawet przemoc i walka. Potrzebowałam czegoś więcej. Wciągnęłam do płuc gorące powietrze delty.

– Przybyłam do Dombângu, żeby cię zabić – powiedziałam.

Sama nie wiem, czego się po nim spodziewałam. Może jakiejś

szybkiej riposty. Pogardy. Milczenia. Stawił czoło zdradzie Zielonych Koszul, prawie nie okazując gniewu. Odkąd go znałam, zawsze był taki spokojny, czujny i gotowy. Nawet będąc ranny i zakrwawiony, nigdy nie wyglądał na skrzywdzonego.

Kiedy jednak wreszcie wyznałam mu całą prawdę, która spalała mnie od środka, moje słowa były dla niego jak uderzenie. Cofnął się o krok i nie był to taktyczny ruch wojownika, który zyskuje dystans, ale chwiejny krok w tył mężczyzny, który właśnie otrzymał cios pięścią w podbródek. Patrzył na mnie przez chwilę, potem zamknął oczy, pokręcił głową, jakby nie godził się na to, co powiedziałam, i jakby ten gest mógł wymazać wszystko, cały otaczający nas świat.

Mogłam go wtedy zabić. Czułam na sobie wzrok Eli i Kossala, jego obojętny, jej niecierpliwy, ciekawy. Mogłam zakończyć wszystko w tym momencie, ale potrzebowałam czegoś więcej. Chciałam, żeby zaczął na mnie krzyczeć albo mnie błagał, albo płakał. Pragnęłam, żeby mnie odrzucił albo zaakceptował, albo zrobił cokolwiek poza zachwianiem się pod kolejnym ciosem. Chciałam wniknąć poza ten spokój i wejrzeć w głąb jego bijącego serca. Jego powierzchowność była imponująca, ale nie mogłam pokochać samej powierzchowności.

– Teraz cię zabiję – powiedziałam, waząc w dłoni nóż.

Otworzył oczy. Pot ściekał mu po twarzy i mieszał się z krwią z rany na ramieniu. Nie zważał na to. Patrzył na mnie z uwagą, jakby nic innego się nie liczyło.

Trzymałam w dłoni spizowy nóż i rozdzielał nas grot mojej włóczni.

– Nie chcesz wiedzieć dlaczego? – ciągnęłam.

– Nie.

– Czemu?

– Bo i tak skłamiesz.

Potrząsnęłam głową.

– Skończyłam z kłamstwami.

– Kiedy kłamałaś, podobałaś mi się bardziej.

Zamknęłam powieki i zajrzałam w zakątki mego niechętnego serca, czekając, aż Ruc zada cios. Nie zrobił tego.

– Tego właśnie się obawiałam – powiedziałam wreszcie.

– A czego, dokładnie rzecz biorąc, się obawiałaś?

– Że nie dopuścisz mnie do siebie bliżej.

Uniosłam powieki i ujrzałam, jak twarz Rucy zmienia się, przybierając całą serię masek: zdumienia, zmieszania, niewiary. Po chwili wybuchnął głośnym, serdecznym śmiechem. Od czasów Sia, od naszej pierwszej walki i naszej pierwszej wspólnej nocy, kiedy leżeliśmy w łóżku, smarując sobie nawzajem rany słodko pachnącym balsamem, pociągając śliwkowe wino z butelki i obdarzając nawzajem pocałunkami swoje pokiereszowane ciała, nie słyszałam, żeby śmiał się w ten sposób.

– No tak – wykrztusił w końcu. – Masz rację. Świadomość, że przeszłaś całą długą drogę do Dombângu tylko po to, żeby wpakować mi nóż między zębra, mogłaby trochę skomplikować sprawy.

– Komplikacje są w porządku. Lubię to, co skomplikowane. Ale ty nie chciałaś na to *pozwolić*.

– Dlaczego, na twego porąbanego boga, miałem pozwolić, żeby to było *skomplikowane*, skoro skomplikowane oznacza *mordercze*?

Otworzyłam usta, zamknęłam, a po chwili spróbowałam znowu.

– Bo mnie kochasz? Bo pomyślałam sobie, że ja mogłabym cię pokochać?

Spojrzał na mnie ze zdumieniem.

– Miłość nie polega na zabijaniu ludzi, Pyrre. Zabijanie jest *przeciwieństwem* kochania, ty pokręcona suko.

– Skąd wiesz? – To pytanie było ledwo słyszalne, ale zapiekło mnie w piersiach jak płonący węgiel. – Skąd *wiesz*?

– Bo zostałem wychowany w świecie, w którym ludzie cenią życie.

– I ten świat powiedział ci, że istnieje tylko jeden sposób kochania, tylko *jeden*. Powiedział, że jedyną prawdziwą miłością jest taka miłość, o jakiej mówią pieśni i jaką oglądasz w teatrze. Mówił, że miłość to kwiaty i czułe pieszczoty w blasku księżyca.

– W odróżnieniu od czego? Od noża wbitego w plecy i wanny pełnej krwi?

– Tak! – odparłam. – Czym są kwiaty? Czym jest blask księżyca?

– Są piękne i miłe, żeby już od czegoś zacząć.

– A kto powiedział, że miłość jest piękna i miła? Kto powiedział, że *tylko* to się liczy? – Zadałam mu markowane pchnięcie włócznią. Nie był to prawdziwy atak, ale dziwnie było trzymać broń w ręku i zupełnie nic z nią nie robić. Odbił je obojętnym ruchem. Okrężnym unikiem przesunęłam się w prawo, nie przerywając mówienia: – Tej nocy, kiedy cię poznałam, złamałeś mi trzy zębra, a ja złamałam ci szczękę.

Potrząsnął głową.

– To było co innego.

– *Jak* innego? Walka na pięści jest dość odległa od tulipanów i światła księżyca.

– To nie walka sprawiła, że ja...

– Że ty co?

Sprawdził moją zastawę, najpierw wysoko, potem nisko.

– To nie walka mnie zaintrygowała. Chodzi mi o to, że znalazłem kogoś mądrego, szybkiego, nieustępliwego. A co powiesz o tych wszystkich leniwych dniach pomiędzy walkami? O wieczorach spędzanych na wodzie? O porankach z czarką *ta* w rękę, gdy patrzyliśmy na wschody słońca? Pięści i siniaki były tylko czymś ubocznym.

– Pierdoły.

– Jesteś chora, Pyrre. Cała twoja religia jest chora.

– Cóż jest chorego w myśleniu, że miłość to coś więcej niż kilka pocałunków, coś więcej niż powtarzane co noc te same komunały? Dlaczego miłość nie miałyby oznaczać czegoś *więcej*? Dlaczego nie mogłaby być czymś śmielszym, bardziej przerażającym?

Zrobił wypad. Sparowałam uderzenie miecza, spiż szczęknął o spiż. Natarłam mocno, cięłam nisko, a potem wysoko i cofnęłam się. Poczułam w gardle własny gorący oddech. Ruc obserwował mnie czujnie.

– Jesteś zabójczynią – powiedział. – Tak samo jak krokodyle czy zmije. Pieprzone zwierzę.

– Wszyscy jesteśmy zwierzętami. Urodziliśmy się. Walczymy ze wszystkich sił, aby pozostać przy życiu, a potem, pomimo tych starań, umieramy. – Pokręciłam głową. – Uważamy, że różnimy się od zwierząt i że jesteśmy od nich lepsi, bo wiemy, jak to wszystko się zakończy. To jak żart dla wtajemniczonych.

Ruc także pokręcił głową.

– Nikt mi nie mówił, jak to się zakończy.

– Wiedziałeś, że to nadejdzie, w taki czy inny sposób.

– Sposób ma duże znaczenie.

– *Oczywiście*, że ma, mój piękny głuptasie. – Przyglądałam mu się, patrzyłam, jak unosi się i opada jego pierś, jak zgina się łokieć i jak zaciska się dłoń na rękojeści miecza. Potem przeniknęłam wzrokiem jego śniadą skórę, imponujące mięśnie barków i brzucha. W Rassamburze uczą nas odkrywać kolejno warstwy ciała, rozkładać na części to, co złożyła Bedisa, dzięki temu możemy *zobaczyć*, czym jesteśmy. Ruc był ciepłym ciałem na kościanym szkielecie. Wkrótce, w czasie mierzonym uderzeniami serca, Ananshael dotknie go i Ruc stanie się prochem ziemi. Ja także.

Chciałam tylko, zanim bóg mnie unicestwi, żeby Ruc zobaczył i *zrozumiał*.

– Czy wiesz, co zdarzyło się podczas naszej ostatniej nocy w Sia?

– zapytałam.

Zamiast odpowiedzieć, zaatakował mnie serią szybkich, dzikich, zadawanych z góry ciosów. Skończyło się wcześniejsze próbowanie i markowanie. Każdy z tych ciosów, gdyby sięgnął celu, rozplątałby mnie od gardła do piersi. Pierwszy odbiłam drzewcem włóczni, następne dwa przepuściłam unikami, potem sama zaatakowałam, atak został odparty, a w końcu zaczęliśmy krążyć wokół, obserwując się uważnie poprzez błyski spizu.

– Wiem jedno – rzucił pomiędzy jednym ciężkim oddechem a drugim. – Powiedziałaś wtedy, że chcesz zostać ze mną na całe życie, dopóki jedno z nas nie umrze. Po czym następnego ranka odeszłaś.

– Usiłowałam cię zabić – powiedziałam, wspominając tamtą noc i to, jak kochaliśmy się wiele razy i jak potem zasnął w moich

objęciach. Patrzyłam na jego pierś, jak wznosiła się i opadała wraz z oddechem, wspominałam, jak ciepło było mi na sercu, i pamiętałam też swoje myśli: *To jest próba*. Kossal tłumaczył mi przed kilkoma dniami, że czasem bóg przemawia w naszym ciele. Każdy morderca potrafi zabić kogoś, kogo nienawidzi. Ananshael jednak wymaga od swoich sług czegoś więcej. Rozumiałam to nawet wtedy, podczas tej gorącej, namiętnej nocy w Sia. – Po tym, jak zasnąłeś, wzięłam nóż i przyłożyłam ci do gardła.

– A ja sobie pomyślałem, jakie to straszne, że zniknąłeś.

– Nie mogłam tego zrobić.

– No jasne – prychnął Ruc.

– Zawiodłam mego boga. Wtedy myślałam, że za bardzo mi na tobie zależy.

– Wybacz, jeśli nie wpadam w uniesienie.

– Przestań zachowywać się jak dupek. Chcę, żebyś to zrozumiał.

– Zrozumiał *co*? Nie zabiłaś mnie we śnie przed laty, więc teraz znowu się zjawiasz, żeby skończyć robotę? W porządku, rozumiem.

Tym razem zaatakował moją włócznię i spróbował przerąbać drzewce. Odbiłam trzy ciosy, cztery, pięć, tak nachylając drewno, że spiż bardziej się po nim ześlizgiwał, niż ciął, lecz Ruc nie przestawał uderzać. Widziałam pojawiające się otwarcia, chwile, gdy mogłam przedrzeć się włócznią lub nożem przez luki w jego zastawie i przebić mu serce, ale nie wolno mi było go zabić, dopóki nie dostrzeże tego, co według mnie powinien dostrzec. Nie cofał się, nawet gdy stwarzałam mu szansę, i wciąż mnie atakował, próbując przyprzeć do muru z czaszek. Parowałam ciosy, stosowałam uniki, cofałam się poza jego zasięg. Byłam od niego lepsza, szybsza, ale gra, którą toczyłam, nie pozostawiała mi żadnego marginesu na

błędy. Dotyczyło to, rzecz jasna, również tej gry, jaką prowadziłam sama ze sobą.

Kiedy zgiął rękę, żeby zaatakować znowu, odrzuciłam włócznię i wypuściłam z dłoni nóż. Broń zabrzęczała, uderzając o spaloną słońcem ziemię.

Zawahał się i spojrzał na mnie ze zdumieniem. Oddech palił mnie w piersi, ale zmusiłam się, by to powiedzieć:

– Tam, w Sia, myślałam, że cię pokochałam. Potem pomyślałam, że powinnam cię zabić, aby pokazać, że moja wiara jest silniejsza od miłości. Myliłam się i w jednym, i w drugim. Potrzeba, żeby przez cały czas mieć cię blisko siebie, *nie była miłością*. Była czymś innym, czymś małym, zaborczym i samolubnym. Miłość nie polega na głupim trzymaniu się kogoś. Miłość jest czymś większym.

Ruc popatrzył na mnie nieufnie, dysząc ciężko.

– Nie mam zielonego pojęcia, co to znaczy.

– O tak – powiedziałam. – Masz pojęcie. – Sięgnęłam, ujęłam w dwa palce czubek jego miecza i przytknęłam go do swojej szyi. – Chcę, żeby tym ostatnim cięciem kierowała twoja ręka. Chcę umrzeć, patrząc ci w oczy.

Była to prawda.

Przez tak długi czas analizowałam swój umysł, śledziłam każdy swój ruch, rozważałam każdą decyzję i każdą obronę lub odrzuconą drogę. Dobrze było stanąć tutaj, odrzuciwszy całą broń i wszystkie kłamstwa, które doprowadziły mnie aż do tego punktu, i wyrzec głośno jedną z nielicznych rzeczy, których byłam zupełnie pewna.

– On na mnie czeka – powiedziałam. – Czeka na nas wszystkich.

Słońce rozświetlało opary nad deltą, rozplamienając cały świat. Czulałam na języku piekący smak krwi i potu. Zdawało się, że każda

linia, każda trzcina i sitowie, każdy rys twarzy Ruca zostały wyrzeźbione i powołane do życia cięciami noża. Wszystko to było bardzo piękne – muł, czaszki i zakrwawiony spiż – i wkrótce, być może wraz z następnym moim oddechem, zniknie. Stałam z rękoma opuszczonymi po bokach, przykuta do miejsca upałem i nieruchomym spojrzeniem Ruca.

Oto był mężczyzna, dla którego przybyłam do Dombângu, by go pokochać, i nie kochałam go.

W tym momencie nie miało to już znaczenia.

Czułam, że moje unicestwienie wisi w powietrzu jak cisza przed pieśnią. Cisza była wszystkim.

Wolno, jak by brnął przez wodę albo przez głębię snu, Ruc opuścił miecz.

– Nie – powiedział.

Przez chwilę myślałam, że się rozplacę lub osunę na ziemię. Poniosłam porażkę. Zrobiłam wszystko, co możliwe, aby służyć memu bogu, i poniosłam porażkę. Tęskniłam, by poczuć w ciele to spiżowe ostrze oraz kojący dotyk Ananshaela.

– Zrób to – rzekłam.

– Nie. – Nie patrzył już na mnie. Patrzył poza mnie, jakby próbował zrozumieć coś, co pojawiło się daleko, ale było coraz bliżej.

– Proszę.

Pokręcił głową i cofnął się o krok.

– Potrzebuję cię – rzekł cicho.

– Nie, nie potrzebujesz. Przecież sam powiedziałaś, że jestem zła, zepsuta i pokręcona.

– To dlatego cię potrzebuję – powtórzył, a potem wskazał ruchem głowy nad moim ramieniem. – Jeśli mam przeżyć, to potrzebuję

całego zła, jakie zdołam przywołać.

Powoli, jakbym dopiero teraz odzyskała władzę w ciele, odwróciłam się.

Południowe słońce wisiało prosto nad naszymi głowami, jak spizowy dysk przygwożdżony do nieba. W delcie, zwykle wypełnionej muzyką ptaków i owadów, zaległa nagle martwa cisza.

Byli tu.

Patrzyłam, jak Troje wyszli nago spośród zarośli, dwaj mężczyźni i kobieta, dokładnie tacy, jak opisywali ich od wieków kapłani Dombângu. Byli z pewnością najpiękniejszymi istotami, jakie kiedykolwiek widziałam, gibkimi jak jaguary; ich pokryta potem skóra poruszała się na grających pod nią mięśniach, oczy były jak przejrzyste drogie kamienie, a włosy, wilgotne od wody lub potu, zaczesane do tyłu. Wyższy z mężczyzn był ciemny jak noc w środku lata, a jego ramiona miały grubość równą niemal obwodowi mego pasa. Pomimo swego wzrostu nie wyglądał jednak na ociężałego czy powolnego. Poruszał się jak płynąca woda, jak burza przetaczająca się nad lądem. Drugi mężczyzna, niższy i szczuplejszy, był bledszy, giętki jak bicz, sprawiał wrażenie, jakby nieustannie się wyginał i prostował nawet wtedy, gdy stał spokojnie.

Sinn, pomyślałam. *To musi być Sinn*.

Napotkał moje spojrzenie i uśmiechnął się. Jego zęby były ostre jak noże.

Gdyby ci mężczyźni przyszli sami, mogłabym patrzeć na nich w nieskończoność, podziwiając ich doskonałość, ale nie byli sami. Między nimi stała kobieta, którą pamiętałam z dzieciństwa. Miała śniadą skórę połyskującą w słońcu, a jej ciało było równie śmiercionośne jak broń, którą trzymaliśmy w rękach. Pasek

czarnych włosów przebiegał środkiem jej ogolonej głowy i opadał kaskadą na plecy, między łopatkami. Blizny znaczyły jej ciało, podobnie jak ciała jej towarzyszy. Na ludzkim ciele te drobne linie wyglądałyby jak skazy; na ciałach Trojga zdawały się bezcennymi strojami. Poza tym byli nadzy, nadzy w sposób, który kazał mi się wstydzić mego ubrania, tego, że ciało dane mi przez boginię skrywałam pod skórą dawno zabitych zwierząt.

A do tego jeszcze jej oczy, takie, jak zapamiętałam, złociste, kryształowo jasne i zmienne jak ruchome piaski, które zarazem przyciągały mnie i wciągały w głąb.

Wydawało się niemożliwe, że kiedykolwiek stąd odeszłam, że kiedykolwiek miałam inne myśli poza tą o odnalezieniu jej znowu, pójściu za nią i wpatrywaniu się w te oczy. Wysiłkiem tak straszliwym, że niemal krzyknęłam, zmusiłam się do zamknięcia oczu. Towarzyszyło temu takie uczucie, jakbym ze słonecznego światła wkroczyła w zimną wodę albo spróbowała wdychać lód. Widziałam ją nawet w ciemnościach mego umysłu, lecz i ten zamazany obraz doskonalszy był od wszystkich ludzkich kształtów.

– Mylisz się, Kossalu – dobiegł mnie mój własny szept.

Kroniki Rassamburu opisują Csestriimów ze szczegółami. W końcu wojny z nimi trwały setki lat, było więc kiedy zebrać te wszystkie dane. Relacje zgodne były co do jednego: Csestriimowie byli nadludzko inteligentni, żyli nieprawdopodobnie długo, wyzuci z emocji, z natury byli okrutni. Żadna z kronik nie wspominała o niebywałej urodzie. Spróbowałam wyobrazić sobie, jak ujmuję to w słowa, tak jak teraz. Spróbowałam pominąć tę zapadającą głęboko w duszę doskonałość. Nie było to możliwe. Nawet teraz, po latach, mogłabym zapisywać stronicę za stronicą, szukając

właściwych słów, doskonaląc fragmenty zdań, które potrafiłyby oddać prawdę. Byłoby to marnotrawstwem atramentu. Są na świecie rzeczy, których nie da się opisać słowami.

Otworzyłam oczy.

– To nie są Csestriimowie.

Cała trójka drgnęła na te słowa i nie była to gwałtowna reakcja człowieka-wojownika, ale ospała zmiana pozycji w poszukiwaniu siły, jak u kota, który przysiada, zanim skoczy.

Hang Loc i Sinn obnażyli ostre zęby, warknęli i najwyraźniej byli gotowi rzucić się na nas. Wówczas Kem Anh przytrzymała ich ręce i przeciągnęła palcami od łokci do ramion gestem zmysłowym i przerażającym zarazem. Wolno pokręciła głową.

– Nie – zgodził się Kossal. Obróciłam się i dostrzegłam, że stary kapłan zsuwa z siebie szatę, którą nosił od tygodni. Upadła na ziemię u jego stóp, jak skóra zrzucona przez węża, a Kossal ponownie chwycił spizowe toporki. – To nie są Csestriimowie.

Mężczyźni warknęli jeszcze raz i znów Kem Anh ich powstrzymała, kładąc im dłonie na ramionach i ocierając się o ich boki, aż ustąpili.

– Mówiłam wam – mruknęła Chua. – Oni są bogami. Nie chcieliśmy ulec Csestriimom. Nasza przysięga brzmiała: Nie. Wara im.

Nie patrzyłam na Chuę. Patrzyłam na istotę, którą ona uważała za boginię, patrzyłam jej w oczy, aż zdało mi się, że cały świat wokół przestał istnieć.

– To nie przysięga – szepnęłam w końcu, a zrozumienie spadło na mnie jak gład, niemal pozbawiając tchu.

– Zapomniałaś... – zaczęła Chua.

Pokręciłam głową.

– To Vuo Ton zapomnieli. „Nie, wara im” to nie przysięga. Nigdy nie była przysięgą.

– O czym ty mówisz? – zapytał Ruc.

Myślałam, że serce wyskoczy mi z piersi.

– To miano.

– Dziwne – stwierdziła Ela.

– Nie chodzi mi o miano osoby – powiedziałam. Zrobiło mi się nagle tak gorąco, jakby moja skóra miała zająć się ogniem. – To miano ich rasy. Oni nie są Csestriimami. To Nevariimowie.

Uśmiech Kem Anh był jak zły, biały sierp.

Słońce prażyło piekielnie.

Mój własny oddech był jak płomień.

– Nevariimowie to bajki dla dzieci – powiedział Ruc.

– A jak się ich opisuje w tych bajkach? – zapytałam.

Nikt nie odpowiedział, jakby ciężar słów okazał się nagle zbyt wielki.

– Są zawsze przepiękni – ciągnęłam. – Silni. Są nieubłaganymi wrogami Csestriimów.

– W bajkach oni są *dobrzy* – wykrztusił wreszcie Ruc.

– Opowieści nigdy nie oddają wszystkiego jak należy.

Podczas całej tej rozmowy oni po prostu stali, jeśli to słowo można odnieść do istot, które skupiały w sobie światło i tak naginały świat, że zdawały się pozostawać w samym jego centrum. Obserwowali nas oczyma, których spojrzenia nie dało się uniknąć. Kiedy z gardła Sinna dobyło się warknięcie, Kem Anh przytuliła do niego ciepłe ciało i przez ostre zęby wymruczała mu coś do ucha. Nie przemówili do nas i kto wie, może w ogóle nie mówili, lecz

rozumieli to, co mówiliśmy my. Byłam tego pewna.

– Nevariim – odezwał się wreszcie Kossal. – Być może. To bez znaczenia.

Obróciłam się i spojrzałam na niego ze zdumieniem.

– Znaleźliśmy członków rasy, która rzekomo wyginęła tysiące lat przed csestriimskimi wojnami, rasy, która twoim zdaniem w ogóle nie istniała, a ty mówisz, że to *bez znaczenia*?

Stary kapłan wzruszył ramionami, przestąpił z nogi na nogę, zważył w dłoniach toporki.

– Wszystko, co nie umiera, obraża naszego boga – stwierdził.

– Z drugiej strony trzeba przyznać, że oddali Ananshaelowi mnóstwo mężczyzn i kobiet – zauważyła Ela. – No i popatrz na nich. – Niemal mruczała z zachwytem. – Może moglibyśmy zostać przyjaciółmi? Zanim ich zabijemy oczywiście...

Kossal potrząsnął głową.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że zabijanie to tylko połowa naszej pobożności.

– Dlaczego jakoś czuję w kościach – Ela popatrzyła nań spod zmrużonych powiek – że zbliża się pora również tej drugiej połowy?

Kapłan nie odpowiedział. Nie spuszczał oczu z istot, które przybyły tu, żeby dodać nasze czaszki do swego muru. Ruc pochylił się ku mnie, by szepnąć mi do ucha:

– To dobra chwila. Nas pięcioro przeciwko ich trojgu.

Najwyraźniej zapomniał już o naszej niedokończonej walce i o tym, że przybyłam tu, żeby go zabić. Może przybycie Trojga wymazało to z jego pamięci, a może moja kapitulacja przekonała go, że nie jestem dla niego groźna. Tak czy owak, nie pragnął już walczyć ze mną. Zamiast tego chciał walczyć z tymi istotami, które

chodziły po ziemi od dobrych dziesięciu tysięcy lat.

Zerknęłam na Elę i Kossala, a potem znowu na Troje. Wciąż się nie poruszyli. Jeśli miało to być polowanie, to niezbyt im było do niego pilno. Z drugiej strony, nie bardzo mieliśmy dokąd uciekać. Ucieczka oznaczała śmierć w biegu. Stali z leniwą swobodą drapieżników, świadomych, że ofiary im nie umkną.

Zjawienie się Nevariimów złamało coś we mnie, skruszyło coś, jakieś pojęcie lub przekonanie, o którego istnieniu przedtem nawet nie wiedziałam. Nie powinni być realni, nie powinni tam stać, a jednak byli, gotowi wyrznąć nas w taki sam sposób, jak wyrznęli tysiące lub dziesiątki tysięcy przed nami.

Miało to wszystko znaczenie wykraczające poza nasze bliskie unicestwienie. W tej chwili nie mogłam powiedzieć, w jaki sposób tak się działo, a jedynie to, że cały świat się zmienił. Patrząc na tę straszliwą doskonałość, zrozumiałam nagle, że nie wiem nic i że rzeczy, w które głęboko wierzyłam, okazały się nieprawdą. Mieli nas wkrótce zabić – co widziałam wyraźnie – ale przed śmiercią chciałam dostąpić jasnego widzenia świata.

Chciałam, choćby na krótko, poznać siebie.

Gdy tak zmagalam się z tą nieokreśloną potrzebą, Kossal, który od pierwszej chwili, gdy tylko Nevariimowie wynurzyli się z zarośli, patrzył im prosto w oczy, obrócił się do Eli. Ku memu zdziwieniu uśmiechnął się, po czym wykonał niski, oficjalny ukłon. Mogło to wypaść śmiesznie – nagi mężczyzna, zgięty wpół w południowym skwarze – ale jakoś udało mu się sprawić, że wyglądał wdzięcznie, a nawet elegancko. Mógłby być młodym żołnierzem na balu, olśnionym urodą Eli, który z odwagą daje wytwornie wyraz swemu zachwytowi. Wyprostował się, potem wskazał ku Trojgu, wciąż

patrząc na Elę.

– Czy Ela Timarna, kapłanka Ananshaela, druga, największa i ostatnia miłość mego życia, zechce przyłączyć się do mnie w tym tańcu?

Dreszcz przebiegł mi po plecach. Nie miało to związku z pojawieniem się Trojga, a przynajmniej nie tylko. Było w tym coś innego, większego. Patrząc na kapłankę i kapłana, poczułam drzenie w całym ciele, a w nim jakąś nową nutę, której nie potrafiłam nazwać.

Ela odpowiedziała uśmiechem, postąpiła krok, płaską krzywizną sierpa zahaczyła o szyję Kossala i przyciągnęła go ku sobie, po czym przycisnęła usta do jego ust. Dziesiątki razy podczas podróży na południe widywałam, jak wymieniali pocałunki, niewinne cmoknięcia w czoło, żartobliwe, wilgotne całusy w policzek, ale tym razem to było coś innego. Przez dłuższy czas stali tak, kapłanka i kapłan, z zamkniętymi oczyma, z bronią w rękach, przytuleni do siebie. Coś wewnątrz mnie poruszyło się na ten widok, jak ból, jakby jakiś organ, którego dotąd nie znałam, odezwał się po długim milczeniu.

Kiedy wreszcie odsunęli się od siebie, Ela popatrzyła na niego roziskrzonymi oczyma.

– Moja miłości – powiedziała na koniec.

Kossal uniósł brwi.

– Naprawdę?

Ela roześmiała się i rozłożyła ramiona. W sierpach odbiło się słońce.

– Oczywiście.

Owinęły się wokół mnie bliźniacze pnącza zachwytu

i przerażenia i zaczęły dławić: zachwyty na widok tego, co ujrzałam, a przerażenie na myśl, że mogłabym pojąć to wszystko zbyt późno. Było coś w sposobie, w jaki stali i patrzyli na siebie, coś w Kossalu... nie, nie w Kossalu, raczej w Eli... było w niej coś, co miało związek z nią, ale nie umiałam tego uchwycić, w każdym razie nie całkiem.

Spojrzałam na Ruca. Był czujny, gotowy. Odwróciłam się znowu do kapłana i kapłanki. Pragnęłam przyglądać się im bez końca, patrzeć tak długo, aż zrozumieję, co widzę, ale oczywiście nie mogłam patrzeć w nieskończoność. Za kilka chwil Nevariimowie mieli rozedrzeć ich na sztuki.

Postąpiłam krok naprzód, a słowa same popłynęły z moich ust.

– Nie możecie – powiedziałam.

Spojrzel na mnie.

– Próba jeszcze się nie zakończyła – wyjaśniłam błagalnym tonem, szukając właściwych słów. – Jesteście moimi Świadcami. Nie wolno wam teraz umrzeć. Jeszcze nie.

Kossal pokręcił dobrotliwie głową.

– Każdy służy bogu, Pyrre. Nawet ci, którzy nie przechodzą Próby.

– A dzisiaj złożymy wielką ofiarę – Ela puściła do mnie oko.

– Ale ja jeszcze nie skończyłam – zaprotestowałam.

Nie powinnam reagować w taki sposób. Mój bóg przyszedł. Czekał cierpliwie w sitowiu, pływał tuż pod powierzchnią wody, był w podmuchach wiatru. Powinnam go powitać i rzucić się z radością w jego objęcia. Przygotowywałam się do tego przez całe życie, do świętej chwili własnego unicestwienia, a teraz, gdy ona nadeszła... gdzież była moja wiara?

Nie nadawałam się na kapłankę. Stałam się taka jak każda nieoświecona kobieta, jak jakaś rybaczka bądź farmerka, walcząca o każdą kolejną chwilę, jakby moje życie było czymś, co mogę zachować dla siebie, jakimś chłodnym kryształem w ciemnej jaskini, który przetrwa, doskonały i niezmienny, przez niezliczone pokolenia.

– Nie ma już na to czasu – powiedział Kossal.

– Ależ *jest*. Mam jeszcze czas do końca dnia!

Panika, jak szczur złapany w pułapkę wewnątrz mojej piersi, szarpała mnie zimnymi, wstrętnymi pazurami. Byłam już tak blisko. Najpóźniej po południu pająki wyklują się w brzuchu Chui. Będę mogła oddać ją bogu, a potem pozostanie jedynie kwestia mojej miłości, ostatnia tajemnica, ostatnie pudełko, które będę musiała otworzyć. Po całym życiu w stanie zagubienia czułam się teraz, jakbym w końcu znalazła klucz, który był ukryty gdzieś we mnie i który mogłabym znaleźć, gdybym tylko miała dość czasu... ale to wszystko straciłoby sens, gdyby moi Świadkowie umarli jako pierwsi.

– Nie jestem gotowa – szepnęłam.

– I dlatego właśnie nie zaliczyłaś swojej Próby – odparł spokojnie Kossal.

Te słowa przeszły mnie jak włócznia. Stałam jak zabite zwierzę, zbyt głupie, by wiedzieć, że powinno paść na ziemię. Ela posłała mi nieodgadniony uśmiech, a potem pocałunek. Zanim zdołałam coś powiedzieć, oboje odwrócili się i ruszyli na spotkanie swego końca. Mieli rozluźnione ramiona, a spizowa broń była w ich dłoniach lekka jak uśmiech.

Kem Anh uśmiechnęła się, przeciągnęła palcem po szyi Sinna

i skinęła głową. Sinn postąpił ku nim.

Żyłam dość długo, ale nigdy dotąd nie widziałam walki takiej jak ta, która wywiązała się na tej zagubionej w bezkresie delty wyspie. Nawet się tego nie spodziewałam. Kossal i Ela zaliczali się do najlepszych sług Ananshaela. Oczywiście widywałam ich podczas treningów w Rassamburze. Odbywałam z Elą próbne walki. Myślałam, że wiem, jaka jest szybka i niebezpieczna. Nic nie wiedziałam. To, co uznałam w nich za zabójcze i groźne, dla nich było jedynie sportem, zabawą, zwyczajną, codzienną aktywnością, która pozwalała im utrzymać się w formie do czasu, gdy trafi się prawdziwa walka. Nawet krokodyle Vuo Ton nie zmusiły ich do ujawnienia wszystkich umiejętności.

Gdy sunęli po pochyłości na spotkanie Sinna, wyglądało to tak, jakby ukryli wszystko, co zbędne, i odrzucili wszelkie niepotrzebne ruchy i gesty. Jedynym, co w nich pozostało, gdy wzniesli broń w ataku, była śmierć.

Uderzyli na niego z dwóch stron; Kossal z lewej, z wysoka, Ela zaś z prawej, nisko, próbując przeciąć mu ścięgna, gdy zwrócił się w stronę kapłana. Nie było nic niezwykłego w tej taktyce, ale perfekcja jej wykonania sprawiła, że moje serce zamarło z zachwytu. Cięli, kłuli, zadawali ciosy, finty i riposty, jakby oboje słuchali na zmianę jakiejś cichej muzyki, dudniącego rytmu lub wysokiego staccato. Działali jak muzycy, którzy tę samą melodię grają co rusz na innych instrumentach, raz na jednym, potem na drugim, podejmując ten sam motyw w różnych tonacjach: Kossal był bębniem, Ela szybkim jak błyskawica smyczkiem grającym na jego tle. W walce liczba tematów jest ograniczona, ale tych dwoje ze skończonej liczby nut tworzyło nieskończenie wiele wariacji,

zwalniając i przyspieszając tempo, przemycając echa poprzednich ataków do nowych sekwencji.

Nie potrafiłam oderwać od nich oczu, ale usłyszałam głos Ruca, który stał obok mnie.

– Na słodkie światło Intarry – westchnął.

– Oni nie są czcicielami Intarry – odparłam.

– Nie – zgodził się, a w jego głosie pobrzmiwał zachwyty. – Nie są.

Wydawało się niemożliwe, aby *ktokolwiek* zdołał przetrwać takie ataki. Sinn był nagi i nieuzbrojony. Powinni byli w ciągu paru chwil pociąć go na kawałki. On jednak, jakimś dziwnym trafem, wciąż stał i walczył jak zmija, od której zresztą wziął swoje imię – na pozór wolno, niemal ospale, skręcając się i rozwijając, lecz jego uniki i kontrataki były niemal zbyt szybkie, by wzrok za nimi nadążył. Przepływał między sierpami i toporami, jakby nie był ciałem, tylko samym odbiciem, zjawą, czymś przerażająco wspaniałym, przybyłym ze snu, obojętnym i nieczułym na wszystkie instrumenty śmiertelników.

Kem Anh i Hang Loc stali w tyle, szczerząc zęby, i obserwowali walkę z błyszczącymi oczyma.

W każdym szybkim działaniu jest ukryty spokój. Cała trójka walczyła, jakby ktoś zatopił ich przemoc w bursztynie. Spiż kreślił lśniące linie na tle jasnego dnia. Bywają takie chwile, zwłaszcza podczas słuchania muzyki, gdy zapomina się podążać za przeplatającymi się nutami, gdy traci się trop umykającego tempa, kontrapunktów, i po prostu pozwala się muzyce przepływać. Tak właśnie było tego dnia w delcie, gdy moi Świadkowie, słudzy Ananshaela, walczyli, aby złożyć bogu największą ze swoich ofiar.

– Musimy już ruszać – warknął Ruc.

Był tuż przy moim ramieniu, tak blisko, że mógłby mnie pocałować albo wrazić mi nóż w bok. Jego oczy śledziły jednak przebieg walki.

– My mamy broń, on nie ma – ciągnął. – Pięcioro przeciw jednemu. Pięcioro przeciw trojgu, jeśli tamtych dwoje postanowi przyłączyć się do przelewu krwi.

Spojrzałam na niego.

– Nie zdołamy zwyciężyć.

Odpowiedział mi spojrzeniem.

– No to umrzemy. Każdy umiera. Powinnaś o tym wiedzieć. Jesteś w końcu cholerną czaszkowierczynią.

– Nie jestem czaszkowierczynią – odparłam. – Przegrałam.

– Bo mnie nie zamordowałaś?

– Bo cię nie pokochałam.

– Jesteś obłąkana.

Odwróciłam się od tego oskarżenia, od tych okropnych zielonych oczu, i zobaczyłam stojącą obok nas Chuę. Krew ciekła z rany w jej brzuchu, plamiła jej spodnie, zmywała pył ze stóp. Twarz wykrzywił ból, ale pod nim wciąż widziałam jej siłę i upór. Była to w końcu kobieta, która przetrwała dwa tygodnie w delcie, sama i bez łodzi. Pomimo pajaków w brzuchu nie wyglądała jeszcze na kogoś, kto jest gotów umrzeć.

Albo inaczej. Była gotowa umrzeć, ale nie leżąc. Pomimo rany mocno dzierżyła w ręku spizową włócznię.

– On ma rację – powiedziała i splunęła krwią i flegmą.

Spojrzałam na nią zdziwiona.

– Że możemy ich pokonać?

– Jasne, że nie. On ma rację, mówiąc, że wszyscy umierają.

Ogarnął mnie wstyd, gorący jak monsunowy deszcz. Rozpacz tak prędko pozbawiła mnie wiary, że doszło aż do tego: potrzebowałam rybaczki i żołnierza, aby przypomnieli mi najbardziej podstawową prawdę mego boga. Nabrałam do płuc powietrza, uspokoiłam się, a potem znów odwróciłam, by obserwować walkę.

Ela zaczęła się cofać. Sinn przyparł ją do gęstwiny splątanych pnączy. Było to położenie dużo niebezpieczniejsze, niż na pozór wyglądało; pozostało jej niewielkie pole manewru, a co gorsza, gdyby jeden z długich jak palec kolców zaczepił o jej ubranie, zostałaby zupełnie unieruchomiona. Choć patrzyłam, nie mogłam uwierzyć w to, co widzę. Nie mogłam sobie wyobrazić, żeby Ela została pokonana, zabita. Nawet wiedząc to, co wiedziałam o jej przeciwniku, nie mogłam w to uwierzyć.

Czy świat mógłby nadal trwać, gdyby jej w nim zabrakło?

– Ruszamy – powiedziałam, rzucając się naprzód.

Zanim jednak zrobiłam dwa kroki, Sinn, który przysiadami i unikami wywijał się od toporków Kossala, równocześnie zmuszając Elę do nieustannego cofania się, zaatakował. Nevariim poruszał się tak szybko, że nie widziałam jego rąk. Najpierw był w jednej pozycji, potem w innej, i przerażająco łatwo zajmował dzielącą ich przestrzeń. Ela w jakiś sposób przewidziała ten atak i uniosła sierp, aby go odeprzeć. Sinn cofnął się o krok, Ela zaś wychyliła się do przodu, tracąc lekko równowagę, zadała jeden cios, potem drugi i potknęła się. Sinn zasyczał i sięgnął do jej gardła.

I nagle napotkał toporek Kossala.

Na jedno uderzenie serca zapadła martwa cisza.

Sinn zerknął na krew ciekącą po skórze – głęboka na grubość

palca rana biegła od łokcia do nadgarstka – zwrócił się w stronę Kossala i zaczął odtrącać wir jego ataków, uderzając otwartymi dłońmi w płazy toporków, po czym cofnął się poza ich zasięg.

Ela wyprostowała się i spojrzała na Kossala. Mrugnął do niej. Nigdy nie widziałam, żeby Kossal puścił do kogoś oko. Ela pokręciła głową z żalem.

– Ananshaelu, proszę, weź tę moją miłość do siebie, zanim zaczniesz się chełpić – powiedziała modlitewnym tonem.

– Bóg przyjdzie po nas wszystkich – odparł kapłan, po czym ponownie zwrócił się do Sinna.

Kem Anh podeszła ku nam, obnażyła zęby, podniosła do ust zakrwawioną rękę towarzysza i wylizała ranę do czysta. Sinn warknął cicho, a potem skinął głową, raz w stronę Eli, raz w stronę Kossala, wyrażając w ten sposób milczące uznanie. Tego właśnie chciały te trzy nieśmiertelne istoty. Dlatego pozostawały w delcie przez tysiące lat, odgrywając w nieskończoność te same sceny. Po to trenowały lud Vuo Ton, po to zostawiły mnie przy życiu w delcie, gdy byłem dzieckiem, po to przeżywały każdy ze swych niezliczonych dni.

Jak by to było, zastanawiałam się tą częścią mego umysłu, którą udało mi się oddzielić od krwi, mułu i słońca, żyć przez lata, nie zmieniając się ani na jotę?

– Okłamałaś mnie – powiedział Ruc. – Tam, w Sia, w ringu, nawet nie próbowałaś tak walczyć. Nigdy nie widziałem, żebyś tak walczyła.

Pokręciłam głową, patrząc najpierw na Kossala, potem na Elę, i próbując zrozumieć to, co widzę.

– To dlatego, że ja tak nie potrafię. Bo *nie jestem* taka.

Kapłanka uśmiechnęła się uśmiechem szerokim jak południowe niebo, kierując go do mnie.

– Może któregoś dnia będziesz.

– Po dzisiejszym dniu będę już martwa – odparłam.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Jeśli zatem czymś chciałabyś się stać, to lepiej się pośpiesz i zacznij tym być.

Sinn zasyczał i ruszył naprzód. Rana na jego ręce przestała już krwawić. Nie wyglądało na to, by w jakiś sposób spowalniała go lub niepokoiła. Jeżeli już, to go ożywiła.

– Teraz jest nas pięcioro, ty pieprzony potworze – rzucił Ruc.

Spojrzałam za plecy Sinna, na pozostałą dwójkę Nevariimów. Kem Anh skryła się do połowy za plecami Hang Loca, przycisnęła się do niego i objęła jego pierś ramieniem. Drugą ręką masowała jego masywny członek. Wargi miała zakrwawione po ugryzieniu go w bark. Zastanawiałam się, ile blizn na jego skórze pozostawiły jej zęby. Oboje nas obserwowali, ich piersi wznosiły się i opadały, gdy czekali w podnieceniu na wznowienie walki. Żadne z nich nie uczyniło najmniejszego ruchu, by się do niej włączyć.

Przeszłam na lewo, w stronę Kossala, podczas gdy Ruc odbił na prawo.

Stary kapłan obdarzył mnie surowym spojrzeniem.

– Nie zapraszałem cię.

– Nasz bóg z chęcią przyjmuje wszystkich – odparłam, patrząc na wijący się, zmienny kształt Sinna.

– Mam zamiar zabić to coś – powiedział. – Dopilnować jego unicestwienia.

– Ja też.

Zaskoczyły mnie własne słowa już w chwili, gdy je wypowiedziałam. Zaskoczyła mnie ich żarliwość. Po całym życiu śnienia o tych bogach – fałszywych bogach – budzenia się w mokrych od potu prześcieradłach i z kołataniem serca, po kilkunastu latach wątpienia we własną pamięć, własny umysł, w zdarzenia z dzieciństwa, dotarłam wreszcie tu, gdzie mogłam zatopić spiżowe ostrze w ich ciałach.

Kossal spojrział na mnie, po czym skinął głową, jakby to załatwiało wszystko.

Okrążyliśmy Sinna, tworząc nieregularny krąg, aby uderzyć na niego z czterech różnych kierunków. Stałam po jego prawej ręce, oceniając dzielący nas dystans i śledząc ruchy Nevariima w odniesieniu do reszty moich sojuszników w tej walce. Naszą jedyną szansą, jeżeli można tak to nazwać, był skoordynowany atak. Najwyraźniej pozostali też zdawali sobie z tego sprawę – wszyscy z wyjątkiem Chui, która zbliżyła się do Sinna na wprost, trzymając spiżową włócznię ręką uniesioną do rybackiego rzutu zza pleców. Zachowywała się tak, jakby nas tam nie było.

Sinn obnażył kły, po czym rozłożył ręce, zapraszając ją do uderzenia.

Chua nie skorzystała.

Zdecydowanym krokiem pokonała dzielącą ich przestrzeń. W jej ruchach nie było pośpiechu, a w barkach napięcia, nic w jej postawie nie wskazywało, że robi coś innego niż polowanie przy brzegu na ryby. Wyglądało to tak, jakby z tą długą, błyszczącą włócznią szukała łososa lub płastugi. Kątem oka zauważyłam Kossala, który podchodził do Nevariima coraz bliżej, trzymając toporki starym manjaryckim chwytem – jeden wysoko, drugi nisko.

Mruczał jakąś melodię, której nie rozpoznałam, powolną i uroczystą. Po drugiej stronie Ela mówiła coś do Ruca, perorując jak baba w tawernie, i gestykulowała żywo z sierpami w dłoniach, lecz cały czas zbliżała się coraz bardziej.

Chua zatrzymała się dwa kroki przed Nevariimem. Jej oczy były spokojne jak u umarłego.

– Ja cię nie czczę – powiedziała.

Sinn zastukał zębami w szybkim staccato, otworzył i zamknął dłonie, jakby zaciskał szpony.

– Możesz mieć moją czaszkę – ciągnęła – ale nigdy...

Przerwał jej Kossal, który rzucił się na Sinna, już w trakcie skoku tnąc toporkami, jednym wyżej, drugim niżej. Ela też zaatakowała, przetaczając się po ziemi, poniżej zastawy, jaką mógłby zasłonić się Nevariim, i starając się dosięgnąć sierpem ścięgna pod jego kolanem.

Ten atak był niemożliwy do zablokowania.

Sinn go jednak zablokował, wyszarpnąwszy z ręki Kossala jeden toporek i uderzywszy nim w dół tak, by znalazł się na drodze łuku, jaki zakreślał właśnie sierp Eli. Ruc krzyknął i ruszył naprzód, biorąc potężny zamach mieczem znad głowy. Sinn uniknął go z łatwością, rzucił toporkiem w napastnika, obrócił się, by odeprzeć drugi atak Kossala, i odbił dłonią drugi toporek z taką siłą, że spiż uderzył kapłana w pierś i Kossal upadł na ziemię, nie mogąc złapać oddechu. Nevariim ryknął, zawirował, by stawić czoło Eli – która już zdążyła się podnieść, a spiżowe sierpy utworzyły w powietrzu mglisty nimb wokół jej ciała – i wtedy właśnie zaatakowała Chua.

Jak wszyscy dobrzy rybacy wybrała właściwy moment, poczekawszy w ferworze walki, aż pojawi się luka, i rzuciła

włócznie. Jasny spiż zagłębił się w ramię Nevariima, zmusił go do półobrotu, po czym, rozerwawszy ciało, upadł z łoskotem na ziemię. Krew trysnęła z rany i spłynęła po ręce, barwiąc ją na czerwono.

– Nigdy... – powtórzyła Chua, po czym przerwała w pół słowa, otworzyła szeroko oczy, przyłożyła dłoń do brzucha i trzęsąc się, rozpoczęła okropny, chwiejny taniec.

Pająk lalkarz.

Nazwa pająka była odpowiednia. Chua wyglądała jak marionetka pociągana za sznurki przez jakiegoś szalonego mistrza, jej kończyny podrygiwały i dygotały, a ciało się chwiało. Otworzyła usta, usiłując coś jeszcze powiedzieć, słowa uwięzły jej w gardle, a potem obróciła się z widocznym, straszliwym wysiłkiem, by utkwic we mnie wzrok.

Ból zamglił jej oczy. Próbowwała przycisnąć do rany rękę, która zatruta jadem węża, podrygiwała na jej brzuchu jak ryba zdychająca na pomoście.

Podbiegłam do niej, nie zwracając uwagi na pozostałych, nie patrząc na krwawiącego Nevariima. Gdyby chciał mnie zabić, gdy byłam zwrócona do niego plecami, mógłby to zrobić bez przeszkód. Złożyłam obietnicę i zamierzałam jej dotrzymać.

Objęłam ramiona rybaczki, choć trudno było powiedzieć, czy po to, by ją uspokoić, czy też pocieszyć. Jej skóra była rozpalona jak ogień.

– Jestem, Chua – powiedziałam cicho. – Jestem tutaj.

Zadrzała w moich ramionach, gdy przeciągnęłam jej nożem po gardle. Zwróciła na mnie oczy, a potem otworzyła je szerzej i spojrzała na coś w oddali, jakby chciała nasycić je ostatnim widokiem. Potem uniosła dłoń do szyi, krew popłynęła jej z ust

i ręka opadła. Ciało osunęło się bezwładnie. Ananshael zawisł nad wyspą, wysoki jak niebo.

Odwróciłam się i spojrzałam na Elę. Kapłanka stała kilka kroków ode mnie, dysząc ciężko, a na jej twarzy lśnił pot.

– Matka nowym życiem brzemienna – powiedziałam.

Ela uniosła brwi.

– Trochę na to za stara...

– Setki pajaków wykluły się w jej brzuchu. – Wskazałam na ranę, która pęczniała i pulsowała życiem rosnących w niej istot. – To już sześć.

– Wciąż usiłujesz zaliczyć Próbę? – zapytała, przechylając głowę. Potem uśmiechnęła się do mnie ciepłym, ponętym uśmiechem. – Moja kochana dziewczyna.

Za moimi plecami Sinn warknął gardłowo. Odwróciłam się i ujrzałam, że patrzy na mnie swoimi nieludzkimi oczyma. Jego podbródek ociekał krwią, bo właśnie wylizał sobie ranę na ramieniu i jego zęby zabarwiły się czerwienią. Wyszczrzył je, splunął na ziemię, po czym rozłożył ręce w geście zaproszenia. Prawa ręka, jak zauważyłam, nie uniosła się tak wysoko jak lewa. Ramię wciąż było sprawne, ale włócznia Chui coś w nim przecięła głęboko, coś ważnego.

– Mam wrażenie, że wciąż ma ochotę na zabawę – powiedziała Ela.

Ruc potaknął ponuro i przemieścił się na wysuniętą flankę. Jego spizowy miecz odbijał słoneczne światło, jakby zrobiony był z płomienia. Uświadomiłam sobie, że próbuje oślepić Nevariima. Sinn zamrugnął, gdy odblask padł na jego oczy, Kossal doskoczył i walka rozpoczęła się na nowo.

Stary kapłan atakował bez litości toporkami – podniósł z ziemi ten, który Sinn odrzucił z pogardą – a jego pobrużdżona twarz wyrażała pełne skupienie na tym ostatnim akcie pobożności. Ela zdawała się tańczyć i wirując wokół siebie sierpami, zakreślała nimi wielkie łuki, aby nie dopuścić do siebie Nevariima. Ruc pracował jak człowiek wykonujący nieprzyjemną robotę, z otwartymi ustami zadając cięcia, pchnięcia i finty i wciąż szukając luki w obronie.

Ja nie robiłam nic. Pragnęłam zabić tę istotę równie mocno jak pozostali; nawet gdybym nie zdołała zaliczyć Próby, wciąż mogłam złożyć memu bogu tę jedną, ostatnią ofiarę. A jednak zakiełkowała we mnie pewna świadomość, jakieś gorące, przerażające uczucie, którego nie rozpoznawałam i nie w pełni rozumiałam. Nie był to strach, choć tak to odczuwałam. Nie zdumienie, choć ono też tam było. Borykając się z tym dziwnym drzeniem w piersi, patrzyłam na Elę – uśmiechała się do mnie, śmiała się podczas walki, każdy rys jej ciała promieniał rozkoszą.

Chciałam być jak ona. Byłam zmęczona nieustannymi wątpliwościami mego serca i ciągłym szacowaniem swoich uczuć, jakby były ciężarkami na wadze jakiegoś kupca. Chciałam być spełniona, gniewna i wolna. Bolesnie odczuwałam tę potrzebę, a ból mnie unieruchamiał, podczas gdy kapłanka wirowała w ekstazie oddania bogu. Unieruchamiał mnie, gdy mogłam przyjść jej z pomocą.

Atak nastąpił w takiej chwili między dwoma uderzeniami serca, gdy ten niezmordowany mięsień w mojej piersi zbierał się, by po raz nie wiadomo który pchnąć krew w moje żyły. Nawet teraz nie wiem dokładnie, co się wtedy stało. Kossal atakował, spychając

wroga w tył. Sinn wydawał się słabnąć. Ruc napierał na niego z jednej, a Ela z drugiej strony. Wydawało się, że już go mają, gdy nagle... szybciej niż zwolniona cięciwa kuszy, Nevariim rzucił się do przodu i przecisnął przez lukę w zastawie starego kapłana.

Gardło Kossala eksplodowało, krew trysnęła czerwienią na ziemię.

Stał jeszcze chwilę, jakby wciąż czuwał i zapatrzony w dal, gdzieś nad wodą, ponad trzcinami i sitowiem, wypatrywał nadejścia swego boga. W moim umyśle nadal był żywy, wciąż toczył walkę, ale nasze umysły nie są doskonałe. Ananshael przyszedł i zabrał go w naszej obecności, choć nikt z nas tego nie zauważył, i wymknął się niepostrzeżenie. Kossal nigdy w życiu nie upadł. Gdy jego ciało dotknęło ziemi, już nie żył.

Ela wytchnęła z siebie powietrze, jakby ktoś nagle rąbnął ją pięścią w brzuch. Potem wyprostowała się, otworzyła szeroko usta i zaśpiewała ostatnie, ekstatyczne takty Mszy Antreema. Dopiero teraz, patrząc na kapłankę i widząc ją taką, jaka była naprawdę – olśniewająco piękną, lecz zbroczoną krwią, cudowną, lecz śmiertelną, osamotnioną po stracie kochanego mężczyzny, lecz radosną – zrozumiałam nareszcie, czym jest miłość.

Mówiła mi o tym, lecz nie potrafiłam tego dostrzec, nie potrafiłam *uwierzyć*, dopóki nie ujrzałam, jak stoi nad ciałem mężczyzny, którego kochała, i śpiewa, wcale nieumniejszona jego brakiem. Tej lekcji nie mogłam wcześniej pojąć, choćbym przez całe życie zagłębiała w głąb swego serca i spędziła milion nocy z Rukiem, walcząc z nim lub czując go w sobie: miłość nie jest wiecznotrwałym stanem, lecz rozkoszą w raju niedoskonałości. Zatrzymanie jakiejś rzeczy jest nierozłącznie związane

z wypuszczeniem jej z rąk, a żeby kochać, trzeba poznać i jedno, i drugie.

Świat nadal był piękny. Ela czuła to, a gdy śpiewała, i ja czułam wzbierającą we mnie jej muzykę – muzykę radości w obliczu wszystkich cudów, które nie mogą trwać, radości nie z posiadania, lecz z przemijania, w końcu zaś otworzyłam usta i zaśpiewałam razem z nią, posyłając w świat drzenie swego ciała, bez którego życie nie ma żadnego znaczenia, podobnie jak śmierć.

Mnie pierwszej zabrakło tchu. Kiedy kapłanka w końcu zamilkła, zamknęła oczy, skinęła głową w odpowiedzi na coś, czego nigdy się nie dowiem, potem spojrzała na nas i uniosła brwi.

– To, że Kossal się zmęczył, nie znaczy, że wy dwoje macie zacząć marudzić. Doprawdy powinien dać wam lepszy przykład.

Sinn przyjrzał się leżącemu ciału Kossala, zasyczał z satysfakcją, a potem zwrócił się ku naszej trójce. Zraniliśmy go, nieco spowolniliśmy, ale dwoje z nas przy tym zginęło. Zza jego pleców przyglądali się nam Kem Anh i Hang Loc, piękni jak bogowie, żądni krwi jak dzikie bestie, a ich obnażone zęby błyszczały w słońcu. Przez długie tysiąclecia trenowali ludzi z delty, żeby byli ich zwierzyną, ale nigdy przedtem nie mieli do czynienia z taką zwierzyną jak my. Nawet w Rassamburze nie było nikogo podobnego do Eli i Kossala.

Ela odwróciła się ode mnie i zwróciła ku Nevariimowi. Nie widziałam już jej twarzy, ale mogłam wyczytać gotowość z ułożenia ramion i ze sposobu, w jaki podrzucała sierpy – raz jeden, raz drugi – i łapała w locie, obracając z radością w dłoniach. Jej śniada skóra, nasycona światłem południowego słońca, zdawała się świecić. Zaśpiewała znowu, tym razem dziecięcą, melodyjną piosenkę

z Rassamburu, którą nieliczne dorastające na płaskowyżu dzieci wyśpiewują w trakcie letnich gonitw i zabaw. Była uosobieniem czystego szczęścia.

Sinn zasyczał i ruszył jej na spotkanie, gotów ją zabić.

Z mojej piersi wyrwał się głos podobny do wycia.

– *Nie*.

Stado winnodziobów wzleciało hałaśliwie z sitowia, zatoczyło krąg nad nami i poleciało na południe, znikając nam z oczu.

Świat zamilkł. Wyobraziłam sobie, że wszystko – ja, Ruc, Ela, Nevariimowie, delta i wszystko poza nią, cały kulisty świat – zawisło w wielkiej pustce, niepodtrzymywane przez nic w tej bezkresnej próżni, czekając tylko, by runąć w dół.

Powiedziałam to jeszcze raz, tym razem krzyżąc:

– *Nie!* – Jakby to jedno słowo mogło powstrzymać siłę skupioną w ciele tej nieśmiertelnej istoty.

Sinn zwrócił głowę w bok i jak wąż unieruchomił mnie na chwilę wzrokiem, po czym ponownie spojrzął na Elę i postąpił krok naprzód. W tym momencie kapłanka zerknęła na mnie przez ramię, marszcząc brwi. Wtedy właśnie Nevariim uderzył i jednym ruchem jak smagnięcie bata sięgnął przez dzielącą ich przestrzeń, wytrącił z rąk Eli sierpy i złapał ją za gardło. Gdy podniósł ją z ziemi, zaczęła go kopać, ale jego ciało ani drgnęło. Gdy ścisnął mocniej, kopnięcia ustały. Wykrzywiona twarz Eli spurpurowiała, wargi nabrzmiały. Usiłowała coś powiedzieć, lecz język wypadł jej z ust.

Nie namyślając się wiele, rzuciłam się na pomoc kapłance.

– *Pyrre...* – zaczął Ruc.

Nie zwracałam na niego uwagi. Całe swoje jestestwo skupiałam

na kapłance i duszącym ją Nevariimie.

– Nie możesz jej mieć – wyrzuciłam z siebie te słowa jak włócznie. – *Nie możesz jej mieć.*

Sinn uśmiechnął się szeroko. Eli zabrakło powietrza. Jej ręce i nogi zaczęły trzepotać. Nevariim zwrócił się do mnie, otworzył usta i zaryczał. Ten ryk rozległ się drzeniem w moim sercu, płucach, jakby wszystkie moje wewnętrzne organy były bębnami, jakby cała moja skóra została naciągnięta na ramę szkieletu w jednym tylko celu: by drżała, gdy się w nią uderza.

– Nie – powtórzyłam, zmuszając się do postąpienia ku niemu jeszcze jednego kroku, tak blisko, że poczułam bijący odeń zar. Jak to możliwe, żeby żywa istota aż tak paliła? Mój głos, kiedy znów udało mi się go wydobyć, osłabł do szeptu. – Ona nie należy do ciebie.

Nevariim podniósł pięść.

Warknięcie Kem Anh osadziło go w miejscu. Spojrzałam za plecy Sinna i ujrzałam ją, jak zbliża się ku nam, wbijając we mnie zaciekawiony i dociekliwy wzrok.

– Potrzebuję jej – powiedziałam, zwracając się bezpośrednio do istoty z moich snów. – Ona jest moim Świadkiem.

To nie miało sensu. Nikt wychowany poza Rassamburem nie zrozumiałby znaczenia tych słów. Nie miałam nawet pewności, czy Troje posiadało zdolność mówienia. Odkąd wkroczyli na polanę, nie odezwali się nawet słowem. Szaleństwem było tłumaczyć im cokolwiek, ale wizja własnej śmierci dodawała mi odwagi. Słyszałam już mego boga i milion jego rąk przeczesujących powietrze, jego giętkie palce wnikające powoli w ciało Eli. Przez całe życie Ananshael strzegł mnie i chronił. Nie byłam jeszcze

gotowa, by mu się oddać, ale świadomość, że jest blisko, wzmacniała moją wolę.

Przytknęłam dłoń do piersi Nevariima. Było to jak dotknięcie muru z żywego kamienia.

Wyszczrzył zęby, ale Kem Anh za jego plecami warknęła znowu, tym razem głośniejsze, aż wreszcie z wściekłym syknięciem rzucił wijącą się Elę na ziemię.

Tuzin uderzeń serca trwało, nim kapłanka otworzyła oczy. Przez chwilę wyglądała na zagubioną, jakby nigdy wcześniej nie widziała delty, nieba czy trzciny. Potem skupiła się na mnie, na mojej twarzy, i uśmiechnęła się, z trudem wstając.

– Pyrre. – Pokręciła głową. – Nie możesz mnie uratować. Już od długiego czasu jestem gotowa na śmierć.

Popatrzyłam na nią, popatrzyłam w jej szeroko otwarte, wesołe oczy, po czym nachyliłam się, by pocałować ją w usta. Mimo bólu uniosła dłoń i objęła nią moją głowę, by przygarnąć mnie bliżej. Kiedy wreszcie się cofnęłam, uśmiechała się, a ja uświadomiłam sobie ze zdziwieniem, że też się uśmiecham.

– Nie próbuję cię ratować – mruknęłam, po czym wbiłam nóż w jej wciąż drżące ciało – tylko kończę moją Próbę.

*Oddaj bogu człowieka, który sprawił, że
Twój umysł i ciało miłością się rozśpiewały,
A który nigdy już nie wróci.*

Złożyła się wpół, jęknęła, zakaszłała, zalewając mi pierś gorącą krwią, i sięgnęła dłonią do ust, żeby je obetrzeć, po czym wyprostowała się powoli. Przez chwilę przemknęła mi przez głowę myśl, że jakimś cudem, mimo śmiertelnej rany, zamierza walczyć dalej. Potem jednak ujrzałam, że uśmiech pozostał na jej ustach

i dzięki krwi był nawet żywszy.

Położyła mi dłoń na policzku.

– Nie wiedziałam... że się uda. – Jej słowa były wilgotne od krwi, urywane.

Podłożyłam jej rękę pod plecy, żeby ją podtrzymać. Płakałam. Łzy były gorące jak krew, ale pozbawione smutku. Była taka lekka.

– Nie wiedziałaś, że co się uda?

– Kossal wciąż powtarzał... że jestem za stara... że ty mnie nigdy... nie pokochasz...

Patrzyłam na nią oniemiała, patrzyłam przez nią na wskroś, zagłębiałam przez jej oczy w głąb tych tygodni, które spędziliśmy razem w podróży do Dombângu, tych nocy, gdy nalegała, żebym piła z nią i rozmawiała, tej nocy na tarasie podczas burzy, gdy po wielekroć próbowałam ją zabić, a ona tylko się śmiała. Słyszałam, jak mówi mi do ucha: *Miłość jest jak zabijanie. Robisz to całą sobą albo wcale.*

– Wiedziałaś... – wyszeptałam cicho. – Wiedziałaś, że to będziesz ty, nie Ruc.

Pokręciła głową.

– Nie wiedziałam... miałam nadzieję.

– *Zaplanowałaś to* – stwierdziłam.

Krew ukazała się pomiędzy jej zębami, gdy się uśmiechnęła.

– Dlaczego? – zapytałam.

– Pomyślałam, że byłabyś wspaniałą kapłanką... musiałam tylko skłonić cię... żebyś przestała być... taka poważna przez cały czas. – Oczy jej zmętniały, zapatrzone w nieokreśloną dal. Położyłam ją na ziemi. – *Żyj...* – wyszeptała.

– My zaraz umrzemy – zaprotestowałam.

– Żyj mimo wszystko... Żyj bardziej... W tym rzecz.

Twarz Eli była piękna nawet teraz, poplamiona krwią, a oddech rzeźił jej w gardle. Krzywiła się przy każdym wdechu.

– To boli – wyszeptała. – Słodki boże, jak boli.

Starłam plamkę z jej policzka.

– Już nie będzie bolało – odparłam.

Ofiarnym nożem przecięłam jej gardło. Krew trysnęła na ostrze, zalała mi dłonie, pociekła na ziemię wokół mnie. W miarę jak życie z niej uchodziło, wiotczała coraz bardziej. Trudno powiedzieć, ile bólu jej oszczędziłam, może tylko parę chwil. Nie miało to już większego znaczenia. Przez całe swoje życie przygotowywała się na spotkanie swego końca. Po to służymy bogu śmierci.

Odeszła, ale to też nie miało znaczenia. Miłość nie jest czymś, co można zatrzymać. To coś, co się robi każdego dnia, w każdej chwili, nie bacząc na to, kto umiera.

Wstałam powoli, wytarłam ostrze noża o nogawkę spodni, podniosłam włócznię, po czym odwróciłam się i stanęłam przed Trojgiem, patrząc im w twarze.

– Siedem – powiedziałam cicho.

Ich spojrzenia były poważne, prastare, nieprzeniknione.

Usłyszałam, jak za mną poruszył się Ruc.

– Co to było, do jasnej cholery? – rzucił. Słowa były ciche, jakby nie znalazł w sobie dość tchu.

– Jestem kapłanką Ananshaela – odparłam, nie odwracając się.

Wiatr szumiał w sitowiu.

– Jesteś potworem – stwierdził.

Obracałam te słowa w umyśle, starając się zrozumieć, co mogłyby znaczyć.

- Była szczęśliwa, mogąc odejść do swego boga.
- Nikt nie czuje się szczęśliwy z powodu własnej śmierci.
- Mylisz się.

Ruc zbliżył się do mnie od tyłu, czubkiem miecza dotknął mego policzka i odwrócił mnie ku sobie.

– Jedynymi ludźmi, którzy chcą umrzeć, są ci, którzy nienawidzą swego życia.

Potrząsnęłam głową. Spizowe ostrze skaleczyło mi policzek. Nie zwróciłam na to uwagi. W moich uszach rozbrzmiewał jeszcze głos Eli.

- Dźwięków ani chwil nie da się zatrzymać – powiedziałam.
 - Czy to znaczy, że należy się poddać?
- Jego oczy były głęboką, mętną zielenią.

Pochyliłam się i pocałowałam go mocno w usta. Nie bronił się.

– Nie – odparłam, kiedy wreszcie oderwałam się od niego. – To znaczy, że słuchasz. I że grasz. – Ruchem głowy wskazałam na Sinna, który patrzył na nas jadowitym wzrokiem. – Czy zagrasz ze mną, Rucu Lan Lacu?

– Jesteś obłąkana – powiedział już po raz drugi tego dnia.

Zamiast odpowiedzieć, ponownie wskazałam na Nevariima.

– Lubisz walczyć, Ruc. To jest dobra walka. Wielka walka. Powalczysz razem ze mną?

Milczał przez długi czas, a potem pokręcił głową.

– Pocałuj mnie raz jeszcze – poprosił cicho.

Uśmiechnęłam się i pocałowałam go znowu. Smakował krwią i smutkiem.

Walczyliśmy z tym nieśmiertelnym stworzeniem jak we śnie. Gdyby Chua, Kossal i Ela go nie zranili, nie spowolnili, nie

mielibyśmy żadnych szans, ale nawet teraz nie miałam nadziei na zwycięstwo. Był zbyt szybki, zbyt silny, zbyt doskonały w każdym ruchu. Nie walczyłam z nim, żeby wygrać; walczyłam, bo chciałam walczyć. Nie kochałam Ruc, ale go lubiłam, podziwiałam i dobrze było się poruszać w sąsiedztwie jego ciała, wreszcie walczyć nie *przeciwko* niemu, ale u jego boku i sprawdzać się w walce z czymś, co nigdy i przez nikogo nie zostało pokonane. Wszystko było wspaniałe. Słońce na mojej skórze, broń w moich dłoniach, ciepły wiatr na twarzy, oddech w mojej piersi. Nawet Ruc zdawał się to wyczuwać, gdy wpadliśmy we wspólny rytm, wspierając nawzajem swoje ataki i osłaniając odwroty, próbując wykorzystywać drobne luki w obronie Nevariima. Kiedy zerknęłam na niego, wyglądał jak dobrze mi znany zabijaka w bójce na śmierć i życie lub śpiewak, który zatracił się w swojej pieśni. Świat skurczył się do tej walki. Nie było już innych miejsc, innych ludzi. Ta chwila była wszystkim, czego chcieliśmy. Czułam coś nowego, jakieś doskonałe oddanie, a zarazem zniknęło to, co przez całe życie oddzielało mnie cienką błoną myśli od całej reszty świata.

Czując w sercu echo pieśni życia, zamarkowałam cios wysoką fintą, potem niską, uchyliłam się od pięści, zanurkowałam pod zranionym ramieniem i cięłam Sinna przez pierś.

Nie był to śmiercionośny cios i nie byłby, ale gdy Sinn się cofnął, Ruc z potężnym rykiem runął na niego. Ledwo miałam czas pomyśleć, że to było bardzo głupie i przypominało atak zamrozonego pijaka w bójce w jakimś barze, szarżę bez najmniejszej szansy na racjonalną obronę, gdyby coś poszło źle. Sinn odbił miecz, a Ruc go upuścił, lecz kontynuował atak z rozłożonymi ramionami. W chwili, gdy Nevariim rozrywał mu

pierś, Ruc złapał go w objęcia i z całą mocą przycisnął do siebie nieśmiertelną istotę, choć życie już zaczęło z niego uciekać.

– Pyrre – wykrztusił moje imię, które zabrzmiało na poły jak jęk, na poły jak kaszel, i nagle dostrzegłam, że wcale nie był taki głupi. Jego atak nie był wcale atakiem, tylko ofiarą z siebie, ostatnim darem dla mnie, dla kobiety, którą uważał za potwora.

W drobnym ułamku chwili, gdy Sinn pozostawał w objęciach Ruca, doskoczyłam i poderżnęłam Nevariimowi gardło.

Ananshael jest pokornym bogiem. Przyjął to nieśmiertelne trofeum z takim samym cichym wdziękiem, z jakim zwykł przyjmować wszystkie stworzenia. Na koniec istota, którą mieszkańcy delty przez tysiąclecia czcili jako boga, umarła tak samo jak ptak, ryba, jaszczurka i wszystkie małe stworzenia tego świata, które żyją swoim krótkim i ulotnym jak płomyk życiem, po czym kończą je w jego dobrotliwych rękach.

Ruc opierał się bogu jeszcze moment, na tyle długo jednak, żebym klękając obok niego i przykładając ucho do jego ust, posłyszała jedno jedyne słowo:

– Miłości...

Potem zaś światło zgasło w jego zielonych oczach. Wciąż nie wiem, czy to słowo było skierowane do mnie, czy też zamierzał mi coś za jego pomocą wytłumaczyć, coś, co jego zdaniem źle rozumiałam. Zamknęłam mu powieki. Słońce miało podtrzymać ciepło jego ciała aż do zapadnięcia nocy. Wydawało się to w jakiejś mierze słuszne. W końcu zawsze odnosił się do mnie ciepło.

Wstałam i zwróciłam się ku dwojgu pozostałych Nevariimów.

Miałam w rękach noże. Dzień był jeszcze młody. Czułam, że się uśmiecham.

– Kto następny? – zapytałam i wskazałam spizowym ostrzem na Hang Loca. – Ty? – Później skierowałam spojrzenie na Kem Anh. – Może ty?

Kobieta przechyliła głowę, jakby chciała przyjrzeć mi się dokładniej albo lepiej zrozumieć to, co widzi. Ja zaś patrzyłam w jej oczy, te oczy, które prześladowały mnie od dzieciństwa. Były takie same, krystalicznie przejrzyste i nieludzkie, ale strach przed nimi, który odczuwałam tak długo, zniknął. Jakże mogłam się bać w świecie przepelnionym takim pięknem?

– Walczmy – mruknęłam.

Kem Anh nie ruszyła w moją stronę, nawet nie podniosła ręki. Przyglądała mi się jeszcze chwilę, a potem uśmiechnęła się, pokręciła głową, odwróciła się i ruszyła w stronę zarośli i gęstego lasu za nimi, a Hang Loc podążył za nią, i tak, kolejny raz, stawali się legendą.

Rzuciłam w nich nożem. Nie po to, żeby trafić, ale żeby podziwiać piękno połyskującego w słońcu spizowego ostrza. Tak jak się spodziewałam, Kem Anh zerknęła za siebie, złapała wirujący w powietrzu nóż, przyjrzała mu się chwilę, a potem odrzuciła na ziemię. Kiedy pogrążyli się w zaroślach, nie próbowałam za nimi biec. Troje stało się teraz Dwojgiem. Odeszli, znikli ponownie w labiryncie Darowanego Kraju.

Spojrzałam za siebie, żeby ocenić jatkę. Ciała wyglądały wspaniale, nawet w tych pozach, w jakich zastała je śmierć. Zerwał się wiatr. Wiał przez sitowie, lekko poświstując jakąś melodię głosem szerokim, jasnym i wdzięcznym jak świat, czasem przycichając, czasem zmieniając kierunek i zawsze znikając w chwili, gdy już myślałam, że usłyszałam ją wyraźnie.

Epilog

– Oto moja historia, kochanie. Moja, ale twoja także.

Vuo Ton znaleźli mnie na wyspie trzy dni później. Z ciepłej porannej mgiełki wynurzyło się smukłe czółno, a w nim wytatuowane postacie, nieme jak bożki. Nawet te przy wiosłach trwały bez ruchu, gdy łódź dryfowała cicho do brzegu. Świadek stał przy dziobie, nogę oparłszy o ławkę. Kiedy łódź była o krok od brzegu, wyskoczył i wylądował zgrabnie, po czym stanął i patrzył na mnie przez długi czas.

– Żyjesz – powiedział wreszcie.

Skinęłam głową, ale nie wstałam z miejsca, w którym siedziałam. Nie starałam się wydostać z wyspy. Gdyby Ananshael mnie zechciał, to wiedział, gdzie mnie znaleźć.

Pierwszy dzień upłynął mi na paleniu zwłok. Ułożyłam Kossala, Elę, Ruca i Chuę na wielkim stosie suchego sitowia i pracowałam pół ranka nad rozpaleniem ognia za pomocą patyka i kawałka drewna wyrzuconego na brzeg, a potem stałam i patrzyłam, jak ogień pożera stertę kości i mięsa. Czwooro wojowników odeszło, ostatecznie unicestwionych, ale ich ciała płonęły jasno, jakby wciąż jeszcze tliła się w nich iskierka życia.

Sinna nie spaliłam. Odcięłam jego głowę od ciała spiżowym nożem, a potem przez całe popołudnie oczyszczałam czaszkę ze skóry, wyłupywałam oczy, wydłubywałam z niej mózg, który wydawał się cięższy i gęstszy od mózgu ludzkiego, a wreszcie

myłam ją w rzece długo, do połysku. Kiedy była już czysta i sucha, położyłam ją na szczycie muru z czaszek, napchałam ziemi do oczodołów i posadziłam w nich dwa rzeczne fiołki.

Długo przyglądałam się memu dziełu. Dla mieszkańców Dombângu ta wyspa jest świętym miejscem, siedzibą ich bogów. Dla mnie nie jest święta – a w każdym razie nie bardziej od każdego innego miejsca, w którym mój bóg wziął do siebie jakieś stworzenie – ale jest piękna. Uśmiechnęłam się, kładąc czaszkę Sinna na szczycie muru; był wspaniałym stworzeniem i wydawało się właściwe, żeby to, co z niego zostało, również było wspaniałe.

Potem spędziłam wiele dni i nocy, siedząc nad brzegiem, słuchając ptaków i obserwując chmury. Spodziewałam się, że mój bóg mnie zabierze, ale zamiast niego przybył w swej długiej łodzi Świadek Vuo Ton.

– Żyjesz – stwierdził ponownie.

Uświadomiłam sobie, że za pierwszym razem mu nie odpowiedziałam. Wstałam i uśmiechnęłam się do niego.

– Żyję. Ja jedna.

– Troje cię zwróciło.

Zastanawiałam się, czy powiedzieć mu, że jego bogowie nie są bogami, tylko ostatnimi przedstawicielami dawno wymarłej rasy, ale uznałam, że nie. Ludzie wierzą, w co chcą, i nie do mnie należało odbieranie im tej wiary.

– Teraz jest ich tylko Dwoje – odparłam.

Otworzył szeroko oczy.

– Bogowie...

– ...chcieli godnego siebie polowania. Znaleźli je.

Wskazałam na czaszkę. Była większa od innych. I grubsza.

Świadek podszedł do niej, podniósł ją wysoko i długo patrzył w jej wypełnione ziemią oczodoły, po czym ze czcią odłożył ją na miejsce. Kiedy odwrócił się ku mnie, jego oczy były pełne łez.

– Dokąd mamy cię zabrać?

Uśmiechnęłam się.

– Do domu.

Nie miałam na myśli Dombângu. Moim domem, prawdziwym domem, był Rassambur. Był nim już wtedy, gdy jeszcze nie znałam jego nazwy. A jednak pozostałam w Dombângu ponad rok. Krótco po moim powrocie do miasta, gdy wciąż dochodziłam do zdrowia, zrozumiałam, że nie jestem sama. Okazało się, że nie byłam jedyną istotą, która przetrwała pobyt na wyspie.

Miłość, ostatni dar Eli, śpiewała w mym sercu, a ty rosłeś we mnie, maleńki, ale z każdym dniem większy. Jesteś dzieckiem delty, synu, poczętym w chacie Vuo Ton. Twój ojciec był synem tego miasta, a ty jesteś ostatnim z jego linii, ostatnim z linii Goca My'ego. Co z tym zrobisz, nie wiem. Ta historia może nie mieć dla ciebie większego znaczenia, ale to twoja historia, w takim samym stopniu jak moja, i tak samo zasługujesz na to, by ją poznać.

Zostałam w mieście dostatecznie długo, żeby cię urodzić i wykarmić. Od samego początku byłeś wesołym, roześmianym chłopczykiem o dużych, ciekawych oczach. Nikt nie mógłby się domyślić przemocy, jaką naznaczone były pierwsze dni po twoim poczęciu. Rzadko płakałeś, a twój śmiech brzmiał jak pieśń. Trudno mi było rozstać się z tobą, ale w modlitwie prosiłam o coś, co otrzymałam w delcie, na wyspie. Pewnej jesiennej nocy, krótco po odstawieniu cię od piersi, położyłam cię na ołtarzu w świątyni Eiry, powierzając jej kapłankom i kapłanom, a także samej bogini, by cię

wychowali i czuwali nad tobą, mój jedyny synku. Wyobrażam cię sobie teraz, w tej świątyni, otoczonego białym światłem i zapachem jaśminu. Ta myśl sprawia, że moja twarz rozjaśnia się uśmiechem.

Dawniej nienawidziłam twej bogini. Wydawało mi się, że faworyzuje wybranych i jest nieprzewidywalną, kapryśną istotą, przeciwieństwem boga, któremu służę. Myliłam się. Nasi bogowie są oczywiście poza wszelkim ludzkim pojmowaniem, lecz wyobrażam sobie Eirę jako córkę Ananshaela. Wyobrażam sobie, jak trzymają się za ręce, jak jej smukłe palce splatają się z jego starymi i kościstymi palcami. Nevariimowie nie umierają – w każdym razie nie śmiercią naturalną – i nie kochają.

My zaś kochamy i umieramy. I musimy robić i jedno, i drugie.

Być może któregoś dnia wrócę do delty i znów wezmę cię w ramiona. A może nie. W każdym razie mam nadzieję, że masz się dobrze, mój synku, dziecię moich wątpliwości i szczęścia, i że twoje serce pełne jest życia, a usta wypełnia pieśń.

Spis treści

CZASZKOWIERCY

Dedykacja

Mapka

Podziękowania

Prolog

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

Epilog

Spis treści

Strona redakcyjna

Tytuł oryginału: *Skullsworn*

Copyright © 2017 by Brian Staveley
All rights reserved

Mapa: Isaac Stewart

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd.,
Poznań 2018

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation
(<https://fedorahosted.org/liberation-fonts/>)

Redaktor: Weronika Kasprzak

Ilustracja na okładce: © Richard Anderson

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Krzysztof Rogulski

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Czaszkowiercy, wyd. I, Poznań 2018)

ISBN 978-83-8062-945-5

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

e-Book: Sławomir Folkman / www.kaladan.pl